Tadeusz Hołu
Koniec naszego świata

Rozdział pierwszy

Wsunął z powrotem worki kieszeni w ubranie, zapiął koszulę i usiadłszy na pryczy skrupulatnie przebierał kupkę śmieci. „Znajdę — przetrzymam, nie znajdę — zabiją” — wróżył. Odkrył ułomek papierosa, namacał twardą główkę zapałki i szorstką powierzchnię strzępu pudełka. Zapalił. Muszę się opanować za wszelką cenę. To nie gorączka, strach mną trzęsie — stwierdził wycierając spoconą szyję rękawem.

Latarnia z podwórza mżyła światłem i wydawało się, że malutka celka pełna jest mgły. Cień kraty kiereszowal bardzo wysokie, wypukłe czoło mężczyzny i mierzwił jasną czuprynę. Paląc uspokajał się, tłumił drganie szczęk. Trzeba wszystko przemyśleć dokładnie, przeanalizować położenie, póki czas, póki noc — postanowił.

Gasnął wolno czerwcowy wieczór, kiedy wracał do domu z biura, gdzie siedział dłużej niż zwykle spiesząc się z zakończeniem przepisywania na magistrackim remingtonie ostatniego rozdziału broszury, zamówionej przez Smolika, który tego wieczoru miał ją odebrać i przekazać komuś tam z konspiracji. Piękny dzień płynął ulicami, nastrój sobotniego popołudnia, świąteczny prawie, pozwalał zapomnieć o grozie
życia, tylko dekoracje tego świata, w jakim przyszło żyć od września 1939 roku, przypominały prawdę przechodniom. Czerwone flagi, ze swastyką w białym kolisku, brunatne mundury partyjne, „feldgrau” wehrmachtowców i esesmanów, szaroniebieskie uniformy urzędników okupacyjnego

rządu nie raziły jednak dzisiaj; było ich mniej niż zazwyczaj. Kolorowe sukienki dziewczyn i kobiet, niedzielne ubrania mężczyzn panowały na ulicy. Na skrzyżowaniu stał patrol motocyklowy, żołnierz w szarym płaszczu i w hełmie pokazywał kierunek okrągłą tarczką na patyku.

Ludzie nagle skupili się koło bram i z niepokojem obserwowali niebo, powietrze bowiem zaczęło wyraźnie drżeć, szyby brzęczały coraz głośniej, chociaż na gładkim niebie nie było widać żadnego samolotu. W ulicę wjechały motocykle żandarmerii. Huk zbliżył się na tyle, że dało się rozróżnić ryk motoru, jazgot i szczęk żelaza. Od zachodu nadjechała kolumna wozów pancernych, dział samochodowych i zmotoryzowanej piechoty. Huk przenikał ciało, zmuszał je do poddania się ogłuszającemu rytmowi łoskotu.

Patrzył urzeczony na przepływ żelaza i stali z czarnymi krzyżami, na żołnierzy, jakby z tej samej materii, co sprzęt, szarych, nieludzko nieruchomych. Widział to wojsko we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, ale w boju, nie w zwartym szyku, nie w hipnotyzującej masie. Doceniał jego wartość, ale teraz mimo woli podziwiał, podziwiał obraz mocy i ładu.

Kolumny za kolumnami toczyły się na wschód. A więc dziś — jutro wojna z Rosją — stwierdził odrywając się z trudem od tłumu gapiów. Przewidywał tę wojnę od dawna, pisał o niej w broszurze, której maszynopis niósł właśnie w teczce. Pisał o obowiązku zachowania narodu i zachowania spokoju, o obowiązku powszechnego, całkowitego, ale biernego oporu, przy takim bowiem wróg nie będzie zdolny do skutecznego terroru. Iluż ludzi można rozstrzelać, aresztować, powiesić? W rachunku oko za oko, ząb za ząb wróg

będzie zawsze silniejszy. Opór biemy winien ogarnąć całego człowieka, wszystkie jego uczynki, myśli. Ani kroku w stronę wroga. Nie, nie ma żadnych szans na powstańcze, romantyczne walki, zamachy bombowe, na szabelkę. Ścierają się
dwa olbrzymy, zadaniem Polaków jest zachować wszystkie siły na przyszłość.

Patrząc na przemarsz kolumn uświadamiał sobie słuszność swych tez. Jakże śmiesznie brzmiały twierdzenia młodych konspiratorów, że trzeba walki wręcz, partyzantki, dywersji czy jak tam się to wszystko zwało. Nie, nie — powtarzał sobie w myślach, wywołując ustokrotniony obraz żelaznych kolumn. Szczycił się swym trzeźwym myśleniem, należał przecież do tych nielicznych, którzy wrogowi nie odmawiają ideowości, którzy widzą zarówno w hitlerowcach, jak i w bolszewikach ludzi idei. Obcej, może strasznej, może wrogiej, ale idei. Mniemał, że wyginą wraz ze swymi ideami, że nadejdzie czas swobodnego rozwoju wszystkich sił człowieczeństwa, gardził bowiem po trosze wszelkimi zorganizowanymi ideami.

Na rogu Plant gromada ludzi otaczała jakiś straszliwy krzyk. Kiedy przechodził mimo, rozpierzchnęła się nagle, pokryła w zielonym cieniu kasztanów, odsłaniając starą kobietę z łysą głową, kędzierzawego bachora i dryblasa w bufiastych spodniach i brunatnej koszuli. Kobieta tanecznymi ruchami rąk wychwytywała ciosy rewolwerowej kolby, co miały spaść na głowę dziecka.

— Hańba bić bezbronną kobietę i dziecko — powiedział po niemiecku. — Nie wstyd panu dziś właśnie?

Na gestapo o nic go nie pytano; cały budynek trząsł się od huku, nowe kolumny Wehrmachtu ciągnęły na wschód.

Rano zajmą się tylko tym zajściem — myślał — ale przyjdzie kolej i na broszurę, skoro ją przetłumaczą. Jak postąpić? Nie ugiąć się, odmówić posłuszeństwa, nie zrobić najmniejszego kroku ku nim! Będę wiemy sobie, wszystko inne się nie liczy. Dopóki będę sobie wiemy, będę wolny. Jeślibym siebie zdradził, wezmą mnie w niewolę. To nie powinno być trudne. Bicie? Ból fizyczny, to nie ma znaczenia, jeśli człowiek nie boi się dalszego ciągu. A ja się nie boję śmierci.

Wiedział, że w najbliższych godzinach nie będą robić rewizji w mieszkaniu, a do tego czasu Maryjka i Smolik oczyszczą je dokładnie. Pozostawała jeszcze do rozrachunku sprawa przeszłości. Ojciec na wsi, nie wie o niczym, Maryjce
nic nie zrobią, zresztą sama niewiele wie. O co będą pytać? Dlaczego pracuje w magistracie, choć z zawodu jest inżynierem-energetykiem ? To nie przestępstwo jednak, głupstwo. Czy znajdą ślad jego działalności publicystycznej — książek, które napisał przed wojną, czy utożsamią go sobie z autorem „Cywilizacji i społeczeństwa", „Planu polskiej rewolucji"? Czy zajrzą do roczników czasopism, gdzie ogłaszał artykuły, i czy dowiedzą się, kto posługiwał się pseudonimem publicystycznym „Baryka"? To wszystko było ważne dla ich oceny broszury.

Całą noc toczył rozmowę z sobą przypominając sobie własne myśli, zawarte w artykułach i książkach, a świadomość sprawności umysłu cieszyła go i krzepiła. Rano rozkrzyczał się megafon radiowy. „Deutschland, Deutschland über alles"* i krzykliwy bełkot zlewających się z sobą słów niemieckich potwierdził przypuszczenie: wojska

hitlerowskie runęły na wschód!.'..

Przez zamurowane do połowy okienko padała smuga słońca na ścianę. U jej styku z podłogą ujrzał wyryty krzyżyk, dwa inicjały i zamazaną datę, powyżej zaś wypełnione ostrym cieniem rysy muru ułożyły się w obrys kobiecej głowy. Wyobraził sobie kontur głowy Maryjki, jej szerokokościstej, owalnej twarzy o łagodnym podbródku, przedzielonym podłużnym dołkiem; odnajdywał w cieniach i światłach, w zaciekach i plamach tynku kształt jej zadartego nosa i wysuniętych do przodu ust, rzeźbę policzków i oczodołów. Słońce jednak szybko się podniosło i ściana zgasła. Nie roztkliwiajmy się, nie szukajmy pociechy w złudzeniach, nie wmawiajmy w siebie nagiej tęsknoty i wielkiej miłości, kiedy ich nie ma — pokpiwał z siebie. Mijały wolno godziny, nikt nie wywoływał go na przesłuchanie, jakby owej pogodnej niedzieli zapomnieli o aresztowanym i osadzonym w pojedynce śledczej.
Na odrapanym tynku, wysmarowanym kałem i rozgniecionymi pluskwami, czytał kronikę celi. Prymitywne ścianoryty przedstawiały nieodmiennie bądź symbole religijne, bądź to zgeometryzowane kształty genitaliów. Nad owalem, przekreślonym przez środek, wyobrażającym srom, wyczytał:
„tum siedział, nie powiedział JN”, koło szeregu krzyżyków widniał krakowski adres więźnia, a obok ilustrowane dwiema półkulami hasło: „dupa nie szklanka”. Nie lubił wulgarności, brzydził się wszelkim brudem, ale teraz z ciekawością badał ściany celi, jak gdyby pragnął dowiedzieć się z napisów i rysunków, co go czeka. Był głodny, nie miał co palić, wreszcie i zajęcie się skończyło.

Zjawił się niepokój. Dopiero w południe otwarły się drzwi i służbowi przynieśli zupę. Strażnik wszedł do celi.

— Auf! Melden!* —krzyknął widząc, że aresztant nie staje na baczność, nie melduje się regulaminowo. Kopnął go, uderzył pękiem kluczy w głowę. Za co mnie bije? — pomyślał nieświadomy winy. Wysoki więzień o podpuchnię- tych oczach, stojący na korytarzu przy kotle, dawał mu jakieś znaki. Ja go skądś znam — stwierdził. Twarz pocięta drobnymi żyłkami, kształt czaszki wydały mu się znajome, ale nie było czasu na zastanawianie się; strażnik krzyczał instrukcję.

Zupa śmierdziała brudnymi skarpetkami, wodnista, letnia. Upił trochę, ale z obrzydzeniem odstawił miskę. Postanowił spać, aby zabić czas i nie dać się niepokojowi, jaki w nim wzbierał. Łaknął papierosa, a głód nikotyny torturował i nie pozwolił zasnąć.

Nazajutrz zaprowadzono go do pokoju przesłuchań. Gestapowiec o fryzowanych włosach i piegowatej twarzy wystukiwał coś na maszynie nie zwracając uwagi na przybysza. Okno było otwarte i wlewało się przez nie gorące powietrze lata. Podgolona pruską modą czaszka gestapowca świeciła potem. Dystynkcje podoficera uspokoiły więźnia, widać nie przywiązywano wielkiej wagi do jego sprawy. Na stole leżały dokumenty zabrane w czasie rewizji, ale nie dostrzegł nigdzie grubego skryptu broszury. Na ścianie wybałuszały oczy okularów maski gazowe, w stojaku tkwiła kolekcja pejczy, bykowców i trzcin. Maski zakładają, żeby nie było słychać krzyku — przypomniał sobie wiadomości z więzienia, jakie przenikały do prasy podziemnej. Strużka zimnego potu spłynęła mu po krzyżu.

— Bednarek Heinrich, geboren ?* — zapyta! gestapowiec wciągając nową kartkę w maszynę.

— Ma pan wszystko w dokumentach — powiedział Henryk po polsku. Gestapowiec zapalił papierosa, zaciągnął się dymem. Niebieski obłoczek podrażnił Henryka, zrobiło mu się słabo.

— Sprechen Sie deutsch, Herr Schriftsteller !** — radził gestapowiec. A więc już coś wie o książce — pomyślał Bednarek, ale nadal nie odpowiadał na pytanie. Gestapowiec dmuchnął mu w nos dymem z papierosa, czekał cierpliwie, lekko uśmiechnięty. Wreszcie Henryk dał za wygraną. Podał personalia po niemiecku. Henryk Bednarek, syn Józefa i Antoniny Sobczyk, urodzony 20 V 1910 we wsi Zamek, powiat Stare Miasto, województwo krakowskie, zawód wyuczony — inżynier-energetyk, wykonywany — urzędnik w zarządzie miasta, żonaty, żona Maria...

— Rauchen Sie? Bitte.***

Henryk łapczywie zaciągnął się papierosem. Jestem Świnia, nie powinienem był wziąć. Ale to nałóg — usprawiedliwiał się w duchu. Do pokoju wdarł się dźwięk fanfar. Gestapowiec poderwał się i skoczył ku oknu. Henryk patrzył na popielniczkę, gdzie walały się niedopałki. Kusiło, by ukraść parę, ale się pohamował. Zagasiwszy schował resztę papierosa do kieszeni. „Celem tej operacji jest ocalenie świata” — posłyszał. Ocalenie świata? Gestapowiec wrócił do roboty, rozpromieniony, cały błyszczący. Szybko ubrał kurtkę mundurową, zapiął, obciągnął. Piegowata twarz wyrażała surowy zachwyt. Przeczytał szybko raport o zajściu na Plantach, zapytał, czy Henryk go potwierdza, spieszył się wyraźnie z tą sprawą.

Przeszedł na „ty”, ale zaraz się poprawił:

— Proszę opowiedzieć, jak to było i co panem powodowało? Wypadek jest bardzo znamienny, ale nie przystaje do pana. To było powiedziane ńa serio?

— Tak.

— Niewiarygodne. Pan bronił Żydów wiedząc, czym to grozi?

— Broniłem samego siebie.

Gestapowiec nie zrozumiał, kazał powtórzyć, wyjaśnić.

— Broniłem samego siebie. Gdybym przeszedł bez słowa, byłbym współwinny, jakbym sam bił tę kobietę i dziecko, niewinnych ludzi.

— Ludzi? Toż to Żydzi, nie ludzie! Kto dał ci takie polecenie?

— Sumienie.

Gestapowiec zadzwonił. Wszedł krępy esesman i bez słowa zdjął ze ściany maskę gazową. Gestapowiec potrząsnął przecząco głową. ‘

— Ściągnij spodnie! — rozkazał.

Teraz jest próg. Uwaga, nie wolno przekroczyć, nie wolno słuchać — ostrzegł się Henryk. Stał bez ruchu, patrząc w oczy gestapowcowi. Ten powtórzył rozkaz raz i drugi, wreszcie dał znak esesmanowi. Cios pięści rzuci! Henryka na stół, gestapowiec przytrzymał mu głowę. Płomień dotknął pośladków, ciało, przyżegane bykowcem, pękało, ból wydarł z gardła krzyk. Henryk przygryzł wargi, wyrwał głowę z uścisku, wyprostował się nagle.

— Humanista! — zaśmiał się gestapowiec. — Zostaw go na potem, szef ma do niego romans, kazał oszczędzać. Wyprowadź !

Henryka zawiódł strażnik do kąpieli, potem mokrego od-

prowadził do celi. Na korytarzu minęli sześciu mężczyzn sunących z podniesionymi rękami ku wyjściu. Głośno chrapał motor auta na dziedzińcu.

W nocy wezwano go ponownie na przesłuchanie. Natychmiast po wejściu do pokoju zorientował się, że tym razem będzie gorzej. Na stole leżały dwa grube maszynopisy. Czytał je przystojny, prawie piękny mężczyzna w oficerskim mundurze SD. Stalowosrebme włosy odbijały od mocno opalonej twarzy. Trzeba się trzymać. Już zdołali przetłumaczyć — stwierdził Henryk. Oficer oddalił eskortę, kazał usiąść. Ascetyczną twarz artysty czy mnicha łagodził smutny uśmiech. Dwie głębokie bruzdy, idące od nosa ku brodzie, były tak szeroko rozstawione, iż zdawało się, że oficer stale się uśmiecha. Henryk postrzegał teraz wielekroć więcej i intensywniej niż zazwyczaj. Wiedział, że to niebezpieczeń stwo wyostrza jego zmysły; znał ten stan. Wzrok nabrał ostrości. Oto niemiecki maszynopis z tytułem ręcznie wy- kaligrafowanym. „Prawo wolności" — odczytał. — „Wyjątki". Na popielniczce francuskie caporale. Maleńka srebrna zapalniczka z monogramem. Szczupłą dłoń oficera widać spod papieru. Na palcu pierścień z czarnym kamieniem, na którym wiją się dwie błyskawice. Zgrzypi krzesło. Teraz się zacznie.

— Nie będziemy brali pod uwagę tego błahego zajścia na Plantach, wywołanego, jak sądzę, podekscytowaniem raczej niż istotną potrzebą, wypływającą z pana przekonań — zaczął oficer. — Ja przyjmuję odmienność naszych stanowisk, pana — Polaka, naszego — Niemców, i oczywiście zdaję sobie sprawę, że Polacy nie są zwolennikami idei narodowo- socjalistycznej

ani tym bardziej entuzjastami okupacji. Jeśli pan pali, proszę. Proszę! Otóż przestudiowałem pańską pracę i znalazłem ją bardzo, bardzo ciekawą. Swojego rodzaju grandę patience*. Wyjdzie, nie wyjdzie? To pierwsza pana praca?

Henryk słuchał uważnie. Lekko znużony, delikatny głos gestapowca brzmiał zupełnie spokojnie, nie było w nim ani cienia ironii, ale ostatnie pytanie było niechybnie pułapką. Jakkolwiek by na nie odpowiedział, równałoby się to przyznaniu. Postanowił nie odpowiedzieć. Oficer jakby nie zauważył jego milczenia. Ciągnął dalej w tonie towarzyskiej rozmowy intelektualistów:

— Żyjemy w innych czasach, surowych i twardych. I dlatego trzeba się tłumaczyć i nawet kajać. Uderzyło mnie w pańskiej pracy jedno: jest pan pierwszym Polakiem, jakiego udaje mi się spotkać, starającym się o jaki taki obiektywizm w spojrzeniu na nasz ruch, na naszą rewolucję, nawet na SS. Jedynym, który daje wiarę, iż w naszych szeregach są ludzie ideowi, całkowicie oddani sprawie. Pańscy rodacy skłonni są widzieć w nas tylko morderców, katów, rzezimieszków lub co najwyżej pruskie kukły bezduszne. To mnie zastanowiło. Porównuje nas pan do bolszewików. Widzi pan, ja też podobnie o nich myślę, jak pan o nas. Sądzę, że na tej platformie porozumiem się z panem.

— Zachodzi małe nieporozumienie. Pan przyjął za pewnik,
że ja jestem autorem tej pracy, którą miałem w teczce. Skąd ta pewność?

Oficer wstał i jął przemierzać pokój małymi kroczkami.

— Mnie nie interesuje, panie Bednarek, sama

sprawa autorstwa, to znaczy nie tyle samo autorstwo, ile zgodność pana poglądów z tą pracą. Oczywiście nie będziemy urządzać jugements de Dieu*, aby dojść prawdy, jeśli będziemy jej potrzebować. Zaręczam panu, że jest dość środków, aby człowiek przyznał się do wszystkiego, co chcemy. A więc, żeby skończyć z tym wstępem, chodzi mi o tę część pana pracy czy też pana poglądów, która dotyczy sowieckiej Rosji i stosunku Polaków do niej oraz do naszej wyprawy na wschód.

Henryk nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, był zaskoczony, mile zdziwiony. Wiedział jednak, że gestapowcowi nie chodziło o intelektualną rozmówkę, że oczekuje jakichś konkretnych rezultatów. Jakich? Lęk już dawno minął, strach nie wymazywał myśli, ale więzień nie znajdował odpowiedzi na to pytanie.

— Czy sądzi pan, że społeczeństwo podziela pana przekonania w tym względzie, że nie poparłoby żadnych sowieckich usiłowań, gdyby Kreml zechciał wszczynać tu swoją robotę? To jedno pytanie. Czy pańska doktryna biernego oporu i wyrzeczenia się aktywnego, zbrojnego, zamachowego charakteru oporu podzielana jest przez społeczeństwo i w jakiej mierze? To drugie pytanie. Proszę?

Oczyma wyobraźni ujrzał Henryk przemarsz zmotoryzowanej kolumny przez miasto, zawahał się, nim odpowiedział:

— Nie wiem. Nie zajmuję się tymi kwestiami, nie jestem politykiem.

— Odmawia pan odpowiedzi?

— Tak, odmawiam.

— Wobec tego jestem zmuszony postępować z

panem po kapralsku. Ten maszynopis jest pana dziełem?

— Nie.

— Jak pan wytłumaczy, że znalazł się w pańskiej teczce w dniu aresztowania?

— Nie wiem.

— Tego dnia wracał pan prosto z biura do domu i nigdzie pan nie wstępował po drodze? A więc ktoś musiał panu podrzucić ów maszynopis w biurze, któryś z współpracowników, urzędników. Zgoda. Sprawdzimy.

Oficer kazał wyprowadzić Henryka. Strażnik zawiódł go do celi na piętrze. Rządek więźniów stał tu na baczność, a mały, chudziutki mężczyzna meldował służbiście stan celi. Zatrzasnęły się drzwi, szczęknęła blacha judasza i Henryk znalazł się wśród pięciu ludzi, kwaśno cuchnących, wystrzy- żonych, bladych bladością wywołaną długim już pobytem w więzieniu.

— Ja jestem komendant celi, panie ładny— przedstawił się chudziutki. — U nas pustawo, zabrali wiarę na forty do dołków, miejsca do cholery i trochę. Krakus?

Henryk kiwnął głową. Chudziutki, śmieszny w krótkiej koszuli i podartych gaciach, pociągnął go za rękę wskazując wolny siennik. Przy oknie rysowała się sylwetka klęczącego i szedł stamtąd żarliwy szept modlitwy.

— Byłeś na przesłuchach? — zapytał chudziutki i otrzymawszy potakującą odpowiedź czekał cierpliwie, aż Henryk się rozbierze, potem, gdy ów leżał już na brzuchu, powiedział: — Pokaż zadek — i nie zważając na opór przybysza obnażył mu pośladki. Henryk poczuł, iż dłoń komendanta celi bada jego ciało: było mu wstyd, zwłaszcza że współwięźniowie jeszcze nie spali. W jasnej nocy widział siedzące na siennikach postacie, wpatrzone w niego

i w komendanta. — W porządeczku. Bili, choć niewiele, ale bili — zakomunikował kolegom chudziutki. — A teraz spać, pierdziele!

W pojedynczej celi było jednak przyjemniej. Henryk nie mógł zasnąć w cuchnącym powietrzu, drażniło go głośne chrapanie sąsiadów i nieustający szept modlitwy płynący spod okna. Pluskwy kapały z sufitu i obłaziły ciało. Zamknąwszy oczy ujrzał wyraziście zasłany świeżą pościelą tapczan, wykrochmalone prześcieradło i niebieską kołdrę. Kiedy zdawało mu się, że już wszyscy zasnęli, kiedy ucichły modlitwy pod oknem, ktoś podpełznął do niego i położywszy się obok zaczął cichutko szeptać. Był to komendant celi. Kazał nazywać się „Łokietkiem" i opowiedział w kilku zdaniach bez mała całe swe życie. Był bezrobotnym, handlował
sezonowo starzyzną na tandecie, mieszkał w starym poaustriackim forcie i żył „na wiarę" ze starszą od siebie babą. We wrześniu poszedł do wojska na ochotnika i „coś mu się stało we wnętrzu". To coś spowodowało, że od początku okupacji kradł Niemcom, co się dało, aż wpadł podczas obławy. Siedział już trzeci miesiąc, oskarżony o sabotaż.

Łokietek chciał się dowiedzieć, za co siedzi Henryk. Usłyszawszy o zajściu na Plantach, gwizdnął cicho.

— Frajer żeś, brachu, czysty. Nie pchaj palca między drzwi. To ci heca, samemu zapraszać się do mamra!

Rano, po sprzątnięciu celi, więźniowie uklękli i jęli powtarzać za siwym grubasem słowa modlitwy. Henryk stal zakłopotany, Łokietek ciągnął go za nogawkę spodni, pokazywał na migi, żeby poszedł za jego przykładem, ale nic nie wskórał. Henryk nie był wierzący, nie zamierzał

udawać przed nowymi towarzyszami. Po pacierzu siwy grubas powiedział :

— My tu nie wstydzimy się, proszę pana, swojej wiary i swoich uczuć. Oddaliśmy się opiece Królowej Korony Polskiej.

— Człowiekowi spokojniej we wnętrzu, jak zmówi pacierz. Cholera wie, a nuż pomoże. Jeden król polski, Łokietek, ofiarował się Matce Boskiej, to mu Krzyżaków pomogła pobić...

Henryk obserwował towarzyszy celi. Było ich sześciu. Łokietek, siwy grubas-doktor, dwóch braci-studentów, kulawy powstaniec śląski — majster fabryczny, urzędnik bankowy. Ślązak łaził po celi, przemierza! ją po przekątni, by było więcej kroków, od czasu do czasu przystawał i oglądał uważnie ręce, po czym podejmował swój mechaniczny niejako marsz.

— Usiądźże, człowiecze. Bebechy wywraca to maszerowanie — prosił Łokietek. — Co się trapisz? Masz pewną rozwałkę. Rozłupią cię, brachu. Trapić się trzeba tylko niepewnymi sprawami. Was wszystkich kropną — stwierdził czyniąc ręką szeroki gest w stronę towarzyszy — tylko mnie nie i tego nowego nie.

Zaraz po śniadaniu wywołano z celi Ślązaka i Henryka. Kiedy były powstaniec ubierał się, Henryk spostrzegł w oczach
towarzyszy strach i współczucie i nagle zrozumiał, że to jego żegnają, nie tylko Ślązaka. Znowu, jak zawsze w chwili zagrożenia, wzmogła się praca zmysłów; twarze towarzyszy ukazały się tak wyraźnie, że widział każdą ich zmarszczkę. Z trudem uprzytomnił sobie, iż przecież gestapo nie ma jeszcze żadnego powodu, by go rozstrzelać.

Próbował pożegnać współwięźniów uśmiechem, ale wargi mu drżały.

Na korytarzu strażnik kazał mu czekać obok trzech młodziutkich chłopców, stojących z podniesionymi rękami, twarzą do ściany. Z pokoju rozległ się nieludzki ryk, kiedy zaś wszedł, słuch poraził mu slaby okrzyk:

— Henryk!

Maryjka stała, oparta plecami o biurko, z twarzą zwróconą ku mężowi, ale ciało jej przegięte było w innym kierunku, zwracało się ku kątowi, gdzie leżał nagi, wyjący mężczyzna. Henryk ujrzał tylko jego chude nogi z powrósełkami żylaków i sczerniały członek nad opuchniętymi jądrami, reszta ciała zwisała z krzesła, niewidoczna, krzycząca. Gestapowiec o ułańskich nogach wkładał mundurową kurtkę, oficer siedział za biurkiem śledząc wzrokiem zachowanie się Henryka.

— Dźwignij go! — rozkazał oprawcy i ten podniósł bezwładne ciało.

— Poznajesz go? — spytał oficer Henryka. Tak, to był Kaleta, stary urzędnik magistracki, z którym pracował w jednym pokoju. Mają go, ale czy on wie coś o mnie? Najwyżej mógł zauważyć, że coś przepisuję — stwierdził w myśli. Był przekonany, że Maryjka nic nie powiedziała. Gestapowiec zarzucił koc na ciało starego.

— Poznaję — przyznał Henryk.

— To on wsunął ci do teczki maszynopis?

— Nie, nie — zaprzeczył gwałtownie. Oficer kazał odwrócić się Maryjce, wstał i powiedział patrząc na nią:

— Zona zeznała, że pan pisał tę pracę w domu, więc po co wykręty? Kaleta przyznał się, iż widział, jak ją pan przepisywał w biurze. Dla kogo? Kto ją mial wydać?

Henryk obserwował plecy żony; poprzez cieniutką niebieską suknię dostrzegał nerwowy skurcz łopatek. Potem spojrzał na Kaletę. Zdumiał go wyraz twarzy urzędnika; szczuplutka, o koziej bródce, porośnięta na policzkach siwą szczecinką — świeciła. Może to błyszczące czarne oczy tak ją rozświetlały? Nic nie powiedział — zrozumiał Henryk. Oficer powtórzył pytanie, ale nie otrzymał odpowiedzi. Dał znak oprawcy stukając sygnetem z błyskawicami SS o marmurowy kałamarz. Kaleta nie stawiał oporu, dał się ułożyć na pochyłej desce, głową w dół. Oprawca zdjął kurtkę, wydobył spod maski lejek. Zwykły, blaszany lejek.

— Pani będzie łaskawa odwrócić się, proszę sobie popatrzeć. Bardzo mi przykro, że ten człowiek jest nie ubrany, ale przyszedł prosto po kąpieli z łaźni, zresztą pani jest mężatką — mówił oficer, podczas gdy Henryk, wpatrzony w blaszany lejek, słuchał tylko niespokojnego sapania Kalety. Zawstydził się tego bezwstydnie odsłoniętego ciała ze zniekształconymi genitaliami, a jednocześnie nie mógł wyzbyć się poczucia śmieszności, groteskowości. Ten lejek blaszany! Zdawało mu się, że gestapowiec za sekundę przytknie lejek do ust i zatrąbi. Widok był tak niespodziewany i obcy, że przykuł całą uwagę aż do chwili, gdy Maryjka krzyknęła nie wytrzymując napięcia. Jej przecież nie będą bili — pomyślał —boi się o Kaletę; mogliby oszczędzić kobiecie takiego widoku. Dziwne, twarz Maryjki przekształcił strach, a wyglądała jak w chwilach największego podniecenia erotycznego; niebieskie oczy zmętniały, rysy zwarły się, wyostrzyły, wystające kości policzkowe napięły różową skórę. Zachlupotała woda. Gestapowiec lał ją z dzbana w blaszany lejek, wetknięty w nos Kalety. Nogi starego

urzędnika zaplotły się i wzniosły. Dławił się, gulgotał ochryple. Henryk oderwał wzrok od prymitywnego narzędzia tortury.

— Niech go pan zostawi — powiedział do oficera — przecież on nie mógłbv napisać tej książki, choćby ze względu na swój poziom umysłowy.

— Dziękuję — uśmiechnął się oficer i wydał rozkaz pomocnikowi, by przerwał tortury. — Więc jednak pan zna tę broszurę!

— Znam. To ja ją napisałem. Kaleta jest niewinny, proszę go zwolnić, o niczym nie wiedział.

— Nie wiedział? Zaraz posłyszymy. Kaleta!

Urzędnik rzygał wodą, siny jak topielec. Na wszystkie pytania oficera odpowiadał potakującym skinieniem głowy i bełkotliwym „jawohl”*. Tak jest, wiedział, że Henryk przepisuje w biurze broszurę, słyszał od niego, że pisze ją dla podziemia, że jest w podziemiu kierowniczą personą...

Mokre ciało Kalety lśniło od wody, zlepioną bródkę splamiła krew. Gestapowiec wypchnął go za drzwi, gdy wrócił, wyjął ze stojaka dwie giętkie trzciny.

— Teraz chodzi nam tylko o to, by pan podał, dla kogo pisał pan broszurę. Dałem chyba dostateczny dowód, że gdybyśmy chcieli, udowodnilibyśmy sami wszystko, ale nie
o to chodzi. A więc dla kogo? Nazwisko? Organizacja?

Henryk potrząsnął głową, powiedział, że pisał sam dla siebie bez myśli o wydaniu, że w konspiracji nie brał udziału, co zresztą uzasadniają w pewnej mierze tezy książki o biernym oporze. Oficer wzruszył ramionami, nie wierzył. Kiedy oprawca podszedł do Maryjki, Henryk chciał zaprotestować, ale paraliżujące poczucie bezsiły

ogarnęło już ciało, rozmazywało myśli, przylepiało nogi do czarnej podłogi. Oficer obojętnym głosem wydawał rozkazy przeglądając jakieś[1] papiery na biurku. Maryjka, odwróciwszy się do ściany, zaczęła zdejmować niebieską sukienkę. Ruchy miała wolne, omylne. Jakże dobrze znał ów gest, kiedy skrzyżowane ręce sięgają w dół i dźwigają rąbek wesołych barw w górę, kiedy ramiona wznoszą się, spętane jeszcze materiałem, aby za chwilę opaść wzdłuż obnażonych linii tułowia! Matowobiałe uda żony przechodziły w opalone łydki. Gdy przesunęła dłonie ku biodrom, krzyknął:

— Nie! Maryjka, nie!

Dusił go wstyd i oburzenie. Maryjka nie powinna się godzić, nie powinna stawiać pierwszego kroku ku nim, powinna protestować od początku! W tej chwili Maryjka przegięła się nad stołem i krzyknęła. Trzcina przecięła cieniutki materiał, pierwszy cios obnażył pośladek. Oficer wzniósł dłoń.

— Proszę powiedzieć, z kim komunikował się mąż, a przestaniemy. Nie?

Henryk rzucił się naprzód. Gestapowiec ciął go przez twarz trzciną, odepchnął uderzeniem pięści w pierś.

— Barbarzyńcy! — wykrztusił Henryk.

* tak jesi

— Tak jest, jesteśmy barbarzyńcy — potwierdził spokojnie oficer. — Jesteśmy narodem mężczyzn.

Maryjka już nie krzyczała, mimo że na pośladkach zarysowała się fioletowozielona krata pręg. Jedna z nich krwawiła. Oficer nagle podniósł jej głowę. Zwisała, ciężka, w złotych włosach pełnych słonecznych promieni. Gestapowiec chlusną! wodą.

W celi Łokietek robi! porządki; miałką cegłą czyścił ceber, doktor mył podłogę, studenci szorowali miski. Na stosie sienników leżał Kaleta. Mokra szmata zakrywała mu podbrzusze.

— Panie Bednarek, panie Bednarek, co ze mną będzie? Nic nie powiedziałem, ale jak topili, nie mogłem. Nie mogłem. Jezus Maria, nie mogłem!

Kaleta zdążył był już wszystko tu opowiedzieć, przywołał teraz Henryka, aby go przeprosić za zeznania, obiecywał wszystko odwołać następnym razem.

— Czy on może cię wsypać całkiem, Heniek? — spytał szeptem Łokietek. — No, bo jak tak... — Złożył dłonie i nagle je zacisnął, aż zatrzeszczały kości. Wydobył zza mankietu spodni mały niedopałek, zawiniątko z hubką i kamykiem do zapalniczki. Zapalili kolejno, tak głęboko się zaciągając, że w celi nie znać było prawie dymku. Prymitywne „krzesiwo" Łokietka wprawiło Henryka w podziw i zamyślenie: troszeczkę zestrużyn ze szczoteczki do zębów, nadpalona szmatka, kamyk osadzony w drewienku ołówka.

Przesunął machinalnie dłonią po policzku. Był nie ogolony. Trzeba było iść na kibel, pusty teraz, wypucowany przez Łokietka, i chociaż nikt nie zwracał na niego uwagi, wstydził się, czerwienił. Prześladowały go Drobne Sprawy.

Doktor klęczał przy oknie, z głową opartą o parapet, i modlił się półszeptem. Już minęła codzienna godzina trwogi, nikogo już dziś nie wywołają na rozstrzelanie lub do kopania grobów na forcie krzesławickim. Reszta dnia należała do życia...

Henryka gnębiła myśl o żonie. Jak zniesie więzienie?

Czy nie załamie się na torturach? Ze względu na jej bezpieczeń
stwo unikał, jak mógł, spotkań konspiracyjnych w domu; ale znała przecież całą przeszłość, wszystkie książki napisane przed wojną, pseudonimy publicystyczne, poglądy. Posłyszał jej ostry krzyk, podobny zgrzytowi żelaza po szkle, i jęła go zalewać fala wzruszenia. Winien jej bronić, winien ją ocalić, przeraźliwie bezbronną, nieodporną na ból, wyrwaną nagle z dwudziestego wieku i ciśniętą w noc barbarzyństwa !

Pomału przywykał do pierwotności życia, choć bronił się przed tym, pomału stapiał się z rytmem więziennego bytowania, dzielonym regularnie trzema otwarciami celi, trzema posiłkami. Czasami rytm ten był przyśpieszony innymi otwarciami drzwi, które zwiastowały tortury lub śmierć. Zrazu wszyscy mówili tylko o jedzeniu, spaniu i wypróżnieniu, czasem o papierosach; snadź unikali tematów grozy i nadziei. Później, gdy mijały godziny poranne — pora wezwań na przesłuchania i na śmierć — siadali na podłodze i zaczynali gwarzyć. Najczęściej opowiadał Łokietek, lubujący się w osobliwej mieszance historii z współczesnością. Henryk jednak nie brał udziału w owych gawędach; przeczekawszy wspólnie niebezpieczną porę zapadał w milczenie i zadawał sobie jakiś temat z własnego żywota. Cieszyła go sprawność pamięci i myśli, radośnie zdumiewała możność prowadzenia podwójnego życia, przy czym to marzone i wspominane wydawało się bardziej rzeczywiste, bliższe. Nigdy do tej pory nie udawało mu się tak rozdwoić, by być jednocześnie przedmiotem i podmiotem obserwacyj, rozważań, wyobrażeń, zresztą nigdy też do tej pory nie

odczuwał podobnej potrzeby.

Niewiele pamiętał z dzieciństwa i młodości. Pierwsza praca przy budowie elektrowni wodnej rzuciła go do pisania. Kilka artykułów o przyszłości technicznej cywilizacji i wspólnocie ludzkiej, artykułów przeciwko biedzie, zacofaniu i lękowi przed przyszłością, zwróciło uwagę. Potem — książka, pierwsza książka, wydana pod pseudonimem, która wywołała burzę w kraju. Wykazywał w niej, że Polskę może ocalić tylko wielkie uprzemysłowienie i jednoczesna wielka praca społeczna, wskazywał źródła siły i źródła niemocy, upominał się o ujarzmienie rzek i ujarzmienie reżimu, o wyzwolenie ludzi pracy i o wyzwolenie ziemi. Socjaliści i komuniści wzięli go wówczas za swego, wciągnęli do Ligi Obrony Praw Człowieka. Był nawet taki moment, kiedy, bawiąc na zjeździć fachowców w Austrii, chciał pójść dalej, do Hiszpanii, ale nie poszedł. Wybrał kraj i Maryjkę. Ów okres wspominał najdłużej, ważył go w myślach i sumieniu. Nie miał sobie nic do wyrzucenia. Nic. Teoria stwarzania pozytywnych faktów bez względu na ustrój, rząd i wypadki, jaką opisał w swej pracy, wydawała mu się słuszna i obecnie.

Ostatecznie wszystko sprowadza się do moralnych wartości jednostek i do ich ilości w społeczeństwie. Kiedy nie można budować innych pozytywnych faktów, zawsze jeszcze można budować pozytywne wartości człowiecze.

Ilość przechodzi w jakość, wyznawał tę zasadę marksistowską. Wymarzoną jakością był teraz powszechny, całkowity opór, opór aż do zaparcia się samego siebie, opór całego człowieka, wszystkich ludzi. Wierzył w jego możliwość.

W konspiracji zaczął współpracę z podziemną prasą, zwłaszcza z demokratycznymi ośrodkami, które reprezentował Smolik, wojskowy, ludowiec z przekonań. Zgłosił się nawet na złożenie oficjalnej przysięgi, którą miał od niego odebrać Smolik. Nie zdążył.

— Już dość. Co się tak trapisz, frajerze — powiedział kiedyś Łokietek. — Myślenie to czysta głupota. Nic nie wymyślisz. Co ci pisane, i tak będzie. My tu gadali o jednych takich, co bryknęli z paki i udało się im nawet, nie można powiedzieć.

Ucieczka? O tym nie pomyślał. Spojrzał na okno, na poczerniałą kratę i drewnianą skrzynię, zasłaniającą widok. Rok temu rzeczywiście uciekło stąd kilku więźniów i to przed samą egzekucją. Wyłamali kraty, spuścili się z okna na dziedziniec, przez mur dostali się na zewnętrzne podwórze i gdyby nie strącenie okna przez kolejnego uciekiniera, co zaalarmowało straże, cała cela by uciekła. Ucieczka? Podszedł do drzwi i spojrzał przez otwarty judasz. Widać było poprzez okno na korytarzu skrawek ulicy. Jechał właśnie niebieski tramwaj, a gdy zniknął, ukazało się kilka kobiet, przechadzających się z zadartymi głowami wzdłuż muru. Wydawało się Henrykowi, że jest wśród nich Maryjka. Krzyknął. Poznał ją po wolnych, ociężałych ruchach i niebieskiej sukience,
tej samej, w której zjawiła się na konfrontacji. Rzecz dziwna, niewiele myślał ostatnio o Maryjce-żonie, jeśli nawet i myślał
0 Maryjce-kochance. Teraz była tam, na ulicy, spacerowała patrząc na wysokie ściany więzienia, szukała go, niepokoiła się o niego, wolna, mogąca pójść, dokąd zechce.

Od tej chwili zaniechał wspomnień z dawnej przeszłości,

Maryjka zaś zajęła główne miejsce w myślach o teraźniejszości. Niepokój o nią był tym większy, że oceniał ją trzeźwo, z lekką ironią nawet, jaką daje poczucie własnej wyższej wartości i przydatności. Kochał ją, nie swą miłość czy marzenia, taką, jaką była, jako czułą i namiętną kochankę, dobrą koleżankę i przyjemnego towarzysza. Nie wtajemniczał jej w sprawy przekraczające zakreślony obszar charakteru i zdolności, nie obciążał jej swymi niepokojami i myślami, które nie mieściły się we wzajemnych ich stosunkach. Teraz jednak wkroczyła w inną dziedzinę, niebezpieczną, a dla niej na pewno straszną. Zawsze bała się śmierci i starości, chorób
1 biedy.

Łokietek dziwił się, że Henryka nie wywołują na przesłuchanie. Poszedł urzędnik bankowy i wrócił z wybitymi zębami, poszli obaj studenci, złapani z gazetkami, a Henryk coraz niespokojniej wyczekiwał na dalszy ciąg. Niepewność stawała się z każdym dniem cięższa, tym bardziej że nie działo się nic ważnego, a Drobne Sprawy coraz bardziej gnębiły. Aż wreszcie pewnego dnia wyprowadzono Kaletę. Teraz na mnie kolej. Mieli mnóstwo czasu, może doszli do moich książek? Będą pytać o kontakty polityczne, o ludzi,
o łączność z podziemiem. Zaprzeczę. Ostatecznie, nie mają żadnego dowodu — rozumował. Jeszcze na korytarzu powtarzał sobie obietnicę nieugięcia się, wytrwania. Przed drzwiami przyszło mu na myśl, że wypuszczenie Maryjki może być podstępem policyjnym, że mogą ją śledzić, aby po tym tropie dojść do innych osób. Jeżeli Smolik spotyka się z nią, wpadłem.

— Proszę, jesteśmy już u kresu — rzekł

obersturmfuhrer*
opięknej twarzy. — Zapisałem, że przyznał się pan do autor
stwa książki, której treść skierowana jest przeciw Trzeciej Rzeszy. Oraz przeciw Sowietom. Wedle dzisiejszych zeznań Kalety pisał pan tę książkę na zlecenie tajnej organizacji,
0czym mówił pan w celi, potwierdzając w ten sposób swe poprzednie wypowiedzi, jakie również słyszał Kaleta. W magistracie. Obaj jesteście członkami tej samej zresztą organizacji. Proszę podpisać protokół.

Kaleta nie wyglądał bynajmniej na człowieka storturowanego, patrzył energicznie przed siebie, ale unikał wzroku Bednarka.

— Nie mogę podpisać, bo to nieprawda — odrzekł Henryk. — Kaleta kłamie, chce siebie ratować. Pan ma przecież odpowiednie środki do wymuszenia dowolnych zeznań.

— Nikt go jeszcze nie tknął dziś palcem, wszystko zeznał dobrowolnie.

Kaleta skinął głową, potwierdzał słowa gestapowca, Henryk więc zaproponował konfrontację z resztą współwięźniów, którzy przecież musieli słyszeć jego rzekomą rozmowę o konspiracji.

— Słyszał Łokietek — rzekł niespodziewanie Kaleta. — To taki złodziejaszek, niech potwierdzi.

Oficer kazał sprowadzić Łokietka. Jeżeli Łokietek i Kaleta są podstawieni, przepadłem. Albo stary liczy, że Łokietek, jedyny niepolityczny w celi, załamie się i będzie śpiewał, jak mu zagrają? Uśmiechnął się na wspomnienie napisu w pojedynczej celi: „dupa nie szklanka”. Gdy

wszedł Łokietek
1gestapowiec o ułańskich nogach, Obersturmführer natarł pytaniami. Przeplatał je twierdzeniem, że Kaleta i Bednarek przed chwilą zgodnie zeznali, iż rozmawiali w celi o książce Bemarka, pisanej dla podziemia. Powtarzał owo oskarżenie za każdym pytaniem. Łokietek słuchał strzyżąc jak pies uszami, patrząc to na Kaletę, to na Bednarka. Henrykowi kazał gestapowiec odwrócić się tyłem. Kaleta łypał czarnymi ślepiami, jakby chciał zasugerować Łokietka.

— Ja ta nie wiem — powiedział Łokietek. — Polityczny nie jestem, Kaleta... Kaleta gadał ze mną, owszem. Że ma pietra, że nie chce zdychać. I że pójdzie, weźmie i powie coś takiego, że go zwolnią. Zły był na Bednarka strasznie, bo, powiada, przez niego wpadł. „Togo", powiada, „ujaję. Wezmę
i taką fintę wstawię gościowi, że mnie puszczą w nagrodę". Sumiennie mówię.

—Kłamstwo! — krzyknął Kaleta. — Oszczerstwo!

— Kłamstwo? Oszczerstwo? A nie gadałeś tak, głupi śledziu?! Przysięgam, panie hauptmann, jak dzieci swoje kocham. „Pójdę", powiada mi sekretnie, „i powiem, że Bednarek pisał dla tego tam, jak mu — podziemia".

Gestapowiec zdjął maskę ze ściany, wybrał gruby bykowiec, przeciągnął po dłoni. Mam wszystko wziąć na siebie, żeby ocalić Kaletę, mam się przyznać? Przecież on nie wie nic! Zmyślał, tchórz! Henryk słuchał łkania Kalety, które nagle zdusiła maska. Wówczas się odwrócił.

— Nie bijcie go — powiedział. — Przecież chodzi wam o materialną prawdę, nie o jeszcze jedno wymuszone zeznanie. Do wszystkiego się przyzna. A ja nie

rozmawiałem ani z nim, ani przy nim, ani w ogóle z nikim o broszurze.

Wszystko zależało od pytań gestapowca, Henryk bowiem wiedział, że Kaleta gotów jest na torturach potwierdzić zarówno, że kłamał, jak i że mówił prawdę.

— Oszukałeś nas, ty łajno! — krzyknął gestapowiec i dał znak oprawcy. Klasnął bykowiec.

— Kłamałeś?

Jestem uratowany — pomyślał Henryk słysząc to pytanie. Wrócił do celi tylko z Łokietkiem, Kaletę wrzucono do pojedynki.

W jakiś czas potem strażnik przyniósł paczkę od Maryjki, rozbebeszoną, śmierdzącą cebulą. Brał ją ze łzami w oczach, układał zawartość ostrożnie, niby kruche cacka, na środku celi. Złote cebule, kostki cukru, cwibak, kiełbasa.

Łokietek fachowo oceniał paczkę, ale zerkał spod oka na Henryka, który wyciągnął starą gazetę.

— Niemcy zwyciężają na całym froncie. Smoleńsk padł, liczba jeńców wojennych... — czytał. — To niemożliwe! Kłamią chyba.

Znalazł krótką notatkę o podpisaniu układu polsko-radzieckiego w Londynie. Poczuł na sobie wzrok współtowarzyszy.

Jęli rozważać wszystkie możliwości wojenne i osobiste

— Angliki napędzili Hitlera na Stalina, a sami se potem skoczą i po krzyku, no nie ? Sprytne szelmy — twierdził Łokietek. — A jak nasi dogadali się z Ruskimi, to klawo, żyjemy. Wzięliby my za króla jakiego angielskiego prynca i fertig. Dobra cebula, Heniek. Żeby tak krachla była do popicia albo piwko! Panie doktor, niech no pan paciorek zmówi za Sikorszczaka, bo inaczej jazda na forty i

dołek jak mur.

Doktor słuchał radia zagranicznego, więc groziła mu śmierć, tym pewniejsza, że udowodniono mu organizowanie zebrań przy aparacie. Urzędnik bankowy nie zarejestrował się jako zawodowy oficer, jemu chyba również groziło rozstrzelanie, obu młodzieńców złapano na kolportażu gazetek i znaleziono u nich broń. I oni pójdą na śmierć — sądzi! Henryk. Przeczuwał, że sam się uratuje, że wyślą go do obozu koncentracyjnego. Jakże inaczej żyć się będzie wśród paru tysięcy ciężko doświadczonych patriotów, więźniów politycznych, elity społeczeństwa! Wyobrażał sobie to życie surowe, ciężkie, niemniej warte trudu.

Którejś nocy zbudził go głos strażnika. Wywoływał jego nazwisko. Wprawdzie pora nie była groźna, jednak zaniepokoił się i w czasie wkładania ubrania usiłował odgadnąć, co go czeka. Doktor machnął znak krzyża, gdy wychodził.

Oficer śledczy czytał gazetę. Na biurku leżały poskładane akta spraw, maszyna była zamknięta, a na jej pudle tkwiła jedna samotna kartka skryptu. Ślepiło jaskrawe światło. Czarna podłoga nosiła ślady niedawnego mycia, mokra jeszcze, czysta.

— Podpisać protokół! — powiedział esesman podsuwając papier Henrykowi. — Jeśli się pan namyśli, zastanowi, proszę się zgłosić do komendanta obozu. Pan ma bardzo ładną żonę. Typowa Słowianka.

Henryk słuchał lekceważącego głosu gestapowca z rosnącym gniewem. Bolało go to lekceważenie, niechby bil raczej, męczył pytaniami.

— Pańskie poglądy wzbudziły zainteresowanie — dodał esesman rozkładając ogromną płachtę „Vólkischer

Beobach- ter” z czerwono podkreślonymi tytułami, z których każdy zawierał rosyjskie nazwy miast i rzek.
v\A 1

Na korytarzu rozległy się kroki kilku osób, zatrzymały się przed drzwiami.

— Hau ab!* — rozkazał oficer i zadzwonił.

Siedmiu ludzi stało pod ścianą. Z trudem dźwigali w górę ramiona. Pilnowało ich kilku gestapowców. Henryk minął ich i ciężko powlókł się do celi.

Minęło jeszcze kilka dni, zanim znalazł się wraz z Łokietkiem w celi transportowej. Zebrano tu czterdziestu paru mężczyzn. Siedzieli dzieląc się zapasami z paczek, pakując zbędne rzeczy, pisząc grypsy na skrawkach papieru, na płótnie ręczników, na brudnej bieliźnie. Rozmawiano w zwartych grupkach, a gdy podchodził ktoś obcy, zmieniano nagle temat lub. pogrążano się w złowrogim milczeniu. Odnajdywali się współtowarzysze spraw, znajomi, krewni, Henryk jednak nie spotkał nikogo bliskiego. Sprzedał ostatnią cebulę za dwa haudegeny i przytulony do Łokietka próbował zasnąć, ale drzemkę przerwał Niemiec wydający z depozytu kapelusze, płaszcze, teczki, zegarki. Wywoływał nazwiska. Henryk dostał teczkę i zegarek na rękę, pióro i obrączkę ślubną. Kiedy wrócił na miejsce, usłyszał:

— Kaleta!

Wzdrygnął się. Z ciemnego kąta wyszedł chudy urzędnik i kuląc się sunął ku drzwiom.

— Cynkier! — krzyknął Łokietek. Ludzie się uciszyli, skierowali wzrok na Kaletę, który odebrawszy swoje graty ruszył ku Henrykowi. Przykucnął przy nim, skrzywił się ironicznie i szepnął :

— A gdzież to pana rękopis?

Nagłe przerażenie zalało Henryka, nie mógł odetchnąć, czuł, że się dusi. Rękopis? Jak mógł o nim zapomnieć! Dlaczego nie pytał o to gestapowiec? W teczce był tylko odpis maszynowy, rękopis został w magistracie. Jeśli Kaleta... on musi wiedzieć! — stwierdził z rozpaczą.

— Zostawił pan w biurku — szepnął. — Żona przyleciała rano w poniedziałek, że pana wzięli. Wydałem wszystko z szuflady. Pomóżcie mi wstać. Przyrodzenie boli.

Wynosić! Precz!

Kilku więźniów czekało na wynik tej rozmowy. Barczysty grubas zapytał:

— No? Cynkier? Kapuś?

Henryk potrząsnął przecząco głową, ukrył twarz w dłoniach.

— Spylajcie, nasza sprawa! — zawołał Łokietek. Dźwignął Kaletę, potrząsnął nim niecierpliwie, jak gdyby chciał wydobyć z niego w ten sposób całą prawdę. Nie rozumiał, co się stało pomiędzy nim a Henrykiem.

Wdzięczność, jaką uczuł dla Kalety Henryk, mieszała się ze wstydem. Jak mógł zapomnieć o rękopisie! Zapewne potem Maryjka przekazała skrypt Smolikowi czyszcząc mieszkanie przed rewizją. Ale dlaczego Kaleta nie powiedział o tym skrypcie na śledztwie? Dlaczego oskarżył go o rzekomą rozmowę w celi, o przynależność do podziemia? Ten człowiek musi być ocalony przed sobą samym — myślał. — Jest stary, zląkł się, ludzka rzecz. Trzeba mu pomóc dźwignąć się, zrozumieć.

Kryta brezentem ciężarówka czekała na dziedzińcu. Więźniów zepchnięto na przód auta, z tyłu usadowili się esesmani. Dzień był pogodny; lato gorące i czyste

wtłaczało pod brezent ciepły wiatr. Przez szparę między brzegiem płachty a ścianką nadwozia widać było szyny tramwajowe, kostkę ulicy, a potem popękany asfalt. Łokietek nieomylnie zgadywał trasę, ale dopiero gdy samochód minął przedmieścia, odetchnął z ulgą.

— Mogli skręcić—powiedział. — Teraz na sicher do Oświęcimia. Ty mnie tam nie puścisz kantem, co, Heniek? Tam są twoi, same zadrzyjnosy.

Łokietek patrzył pilnie w twarz Bednarka. Bal się, jak gdyby auto odrywało go od wiadomego i uwoziło w nieznaną groźbę. Ciemny kapelusz o dużym rondzie rzucał cień na niezmiernie wysokie i gładkie czoło Henryka. Inteligent — stwierdził żałośnie Łokietek. — Trzeba się będzie tam pucować przed nimi, cholera.

Samochód przystanął na granicy Generalnego Gubernatorstwa i Rzeszy. Upał wtargnął pod budę. Więźniowie odpychali palcami płachtę, próbowali odsunąć się od siebie, ale łańcuch przegradzający auto nie pozwalał na rozluźnienie.

Mężczyzna w nowiutkim, zielonym kombinezonie roboczym, z którego kieszeni sterczał' żółty metr, zwisł na łańcuchu.

— Proszę mnie puścić po wodę. On zemdlał — powiedział Henryk przepychając się ku przodowi. Powtórzył prośbę esesmanowi. Ów dał znak ręką.

— Wyłaź! — powiedział i poprawił pistolet maszynowy, spoczywający na kolanach. Henryk przełożył nogę przez łańcuch.

— Stój! — krzyknął Łokietek widząc, że esesman odbezpiecza pistolet. Henryk zrozumiał ostrzeżenie. Rozpiął bluzę omdlałemu, dźwignął go, postawił. Esesman

zerwał się i walnął kolbą Henryka. Cios dosięgnął go w chwili, gdy okraczał łańcuch. Padł — jak na gumową ścianę — na gromadę więźniów, ktoś przytrzymał go za ramiona.

— Jestem politycznym więźniem — powiedział po niemiecku. Krew z rozciętego policzka skapywała na dłoń. — Nieludzki bydlak — dodał po polsku, cicho. Kiedy auto ruszyło, eskorta zwróciła szczególną uwagę na Bednarka. Ze strzępów słów, jakie dolatywały zza łańcucha, zrozumiał, że uważają go za przywódcę grupy. Nie dać się sprowokować, nie dać się sprowokować. Czeka mnie wielka próba — powtarzał sobie w drodze — pominąć wszystkie Drobne Sprawy, przygotować się do Spraw Istotnych.

Jechali przez brudne, puste miasteczka, po czym skręcili na leśną szosę. Drapiący, nagrzany pył pachniał żywicznie. Henryk, upewniony ostatecznie o celu podróży, myślał teraz, jak się ma znaleźć w obozie. Będą go na pewno pytali o stanowisko, o poglądy, o nowiny. Co powiedzieć?

Samochód po godzinnej jeździe stanął, esesmani odczepiwszy łańcuch wyskoczyli. Henryk usłyszał wesołą piosenkę niemiecką, a w chwilę potem ujrzał na drodze kolumnę mężczyzn w pasiastych pidżamach, maszerującą ze śpiewem. Serce mu się raptem skurczyło; oto przybył na miejsce próby. Pchnięto go, znalazł się na ziemi obok współtowarzyszy. Południowe niebo chlustało jaskrawym światłem na białe, garbate słupy i ceglane kamieniczki, widoczne zza drutów kolczastych. Tablice z trupią główką i ostrzegawczym napisem przypominały, że to nie dekoracja. Eskorta paliła papierosy, gapiąc się na wielki bunkier w pagórze ziemi, ż którego sterczał graniasty komin. Wy-

dobywał się z niego tłusty dym o słodkawym zapachu pieczonej cielęciny.

— Fajnie tu jakoś. I cicho — szepnął drżącym głosem Łokietek. — Tylko że cuchnie.

Czterdziestu paru przybyszów stało w ulewie światła, instynktownie zwierając się w ciasną grupę. Olbrzymie, lśniące niebo zaciskało im powieki. Zza budynku ukazało się kilku ludzi. Granatowe lub pasiaste ubrania, czerwone bądź żółte opaski, na bluzach zielone i karminowe trójkąty, białe naszywki z czarnymi cyferkami numerów. Jednakowe twarze...

Nagle gromadka dobrze ubranych i dobrze wyglądających ludzi ruszyła biegiem ku przybyszom. Niebo pocięły kije i pałki. Ciosy spadały niespodziewanie zewsząd. Zanim zrozumieli, co się stało, ból i strach spętały im wolę; było coś niesamowitego w fakcie, że to nie esesmani bili, lecz więźniowie.

— Za co, panowie?! Nie bić! — krzyczał Łokietek wpychając Bednarka w krąg towarzyszy, którzy cofali się już krok po kroku, zaganiani przez funkcyjnych. Potem zaczęli pierwszy bieg w świat drutów kolczastych i czerwonych bloków. Biegli potykając się, z trudem łapiąc powietrze, odwykli od ruchu, nie przywykli do gromadnego losu. To niepotrzebny popłoch. Trzeba stanąć, wytłumaczyć. Niech przyjdą esesmani — myślał Henryk, ale ciało nie słuchało myśli. Ciało biegło, kuliło się, gdy świstało powietrze cięte kijem, gdy palka zbliżała się do twarzy. Znalazł się w uliczce między blokami, na suchym, ostrym żwirze, z ustami pełnymi ziemi, z pokrwawionymi policzkami, w szeregu czołgających się tam i z powrotem. Między szeregami łazili funkcyjni kopiąc i bijąc. Henryk

widział tylko ich lśniące buty.

— Auf! Nieder! Auf! Nieder!*

Krótkie komendy dźwigały ciała i rzucały je o ziemię, pchały we wskazanym kierunku.

— Ja nie mam z nimi nic wspólnego, ja nie mam z nimi nic wspólnego! — rozległ się dziwnie śpiewny glos Kalety.

Wolał miękką niemczyzną. Stał trzymając się za podbrzusze i chwiejąc się na nogach. Z kieszeni marynarki wypadło mu kilka kartek, wiatr zaniósł je pod stopy esesmana.

— Jesteś artysta-malarz, robaczku? — spytał patrząc na ołówkowe portrety, robione z fotografii. Kaleta łatał dziury w budżecie domowym tym właśnie procederem.

— Potrafisz zrobić portret? Duży portret?

— Postaram się. Potrafię.

— Siadaj. Dlaczego wołałeś, że nie masz z nimi nic wspólnego? Skąd znasz niemiecki?

Transport na chwilę mógł odpocząć. Leżąc na żwirze słuchali rozmowy Kalety, dziękowali losowi, że przypadek pozwalał im odetchnąć.

— Byłem w austriackim wojsku. Obergefreiter. I pracowałem jakiś czas w Austrii.

— Gdzie?

— W Linzu.

Esesman zawołał blokowego z czerwoną opaską.

— Zobacz, czy nie Żyd.

Blokowy kilkoma szarpnięciami zdarł z Kalety spodnie, przykucnął.

— Aryjczyk — zameldował. — Ale go urządzili!

— W porządku. Niech odpocznie. Reszta — dalej ćwi-

czyć!
Blisko godzinę czołgali się przybysze wokół bloków. Było południe, słońce paliło obolałe ciała, przenikało je do kości, które zdawały się pękać. Pragnienie dusiło gardła. Żwir zdzierał skórę z dłoni. Kiedy wreszcie padł rozkaz zbiórki, nie mogli się podnieść, rozprostować. Henryk zamknął oczy, by nie patrzeć na falującą ziemię, na ruchliwe płaszczyzny budynków, które — niby płócienna dekoracja targana wiatrem — chwiały się i wybrzuszały. Zdziwiony, usłyszał niemiecką komendę, wydaną przez Kaletę.
—Rozbieraj się! — szepnął Łokietek.
— Kto ma zegarek albo pierścionek, niech odda, dostanie za to zupę, chleb, kawę. I tak wam wszystko odbiorą — powiedział tłusty blokowy z zielonym trójkątem.
— Rzeczy pójdą do depozytu, a my nie będziemy handlować— rzekł Bednarek. — Co wy od nas chcecie?

Esesman zniknął w bloku. Blokowy zaśmiał się, podszedł do pierwszego z przybyszów i zdjął mu zegarek z ręki.
— Nikt stąd żywy nie wyjdzie, ciule pierońskie. Przynajmniej nażryj się jeden z drugim przed kominem.
Za kubek kawy, mocnej kawy, oddałby Henryk nie tylko zegarek, ale oburzał go rabunek.
—Dajesz? — spytał blokowy. Zionął wódką.
— Proszę pana, panu się zdaje, że tych kilka szmatek — Henryk wskazał na oznaki funkcyjnego — upoważnia pana do rabowania nowo przybyłych więźniów. Jesteśmy więźniami politycznymi i bronić będziemy swoich praw. Niech

pan odejdzie!
Blokowy stał oniemiały. Wydął tłuste policzki, wybałuszył oczy wyogromniałe zdumieniem, dech mu zaparło. Pocierał kolanem o kolano, kciukiem drapał brodę. Powinni mnie teraz wszyscy solidarnie poprzeć. Gdy nadejdzie esesman, powiem mu, że nikt z nas nie ma pretensji do władz okupacyjnych za osadzenie w obozie, ale domagamy się statusu więźnia politycznego, jeńca wojennego — postanowił Henryk. Poszukał wzrokiem człowieka, który omdlał w ciężarówce. Ten stał już nagi. Zielony kombinezon leżał, skrupulatnie poskładany, na ziemi, żółty metr wetknięty był w kieszeń. Obok stali koledzy z transportu, również nadzy lub zdejmujący ostatnie części ubrania, tylko Henryk, Łokietek i kilku najbliższych nie pozbyło się jeszcze odzieży. Kaleta siedział goły w skrawku chłodnego cienia, uśmiechał się dziecinnie. Na głównej ulicy ukazał się wąż więźniów dźwigających w rękach cegły. Szli w milczeniu, przegięci do tyłu, przeraźliwie jednacy. Pociemniałe twarze błyszczały od potu.
—Panie starszy, muszę na stronę!
To Łokietek, wyciągnąwszy po sztubacku rękę, wołał do Kalety.
—Nie wolno!
Blokowy ocknął się i odstąpiwszy kilka kroków mierzył wzrokiem Henryka.
— Rozbieraj się, ciulu sakramencki! — krzyknął. — Inteligent! Pójdziesz do Karnej Kompanii, to cię rozumu nauczą.
Ścierwo zajebane, stawia się! Achtung! Nieder!* Padnij, słyszysz?!
— Padnij, bo nas wszystkich... — szepnął ktoś z tyłu.

Henryk rzucił się na żwir, a wówczas blokowy zdzielił go pałką przez plecy. Jęknął z bólu. Ogromne czerwone mrówki łaziły przed oczyma, wdrapywały się na okaleczałe dłonie. Między grudkami żwiru leżał owalny medalik z kawałkiem sczerniałego łańcuszka. Dalej widać było tylko czarne nosy butów blokowego i żółtoróżowe pięty towarzyszy. Nie mogłem nie słuchać. Obiłby wszystkich albo wszystkim kazałby się czołgać — u- sprawiedliwial się Henryk. Wszystkim? Któż to byli ci „wszyscy”? Znał tylko Łokietka i Kaletę, resztę zobaczył pierwszy raz dopiero w celi transportowej. Usiłował, leżąc bez ruchu, przypomnieć sobie ich twarze, jednak oprócz twarzy majstra w zielonym kombinezonie nie pamiętał żadnej. Mijały długie minuty, nie słyszał żadnego rozkazu, więc dźwignąwszy głowę spojrzał na blokowego. Stał na baczność przed niskim oficerem SS. Więźniowie, wszyscy nadzy, prężyli w szeregach olśniewająco białe ciała. Oficer dał znak trzcinką, blokowy chwycił Henryka za kark, podniósł jak psiaka.
—Kto ty jesteś? Mówisz po niemiecku?
—Tak jest, mówię.
—Znasz tego tam? — oficer wskazał Kaletę.
—Znam.
—A ty znasz go, portrecisto?
—Znam.
— Namawiał was w samochodzie do buntu? Mów prawdę! Namawiał?
Kaleta powiedział dokładnie, austriackim dialektem:
—Nie namawiał.
—Dobrze. Kto więc to robił?
Oficer nie czekając odpowiedzi zakomenderował zbiórkę w

jednym szeregu, ale większość go nie zrozumiała. Kaleta tłumaczył spokojnie, co mają robić, wreszcie ustawili się, wyrównali, odliczyli do dziesięciu.
—Co dziesiąty, wystąp!

Czterech mężczyzn znalazło się przed szeregiem, oficer dołączył do nich Henryka i Kaletę rozkazując skakać żabką wokół bloku, Henryk jednak musiał się przedtem rozebrać. Teraz, nagi wśród nagich, tracił coraz bardziej pewność siebie. Kucnąwszy podskoczył kilka razy. Mięśnie ud zabolały, stracił równowagę, ale zacisnął zęby i zaczął od nowa. Powodowała nim ambicja, nie chciał pokazać się słabym wobec oficera i blokowego. Kaleta przemierzył żabką kilka zaledwie metrów i upadł. Nikt go nie podniósł. Na przedzie skakał młody chłopak o przeciętym na krzyż zadku i śmiesznie różowych piętach. Po pierwszym okrążeniu Henryk nie miał już sił. Zazdrościł chłopcu, podziwiał jego trzech kolegów. Wzbierała w nim głucha nienawiść wymieszana z rozpaczą i gniewem.

Więźniowie stali na baczność w ulewie żaru, ale niebieski cień podchodził już pod stopy pierwszemu szeregowi, obmywał je, sięgał łydek. Drugie okrążenie. Padnę zaraz za rogiem i niech się dzieje, co ma się dziać — myślał. — Kaletę wynieśli gdzieś. Pewno zemdlał. Po czwartym okrążeniu oficer skierował skaczących na druty. Są pod prądem wysokiego napięcia — przypomniał sobie Henryk wiadomość z tajnej prasy. Z wysokiej wieży strażniczej patrzył na całą scenę esesman, przytulony do ręcznego karabinu maszynowego. Skaczący na przodzie chłopiec dał nagle susa, skoczył na ogrodzenie z wyciągniętymi jak do uścisku ramionami. W tej chwili trzasnął strzał z budki. Nagie ciało chłopca przywarło do

drutów.

— Halt !* — krzyknął blokowy. — Halt!

Czterech pozostałych skoczków zatrzymało się na brzegu wygracowanej ścieżki. Krótki cień rozkrzyżowanego na drutach ciała polizał twarz Henryka jak chłodna fala. Wstał z trudem i zataczając się wszedł w szereg. Ktoś szczał stojąc na baczność, smród snuł się między nagimi ciałami. Mijały kwadranse. Z bloku wywlókł się Kaleta, wysmarowany na podbrzuszu czymś fioletowobrązowym; prącie i jądra otulał papierowy bandaż, przewiązany tasiemką. Usiadł w cieniu i wydłubywał z uszu woskowinę, potem zabrał się do pracy. Na kartce papieru rysował główkę dziewczęcą zerkając raz po raz na fotografię w celofanie.

Powietrze stało się materialne; gniotło, miażdżyło ciała, uciskało piersi i głowy. Fala cienia zatrzymała się przy pierwszym szeregu, dalej już nie sięgała. Dopiero po dwóch godzinach pozwolono przybyszom spocząć. Zwalili się w cień. Henryk przystąpił do blokowego.

— Niech pan da kawy kolegom — powiedział wręczając mu zegarek i wieczne pióro. — Pozdychamy, zanim nas zarejestrujecie. Przecież znajdzie się trochę kawy czy herbaty?

— Ty jesteś chyba głupi — odrzekł blokowy. — Dostaniecie pić dopiero po apelu, jak obrobią zugang*.

Obejrzał dokładnie zegarek, sprawdził pióro próbując na paznokciu.

— Coś się zrobi, ale nie teraz — udobruchał się. — Czekamy na jeszcze jeden zugang. Potem będzie łaźnia.

— Łaźnia?

Henryk ucieszył się na samą myśl o kąpieli, o wodzie

— Pójdź no, ty — powiedział blokowy i zaprowadził go za blok. Przykazawszy czekać, poszedł do kantyny i przyniósł dwie butelki wody mineralnej. — Pij sam. Dobra— zachwalał. Jedną zaniosę Łokietkowi. Ba, rzucą się na nią wszyscy, a dla czterdziestki nie starczy nawet po łyku— myślał Henryk. Wypił duszkiem słonawą, pyrczącą wodę, odetchnął z ulgą.

Transport warszawski przyjechał po południu. W piątkach, bici kijami i pałkami, wbiegli warszawianie między bloki i ustawili się obok krakowian w dziesięciorzędowej kolumnie. Naczelnik obozu, oficer SS, wlazł na stół przyniesiony przez więźniów:

— Wy, polskie psy, zapamiętajcie dobrze: tu nie sanatorium. Macie trzy miesiące życia przed sobą, bandyci, a potem komin. Księża i Żydzi, wystąp!

Olbrzymiego wzrostu ksiądz w czarnej, podartej sutannie, spod której widać było długie kalesony i bose stopy, wystąpił pierwszy. Twarz miał ogorzałą, surową, oczy niebiesko pod
bite. Za nim poszedł zakonnik w białym turbanie bandaży i kilku Żydów.

— Bić ich! — krzyknął naczelnik obozu. — Przez nich macie wojnę i obóz! Wszyscy Polaczkowie, bić ich!

Nikt się nie ruszył. Wówczas esesmani pchnęli kolumnę kolbami pistoletów, pięściami i kopniakami ku grupce księży i Żydów. Trzystu przybyszów otoczyło ich, ale żaden nie podniósł ręki. I Henryk znalazł się w tłumie. Ogarnęło go nieznane podniecenie. Wiedział, że ma przed sobą niewinnych ludzi, kilku spośród gromady współwięźniów, a jednak ta gromada właśnie wydawała się wierzyć słowom naczelnika obozu, znajdować rzekomo

winnych za swoją niedolę, węszyć ofiarę swego gniewu. Olbrzymi ksiądz ujął pod ramię szczupłego Żyda w pumpach, drugą ręką gładził nerwowo sutannę, jakby liczył niciane guziczki. Esesmani bili pozostających w tyle, toteż pierścień wokół małej grupki zaciskał się i Henryk znalazł się przed księdzem.

— Bij Żyda! — krzyknął ktoś słabym głosem.

— Załatwcie się z nimi prędzej! — nawoływał kapo z zielonym trójkątem, rzucając w tłum swoją pałkę. — Przez nich tu stoicie godzinami. Czeka herbatka z cytrynką i bułeczki z masłem. Herbatka stygnie! Walcie parchów i katabasów!

— Co on mówi ? Co on mówi ? — pytali przybysze, ktoś tłumaczył pospiesznie.

— Dwie doby nie jedlim. Pić!

— Jezus Maria, ludzie!

Nagle tłum się rozstąpił przepuszczając esesmana i Kaletę. Stary niósł papier i ołówek, oddał je esesmanowi, podjął z ziemi pałkę i zamknąwszy oczy uderzył szczupłego Żyda. Ksiądz jednak wyłapał następny cios, chwycił pałkę, wyszarpnął Kalecie i walnął na odlew. Stary wyrzucił w górę ramiona, zakręcił się na pięcie i padł. Ksiądz patrzył na pałkę przerażonym wzrokiem, mrużył oczy jak rażony światłem. Naczelnik obozu wybuchnął śmiechem, ktoś przypochlebnie jął mu wtórować rechotliwym basem. Henryk spojrzał na Kaletę, ciało drgało jeszcze, pięty kopały żwir.

— Strafkompanie! — zawołał naczelnik obozu i esesman odprowadził księży i Żydów do wysokiego bloku na końcu obozu, oba zaś transporty pognano nago do łaźni. Przed ba

rakiem fryzjerzy strzygli włosy i golili podbrzusza. Henryk stanął na zydelku, rozkraczony, półprzytomny, ale świadomy jeszcze swych uczuć. Wstydził się i obnażenia, i owych po- strzyżyn upokarzających, i swojej bezsiły. Gdzieś blisko jęczał gong, grała marsza kapela. Pasiaste postacie biegły niosąc na drągach beczki pełne kwaśnego odoru, w obozie zaszumiało.

U wejścia do łaźni stał szpaler funkcyjnych. Henryk, ugodzony w pierś, padł na czarnego blokowego, ten odsunął go na długość ramienia i posłał następnemu uderzeniem pięści. Zielony trójkąt na bluzie. Ból żołądka. Potoczył się, bity i kopany, ślepy z przerażenia. Wysoki sufit z rurami. Mokra posadzka. Sitka pryszniców. Rzucony pod mocny strumień wody, leżał gryząc wargi do krwi. Daremnie próbował się podnieść. Jak przez łzy widział setki białych ciał, wijących się pod strumieniami. Łokietek ku uciesze esesmanów chodził na rękach, smagany trzciną.

— Ratunku! — zawołał Henryk czując, że zginie pod wodą, ale nikt mu nie pomógł. Obłędne tempo mycia wzrosło jeszcze, ludzie wykonywali obłąkańczo szybkie ruchy. Poczuł wściekłość, ostatkiem sił wydobył się spod wody. Ciało parowało. Przemknął popod ścianą ku wyjściu, by nie napotkać funkcyjnych, dał się wysmarować cuchnącym płynem z beczki, przed lekarzem SS wykonał kilka przysiadów i mechanicznie wyrecytował personalia. Dopiero na ulicy, wdziewając popstrzoną przez robactwo bieliznę, świecącą na szwach atolami gnid, odpoczął. W ciasnym, sięgającym łokci i łydek pasiaku, w drewniakach wyrzezanych z jednego klocka na kształt łodzi o zadartym dziobie, w ogromnej czapie bez daszka wydał się sobie obcy, nijaki, nieludzki. W szybie okna ujrzał gromadę

bliźniaczo mu podobnych, groteskowych postaci. Zniknęło wysokie czoło, rozmazały się rysy, oczy świeciły lękiem. Bał się tego, co nastąpić mogło za chwilę: bicia. Nie poznał Łokietka w kurtce po kolana, w błazeń- skich portkach. Łokietek płakał obgryzając paznokcie.

— Obdarli nas ze wszystkiego — wyszlochał. — Zginęli my z kretesem. Koniec świata. Co to będzie, co to będzie?!

Henryk spojrzał bezradnie na mokre policzki towarzysza. Cóż mu miał powiedzieć, jak go pocieszyć? Zaledwie się prze
brali, zaczęło się rejestrowanie. Przy stołach, grzebiąc w stosach kolorowych kartotek, siedzieli więźniowie-pisarze ze szpitala, z głównej kancelarii, z kancelarii Oddziału Politycznego — obozowego gestapo, z placówki przydziału pracy. Po każdej nowo wypełnionej karcie Henryk czuł, że pozbawiają go resztek tego, co odróżniało go od innych ludzi, że staje się tylko Numerem.

— To się zaraz skończy, to próba zastraszenia — powiedział Henryk Łokietkowi. — Chcą nas ogłuszyć, oślepić, rozumiesz? Ale nie dadzą rady. To tylko pierwsza chwila.

Łokietek smętnie spozierał na olbrzymie saboty, spadające ustawicznie z nóg.

— W pace dawali przynajmniej zeżreć. Głodnym. Ten twój blokowy nie przyniesie czego? Uwaga!

Przechodzący mimo esesman rzucił niedopałek papierosa na ziemię, Łokietek przydeptał go, podniósł.

— Puściłby człowiek dymka, ale gdzie? Nie wolno. Koniec świata.

Rejestracja trwała do wieczora. Kiedy niebo poczerwie-

niało i sfioletowiały budynki, transport wepchnięto za wysoki mur ceglany, łączący dwa bloki w kącie obozu. Podwórze wysypane tu było piaskiem, w rogu stała szubienica na skrzyni z ruchomym wiekiem. Kama Kompania, oznaczona czarnymi kółkami, czekała na apel, musztrowana przez olbrzyma w czarnym berecie. Kapo Strafkompanie dzierżył krótką pałkę, podobną do nogi stołowej, liczył nią ludzi, tych, którzy stali, i tych, którzy leżeli sztywno, twarzą ku niebu. Siedmiu zabitych wyciągało bose stopy ku bramie, w której stał esesman, blondyn o bokserskim nosie, i blokowy kwarantanny. Trzystu przybyszów kotłowało się między blokami. Sztubowi, bijąc i kopiąc, próbowali ustawić dziesięciorzędy, wyciągali co największych na skrzydło, porównywali wzrost tłukąc czaszką o czaszkę, pięściami wyrównywali szeregi. Wreszcie uporali się z apelowym szykiem. Rozgorączkowani, niepewni siebie więźniowie patrzyli im w oczy oczekując następnych rozkazów, usiłując je zrozumieć.

Blokowy, ziewając, stanął przed transportem.

— Mützen... ab!* — krzyknął.

Henryk zdjął czapkę, ale większość nie zrozumiała komendy. Blokowy ożył. Wielkimi susami dopadł nieszczęśliwców i ciosem pięści strącał im czapki z głów.

— Chodź no tu ty — rozkazał Henrykowi i na jego przykładzie pokazywał tempo komendy. Na „raz" ręka do czapki, na „dwa" szybko ściągnąć czapkę i uderzyć dłonią w udo. „Mützen... ab". Kiedy Henryk się spóźnił, dostał w twarz. Policzek zapiekł, zabolał. Zwinął dłoń w pięść, ramię mu drżało. Uderzył mnie w twarz, uderzył mnie w twarz — powtarzał, i byłby oddał, gdyby nie świadomość,

że blokowy ukarze cały transport.

Trwał apel. W zupełnej ciszy stało w obozie dziesięć tysięcy mężczyzn. Blokowy obiecał za zegarek jedzenie. Chyba dotrzyma słowa. Gdyby było trochę cukru lub cebuli do chleba! Jak długo może trwać apel? Godzinę? Godzinę wytrzymam. Potem dadzą kawę i chleb. Henryk przypomniał sobie więzienie. Dziś właśnie rozdawali tam sałatkę jarzynową z darów Komitetu Opieki nad Więźniami. W sałatce bywały kawałki mięsa i wędliny, ale przede wszystkim soczysta, chrupka cebula, i marchew, i kapusta. Oczekiwał końca apelu, by porozmawiać z ludźmi. W obozie na pewno są znajomi.

Apel trwał już przeszło godzinę, a gong jeszcze nie obwieszczał końca. Niebo się zachmurzyło i pierwsze grube krople deszczu spadły na ziemię. Henryk czuł ich chłodne pacnięcia na policzkach, na czole.

— Postoicie. Ktoś musiał nawiać z lagru, szukają. Apel będzie stał, póki nie znajdą — oznajmił blokowy. — Musicie, pierdolone bohatery, wiedzieć, że u nas to tak: wszyscy za jednego. Raz to apel stał kilkanaście godzin. Uciekać? Niech kto spróbuje. Co dziesiąty do bunkra głodowego na zdychanie. Bywało już tak.

Sukinsyn, musiał skurat dzisiaj uciekać. Parę tysięcy ludzi cierpi przez niego — pomyślał Henryk ze złością. Majster, niegdyś człowiek w zielonym kombinezonie, znowu zemdlał. Koledzy podtrzymywali go w stojącej pozycji, bojąc się upuścić ciało na ziemię.

Niebo pomału gasło, deszcz ustał rychło i parne powietrze dławiło. Zapłonęły lampy na drutach, reflektory z wież straż
niczych siekały zmierzch. Kiedy umykało ich światło,

można się było nieznacznie poruszyć, zmienić postawę, wyprostować grzbiet zgięty ogromnym ciężarem tułowia.

— Ein fehlt* — powiedział komendant bloku.

Blokowy jeszcze raz kazał przeliczyć kwarantannę i nagle zaklął. Zapomniał był o Kalecie, nie podał go w stanie zmarłych!

0chłopcu zastrzelonym na drutach pamiętał, o Kalecie — nie. Skulił się ze strachu, pobiegł pod ścianę bloku i przywarłszy do niej mruczał przekleństwa. Kapo SK zbliżył się doń, ujął pod brodę:

— Co się trzęsiesz? Co?

— Trup, trup nie zameldowany! Leży za blokiem szpitala, taki stary, sam zdechł przy sporcie. Nie zameldowałem. Ratuj!

Wczepił się palcami w grube ramię kapo.

— Gówniana sprawa — rzekł ten szybko. — Gotowi cię do mnie posłać. Nie żarty. Wal do blockfuhrera. Dostał dziś ode mnie papierosy, ma dobry humor, może cię poratuje.

1 przynieś trupa.

Sztubowy kwarantanny pobiegł po zwłoki Kalety, blokowy tymczasem naradzał się z esesmanem. Sprawa wydawała się przegrana, bo ów milczał ponuro, trzepiąc trzcinką ołydkę. Nagle ciął blokowego w twarz.

— Głupi psie, nie nadajesz się na funkcję, nie umiesz pilnować porządku. Popamiętasz! — krzyczał. Potem poprawił pas i pobiegł z blokowym na plac apelowy.

Trup Kalety leżał już na skrzydle kolumny, obok zastrzelonego chłopca. Zabrzmiał gong i rozsypała się dławiąca cisza. Szum tysięcy rozmów przypłynął na podwórze, Karna Kompania maszerowała wokół kolumny nowo

przybyłych wyjąc niemiecką piosenkę. Teraz puszczą na blok, dadzą pić — marzył Henryk. — Kaleta mści się po śmierci, stary pryk. Stracił wpierw ludzką godność, potem życie. Nic ma go co żałować. Przez niego wszystko się opóźniło. „Wszystko" to było: odpoczynek, jedzenie, picie, sen — Sprawy Istotne.

Blokowy wrócił z placu apelowego posępny, przygnębiony.
Podszedłszy do zwłok Kalety wypiął się i popuścił głośno. Potem kopnął je z całej siły.

— A wy jeszcze zostaniecie. Pójdę na noc do bunkra, to i wy postoicie, pierdolone bohatery — powiedział. Potem oddalił się ujrzawszy esesmana, z pękiem kluczy stojącego u wejścia. Przy schodkach odwrócił się jeszcze i krzyknął:

— Baczność!

Trzysta postaci zastygło wśród nocy. W oknach bloku płonęły żółtawe światełka, migały cienie. Tam trwał jeszcze krzyk i choć wrzaskliwe rozkazy nie dotyczyły stojących na dziedzińcu, słuchając ich drżeli. Póki rozbrzmiewały głosy i gorzało ciepłym światłem, czekali odwołania rozkazu i wpuszczenia na blok, dopiero gdy wszystko się uciszyło i pogasło, gdy pozostali sami, zdjął ich paniczny lęk przed nocą. Nikt nie pilnował, ale stali na baczność, nie śmiejąc poruszać się, rozmawiać. Ciała zmieniały z wolna wagę, korpus stał się niepomiernie ciężki, nogi wiotkie, gąbczaste. Człowiek ma siły większe niż zwierzę — pocieszał się Henryk wspominając wrześniową kampanię 1939 roku, kiedy to setki kilometrów wędrował o głodzie, bez snu i odpoczynku. W gimnazjum, jako harcerzyk, trzymał kiedyś straż przy Grobie

Wielkanocnym i zemdlał po pół godzinie, a jeszcze dawniej ojciec za karę postawił go na baczność na środku podwórka
i wytrzymał dwie godziny. I teraz wytrzyma. Na pewno wytrzyma. SS winno zobaczyć, że ma do czynienia z twardymi ludźmi. Ale nogi puchły i mrowiły, obrzękły kolana, kości jak gdyby miękły.

— To już lepiej niech zabiją od razu — szepnął towarzysz Henryka i kucnął na piętach. Henryk poszedł za jego przykładem.

— Jestem profesor inżynier Kamiński. Geodezja. A pan?

— Bednarek. Henryk Bednarek, inżynier.

— Bednarek? Skądś znam to nazwisko. Czy pan miał kiedyś odczyt w stolicy o cywilizacji technicznej? Tytułu nie pamiętam dokładnie. To była bomba! Bednarek. Pan coś pisywał, prawda?

— Być może. Nie wie pan, kiedy dadzą pić?

Profesor szeptem rzucił kilka nazw organizacyj podziem nych, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Henryk stękając wygrzebywał pod sobą dołek w piachu.

— Przepraszam — powiedział — ale nie mogę wytrzymać.

Nad ranem połowa przybyszów leżała pokotem na dziedzińcu. Po apelu zjawił się nowy blokowy, wysmukły blondyn w eleganckim pasiaku. Nosił czerwony trójkąt bez litery pośrodku, co oznaczało politycznego Niemca. Był to jednak volksdeutsch mówiący poprawnie po polsku. Czysto wygolony, wesoły, objął transport i zaprowadził na blok. Chłodny korytarz wypełniał błogosławiony zapach obozowej kawy. Sztubowi przynieśli czerwone miski.

— Żeby mi nikt nie pił wody! — przestrzegał nowy blokowy. — Zaraza, kurwa, nie woda. Wódkę pić można, jak się ma i jak się da blokowemu skosztować. A teraz, kurwa, na sztubę i czekać.

Henryk dostał się z kilkudziesięcioma więźniami do małego pokoiku bez sprzętów. W kącie piętrzyły się chude, cuchnące sienniki, w drugim ktoś artystycznie poukładał czerwone miski w regularne piramidy. Sztubowy pozwolił usiąść na podłodze.

— Jest tu który z Wieliczki? — spytał.

— Ja! — krzyknął Łokietek. Wstał, przecisnął się przez tłum machając ramionami jak skrzydłami ptak. Sztubowy wypytywał dokładnie o ulice, adresy, nazwy sklepów, a gdy Łokietek odpowiadał bez zająknienia, wziął go ze sobą. W nocy, z polecenia sztubowego, stał już z kijem przy wyjściu nie wypuszczając nikogo do latryny. Henryk leżał tuż przy drzwiach, nie spał. Krocie pcheł cięły niemiłosiernie ciało. Leżał na boku, gdyż inaczej nie było miejsca. Nogi sąsiada spoczywały na jego kolanach, łokcie drugiego tarły za każdym chrapnięciem plecy. Łokietek ukląkł w drzwiach i podał zgnieciony kawałek chleba z cukrem. Cukier zatrzeszczał w zębach. Przestraszył się tego dźwięku, jadł ostrożnie, by nikogo nie zbudzić. Okruszki lepiły się do mokrych od potu dłoni.

— Pij! — szepnął Łokietek podając jakiś plaski przedmiot. Był to termofor pełen gorzkiej, chłodnej kawy. Henryk przytknął usta do osobliwego bukłaka, upił parę łyków. Pijąc nabierał sił; mijało przygnębienie, czuł, jak pod skórą odżywają obumarłe mięśnie, jak krew krąży w ciele, odpływa
z obrzękłych nóg. Ostrożnie dotknął piersi i brzucha, zafra-

powało go własne ciało.
Ciemna sylwetka Łokietka, obrzeżona żółtawym światłem z korytarza, rysowała się wyraziście: niskie czoło, krótki nos, kanciasta broda cofnięta do tyłu. Właściwie jedyny bliski człowiek, a tak niewiele wiem o nim. Trzeba go poznać — postanowił. — I innych. Jutro będzie już lżej, znajdzie się czas.
Ktoś przedzierał się spod okna ku drzwiom, nastąpując na śpiące, splątane ciała. Łokietek wstał, trzasnął paskiem w dłoń.
— Puść! — prosił nieznajomy ni to szeptem, ni krzykiem.
— Nie wolno. Befehl!* Puszczę ciebie, to mnie obwieszą. Wracaj albo sam mnie od razu obwieś na pasku. No?
Nikogo nie puszczę. Pan sztubowy zabronił.
— Zapłacił ci, szubrawcze!
— Zapłacił. Na świecie nic za darmo. Kupuje się, sprzedaje, wszystko ma swoją cenę. I moja nocka też. Wyrywaj nazad!
— To tyś Polak?
— Co to ma do twojej sraki, człowieku. Wyjdziesz, zastrzelą cię. Nie wolno. I tyle.
Proszący cofnął się, opadł na czworaki i, ostrożnie kładąc stopy i dłonie w gąszcz ciał, lazł ku oknu. Tu już jednak nie było dlań miejsca. Usiadł więc na parapecie okna, z głową opartą o framugę. Poza nim były gwiazdy.

Rozdział drugi

Zasłaniały go strupiaste, o sterczących ostro łopatkach plecy nagusów, stał bowiem pośród gromady, gdyż tak było cieplej i bezpieczniej. Przyciskał goły brzuch do pomarszczonych pośladków dryblasa, który zasłaniał mu

widok leka- rza-esesmana. Dryblas miał głowę i kark owinięte bandażem z papieru, zielonkawym od ropy sączącej się z rany; luźne końce podfruwywały raz po raz. Henryk wstrzymał oddech. Zdawało mu się, iż oddychając wzbija w powietrze tę szarfę, a więc robi coś, co może zwrócić nań niepożądaną uwagę funkcyjnych, zwłaszcza że papierowy bandaż furczał głośno. Trzeba wydechiwać powietrze ostrożniej, w przeciwnym razie spostrzegą, wypchną z ambulatorium, nie pozwolą dotrzeć do lagerarzta! Ktoś chwycił go zą rękę, ścisnął dłoń, w której dzierżył cynową łyżkę o wyostrzonym trzonku i pasek od spodni. Kilka kropel krwi pociekło na białe portki sanitariusza Karola.

— Człowieku! Wiej stąd zaraz, wracaj na blok! — zasy- czał głos, ale sens słów nie docierał do Henryka. Łysa, ogromna czaszka, wąziutki a długi nos... Przerażony objął wolnym ramieniem sąsiada. Dostał się tu z takim trudem, nie da się nikomu wygnać.

— Los! Eine Reihe! Du Arschloch, zuriick!* — huczał
gruby sanitariusz Karol usiłując niby to ustawić kolejkę. Widok Bednarka w tej kolejce był tak nieoczekiwany, że minęła dobra chwila, nim zdecydował się działać.

— Bednarek! Bednarek, słyszysz? Rozumiesz mnie? Wyrywaj stąd! Błagam cię, odejdź, wróć na blok, szybko — szeptał szarpiąc oporne ciało Henryka, ale ten ujrzał właśnie złotawą twarz lagerarzta. Dryblas nie zasłaniał już widoku; osunął się na posadzkę i leżał z podkurczonymi nogami w kałuży kału. Lagerarzt zaś siedział w smudze słońca popijając z wysokiej szklanki wodę mineralną. Przyjmie mnie. Byle nie dać się wypchnąć z kolejki —

myślał Henryk. Przekroczył ciało dryblasa, ale ktoś pchnął go z powrotem. Poczuł nikły, ciepły ból w ręce: zrozumiał, że to gruby sanitariusz Karol tak ścisnął mu palce, iż ostrze łyżki przecięło skórę. Chciał się odwrócić, uderzyć znienawidzoną nagle postać, jednak myśl tylko zaświtała i zaraz zgasła nie znajdując odzewu w mięśniach. Ramię ani drgnęło.

Wywołano jego numer i niemieckie dźwięki cyfr natychmiast pchnęły go do stołu, gdzie leżały równo poukładane różowe karty blokowe i zielone — szpitalne. Kilka termometrów moczyło się w szklance, koło której wśród drzazg szkła lśniły srebrne kuleczki rtęci. Lagerarzt przytknął właśnie do ust szklankę z głośno syczącym płynem i jął pić duszkiem, opryskiwany błyszczącymi kropelkami. Bulgot i syk wody potężniał, głuszył wszystko inne, jej blask oślepił Henryka. Ogarnęła go ciemność pełna kulistych syków, a poprzez nie z trudem tylko przebijał się głos lekarza obozu:

— Fleck und Durchfall. Allgemeine Körper schwäche*.

Henryk pojmował tylko niemieckość owych słów, nie ich znaczenie. Sądził, że lekarz zwraca się do niego, więc powiedział :

— Jawohl, Herr Obersturmführer.

— Symulant! Bitte, Herr Obersturmführer, Termometr niks gut, Fiber niks gross — Karol próbował przekonać lagerarzta ważącego w powietrzu kartę osobową Bednarka. Położy ją na prawą kupkę, Bednarek zginie. Karol wiedział o tym. — Das ist inżynier, sehr gut, bitte, er soll arbeiten. Ins Lager?*

—Wer bist du vom Beruf?**— zapyta! Henryka lekarz SS.

— Jawohl, Herr Obersturmführer — wykrztusi!

chory. Chcia! właśnie służbiście zsunąć nogi, lecz poślizną! się na kale dryblasa, stopy nie trafiły już na miejsce, padł twarzą na stół. Kiedy Karol z dyżurnym doktorem Dudzikiem dźwigali go, ssał jeszcze umoczone w rozlanej wodzie palce. Karta spoczęła na prawej kupce...

Dobrze było w ciemnościach i ciszy. Henryk oblizał wilgotne wargi, dal sobą powodować jak dziecko. Rozlegały się jakieś obce głosy niemieckie, potem wszystko ucichło. Poczuł, że wiodą go w dół po schodach. Nogi obijały się o kamienne stopnie, ciemność nie ustępowała sprzed oczu. Dopiero słodki zapach smażonych ziemniaków i cebuli przywrócił świadomość.

Siedział, otulony dziurawym kocem, przy stosie zwłok. Koło żelaznego piecyka trzech więźniów kończyło ucztę. Czerwone gęby nosicieli zwłok zwrócone były do piecyka. Wpakowali mnie do kostnicy, czyżbym nie żył? — zdumiał się Henryk. Siwy pisarz kostnicy spostrzegł, że otwarł oczy.

— Dajcie mu, dzieci, kubeczek herbatki. Tłuste by zaszkodziło— powiedział zamykając grubą księgę.

Gorący napój i panujący w kostnicy gorąc zmorzyły Henryka. Oparł się wygodnie i, westchnąwszy kilka razy, zasnął. Leichenträgerzy wyszli do roboty, siwy pisarz wydobył z szufladki stolika obcęgi i zerknąwszy nieufnie na śpiącego podszedł do zwłok. Z karteczką w ręku sprawdza! ich numery, rączką obcęg rozwiera! szczęki i wyrywa! nie zapisane na karteluszku złote zęby. Spieszył się, by skończyć przed powrotem tragarzy i nadejściem Karola.

Tymczasem gruby sanitariusz biegał po obozie szukając pomocy i rady. Truchtem — wyrzucając do przodu raz

lewe, raz prawe ramię, jak gdyby plywal w powietrzu — wędrował
od Miiku do bloku, WTC\AK pinunwil udać się do puikow*-mka Siarkicwicza-„Kalafiora", zwanego tak dla pokiereszowanych pnei Mirum^kie gestapo pośladków> cn się dziwacznie zrosły. Kalafior pełnił na bloku zakaźnym funkcję nocnego stróża.

— Słuchai. pilna sprawa. Mani muzułmana na bloku, Bednarka. zapisany na szpilę do Walusia. Ja go muszę uratować. Zapomniałem o nim, a proszono, by się nim zająć.

Niedawno zugang z więzienia przywiózł byl zapytanie o Bednarka od partyinego towarzysza Karola, .Marka, który jeszcze tam siedział. Wówczas zatroszczył się o Henryka, wyciągnął ze żwirowali do beton iami, pod dach, i potem zapomniał o nim. A teraz groziła Bcdnarkowi podła śmierć: zastrzyk trucizny w serce.

— Przekupie Walusia? Ale on ma dztś jubileusz. Dwutysięcznego szpiluje — myślał na gios

— Trzeba, panie Karolu, coi wymyilić, Chwileczkę — powiedział Kalafior, kochający ..sztabowe" myślenie. Karol niespokojnie wpatrywał się w jego pożółkłą twarz i zaczerwienione oczy. Byli razem w 1939 mku w ubmnie Warszawy. Pułkownik Siarkiewicz, podówczas na emeryturze, legun zbuntowany przeciw sanacji, ludowiec prawic i prawie socjalista, zaraz po upadku stolicy rzucił się w robotę konspiracyjną.

— Powiada pan, że jest on niedawno w lagrze. Dobrze, dobrze, doskonale. Mało go znają, dobrze. Wszakże można Walusiowi podsunąć kogo innego, a Bednarka zamelinować do końca wojny. Na parę tygodni,

to nic niemożliwe.
Do końca wojny parę tygodni? Karol prychnął niecierpliwie, potarł dłonią łysą czaszkę. Prawda, Kalafior wierzył nieugięcie, że wojna skończy się na najbliższe święta i choc na Wielkanoc wróżby się nie sprawdziły, mogły się spełnić na Boże Narodzenie.

— Wymieni pan ludzi. Trudno, trzeba wybierać. Weźmie pan szpicla lub jakiego „zielonego", umarlaka oczywiście. Zrozumiano, panie kolego?

— Tak jest, pułkowniku. Ale ja tego nie zrobię. Nie jestem Panem Bogiem, żebym rozstrzygał o życiu i śmierci drugich ludzi. Za cholerę nie zrobię. Nie!

— Tutaj nic Pan Bóg ma władzę nad życiem i śmiercią, panie Karolu. Skrupuły? Socjalistyczne sumienie? Trzeba wybierać, kochany, kto potrzebniejszy. Wszystkich nie uratujemy, tylko kadrę. Kadrę, panie Karolu. Oni ją właśnie chcą wytrzebić, my musimy ją właśnie ocalić.

Pułkownik wyłożył cały plan nie pomijając żadnych szczegółów . Ożywił się, czerwone oczy błyszczały, gdy mówił, postać młodniała. Karol wrócił na blok przygnębiony. Chorzy przyjęci do szpitala czekali w dwóch grupach na korytarzu, większa przeznaczona była na śmiertelny zastrzyk fenolu. Przemknął obok niej, odszukał doktora Dudzika, by wtajemniczyć go w całą sprawę i prosić o pomoc. Wolał, by ktoś inny wybrał „zastępcę" Bednarka. Dudzik był wprawdzie ginekologiem, ale w obozowym szpitalu sprawował funkcję lekarza ambulatoryjnego.

— Szpicla chcesz? Zaraz, mam na oku kilku ptaszków, ale wołałbym Nicmiaszka — powiedział. —

Wczoraj przyszedł transport mieszany do obozu, w nim jeden suchotnik — mo- riturus. Status gravis. Nic przeżyje tygodnia. Obiecuje, jak wyzdrowieje, zameldować komendantowi, gdzie mają we wsi zamelinowaną broń!

Jowialną, czerwoną twarz Dudzika zdobiły sentymentalnie niebieskie oczy, ale Karol wiedział, że to człowiek twardy
i prędki w wysyłaniu na śmierć kapusiów, zdrajców i zbrodniarzy. Poszedł z nim na salę chorych. Wybrany przez Dudzika leżał na podłodze, okryty kocem, ostrożnie przytrzymując na wzdętym brzuchu miskę z kawą. Twarz gruźlika
o świecących paciorkach oczu była błogo spokojna.

— Mówiłem, że pan komendant nie da skrzywdzić niewinnego — oświadczył dowiedziawszy się, że ma iść na zastrzyk. — Matula nie będzie gnił w łagrze razem z bandziorami.

— Za co cię przymkli?

— Za nic, za niewinność, panie. Handlowało się trochę, nawet z samą gospodynią pana kreishauptmanna, nie powiem, grzeczną osobą. Ze złości mnie ludzie wydali, a ja wiem, kto. On ma, proszę panów, karabiny schowane...

— Rodzinę masz?

— Nie mam akuratnie. Została po wrześniu po tamtej stronie, we Lwowie, u bolszewików.

— Jakiś zawód podai przy rejestracji?

— Nie było jeszcze. A jaki podać? Przed wojną było się stolarzem i siedziało się na gospodarce.

Karol szarpnął Dudzika za rękaw. Niech już nie wypytuje. Wystarczy. Wskazał imię Matuli na karcie: Henryk. I wiek się mniej więcej zgadzał.

— Po zastrzyku się wzmocnisz, pójdziesz do raportu do pana komendanta i wszystko opowiesz — powiedział.

— Możesz i samemu Bogu meldować lub czartowi — dodał Dudzik. Gruźlik zachichotał.

— Wystarczy komendant. Tylko ostrożnie nieście. A broni we wsi fura. I na cmentarzu...

— Woda w brzuchu, pies wie, co za choróbsko przy gruźlicy— szepnął Dudzik. — Ty prowadzisz do Walusia? Pomogę ci. Bierz tragi!

Chory uśmiechał się w drodze. Na korytarzu Karol wypisał mu na piersi chemicznym ołówkiem numer więźniarski, numer Bednarka, i powiódł skazańców. Szli nago, drypcili na sztywnych, patykowatych nóżkach, potykali się o niewidoczne przeszkody. Na przedzie kroczył młodzieniec ze złożonymi modlitewnie dłońmi, obok — góralski przewodnik, złapany na granicy słowackiej. Czerwony z gorączki, silny jeszcze, prowadził pod ramię dwóch opuchniętych z głodu mężczyzn. Ciało ich tak nabrzmiało, że popękało brocząc lepką cieczą.

Waluś czekał na chorych przed drzwiami izby, ubrany w niepokalanie biały kitel lekarski. Drobny, o nieśmiałej twarzy zahukanego studenta, patrzył smutno na Karola i Dudzika.

— Weź na pierwszego tego tu pana — wykrztusił Karol, któremu zawsze słabo się robiło na widok Walusia.

— Wejdźcie na sekundkę, SDG dziś nie przyjdzie. Mama przysłała świetny tytoń — zakpił.

Tytoń był przedni, pachniał miodem i suszonymi śliwkami. Karol skręcił papierosa, podał pudełko Dudzikowi, ale doktor odmówił. Waluś napełnił wielką strzykawkę płynem z ciemnej butli, sprawdził skrupulatnie drożność igły patrząc

pod światło, jak wycieka z niej kropelka. Na stoliku błyszczał niklem nowy sterylizator.

— Po co ci to? — zapytał Dudzik.

— Zawsze sterylizuję przed zabiegiem. Takie dziwactwo— odparł Waluś.

— Stul pysk! — warknął Dudzik i wybiegł trzaskając drzwiami. Podpadnie. Na pewno podpadnie, choleryk — przestraszył się Karol. — Nerwowy facet.

— Obóz wszystkim psuje nerwy, Karol. Podaj karty — powiedział Waluś. — Nie rozumieją ludzie tutejszego porządku. Tu trzeba umierać. Jeśli To istnieje — zatoczył ręką półkole — wszystko jest bez sensu. Tylko śmierć ma sens.

I ona jest porządkiem rzeczy w obozie. Nie życie, głupie nadzieje. No, jak? Czytamy dla sprawdzenia? .

Karol odczytywał numery z listy, Waluś sprawdzał je na kartach. Wszystko się zgadzało.

— Bierzesz pierwszego tego na tragach? To cynkier zresztą, kapuś — powiedział Karol.

— Chciał się w ten sposób wymigać od komina? Niełądnie. Nie wolno uciekać od przeznaczenia. Daj go, Karol.

Matula przywitał Walusia cichym „gut-morgen*”. Karol posadził go na krześle; zaczął dokładnie składać koc, odwrócony od Walusia. Matula cicho stęknął.

— Gotowy. Dawaj następnego — odezwał się Waluś odciągając trupa za kotarę.

Karol wyszedł na korytarz, mokry od potu. Wpuścił do izby dwóch następnych chorych, reszta stała oparta o ścianę, wymalowaną w czerwone i niebieskie różyczki. „Wszystkich się nie da ocalić”, wspominał słowa

Siarkiewicza-Kalafiora. Bednarek miał szczęście. Jego nazwisko i sprawa przestały istnieć. Jednego uratowałem. Ba, ale wyrczę tu i pomagam zabijać kilkudziesięciu innych. Pomagam, nie ma się co bujać. Tak jest. Kiepski interes. Kiedy usłyszał szuranie zwłokami w izbie, automatycznie wpuścił następną parę. Niedawno zarzekał się wobec Kalafiora, że nie jest Bogiem, by decydować o życiu i śmierci drugich. Naprawdę nie? Tu bogowie chodzą z trupimi główkami na mundurze, chodzą z żółtymi czy czerwonymi opaskami na pasiaku. A gdyby mi kazali zastąpić Walusia, odmówiłbym. Odmówiłbym, choćby mieli rozstrzelać za to. Niech. Waluś się zgłosił na ochotnika. Stary towarzysz Walicki (też na pewno umrze) po
wiada: odmówić! niech wszyscy odmówią; humanistyczne veto zagładzie człowieczeństwa. — Biedny Walicki. Dobrze mu gadać, ale jak to zrobić? Pomagać, komu się tylko da,
i tyle. Co ja mogę zrobić, żeby Waluś nie szpilował? Zabić go? Wyznaczą innych. Znajdą się. Panowie bogowie rzeczywiście istnieją w lagrze. A co to opowiadał Waluś? — Karol nie mógł sobie przypomnieć.

— Panie pfleger, panie pfleger! A dlaczego oni tak długo nie wychodzą ? — zaniepokoił się góralski przewodnik, stary więzień.

— Poszli do łóżek odpocząć po zastrzyku — skłamał.

— Ale, ja ten blok znam. Byłem już tu. Tam nie ma żadnej innej sztuby, panie pfleger, żadnych -drzwiów.

— Ruhe !* — huknął basem Karol. Chorzy umilkli. Ostatnia grupa czekała kolei. Góral oblizywał spierzchnięte wargi, nie puszczał obu opuchniętych towarzyszy. Razem z

nimi wszedł na ostatnią turę. Karol wybiegł na podwórze między blokami. Jak po przepiciu czuł mdłości i zawrót głowy, ucisk pod czaszką. Zwymiotował. Gdy potem pukał do drzwi pokoiku kierownika szpitala, lageraltestra Pappiego, był już opanowany, trzeźwy. Drzwi otworzył nagi chłopiec, okręcony w biodrach ręcznikiem, źle maskującym stan podniecenia: wzwiedziony członek wypychał fałdy puszystej materii. Pappi leżał w biało pomalowanym, pojedynczym łóżku.

— Coś przyniósł? — zapytał chłopak.

— Chciałem zapytać, co trzeba?

„Kuleczka", pipel Pappiego, starego kryminalisty, bandyty i kasiarza, przysiadł na brzeżku łóżka, dotknął nagiego ramienia swego pana i władcy.

— Karol ma przynieść, Pappi?

— Tak. Co chce?

Pappi siedział już osiem lat w obozie, razem z więzieniem w sumie dwadzieścia blisko lat. Znal cenę każdej usługi. Nawet za igraszki miłosne, czyszczenie butów, przyrządzanie posiłków płacił Kuleczce, płacił poczuciem bezpieczeństwa i władzy. Pipel był na bloku osobą nietykalną, nie pracował, trząsł lekarzami, straszył funkcyjnych, rządził schreiberem, blokowym, sztubowymi i miał przemożny wpływ nawet w kancelarii szpitala z tej choćby racji, że wszyscy pisarze mieszkali w tym bloku. Karol wiedział dobrze, jak wiele od niego zależy, i nienawidził go bardziej jeszcze niż Walusia, gdyż go potrzebował.

— Przyniosę trochę, ale niech lageraltester powie

Gorylowi, żeby przyjął mego znajomego na sztubę — powiedział.

Pappi wygramolił się z łóżka, nagi, pokryty od głowy po kolana tatuażem, wyobrażającym fantastyczne ptaki, które unosiły w szponach nagie dziewczęta. Na piersiach rozpościerał skrzydła czamosiny orzeł o kilku głowach, a najdłuższe pióra zachodziły aż na barki. Za każdym ruchem Pappiego ptaki zdawały się zrywać do lotu, trzepotać, prężyć korpusy, napinać szpony.

Lageraltester wyjął z szufladki ampułkę morfiny i małą strzykawkę.

— Przynieś parę gramów — mówił tymczasem Kuleczka Karolowi — pogada się z Gorylem. Co będzie? Znowu bruch?* Zęby?

„Goryl" był władcą małej izby szpitalnej o kilkunastu łóżkach, gdzie leczyli się prominenci, zwłaszcza niemieccy kapowie i protegowani obozowych dostojników. Kudłate ciało sztubowego, długie ramiona i małpia twarz o niskim czole zjednały mu ów pseudonim. Pół-Niemiec, pół-Polak, bandyta od mokrej roboty, żył w przyjaźni z Pappim. Golił się właśnie, gdy Karol przyprowadził nieprzytomnego z gorączki Bednarka. Wysłuchał Karola, uprzedzony już przez Kuleczkę, dość przychylnie.

— Chcesz, żeby ja się tym chacharem zajął? Mogę. Hasz co dzień dietetyczna zupa z kluskami i cyferblat. Albo chuj mu w oko, niech leży i zdycha — powiedział.

— Nie mam zegarka.

— Dreck**. Zorganizuj. Psinco mnie obchodzi. Zugang akurat stoi za drutami, weź komu. Sam bym polazł, ale muszę pilnować jednego zajebanego inteligenta. Wasi prosili, farona. Z synkiem se leży, ale zaraz skrepiruje, to

łóżko będzie wolne dla twojego.
Goryl podał dogorywającemu miskę z ziółkami.
— Już dochodzi. Będzie zaraz fertig — stwierdził fachowo. Z górnego łóżka odezwał się syn umierającego:
— Herr Pfleger, tato ma pod zagłówkiem chleb. Zjadłbym. On przecież... jemu nie potrzeba. Sam pan mówił. Sie haben doch selbst gesagt, dass er*...
— Du Scheisskerl, du! Chleb mnie się gebiruje, verstanden!**
—Choć połówkę, panie pfleger!
—Halt Maul, du Arschloch. Dein Vater stirbt!***
Młodzieniec zamilkł. Z kąta sztuby brzmiały głośne purknięcia. Kapo Niemiec liczył, kto wygra zakład, kto potrafi więcej razy.
— Spróbuję wytrzasnąć ci zegarek — zgodził się Karol.
Wówczas Goryl uciszył chorych, wyciągnął dogorywającego z łóżka i ułożył na podłodze wypisując mu na piersiach numer. Na wolne miejsce zaniósł Henryka.
Henryk zdawał sobie niejasno sprawę, gdzie jest. A więc się udało! Jest wreszcie w szpitalu, w łóżku, nie musi stawać do apelu, wychodzić do roboty! Poczuł w ustach cudowny smak cytryny.
— Znaj grafa. Dla swoich znajdzie się to i owo, tylko zegarek żeby mi był prima — śmiał się Goryl. — Nieprzytomny facet. Długo łaził chory. Dać mu szprycę?
Pod Karolem ugięły się nogi. Nie zrozumiał sztubowego. Goryl jeszcze przed pół rokiem felczerował w szpitalu, robił zastrzyki, stawiał diagnozę, obcinał zgorzałe palce i stopy. Zrobił sprawnie iniekcję Bednarkowi.
— Dziś szprycował Waluś, co? Matula! Matula, nie sraj w łóżko! — krzyknął. — Verboten!****

Henryk usłyszał owo „verboten”.

— Häftling Nummer... — zaczął recytować wyraźnym szeptem, ale nie dokończył. Wielka dłoń Karola zamknęła mu usta.

— Bredzi, numer mu się poplątał — powiedział usiłując nadać głosowi spokojne brzmienie. — Wszystko mu się pokręciło we łbie z gorączki.

Goryl ujął go pod brodę, zajrzał w oczy.

— Mnie za jedno. Scheiss’egal* — rzeki.

W organizmie Henryka Bednarka alias Matuli trwała walka ciemności i światła; chwilami wprawdzie mijała ślepota i powracała zdolność myślenia, lecz nie pełna świadomość. Strzępy myśli przelatywały przez głowę, układały się czasem w wyraziste obrazy jak w kalejdoskopie zmienne, ale zaraz wszystko burzyła gorączka, aby potem z rozbitych elementów układać nowe wizje.

Powracającym stale obrazem był przemarsz pancernej kolumny niemieckiej przez miasto. Czołgi, działa samochodowe, wozy pancerne jadą wprost na Henryka, fala za falą płynie żelazo ze znakiem krzyża, nogi grzęzną w roztopionym z upału asfalcie, nie można uciec. Skrypt, skrypt oddać Smolikowi do druku. Może zmienić tytuł? Prawo wolności? Prawo człowieka? Szlachetna, piękna twarz gestapowca.— Nie, nie zrobię pierwszego kroku! — krzyczy Henryk, zrywa się, ale trzymają go silne więzy. Czołgi są tuż, ogromne gąsienice wznoszą się pomału, huczą motory...

Dół żwirowni. Po ostrych stokach suną półbiegiem więźniowie z taczkami. Henryk pcha swoje w górę, ale żwir się osuwa spod nóg, biegnie więc w miejscu. Z brzegu leja spadają ciała w pasiakach, lecą w przepaść, strącone

uderzeniami pałek. A jednak trzeba osiągnąć horyzont, nie upaść. Oto obok niego padł kolega. Kapo kładzie mu na szyi stylisko łopaty, staje na obu końcach. Chrzęst. Gruby pfleger w białych portkach. „Ty jesteś Bednarek? Chodź ze mną". Worki z cementem. Zielonkawy pył...

Uciekać! Tuż blisko widać otwarty pokój, Maryjka spogląda na zegarek, poprawia niebieską sukienkę. Henryk kuli się, ostrożnie umyka z tysięcznego tłumu podobnych mu postaci. Kilkadziesiąt metrów zaledwie. Na stole leży chleb, masło, kiełbasa. Ale nagle tłum zmienia się w szpaler, którym trzeba przebiegnąć, i nad szpalerem świszczy powietrze. Ciosy kijów, pałek, bykowców, drągów spadają na głowę, plecy, ramiona. — Nie bić! Nie bić! — krzyczy Henryk.

Łokietek pierwszy odnalazł trop przyjaciela. Na bloku powiedziano mu, że poszedł do szpitala, ale minęło kilka dni, nim spotkał grubego sanitariusza, który kiedyś wywołał był Bednarek- z komanda i dal robotę w betoniami. Karol zaniepokoił się faktem, że już ktoś dopytuje się o Henryka. Zmierzył Łokietka fachowym, uważnym spojrzeniem. Niedługo pociągnie — stwierdził. Kazał sobie opowiedzieć wszystko o Bednarku.

— ...nie mial kumplów. Z celi my tylko oba przyjechali, z transportu dziesięciu nas poszło do żwirowni, reszta się pogubiła.

Padał gęsty, jesienny deszcz. Przez mokre smugi twarz Łokietka wyglądała rozpaczliwie. Pracował teraz w nocy, w warsztatach, pod dachem, ale głodował i prawie co dzień zbierał cięgi.

— Nałóż czapkę, człowieku — powiedział łagodnie Karol. — Bednarek nie żyje. Zaszpilowali go.

Łokietek opuścił głowę na piersi, wytarł nos rękawem.
—Może to być?
— Niestety. Nie dało się nic zrobić. To wyście nie powinni go byli puścić do szpitala! Przyjdźże jutro, dostaniesz zupy. I trzymaj się. Gorsze tu się rzeczy działy. Serwus.
-— Serwus — powiedział Łokietek i oddalił się wolnym krokiem.
Trzeba kuknąć do Goryla — postanowił Karol. W bloku było zacisznie. Wydano już wieczorne porcje, służbowi i sanitariusze gospodarzyli w przytulnych kącikach, odciętych od sal szatkami. Goryl robił wódkę. Na miednicy paliła się mieszanka benzynowa do aut. Przykrył ją drugą miednicą, zagasił płomień i jął cedzić napój zlewając go do dzbana. Tłusta, nafciana woń wypełniła izbę.
— Jak tam mój pupil? — zapytał Karol.
— Słuchaj, czy on musi żyć? Tyle zachodu! A bredzi! Jakiś uczony czy co, farona! Kto on? To nie takie sobie bredzenie. Książkowe. Łyknij!
— Dobra, ale jeszcze raz przefiltruj. Jedzie naftą. A zegarek dobry?
Goryl podwinął rękaw. Zegarek nosił wysoko na owłosionym przedramieniu. Zawołano go z izby, Bednarek bowiem wstał i łóżka krzycząc: „Nie poddam się, nie poddam! Gdzie są tu ludzie?!” Chwiejąc się na cienkich nogach, oblepiony kałem i słomą, trzymał się drewnianej ramy łóżka. Goryl złożył go na barłogu, napoił ziółkami.
— Sam widzisz, jak z nim jest. Kumple klną, bo ma durch- fall i sra pod siebie. Weź go gdzie indziej.
To wszystko nie ma sensu. Może rację ma Waluś, że wszyscy muszą tu zginąć, że taki już porządek rzeczy? — Karol czuł znużenie. Hitler bił Rosjan, wygrywał bitwę za

bitwą, nikt nie ujmował się za oświęcimiakami, obóz rósł, pęczniał więźniami. Znikąd pomocy. Ocali tego Bednarka i kilku jeszcze podopiecznych, jednemu da zupę, drugiemu chleb, trzeciemu zmieni komando. I co dalej? W tym samym czasie stu zdechnie z głodu, zimna, wyczerpania, chorób. Stary działacz lewicy socjalistycznej, Walicki, którym się opiekował w obozie, zapewniał, że świat nie pozwoli, zaprotestuje, zagrozi odwetem. Świat nie wie, a gdyby wiedział — nie uwierzy. Uczepiłem się tego Bednarka, cholera, po co? Po co to wszystko?

Nachylił się nad chorym, zawołał: — Matula! — Chory szarpnął się i krzyknął:

— Nie bijcie!

— Wytrzasnę dla niego specjalne lekarstwo, Goryl. Uspokoi go. Daj chlapnąć szklaneczkę benzynówki.

Zimna dżdżysta jesień 1941 roku. Jest po apelu, ale na ulicach obozu panuje ruch. Tłumy oblegają kantynę, szpital więźniarski, głodne gromady snują się szukając odpadków, niedopałków papierosów, znoszą zewsząd trupy do kostnicy. Gruby Karol wchodzi z pułkownikiem Siarkiewiczem na blok magazynowy. Przed wejściem stoi dwóch więźniów, trzeba im dać umówiony znak.

Na strychu, pomiędzy stertami bluz, spodni, płaszczy, bielizny i koców, które tworzą labirynt korytarzy, panuje smród zgniłej, zleżałej odzieży i zupełna ciemność. Okienko zasłonięto kocem. Deszcz tłucze w dach, jest duszno, parno. Migotają czerwonawe ogniki papierosów. Karola woła ktoś cicho, siada więc dorozumiewając się, że to stary Walicki,

którego chłopcy wnieśli na strych. Pułkownik zaczyna mówić, ale senny nastrój zamyka Karolowi powieki. Wie

zresztą
o tym, że grodzą obóz, że mają w- nim umieścić jeńców wojennych, że wydano już ponad dwadzieścia tysięcy numerów, że śmiertelność wzrasta. Wie, że trzeba połączyć wszystkie grupki i grupeczki w lagrze w jedną organizację, ale nie podoba mu się uroszczenie wojskowych, którzy chcą wszystkim komenderować. Słucha więc sennie, jak dzielą funkcje i planują dalszą robotę. Dopiero gdy Kalafior komunikuje, że mierniczowie ustalili już trwały kontakt z „światem", budzi się z drętwoty.

Miernicze komanda, pracujące w terenie przyobozowym, wśród polskich wsi, już dawno złapały pierwsze kontakty. Ludzie podrzucali żywność i listy tam, dokąd przychodzili na pomiary, ale Polaków wysiedlono. Strefa obozu zataczała coraz większe łuki.

— Droga dobra, sprawdzona. Przychodzą już regularnie transporty leków, chleba, tłuszczu, cukru — mówi cichy głos w ciemności. To Spluwa, mierniczy, niepozorny człeczyna. Zacina się mówiąc, a potem strzela nagle zgłoską. Spluwa. Stary Walicki wyciera głośno nos.

— Połączyliśmy się więc z wolnym światem — mówi.— Dowie się on całej prawdy, całej prawdy. Powinien wszystko wiedzieć. Wszystko. Sam napiszę, poruszę niebo i ziemię. Opinia świata to potężna broń, moi kochani.

Plecie jak na sejmie — złości się Karol. — Siedział za kajzera, za cara, za marszałka, siedzi i za Hitlera. Doświadczenie ma, a nic nie może poradzić. Inne czasy, pewno. Przypomniał sobie, kogo Kalafior wezwał na naradę: swoich pułkowników, wodza od narodowców, kilku socjałów i luzaków, Dudzika.

— Koniec z kazaniem — rozlega się silny, młodzieńczy głos. — Mierniki nadają towar na Rajsko, sami nie poradzą. Trzeba murowanych ludzi. Krankenbau niech wyrypie listę, co potrzeba. Nie bredzić, robić, robić. Nie bujać w obłokach.

— Obłoki — mówi ciężkim głosem Walicki. — Może i obłoki. Kto w nie nie patrzy, wpada w błoto.

— Gówno prawda. Akurat odwrotnie. Kiepskie porównanie, towarzyszu. Robim co jeszcze czy pójdziem spać?

To Bolek, dobrze gada, słusznie — myśli Karol. — Rajsko, to jest pomysł.

Z obozu biegnie na południowy wschód droga równoległa do Soły. Między tą drogą a torem kolejowym SS robi dla siebie gospodarstwa rolne, ogrodnicze, rybne, zakłada farmę. W Rajsku będzie wielkie ogrodownictwo. Łatwo tam dojść z zewnątrz. W nocy można podrzucać żywność, pocztę, lekarstwa, a w dzień odbiorą więźniowie. Ogrodnicy, stolarze, szklarze.

Pułkownik mówi monotonnie, ale obecni na naradzie widzą wszystko, co mówi. Chodzili z komandami i tam, pracowali już prawie wszędzie, znali wiele sposobów przenoszenia niedozwolonych rzeczy do obozu. Widzą więc mokre, jesienne drogi smutnego krajobrazu pól, stawów, rzek, widzą więc noc, przez którą skradają się ludzie z workami na plecach.

Narada trwa. Kalafior proponuje memoriał do rządu w Londynie, Dudzik — apel do Czerwonego Krzyża, wojskowi umawiają się, jak zorganizować wszystkie grupy. Do Karola podchodzi Bolek. Wypatrzył go jakoś, poznał. Teraz siada przy nim i szepcze do ucha:

— Teraz to się ruszy robota. Chłopaki czekają i

zdychają. Wykombinuję, żeby skoczyć do Rajska i zobaczyć, jak to tam idzie, do stolarzy w ogrodzie.

Słychać wrzaskliwe głosy w obozie. Blocksperre! Wszyscy na boki! Bolek przypada do zasłoniętego okna, widzi przez dziurę w kocu setki więźniów pędzących wśród deszczu we wszystkich kierunkach. Odsłania okno i wówczas widać jego kanciastą twarz, bezzębne usta. Jest zdumiony niespodziewanym rozkazem zamknięcia bloków, co nie wróży nic dobrego.

— Panowie — odzywa się uroczyście Kalafior — może to już! Może koniec? Może Anglicy wylądowali?

— Zmykać pojedynczo — mówi Bolek. — Coś kurewskiego się dzieje w lagrze. Politische przyjechało.

Ludzie z ciemności wchodzą w brzask, wymykają się chyłkiem na schody. Walickiego trzeba znieść, odprowadzić do szpitala. Bolek nie ma już czasu pomknąć na swój blok, zostaje z Karolem. Staje u okna wychodzącego na główną ulicę obozu.

Z daleka, tłumiony deszczem, nadbiegł wrzaskliwy krzyk esesmanów. Wkrótce chrzęst żwiru dał znać o zbliżaniu się ludzi; był miarowy, snadź pędzono sporą gromadę zu- gangów. Ujrzał ją wreszcie.

Kolumna nagich mężczyzn, ze dwie-trzy setki, biegła ciężko, spokojnie, z rękoma zgiętymi w łokciach, z pięściami na piersiach. Brązowe twarze i dłonie wyglądały jak doprawione do białych, wychudłych korpusów. Ostrzyżone głowy świadczyły, że to więźniowie z innego obozu. Kolumna skręciła ku blokowi jedenastemu, siedzibie Karnej Kompanii
i miejscu aresztów obozowych, za nią ukazali się ludzie z marami, na których chybotały się zwłoki. Karol odskoczył

od okna. Ludzie ci mieli drelichy z literami SU.

— Ruscy! — krzyknął. — Sowiet-Union! Jeńcy!

Chorzy i funkcyjni runęli do okien. Karol daremnie usiłował obronić swój posterunek; bił i kopał, ale wszystkie jego ruchy grzęzły w ciżbie. — Ruski, Rosjanie! — wołali chorzy z najdalszych łóżek. Nawet umierający czołgali się na czworakach, by ujrzeć jeńców.

— Precz! Precz stąd, zasrańcy! Co się gapicie? Do łóżek!— wołał Karol miotając się i rozpychając ludzi. Ulica obozowa była już pusta, ale nikt nie odchodził od okna. Z wciągniętą w barki głową łaził po sali zaganiając chorych do łóżek. Chciał porozmawiać z Bolkiem, ale nie było sposobności; wszędzie snuli się pflegerzy i hilfspflegerzy, ozdrowieńcy
i chorzy, wreszcie Bolek musiał przekraść się do swego bloku.

Nazajutrz rano przed pobudką Karol pobiegł na blok Bolka i obudziwszy go wyprowadził na obóz. Było jeszcze ciemno. Świeciły okna kuchni i ciepły dym snuł się między blokami przy placu apelowym.

— Co ty na to? Na Ruskich?

— Źle z nimi. Blockfuhrer gada, że przypędzą tu kilka tysięcy politruków. Na to grodzą lager.

— Bolek, jedna sprawa. Mam kogoś na lipnym nazwisku. Ze szpili wyciągłem. Jak się już wyliże z tyfusu, trzeba go będzie upchnąć w bezpieczne komando, żeby go nie poznali, i podumać o ucieczce.

— Ucieczka? Zdziesiątkują komando!

— Niech!

Bolek zagwizdał cicho.

— Pomyśl o tym — powiedział Karol na

pożegnanie. Potem pośpieszył pod kuchnię, wywołał rosłego kucharza- -więżnia, szybko schował pod bluzę spłaszczoną kostkę margaryny. Przy slupie z kawałkiem szyny, zastępującym gong, stał już lageraltester w wielkim berecie i wysokich butach. W ręce trzymał pałkę o żelaznym końcu. Karol spojrzał na niebo. Szarzało. Lageraltester uderzył o szynę. Zapaliły się wszystkie okna, krzyki sztubowych wyleciały na plac, z bloków wypadli więźniowie z nosidłami na beczki. Biegli do kuchni ze wszystkich stron obozu.

Głos gongu zbudził Henryka. Ujrzał zamglone słońce żarówki, deski górnego pokładu łóżka, majaczące kontury człowieka.

— Pić! — jęknął. Goryl spojrzał na niego.

— Zdrowyś już, pieronie?

Henryk był przytomny. W pobladłej twarzy głęboko tkwiły jasne oczy, twarz miał bowiem opuchniętą, obrzmiałą głowę.

— Zdrowyś, Matula?

Matula? Czego on chce? Cóż to za nazwisko? Henryk poruszył wargami, ale usta nie chciały się otwierać. Muszę wstać do klozetu — postanowił, jednak długo trwało, nim wyciągnął nogi z łóżka. Sąsiad mu pomógł, podtrzymał, zaprowadził do wychodka.

— Już się | ciebie nie leje, Matula. To dobrze. Dawali ci jakąś papkę. Przeszło. Może się poznamy. Jestem Makowski. Stefan Makowski. Wojewoda — dodał konspiracyjnym szeptem.

Henryk nie zdołał się przedstawić, gdyż nadszedł dozorca wychodka i wszystkich wypędził. Stojąc przy swym łóżku przeczytał ze zdumieniem na karcie

gorączkowej: Henryk Matula. Daty urodzenia też się nie zgadzały. Pokiwał głową. Ostatecźnie wszystko to było mało ważne, obojętne wobec faktu, że za sekundę spocznie znów w wyrku, podczas gdy na placu stoi wielotysięczny apel i moknie na zimnym deszczu. Obejrzał ręce. Palce miał spuchnięte, niekształtne, nie mógł ich zgiąć.

Koło południa niespodziewanie odezwał się znów gong. Henryk zamarzył o obiedzie, o ziemniakach w łupinach i gęstej zupie, ale zdawało mu się, że jeszcze nie czas. Poszukał wzrokiem Goryla. Sztubowy stał przy oknie nasłuchując. Krzaczaste brwi zbiegły mu się nad małpim nosem, palce u długich rąk zaciskał i prostował bez przerwy. Nagle wybiegł z izby trzaskając drzwiami i skoczył ku wyjściu z bloku.

Zamiatacze obozowi umykali z ulicy, dwóch nosicieli zwłok przemknęło z pełnymi marami, potem przejechał na rowerze rapportfuhrer i skręcił ku Jedenastce. Deszcz jeszcze padał. Z placu apelowego czyjś głos obwieszczał zakaz opuszczania bloków. W chwilę potem na oddział chirurgiczny wszedł lagerarzt z pomocnikiem. Od głównej bramy szli ku Jedenastce esesmani z komendantury i naczelnik obozu. Nieśli jakieś dziwaczne przedmioty, wyglądające jak czarne ryje z okrągłymi, szklanymi ślepiami. Zanim Goryl rozpoznał maski gazowe, w prostokącie drzwi zrobiło się pusto. Pobiegł na dziedziniec, by porozumieć się z Pappim. Spotkał go w wejściu. Starcza, pomarszczona twarz szefa szpitala była spokojna, drętwa.

— Poszli na Jedenastkę — powiedział. — Lagerarzt zarządził przegląd chorych. Trzeba wybrać sporo Polaczków. Wracaj do siebie.

Goryl nie kojarzył faktów. Jeńcy na Jedenastce, selekcja chorych, maski gazowe esesmanów? Ale czuł niepokój. Bądź co bądź były to nowe fakty, a każda nowość mogła oznaczać tylko coś złego, coś gorszego od teraźniejszości. Wróciwszy do chorych zebrał karty gorączkowe, przejrzał dokładnie, przeliczył. Potem przypomniał sobie dzbanek ben- zynówki. Schował go w sienniku chorego na trzecim piętrze łóżek, zeskoczył zręcznie i stanął na jednej nodze wyciągając szyję. Na korytarzu rozlegały się zaniepokojone, podniecone głosy pflegerów, a później zahuczał głos SDG. Chorzy Niemcy usiedli w łóżkach patrząc na Goryla.

— Leżeć spokojnie — powiedział. — Selekcja.

Wojewoda Makowski mokrą ścierką czyścił podłogę. Spod krótkiej koszuli wypinały się zwiędłe, odparzone pośladki.

— Matula! Słyszałeś?— szepnął doszedłszy do łóżka Henryka. — Selekcja.

— Ruhe! — krzyknął Goryl.

— Ja jestem ocalony — powiedział wyraźnie, dobitnie Henryk i te słowa przypomniały Gorylowi, że zobowiązał się do opieki nad nim. Szybko wyciągnął karty z szuflady, odłożył Henrykową, schował pod ceratę.

— Kto piśnie choć słówko, popamięta — przestrzegł chorych i wziął na ręce Henryka. Chce mnie wykończyć — pomyślał Bednarek. Szarpnął się, ugryzł sztubowego w ra- mię, próbował uderzyć. Zapłakał z bezsilności. Goryl kopnął drzwi, wyniósł szamocącego się do budowanej właśnie umywalni i tu cisnął na kilka zwłok, czekających wywiezienia, pomiędzy kupą cegieł a żelaznym korytem.

— Udawaj umarlaka$_5$ jakby przyszli — powiedział. Narzucił koc na zwłoki. Henryk wtulił głowę w zgięte

ramię, rozpłaszczył się i zamarł bez ruchu. Było nawet ciepło i miękko. Ogarnęła go senność. Nie słyszał ani tupotu nóg na korytarzu, ani krzyku ozdrowieńców proszących o życie. W półsennym odrętwieniu, obojętny na wszystko, leżał pod kocem, póki nie wrócił Goryl. Twarz sztubowego była skrwawiona, wargi miał rozcięte. Zrzucił bluzę i koszulę, obmywał krew pod kranem. Potem podszedł do okna. Długie ręce założył na plecy, palce zaciskał i prostował, jakby dusił kogoś niewidzialnego. Wówczas Henryk przyczołgał się do ściany, wstał i przystąpił do niego.

Z dziedzińca wychodzili ostatni chorzy kierując się wprost na Jedenastkę, tylko pod murem siedziało jeszcze kilku, opartych o czerwoną ścianę, nie wiadomo — żywych jeszcze czy martwych. Nieruchomi, zastygli w osobliwych pozach niby wyrzezane z drzewa figury, czekali na tragarzy. SDG stał w wyjściu chłostając trzcinką zbyt wolno kroczących.

— To nie szpila. Gaz — odezwał się Goryl. — Gaz! Rozumiesz? Przez was wszystko, pierdolone inteligenty, zasrane bohatery, przez was! Coście narobili? Wojnę żeście sprowadzili.

Zachłystywał się słowami, krzyczał, mieszał klątwy polskie i niemieckie, wpadał w gwarę. Henryk zrozumiał tylko tyle, że się gniewa na coś, czego nie pojmował. Gaz? O jakim gazie krzyczy?

Goryl zresztą dopiero przed chwilą połączył sobie fakty: jeńcy byli w piwnicznych celach, esesman z dezynfekcji wiózł puszki z gazem trującym robactwo, z cyjanowodorem czy czymś takim. Puszki miały banderole z trupią czaszką

i napisem „Giftgas”*. Na blok jedenasty zwieziono glinę. W piwnicach są małe okienka, wychodzące na podwórze. Chorych wybrano na śmierć.

— Wytrują was jak robactwo! A ja jest Reichsdeutsch, mnie nie ! — krzyczał trzęsąc ogłupiałym Henrykiem. — Wytrują!

Zaniósłszy chorego z powrotem, wypił dwie szklanki ben- zynówki i rozgrzany trunkiem podskakiwał w miejscu, aż zastukały o siebie szafki przepierzenia. Czuł potrzebę ruchu, ruchu za wszelką cenę, ale dopiero po odwołaniu zakazu opuszczania bloków mógł wypaść na obóz.

Była południowa przerwa, część komand przebywała więc w obozie na obiedzie, mimo to ulice wydawały się wymarłe. Tylko nieliczne postacie przekradały się chyłkiem do bloków. Ogromny wóz o wysokich la trach toczył się w stronę Jedenastki, ciągniony przez leichentragerów. Goryl pobiegł na brzozową alejkę za blokami. Listki trzepotały w zimnym wietrze, zza ogrodzenia widać było żółte korony drzew. Sztu- bowy szybkim krokiem przemierzył kilka razy alejkę, aż poczuł głód. Pappi będzie miał kupę porcji po zagazowanych— pomyślał i popędził do niego. Zastał go przy krajaniu margaryny. Na łóżku leżał Kuleczka oglądając albumik fotografii. Goryl usiadł przy nim, z ciekawością patrzył na nagie parki.

— Jak to, kurwa mać, zdjęli? — dziwił się Kuleczka.

— Daj margaryny — powiedział Goryl. Pappi policzył końcem noża kostki tłuszczu, rzucił dwie sztubowemu. Usprawiedliwiał się, że więcej nie może. Maluje blok na nowo i musi mieć na malarza i na kupno farb. Kuleczka chichotał na łóżku. Pappi pogłaskał go po

głowie, wyciągnął gazetę i podał Gorylowi.
— Wygrywamy. Jak tak dalej pójdzie, wszystko się raz dwa skończy i nareszcie pójdziemy do domu. Fiihrer zajmie Moskwę przed świętami.
Wieczorem Goryl wraz z kilkunastoma więźniami z obsługi
szpitala i i grupą Kamej Kompanii weszli do piwnic Jedenastki. Dano im maski gazowe, obiecano dodatek żywnościowy, ale zagrożono śmiercią każdemu, kto by wydał tajemnicę piwnic. Podziemie Jedenastki pełne było słodkawej, duszącej woni. Kilkaset trupów w koszulach tłoczyło się w piwnicach i trzeba było wynieść je na powietrze, na dziedziniec, gdzie czekał już na nie ogromny wóz o wysokich latrach, zaprzężony w ludzi.

Zrazu wieść o wymordowaniu chorych i jeńców utknęła w szpitalu i Kamej Kompanii, ale gdy przedostała się na inne bloki, nikt nie chciał jej wierzyć. Rozstrzeliwano od czasu do czasu grupki więźniów, prawda. Katowano przy pracy bez przerwy, zabijano pałkami, łopatami, strzelano, prawda, wszystko to prawda, ale żeby na raz wytruć gazem kilkuset? Wdychiwano jednak ostrożnie powietrze koło Jedenastki.

Bolek zdobył od kolegów z Kamej Kompanii dwie wojskowe książeczki jeńców, znaczki rozpoznawcze i metalową blaszkę, na której wyryta była droga zamordowanego. Kilka miejscowości polskich oznaczało miejsca bitew, potem szły nazwy miast: niewola, etapy jenieckie, obóz jeniecki Lamsdorf, potem już tylko Auschwitz. Duszący lęk, jaki ogarniał wszystkich, którzy uwierzyli w wiadomość o masowym mordzie, jemu się nie udzielał. Wychowany na warszawskim Powiślu, czerwony

harcerz, działacz lewicowej młodzieży socjalistycznej, współtowarzysz założycieli lewicowej organizacji polskich socjalistów — był wesołym chłopakiem, lubiącym ryzykowną robotę konspiracji. Dokumenty, zdobyte na Jedenastce, wyniósł pewnego dnia wychodząc z komandem. Przy bramie stał sam komendant obozu, Hoess, trzymając za uzdę konia. Miał zwyczaj konno zwiedzać teren robót i sprawdzać ich postępy. Lał strumieniami deszcz. Z kąta obozu, gdzie urządzono „Kriegsgefangenenlager", wychodziły kolumny Rosjan. Było ich wiele tysięcy, ale co dzień wracało mniej. Bolek przeszedłszy bramę upuścił na ziemię pajdę chleba. Wiedział, że maszerująca za jego komandem kolumna Rosjan podniesie ją. Któryś z esesmanów zauważył jednak chleb wcześniej niż jeńcy, zatrzymał komando, odprowadził na bok.

Wśród kilkudziesięciu więźniów komanda większość stanowili młodzi towarzysze Bolka, piętnasto-szesnastoletni chłopcy z warszawskiej organizacji, którymi się opiekował w obozie. Szybko wyjął spod bluzy zawiniątko z dokumentami, podał szczupłemu blondynowi, Lali. Niech schowa. Kiedy esesman zapytał, kto rzucił chleb, wystąpił.

— Wypadł mi chleb — powiedział. — Czy mogę podnieść? Esesman pozwolił. Skibka leżała na skraju drogi, ubłocona, zmiażdżona butami. Porwał ją i przytulił do piersi. Trzeba zabawić dziada, bo inaczej zrobi rewizję. Zaczął łykać wielkie kęsy patrząc uważnie w twarz esesmana, potem muzułmańskim truchcikiem wrócił do kolumny. Biegiem ruszyli przed siebie.

Komando kryło dachy w Rajsku. Stała tu niska, przysa-

dzista szkoła, jeszcze pachnąca wonią dzieci, mokrych ubrań. Stos ławek szkolnych, porytych kozikami, wycyfrowanych, piętrzył się przy drodze. Ładowano je na fury i wywożono. Wszedł na dach, stuknął kilka razy młotkiem, rozglądając się po najbliższej okolicy. Wreszcie ujrzał Czarnego. Stolarz od ogrodników, śniady chłopak w pasiaku, zbliżał się z pękiem listew.

Czamy zatrzymał się przy szkole. Bolek zsunął się z dachu, odebrał listwy, podał zawiniątko z dokumentami, zdjął bluzę. Czamy wrzucał w nią pudełka zastrzyków, pełne szklanego dźwięku.

Bolek przeniósł lekarstwa wieczorem, gdy wracał z komandem do obozu. W szkole posilił się chlebem ze smalcem, który dostał od polskiego wozaka, więc nie czuł tak zmęczenia, jak towarzysze. Zagadywał posta — esesmana pilnującego komanda — by nie spieszył, ze smutkiem patrzył na szare, pozieleniałe twarze najmłodszych kolegów. Trzech z nich dostało dziś drągiem, ale, na szczęście, nikt nie padł. Trzeba będzie skoczyć do kuchni, zorganizować zupę dla chłopaków — postanowił. W dali ciągnęły kolumny jeńców radzieckich, wracające ze wsi Brzezinka, gdzie rozpoczęto prace nad nowym, ogromnym obozem. Na barkach dźwigali martwych. Dziesięciu, dwudziestu, stu... Przy bramie, między drutami stało kilku więźniów rozebranych do naga, grała orkiestra w białych uniformach. Przycisnął przepisowo ręce do ud, wyczul kanciaste kształty pudełek.

Po apelu poszedł do szpitala, by oddać lekarstwa doktorowi Jasiowi, medykowi, który kierował sztubą na zakaźnym. Był to chorowity, cichy człowiek, malutki acz opuchnięty, wysmarowany jakąś żółtą mazią. Izbę miał pustawą,

po ostatniej wybiórce nikt się nie kwapił do szpitala. Ktoś zawołał Bolka po imieniu, poznał Jura od ogrodników z Rajska. Leżał obok chorego o wysokim, gładkim czole i wyle- niałych po tyfusie włosach.

Medyk wziął Bolka za przepierzenie z szafek, odebrał pudełka zastrzyków i trzęsącymi się dłońmi ważył je w powietrzu.

— Ty, Bolek! Coś przyniósł? — zawołał Jur. Krogulczy nos, wydłużony, wyostrzony chorobą, węszył. — A, z Rajska! Ładnie, ładnie.

Henryk Bednarek, czyli Matula, wysunął spod siebie basen, zawołał Jasia i medyk pospieszył do niego.

— Daj mi go na chwilę do kącika — powiedział Karol pewnego dnia Jasiowi. — Mam mu coś powiedzieć. Już wy- dobrzał przecież. Rozumie.

— Czego chcesz ? —przestraszył się Henryk rozpoznając w grubym sanitariuszu człowieka, który wprawdzie pierwszy mu pomógł w obozie, ale potem przepędzić chciał z ambulatorium. Karol położył palec na wargach. Szeptem wyjaśnił Bednarkowi całą historię zamiany nazwisk.

— Tak więc wkuj na pamięć dane i zapomnij o Bednarku. Nie ma Bednarka, nie ma i sprawy Bednarka. Pisać do domu nie możesz, przynajmniej póki wszystko nie przyschnie. Pomyślimy o zawiadomieniu rodziny, że żyjesz, ale nie teraz. Jeszcze by się zdradzili. Kogo masz?

— Żonę. I ojca.

— Zapomnij na razie o nich. Pocierpią, odcierpią. Dostali już zawiadomienie, żeś umarł na serce. Sam sprawdzałem.

— Jak to? Przecież mnie zaszpilowali?!

Karol zaśmiał się cicho. Każdemu wystawiają świadectwo zgonu, że chorował, że go leczono, że zmarł sobie na serce, na płuca, jak popadnie. Byle żona nie prosiła o urnę z prochami, bo poślą skrzyneczkę popiołu spod kuchni. Henryk nie rozumiał, nie pojmował swego ocalenia ani niebezpieczeństwa, jakie się teraz otwierało przed nim i wszystkimi
wmieszanymi w tę sprawę. Nie jestem Bednarek. Nie ma Bednarka — powtarzał w myślach. — Karol mnie ocalił, a potem Goryl. Gdyby nie Goryl, na nic by poszły wysiłki Karola. Poprosił o lusterko. Długo przyglądał się swej twarzy, nim uznał, że nie przypomina mu tej dawnej, jaką pamiętał z codziennego golenia. Opuchlizna zeszła ukazując wystające guzy policzków pokryte spękaną, żółtawą skórą, czoło cofnęło się w głąb czaszki. Włosy urosły wprawdzie, ale miękkie i rzadkie. Mam łeb jak kuper gąsiątka. Obca gęba — stwierdził zapominając, dlaczego patrzy w lusterko. Małpim ruchem przerzucił je do drugiej ręki, wykrzywił się, westchnął.

— Matula — burknął Karol — dużo ludzi zna cię tu w lagrze bliżej? Przypomnij sobie, to bardzo ważne dla nas i dla ciebie. Łokietek dowiedział się, żeś zaszpilowany. Zresztą on teraz robi w nocy w DAW. Ale inni?

— Nie spotkałem tu znajomych. Może są, ale nie spotkałem. Czasu nie było. Teraz i tak by nie poznali — mówił obojętnym, cichym głosem.

— Świetnie. Obawiałem się czegoś przeciwnego. To zmniejsza niebezpieczeństwo. Ale nie bój się, pomyślimy o tobie. Przyniosłem ci cukierki miętowe. Bardzo dobre...

Karol zwlekał z odejściem. Chciał wypytać Henryka o jego rolę w podziemiu, znajomości, kontakty, dowiedzieć

się czegoś o tych tam pracach, o siedzącego jeszcze w więzieniu partyjnego towarzysza Marka, który poprzez znajomych przysłał do obozu wskazówkę, by zadbać o Bednarka. Siedział onieśmielony jak zawsze, gdy przychodziło mówić o sprawach konspiracji, wreszcie oddalił się bez słowa pożegnania.

Sąsiad Henryka, Jur, w przeciwieństwie do reszty chorych, był gadatliwy, towarzyski, rozmowny. Często przyjmował zabronione regulaminowo wizyty kolegów, którzy przynosili mu nie spotykane w obozie przysmaki i papierosy. Siadali w kącie zaciągając się głęboko mocnym dymem.

— Co tam, frajerstwo. Za dwie paczki esesman przynosił sznapsa z knajpy, za dziesięć udawał, że nie widzi, jak człowiek babę pieprzy — pochwalił się pewnej nocy.

— Skądże ty masz tyle papierosów? — spytał Henryk. Jur zaśmiał się chełpliwie.

— A mam. Nie tylko papierosy.

Któregoś wieczoru przyszedł na sztubę śniady chłopiec o smolistych oczach. Był w czarnej koszulce gimnastycznej, kurtkę trzymał pod pachą. Pozdrowił Jura i zniknął za przepierzeniem u Jasia. Jur podniósł się na łokciach, wytężył słuch. Zza szafek rozległ się delikatny dźwięk czegoś szklanego.

— Skurwysyny—szepnął Jur.—Tutaj przynoszą.

Zlazł z łóżka trzęsąc się ze złości. Zuchwała, ostra twarz o krogulczym nosie pałała czerwienią. Skradał się cicho ku przepierzeniu, nasłuchując szmeru rozmowy, co się tam toczyła. Leżący tuż przy szafkach chory nagle zachrypiał głośnym kaszlem i lekko zsunął się z barłogu.

— Zaziębisz się, bracie, ta gdzie leziesz? — powiedział kaszląc.— Ta ja tobie coś powiem: zawracaj.
— Co?! Weg! Bo kości poprzetrącam! — krzyknął Jur. Zza przepierzenia wyjrzała usmarowana twarz Jasia.
— Co się tu dzieje?
— To ja się pytam! Czarny, chodź no tu! Na słówko! Coś przyniósł? Co?
Śniady chłopiec wyskoczył zza szafek. Był już w kurtce. Chwycił Jura wpół i szepnął mu do ucha:
— Nie wygłupiaj się. Opiekunki kazały.
Jur zawrócił do łóżka klnąc po cichu. Kiedy Czarny wyszedł, Jasio usiadł przy Jurze.
— Masz dostać zastrzyk, prawda ? Co byś powiedział, gdyby ci wstrzyknięto na przykład ropę? Parę kropelek. Nie wiedziałbyś nic. Nawet sekcja nic by nie wykazała. Pamiętasz kapo Seppa?
Kapo Śepp dostał się do szpitala i zmarł na zakażenie. Zabijał swych podkomendnych dla porcji chleba. Jur zamknął oczy.
— Jeszcze pogadamy z sobą — groził. — Ja tego Czarnego nauczę rozumu.
Henryk przysłuchiwał się starciu nic z tego nie rozumiejąc. Bardzo lubił Jura, który zawsze dzielił się przysmaka mi. Co zaszło między nim a doktorem? O jakich opiekunkach mówił Czarny? Słyszał jego szept przecież.
Jasio w nocy nie pozwolił na wspólne palenie papierosów, a paczkę ich odebrał Jurowi. Przy małej lampce za przepierzeniem przeliczył przyniesione przez Czarnego zastrzyki. Pieścił wzrok ich widokiem, dotykał palcem gładkiego szkła, ostrożnie zawijał maleńkie fiolki z ciemnobrązowym płynem. Potem wyciągnął z metalowego

pudełeczka paczkę bibułek papierosowych, rozłożył kilka na stoliku i ostro zatempe- rowanym ołówkiem jął stawiać rządki maleńkich cyferek. Nucił przy tym pod nosem bez przerwy werset modlitwy: „Kto się w opiekę...” — to był bowiem klucz szyfru. Bibułki zwinął, oblepił leukoplastrem i wsadził w pustą skuwkę. Jutro da łącznikowi. Położywszy się przywołał obraz warsztatu stolarskiego w ogrodnictwie w Rajsku. Pusta buda. Narzędzia w szafce na ścianie, stół stolarski. Drzwi zamknięte na skobel. Noc. W pobliskich domach esesmanów gasną okna. Skrzypią drzwi. Kobiety wnoszą do warsztatu koszyki z żywnością i lekarstwami, wyładowują, markują wiórami i trocinami. Jakże pachną różowawe troty świerczyny! Najmłodsza kobieta szuka w szparach stołu. Palce natrafiają na przylepiony maleńki pakiecik. Chowa go między piersi.

Jasio czuje ciepły dotyk kobiecej piersi. Chorzy chrapią głośno, niespokojnie rzuca się w śnie Jur. Łobuz, wszystko zawali. Niech nie posyłają mu nic. Kiedy łącznik po raz pierwszy powiedział, że szmuglerkami są kobiety, że widział ślady kobiece na ścieżce koło krzaków, wyobraził sobie zaraz te tropy. Dołki odcisków w miękkiej ziemi, pełne deszczówki. Teraz zasypiając śnił, że Jur zamazuje owe tropy nogą.

Ktoś wołał o basen. Chory leżący przy szafkach zeskoczył i podał mu „kaczkę”.

— Ta cicho, wariacie, pana doktora obudzisz — szepnął. — Stul pysk!

Nad ranem Henryka ocucił głód. Jur ma pod zagłówkiem bułkę z masłem— pomyślał. Ostrożnie, by go nie prze- budzić, sięgnął ręką i wyciągnął strucelkę. Jadł łapczywie, potem pozbierał wszystkie okruszki. Chory spod szafek

śmiał się cichutko. I on nie spał.

Rozdział trzeci

Na płaskim, bagnistym polu wsi Brzezinka spędził Henryk pierwsze tygodnie poszpitalne. Była późna jesień, zbliżała się już zima, kiedy musiał opuścić szpital, gdzie szalał Pappi wyrzucając na obóz wszystkich co zdrowszych, a winnych ich przetrzymywania wydając esesmanom. Pułkownik Siar- kiewicz poszedł, za ubliżenie Pappiemu, do Karnej Kompanii, albowiem SDG ujął się za szefem szpitala, gruby Karol powędrował do bunkra Jedenastki, zdradzony przez szpicla, że organizuje jedzenie dla chorych i lekarstwa. Znaleziono przy nim medykamenty, których nie było w oficjalnym lekospisie szpitala, specyfiki, jakich nie możnę było dostać w całych Niemczech. Groziło więc grubemu sanitariuszowi śledztwo w Politische Abteilung i co najmniej Kama Kompania. Jasio poczuł się zagrożony, to on bowiem dostarczył Karolowi leków dla jeńców, na domiar złego poszedł do bunkra Jedenastki Jur od ogrodników, który wpadł po wyzdrowieniu na handlu papierosami. Mógł sypać. Trzeba więc było oczyścić sztubę. Pod nieobecność Karola Henrykiem Matulą zajął się Bolek i on to wykombinował, żeby Henryk poszedł na lżejsze komando. Ale Henryk rozumiał na tyle swoje nowe położenie, aby nie pchać się tam, gdzie mogła grozić dekonspiracja, postanowił więc pracować możliwie daleko od
głównego obozu, w Brzezince. Przed główną kancelarią spotkał w dzień wyjścia ze szpitala profesora Kamińskiego i na próżno udawał, że go nie widzi. Nasunął czapkę głęboko na czoło, kulił się, patrzył pod nogi, ale Kamiński spostrzegł go i poznał, zawołał po nazwisku.

Wysoki, rosły, smukły, o ostrej twarzy — Kamiński w porównaniu z Henrykiem wyglądał wspaniale. Był schreiberem komanda w Brzezince (mówił: w Birkenau), chwalił zajęcie i kapę. Zrazu dziwił się, że Bednarek żyje, bo przecież rozeszła się wiadomość, iż zaszpilował go Waluś, ale, ostatecznie, nie było się nad czym zastanawiać; ktoś puścił plotkę, nic więcej. Mówiąc patrzył Henrykowi bacznie w oczy i snadź wy czytywał w nich jakąś udrękę, bo zamilkł. Wówczas Henryk rzekł:

— Nazywam się Henryk Matula, Matula, nie Bednarek, profesorze. Matula — powtórzył, jakby się dziwił brzmieniu tego nazwiska. — Bednarek nie żyje, zaszpilowali go.

Kamiński skinął głową. Rozumiał, że Henryk powierza mu ciężką tajemnicę. Uścisnął mu dłoń i zaproponował pracę w swoim komandzie. A gdy Bolek uznał to za słuszne, Henryk znalazł się w Birkenau — w Brzezince.

Jeńcy radzieccy i komanda więźniarskie kończyli rozbiórkę chłopskich zagród i stawiali murowane baraki przyszłego lagru. Tam gdzie pracowali Ruscy, raz po raz łamało się z trzaskiem powietrze, a kule często dolatywały aż do czerwonego muru, wznoszonego przez komando Henrykowe. Szare widma, oznaczone literami SU, snuły się po równinie, jakby to poruszały się oderwane od ziemi jej cząsteczki. Jeńcy mieli zawsze błotniste twarze i ubrania. Upaprani gliną, ledwo trzymali się na nogach.
Równina wydawała się — przywykłemu do zamknięcia w małej przestrzeni — ogromna. Z jednej strony zamknięta wiaduktem kolejowym, z drugiej czarnym laskiem, dźwigała bure niebo, sięgające dalekich gór Beskidu. Wrażenie pustki potęgowały kikuty kominów, sterczące na

łysych placykach, i poplątane ścieżki, które obchodziły z daleka coś, czego już nie było. A jednak wystarczyło odejść trochę dalej od placu budowy, by natknąć się na ślady życia innych istot. Gdzieniegdzie pozostały kępy drzew i krzewów, a na gałęziach
rajcowały gromady wróbli, na próżno wypatrując pokarmu. Na skraju łąk płynęły w koleinach równoległe potoczki podtrzymując wysepki końskiego łajna. W trawie znajdowano ułomki sprzętów, skorupy garnków i malowanych talerzy, tu i ówdzie ziemia pachniała jeszcze obornikiem. Czasem zabłądził na łąki kot i czmychał przez pola spostrzegłszy pasiaste postacie.

Henryk polubił swoją robotę; widział jej materialny sens, skutek. Robił i coś z tej roboty wychodziło, obojętnie co. Kapo, podoficer z Pomorza, wyznaczał rano każdemu robotę i sumiennie pilnował, by ją wykonano. „Świat musi mieć zawsze swój porządek” — mawiał, gdy mu przyszło karać nieudolnych robotników, co też wykonywał sumiennie, ale bez okrucieństwa. Henryk w wyciągniętych rękach nosił cegły z placu do murarzy, Kamiński zapisywał wykonaną robotę, a czasem pomagał nakładać. Wówczas gdy nie widział kapo i esesman, dawał mniej. Najgorsze było tylko samo bieganie; za zwykły krok bił nawet Vorarbeiter Michałek. Kamiński, wysportowany i zahartowany, dodawał otuchy kolegom nie tracąc humoru.

— Dziś jest brukiew w zupie i kaszka — powiedział pewnego dnia, gdy przywieziono wcześniej niż zwykle obiad. — Nie pchać się do kolejki, bo kaszka będzie na dnie.

Lał zimny deszcz. Stożkowate postacie postów w pelerynach tkwiły w suchej czeluści bramy, różowi od ceglanego

pyłu Rosjanie ciągnęli po błocie trupy towarzyszy i ustawili się wielkim koliskiem wokół swego kommandofiihrera. Wózek z kotłem stał przy nie wykończonym murze, z kotła biła znajoma woń rozgotowanej brukwi. Henrykowi ślina pociekła z ust, jakiś ciężar opadał na dno brzucha czyniąc miejsce bolesnemu głodowi. Bolał żołądek i brzuch, gardło i trzewia. Oskrobał dłonie z błota i gliny, wyżął pasiak. Papierowy worek po cemencie, noszony na gołym ciele, nasiąkł był wodą; gdy przyciskał ramiona do tułowia, deszczówka oblewała brzuch i zadek. Wyciągnął spod kurtki blaszankę i łyżkę. Puszka po konserwach błyszczała jak nowa.

— Będzie gęsta zupa ? — zapytał Kamińskiego.

— W każdym razie gorąca. Para bucha jak z lokomotywy.

Przydałby się kęs chłeba, inaczej przecieknie przez zęby, że ani smaku nie poznasz.

Sędzia Janusik, malutki, wiecznie zaziębiony człeczyna, podskakiwał, by się rozgrzać, i nacierał czerwoną twarz dłońmi, jakby się mył.

— Wolałbym golonkę albo kapuśniak na kościach, ze sło- ninką — powiedział przerywając gimnastykę.

Vorarbeiter Michałek ceremonialnie odkrywał pokrywę kotła, nim jednak komando ustawiło się w kolejkę, pośliznął się i runął wylewając na siebie zupę. Krzyk oparzonego zabrzmiał jak sygnał. Henryk pierwszy rzucił się ku vorarbeiterowi, wijącemu się w kałuży zupy, kucnął i łyżką zbierał mazisty płyn z jego ciała i ubrania. Michałek, osaczony przez gromadę wygłodniałych, oskrobywany łyżkami i blaszankami, leżał zamknąwszy oczy i zacisnąwszy zęby. Na powiekach osiadły mu

skluszczone krupy. Henryk chwycił je palcami, a kiedy dotknął łyżką oczodołów, Vorarbeiter otworzył oczy. Henryk chciał się cofnąć, przerażony tym wzrokiem, ale pchano go z tyłu, ściskano ze wszystkich stron. Wyszarpnął rękę spod czyjegoś kolana, szukał łyżką nowych źródeł zupy. Była już wyjedzona. Wstał. Przy kotle tkwiła kolejka po jedzenie. Kamiński stał na czele, robił porządek.

Podnosili się z kolan więźniowie, umazani błotem, rozjuszeni smakiem zupy. Teraz wdychiwali tę samą woń, co przed chwilą. Wciągnęli łby w barki, napinali wątłe mięśnie. Henryk wysunął się naprzód, wpatrzony w obłoczek nad kotłem, za nim posuwali się inni, bokiem, ostrożnymi krokami, czujnie.

— Stawać w kolejce! — krzyknął Vorarbeiter. Zabłoconymi dłońmi przyciskał oparzone policzki. — Bydło sakramenckie, stawać w kolejce!...

Henryk w kilku susach dopadł kotła, zanurzył w zupie rękę z puszką, lecz już nie mógł jej wydobyć. Czekający w kolejce i atakujący stłoczyli się przy kotle w zaciętej bójce. Kapo i Vorarbeiter bili sczepionych z sobą przeciwników, ale ciosy dosięgały tylko najbliższych. Walczono pięściami i nogami, łyżkami i puszkami. Wysoki Kamiński górował nad tłumem; krótką łatą bił najzapamiętalszych, nawoływał do zaprzestania walki.

— Hańba, hańba! Przestańcie, wylejecie resztę zupy!

Henryk wreszcie wydobył swoją puszkę, dźwignął ją wysoko nad głowy, by nie wylano zupy. Wtem coś stuknęło w puszkę, wyleciała mu z ręki.

Spojrzał na pustą dłoń, poruszył palcami w powietrzu, ale nie namacał blachy. Młodziutki murarz, stojący obok

niego, padł na kocioł. Sędzia Janusik, stojący nieco dalej i czekający okazji, by dostać się do kotła, ukląkł raptem i zakręciwszy się runął w błoto. Dopiero teraz pojął Henryk, co się stało. Kom- mandofuhrer mierzył spod peleryny z rewolweru. Wokół kotła nie było już nikogo, komando ustawiało się opodal od nowa.

Zupy za karę nie rozdano nikomu. Kapo kazał Kamiń- skiemu i Henrykowi odciągać trupy między deski. Przy Janusiku znaleźli woreczek z czerstwym chlebem, Kamiń- ski schował go w rękaw.

— Ten ma dobre skarpety — powiedział Henryk patrząc na nogi sędziego. Między stertami desek zdjęli zmarłemu wełniane skarpety i podzielili między siebie.

— Dam ci chleb za twoją — zaproponował Kamiński.— Przecież nie będziesz latał w jednej skarpecie. Jak ją u ciebie znajdą, będzie kłopot. Za parę skarpet dają dwadzieścia pięć na dupę, a za jedną nie będą mogli obliczyć, ile. Gotowi zwariować. Taki nieporządek! Dasz?

Henryk chętnie pozbył się łupu. Chleb rozsypywał się w palcach, okruszki spadały w błoto. Kamiński patrzał na nie, 'łykając głośno ślinę. Kapo nawoływał już do powrotu.

— Matula, pójdziesz z tym kolegą, pomożesz — powiedział przedstawiając go wysokiemu, przygarbionemu mężczyźnie z teodolitem i mapnikiem. Dwóch jego towarzyszy siedziało na cegłach, czerwono-białe tyczki znamionowały mierniczych. Post ziewając czekał wyniku rozmowy. Starszy z mierniczych zachorował, musiał zostać, a robota pilna — tłumaczył wysoki, zacinając się i wybuchając potem urwanym wpół słowem, jak gdyby wystrzelonym z ust.

— Pójdziesz ze Spluwą, Matula. Tylko nie rób mi

zaś ale wstydu — powiedział kapo.

— Znasz się na tym gipsie? — spytał Spluwa pokazując teodolit, a kiedy Henryk przytaknął, wręczył mu aparat.

Pomaszerowali spiesznie przez bagniste łąki równiny, przeszli koło stawów. Post kroczył na przedzie, zatulony w pelerynę.

— Głodnyś pewno, co? — spytał Spluwa.

Wyciągnął z okrycia niwelatora kawał kiełbasy i dał Henrykowi.

— To dla mnie? Mam to zjeść?

Spluwa przystanął, spojrzał bacznie na przygodnego towarzysza.— Ty, Muszka, masz jeszcze kiełbasę? — zwrócił się do dźwigającego tyki kolegi. Muszka miał jeszcze zapas. Ułamał kawałek dla Henryka.

— Mam zawsze wszystko, co potrzeba — powiedział obrażonym tonem. Kiedy Henryk jadł, Spluwa przypatrywał się mu z rosnącym zaciekawieniem i współczuciem.

— No, no — powiedział. — Masz spust. Jak tam na komandzie? Dużo wykitowało? A u Ruskich?

Hehryk opowiadał idąc obok dobroczyńcy. Wzrok miał utkwiony w zamglonej, dżdżystej przestrzeni. Weszli na drogę. Post czekał pod drzewem. Szli w milczeniu spiesząc się tak, że Henryk opadł z sił i ledwo włóczył nogami. Wreszcie dotarli do samotnego domku ceglanego, krytego eternitem, którego płytki, szare i czerwone, tworzyły wesoły deseń. Spluwa pchnął drzwi. Izba była zupełnie pusta, bez sprzętów.

— Tylko szybko, Herr Scharfuhrer, już późno — przynaglał Spluwa. Henryk dopiero teraz spostrzegł w

kącie izby koszyczek nakryty kawałkiem ceraty. Esesman zrzucił pelerynę, zatarł ręce. Cmokał wyjmując z koszyka osełkę masła, chleb i litrową butelkę wódki. Usiadł na podłodze, wybił korek i upił kilka łyków. Obaj mierniczowie wynieśli się z izby. Henryk stał bardziej przerażony niż zdumiony. Czyżbyśmy uciekli razem z postem? — myślał.—Albo tamci nawieją, a ja wpadnę.

— Mogę wyjść za potrzebą? — spytał posta po niemiecku. Rzeczywiście chciało mu się lać, ale zamierzał również rozejrzeć się za nieobecnymi. Na dworze ich nie było, domostwo robiło wrażenie opustoszałego, jednak obszedłszy je spostrzegł otwartą stodołę, pełną popakowanych sprzętów. Wyprowadzają się albo wprowadzają. Ale gdzież się podzieli ludzie? Gdzie jest Spluwa?! Siedząc w wychodku, usłyszał głos kobiecy, ciepły i niski. Przez wycięte w drzwiczkach
serce zobaczył Spluwę, całującego rękę młodej dziewczyny. Muszka wyłaził ze stodoły roześmiany, za nim ukazała się kobieta, niosąca pustą torbę ceratową i plecak. Przechodzili obok wychodka.

— ...alarm był przedwczesny — mówiła starsza—ja mam zaufanie do Jura. Liściki proszę oddać dziś jeszcze, a pojutrze damy coś znowu. W warsztacie jest chyba bezpiecznie. Bardzo się cieszymy, że zastrzyki doszły...

Jur? Zastrzyki? Henryk gryzł wargę usiłując zrozumieć coś z tego wszystkiego.

— Matula! — wołał Spluwa z domu. Post gotował się już do powrotu, kobiety zniknęły. Muszka zapinał esesmanowi pelerynę na wypchanym mundurze.

W powrotnej drodze wszyscy milczeli, tylko post pod-śpiewywał śląską melodię ludową. Dopiero w obrębie

placu budowlanego Brzezinki zapytał Spluwa:

— Dawno jesteś w lagrze, Matula?

Henryk bezmyślnie podał datę przybycia do obozu. Spluwa zerknął na jego numer, przyszyty na bluzie, pokiwał głową. Gdybym był świnią, powiedziałbym mu: wszystko widziałem, dawajcie jeść. Dziś i jutro, i zawsze. Wiem, że dostajecie pomoc, wiem, że przekupujecie posta wódką, że spotykacie się z kobietami... -s— rozważał Henryk i w tej chwili przypomniał sobie scenę w izbie szpitalnej i Jura. Mówiono o jakichś opiekunkach. Dobrze się składa. Znam tajemnicę tych ludzi. Może się przydać.

— Dziwny z ciebie człowiek. Albo masz krótką pamięć, albo coś bujasz—powiedział cicho Spluwa. — Poczekaj, oddaj aparat. A więc, popatrz no na swój numerek. Nabuja- łeś z datą przybycia. Zugang z takim numerem przyszedł później.

Henryk rozejrzał się bezradnie: post czekał przyśpiewując sobie, Muszka kroczył dalej z tykami na ramieniu. Gdyby byli sami, rzuciłby się na mierniczego, zadusiłby na miejscu. Podejrzewał, że Spluwa wie o nim wszystko, że umyślnie zabrał go z komanda na tę osobliwą przechadzkę. Pragnienie zemsty ogarnęło go, ślepiło.

— Z bujaniem to ty daj spokój — powiedział takim głosem, że Spluwa odskoczył od niego. — Opiekunki się d
kłaniają panu. Sprytnie urządzone, ale gdyby ktoś powie-dział, co tam robisz, byłaby ładna historia.

— Matula! — szepnął Spluwa — nie wiesz, co mówisz! Jakie opiekunki? A, widziałeś... No cóż, musiałem kogoś wziąć z sobą na trzeciego, gdyby była kontrola. Żałuję, że ciebie wziąłem. Żarcie organizujemy, nic

wielkiego. Przyjdź w lagrze na blok, dostaniesz.

— A liściki?

Spluwa był już spokojny. Szyderczym wzrokiem mierzył Henryka. Kapuś? Ale i on nosi jakąś tajemnicę. Zresztą warto mieć na niego oko. Wystarczy szepnąć teraz słówko postowi, a kropnie go i zamelduje, że chciał uciekać. I po krzyku. Matula więc widział kobiety i słyszał część rozmowy. Ale o czym wie? Liściki? Kiedy Janina mówiła o poczcie? W stodole czy na dworze? Nie mógł sobie przypomnieć. Zbliżał się już do komanda.

— Muszka, zatrzymaj się! — zawołał. — Ten człowiek widział kobiety, słyszał naszą rozmowę i daje do zrozumienia, że mógłby, uważasz, coś komuś powiedzieć. Co ty na to?

Muszka przekręcił dłoń w powietrzu czyniąc znak skręcania karku.

— Powiedz no mu swoje przysłowie, Muszka!

— Człowiek jest głupie bydlę, panie ładny, głupsze od muchy. Mucha umie brać dla siebie, co potrzebuje, nawet z gówna. Nie jest zła ani dobra, po prostu — muszka. Byle w gównie nie pogrążyła się za bardzo, bo może nie wyleźć i sama się nim stanie. Mądre, co? Chcesz nas sypnąć, panie ładny?

Henryk milczał. Nienawidził ich obu, nienawidził każdego sytego, każdego mocnego. Rozstali się przy komandzie, gdzie post zabrał chorego i odszedł z całą trójką.

Kapo chrypiał ze złości, norma była nie wykonana, bo robotnicy nie mieli sił. Resztę zupy zjadł Vorarbeiter, on sam i pupil oberkapy, pryszczaty chłopak. Na szczęście dziś nikt nie sprawdzał wykonania roboty. O zmierzchu

ruszono z powrotem do lagru przepuszczając wielotysięczną kolumnę jeńców. Nieśli dwadzieścia parę zwłok.
Trupy sędziego i młodego murarza jechały na takach za komandem. Kamiński szeptem wypytywał Henryka o wrażenia.
— Znasz tych ludzi? — spytał Henryk. — Zwłaszcza tego wysokiego z teodolitem?
— Z widzenia tylko. Pracuje u mierniczych razem z moim bratem.
— Nie wiedziałem, że masz tu brata.
— Nie pytałeś o to, czy mam tu kogo bliskiego. Więc jak było? Ojej, czuć od ciebie czosnek! Jadłeś czosnek? A może kiełbasę?
— Jadłem kiełbasę. Zamknij się wreszcie.
Ale w obozie po apelu wyciągnął Kamińskiego na ulicę i powiedział:
— Słuchaj, temu mierniczemu to ja podałem datę mojego przybycia zamiast Matuli.
— To mu powiedz przy okazji inną datę. Mylić się wolno.
— Ale, słuchaj, ja mu nagadałem w złości nieprzyjemnych rzeczy.
Kamiński roześmiał się szczerze, głośno.
— Coś się nagle zrobił taki delikatny, jakbyś jadał pięć razy dziennie na obrusie?! Głupstwo, to nic poważnego. Mogę zresztą pogadać z bratem, jak chcesz, niech go uspokoi.
— Nie! Daj spokój!
— Coś rzeczywiście poważnego? No, powiedz, co cię gniecie?
— Nie mogę, naprawdę nie mogę.

Kamiński czekał jeszcze chwilę cierpliwie, w milczeniu. Szanował ludzkie tajemnice, nie nalegał więc na Henryka, potem odszedł w kierunku bloku, gdzie mieszkały komanda pomiarowe, i Henryk został sam na ulicy. Instynktownie zwrócił się ku szpitalowi, tam bowiem leżał początek wszystkich jego tajemnic. Przed blokiem zakaźnym spotkał Spluwę. Mierniczy spostrzegł go, przystanął i pokiwał głową, po czym zawrócił na sztubę Jasia.

— Zdaje się, żem się nie pomylił. Matula mnie śledzi. Stoi pod blokiem właśnie — powiedział lekarzowi. — Wezmę od ciebie odpowiedź rano przed apelem, teraz boję się mieć coś przy sobie.

Jasio przystał na propozycję, odebrał cukierek, zawierający szyfrowaną karteczkę, schował do kieszeni.

W jakiś czas potem Kamiński, po naradzie z bratem, wy ciągnął Henryka na rozmowę. Długo szukali miejsca, gdzie mogliby pogadać w cztery oczy; wszędzie byli ludzie, wszędzie była gromada. Dopiero po nużącej włóczędze znaleźli spokojny, odosobniony zaułek w budującym się bloku.

— Słuchaj, Henryk, to, co powiem, jest bardzo ważne. Tak się złożyło, że nie wiesz nic o mnie, podczas gdy ja wiem o tobie sporo. Znałem twoje prace przedwojenne, a nawet wiedziałem, kto się kryje pod pseudonimem „Baryka". Ciekawiło mnie to, bo sam będąc inżynierem i profesorem interesuję się nie tylko techniką. Zmieniłeś w lagrze nazwisko, nie wiem dlaczego i jak. Twoja rzecz, ale ja wiem o tym. Miałeś ostatnio przygodę z vermesserami i ja wiem coś więcej o niej. Tak dalej nie może być. Za dużo tych tajemnic. U mierniczych mówi się, że Matula jest szpicel...

Henryk drgnął, boleśnie uderzony tym słowem. Napotkał twardy, zimny wzrok profesora. Opuścił głowę.
—To oszczerstwo—szepnął.
—Śledziłeś Spluwę.
— Nieprawda. Spotkałem go przypadkowo po rozmowie z tobą. Czy, czy ty im powiedziałeś, że nie jestem... Matula?
— Nie. Nie upoważniłeś mnie.
— Groziła mi śmierć, zmienili numer, nazwisko, podstawili kogoś innego za mnie, nawet nie wiedziałem. Byłem w gorączce — tłumaczył szeptem Henryk.
—Masz świadków?
—Mam.
— Twoje szczęście. Nazwisko mogli ci bowiem zmienić na Politische. Teoretycznie, oczywiście, wszystko jest możliwe. Nie możesz mi powiedzieć, co zaszło między tobą a Spluwą?
— Nie, nie mogę. Teraz jeszcze nie mogę.
Profesor bawił się kamykami żwiru. Podrzucał je, łapał spadające w powietrzu, chwytał dłonią.
— Mnie gestapo proponowało swego rodzaju współpracę. „Pan jest znanym nacjonalistą. W obliczu wydarzeń — mówili — powinien pan zrozumieć nasze zadania ochrony Europy” — oświadczył po chwili.
— Mogłeś się zgodzić — powiedział pogardliwie. — Przecież chwaliłeś siłę i przemoc, mocarstwowość i...
Dajmy temu spokój, Henryku. Nie czas na taką dysputę. Siła decyduje. Każdy zdrajca, choćby potencjalny, winien być zabity bez miłosierdzia, natychmiast.
— Pijesz do mnie? Do mnie? Zrobię, co zechcę.
Ma mnie w ręku, profesorzyna — pomyślał Henryk. Tym razem pomiędzy mózgiem a mięśniami połączenia

działały sprawnie. Wstał i rzucił się całym ciałem na Kamińskiego. Obsunęli się z cegieł, wpadli w dół pełen zimnej wody. Henryk uderzył pięścią w twarz Kamińskiego, stanął w bajorze na śliskim gruncie. Profesor zanurzył się w wodę, lecz po chwili już trzymał Henryka w uchwycie ramion. Chlusnęła woda. Wyciągnął go na brzeg, między surowe mury, odrzucił jak kukłę. Padając namacał Henryk połówkę cegły, podniósł. Kamiński stał nad nim, groził nożem zrobionym z łyżki. Jego świszczący oddech głośniejszy był od gongu, który gdzieś tam daleko obwoływał ciszę nocną. Zrobiło się zupełnie ciemno. Z kwadratu nieba nad murami spływały drobne płatki śniegu.

— Po gongu już — szepnął Henryk.

— Twój ostatni gong. Przeżegnaj się — odparł cicho Kamiński.

Wówczas Henryk uderzył nogami w jego ciało i zerwał się w tej chwili, gdy Kamiński padał; zamachnął się cegłą, ale ramię nie napotkało oporu i zwisło. Nie dostrzegał przeciwnika, bal się ruszyć, by go nie chwycił za nogi. W ciemności pełnej białych, wirujących płatków coś się poruszyło, jęknęło, potem zapadła cisza, a jednak Henryk czuł niebezpieczeństwo, jak gdyby kilku Kamińskich skradało się ku niemu ze wszystkich stron. Potrząsnął głową. Nagle odwrócił się i stanął przed profesorem. Kamiński szedł boso po betonowej belce, z nożem w ręku. Henryk podniósł rękę z cegłą i w tej chwili poczuł kłujący ból w przedramieniu. Wielkie ciało Kamińskiego przywaliło go, ramiona ścisnęły. Zasłonił twarz podkurczając nogi. Nóż przedarł ubranie, zagiął się jednak na pasku. Kamiński wyłuskał Henrykowi cegłę z ręki, namacał gardło.

— Puść! — zacharczał Henryk. Opadł z sił w tej

sekundzie, gdy pomyślał, że przeciwnik jest o wiele mocniejszy.— Puść!

Kamiński usiadł na nim, kolanami przytrzymywał jego ręce. Nie wyjawiając żadnych szczegółów o kobietach Henryk opowiedział przygodę ze Spluwą tak ogólnikowo, że Kamiński zrozumiał tylko, że Henryk był świadkiem szmuglo- wania żywności przez Spluwę, a ten podejrzewa, że go chce zdradzić.

— Zobaczymy — powiedział puszczając Henryka. Gdzieś blisko rozległ się strzał karabinowy, światło reflektora przywędrowało do budynku, obmacywało mury i otwory okienne. Zaiskrzyły się płatki śniegu olśniewającą bielą. Obaj więźniowie przypadli do ziemi.

— Poczekaj tu, zobaczę — szepnął Kamiński i zręcznie wdrapał się na piętro. Reflektor nadal przeszukiwał okolice. Obóz spał. Nie dostaniemy się na blok. Będą strzelać. Musimy, psiakrew, wrócić. Ba, co powiedzieć sztubowemu? — Kamiński zląkł się tej myśli. Do bloku był spory kawał otwartej drogi, nie mogli ryzykować, z drugiej jednak strony — nie mogli tu pozostać do rana. Wszystko zależało od tego, czy sztubowy wykryje ich nieobecność lub czy koledzy zameldują mu ją; jeśli nie, nic by się nie stało, gdyby przyszli dopiero rankiem. Zeskoczył, wrócił do Henryka.

— Nic nie widać — powiedział. — Ktoś musiał polecieć na druty i post strzelił, a teraz pilnują ulic reflektorami.

— Ja idę — postanowił Henryk.

— Kropną cię zaraz za rogiem. Nie ma sensu.

— Racja. — Henryk usiadł. Mokre płatki śniegu padały miękko na twarz i topniały. Posunął się pod strop,

oparł
ościanę. Spać i tak się nie da, za zimno. Dobra okazja, żeby to wszystko przemyśleć od początku — postanowił, ale mózg był za leniwy, by działać.

Rano, skostniały z zimna, ujrzał, jak Kamiński naciera twarz śniegiem. W obozie wszczął się już ruch; kolumna, wychodząca co dzień przed świtem do odległej miejscowości, by przygotować tam teren pod budowę wielkiej fabryki dla IG Farben, ustawiała się pod bramą, w obozie rosyjskim ktoś obłędnie krzyczał.

— Stali pewno całą noc nago przed blokami — zakomunikował Kamiński. — Dziw, że nie zamienili się w słupy lodu. Byłby ładny obrazek.

Do gongu była jeszcze przeszło godzina, z wolna szarzało
niebo i wzmagało się zimno. Henryk kłapał zębami. Gong, apel, potem marsz do Brzezinki, robota w taką pogodę! Dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Głód nasunął myśl
0 Spluwie, nie tyle zresztą o nim samym, ile o jedzeniu, jakie mu objawił. Smak kabanosa czuł jeszcze teraz w ustach. Wszystko stracone. Nie dostanę nic, zupełnie nic. Przegrana sprawa. Oni noszą żarcie całymi koszami, skurwysyny. Koszami! A inni zdychają z głodu!

Gong jeszcze dźwięczał, gdy obaj pobiegli na blok. W zgiełku wysypujących się na korytarz gromad rozespanych więźniów ich przybycie uszło uwadze.

Śnieg stajał w południe. Kapo zwołał po obiedzie komando
1 ogłosił podział na trzy drużyny; jedna miała pozostać i kończyć budowę wartowni, pozostałe przeznaczone były do jakiejś innej roboty w Brzezince. Wybierał do tych

ostatnich tylko fachowców.

— Matula, ty znasz się na elektryce, co? Pójdziesz. Profesor też. Na vorarbeitera — oznajmił. — Tam już będzie inny kapo. Szczęść. Boże, chłopaki.

— Daj Panie Boże, panie kapo — powiedział Kamiński — Dziękuję.

Post odprowadził dziesięciu wybranych na skraj łąk. Jeńcy kopali tu głębokie, proste rowy brodząc po kolana w zimnej wodzie. Z ciężarówki wyrzucali zwłoki, układali w gotowych już dołach i zasypywali ziemią. Od beczki z chlorowanym wapnem szedł żrący odór po polu. Henryk spostrzegł, że post prowadzi w tym samym kierunku, w którym szedł niedawno ze Spluwą, chociaż inną, okólną drogą.

— Co ci? — spytał Kamiński widząc, że drży. — To gdzieś blisko, zaraz się rozgrzejemy.

Dotarli do samotnej, osłoniętej laskiem zagrody. To nie tu, za blisko—stwierdził Henryk uspokojony. Kilku więźniów czekało już na nich pod nadzorem długonogiego esesmana. Dwóch cywilów z zielonymi opaskami omawiało rozłożony na masce auta plan. Kamiński zameldował się esesmanowi.

Dom był obszerny, pusty. Henryk rozglądał się czujnie, uważnie po kątach, jakby spodziewał się znów dojrzeć koszyk z jedzeniem. Było tu ciepło, zacisznie. Kapo przyniósł suchą deskę, kazał napalić w piecu.

— Będziemy przebudowywać tę chałupę. Fajna robota — powiedział grzejąc ręce przy ogniu.

Henryk przysunął się do pieca.

— Ja tu jestem kapo, rozumiesz? No, kazali. Inaczej bym się nie urwał z kremo. Nieczynne. Popsuło się.

Cholerna robota. Teraz grzebią w Birkenau. No, cóż. A wy, kto? — spytał stojących przy piecu. — Same młode numery, żółtodzióby.

Pokazywał palcem po kolei, słuchał uważnie, co mówią. Józef, ślusarz z Warszawy, chudeusz wiecznie kaszlący. Szeroka, płaska twarz z syfilitycznym noskiem. Cieniutki, dziecięcy głos. Aresztowany za radio. Wdowiak, lekarz Kasy Chorych, w obozie spec do rozbiórki domów, człowiek o rozbieganych ze strachu, bławatkowych oczach. Aresztowany za gazetki. Ghandi, tarnowianin, lecz obieżyświat, co z niejednego pieca .chleb jadł, bezzębny łysoń poszczący nawet w lagrze co piątek. Aresztowany za przekroczenie granicy. Młodziutki, szesnastoletni Jerzyk bez jednego oka, wykłutego w czasie tortur, mówiący basem. Aresztowany za konspirację. Henryk Matula...

— ...aresztowany ...aresztowany przypadkowo.

Gdy wszyscy się przedstawili, kapo zlecił Kamińskiemu porozumienie się z majstrami, ludzi zaś wysłał na podwórze zagrody. Kamiński ustawił ich w szeregu i ćwiczył koliste ruchy ramion, by nie zmarzli.

— Chłopcy, słuchajcie mnie, a wszystko będzie dobrze — powiedział. — Nie wszyscy mnie znają. Rękę mam twardą, ale sprawiedliwą. Będziemy burzyć wewnętrzne ściany domu i murować nowe, założymy betonowe podłogi, damy nowe stropy. Tu będzie łaźnia.

Wyciągnął wycyganiony od majstrów notes, zapisał nazwiska i numery. Długonogi esesman z aprobatą śledził pierwsze kroki vorarbeitera. Kapo go nie interesował, wolał nie mieć z nim do czynienia, brzydził się człowiekiem, który palił zwłoki w krematorium, nie ulegało bowiem wątpliwości, że jest skazany na śmierć jako nosiciel

tajemnicy obozu. Z chodzącym trupem nie chciał się zadawać.

Zaczęła się robota. Kamiński przez wiele dni nie odzywał się do Henryka, traktował go jak obcego, choć śledził uważnie. Kiedyś Henryk, wywożąc taczkami gruz z domu w parze z Ghandim, powiedział:

— Poproszę Kamińskiego, żeby pozwolił wejść do budy ogrzać się trochę. Zimny deszcz.

— Nie pozwoli. Tobie nie pozwoli. Ja bym też nie pozwolił takiemu.

Henryk opuścił taczki. Płaszcz Ghandiego wydymał wiatr. Zdawał się być bardzo gruby, pękaty. Na chudej szyi tkwiła duża charakterystyczna głowa, nakryta małą czapeczką. Na pytający wzrok towarzysza odpowiedział:

— Ty Boga nie masz w sercu. Cynkier jesteś, Matula, podobno.

Henryk rozejrzał się po okolicy. Ogromny smutek kładł się na równinę, lekko zamgloną deszczem, brunatnoszarą, dotykającą nieba ciemnymi konarami drzew. Brzózki jak rozsypane mietliska sterczały koło gruzowiska, gdzieś w polu grzęzła ciężarówka dowożąca do rowów zwłoki z głównego obozu.

Pchnął taczki, ale ani drgnęły. Ghandi odjechał już drugim torem z desek, a on nie mógł ruszyć z miejsca. Słabnę — stwierdził z przerażeniem. — Lżej tu niż na poprzednim komandzie, a słabnę. Spostrzeżenie to wyparło wrażenie, jakie odniósł z rozmowy z Ghandim. Wdowiak miał pieniądze na koncie, kupował w kantynie zupę i papierosy, papierosy sprzedawał za chleb, Ghandiemu ktoś z rzeźni przynosił kiełbasę, Józef wieczorami robił fuchę na blokach, za co dostawał żarcie, jednooki Jerzyk miał

kolegów wszędzie. Aresztowali ich całą kupą. Któryś z nich pracował u ogrodników, skąd wykradał dla niego cebulę. Henryk był sam. Postanowił zwrócić się o pomoc do doktora Jasia.

— Niestety, mój drogi, nie mam nic dla ciebie — oświadczył Jasio tego wieczoru.

— A gdzie jest Karol? Karol mógłby pomóc, powiedzieć ci coś o mnie...

— Nie ciekawym. Karol jeszcze siedzi w bunkrze. Skąd ty go znasz właściwie?

— Z lagru, ale on coś wie o mnie.

— Ja też.

Henryk czuł, że mu łzy napływają do oczu. Miał Jasiowi opowiedzieć o zamianie nazwisk? Za nic. Wystarczyło, że wiedział Karol i Kamiński, a to powstrzymywało od wyjawiania tajemnicy komukolwiek. Zresztą nie przyszedł prosić
o pomoc dla Bednarka, lecz dla siebie, dla Matuli.

— Dostajesz przecież od mierniczych i od ogrodników — szepnął ze złością. — Sam widziałem. Dostajesz.

— Nieprawda. Przyśniło ci się, Matula.

Henryk pokiwał głową. Rozmowa wyczerpała go zupełnie. Wrócił na sztubę, w której panował wesoły głos Kamiń- skiego. Profesor mówił:

— ...naszego kapo wzięli więc na Politische za „sabotaż", bo nas nie pilnował, bo spał całymi dniami w budzie, ale nic mu nie zrobili, tylko przenieśli i to na dobre komando, do rzeźni. Wiecie, kto będzie nowym kapo? Kamiński. Tak. Nadaję się chyba, co? Zobaczycie.

— Ty będziesz jeszcze figurą — powiedział

Wdowiak.— Przepowiadam ci karierę. Urodziłeś się do bindy. Ja bym się bal. Mówią w lagrze...

Urwał spostrzegłszy Henryka.

— Wyjdę na dymek. Kapó, zapalisz?

Ghandi układał się do snu obok Henryka. Uważnie składał mokre ubranie, potem zdjąwszy koszulę wyłuskiwał z niej wszy bijąc je na paznokciu. Henryk zjadł całą, na dobę przeznaczoną porcję, czuł się syty. Wyciągnął się obok Ghandiego, zamknął oczy. Zatęsknił za domem, za Maryjką. Położyłby głowę na jej kolanach, niechby wodziła dłonią po twarzy, dotykała koniuszkami palców zmęczonych oczu. Poprosiłby
o szklankę gorącego mleka i patrzyłby, jak ściele tapczan. Zawsze przy tym nuciła. A więc wystarczy zacisnąć powieki, by być w innym świecie, cichym i łagodnym! Czuł, jak fala szczęśliwości ogarnia ciało, jak z dalekiej przestrzeni napływają dawno zapomniane wrażenia. O Maryjce prawie że nie myślał od czasu choroby; należała do tego innego świata, na który nie miał czasu. Teraz, syty a umęczony, zwracał się ku niemu po ratunek. Widział Maryjkę taką, jaka witała go późną jesienią trzydziestego dziewiątego roku, kiedy wróci! | wojny. Odnalazł ją w nowym mieszkaniu, stare zajęli Niemcy, w pokoiku na poddaszu. Wróciły wtedy studenckie
czasy miłosnego zacnwytu i biedy, póki nie dostał posady w magistracie, póki nie przygasły miłosne ognie. Ale teraz wspomniał owe dni właśnie. Maryjka myła go, szorowała wielotygodniowy brud, paliła szmaty, w które się przebrał umykając niewoli. Pierwszy kubek gorącego mleka po tułaczce. „Biedaku, biedaku” — szeptała wycierając mu brodę, pochlapaną mlekiem. Nie pozwoliła wstać z łóżka przez

trzy dni, karmiła jak chorego. Całowała w czoło pierwszej nocy. „Musisz odpocząć, kochany. Ja jeszcze troszeczkę poczekam”. Śnił tej nocy pożar lasów. Płonęły smoliste lasy. Porzucona w piachach autokolumna wybuchała wysokimi płomieniami. Żołnierze, czerwoni od łuny, osmoleni dymem, rozbijali oficerskie biedki, wdziewali bieliznę, buty z cholewami. Migały nagie ciała, jak z miedzi...

Rano Ghandi ubierając się wrzasnął, że zginęła mu kiełbasa spod siennika. Wczoraj był piątek, więc pościł odkładając ucztę na sobotę, a kiełbasę schował jak zwykle. Sztubowy wyganiał już z izby, nawoływano, by brać kawę, nie było czasu na dochodzenia. Dopiero na komandzie rzecz całą wziął w swoje ręce Kamiński. Paradował już z żółtą opaską ka- powską. W czasie przerwy obiadowej zebrał komando i oznajmił:

— Kto wykryje sprawcę, zrobię go vorarbeiterem... Matula, ty nie wziąłeś?

— Nie, kapo.

— Panie kapo.

— Nie wziąłem, panie kapo.

Kamiński zastanawiał się chwilę, potem wziął na stronę doktora Wdowiaka i spytał, czy jest możliwość poznania, kto zjadł kiełbasę, po odchodach, bez żadnych tam laboratoryjnych badań naturalnie. Po samym wyglądzie. Wdowiak wyjąkał:

— Tak jest, panie kapo. Kiełbasy było bardzo dużo, z piętnaście deko, esesmańskiej.

— Jesteś inteligentny człowiek, mógłbyś być śmiało vor- arbeiterem, Wdowiak. Zrób mi tę przysługę: sprawdź, jak będą srali, dobrze?

— Oczywiście, panie kapo. Doskonały pomysł, doskonały-

Niebieskie oczka doktora biegały od kapo do zarośli, gdzie była mała latryna, rów z żerdzią.

— Żeby mnie tylko nie obili — westchnął.

— Nie bój się. Działasz z mojego rozkazu. A szczególnie uważaj na Matulę. Jeszcze jedno. Jak tam chłopcy przyjęli moją nominację?

— O, bardzo, bardzo zadowoleni, panie kapo, bardzo.

— No, myślę. Tylko żeby mi nie utrudniali roboty. Przecież jestem za wszystko odpowiedzialny. No, zmykaj i obserwuj.

Wdowiak narzekał w południe, że go brzuch boli i wysiedział w latrynie, aż odszedł z niej ostami więzień. Wtedy zaczął badać kał. Jedna kupa wydała się mu podejrzanie inna, wyróżniająca się barwą od żółtych odchodów. Rozgrzebał ją patykiem. Ręce mu drżały. Musiał wykonać polecenie kapo Kamińskiego, a bał się narazić komukolwiek. Zresztą kiełbasę mógł ukraść ktoś spoza komanda, chociaż tej możliwości kapo nie dopuszczał. On chciał, by złodziej należał do komanda, i Wdowiak zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Pamiętał, kto gdzie siedział na żerdzi. Józef! Żal mu się zrobiło ślusarza, nie było jednak wyjścia.

Kapo wywołał Józefa. Chudy człowiek o śmiesznie spłaszczonej twarzy i siodełkowatym nosku nie wypierał się bynajmniej. Wziął, bo był bardzo głodny, zjadł zaraz w nocy. Dziwił się, że kapo tak krzyczy, szukał wzrokiem pomocy u towarzyszy, ale ujrzał w ich oczach solidarne potępienie. Henryk splunął z obrzydzeniem. Złodziej! Gdyby zorganizował co z kuchni, z magazynu, gdyby

ukradł esesmanom, ale swojemu, współwięźniowi! Kapo zabije go, jest silny; jak uderzy, to koniec- z Józefem — stwierdził wspominając noc w nie dokończonym bloku. Kamiński stał przed ślusarzem, milczał teraz. Mógł z nim zrobić, co chciał, zabić, wydać postowi, posłać do Karnej Kompanii, do bunkra, upokorzyć, ukarać, darować winę. Oddychał ciężko, krew napłynęła mu do głowy. Wiedział, że wszyscy nań patrzą, że czekają, co zrobi, jak postąpi.

— Ghandi, weż go sobie! — krzyknął nagle i przetarł zroszone czoło. Ghandi przyskoczył do Józefa, uderzył słabo, poprawił. Ślusarz się nie bronił. Stał z podniesioną głową, kaszląc, zapatrzony gdzieś w przestrzeń. Był tak samo słaby jak Ghandi, ale roślejszy, cięższy. Post, dojrzawszy zajście, przybiegł, zapytał Kamińskiego, co się stało.

— Nic, głupstwo — odparł kapo, ale gdy esesman zniknął za domem, podszedł do Józefa i jednym ciosem obalił go na ziemię, kopnął w brzuch. Ślusarz krzyknął. Wówczas Ghandi padł na niego, chwycił za gardło i wtłoczył w gliniaste błoto. Zabulgotała woda, żółta maź pokryła twarz ślusarza.

Wdowiak został więc vorarbeiterem. Tego wieczora porcję dzienną Józefa otrzymał kapo, ale oddał ją Ghandiemu. Sprawiedliwie. Jakiś czas oczekiwał Henryk dalszego ciągu sprawy, ukarania Kamińskiego, wyjaśnień, ale nic podobnego się nie stało. O powód śmierci Józefa nikt nie pytał.

Przyszła dżdżysta zima. Budynek na skraju łąk był już prawie gotowy, zamieniony na coś w rodzaju łaźni. Betonowe podłogi osuszano koksiakami, założono hermetyczne drzwi z wziernikiem, zamurowano okna, pleciony płot naprawiono, a dziedziniec wysypano grubym

żwirem. Równocześnie inne komando kładło tor od budynku w pole, wąski tor na wywrotki. Zwieziono drzewo na barak rozbieralni-szatni, zakładano urządzenia elektryczne. Pewnego dnia zimowego majster kazał Henrykowi podłączyć przewody. Henryk zerknął na plan.

— Tu jest błąd — powiedział wskazując czerwoną kreskę na siatce i fachowo wypowiadając propozycję ulepszenia instalacji. Majster zgodził się z jego uwagami, co więcej — poprosił o przeglądnięcie całego schematu.

Kamiński czekał na Henryka przy wyjściu.

— Nie wolno rozmawiać z cywilnymi. O czym mówiliście ?

— O instalacji.

— Nieprawda, nieprawda, nie wierzę. Za karę załadujesz cement na samochód. Biegiem. I na drugi raz zwracaj się najpierw do mnie. Jeśli kiedyś zobaczę, że zadajesz się z Niemcami!...

Worki były ciężkie, pięćdziesięciokilowe. Nosił je półbie- giem, wrzucał na ciężarówkę. Pył cementowy sypał się z rozdartego papieru na plecy, na mokry płaszcz, prószył twarz.

Po trzecim worku ustał. Nie mógł podnieść następnego. Jed

nooki Jerzyk podbiegł, pomógł wywindować ciężar, przytrzymywał od spodu.

— Wal, we dwóch będzie lżej. Wal naprzód!

Basowy głos chłopca dodał Henrykowi sił. Pobiegł. Zrzuciwszy worek spojrzał w twarz niespodziewanemu opiekunowi. Jedyne, niebieskie oko patrzało śmiało, pewnie.

— Dziękuję — szepnął. — Już nie mogłem dłużej.

— Hej, Jerzyk, chodź no tu! — zawołał kapo. — Co ty wyprawiasz? Ja go ukarałem, rozumiesz? Nic wolno pomagać. I to komu?

Post radził: — Walnij go, szczeniaka — i kapo musiał uderzyć. Lekko, tylko w twarz. Jerzyk złapał się za policzek.

Tej nocy śniła się Henrykowi zapora. Stał w suchym, pustym zbiorniku dyrygując ostatnimi robotami. Podniósł rękę i zielona ława wody ukazała się w otworach, na ułamek sekundy zatrzymała się, potem z ogromnym hukiem spadła w dół, ale ów ułamek sekundy wystarczył, by Henryk zrozumiał, że popełnił jakiś błąd w obliczeniach. Znalazł się w biurze konstrukcyjnym, przed dyrektorem o twarzy Kamińskiego. Obok, przy stole, stała Maryjka, w niebieskiej sukni. Dyrektor trzymał w ręce pejcz, Maryjka wolno zdejmowała sukienkę obnażając łydki i uda. — Nie bić! — krzyknął...

— Co ludzi budzisz? — jęknął Ghandi. Siedział na sienniku, w dwóch palcach trzymał kawałek krwawej kiszki, z której zwisała pachnąca skórka, zakończona patyczkiem. Palcami wydłubał grudę mięsa i podał do ust Henrykowi.

— Bóg się nad tobą zlitował — szepnął. — Wytrzymałeś tyle, wytrzymasz resztę.

Ale ta „reszta” była najtrudniejsza. Mroźne tygodnie lutego hulały po równinie Brzezinki. Obóz po lewej stronie drogi, długie szeregi przysadzistych baraków, stał już gotów na przyjęcie nowych transportów, na razie zamieszkany przez pozostałych przy życiu Rosjan. Równocześnie miernicze komanda wytyczały pola po drugiej stronie drogi pod nowe odcinki obozu. W tym

czasie komando Kamińskiego po ukończeniu robót nad przebudową domu rzucono do kopania rowów. Kamiński sposępniał, nie miał się gdzie schować przed śniegiem i deszczem, oberkapo odebrał mu część władzy, kommandoführer zaś. zmieniał dowolnie wszystkie jego zarządzenia. Mała grupka więźniów rozpłynęła się w wielkim komandzie i po paru dniach Kamiński musiał zdjąć żółtą opaskę. Niedługo jednak pracował razem z nimi, dzięki bratu dostał się do Bodenwirtschaft, do mierniczych, gdzie prowadził dla przyszłych wykonawców robót potowych jakieś wykłady fachowe z geodezji. Nowy kapo, Niemiec z różowym trójkątem homoseksualisty, był człowiekiem cichym, czyściutko ubranym. Esesmani nazywali go „hrabią". Graf von War- witz siedział od 1938 roku i cieszył się pewnym mirem u postów, kommando- i blockfuhrerów. Zaraz pierwszego dnia upatrzył sobie Henryka i zrobił go schreiberem komanda. Jerzyk pracował właśnie w wodzie po pachwiny, wydobywając szuflą gliniaste błoto, gdy spostrzegł go Warwitz. Rozkazał wyjść na brzeg.

— Złe, gówniarzu, pracujesz — powiedział. — Dalej, rozbieraj się!

Jerzyk posłusznie zrzucił mokre, zeskorupiałe ubranie. W nagie ciało uderzyło blade słońce lutowe. Warwitz przymkną! oczy.

— Podskoki... ćwicz! — zakomenderował nie patrząc. Spojrzał, gdy ciało chłopca, zwięzłe i blade, zaczerwieniło się i pulsowało szybkim oddechem. Kazał mu się ubrać i nie puścił już do roboty w rowie. Szczęściarz. Udało mu się w sam czas — pozazdrościł Henryk. — A ja mogłem wycyckać Spluwę. Byłoby żarcie

i inne komando by się znalazło.

Jerzyk wkrótce potem poprosił Henryka o rozmowę, ale przeszły dwa dni, nim mogli się spotkać sam na sam.

— Musisz mi pomóc. Mówili źle o tobie, Henryk, ale ja wiem, że tak nie jest. Ghandi mówił, że przez sen gadasz wiele ciekawych rzeczy. Wierzę, że jesteś nasz.

Szpicel? — przeraził się zrazu Henryk, ale odrzucił podejrzenie. — Gadam przez sen? Rany boskie, co wie o tym Ghandi ?

— Gdzie jest Ghandi? Muszę natychmiast z nim pomówić! Przepraszam cię, Jerzyk, ale to bardzo ważne. Czy mówił ci coś bliższego? O tym bredzeniu przez sen?

— Trochę. Wiem stąd, żeś coś pisał dla nas.

— Dła kogo?

— Dla nas. Dlatego mam do ciebie zaufanie, Henryk. War- witz jest pedzio, wiadomo. Ale jakiś inny, stuknięty chyba. Powiada: „Popieść mnie tylko trochę, nic więcej. Ja ci się odwzajemnię. Nic więcej". Hrabia. Co mam robić?

Rozmawiali spacerując na zapleczu bloku. Chłodny wiatr ciągnął od rzeki. Jerzyk wpadł za jakąś broszurkę, pewno kolportował. Razem z kolegami. Mówił, że ich wielu wzięto. Zapytał go o tę broszurkę i chłopiec streścił mu nieudolnie jej treść. Tak, to była chyba broszurka Henryka Bednarka — pomyślał, jakby to nie chodziło o niego.

— Słuchaj, Henryk, ja widzę, co się dzieje. Niemcy walą wszystkich. A tu co? Będzie się długo ciągnęło, a ja muszę żyć. I będę. Czy ja komu krzywdę zrobię, jak z kapą, no, wiesz. On dobry, delikatny. I żarcia ma w bród. Jeszcze pomóc mogę komu, tobie, innym.

— To... grzech—szepnął Henryk nie znajdując innego argumentu. Chłopiec zaśmiał się szyderczo, jedyne oko skierował ku niebu.

— Koleżka, co mi wynosił jedzenie, rozwalony. W tych rowach nie dam rady. Ciało rozmaka. Giczały sobie odmroziłem.

Zrzucił drewniaki i pokazał białe palce. Henryk długo je oglądał, nie wiedział, co odpowiedzieć chłopcu. Jerzyk zatrząsł się z zimna.

— Warwitz dostaje żarcie od ogrodników — powiedział — za forsę.

— Człowiek jest jak mucha — szepnął Henryk. — A zdaje mu się, że jest wyższy nad wszystko. Mucha nie filozofuje, mucha żyje. Nawet z gówna. Byle się nie utopiła.

Kto to powiedział, kto to mówił? Zamknął oczy, ale ujrzał tylko czerwone kółka. Na oślep pogładził czułym ruchem rękaw Jerzyka. Po raz pierwszy od wielu miesięcy rozmawiał szczerze z drugim człowiekiem, nie z numerem. Wziął go pod ramię i milcząc przeszedł główną ulicą obozu. Przed kantyną handlowano papierosami i tłoczono się w oczekiwaniu na sprzedaż dodatkowej zupy z brukwi. Pomiędzy blokami targowano porcje chleba, miski zupy, cebulę, mydło. Henryk spostrzegł Jura od ogrodników, przystanął. Jur łaził między handlującymi, od czasu do czasu wyciągał coś białego spod bluzy, wręczał kupującemu i brał pieniądze. Hen
ryk wysłał Jerzyka, by sprawdził, czym handluje. Okazało się, że słoniną. Miał spory połeć, pokrajany na cienkie plasterki, które sprzedawa' po dwie marki za sztukę.

Głód zachwiał Henrykiem. Wieczorną porcję schował

był na rano, postanawiając więcej jeść przed wymarszem, ale żołądek buntował się przeciw temu postanowieniu, bolał z głodu, który atakował wnętrzności krótkimi uderzeniami. Było to fizyczne uczucie czczości, pustki. Kiedy przychodził atak, Henryk nie mógł myśleć o niczym. Ta pustka wsysała każdą myśl. Teraz wyobrażał sobie tylko białą słoninę, pokrajaną w plasterki, zdawało mu się, że czuje jej słony, tłusty zapach. Ciemny wieczór zapadł szybko, gwałtownie, za pół godziny miał się odezwać pierwszy gong nocny.

— To ja pójdę. Warwitz czeka — powiedział Jerzyk i oddalił się szybko w ciemność. Wróciwszy na blok poczęstował Henryka kostkami cukru, które, rozpływając się w ustach, syciły głód i pragnienie.

Rozdział czwarty

Wiatr targał łąki. Wysokie trawy zrywały się raz po raz jakby do ucieczki, fale kwitnących zielsk rozbiegały się raptownie, lecz wracały potulnie. Na równinie przed lasem sterczały wyspy wysokiej zieloności, krzaki głogu i porzeczek wytyczały tu jakieś bezsensowne linie, pomiędzy prostokątami halizm bielały i różowiały samotne jabłonki. Sienny, ostry zapach łąk wciskał się między drzewa lasku i podpływał aż ku polanie, gdzie żółciał głęboki rów. U wlotu pracowały czarne kółka Karnej Kompanii, u wylotu zaś komando von Warwitza. Rów był długi, oba komanda jednak wydłużały go jeszcze bardziej, rozchodząc się od siebie. Kama Kompania, niezwykle liczna, bo zasilona całym transportem warszawiaków, pracowała w piekielnym tempie. Żółta ziemia, wyrzucana łopatami z dna rowu, osadzała na twarzach robotników gruby pył. Biegiem, unikając spotkania z kapo i jego

pomocnikami, którzy drągami poganiali ludzi, wywożono ją taczkami. Na drugim końcu rowu stał kapo Warwitz, zapatrzony w żółte mlecze, uginające się pod ciężarem trzmieli. Leciały w kierunku wysokich żywopłotów, zza których ukazywał się dach domu. Wiosna wybuchnęła nagle po słotnej odwilży i chłodnym przedwiośniu, grała wiatrem po łące, siała białe płatki z jabłonek. Jerzyk przesuwał paliki | rozpiętym sznurem. Wchodziły miękko w wilgotną ziemię. Warwitz zawołał go, kazał usiąść.

— Odpocznij — powiedział. — Pójdę do SK, do kapo, a ty przypilnuj tempa.

Kiedy się oddalił, Jerzyk objął niespokojnym wzrokiem komando. Henryk pracował na wierzchu, szuflując wyrzucaną ziemię do taczek. Ruchy miał zwolnione, a kanciaste jak automat; nabierał na łopatę parę tylko grudek, podnosił ją na tempa, obracał, cofał wolno, żeby wystarczyło czasu na odpoczynek. Podwinięte wysoko nogawki spodni odsłaniały pocętkowane mokrymi bliznami łydki. Z blizn ciekła gęsta ropa i roje much nurzały się w niej, nie odpędzane. Twarz szuflującego utraciła wszelką barwę prócz trudnej do określenia szarości. Zniszczona czapka opadła na uszy, ucinała pół twarzy, rzucała nikły cień na wklęśnięte miejsca policzków, doły sięgające ostro zarysowanych szczęk. Blade wargi poruszały się cierpliwie, jakby liczył wszystkie tempa wykonywanej roboty.

— Muzułman — szepnął do siebie Jerzyk. — Nie mogę mu pomóc, Warwitz zemściłby się na całym komandzie. — Kapo nie bił nikogo bez rozkazu esesmana, ale karał dotkliwie przez odbieranie jedzenia. Kradł zresztą obiadowe porcje, by obdzielić pupilów podwójną racją.

Henryk rozszerzonymi źrenicami wpatrywał się w

łopatę, poza nią niczego nie widział. Rano padł w dole Ghandi. Trzy- mał się dobrze do ostatka, dopiero wczoraj, gdy zobaczył stosy zagazowanych trupów, coś się w nim załamało. Wczoraj zemdlał, dziś zmarł przy robocie. Ale Henryk ledwo zauważył śmierć towarzysza. Mdła słabość owladała nim coraz bardziej, teraz tylko ramiona były od niej wolne, niby przyczepione do tułowia obce organizmy.

Łąkami od torów kolejowych sunie długi czarny wąż. Wiatr rozwiewa nad nim jaskrawy proporzec bławatkowego nieba. Na przodzie kroczy kilku esesmanów, eskorta z psami pilnuje ładu. Idą kobiety z maleńkimi dziećmi na rękach, matki prowadzą synów i córki, za nimi podążają dziewczęta w pomiętych sukienkach. Mają twarze blade, usta spieczone pragnieniem. Osobno maszerują mężczyźni, starzy i młodzi, zdrowi i chorzy. Rozmawiają z eskortą, pytają o robotę.

Długi wąż ludzi przechodzi pod kwitnącymi jabłoniami, płatki kwiatów sypią się na włosy kobiet. Ładnie tu i cicho.

Transport widać z polany, ze szczytu rowu. Znowu idą — pomyślał Henryk. — Dokąd? Po co ich tylu? Wykopiemy ten rów sami. Jeszcze SK dodali. Taki pośpiech, taki pośpiech... A jak dobrze było w tym domu w zimie! Ciepło. Betonowy strop. Poplątali plan instalacji — przypomniał sobie niejasno niedawną przeszłość. Ktoś uderzył go trzciną. Zielonkawy mundur zamajaczył przed oczyma. Przecież pracuję, szybko pracuję. Czemu bije? Zdjął czapkę.

— Ty, muzułman, dostaniesz kamy meldunek! — krzyknął esesman. — Numer?

Numer Henryk pamiętał.

— Nazwisko?

Czego on chce ode mnie? Jakie nazwisko? Nic nie powiem. Lepiej nie mówić. Nagle ujrzał czerwono-białe tyczki i czyjąś znajomą twarz. Esesman gdzieś się podział, na jego miejscu stał Kamiński, Spluwa i Muszka.

— Matula! — powiedział Spluwa. — Trzeba ci było? Teraz mnie wykończą. Na pewno. Przyszli specjajpie— przemknęło przez myśl Henrykowi. Dziwna rzecz. Nie stał już nad rowem, lecz pod czerwoną sosną lasku. I nie miał łopaty. Wzięli łopatę i będzie awantura. Niech oddadzą łopatę przynajmniej. Słabo widział twarze, a głosy zdawały się dochodzić z bardzo daleka.

— Jest okazja, żeby sprawdzić, powoływał się na Karola, mamy go pod nosem. Znam kapo SK, pozwoli pogadać. Zresztą zaraz się zacznie ta historia. Gruby wie, co robić. Jest tam i Kalafior.

— Nie znam — burknął Kamiński. — Karola znam z Warszawy, dość dobrze nawet. Zresztą po co ta cała heca?

Spluwa postawił na swoim. Z domu za żywopłotem dobiegał wesoły gwar rozmów, szczekały psy esesmańskie, ktoś perorował głośno po niemiecku.

Kama Kompania leżała w cieniu drzew. Było to tak niezwykłe, że więźniowie drżeli tuląc twarz do igliwia. Cztery trupy siedziały oparte o pień sosny rozdziawiając otwarte usta. Kapo machinalnie odganiał muchy gałęzią. Za kawał kiełbasy zgodził się na odbycie rozmowy z Karolem.

Gruby sanitariusz wychudł, skóra zwisała workami z kości policzkowych. Udręczony, mętny wzrok przywitał Spluwę i Kamińskiego. Spluwa szybko wypróżnił kieszenie oddając ich zawartość Karolowi.

— Podziel się z Kalafiorem. Dobra wiadomość.

Wracacie do obozu. SK zostanie w Birkenau. Co wiesz o Matuli?

Karol nie mógł sobie go przypomnieć, wreszcie powiedział:

— Znam. On jest pod lewym nazwiskiem. Polecali go. Co z nim?

— Muzułman. Nie pociągnie długo.

Karol spojrzał na Kamińskiego, potem na Spluwę, pokręcił głową. To po to ratował Bednarka, by Matula zdechł?

— Ty go znasz? — zwrócił się do Kamińskiego.

— Powiedziałem: chciał sypnąć Spluwę, szantażować go. Mamy charakter.

— To co innego. Ale nie sypnął. Zróbcie mu lepsze komando, to inżynier, a oprócz tego... Jak tam na froncie?

— Masz karteczkę w kiełbasie. Uściskaj Kalafiora. Dziś gazują Żydów polskich, wiesz? Trzymaj się.

Kapo zwoływał już Kamą Kompanię. Patrzył w stronę przerobionego na bunkier domu, strzygi uszami. Karol westchnął, odszedł.

Tymczasem Warwitz ustawiał swoje komando. Mówił coś, czego Henryk nie słyszał, nie rozumiał, pokazywał wąską dłonią żywopłoty i szyny kolejki. Ukazały się wywrotki wyładowane czymś białym. Żydzi ze specjalnego komanda wypychali je zza ogrodzenia.

Jazgot wagonetek przeraził Henryka, chciał się cofnąć, ale wszyscy szli już naprzód, więc i on poszedł. Stanął przy wózku, pełnym kobiecych zwłok, patrząc bezmyślnie na splątane z sobą białe ciała, na sztywne, wystające spod innych ciał ręce o zaciśniętych palcach. Na wierzchu leżała na wznak młoda dziewczyna o tęgich piersiach. Jedna pierś

była rozcięta bosakiem, a zakrzepła krew opływała drugą jak wyspę. W bujnych kruczych włosach tkwiły płatki jabłoni. Sam nie wiedział, jak ujął ją za nogi i ściągnął na ziemię. Za nią wysypały się zwłoki łysej staruszki o suchych piersiach i pomarszczonym brzuchu. Bezzębne usta pełne były różowej piany.

— Schneller! Schneller!* — wrzeszczeli esesmani z komanda i z obsługi komory gazowej, nawet spokojny Warwitz biegał jak oszalały, wzywając do pośpiechu. Henryk wolno ciągnął zwłoki za zwłokami na brzeg rowu i spychał w głąb. Stali tam jacyś więźniowie i układali je równą warstwą. Widział tylko białą masę ciała i żółtą glinę. Dopiero gdy poczuł w rękach mały korpus dziecka, mokry i śliski, zdumiał się: Dzieci? Po co dzieci? Co oni robią z dziećmi? To chyba przypadek. Zbłąkało się pewno. Zastygł z dzieckiem w ramionach. Ach, to mi się śni wszystko. Co za sen, co za sen...

Tysiąc trupów leżało już w dole. Ostra woń chloru pełzła po równinie, drażniła oczy. Łąkami od toru kolejowego zbliżał się następny transport. Sonderkomando wciągnęło wagoniki za żywopłot, trzy ciężarówki wyjechały stamtąd wyładowane odzieżą.

Warwitz odprowadził komando za lasek, gdzie mierniczowie wytyczali doły. Rozdał po jednym papierosie, pozwolił zapalić i przysiadł się do dowódcy eskorty. Rosły esesman gładził łeb wilczura, drapał go pieszczotliwie za uchem, pies zaś lizał go różowym językiem i prężył grzbiet.

— Śpiewać! — rozkazał. — Śpiewać!

Kapo sam zaintonował niemiecką piosenkę „O, du mein Bubikopf”**.

— Nie, niech śpiewają swoją, polską! — krzyczał esesman. Zerwał się, odpiął smycz wilczurowi. Ktoś zaczął od środka znaną piosenkę o białej róży, podchwycono ją od razu.

Wróć, ucałuj jak za dawnych lat.
Dam ci za to róży, białej róży kwiat...

„Rozkwitały pęki białych róż” — szepnął Henryk. Nie śpiewał, nie cieszyła ani nie smuciła go ta piosenka; była obojętna jak wszystko wokół niego.

— Jeszcze! — krzyczał esesman. — Polską pieśń. Żałobną. Na wasz pogrzeb, Polaczki. Śpiewać! Modlić się!

Wówczas Jerzyk wstał i drżącym basem zaśpiewał „Boże, coś Polskę”. Znał wszystkie strofki, śpiewał zrazu sam, potem
przy wtórze melodyjnego pomruku towarzyszy. Wdowiak trząsł się ze strachu. Siedział obok Henryka i szeptał mu bez przerwy w ucho: — Poślą nas do gazu za to, poślą nas do gazu...

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki Okrytą blaskiem potęgi i chwały Nagle spod Swojej usunął opieki I wzniósł te ludy, co jej służyć miały...

Henryk usunął się w cień. Tu było przyjemnie chłodno. Nadeszła obiadowa pora, a nie przywieziono jeszcze kotła, co go niepokoiło.

Jedno Twe słowo, wielki gromów Panie,
W chwili nas jednej z prochów wskrzesić zdolne,
A gdy zaslużym na Twe ukaranie,
Obróć nas w prochy, ale w prochy wolne...

— Na, ja. Du, Operettenheld, was hast du gesungen? — spytał esesman Jerzyka. — „Bosche” das heisst Gott. Gebet? Ganz schón*.

Jerzyk opuścił głowę na piersi. I tak by nie potrafił przetłumaczyć hymnu. Nagle zerwał się Wdowiak.

— Ja nie śpiewałem! Ja nie śpiewałem! — wołał, rozdygotany, po niemiecku. Esesman, zaintrygowany, jął pytać o treść pieśni. Nikt nie umiał jej przełożyć. Wdowiak, jąkając się, próbował wyjaśnić, o co w niej chodzi, a gdy skończył, schar- fuhrer powiedział:

— Warum nicht? Er soli haben, was er will. „Freie Asche", gut**.

Rzucił czapkę Warwitza daleko od siebie, kazał Jerzykowi po nią pobiegnąć. Kapo wiedział, co to znaczy: strzał w plecy, meldunek o próbie ucieczki. Chłopiec odwrócił się, gotów wykonać rozkaz, choć i on wiedział, co się za nim kryje. War-
witz stanął między nim a esesmanem, delikatną dłoń położył na lufie pistoletu. Wyniośle, z pogardą powiedział:

— Pięć paczek „Juno".

— Idż precz! Hrabia! Idź precz, ciepły braciszku! No co, co się gapisz?

Kapo wyciągał z kieszeni paczki papierosów. Trwało to tak długo, że Jerzyk zdołał pobiec po czapkę i wrócić. Warwitz ubrał ją, papierosy położył na ziemi.

— Merci* — ukłonił się esesmanowi, ale ten szybko chwycił pistolet za lufę i kolbą zadał cios chłopcu. Jerzyk postąpił krok, zatrzymał się, zachwiał i padł w ramiona Warwi- tza. Z kącika ust wypływała mu strużka krwi.

Zrobiło się tak cicho, że Henryk rozejrzał się półprzytomnie po okolicy. Znowu zobaczył czerwono-białe tyczki w polu, potem Spluwę i Kamińskiego, i Muszkę, potem zdrętwiałe twarze kolegów, zwrócone w jedną stronę. Tam, w tej właśnie stronie, kapo Warwitz trzymał w

ramionach Jerzyka. Podszedł bliżej. A, umarł — stwierdził zobaczywszy krew na ustach. — Dlaczego umarł? Żył przecież przed chwilą. Spojrzał na słońce. Nie przywiozą dziś obiadu. Essenträgerzy zawinili. Im wszystko jedno, wyżarte byki. Albo kapo tak zarządził za karę. Za jaką karę, za co?

Kapo złożył ciało chłopca na trawie, ukląkł przy nim, pomacał puls, potem wstał i otrzepawszy spodnie dał sygnał gwizdkiem. Kiedy rozpoczęto od nowa kopanie dołu, powiedział Wdowiakowi:

— Potwierdzisz, że on handlował z scharfuhrerem Nowot- nym papierosami, że sam widziałeś, jak Scharführer bierze od niego papierosy „Juno". Papierosy „Juno"! A potem zabił go. Zrozumiano? Nie bój się, nic ci się nie stanie. Ale jak coś pokręcisz, będziesz miał do czynienia ze mną.

Wdowiak łykał ślinę, nic nie mówił. Głos Warwitza był spokojny, lodowatozimny.

Kapo podszedł do Henryka, powtórzył polecenie, ale machnął ręką. Nieruchoma maska twarzy i rozszerzone źrenice Matuli należały do śmierci, nie do życia.

Wieczorem komando wracało do głównego obozu. W Brze

* dziękuję

zince pozostało tylko kilkaset jeńców radzieckich, kilkuset Żydów polskich i słowackich i kobiety. Stały na apelu między barakami, w luźnych worach sukien, drelichach pozostałych po zabitych jeńcach, ostrzyżone do łysa, w ciężkich sabotach. Przybyły wczesną wiosną do głównego obozu, teraz przeniesiono je do Brzezinki. Henryk, przechodząc mimo, pomyślał: Zaludnia się równina,

baraków nie starczy. Po co sprowadzają nowe transporty, u diabła?!
W czasie wieczornego apelu rapportfiihrer osobiście lustrował prostokąty kolumn. Przy bloku Henryka długo oglądał trupy.
— A ten tu, co się stało?—spytał wskazując zwłoki Jerzyka. Wystąpił Warwitz i zameldował wypadek świadcząc się Wdowiakiem i dwoma innymi. Rapportfiihrer zapisał w notesie nazwisko esesmana.
Po apelu Warwitz zaprowadził Wdowiaka do szpitala, do Pappiego.
—Polecam ci doktora — powiedział. — Pomógł mi, Pappi.
—Nie potrzebuję lekarzy.
Warwitz opowiedział o śmierci Jerzyka, a wówczas kierownik szpitala zaklął. Miotał klątwy pod adresem scharfuhrera, odgrażał się mu, obiecywał zemstę, jakby chodziło o śmierć kogoś bliskiego. Jerzyka ledwo znał, tyle że go widywał z Warwitzem. Nie o niego mu chodziło, lecz o hrabiego.
— Odstąpię ci Kuleczkę, jak chcesz. Siadaj, siadaj, kochasiu. Więc ten lekarz pomógł ci? Dobrze. Wezmę go.
—Będą trudności, Pappi.
Stary uśmiechnął się dumnie. Arbeitsdienst jest Zielonym, zrobi wszystko. Pappi troszczył się teraz o Warwitza, częstował kanapkami, papierosami, wreszcie podał wódkę.
—Nie, nie piję dziś — powiedział Warwitz.
—Słusznie. Przepraszam, przepraszam. Jak tam dziś było?
—Polscy Żydzi.
—Bogaty transport?
— Nie wiem. Rozumiesz, że nie miałem głowy. Sam zbadaj w „Kanadzie”. To wygląda jednak bardzo

nieestetycznie.
—Hę? Jak?
—Nieestetycznie. Kiedy porównuję, jak pięknie wyglądał mój chłopak w chwili śmierci, z tą masą żydowskich trupów...

Nagle zwrócił się do Wdowiaka. Kazał mu przyjść nazajutrz po kartę przyjęcia do szpitala. Wdowiak łapał powietrze otwartymi ustami, nie mógł wykrztusić podziękowania.

Wkrótce po tych wypadkach z Karnej Kompanii powrócił gruby Karol i pułkownik Siarkiewicz-Kalafior. Przekroczywszy bramę obozu z napisem „Arbeit macht frei”* — poczuli się szczęśliwi. Wszystko tu wydawało się prawie piękne, spokojne, dostatnie. Ale to nie był ten sam obóz, jaki opuścili idąc do SK w Birkenau. Szalał tyfus, ludzie marli masowo. Zmarł stary Walicki, mimo pomocy towarzyszy, nie zachował się nikt z dawnych podopiecznych Karola, w sztabie obozowym pułkownika śmierć poczyniła też wielkie spustoszenia. A ludzi było w lagrze więcej, o wiele więcej, chyba z trzydzieści tysięcy. Po apelu wieczornym panował tłok na ulicach obozu, w nocy spało po trzech ludzi na jednym łóżku. Bo i łóżka się pojawiły, trzypiętrowe, drewniane, z garścią słomy w papierowym sienniku.

Szło piękne lato czterdziestego drugiego roku. Karol dostał się z powrotem do szpitala, gdzie potrzebowano ludzi, pułkownik zaś osiadł w kartoflami kuchennej, umieszczony tam przez towarzyszy broni i konspiracji.

Bolek ładował w Karola zastrzyki, nosił mu jedzenie, ale coś się stało łysemu, był milczący, bał się wszystkiego, łaził nocami po bloku i gapił się w czarne okna. Kiedy Bolek przyniósł prasę konspiracyjną, biuletyny i broszurki,

dostarczone do obozu, nie chciał czytać.

W najbliższą niedzielę Bolek zgromadził chłopców z komanda pokrywaczy dachów, ładniutkiego Lalę, czarnego Felka, Ludka, Szymka, zaprosił Czarnego i przeczytał im komunikaty. Od jakiegoś czasu frapowały go wiadomości podające, że utworzyła się „moskiewska" partia w Polsce, Polska Partia Robotnicza. Czytał pełne oburzenia komentarze usiłując na ich podstawie uzyskać obraz prawdziwy. Potem sięgnął
po broszurę w niebieskiej oprawie, na której widniał tytuł „Uprawa warzyw". Spojrzał na wewnętrzną, tytułową kartę: „Prawo wolności". W czarnej ramce podano, że autor zginął
w Oświęcimiu.

Czytał machinalnie, nie bardzo zastanawiając się nad treścią broszurki. Popatrzył na chłopców: siedzieli w kucki i podnosząc brwi zerkali na niego, jak gdyby w zdumieniu.

— Co się wam jadaczka moja nie podoba, że bez zębów? — zakpił, ale nie odpowiedział mu śmiech.

— Barania teoria — powiedział Czarny. — Obłoki, jak mawiał nieboszczyk Walicki. To co, mamy tylko czekać i „duchowo" walczyć? Niemiec zły, Ruski zły, niech diabli porwą! Przecie to pieprzenie w bambus. Ruski Hitlera leją i koniec.

Bolek przypomniał sobie, że pułkownik zalecał tę broszurkę słowami „wyborna rzecz". Ponownie zabrał się do lektury, szybko przebiegał wzrokiem gęsto zadrukowane stro- niczki tekstu. Niech go cholera, też się wybrał z takim pisaniem. Zmiął broszurkę, schował za koszulę.
Poczekamy, z tego wynika, że mamy czekać — denerwował się, zawstydzony milczącym zdumieniem

chłopców.

— Jutro będzie dla dziewuch margaryna — powiedział.— Rano musowo trzeba wziąć do Birkenau.

Chłopcy ożywili się, jakby zapomnieli o wszelkich komunikatach, biuletynach, broszurach. Kobiety, zwożone teraz do obozu, mieszkały zrazu w Auschwitz, teraz zaś przeniesiono je do Birkenau, do murowańców wystawionych przez Ruskich. A Ruskich już prawie nie było. Niemal wszystkich wymordowano, z dziewięć tysięcy. Zaczęli opowiadać swoje wrażenia, śliczniutki Lala miał tam już nawet swoją sympatię.

— Wymoszczą ci łóżeczko w blaszanym korytku, ślub ci da ksiądz z trupią główką — powiedział Bolek. — Cieplutko będzie.

Kobietom działo się gorzej niż im. Mieszkały w błocie, pozbawione wody i światła, zawszone i głodne. Trzeba będzie więcej lekarstw — myślał. — Na razie gazują tylko Żydów i zmuzułmaniałych chorych, ale później, kiedy skończą z Żydami?... Dreszcz go przeszedł. W Birkenau kopano wielkie doły. Po co?

Wyszedł z Czarnym, chciał go bowiem wypytać o Matulę, którego polecono wsadzić do komanda stolarzy z ogrodu w Rajsku.

— Jak kazali, to pewno będzie nawiewał, albo co?

Czarny zaśmiał się cicho. Nawiewał? Toż Matula ledwo zipie. Musiał być krzepki kiedyś, bo się jeszcze trzyma, ale słabo. Gdzie mu tam do ucieczki.

— Rozwaliliby was, jakby uciekł — powiedział Bolek, ale Czarny nie rozumiał. Jak to—rozwalili? Dlaczego?

Trzeciego dnia pracy w Rajsku Czarny pokazał Bolkowi „nowego”. Układał deski pod szopą. Był bez czapki i bluzy, pot spływał po niezmiernie wysokim, gładkim czole, po hakach wystających żeber. Spod wysoko podkasanych spodni widać było łydki, owinięte prawdziwym bandażem. Starzec jakiś — stwierdził Bolek obserwując ruchy nowego, jak mu się zdawało — pełne powagi, namaszczenia prawie. Kiedy się schylał, czynił wrażenie, że składa pokłon komuś niewidocznemu, kiedy dźwigał deskę, robił to z taką delikatnością, jakby unosił drogocenny przedmiot. Czasem tylko, spojrzawszy przed siebie na otwarte pola, na drzewa ogrodu czy jaskółki przelatujące kolo szopy, uśmiechał się i kiwał głową wesoło.

— Jak głuchoniemy — narzekał Czarny. — Ani nie gada, ani nie słyszy nikogo. Tylko mnie słucha jak pies. Patrzy w oczy i słucha. Przypieprzyli mu, widać, zdrowo.

Bolek przybijał papę na dachu warsztatu stolarskiego, gdzie pracował Czarny. Ranek był piękny, zapowiadał pogodę, Czarny z Mundkiem heblowali deski na dworze. Różowawe ostrużki pachniały żywicznie. Mundek nerwowo wybił klin hebla, wyjął ostrze.

— Nie mogę — powiedział. — Cały czas myślę, że przyjdą, zrobią rewizję i wszystko znajdą.

— Co znajdą?

— Choćby dzisiejszy ładunek. Człowieku, mamy cały worek lekarstw, masło i cukier. Nie powiesz, że to przypadkiem znalezione albo kupione w kantynie.

Bolek niespokojnie spojrzał na mówiącego. Był to męż-

czyzna trzydziestoletni, krępy i barczysty; szczupłą twarz

zdobiły wielkie, krzaczaste brwi, prawie żółte, bardzo ruchliwe. Ich ruchy zmieniały wyraz twarzy w okamgnieniu, teraz właśnie wykrzywił ją w grymas zniecierpliwienia. Piwne oczy o wypukłych gałkach przesłaniały raz po raz powieki.

— Za dużo o tym myślisz, Mundek — powiedział Bolek. — Źle za dużo myśleć. Ja i Lala weźmiemy część do lagru, resztę zabierzesz z Czarnym. Weź do pomocy kogo od szklarzy albo z inspektów. Mówiłeś, że swoi ludzie, pewni. I załaduj na tego tam muła — wskazał Matulę.

— Dobrze ci gadać. Gdy rano przychodzimy, to myślę: „jest? zostawiły?" I skóra mi cierpnie, że zamiast worka czy koszyka zastanę w warsztacie faceta z Politische. Gdy zobaczę, że towar jest, to znowu: co zrobić, gdzie schować. Gdy już schowam, to jak przenieść. A tu daj kapie, daj Jurowi, daj szklarzom, bo wywęszyli.

— Boisz się?

— Nie o mnie chodzi — urwał Mundek. Zbliżał się sam szef gospodarstwa, gruby esesman — żywa reklama piwa. Milcząc obejrzał robotę stolarzy, dotknął listew okiennych, z lubością przesunął dłonią po drewnie. Cieszyło go tu wszystko: ogromne inspekty, ogród, plantacja, wzorowo rozplanowane i założone zeszłego roku. Uśmiechnął się do Mundka, wyjął z kieszeni rysunek chłopskiego stołu na krzyżakach.

— Potrafisz, Mundek, to zrobić?

Znał tu wszystkich po imieniu, wiedział, że go nazywają „Wujek" i nie gniewał się o to. Stół był mu potrzebny do nowego mieszkania. Mundek obiecał wykonać obstalunek.

— Tylko scharführer Nowotny będzie klął i zrobi

nam meldunek.

— Nie zrobi, nie zrobi, Mundek. Tu Wujek rządzi i fachowcy, nie byle kto, tu jest gospodarstwo!

Zasapany, szczęśliwy, potoczył się dalej, do budynku, gdzie reszta stolarzy wprawiała okna.

— Zostanę na lipku, a wy dawajcie co wcinać — zaproponował Bolek. Czamy wyniósł z warsztatu chleb z masłem i cukrem. Zawołał Matulę.

— Naści, mule, wpieprzaj, tylko się schowaj do budy.

Matula skinął głową na znak podzięki i zabrał się do je-
105
dzeniaJ Nie pojmował jeszcze dobrze nagłej zmiany losu. Spluwa wyciągnął go był z. bloku, zaprowadził do kogoś, przepraszał za coś, potem poszli razem do Jasia na sztubę, gdzie dostał zastrzyk oraz gorzkie krople i gdzie mu obandażowano łydki prawdziwym bandażem, potem znów Spluwa przedstawił go więźniowi w czarnej koszulce, którego już znał skądś, a wreszcie — nakarmił gorącą kaszą. Tę kaszę pamiętał zresztą najlepiej. Parzyła usta, była sypka, brunatna.

Dostał się więc do stolarzy z obozowego ogrodu. I nikt go nie bił, że się wolno porusza, nie groził karnym meldunkiem za sabotowanie pracy. Jedząc patrzył na Czarnego, czy go nie zawoła. Ale śniady chłopak zajęty był rozmową z dekarzem. Ogrodnicy. Coś mu przypominało to słowo, to komando, coś wiązało się z tym pojęciem niewyraźnego. Ogrodnicy, ogrodnicy? Tak bardzo się chciało spać, powieki były tak ciężkie, że senność roztapiała wszelkie myśli. A jednak nie zasnął. Nie spuszczał z oka chłopca w czarnej koszulce, bo a nuż go

będzie potrzebował? Człowiek, z którym Czarny rozmawiał, nie wydawał się sympatyczny. Śmiał się często szeroką bezzębną gębą, a gębę miał kałmucką jakąś, upapraną smołą.

Henryk oblizał zatłuszczone masłem palce, spojrzał na swój cień. Był jeszcze długi, a więc do obiadu pozostawało sporo czasu.

Przed południem zjawił się w warsztacie Jur z kapo i z esesmanem.

— No, chłopaki, gotować obiadek — powiedział. — Zamawiam trzy ekstra porcje, dla mnie, dla kapo i scharfuh- rera.

Henryk przeżył niemiłą chwilę, scharfuhrer bowiem poznał go od razu. Był to ten sam esesman, którego kapo Warwitz oskarżył o handel papierosami. Nic mu się więc nie stało? Nowotny zagadnął go przyjaźnie, pytał o Wdowiaka.

— Nie wiem, gdzie jest. Odszedł z komanda przede mną — wyjaśnił Henryk. Nowotny klął pod nosem.

— Ale tyś nie zeznawał wtedy, co?

— Nie — zdziwił się Henryk. Nie wiedział, o jakie zeznania chodzi esesmanowi i dlaczego pyta o Wdowiaka. Zabił

Jerzyka — wspomniał, ale nie odczuł ani żalu, ani gniewu. Mundek majstrował przy maszynce elektrycznej i szeptem prosił Jura, by wyprowadził Nowotnego.

— Muszę żarcie wydobyć, zrozum. Nie powinien widzieć.

— A, to znaczy, że dziś babki przysłały cały sklepik.

Oczy się zaświeciły Jurowi, wciągał powietrze nosem, węsząc jak pies.

— Dasz mi dla moich klientów — powiedział. —

Potrzebuję słoniny, masła, cukru. Mam zamówienie cacy. I nie bądź głupi, ty. Za darmo nikomu nie dawaj. Niech bulą. Jest dobry interes do zrobienia. Słuchaj: mam tu jednego szofera, który za ubranie i pościel daje wódkę. Trzeba pogadać z chłopakami z „Kanady", tam pełno łachów. Z Bekleidungskammer wziąłem prześcieradła za cukier, poszły. Potrzebuję więc, zaraz, mam zapisane...

Z kieszonki wszytej w nogawkę spodni wydobył karteczkę.

— Wyprowadź Nowotnego, Jur! Co robisz? — szepnął Mundek. Łuki żółtych brwi latały mu nad oczyma. Jur uśmiechnął się pogardliwie.

— On jest u mnie w kieszeni. Papierosy. Za papierosy gotów do piekła wskoczyć.

Jednak wywabił go z warsztatu. Esesman spuścił wilczura ze smyczy i usiadł w słońcu.

— On zabił Jerzyka. Uważajcie — powiedział Henryk.— I wcale nie dał się przekupić papierosami.

Mundek gwizdnął. Więc to tak? Z Jurem już była raz historia. Musiał posłać karteczkę przez Spluwę, by opiekunki przestały podrzucać towar, bo Jur wszystko rozdaje kapom i swoim kumplom, ale nie posłuchały, wierzyły Jurowi, nie jemu. Kiedy Jur poszedł na tyfus, nawet kontakt się urwał. A teraz handluje bezczelnie lekarstwami i każe ludziom płacić za żywność. Na wódkę potrzebuje. Mundek był oburzony. Pamiętał, jak to zeszłego roku, po owej karteczce do opiekunek, kapo kazał mu rozwozić nawóz i nie pozwolił wejść do budy w największy nawet mróz. Jur zakapował, mścił się za doniesienie. Z nienawiścią obserwował go, rozmawiającego poufale z esesmanem. Muszę oczyścić budę i

przerwać na jakiś czas szmugiel, jeśli to prawda, co mówi Matula. Może być granda.

Odrzucił nogą wióry i rozgrzebawszy stos trocin wyjął karton, w którym przygotował był rano porcje na dziś. Ukrajał kawał boczku, wziął paczkę makaronu. Jest dziś z kilkaset zastrzyków. Przeniosą? — zatroszczył się myśląc o kolegach. — Jutro będą miemicy, ale lepiej nie czekać. Całe szczęście, że Jur wie tylko o tym przemycie.

Matula naprawił maszynkę, wyręczając go, i stał teraz gapiąc się na czerwone druciki spiralki.

— Matula, zapieprzaj po wodę — powiedział Czarny i Henryk śpiesznie podrypcił przed siebie.

—Gdzie leziesz?! Kran jest na lewo. Tam, przy cieplarni! Speszył się, zląkł. Czarny będzie się gniewał, gotów go wyrzucić z komanda!

Ogrodnik w pasiaku czyścił szmatką okna inspektów. Przez ramię miał przewieszoną skrzynkę z kitem, z kieszonki sterczała czerwona rączka diamentu i żółty metr.

—Gdzie jest kran? — zapytał Henryk.

— E, nowy, widzę. Cóż, ciponiu, stoisz przy kranie przecież — zaśmiał się szklarz. — Powiedz no swoim panom stolarzom, że Wicek szklarz się kłania. I jego pusty bandzioch.

Henryk przypatrywał się z zawiścią wysokiemu, opalonemu szklarzowi, na którego twarzy jaśniała różowa blizna. Mocny, pohukujący głos napawał go lękiem. Nabrał wody do blaszanego wiaderka po marmoladzie i chciał odejść, gdy Wicek zawołał, by polał mu wodę na ręce, zawrócił więc posłusznie.

W warsztacie powtórzył pozdrowienia Wicka. Mundek rzucił o ziemię łyżką.

— Udusiłbym własnymi rękami tego byka — powiedział gniewnie. — Co on, kpi jeszcze?

— Cicho! — przestrzegał go Czarny. — Nie wrzeszcz. Daj porcję dla Jura.

— Teraz właśnie?

— Trudno. Idzie na Harmęże, ma spotkanie. Razem z Wickiem właśnie i z Romanem.

Mundek wyciągnął karton i klnąc po cichu wręczył Czarnemu. Boczek z makaronem był już gotowy.
Koniec. Ja nie będę paprał się dłużej z żarciem. Do stu piorunów, koniec! Nie będę karmił kapów i prominentów. Napiszę, żeby nie przysyłali. Psu na budę taka robota!

— Cicho, cicho, uspokój się. Pieprzysz trzy po trzy.

Czarny nie rozumiał zdenerwowania przyjaciela, nie wyobrażał sobie niebezpieczeństwa.

— Proszę panów do stołu! — zawołał śmiesznie poważnie.

Henryk przycupnął w kącie i jedząc makaron obserwował
zebranych usiłując wbić sobie w pamięć nie tylko wygląd, ale również ich wzajemne stosunki. Czarny i Mundek nie sprawiali mu kłopotu; wiedział, że są przyjaciółmi, zgadywał po szeptem prowadzonych rozmowach, że łączy ich coś, co obce jest pozostałym. Jura znał ze szpitala i choć ten nie zwracał nań najmniejszej uwagi, jakby nie poznając, pamiętał go dobrze — ofiarodawcę papierosów. Jura Mundek i Czarny nie lubili, jasne, Mundek nawet chyba go nienawidził. Jur handlował na giełdzie słoniną, a i jakimiś lekarstwami w obozie, na co kiedyś gniewał się Jasio. Dzisiaj też

0 handlu opowiadał. Widocznie tak nie wolno robić, skoro Czarny i Mundek są źli z tego powodu. I z postem handluje, spryciarz. Roman, który nadszedł w czas posiłku, miał wielkie, odstające uszy, był szpakowaty, czerwony na twarzy. — Serwus, nowy — pozdrowił Henryka po pierwszym porannym apelu, kiedy ten przyszedł do komanda. — Będziesz miał jak w raju.

Trzeba się trzymać Czarnego i Mundka — postanowił. Zmęczyło go obserwowanie nowych towarzyszy, ciepło rozlało się po całym ciele, zamknął oczy. Drzemiąc nasłuchiwał tylko głosu Czarnego, szorstkiego głosu chłopaka z warszawskiego Powiśla.

Po południu zabrał się gorliwie do roboty segregując deski
1 listwy. Mundek pojechał z Romanem zorganizować materiał na stół dla Wujka, Bolek z pięknym Lalą powędrowali do osiedla obiecując przyjść wieczór, tylko Czamy pracował w warsztacie wycinając jaskółcze ogony w deskach. Na maszynce gotował się stolarski, cuchnący klej, którego tabliczki, do czekolady podobne, leżały na półce. W pewnej chwili Henryk spostrzegł, że Czamy wspina się na warsztat, odsuwa dyktę z pułapu i znika w niziutkim stryszku.

— Chodź tu! — powiedział Czamy zeskoczywszy po kilku
minutach z małym workiem, wyładowanym czymś szkliście dźwięczącym. — Ściągaj portki, prędzej! Stój spokojnie, bo ci przypieprzę!

Przepasał go na gołym brzuchu sztywną taśmą, do której jął przywiązywać podłużne pudełka o barwnych etykietkach.

— Ubieraj się! A teraz pójdziem na dwór. Chodź nor-

malnie! — rozkazywał. — Gut. A teraz szybciej. Links! Links! Links! Links !*

Henryk maszerował przytupując. Pudełka dobrze siedziały pod koszulą i bluzą, a ponieważ ta była obszerna, nic nie zdradzało ładunku. Czarny kazał mu czekać, aż zbierze się komando, i stanąć na zbiórce obok siebie. Wkrótce przybiegł Mundek z Romkiem i podczas gdy Henryk stał na czatach, ładowali szmugiel.

— Coś tego mało — spostrzegł Mundek. — Gdzie są weigle i glukoza?

Czarny wskazał głową Matulę i wybuchnął wesołym śmiechem.

— Wpieprzyłem mu całą glukozę i pudełka. Obwieszony jak choinka.

Mundek podszedł do Henryka, chciał coś powiedzieć, ale machnął ręką.

—Dla Bolka zostaw jak zwykle; przyjdzie po nas.

Wszystko?

— Wszystko. Tego zakopanego nie ruszałem. Mają wziąć landmessery, prawda?

Mundek wyrwał kartkę z notatnika, napisał parę słów i przylepił pod warsztatem.

— Drzewo będzie pojutrze, ale chcą sto marek — powiedział. — Będzie dębina. Jur coś nie wraca. Za kwadrans zbiórka.

— Wróci. Na babę poszedł — wyjaśnił Romek. — Wziął kapę. A ja byłem po tamtej stronie.

—Gdzie?

—Po tamtej stronie. Mógłbym nawiać.

— To czemuś nie nawiał? Co? Co wy robicie, dumie! Co wy robicie? Zapomnieliście, gdzie jesteście? Nawiej lepiej,

Romek, albo opamiętaj się, na Boga!
* Lewa!
— E, co mam nawiewać, źle mi tu? W domu tak nie miałem — odburknął Roman. — Wam dobrze się wymądrzać
Mundek zachłysnął się nie wypowiedzianym przekleństwem. Lepiej niż w domu?! Tu jest lepiej niż w domu?! Ale przypomniał sobie skąpe opowiadania Romana o tym jego „domu", o norze piwnicznej w Sosnowcu, o dzikiej kopalni,
0 dziecku, które urodziło się w ciepłej jamie hałdy i zmarło uduszone jej wyziewami, o żonie zarabiającej sprzątaniem w burdelu.
— Dobrze już, dobrze — powiedział cicho. — Tylko uważaj. Nie o ciebie tylko chodzi. W twoim domu ostatecznie nie rozstrzeliwali, nie dusili gazem, nie zabijali drągami.
— E, co z tego — odburknął Roman. — Tu żarcie jest zawsze.
Jur wrócił późno. Szklarze, cieplarnia, ogród ciągnęli już na zbiórkę, kilkaset kobiet wracało z roboty do Brzezinki. W luźnych sukniach i chustkach na głowach, maszerowały wolno drogą, oszczekiwane przez psy dozorczyń. Mundek ostrożnie przymknął drzwi budy, założył skobel. Długo, bardzo długo trzymał dłoń na czarnym żelazie, aż się uspokoiła. Potem stanął w piątce obok Matuli. Po drodze do obozu myślał bez przerwy o momencie przejścia bramy, czy będzie rewizja, czy nie. Ogrodników szczególnie często sprawdzano, aby nie wnosili do obozu jarzyn i owoców. Zaniepokojony patrzył ustawicznie na Czarnego i Henryka. Za Czarnego ręczył. Nie powie. Ale ten nowy?

Jeżeli go wezmą na kozioł
1wsypią parę kijów, czy nie wyśpiewa wszystkiego? Spluwa wprawdzie mówił, że wiele przeszedł, że jest twardszy, niż wygląda, jednak ryzyko było wielkie. Wyobraźnia grała. Po- wiem, że znalazłem w krzakach, to zrobią zasadzkę, a dziś w nocy kobiety znów przyjdą. Niemożliwe. Nie ma żadnego tłumaczenia. Będę milczał do końca — postanawiał.

Bramę przeszli jednak spokojnie. Orkiestra rżnęła głośnego marsza, między drutami stało kilku więźniów z podniesionymi ramionami, w obóz wlewała się ogromna rzeka pasiaków. Links! Links! Bęben wybijał rytm. Już nie starczyło placu apelowego; między blokami kotłował się tłum, komanda roz- sypywały się za bramą, ludzie biegli na wyznaczone miejsca zbiórki bloków. Pod EfFektenkammer stał nowy transport.
Dwustu cywilów, w ubraniach jeszcze, ze zgrozą i przerażeniem przyjmowało widok ożywionego nagle obozu. Czerwone obłoki świeciły nad blokami wróżąc wietrzną pogodę.

Henryk, pilnowany przez Czarnego i Mundka, był zupełnie spokojny, nie myślał w ogóle o tym, co robi, nie dziwił się niczemu. Czarny obładował go paczkami, a on lepiej się zna na rzeczy. Ufał mu bezgranicznie. Po raz pierwszy zresztą stawał do apelu niegłodny i ów stan tak go frapował, że zapominał o szmuglu. W czapce miał kilka papierosów, zaraz po apelu zapali sobie jednego albo może nawet i dwa od razu, a potem położy się nie czekając na gong. Ubranie jest suche, będzie wygodnie spać, wysoko, z pasiakiem pod głową. Byle tylko apel nie trwał długo, byle nie brakowało nikogo. Syreny ucieczkowej przecież nie

słyszał, więc ufał, że wnet rozpuszczą wszystkich na blok. Ładne niebo. Tu zawsze jest ładne niebo — pomyślał. — Dobrze, że mi się podoba. Będę chyba szybko zdrów.

Nie mógł jednak wrócić po apelu na blok. Mundek czekał na dekarzy i razem z nimi dopiero udano się pod szpital. Henryk zdjął czapkę, zapalił papierosa. Najpierw wszedł do szpitala Mundek z Czarnym, potem Mundek wziął Bolka. Henryk czekał naprzeciw Effektenkammer, gdzie rozbierał się
i składał ubrania nowy transport. Pierwsza grupa ruszała właśnie ku łaźni. Nagle rozległ się spośród niej głośny okrzyk:

— Bednarek!

Henryk błyskawicznie włożył czapkę, nasunął na czoło. To był Smolik! Niechybnie Smolik. Maszerował odwracając głowę i powtarzając „Bednarek", kiwał ręką w jego kierunku.

Papieros wypadł z palców. Jakiś przechodzień szybko rzucił się na niedopałek, porwał go i uciekł.

— Teraz ty — usłyszał Henryk głos Mundka za sobą. — Chodź! Co ci się stało, człowiecze?
Henryk drżał, dygotał jak w gorączce. Szła druga grupa transportu, a w niej dalsi znajomi i koledzy, dwóch, pięciu, ośmiu, dziewiąty... Było coś tak niesamowitego w owym nagłym zjawieniu się w obozie tylu znajomych na raz, iż wydawało mu się, że to przywidzenie, że powraca tyfusowa gorączka z rojeniami. Smolik, profesor Werner, trzech malarzy znajomych, inżynier — kolega...

— Co ci, Matula?

A więc to nie gorączkowe urojenia! Mundek stoi obok niego, żółte brwi wyginają się w luki zdziwienia. Na chwilę

uwierzył, że to umyślny krok wroga, że to piękny gestapowiec z więzienia, by zmusić go do zeznań, wymyślił wielką konfrontację.

Mundek siłą wciągnął go do szpitala. Poznał sztubę Jasia. W kącie za szafkami oddał cały ładunek i na rozkaz Mundka wybiegł na dwór.

— Idziem na blok — powiedział Czarny. Czekał na niego.— Cóż ty? Wyglądasz, jakby cię psami szczuli.

— Do Karola, ja muszę iść do Karola, zaraz, natychmiast. Pomóż mi, Czarny. Muszę mu coś powiedzieć — denerwował się Henryk. Czarny, któremu Mundek polecił pilnować „na wszelki wypadek" nowego, zrozumiał, że stało się coś rzeczywiście ważnego. Pełen trwogi głos Matuli i jego wygląd mówiły za siebie. Ale Karola trudno było znaleźć o tej porze. W bloku go nie zastali, w wielotysięcznym tłumie na próżno by szukali. Dopiero doktor Dudzik skierował ich do łaźni, gdyż tam miał pójść Karol, do transportu.

— Czarny, ja nie pójdę do łaźni. Wywołaj Karola. Błagam, wywołaj go natychmiast — prosił Henryk. — Będzie nieszczęście.

Czarny splunął zabobonnie, nie lubił, gdy ktokolwiek mówił o nieszczęściu, bał się uroczenia.

Wywołany z łaźni Karol ledwo pozna! Henryka.

— Czarny, leć do Kalafiora na kartoflamię. Niech zaraz przychodzi. Cholerny transport. Oficerowie i sama inteligencja. Pełno artystów. Z kawiarni wygarnęli, samą śmietankę. Zaraz idę do nich, tylko ich wysmarują. Niech Kalafior zawiadomi, on już wie kogo.

— W transporcie jest bardzo dużo znajomych, poznają mnie na pewno, jeden nawet już poznał, wołał

mnie po nazwisku — powiedział Henryk. — To jest właśnie Smolik.

— Jaki właśnie Smolik?

_Z podziemia. Szef prasowy. Smolik. On może o mnie powiedzieć wszystko, ale przecież wie, że zginąłem. Zna moją żonę. Chciałbym kilka słów... Nie, prawda, Bednarek nie
żyje. I żeby się nie rozniosło w transporcie, że Bednarek jest w lagrze.

Wyliczył wszystkich rozpoznanych znajomych, Karol zaś za każdym nazwiskiem kulił się coraz bardziej, jakby go one biły. Do tej pory o zamianie Bednarka na Matulę wiedział tylko on, Kalafior i Dudzik — nawet Jasio nie był wtajemniczony. Prawda, wiedział jeszcze Kamiński i Spluwa. Jeżeli powiększy się krąg wtajemniczonych... A przecież żyje jeszcze w lagrze Łokietek i ludzie z transportu Henryka, no
i niewykluczone, że są tu i inni, którzy mogliby go rozpoznać. Zmierzył go wzrokiem: póki muzułman — trudny do rozpoznania, ale wróci do normy u ogrodników, a wówczas upodobni się przecież do siebie, do Bednarka. Realne niebezpieczeństwo .istniało teraz w nowym zugangu. Ten jakiś Smolik może rozgadać. Wiadomość, że uznany za zmarłego Bednarek żyje w lagrze, może wywołać w transporcie wrzenie, jeśli tylu tam znajomych Henryka.

Praktyczny umysł Karola szukał najlepszego rozwiązania. Sam zestaw transportu niepokoił go przecież: oficerowie, malarze, rzeźbiarze, profesorowie.

— Dobra. Ja to już załatwię. Wal na blok i nie wychodź. Zdaj się na mnie. Żebym tak miał jeszcze kubeczek wódki! — powiedział. Łysa, wielka głowa, o

twarzy wysuszonej pobytem w Karnej Kompanii, ukazała się po chwili w łaźni.

— Haftlingskrankenbau! — zameldował rapportfiihrero- wi. — Kiedy ma przyjść schreibstuba do rejestracji?

— Jutro. Na blok jedenasty. Nie są wciągnięci w stan, przenocują w Effektenkammer.

W klozecie Effektenkammer stłoczono blisko dwustu przybyszy, wśród których uwijali się funkcyjni wyłudzając pierścionki i zegarki.

— A, Karol! — zawołał Jur podrzucając na dłoni kilka obrączek. — Szukasz zegarka? Już nic nie ma.

Karol wypytał, który z przybyszów nazywa się Smolik, powiedział odszukanemu, że znalazł jego nazwisko na liście transportowej i wspomniawszy pewnego więźnia, który zmarł w obozie, ale przed śmiercią opowiedział o nim właśnie, pospieszył go przywitać. Tłumaczenie było szyte grubą nicią, jednakże nic innego nie przyszło na myśl Karolowi.

— I ja wiedziałem, że zmarł, ale widziałem go przed chwilą na własne oczy — powiedział Smolik. — To niepojęte, a jednak to on. Takiego czoła się nie zapomina. To straszne!

— Tutaj wszyscy do siebie podobni. Pomyliłeś się na pewno.

Smolik przyznał, że to możliwe, bo przecież nie do wytłumaczenia byłby fakt tak długiego milczenia Bednarka. Mówiło się w Polsce, że wielu rzekomo zmarłych w obozie — żyje. Karol zaprzeczył. Pod tym względem SS jest sumienne. Smolik, nie znając Karola, nie zdradzał ochoty do szczerej rozmowy o Bednarku.

Siwy przybysz przyłączył się do rozmowy. Znał dobrze Bednarka, przyjaźnił się z nim wiele lat.
— Jak umarł? — spytał przedstawiwszy się: profesor Werner.
— Zaszpilowali go — odburknął Karol i, widząc zdziwienie w oczach profesora, dodał:
— Musicie być przygotowani na najgorsze. Tu jest piekło.
— Prosimy nie straszyć. Bądź co bądź zesłanie do obozu jest lepszą alternatywą niż rozstrzelanie i tę drugą wyklucza. Prosimy nie straszyć — mówił profesor. — Piekło jest wszędzie na tej ziemi. Ostatecznie zagarnęli nas w kawiarni, przypadkowych ludzi, cóż nam może grozić?
Kalafior z dwoma obieraczami kartofli przeciskał się ku Karolowi, czerwonymi oczyma szukał w ciżbie znajomych.
— Wyjdź, wyjdź! — wołał z daleka Karol bojąc się, iż pułkownik pokpi sprawę, jako że nie porozumiał się był z nim przed rozmową ze Smolikiem. Sam, mokry od potu, opuścił blok magazynowy.
— Transport był awizowany — zakomunikował Kalafior. Proszono, by się tymi ludźmi zająć. I całym transportem.
— Spotkał pan niejakiego Smolika? — zapytał towarzyszący Kalafiorowi major.
— Masz ci, no właśnie! Jest. A bo co?
Major spojrzał na swego towarzysza, potem na Kalafiora. Obaj kiwnęli głowami.
— To, jak piszą, ktoś z samej „góry” — dodał.
— Fiu! — zdumiał się Karol i wziąwszy na stronę Kalafiora wyjaśnił mu sprawę Bednarka i Smolika.
— Nie żyje, żebyś pamiętał, na miłość boską, bo narobisz kramu. Nie wyplączemy się.

Gdzieś od bramy niosło się wołanie, powtarzane przez wiele głosów, sięgało najdalszych zakątków obozu, zatrzymywało ludzi na ulicach, przeszukiwało bloki. Numer więźnia, rzucony przez rapportfuhrera sprzed głównej kancelarii, rozbrzmiewał raz po raz wśród wypalającego się dnia. Z Effektenkammer wyszedł właśnie Jur. Łowy mu się powiodły, w kieszeni miał kilka złotych obrączek. Ktoś powtórzył jak echo wywoływany numer. Jur drgnął. Zeskoczył ze schodów
i puścił się biegiem w stronę swego bloku bijąc stojących mu na drodze. Po chwili był z powrotem. Rozdęte chrapy krogulczego nosa, rozszerzone źrenice, świszczący oddech świadczyły o podnieceniu.
— Wołają mnie. Na bloku nie ma kumplów. Trzymaj, Karol, i oddaj na przechowanie Muszce od mierniczych. Albo Wickowi szklarzowi.

Jur wcisnął Karolowi do kieszeni ciężki woreczek i dwie paczki papierosów, odpiął zegarek, chwilę się wahał widząc trójkę obcych, ale i zegarek oddał. Sprawdził jeszcze kieszenie. Znowu ktoś zawołał jego numer. Odwrócił się, stał sekundę przygarbiony, potem pędem pobiegł w stronę bramy.

— Wracając do tematu, panie Karolu — powiedział Kalafior— major ręczy, że Smolik jest ważną personą, no i wiadomości mielibyśmy! Mam pewien plan w związku z tym.

Przywołał obu oficerów. Plan polegał na przeniesieniu Smolika do szpitala, by łatwiej nawiązać z nim kontakt. Przeniesienie miał załatwić Karol.

— Uwaga, ten brunet nam się przygląda — szepnął Karol uśmiechając się głupawo. — W razie czego —

rozmawiamy
o tyfusie, tak. Jak się chronić.
Wysoki, przystojny więzień stał naprzeciw, przy bloku szpitalnym. Palił papierosa i czarnymi oczyma patrzył na grupkę rozmawiających. W tej chwili nadjechał na rowerze „Tygrys", esesman z Oddziału Politycznego. Karol ściągnął czapkę. Tygrys zeskoczył z roweru, oparł go o blok, wstąpił na schody, ale nagle zawrócił.

— Wróciłeś z Karnej Kompanii? — zapytał przywoławszy Karola. — Jak tam było?

— Ciężko, Herr Untersturmführer — odparł Karol myśląc
0 woreczku Jura. Jeśli Tygrysowi przyjdzie ochota na rewizję, przepadł. Znał go z długiego śledztwa w bunkrze. Bił po jądrach trzcinką.

— O czymże to rozmówka? O polityce pewno — rzeki słodko Tygrys. — Albo znowu spisek. Co? Dokarmianie chorych, okradanie Rzeszy! Co?

— Nie, Herr Untersturmführer. O tyfusie. O tyfusie rozmawiamy z kolegami. Coraz go więcej. Wszy, wszy, wszy.

Tygrys przyskoczył do Kalafiora i obu wojskowych, powtórzył pytanie patrząc bacznie to na nich, to na Karola, ale, na szczęście, pułkownik wiedział, co odpowiedzieć. Esesman kiwnął głową, odszedł na blok.

— No, no, mieliśmy szczęście — powiedział Karol. — Lepiej rozejdźmy się teraz.

Już z bloku widział, jak esesman prowadzi na Jedenastkę Jura. Szedł z zadartą głową. Warto zawiadomić Bednarka, że sprawa uklepana — pomyślał, ale gong właśnie zakończył dzień.

Nazajutrz rano Henryk nie chciał wyjść z bloku.

— Boi się, strach go obleciał — powiedział Czamy Mund- kowi. — Ale nie może zostać.

Wzięli go pod ramiona i, choć się wyrywał, zaprowadzili na apel. Gdy zabrzmiały komendy formowania komand, przybiegł Karol i zdążył powiedzieć Henrykowi tylko tyle, że „Bednarek nie żyje, Smolikowi się zdawało".

Potężny zastrzyk przerażenia, wywołanego niespodziewanym spotkaniem wczorajszym, podziałał. Henryk ocknął się z tępej apatii. Jak zawsze w godzinach niebezpieczeństwa wyostrzyły się zmysły. Rozpoznawał niepokój w twarzy
1w głosie Mundka.

— Jak tylko komando rozejdzie się w Rajsku, zapieprzasz biegiem do warsztatu — tłumaczył szeptem Czamy. — Stajesz w drzwiach i czekasz, aż zawołam. Jakby kto szedł, kaszlesz. Kapujesz?

Śpiewają skowronki pod wysokim niebem, gwiżdże lokomotywa na torze równoległym do drogi, a po drugiej stronie płynie Soła. Drogą ciągną chłopskie furmanki, naładowane sprzętami, ciągną na południowy zachód, poza strefę obozu,
woźnice odwracają głowy od kolumny więźniów. Nad rozlewiskami Soły, w łozinach i kępach drzew pełno ptaków, zza gałęzi wynurza się czerwone ramię bagra. Henryk spogląda na ludzi z drugiego świata, wchłania zapach końskiego potu, nasłuchuje swojskiego „wiśta, hetta".

Ogrodnicy wchodzą do Rajska, kommandofuhrer daje znak gwizdkiem i w tej chwili czwórka stolarzy puszcza się biegiem ku budzie warsztatu. Henryk nie wie, o co chodzi,

ale czuje łomotanie serca na widok nie domkniętych drzwi, wyciągniętej zasuwy skobla. Staje przy progu czujnie patrząc na najbliższą okolicę. Szklarze ciągną wolno do roboty, ogrodnicy skręcają ścieżką i nikną za krzewami. W budzie uwijają się: Czarny, Mundek i Roman. Słychać wyraźnie szept Mundka:

— Przybij listwę na fest. Jur nie sypnie. Taki on nie jest, ale scharfuhrer będzie węszył za następną ofiarą.

Stukanie młotka.

— Będzie przejeżdżała na rowerze wieczorem. Pisze, że twój list dostała. Coś ry pisał, Czamy?

Cisza.

— Będzie miała na kierownicy zielone gałęzie. Mam zdjąć czapkę, jeżeli wszystko w porządku.

Śpiew Czarnego. Wesoły, szorstki śpiew.

— Wejdź, Matula! Jedziesz po dębinę dla Wujka.

Czamy siedzi na warsztacie, macha nogami, śpiewa. Za czamą koszulką różowieje polna róża. Dotyka jej brązowym od bejcu palcem.

— Miałeś rację z naszym esesmanem — powiada Mundek. — Wsypał Jura. Przestań, Czamy! Do roboty! — Czamy zeskoczył na ziemię, różę wyjął, wetknął w szparę między deskami w tym miejscu, gdzie padała na nie smuga słońca. Znalazł ów pąk na wierzchu worka, z krótkim liścikiem: „Dla pana Czarnego — Urszula”.

Po przewiezieniu dębowych desek Roman z Mundkiem zaczęli pracę dla Wujka, Czamy zaś z Henrykiem zbijali ramy okienne do inspektów. W południe przyszli mierniczowie: Spluwa, Muszka i Kamiński. Henryka wyrzucono z budy na dwór, domyślił się jednak, że ładują szmugiel.

— Napisałem, żeby przestały przynosić, dopóki tylu niepowołanych korzysta z jedzenia — mówił Mundek. — Dziś
mam dać znać, czy mogą przyjść. Nie mogą. Jur wpadł. Trzeba poczekać.

Spluwa schował swoją paczkę. Wiedział, że w niej są listy
i gazetki. Miał przekazać pocztę z obozu, ale nie chciał tego robić w obecności niewtajemniczonych. Trzymał w kieszeni sprawozdanie o nowych transportach do gazu, o przybyciu oficerów i artystów z Krakowa, list Smolika do władz konspiracyjnych i potwierdzenie przeniesienia lekarstw.

— Mundek, ja tu coś mam od Jura, żebyś schował, bo w lagrze nie ma gdzie. Gruby Karol dał. Zakopać by się przydało — powiedział Muszka. Wyciągnął woreczek. — Jest w nim kartka, żeby posłać do domu. Niech baby wezmą
i prześlą.

— Idiota! To nie droga na taki towar! Wyście wszyscy poszaleli. Mam złoto posłać? Nigdy!

Muszka wzruszył ramionami. Nie, to nie. Niech przynajmniej zakopie, jak się boi.

— Ja to załatwię — zaproponował Roman. Poczerwieniały mu wielkie uszy, twarz zbladła. — Zakopię.

Wieczorem, gdy ogrodnicy wracali do obozu, drogą przejechała na rowerze młoda dziewczyna. Czarny zobaczył ją pierwszy, miała zielone gałązki na kierownicy, jechała wolno, z wzrokiem utkwionym w maszerujących. Krótko przycięte, ciemne włosy targał wiatr i rzucał na

policzki, drobne ręce trzymały mocno kierownicę odrapanego roweru. Czarny uderzył pięścią Mundka, ale ten nie zdjął czapki. To ona. Tak więc wygląda, śliczna — pomyślał Czarny. Serce się tłukło, aż bolało.

Przez kilka dni wchodzili spokojnie do warsztatu wiedząc, że nie zastaną tam koszyków i worków, podrzuconych nocą. Czarny pisał list do Urszuli, darł, pisał na nowo, potem znalazł na którymś bloku znanego poetę i zapłacił margaryną za piękny, sentymentalny tekst, który przepisał na czysto dodając od siebie tylko zakończenie: „Cześć, Urszulo! Żeby wszyscy ludzie byli tak morowi. Dziękuję za różyczkę. I niech pani uważa na siebie i Mamusię. Cześć Polkom". I podpisał się pełnym imieniem i nazwiskiem: Tadeusz Białoń.

Jur zachorował w bunkrze i umarł uwalniając stolarzy od śledztwa. Do obozu napłynęły nowe tysiące więźniów, przyszły transporty żydowskie, wyselekcjonowane na rampie, rozbrzmiewała wszędzie obca mowa. W Brzezince budowano nowe odcinki obozu.

Henryk zaszywał się teraz na bloku i nie opuszczał go bez rozkazu. Mimo zapewnień Karola, że Smolik uwierzył w śmierć Bednarka, nie mógł pozbyć się lęku, na domiar złego Karol nie przynosił od Smolika żadnych wieści o Maryjce.

Pewnego dnia Smolik poprosił Kalafiora, by się dowiedział, czy do obozu kobiet nie przybyła jego żona, Maria. Aresztowano ją razem z nim.

— Trzeba jej będzie oszczędzić pewnej wiadomości. O pierwszym mężu, o Bednarku. Nie wie, że go zaszpilowano, wierzy w oficjalną diagnozę. Dostała zawiadomienie — mówił.— Boję się, że załamie ją obóz.

Tam u kobiet musi być strasznie.

Kalafior szybko mrugał czerwonymi oczyma. Żona Bednarka! Postara się dowiedzieć i zaopiekować. Maria Smolik. Tylko prosi, by nie obciążać nikogo więcej tą misją, nawet Karola. Ze względów konspiracyjnych. Sprawdził poprzez dekarzy, nie mówiąc im dokładniej, o co chodzi, czy Maria Smolik jest w lagrze. Bolek przyniósł rysopis i numer.

— Ładna baba, przy kości. Płaczliwa. Dałem jej majtki
i chustkę, zaraz w bek. Delikatna jakaś. Na wszy narzeka i na brak wody — raportował. — Słuchaj, w Karnej Kompanii coś nieklawo. Siedemnastu zakatrupili dziś. Kopią rowy. Wiara mruczy, że rzuci się na esesmanów.

Kalafior pokiwał głową. Wiedział od chłopców z Politische, że nowi w SK mają adnotację w aktach: powrót niepożądany. Wiedział też, że planują masową ucieczkę.

— Niech spróbują — szepnął. — Trzeba by im pomóc. Pomyślę. Więc pan powiada, panie Bolku, że pani Smolik źle się czuje?
Bolek zaśmiał się głośno. Źle się czuje? Kalafior nie był dawno w obozie kobiecym, nie widział tysięcy półnagich widm, snujących się nad rowem z zieloną, zgniłą wodą, na wydeptanej łące, nie widział zwłok rzuconych przed barak, nie rozpoznanych, obgryzionych przez szczury. W szpitalu mają tylko schmerztabletki*, papierowe bandaże i ziółka na przeczyszczenie.

— Niech pan się postara pomóc. Należy się jej dobre komando— prosił Kalafior, ale Smolikowi jeszcze nie powiedział, że odnalazł Maryjkę. Ani Karolowi, ani tym bardziej Henrykowi nie wyjawił nowiny. Chciał

wpierw sam dojść z nią do ładu.

Kiedy nosił się z zamiarem wydobycia Smolika ze szpitala na obóz, zdumiony tak długą kwarantanną transportu, przyszła do kartoflami wiadomość, że rapportfuhrer udał się z karabinkiem na Jedenastkę, gdzie od niedawna przeprowadzano egzekucje przez rozstrzelanie. Chciał biec, sprawdzić wiadomość, ale ogłoszono zamknięcie bloków.

— Musimy wiedzieć, co się dzieje, panowie. Kto na ochotnika?— spytał. Wstał major Gil, kawalerzysta, i bez słowa skierował się ku wyjściu. Obóz opustoszał, nikogo nie było na ulicach. Major Gil rozejrzał się, gwizdnął. W oknie przeciwległego bloku pokazała się głowa więźnia i ręka dająca znać, że droga wolna, major więc, skacząc od bloku do bloku, dotarł do szpitala. Odźwierny zagrodził drogę, ale go odepchnął pewnym ruchem i przeszedł korytarzem do schodów, potem na piętro. Wiedział, że z okienka strychu widać dziedziniec Jedenastki. Klapa wlotowa była otwarta, przy drabince stał Pappi. Źrenice, rozszerzone nadmiernie, błyszczały gorącym światłem. Czekał na Kuleczkę.

Major zawrócił. Nie dostanę się na strych — stwierdził. Zbiegł po schodach i wszedł na sąsiedni blok bocznym wejściem.

W sztubie Jasia, przy łóżku Smolika zebrało się kilka osób: Jasio, Karol, schreiber bloku, dwóch pracowników kancelarii szpitala i goniec z głównej schreibstuby. Smolik, zdrowy
i silny, leżał słuchając spokojnie sporu. Jasio tłumaczył właśnie gońcowi, że Smolik z uwagi na stan zdrowia nie może się stawić na wezwanie rapportfuhrera.

— Ależ, mogę się przejść — oponował Smolik. — Do schreibstuby niedaleko.

Jasio zatrzepotał ramionami. Niech milczy lepiej; nie wie,
o co chodzi. Kartka rano od rapportfuhrera oznaczała — rozstrzelanie. Blok był zamknięty, kazano zasłonić okna od strony Jedenastki, Politische już tam jest od godziny, wezwano leichentragerów. Goniec wybiegł z powrotem.

— Panowie — powiedział major Gil — macie przed sobą wojskowego. Nie ukrywajcie prawdy przed nim.

— Ach, to tak — szepnął Smolik. — Nie spodziewałem się zupełnie. Minął miesiąc, myślałem... A koledzy?

Gil stanął na baczność, skłonił głowę po wojskowemu, jak gdyby kogoś witał czy żegnał. Karol podsunął Smolikowi kartkę papieru, dał ołówek.

„Kochana Marysiu! Gdziekolwiek jesteś, wiedz, że umieram za wolność” — napisał Smolik. Przekreślił jednak wszystko, zmiął kartkę i rzucił na ziemię. — Pamiętajcie o odwecie — powiedział. — I zorganizujcie się dla obrony. Żegnam was. Dziękuję.

— Byliście tu jako zakładnicy. Z góry przeznaczeni na śmierć — powiedział major Gil. — Mogę odejść?

Smolik skinął głową, ale major nie odchodził. W zupełnej ciszy, skądś z daleka doszedł go słaby okrzyk: „Niech żyje Polska!” Goniec wrócił z rozkazem zaniesienia Smolika na Jedenastkę.

Smolik uśmiechnął się, wstał z łóżka, ułożył się na marach, Karol i Jasio dźwignęli je.

— Za pozwoleniem. Chciałbym...— powiedział major Gil. Karol zrozumiał, oddał mu drążki. Bramę

otworzył Tygrys z Politycznego, sprawdził numer Smolika, podkreślił na liście.

— Zaczekajcie! — rozkazał.

W kącie dziedzińca, przy murze, piętrzy się stos zwłok. Są okrwawione, krew cieknie, syczy po płytkim piasku, wypływa pod bramą. Przeszło stu zabitych.

Przy czarnej ściance stoi ryży rapportfuhrer bawiąc się krótkim karabinem małokalibrowym, opodal Tygrys sprawdza listę. Jaskrawe światło pogodnego poranka wyraźnie rzeźbi kształty barw. Czamy prostokąt pod murem, żółty piasek, różowe ściany bloku, szarobiałe schody bocznego wejścia. Na schodach ukażuje się blokowy Jedenastki; trzyma pod ramiona dwóch nagich mężczyzn ze skrępowanymi drutem rękami. Biegnie pędem wraz z nimi pod czarną ściankę, ustawia twarzą do ekranu, zawraca. Rapportfuhrer przykłada pierwszemu lufę do potylicy, cichutko trzaska strzał. Nagi człowiek chwieje się jeszcze, gdy esesman strzela już do drugiego. Nosiciele zwłok chwytają obie ofiary za nogi, odciągają na stertę, a jednocześnie blokowy wprowadza biegiem dwóch następnych.

i ‘iTllpFft ymmmm** * rwmarmtwMŁm 4 *» v' *
'- ¿a ' •,;■ ¡¡PIM■ Wt ■$. ¿* '*••','» •<>>•* *<
"•.*■-MWiM&M
ftil?
*^**ijyŁytŁ^aiijrMMP %>!

Major Gil zakrył kocem twarz Smolika, ale sam patrzy na rzeź, rozgrywającą się cicho i sprawnie, w szybkim, precyzyjnym tempie. W pewnej chwili słyszy od czarnej ścianki głos:

— Jestem oficerem. Proszę o żołnierską śmierć.

Szczupły mężczyzna odwrócił się od ekranu, patrzy w twarz
rapportfuhrerowi. Blokowy wbiegł już z dwoma następnymi skazańcami i stanął jak wryty. Nie wie, czy ma zawrócić, czy doprowadzić ofiary do czarnej ścianki. Rapportfuhrer przewiesza karabinek przez ramię, zapala papierosa.

— Ilu jeszcze? — pyta Tygrysa.

— Ośmiu. Mamy równo sto sześćdziesiąt. I jednego na noszach.

Rapportfuhrer kieruje się ku Smolikowi. Odkrywa go, sprawdza numer, Tygrys przekreśla odpowiednią pozycję na liście. Rapportfuhrer wyciąga rewolwer i z bliska oddaje dwa strzały.

Major Gil wpił palce w dłoń. Jeszcze chwila, a byłby się rzucił na kata, ale Jasio ciągnął go za rękaw. Musieli odejść.

Zza bramy wyciekała krew i spływała do rynsztoka.

4%'^ % <4, ^nfc
JMliii IF I4ft * Jl
Lrf-I J^S- %»Mi ' ■** *
fjjśu
kT Jmd

Rozdział piąty

Krwawe lato. Kama Kompania, kopiąca ogromny rów melioracyjny kolo wykopu pod nowe krematorium w Brzezince, zorganizowała nieudaną ucieczkę; wszystkich rozstrzelano, trzystu Polaków. Ręce im krępowano drutem kolczastym, tak że krew sikała. Kama Kompania kobiet, mieszcząca się opodal obozu w Budach, podniosła bunt. Więźniarki, zorganizowane przez Francuzki, rzuciły się na

funkcyjne próbując wyłamać się z obozu i uciec. Poległo ich sto od drągów, łopat i pałek. Kilka zaszpilowano. Parę razy w tygodniu po rannym apelu zbierała się przed główną kancelarią obozu gromada więźniów, aby pójść na dziedziniec Jedenastki, a wielki wóz wywoził potem trupy. Z każdego komanda szły ofiary na rozstrzelanie, nowi i starzy więźniowie, za przestępstwa obozowe i za wcześniejsze, dla sterroryzowania obozu i kraju. Bunkry piwniczne były stale przepełnione. Gestapo katowickie zwoziło setki cywilów do aresztu na Jedenastce, przyjeżdżał trzyosobowy sąd doraźny, mężczyźni i kobiety ginęli setkami pod czarnym ekranem. Tyfus rywalizował z Oddziałem Politycznym zabierając tysiące więźniów i więźniarek. Komory gazowe w białym i czerwonym domku już nie wystarczały, na brzegu obozu Birkenau budowano nowe. Dzień po dniu szły tysięczne pochody z rampy kolejowej do „ką
pieli", doły ziemne pochłonęły już sto tysięcy zwłok. Po deszczach letnich, kiedy nastały upalne dnie, ziemia się zbuntowała. Drżała, pękała, burzyła się gniewnie. Na zapadliskach nad dołami pojawiły się zielone sadzawki, w których pyr- czała cuchnąca woda. Pęcherzyki powietrza wydobywały się z ziemi i pękały w wodzie. Czasem sadzawki nagle znikały, by pojawić się w innym miejscu. Na równinie pod laskiem powstawały pulchne, maziste kopce, oblepione rojami błyszczących much.

Trwoga padła na obóz.

Starzy więźniowie z pierwszych transportów, dufhi do tej pory, że już przeszli najgorsze i nic im nie grozi ze strony gestapo, żyli w popłochu: rachuby okazały się płonne. Przywoływano na pamięć wszystkie egzekucje od

początku Oświęcimia, aby zrozumieć obecny krwawy okres. Wspominano pierwsze egzekucje na miejscu rzeźni, przy palikach. Paliki miały żelazne kółka, do których wiązano wykręcane do tyłu ręce skazańców. Rozstrzeliwał pluton SS w hełmach, salwą. Wspominano egzekucje w dołach ziemnych, z których czerpano żwir, i na placu składowym. I tam rozstrzeliwał pluton, ale już nie wiązano ofiar u palików. Mało było tych rozwałek i niewielkie grupy szły na śmierć. Prawda, rozwalano i w krematorium, jednakże nie więźniów, lecz cywilów, Rosjan czy Żydów. To nie dotyczyło żyjących w obozie. Potem przeniesiono miejsce egzekucji na dziedziniec między Jedenastką a Dziesiątką, od czasu do czasu za „ciężkie przewinienia" obozowe rozstrzeliwano tam pojedynczych więźniów lub małe grupki. Prawda, zdarzały się i rozwałki po stu ludzi, ale nie więźniów, cywilów ze Śląska. I to też nie dotyczyło starych numerów.

— Nasz plan jest taki — powiedział Kalafior, reprezentujący wraz | majorem Gilem wojskową grupę na naradzie, jaka odbywała się w piwnicy na kartofle. — Zorganizować grupy bojowe. Posłać delegata do władz Polski Podziemnej z żądaniem wywołania ruchu zbrojnego tu w okolicy i w Beskidzie. Uzgodnić termin. Wyłamać się z obozu. Panowie, nie ma w czym wybierać. Lepiej zginąć w walce. Grozi nam zagłada!

— Dobrze — powiedział Bolek. — Całkiem fajno. My się zgadzamy, socjaliści. Trzeba się też zabrać do lagrowej szumowiny, do szpiclów i bandziorów. Na szpilę ich, skurwysynów! Nie umiem deklamować, ale sobie przypominam jakąś broszurę z wolności. Na okładce stało

coś o warzywach, a w środku różne głupstwa, plewy. Tylko że w tych plewach jedno było mądre: „Powszechny opór całego człowieka
i wszystkich ludzi”. Żeby choć paru esesmanów ukatrupić, żeby czuli mores. Nie kapuję. Zabijcie, nie kapuję. Muzułman, no, i tak chodzący trup, ale zdrowy człowiek? Na druty się rzucają z rozpaczy, a żeby tak który na posta się rzucił, zadusił gada, nie. Co w nas jest, do kurwy jasnej? Co się porobiło z ludźmi?!

Bolek prawie krzyczał, wyszarpywał z siebie gorzkie słowa, tłukł się w pierś, czasem przechodził do szeptu, a wówczas głos jego syczał.

— Panie Bolesławie, spokojnie. Znajdą się i inni. Pan nie rozumie, jak paraliżuje nas wszystkich zbiorowa odpowiedzialność.

— Trele morele, nadzieja was paraliżuje, nadzieja! Każdy wierzy, że on akurat przeżyje, przetrzyma, uratuje się, ocali. Właśnie on. Że w ostatniej sekundzie coś się zmieni, bo ja wiem, wojna się skończy raptem-paptem albo że Politische przestraszy się odpowiedzialności za kropnięcie jego właśnie. Ach, gówniane sprawy! Wszyscy powinni się bić, w całym kraju! Kalafior, ty sam puszczasz raz po raz scheissparole*, że pojutrze, za miesiąc koniec wojny. A co, do stu kominów, robisz, żeby wcześniej się skończyła? Gazetki? Sram na takie gazetki, co przykazują grzecznie siedzieć i czekać, a tych, co nie chcą czekać, wyzywają od komunistycznych bandytów!

— Socjaliści też tak piszą, zresztą takie jest przekonanie społeczeństwa. I rozkaz władz — powiedział major Gil.

— Wróćmy do planu, panowie — prosił

Siarkiewicz. — Przyprowadziłem kolegę, który przybył do obozu niedawno
i świetnie się zna na metodach konspiracji. Jeszcze nie zabierał głosu. Proszę.

Milczący dotychczas więzień wyjąkał:

— Jestem zdumiony, jestem zdumiony... Proszę o wysianie mnie z powrotem. Chcę złożyć raport. Proszę o wysłanie...

—Pocztą?

Bolek podszedł do nieznajomego, obejrzał jego numer, zajrzał w oczy.

—„Kordecki" — przedstawił się nieznajomy.

— Tu nie Częstochowa, panie Kordecki, tu srają wszystkie diabły, tu piekielny sracz. Chcesz uciekać? Jakie komando ?

— On ucieknie — powiedział twardo major Gil. — To już postanowione.

Po naradzie Bolek wypadł na ulicę, pustawą dziś i smutną. Wiał silny wiatr chłodząc rozgrzane mury i podrzucając strzęp afisza z wymalowaną wielką wszą i napisem: „Jedna wesz — twoja śmierć". Hałaśliwa gromada Żydów biła się koło kantyny krzycząc po francusku i czesku.

Czarny leżał już pisząc coś zawzięcie, obok siedział na łóżku Henryk i Mundek. Przysiadł się do nich, wzburzony jeszcze rozmową z wojskowymi.

— W nocy przyjdą — szepnął Mundek znużonym głosem.

— Ten wariat list miłosny pisze— kiwnął głową w kierunku Czarnego.

— Dobrze, żeś przypomniał. Jutro będzie dla kobiet, tak? Ja biorę z Lalą ładunek dla rewiru. Jasio powiada, że mają być szczepionki.

—Może. Kiedy przyjdziesz?
— Jak wrócę z Birkenau. Wieczorem. Serwus.
Mundek się położył, Henryk poszedł za jego przykładem. Było duszno, parno, spali więc nago. Czarny, skończywszy przepisywać list, trącił Henryka.
— Miałeś dokończyć, opowiadaj! Opowiadaj, Heniu. Skończyłeś na tym wieczorze, kiedy stałeś pod oknem i patrzałeś, czy się nie pokaże jej cień. Heniu, opowiadaj!
Od wielu wieczorów mieszkańcy izby raczyli się opowieściami miłosnymi. Byli tu stolarze, cieśle, szklarze, warzywnicy, całe komando ogrodników Rajska. Henryk, zdumiony zrazu szczerością i brutalnością owych opowieści o kochankach i żonach, uciekał myślami do Maryjki. Karol obiecał dać jej znać, że Bednarek żyje, uznał to teraz za możliwe, a nawet potrzebne. Podczas gdy Wicek-szklarz głośno za-
chwalał swoje zalety i chełpił się przygodami opisując obrazowo i dosłownie każdy akt, on zapadał w marzenia o Maryjce. Nie tylko wspominał to, co było, ale roił o tym, co mogło być. Tutaj w obozie widział wyraźnie każdą straconą chwilę.
I kiedy Czamy ubłagał go, by opowiedział coś ze swych przygód, jął cicho mówić.

— Ej, Matula, wydobrzałeś, byku, kiedy ci takie wspomnienia przychodzą — przerwał mu Wicek. — Ja to znam. Człowiek najpierw tylko o żarciu i o brzuchu myśli, a jak sobie powcina, to zaraz o dupie. Mam taką teraz, że ledwo ją pomacasz, zaraz robi się smutna jak deszcz, a potem kieckę zadziera. Lubi to. „Malutka — mówię — masz pończoszki”, a ona zaraz bęc w trawę.

— W „Kanadzie” mają takie majtki, cieniutkie jak z

pajęczyny. I z koronkami. I jeszcze pachną czymś tam — powiedział Roman. — I pończochy! Niech to diabli. Takie coś na babie zobaczyć — zaśmiał się chrapliwie. Sam spał w damskiej koszulce jedwabnej, krótkiej po pępek, i zamiast gaci nosił niebieskie figi.

Henryk przeciągnął się, ziewnął. Jestem już zupełnie zdrów — pomyślał czując przyjemny przypływ krwi do podbrzusza. Czamy chrapał obok, nakrył go kocem ostrożnie, by nie przebudzić.

— Śpij, Mundek—powiedział. — Dobranoc.

Urszula miała dziś torbę na zakupy, kiedy przechodziła obok drogi, Mundek zdjął czapkę, a więc w nocy przyjdą do budy. Będzie jutro deszcz, bo wszy krew piją. Swoją drogą, mam szczęście. Mógłbym nawet odszukać Łokietka. Co też on porabia? Może nie żyje? Gdyby Smolika, Wernera i całej kupy znajomych nie rozwalili, trzeba by trząść portkami — myślał leniwie, ale gdy tylko dotknął myślami spraw Jedenastki, wrócił obraz Maryjki.

Kiedy nazajutrz w Rajsku kapo zakomenderował: „do roboty", pierwszy biegł do warsztatu Henryk. Pod oknem znalazł koszyk. Gorączkowymi ruchami opróżniał go, gdy wszedł Mundek i reszta stolarzy. Paczki coraminy, cebionu i zastrzyków przeciwdurowych owinął szmatą i podał Czarnemu, Mundek zaś segregował listy z wolności i z obozu kobiet.

— Jest dla Wicka od jego dziewczyny — powiedział wrzu
cając gryps do czapki. Henryk zerknął na adres. Numer i imię Wicka wypisano drukowanymi literami na malutkiej karteczce. Był też list do Czarnego i Mundka. Ten ostami, większy od innych, zapakowała czyjaś ręka w pudełko od

papierosów i zalepiła leukoplastem.

— Miemicy będą mieć paczki na placu pomiaru — przeczytał Czarny i nagle zaśpiewał wesoło. — Hurra! Zobaczę ją! Zobaczę ją! — wołał podskakując.

Mundek szybko uprzątnął zawartość koszyka, władował ją w ceratową torbę, którą wsunął pod bluzę, i wybiegł do wychodka. Sami go zrobili, budkę krytą papą, porządną i przestronną, urządzając pod sedesem rodzaj półki. Tam ostamio ukrywali transporty leków i zapasy żywności, gdyż łatwiej było potem łącznikom wydobywać je i schować na sobie. Czarny niecierpliwie czekał, aż Mundek wyjdzie, chciał spokojnie przeczytać list od Urszuli, wreszcie usiadłszy wygodnie jął studiować słowo za słowem.

„Kochany Panie" — pisała dziewczyna — „niech Pan tyle nam nie dziękuje. Robimy, co trzeba, i to wszystko. Ja nie potrafię tak ładnie pisać jak Pan. I bardzo dziękuję za to pisanie. Chciałabym z Panem pomówić i myślę tak zrobić: Będziemy z mamą teraz chodziły do kuźni przez kilka dni. Pan postara się tam przyjść pod jakimś pozorem. Chciałam o coś spytać ważnego, tylko proszę nic nie. mówić panu Romanowi ani Muszce. Niech Bóg Pana strzeże, panie Tadku".

W obozie nie wołano Czarnego po imieniu, sam go też nie używał. Teraz powtarzał z zachwytem w myślach, potem szeptem. W kuźni? To da się zrobić. Usiłował wyobrazić sobie owo spotkanie, wyobraźnia jednak zawodziła. Widział Urszulę jadącą na rowerze, z torbą na zakupy, ale w żaden sposób nie mógł ujrzeć dziewczyny w kuźni.

Zawyła syrena alarmowa. Podarł list, wrzucił do dołu i pobiegł do warsztatu.

— Uciekł — powiedział Mundek. — Ale ma pecha! Za wcześnie buczą.

Syrena o tak wczesnej porze oznaczała, że właśnie spostrzeżono ucieczkę, a więc zbieg nie miał czasu oddalić się od obozowego terenu. Syrena długo wyła alarmując wszystkie posterunki SS i policji. Scharfiihrer Nowotny zjawił się
jeszcze w czasie alarmu, zebrał stolarzy, przeliczył, rozkazał wyjść z warsztatu.. Mundek zatrząsł się z lęku.
— Herr Scharfuhrer, przecie to nie od nas — powiedział.

— Wszyscyście jednakowi, bandyci! — krzyczał esesman. Padnij!

Dojrzała ziemia pachniała. Pasikonik śpiewał w trawie. Poprzez wysokie źdźbła widzieli, jak Nowotny buszuje w warsztacie, rozkopuje wióry i trociny, zagląda do skrzynki narzędziowej, zrzuca z wieszaka bluzy. Henryk, leżąc tuż przy ścieżce, wyciągnął rękę i zatarł wyraźny ślad kobiecego bucika. Drugi ślad znajdował się przed Czarnym, pokazał mu go, ale Czarny nie zrozumiał, czego chce. Gdy pozwolono im wstać, Henryk zatarł i ten ślad. Zauważył, że od ścieżki do krzaków biegnie jasna rysa połamanych źdźbeł, stratowanej trawy. Tędy szły — pomyślał.

Scharfuhrer Nowotny kazał wrócić do roboty, ale nie opuszczał warsztatu. Pracowali w milczeniu, od którego zdążyli przecież odwyknąć, czując uważny, nienawistny wzrok esesmana na sobie. Mijały ciężkie godziny. Zdawało się, że pod tym wzrokiem miękną i gną się gwoździe — nie wchodziły w deszczułki skrzyń, jakie sporządzali na zamówienie Wujka — że paczy się drewno i traci swoje wymiary, że jeży się drzazgami. Parne powietrze,

przesycone wonią wiórów i kleju, lepiło się do ciał. Czarny miał mokrą koszulkę, ściągnął ją, rzucił w kąt. Zawisła na gwoździu niby czarna flaga. Mundek co chwila ssał potłuczone młotkiem palce, Roman, przycinając deszczułki, ustawicznię ocierał zalane potem oczy. Scharfuhrer mógł przecież zaprowadzić po apelu całą paczkę do bunkra, któż bowiem może ręczyć, że nie wsypano drogi, że któryś z wtajemniczonych nie zdradził, że nie wpadł na przykład Spluwa?

Henryk rozważał, co by powiedział, gdyby wszystko się wydało. Ani Mundek, ani Czarny nie wtajemniczali go specjalnie, jednak wiedział przecież wiele czy to z poprzedniego okresu, czy to z teraźniejszej roboty, chociaż nigdy jeszcze nie próbował tak zestawić poznanych faktów, by tworzyły rozumną całość. Teraz nadarzała się po temu sposobność. W nocy kobiety podrzucają w warsztacie żywność, listy i lekarstwa, młodsza ma na imię Urszula, starsza Janina. Wi

dział przecież obie, Janinę w pustym domu w czasie wypadku ze Spluwą i Muszką, Urszulę zaś kilkakroć przy drodze. Jest jeszcze trzecia, jak wynikało z rozmów, Wanda. Żywność idzie dla ogrodników, dla kobiet z Rajska i Brzezinki, dla Kamej Kompanii, do szpitala, część zostaje na przekupywanie kapów i postów. Szklarze handlowali tym szmuglem, a Jur pobierał forsę rzekomo na zakup jedzenia i lekarstw. Mun- dek napisał opiekunkom, by nie przysyłały żywności, która ginie po drodze i bogaci łobuzów, ale opiekunki wierzyły wówczas Jurowi. Teraz Jur nie żyje. Wsypał go Nowotny, jak gdyby biorąc odwet za dawną historię z kapo Warwi- tzem. Ktoś jednakże stoi ponad Czarnym i Mundkiem. Może Spluwa? Mierniczowie

nie tylko przenoszą do lagru; dostają paczki, podrzucane nocą w miejscach, dokąd wychodzą do roboty, pomiędzy nimi zaś, ogrodnikami a szpitalem istnieje niechybnie coś więcej niż sitwa. Jasio, Karol? Karol jest so- cjałem, Mundek zaś sympatyzuje z ludowcami. Tak się przy- najmniej zdaje. Jeżeli Karol mógł przeprowadzić zamianę Bednarka na Matulę, jeżeli...

A cała historia z transportem Smolika? A wydobycie Matuli z komanda Warwitza? Niewątpliwie — organizacja. Czy więc te listy, jakie otrzymuje Mundek, są li tylko prywatną korespondencją? Wątpliwe.

Wyprostował grzbiet i spojrzał na towarzyszy, jakby ich widział po raz pierwszy. Wiedział, że w Politische Abteilung nie powie ani słowa. Płynną niemczyzną zaproponował No- wotnemu, że pójdzie po wodę i przyniesie z ogrodu coś do jedzenia. Nowotny podniósł się i wyszedł za nim.

Nigdy do tej pory nie zapuszczał się dalej niż do kranu, dziś jednak pragnął odciągnąć scharflihrera od warsztatu, dać towarzyszom chwilę wytchnienia, a równocześnie zaryzykować próbę. Przecież nie wolno nic brać z ogrodu!

Rozległe pola warzywne mieniły się soczystymi barwami. Za ciemnofioletowym buraczyskiem jeżyło się poletko cebul, a dalej spod szerokich liści wypełzały pękate ogórki. Tu stała zielona altanka, dzieło Romana, z koronkowym deseniem wycięć, okolona tykami fasoli. Henryk błądził szukając pomidorów, wreszcie u wylotu ścieżki zobaczył poprzez fasolowy lasek krzaki czerwonych kul.

— Dla pana scharfuhrera wybiorę najładniejsze. Bardzo zdrowe. Witaminy. Weźmiemy cebulki i zrobimy

sałatkę — powiedział napełniając czapkę pomidorami.

Nowotny usiadł, po chwili wstał i wrócił do altanki. Albo zmęczony, albo się zabezpiecza, że niby nie widzi, co robię. Zapuścił się dalej, tam gdzie rosły najpiękniejsze owoce, i nagle omal nie krzyknął z przerażenia. Spomiędzy zieleni patrzyły na niego dwie pary szklistych oczu, wyzierały dwie twarze. Jedna kończyła się krótko ostrzyżonymi, centymetrowymi włosami, nad nią zaś gorzała opalenizna Wicka. Rozpoznał go ¡x) różowej bliźnie na ciemnym policzku. Kobieta natychmiast zasłoniła twarz dłońmi, ukryła się w trawie. Wicek, wstając, zamrugał porozumiewawczo i uskoczył w bok. Nowotny był tuż obok. Jakkolwiek Henryk nienawidził w tej chwili szklarza, jego brunatnej gęby o różowej bliźnie, wielkich zębów, bezczelnego uśmiechu, dobrego pasiaka — nie mógł go zdradzić ani dopuścić, by sam się zdradził. Odszedł cicho, zastał Nowotnego chrupiącego marchewkę. Nać całej wiązki wystawała mu z kieszeni. Od strony plantacyj zabrzmiał krzyk kobiety i ostry głos esesmanki.

Henryk wiele myślał o przypadkowym spotkaniu gruntując w sobie nienawiść do Wicka. Wydawało mu się, że na surową karę zasłużyli wszyscy ci syci, zadowoleni, bezczelni, choć sam z każdym dniem nabierał siły i otuchy.

Późne lato panowało w okolicy, gdzie obóz przypominały tylko wieże strażnicze. Nad stromym brzegiem Soły bielały i czerwieniały niskie domki, zamieszkałe teraz przez esesmanów, kury łaziły po ścieżkach i drodze, stadko kaczek maszerowało ku rzece. Gdzieś blisko zgrzytał bagier, szczękały wagonetki na żwir. Henryk, wysłany tego dnia wraz z Czarnym do kuźni, czekał, aż kowale okują tyki dla mierniczych. Brodaty

cywil powiódł Czarnego do szopy, by pomógł kapie komanda, wydobywającego żwir z Soły, wyciągnąć część maszyny.
Czerwone żelazo ciężko wlecze się po ziemi. Kapo rozkazuje wykręcić śruby, a sam staje przed szopą na czatach. Zza przepierzenia wychodzą dwie kobiety. Nogi w starych trampkach, kremowe skarpety, żylaki na łydkach — Janina. Dziewczęcy, cichy głos—to Urszula.
/

— Panie Tadek, co pan wie o przesyłce Jura? Tylko szybko, mamy mało czasu. Wielka historia się z tego wtedy zrobiła, nieprzyjemna. Pan Roman i Muszka posłali to do domu, a mówili przedtem, że to na nasze cele. Komu wierzyć? Nie jesteśmy szmuglerkami przecież!

Czarny boi się dźwignąć głowę, patrzy na trampki Janiny Drążkiewicz, przeklina szklarzy, Jura, Wicka, Muszkę, opowiada o handlu przerzucaną żywnością i lekarstwami.

— Wierzymy panu — mówi Janina. — Chciałyśmy usłyszeć od kogoś całą historię. Te wasze kłomie kosztują nas dużo zdrowia. Powinniście się w lagrze wszyscy kochać.

— Jak pan Tadek we mnie? — przerywa Urszula. — Oj, głuptas, a jakie poematy układa!

Czarny wreszcie podnosi wzrok na dziewczynę, na jej szczupłą twarzyczkę, krótkie włosy. Chwyta jej rękę, całuje w dłoń.

— Wszyscy się zakochacie w Ulce, a dla mnie zostanie tylko ten mruk Spluwa, który jeśli w ogóle mówi, to tylko
oprzerzucie. Panie Tadku, proszę powiedzieć Mundkowi, że „ptaszek doleciał". Już on będzie wiedział, o jakiego

ptaszka chodzi. Nie przyjdziemy do was, aż ptaszek odleci.

Urszula obejmuje nagle śniady kark Czarnego i całuje chłopca w policzek. Kapo alarmująco kaszle, trzeba zmykać. Ptaszek odleciał. Nie przyjdą, aż... nie, odwrotnie — powtarzał . sobie w myślach wracając z Henrykiem do warsztatu. .

Wiadomość ucieszyła Mundka, ale gdy Czarny pytał, co znaczy historia z „ptaszkiem", powiedział tylko tyle, że przecież była syrena na ucieczkę.

— A, nawiał jakiś z lagru, w esesmariskim mundurze — wspomniał Czarny. — Więc ona powiedziała — powtórzył jeszcze raz hasło. Mundek uśmiechnął się: Czarny nie łączył faktów. Poprosił, by poszedł po Spluwę i przyniósł po drodze wody. Upał cholerny, całą studnię bym wypił. A może mam gorączkę? Tego by brakowało. Napiął brzuch, zawołał Henryka, by sprawdził, czy nie widać tyfusowych plamek, ale Henryk dojrzał tylko dwie wszy, wyłażące ze szwów gaci, nic więcej. Mundek nabazgrał na kartce wiadomość przyniesioną przez Czarnego, zaniósł do wychodka i schował pod
deskę. Perspektywa kilku spokojniejszych dni, zapowiedziana przez Janinę, nie przyniosła jednak wytchnienia. Wiedział, że zbieg ukrywa się u kobiet właśnie albo w wybranej przez nie melinie. Tak miało być. Mundur SS uszyli mu obozowi krawcy, buty i pas dostał z „Kanady", Spluwa wyniósł to wszystko z lagru, ukrył w oznaczonym z góry miejscu nad stawami, gdzie zbieg pracował przy wycinaniu trzcin, obok zaś schowka, przy drodze, mieli nań czekać dwaj cywile z rowerami, przy czym jeden z nich powinien był pójść piechotą w przeciwnym kierunku pozostawiając swój wehikuł rzeko-

memu esesmanowi. Udało się więc. Zresztą Spluwa znał każdą ścieżkę w okolicy i niechybnie opracował plan bez zarzutu.

Mundek nie wiedział dokładnie, kto uciekł, ale wystarczyło, że ten ktoś szedł drogą Janiny, aby życzyć mu wszystkiego dobrego, tym więcej że maczali w tej ucieczce palce ludzie, których darzył zaufaniem. Spluwa powiedział: „Wojskowa robota, chodzi o pomoc", o resztę nie pytał, jednak dręczył się losem uciekiniera. Coraz więcej sypało się na niego spraw, osaczały go, a kiedy próbował je ująć, wymykały się z rąk. Postanowił był jednak wstrzemięźliwość w odsłanianiu tajemnic, więc sam nie starał się wywiedzieć niczego więcej, niż mu powierzano.

Przez kilka dni stolarze wracali z Rajska bez ładunku, toteż lżej było przekraczać bramę, ale pewnego razu zrewidowano ich przy wejściu. Wpędzono między druty i rozebrano do naga. Nie znaleziono jednak nic, prócz dwóch cebul u Matuli. Nazajutrz w porze apelu wywołano jego numer.

Przed Matulą stał kozioł do bicia, wyciągnął się na nim opuściwszy spodnie. Lagerkapo zaczął chłostę. Henryk liczył głośno ciosy. Przyżegał kij, gruba leszczyna, ale krzyk, jakim liczył uderzenia, uśmierzał nieco ból. Zehn! Wszyscy patrzą, słucha cały plac apelowy. Fünfzehn! Po wojnie wszystkich wygazujemy. Zwanzig! Bolszewicy daliby im radę. Fünfundzwanzig!* Gong.

Wciągnął spodnie, ale nie mógł się rozprostować. Ujrzał przy sobie esesmana i zadrżał słysząc krótkie: „chodź".

Szli na Jedenastkę. Po zapisaniu przez pisarza blokowego zaprowadzono Henryka na dół, wąziutkim korytarzykiem do piwnicznego bunkra, przedzielonego

murem z otworami przy ziemi, podobnymi drzwiczkom pieca. Słyszał o tym urządzeniu wiele. Była to celka dziewięćdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów, do której właziło się od dołu, ciemna, zimna od betonu. Zamykano tu na noc po paru więźniów, a rano musieli wracać do roboty. W bunkrze tkwiło już trzech ludzi, esesman wepchnął Henryka jako czwartego, zamknął drzwiczki.

Stał przyduszony, wciśnięty między trzy nieznane ciała, zionące potem. Dopiekał ból pośladków, ciekło z nich coś gorącego, jednak nie mógł tam sięgnąć.

— Posuńcie się, jestem ranny — prosił.

— Widzicie go, w dupę ranny! My już z kumplem trzecią noc tu. My tu gospodarze — powiedział czyjś głos. Brzmiał jak głos brzuchomówcy. — Bez ciebie i kucnąć można byio, i nawet usiąść na Francuzie, a teraz stój jak bocian, cholera!

W ciemności odezwał się Francuz. Gardłowym głosem, mieszając słowa francuskie i polskie, te ostatnie z wybitnie żydowskim akcentem, usprawiedliwiał się cicho:

— Pardon, mi jest przykro, że ja taki wielki. Ga ja za to winien, co? Czy to ciebie bili na apelu, co?

— Mnie — potwierdził Henryk. — Kto ty?

— Samek z DAW, Samek Rubin.

— Milczeć! Jak się tyle gada, to się powietrze kradnie i zbraknie — odezwał się pierwszy. — Zydek, posuń się!

— Co znaczy posuń się, gdzie?

— Znasz takiego z DAW, Łokietka ? — spytał Henryk i opisał dokładnie znajomego. Okazało się, że Łokietek przeszedł już do komanda krawców.

— Milczeć! — powtórzył pierwszy. — Bo gnaty poprze- trącam!

Umilkli więc wszyscy. Z sąsiedniego stehbunkra dochodził ryk człowieka, ktoś czymś tłuki o ścianę, aż ryk ucichł zupełnie. Henryk stał pośrodku trzech ciał, które przynajmniej miały oparcie o mur, w pośladki grzał go brzuch Samka Rubina, kolana stykały się z kolanami obu pozostałych więźniów. W każdym oddechu i poruszeniu współtowarzyszy czuł

nienawiść do siebie za to, że zabierał miejsce i powietrze, że nie pozwalał spocząć, ale i w nim rodziło się zwierzęce uczucie wściekłości. Uduszę się albo uduszę jednego z nich! Zrobiło się zimno, zdrętwiałe ciało zaczęło boleć, nogi opuchły. Trwający w odrętwieniu, dotychczas milczący człowiek szepnął:

— Towarzysze... umieram... słabo mi... Zydel, pomóż!

Samek Rubin kopnął drzwiczki. Walił zapamiętale w że- lazną płytę krzycząc ratunku. W sąsiednich stehbunkrach podchwycono okrzyk i tam też alarmowano. Henryk poczuł, że ciało chorego osuwa się, zatrzymuje między nim a sąsiadem. Namacał zimną twarz.

W korytarzu, przy którym mieściły się podziemne cele, przepełnione więźniami, dosłyszano alarm stehbunkrów, podziemie bloku dudniło i drżało. Rubin opadł z sił.

— On jest stary towarzysz, był ze mną w Hiszpanii — powiedział.

— Wykitował — stwierdził więzień nazwany Zydlem. — Ale co ty, Zydku, wiesz o nim? Skąd? Robił ze mną razem. Patrzcie, nie wiedziałem, że on czerwony.

Dronkiewicz jestem— przedstawił się niespodziewanie.

Blok huczał nadal, nawet odezwały się cele na górze, ale stehbunkry już ucichły.

— Ja siadam — powiedział Dronkiewicz. — Dostałem piętnaście nocy, muszę się oszczędzać. Żydek, zrób miejsce, żebym klapnął.

— Ty będziesz stał, mon cher*, i ja będę stal, i on będzie stał — odparł Samek Rubin.

— Mam może trupa trzymać w objęciach jak babę? Coś ty?!

— Ja potrzymam. Nikt na nim nic będzie siedział.

Przyciągnął zwłoki, stęknął. Ja bym sam usiadł, a tak nie da rady — użalił się Henryk. Najcięższe było to, że musiał myśleć tylko o swoim zmęczeniu i wyczerpaniu; wszystkie uczucia i wrażenia wypierało obolałe ciało.

Czas wolno mijał, niewiadomy, zatopiony w czerń nocy. Blok już dawno ucichł, tylko w jednej z cel rechotały pijane
Niemki — więźniarki z Birkenau, prostytutki i złodziejki. Kapo bunkra tam hulał.

Muszę mu wytłumaczyć, że to nie ma sensu taka cześć dla zmarłego. Zmarły, to ¿marły. Przecież nie będzie go trzymał całą noc! Samek Rubin. Z Hiszpanii. Komunista oczywiście. Idiota! Usiadłby, zmieścilibyśmy się jako tako wszyscy. Muszę mu powiedzieć. Po francusku wyłuszczył Samkowi swój punkt widzenia. Niech opuści trupa, usiądzie. Widocznie niedawno jest w lagrze, że tak się cacka z martwym ciałem. To już nie człowiek. Martwe ciało. Nie trzeba przesadzać. Ważniejsi są trzej żywi niż jeden trup. Samek Rubin jednak nie dał się przekonać. Był z tym „trupem” we Francji i w Brygadzie, siedział z nim

razem we francuskim lagrze. Razem. Razem wydał ich Petain hitlerowcom. Niech tu zdechnie w stehbunkrze, ale zdechnie z nim razem.

— Moja żona poszła na gaz, jak byłem w Sonderkommando, to już nic mi nie mów — zakończył.

Henryk wyobraził sobie, jak rosły, wielki Samek tuli do siebie oziębłe zwłoki towarzysza i mimo nurtującej go złości poczuł szacunek. Poprawił się, znalazł dla ramienia miejsce przy ścianie, a kiedy oparł się o nią, głowa zmarłego opadła mu na pierś.

Rano, przy otwarciu drzwiczek, siedział jednak na zwłokach przytulony do Rubina i nieznajomego więźnia. Rubin wypchnął trupa i wylazł pierwszy. Z sąsiedniego bunkra wyciągano zwłoki z roztrzaskaną czaszką.

W obozie formowano już komanda, Henryk więc pożegna! Rubina i powlókł się ku ogrodnikom. Uderzyła go woń kiepskiej wody kolońskiej, zwietrzył ją już w kolumnie marszowej, szła od Wicka. Spostrzegł, że ma nowy pasiak, przykrojony do figury, lekko wcięty w pasie, wyprasowany.

— Dowleczesz się do Rajska ? — zatroszczył się Czarny. Wziął ze sobą środki antyseptyczne, gazę, maść i ligninę. W budzie obandażował pośladki Henryka.

— Bałem się, bo rozesłali kartki na rozwałkę. My tu sobie żyjem, a tam teraz maszerują na Jedenastkę — mówił, ostrożnie oczyszczając ranę i kładąc na nią gazę.

— Maszerują na Jedenastkę. Ktoś tam krzyknie „niech żyje Polska” i koniec. Dlaczego oni mogą tak spokojnie mordo
wać tysiące ludzi? Przecież nas tu jest ogromna siła! Dlaczego lagrem trzęsą Zieloni i mordercy, szpicle i

zwyrodnialcy ? Dlaczego? Bicie i głód zrobiły z ludzi zwierzęta, ale zwierzęta bezbronne, oszołomione, ogłupiałe. Tak nie może być. Tak nie może być. Wszyscyśmy zapomnieli, gdzie jesteśmy. Mogą nas wybrać jak pisklęta z gniazda.

Henryk mówił z goryczą, ale jak człowiek współwinny. Mundek potakiwał głową. Cóż mogli zrobić? Była ich garść tylko, desperatów, a to, co robili, ginęło w otchłani przemocy i zagłady. Bolek zapowiada organizowanie bojówek, przeczuwa, że wkrótce zakończą gazowanie Żydów i będą pchać do komór Polaków. Nie na darmo budują już nowe wielkie urządzenia w Brzezince, nie na darmo stawiają nowe baraki. Wojskowi wysłali na wolność łącznika, gdzieś tam w Londynie zabrano się do protestowania, ale śmierć jest szybsza. Dziś poszło na rozwałkę pięćdziesięciu. Tyfus w obozie kobiecym osiągnął chyba szczyt. W komorach gazowych bez przerwy mordują nowe tysiące ofiar. Rosną numery w obozie. Już wydano pięćdziesiąty tysiąc, gdzież się podziało trzydzieści tysięcy, skoro żyje w obozie tylko dwadzieścia? Z przeszło dziesięciu tysięcy jeńców ilu pozostało? Dwustu! Rozkopują doły w Brzezince, uspokajają wzburzoną ziemię. Nad obozem ciągnie czarny, tłusty dym. Palą wygniłe zwłoki pod gołym niebem.

Mundek rzucił na warsztat kilka długich ostrzy stalowych.

— Zróbcie rękojeści. Noże z „Kanady”, pierwszorzędna stal — powiedział. — Jak by tu wykombinować takie obcęgi, żeby cięły naelektryzowany drut?

Henryk poklepał go po ramieniu, poprosił o sekatory

ogrodnicze i trochę gumy.

— Nowotny pójdzie z Czarnym do bab, odwożą półki. Idź z nimi i zorganizuj nożyce — poradził Mundek.

W nocy Wicek zaczął się przechwalać sukcesami u ogrodniczek. Dobrze im było, funkcję kapo sprawowała niemiecka komunistka, na wiele pozwalała. A jego baba, z którą go przyłapał Matula, już mu zbrzydła. Fochy zaczyna stroić, nie chce. A i pomoc ma skądsiś.

— Bydlak! — mruknął Henryk. — Czy ty wiesz, gdzie jesteś?

Wicek parsknął śmiechem. Taki żółtodziób chce go pouczać! Jest w lagrze dłużej niż Matula, nie wie, czy wyjdzie, to sobie używa, gdy może. I tak komin, i tak komin.

— Jak sobie człowiek smacznie podupczy, to mu lżej i o kominie nie myśli. Mam się durzyć jak Czarny? I za listy do lubej płacić, żeby mi pisali? Wy żyć nie umiecie, głuptaki!

Obrócił się ku szklarzom i zaczął opowiadać o obozowych krawcach. Świetnie szyją. Gamiturek kosztuje sześć kostek margaryny. Biorą tylko żarcie i wódkę, bo forsę mają i złoto. W ubraniach je znajdują. Kapo klawy gość, Gruzin, co zbiegł do Polski po wojnie bolszewickiej. Mądry facet i dobry kumpel. Chodzi do niego Muszka i Kamiński od mierniczych, na karty i wódkę.

Przechwałki szklarza zawsze jakoś nasuwały Henrykowi myśl o żonie. Kiedy tylko zamilkł pohukliwy głos Wicka, zamykał oczy i wyobrażał sobie powrót do domu. Raz była to ucieczka z obozu, więc spotykał żonę w przebraniu, wieczorem, gdzieś nad wałami Rudawy, w Lasku Wolskim lub w melinie konspiracyjnej na przedmieściu, innym razem

wracał ot tak, jak gdyby nie było wojny i obozu. Dzisiaj, leżąc na brzuchu z okładem na pośladkach, myślał o powrocie po wojnie. Nie wiedzieć dlaczego widział rogatki miasta obstawione przez robotników i młodzież. Robotnicy mieli skórzane kurtki, pasy-taśmy nabojów skrzyżowane na piersiach, w rękach karabiny, na ramionach czerwone opaski. Byli wszyscy rośli, wielcy, o twarzach surowych i czystych. Ulice zmieniły swój wygląd. Wracał od strony Bronowie, tą samą drogą, którą go wywieziono, ale zabudowaną blokami jasnoszarych domów gminnych, jakie widział niegdyś w Wiedniu. W oknach domów gorąco żółciały nasturcje. Przechodził obok gmachu gestapo. Jacyś ludzie o twarzy Karola, Spluwy i Mundka czytali z okien dokumenty, a na uiicy ładowano do aut grupę esesmanów, nagich, z rękoma skrępowanymi kolczastym drutem. Potem Rynek, Planty i wreszcie dom. Wysmarowana dziecięcymi bazgrotami klatka schodowa, brunatne drzwi, dzwonek. W drzwiach stoi Maryjka w niebieskiej sukience. Oczy ma rozszerzone strachem, szkliste, włosy ostrzyżone przy skórze.

Mundek rzucał się w śnie, jęczał. Nagle obudził się, usiadł na łóżku i dygocąc powiedział:

— Mam flek, Henryk! Śniło mi się, że mam flek. I mam chyba. Powiedz, jak to jest?

Henryk cichym szeptem przypomniał swoje objawy tyfusu. Zgadzało się, Mundek był chory.

— Muszę ci coś powiedzieć, Henryk, przed szpitalem. Nie tu. Chodź do wychodka.

Dozorca puścił ich do środka; ogrodnicy byli i u niego w łaskach. Kucnęli czekając, aż wyjdzie załatwiający się obok pisarz blokowy, Austriak — Adam.

— Musisz słuchać Czarnego, Henryk, chociaż on może się wydawać trochę nierozgamięty — powiedział Mundek. — Musisz mu pomagać. O nic nie pytaj, nie wymagaj żadnych wyjaśnień. On sam niewiele wie zresztą. Pilnuj się przed Wickiem, uważaj na Romana. W razie czego zwracaj się do Spluwy.

— Wiem więcej, niż myślisz. O organizacji.

I Henryk opowiedział wszystko, o czym się dowiedział lub czego się domyślał.

— Dobrze więc. Przysięgnij, że zostawisz to przy sobie. Przysięgnij!

— Przysięgam.

— Wierzę ci. Gdyby mi się co stało, znajdą cię. Te nożyce trzeba jednak zrobić i dać Bolkowi. Jemu możesz zupełnie zaufać. Czy tu jest zimno, czy tylko mnie trzęsie?

Henryk zaprowadził go do łóżka. Po drodze spotkał pisarza blokowego, który w bieliźnie spacerował drobnym, nerwowym krokiem po korytarzu. Położywszy się nawrócił do marzenia o powrocie. Karol przecież obiecał napisać Maryjce, zawiadomić ją, że żyje. Będzie wiadomość, a może uda się zorganizować potajemne spotkanie. Po wojnie muszę zabrać się do edukacji Maryjki. Musi być moja towarzyszką we wszystkim — myślał usiłując wywołać jej obraz.

W otwartych drzwiach zabieliła się czyjaś postać, ktoś skradał się do izby stąpając cicho na palcach. Henryk chciał podnieść wyżej powieki, jednak senność tak mocno je sklejała, że poddał się od razu. Ale Mundek nie spał jeszcze, trawiony gorączką i lękiem przed chorobą. Dojrzał skradającego się, pa
trzył, jak zmierza ku łóżkom ogrodników, niknie między

nimi. Podniósł się na łokciach. Biała postać wracała już ku drzwiom. Złodziej! Krzyknę, to się obudzą i zabiją go na miejscu. Głodny pewno. Opadł na zagłówek. Biała postać przystanęła we drzwiach i wówczas rozpoznał pisarza blokowego.

— Adam! Co ty tu robisz?—szepnął. Schreiber Adam podbiegł do niego, schylił się nad łóżkiem.

— Szukałem ciebie właśnie. Alianci lądowali pod Dieppe we Francji, trwa bitwa. Churchill jest u Stalina. Zacznie się lada godzina.

— Co? Co się zacznie?

— Klęska. Powiedz to twoim Polakom. Pewne wiadomości.

Być może, być może, ale ja idę na tyfus, komu powtórzę? Lądowali pod Dieppe? To daleko, bardzo daleko, bardzo.

— Idź spać, człowieku, już późno. Mam tyfus, ot co.

— Wyglądałeś na gorączkującego. Mam kilka chinin, może chcesz? Parę kulek dostałem, nie mam nic więcej.

Mundek poszedł na tyfus, ale na szczęście przebieg choroby nie był groźny. W tych dniach, kiedy leżał w szpitalu na sztubie Jasia, Henryk wybrał się z Czarnym do kobiet. Ich komando — uprzywilejowane już samym miejscem pracy, ludzkim mieszkaniem, możliwością dożywiania się w ogrodzie — pracowało właśnie na plantacji egzotycznej rośliny, koksa- gizu. Niebieszczały tam chustki więźniarek. Siwa kapo w luźnej, długiej bluzie pasiastej cieniutką trzcinką rysowała trójkąty w powietrzu; ujrzawszy Czarnego, ciągnącego wózek z półeczkami, zawołała kilka dziewcząt, by wyładowały je i przeniosły do

magazynu nasion. Czarny w magazynie wydobył spod półek kilkanaście małych paczek, na których wypisał był numery serii kobiecej, i wywoływał je śmiejąc się całą twarzą. Dziewczęta i kobiety podskakiwały z radości. Były i listy od więźniów, a nawet dwa z wolności.

— Na tyfusie! — powiedziała młodziutka blondyna, gdy wyczytał pierwsze nazwisko. Odebrała list obiecując przekazać chorej.

— Maria Smolik! — czytał drugie nazwisko.

Henryk drgnął.

Stał do tej pory spokojnie, mierząc wzrokiem roześmiane twarze Polek, teraz brzmienie nazwiska „Smolik" poruszyło go. Wyrwał list Czarnemu, spojrzał na adres, odczytał imię, nazwisko, przypuszczalną datę przybycia do Oświęcimia Pismo było mocno zatarte, obce. Dziewczęta chichotały, blondyna wyciągnęła rękę po list.

— Daj mi go, ona wróciła do Birkenau. Kapo ją wysłała.

— Znałem jej męża — powiedział Henryk i zanim Czarny zdołał zaprotestować; rozerwał list. Była to kartka papieru złożona w kilkoro, zapisana drobnymi literkami. „Szanowna Pani!" — czytał. — „Dowiedziawszy się, jaki los Panią spotkał, próbowaliśmy skomunikować się z Nią. Rodzina Pani zapewne już napisała do Pani, ale, jak się dowiadujemy, nie wyznała prawdy. Mąż Pani nie żyje. Rozstrzelano go w obozie razem z całym transportem. Prosimy skomunikować się z panem Siarkiewiczem w obozie głównym, on wyjaśni sprawę i zapewni Jej opiekę. Wierzymy, że tragiczna wiadomość nie załamie Pani, lecz uświadomi Jej obowiązek Polki. Przyjaciele śp. Męża".

To żona Smolika, na pewno. Dumy list — pomyślał oddając pismo blondynie.

Czarny poprosił o sekatory. Blondyna przyniosła kilka, wśród których znalazły się nawet nożyce chirurgiczne, lśniące niklem. Patrzyła z uśmieszkiem na Henryka, podobał się jej ten wysoki mężczyzna o pociemniałej twarzy i jasnych oczach. Na wysokim czole o gładko napiętej skórze błyszczały drobne kropelki potu. Podeszła i otarła je chusteczką.

Imię żony Smolika spowodowało, że Henryk postanowił ostatecznie rozmówić się z Karolem, który przecież obiecywał napisać do Krakowa, zawiadomić konspiracyjnie, że Henryk Bednarek żyje. Był przekonany, że jest po temu czas, że już minęło najgroźniejsze niebezpieczeństwo, że nie ma mowy o dekonspiracji, jeżeli Maryjka dowie się o jego losie. Poprosił Karola, by zetknął go z Siarkiewiczem, bowiem przypuszczał, że jest on ważną osobą obozowego podziemia. Sam list do Marii Smolik wydawał się o tym świadczyć.

Pułkownik umówił się z nim na rozmowę w niedzielę. Usiedli koło drutów. Czerwone oczy Kalafiora były smutne, załzawione.

— Proszę pana, panie Matula — powiedział po długim milczeniu — informowałem się, pan złożył podobno przysięgę? Więc zobowiązany jest pan do traktowania wszystkiego, co powiem, po żołniersku. Dla dobra służby. Nie mogę taić, że noszę tę tajemnicę już dość dawno.

Zamilkł nie mogąc znaleźć dość hartownych słów, słów żołnierskich, potem napuszył się, wyprężył i powiedział dzieląc zgłoski jak przy komendzie:

— Maria Smolik jest pana żoną. Wyszła za Smolika

będąc przekonana, że pan rzeczywiście nie żyje. Świętej pamięci Smolik zapewnił jej opiekę nawet po swej śmierci. Co ja tu jeszcze chciałem rzec...

Zaniepokoił się milczeniem Henryka, który siedział obejąwszy rękami kolana, z zadartą głową, zanurzoną w słonecznym świetle. Maria Smolik jest pana żoną — powtarzał w myślach leniwie, jakby to był zwrot w obcym języku.— Poplątało się teraz wszystko. Cała zabawa w zmianę nazwisk funta kłaków niewarta. Maryjka jest więc w lagrze pod nazwiskiem Smolik i nie wie, że w sąsiedztwie jej żyję jako Matula. Jak w szmirowatym romansie... Pułkownik mówił coś o jakiejś boleści i o obowiązku, nic z tego nie docierało do Henryka. Z przerażeniem pojął, że wiadomość jest jak wieść z innego świata, z innego wymiaru ludzkich spraw, że można ją chłodno rozpatrywać, że nie boli. Nagle wszystko to wydało mu się śmieszne: uczucia, związki ludzkie tamtego wymiaru, tragedie wpisane w społeczeństwo dostojnych praw. Wiatr przynosił duszną woń z Brzezinki, spod kostnicy wytoczył się wielki wóz. Pułkownik krzekotał nerwowo, przypomniał, gdzie się znajdują. Ja to wiem, po co tyle gada? Ja to dobrze wiem. Wiem też, że teraz i on zna moje nazwisko, a to coś znaczy.

Nie miał zamiaru dać się poznać Maryjce, ale postanowił pomóc jej z ukrycia wiedząc, że jest bezradna i słaba, że panicznie boi się choroby i cierpienia. Któregoś upalnego dnia sierpniowego przyłączył się do dekarzy, aby odwiedzić Birkenau i zbadać sytuację na miejscu.

W bramie obozu kobiecego stała, żywo gestykulując, grupa esesmanek-nadzorczyń. Przystojna blondyna w szarym uniformie i zgrabnej furażerce zatrzymała

komando, przeliczyła
i wskazała barak na końcu odcinka. Rozciągała się tam niegdyś bujna łąka, teraz wydeptana do gołej ziemi. Kłębił się na niej ogromny tłum nagich kobiet. Stały, siedziały, leżały na glinie, nad rowami, młode dziewczęta i stare baby, wszystkie ostrzyżone do skóry, z oskubanymi przez fryzjerów łonami, niemożliwe do rozróżnienia, zgiełkliwe. Kilka tysięcy nagich ciał tworzyło zbitą masę nóg, rąk, piersi, brzuchów, głów, pośladków. W pierwszej tylko linii kręciło się kilka więźniarek w pasiakach i kijami zaganiało wyłażące z tłumu. Z wysokości dachu, gdzie z Felkiem i dwoma chłopcami układać miał płyty, patrzył Henryk na pole, zamknięte z jednej strony linią drutów z białymi szyjami słupów, z drugiej kordonem funkcyjnych. Grupka dziewcząt o granatowej szczecince włosów i południowych rysach pierwsza dostrzegła mężczyzn; pokazywały dach, uderzały rękami w uda, klaskały, podobne oskubanym ptakom. Przy nich stały zawstydzone kobiety
o ascetycznych, jakby z kości rzeźbionych twarzach i poczerniałych wargach; w ich wstydliwym geście skrzyżowanych na piersiach rąk było coś z ekspresjonistycznej rzeźby średniowiecza. Na wychudłych nogach o grubych szypułach kolan chwiały się przegięte korpusy. Słońce wymazywało cienie, ciała były płaskie w jego jasnym świetle. Srebrzyło głowy staruszek, które, obojętne na wszystko, siedziały nad rowem, bieliło nie tknięte jeszcze zagładą piersi młodziutkich dziewcząt.

— Oczy bolą patrzeć. Nigdym gołej baby nie widział, a tu masz, jakbyś śnił — powiedział Felek i splunął z obrzydzeniem. Dwaj jego koledzy leżeli na dachu bez ruchu, wpatrzeni w ogromne ciało o tysiącach głów i

korpusów. Z baraków funkcyjne wywoziły koce, odzież, wyrzucały ściółkę — drobne, starte na proch wiórka.

Henryk daremnie szukał w tłumie żony. Jakkolwiek przypuszczał, że nie pozna jej, ostrzyżonej i nagiej, w tym tłumie byłych kobiet, natężał wzrok. Widok, jaki roztaczał się przed nim, był tak przytłaczający, że nie zatarty jeszcze obraz zagazowanych kobiet, które widział w poprzednim komandzie, wydał się teraz łagodny i spokojny. Masa istot żywych, nie dająca się objąć wzrokiem ani pojąć, bezimienna, kryła Maryjkę.

Podniósł głowę. Rozległa równina, podzielona drogą na dwie części, była już zabudowana. Z lewej strony stały przysadziste murowańce o spłaszczonych dachach, po prawej równe rzędy drewnianych baraków stajennych. W tym ładzie i jednakowości martwych rzeczy tłum kobiet na polu mniej raził.

Bolek wspiął się na dach i jął pracować w opętańczym tempie, Henryk odbierat przez dziurę płyty, podawał mu je, patrzył na przemian to na mrowie kobiet, to na wnętrze baraku, w słońce i w mrok. Wzdłuż budynku biegły murowane buksy przedzielone w poprzek pokładami z desek; te osobliwe półki były teraz puste, ich mieszkanki wypędzono na pole. Schyliwszy się po kolejną płytę podał ją, ale ręka zawisła w powietrzu. Bolka nie było. Ujrzał, jak biegnie ku bramie obozu kobiet wraz z Lalą, jak wykłóca się z esesmanem, przywołuje na pomoc dozorczynię, pokazuje całym ramieniem w stronę obozu mężczyzn. Felek podpełznął bliżej. Oczy miał przymrużone, patrzał bowiem daleko, tam gdzie na drodze coś się posuwało warcząc motorami. Oczy Henryka, porażone jeszcze nagłymi zmianami światła i cienia, nie rozeznawały dalekich

szczegółów, spozierał na drogę, a widział masę ostrzyżonych głów i kobiecych piszczeli odzianych w ciasną skórę.

— Jezus Maria, to nasi! Krankenbau wiozą do gazu! — krzyknął Felek. Wspiął się wyżej, stanął na krokwi. .Mała, ciemna sylwetka chłopca w niebiesiech. Teraz i Henryk widział: sznur ciężarówek, ciągniony przez sanitarkę z czerwonym krzyżem, przesuwał się między dachami baraków, na każdym aucie płynęli ludzie w koszulach, płynęli ludzie nadzy. Felek zsunął się z dachu, skoczył ku kobietom, ale gruba blokowa, Słowaczka, zagrodziła mu drogę kijem. Krzyknął coś i tłum zafalował. Pierwsze szeregi rzuciły się do ucieczki. Nagie kobiety biegły ulicami obozowymi, kryły się w barakach, jak szalone wgrzebywały się w ziemię. Blokowe wrzeszczały, smagały kijami, łapały uciekinierki. W naprawianym przez dachdeckerów baraku zaludniło się nagle. W najodleglejszych od przejścia buksach pełzały kobiety, tratowały się, biły o miejsca przy ścianie. Młoda dziewczyna wdrapała się na najwyższy pokład, wyciągnęła ręce ku niebu. Henryk bezmyślnie wciągnął ją na dach. Znał takie oczy

asa
-5- mi)', J
KIUMI
llfiRRfSFiW

zaszczutego zwierzęcia, mieli je wszyscy nowi przybysze. Dziewczyna uczepiła się nóg, zakryła twarz kurtką mężczyzny. Ciało jej przebiegały fale dreszczy, mocz głośno spływał po płytach.

Panika rozrzuciła tłum. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć,

biegły kobiety, świstały przeraźliwie gwizdki funkcyjnych, dozorczynie strzelały w powietrze. Henryk oderwał od siebie dziewczynę, zeskoczył, podniósł z ziemi stratowaną Rosjankę, krzyczącą po wariacku tylko jedno słowo: „Stalin! Stalin”, i ruszył ku zewnętrznym drutom. Tu spotkał Felka. Chłopiec leżał na ziemi z podkurczoną nogą, gotów każdej chwili zerwać się i biec przed siebie.

Leżeli tak, aż wszystko ucichło. Kobiety ustawiono na ulicach przed barakami, pluton SS i dozorczynie z psami odcięły drogę ku drutom, kierowniczka obozu wygłaszała przemówienie, uspokajała, że nic się nikomu nie stanie, że chodzi jedynie o odwszenie. Z kuchni wyniesiono buchające parą beczki.

— Chwała Bogu — szepnął Felek. Wargi miał pogryzione do krwi. — A nasi?

Czarny dym unosił się nad laskiem, kłębił się w gęstych obłokach.

— Wstawaj, Felek, i wracaj do roboty. One muszą mieć cały dach — powiedział Henryk. — Ja jeszcze skoczę o coś zapytać, zaraz wracam.

Zaczepił blokową Polkę, pytając o Maryjkę, nie znała jednak takiej. Obchodził bloki przypatrując się chłepczącym zupę kobietom, aż posłyszał głęboki, ciepły głos, deklamujący „Ojca zadżumionych”. Przystanął. Kobiety wylizywały miski raz po raz dźwigając gołe głowy, by spojrzeć na recytatorkę. Stała przy beczce, z czerpakiem w ręce, naga, wolną dłonią dotykała długich piersi, które drżały za każdą frazą wiersza. Zygzakowaty cień przecinał bok brzucha znacząc bliznę. I wówczas ujrzał Maryjkę. Siedziała z miską na kolanach, z rękami splecionymi na karku. Wzniesiona ku słońcu twarz była

jeszcze świeża, okrągliły się ramiona opalone po łokcie, Skinął na blokową. Wyondulowana Niemka z czarnym trójkątem na bluzie wlazła do baraku, obszedł go i spotkał ją przy drugim wejściu.

— Chodź ze mną — powiedział. Poprawiła fryzurę i poszła. Wziął od kolegów komplet francuskiej bielizny, buteleczkę perfum i papierosy.

— To dla ciebie, kochanie. Dostaniesz więcej, ale masz mi się zaopiekować Marią Smolik. I nie gadaj, że ktokolwiek od nas pytał o nią.

— Dobrze, skarbie. Ładny chłopak z ciebie. To znajoma?

— Nie. Proszono mnie.

— O, to dobrze. A nie masz ochotki, co? Mam ładny pokoik...

— Czy im nic nie grozi?

— O, jej w każdym razie nic. Zdrowa krowa.

— Co potrzebujesz?

— Wódki, skarbie, wódki.

Henryk obiecał przynieść lub przysłać. Sam miał ochotę upić się do nieprzytomności, do zapomnienia. Kiedy wrócił Bolek z Lalą, wszyscy skupili się, by ich wysłuchać. Felek zgadł: kilkuset chorych, ozdrowieńców i część pomocniczego personelu poszło do komór gazowych. Ciężko chorych wrzucono jak trupy na auta, ale jechali i zdrowi. Bolek wyliczał znajomych, którzy już byli po tyfusie i zatrzymali się w szpitalu jako pomoc sanitariuszom. Mundka nie widział. Nikt nie wyraził tego głośno, ale myśleli podobnie: Mundek nie mógł się ocalić, skoro silniejszych i zdrowszych od niego wybrano. Felek ściągnął czapkę z głowy, poszli za jego przykładem.

— Nic nie zorganizowane, do chuja pana! — zaklął Bolek.

Wracali do obozu wcześniej niż reszta komand, gdyż musieli jeszcze zatrzymać się u ogrodników. Tu już wiedziano o wszystkim od Nowotnego. Wieczorem rzucono się do szpitala,- ale kordon sanitariuszy, salowych i pisarzy wzbraniał dostępu. Ten kąt obozu był odcięty. Widziano grupkę chorych, leżących między blokami, i Pappiego, który krążył wokół nich w białym, spranym uniformie. Komando dezynfekcji opuszczało bloki szpitalne, szczelnie zamknięte, puste.

Henryk wywołał Karola. Wyszedł przygarbiony, powłóczył nogami. Nie, Mundka nie wywieźli, ale osiem setek poszło. Nie przebierali. Lagerarzt, kiedy proszono go o życie najbliższych, zdrowych ludzi, wrzeszczał, że musi zniszczyć tyfus bez miłosierdzia. Mundka uratował nie Jasio, Goryl. Schował go u Pappiego na strychu. Omal nie doszło do buntu przy ładowaniu ozdrowieńców na auta. Podobno któryś z nich rzucił się na SDG.

— Nie mogę o tym mówić nawet. Tyle wysiłku, żeby ludzi ratować, na nic. Na nic. Fiut, nie ma ich. — A jeżeli jutro, za tydzień zrobią nową selekcję i wezmą następne setki? Trochę zdrowszych? A potem starszych, a potem trochę młodszych? Parę tysięcy dziennie mogą przerobić. Ga wtedy? Czy chorzy sami wsiadali do aut, defilowali sami przed lagerarztem, czy tylko on prowadził akcję? Kto ich prezentował, ustawiał, liczył, spisywał, prowadził do ciężarówek, kto pilnował, żeby się nie ukryli, kto nabuja rodzinę teraz, że umarli na Cachexie beim

Darmkatarrh, Lungenentzündung, Herzschwäche*? Kto jutro będzie bił drągiem zdrowych, łamał kości, wybijał zęby, kto będzie szczuł człowieka na człowieka, „aryjczyka” na Żyda, Polaka na Francuza, Słowaka na Rosjanina, kto?!

— Nie wiem, nie wiem, nic nie wiem — szepnął Karol. — Kółka się obracają, czy chcą, czy nie chcą. Jak się popsują, znajdą się tysiące innych. Fiut, i nie ma ludzi.

Krzyk przerwał ich rozmowę. Kilkudziesięciu wygłodniałych więźniów zaatakowało wóz z odpadkami kuchennymi i śmieciami. Czyhali za węgłem na tę chwilę. W czapki, w poły pasiaków, w blaszanki i miski ładowali obierzyny, papiery z margaryny, spleśniałe okrawki, co popadło. Rosjanie i Żydzi, obozowy proletariat. Henryk poczuł głód, łagodny głód człowieka, który niedawno przecież jadł.

Rozdział szósty

Na wyciętej z gazety mapce dwa czerwone ramiona prawie że się stykały. Mapka była malutka, niewyraźna, czerwony ołówek wydrapał był kontury lądu. Jedno ramię dochodziło do Wołgi, Stalingradu, Kaukazu, drugie, południowe, sunęło na Aleksandrię i Kanał Sueski. Henryk wyobrażał sobie ogromny tłum pasiaków, duszonych tymi dwoma ramionami.

Siedział z Samkiem i Bolkiem u schreibera bloku, Austriaka Adama, słuchał opowieści poznanego w bunkrze Żyda, który przeniósł się teraz na jego blok.

— Dziś palą zwłoki ze starych dołów i transport ze Śląska — mówił Samek Rubin — ale wtedy to oni palili ludzi z Francji, a Sonder byl słowacki, to potrzebowali Francuzów i mnie wzięli.

Opowiadał o chłopskim domu, przerobionym na komory gazowe, domu, przy którym ongiś pracował Henryk. Chałupa strzechą kryta, okna zamurowane, na drzwiach tablice: ,>Do kąpieli — Do dezynfekcji", przy chałupie dwa drewniane baraki rozbieralni, a z drugiej strony ogromne, na siedemdziesiąt metrów długie rowy.

— No to tam ja znalazł żonę, jak wyciągałem trupy z komory. Miałem w głowie, golnąłem sobie, bo tam wszystkiego
pełno, ałem poznał. Sam zaciągnąłem, có było robić? Gdybym co zrobił, toby całe komando rozwalili.

Nad równiną drży w nocy łuna, jesienne chmury wysysają przetkane iskrami dymy, w blasku ogni sonderowcy długimi osękami ciągną do dołów zwłoki, oblewają metanolem czy ropą. Esesman o jednym szklanym oku, blondas uczesany na przedziałek, zapala grzebień i ciska w pełny dół. Bucha niebieskawy płomień, wżera się w głąb. Wszystkie doły płoną. I te, gdzie leżą dawno pomarli i zakatrupieni. I te, gdzie ciśnięto dzisiaj wymordowanych. Łatwo sobie wyobrazić ów widok, ale Henryk wie, że nie ma żadnej różnicy między wrażeniem, jakie wywołuje stu zabitych, a wrażeniem, wywołanym przez tysiąc zabitych. Gdzieś musi być oczywiście granica matematyczna, ale jest ona nieuchwytna. Pomiędzy wielkościami przesuwa się nieznacznie i nie wiadomo kiedy przekracza wyobraźnię. Trzeba by to wszystko opisać — myśli i prosi Samka o dalsze szczegóły. Opisze. Pośle- w świat.

Olbrzymia postać Samka skuliła się, opowiadał niechętnie, choć dokładnie opisywał urządzenia i przebieg zagłady.

— No, dobrze, i nic nie czułeś ujrzawszy wśród

zabitych żonę? — zapytał Henryk. Pomyślał o Maryjce. Tak, dziwne, ale tu inaczej wszystko wygląda. Tragedie? Zwiesił głowę.

Zaraz po wygaszeniu świateł rozległy się dalekie syreny obrony przeciwlotniczej i horyzont rozbłysnął torami pocisków zenitówek. Drżało powietrze wrześniowej nocy. Więźniowie wstawali, ubierali się, podbiegali do okien. Czarny pokazał Henrykowi niebo:

— Jak co, to napieprzamy z lagru.

Odezwała się spóźniona syrena obozowa, samoloty były jednak tuż i od huku motorów dzwoniły szyby. Z nieba spływały na ziemię dziwne blaski, jak gdyby gwiazdy wolno szybowały ku obozowi. Ktoś z wojskowych wytłumaczył, że to rakiety na spadochronach. Henryk wiedział, że wojskowi z obozu wysłali na wolność swego łącznika, bał się jednak przypuszczać, że nalot ma jakiś związek z tą ucieczką, bo jeśli tak...? Bolek klął, że w lagrze nic nie gotowe, ktoś krzyczał nerwowe komendy.

Cel był wyraźny: oświetlały go przecież nie tylko spado chronowe rakiety, ale i podłużne pasma ognia w Birkenau, a jednak żadna bomba nie spadła na obóz. Dalekie detonacje świadczyły, że eskadra trafiła okoliczne obiekty. Może „Bunę", zakłady IG Farben, budowane przez więźniów pod Oświęcimiem? Powoli oddalał się szum motorów i gasło nocne niebo.

Wrześniowy nalot obudził nadzieje. Coś się musiało wydarzyć, coś pomyślnego, mimo że coraz większe transporty napływały do komór, coraz więcej chorych i wynędzniałych więźniów odwożono ciężarówkami do Birkenau, coraz częstsze stały się masowe egzekucje. Wrzesień i październik spędził Henryk w oczekiwaniu, że

to Coś się stanie. Żonie przesyłał skrycie żywność, ale nie zapuszczał się sam do obozu kobiet, często przestawał ze Samkiem, wszystkie, nieliczne wolne chwile spędzał jednak przeważnie z Czarnym. Tak nadeszły imieniny Czarnego. Tego ranka wyczytano około trzystu więźniów i zaprowadzono na Jedenastkę. Były to stare i nowe numery, z różnych transportów lubelskich. Czarny, pijąc w warsztacie kubek wódki, powiedział:

— Po wojnie wydusim wszystkich esmanów. Wytrulbym ich zaraz teraz.

Zdawało się, że obóz poddano tak ogromnemu ciśnieniu, iż wszystkich ono zmiażdży. Szpiłowano chłopaczków młodziutkich z Lubelskiego, z terenów wysiedlanych i przygotowywanych dla niemieckiej kolonizacji. Starzy szli do komór. Kapowie i blokowi mordowali bezkarnie, obóz pęczniał od nowych transportów, wydano już przeszło sześćdziesiąt tysięcy numerów, nie licząc kobiet.

Na bloku Henryka stary Żyd polski, czczony przez współwyznawców, cadyk podobno, ogłosił głodówkę zapowiadając, że w dniu jego śmierci umrze Trzecia Rzesza. Pragnął też jak najszybciej umrzeć, ale mu nie pozwalano. Żydzi znosili jedzenie, karmili prawie siłą, błagali modlitewnie, kiedy wzbraniał się przyjmować cokolwiek prócz suchego chleba i wody. Cadyk wróżył, że tego roku przyjdzie Zbawiciel, tak tłumaczyła Kabała rok 1942.

W dniu, kiedy Żyd rozpoczął głodówkę, trójka mierniczych odwiedziła warsztat stolarski w Rajsku. Byl chłodny dzień późnej jesieni, w nocy lał deszcz i ziemia lepiła się do butów. Kamiński z Muszką i Misiem — rudym mierniczym —

przyszli pożywić się ogrodowymi zapasami, a sam Kamiński, by podjąć przeznaczoną dla niego przesyłkę od opiekunek. Od jakiegoś czasu przychodziły dla niego paczki i listy i Mundek, po powrocie z tyfusu, odkładał mu wszystko w umówionym miejscu. Tego dnia Kamiński był w dobrym humorze.

— Tu warto być kapo, lepiej niż u nas. Zima na karku — mówił — łaż po polach, a tu cichutko, cieplutko. Warto popróbować. Powiem Zorzowi Galidze, on wiele może. Winien mi jest za pokera dwa twarde, niech załatwi.

Rudy Miś drzemał. Zbudzony słowami Kamińskiego, przyskoczył do niego, wycyganił papierosa, zapalił nerwowo, pociągnął kilka razy i znowu zapadł w sen. Muszka chrupał marchew.

— Krawcy znaleźli w ciuchach brylant jak jajo, sam widziałem — opowiadał. — Kamiński, tyś sobie willę stawiał przed wojną, ile cię kosztowało?

Usłyszawszy okrągłą sumkę, parsknął śmiechem. Miał już co najmniej na dwie wille, uciułał, zakopał, część nawet posłał do domu.

— Baba będzie miała, jak znalazł, na przekupienie gestapo. Zobaczycie, że Muszka wyjdzie na wolność i do końca życia nic nie będzie robił, tylko latał z kwiatka na kwiatek.

Twarz Mundka stała się naraz stara, pomarszczona, chwycił się za brzuch, jakby miał zwymiotować. Do Henryka podbiegł Miś, szybciutko zasalutował, rozpiął bluzę i koszulę, błysnął cienką, złotą monetą. Kamiński wyruszał już w powrotną drogę.

— Muszę dać ten gips dziś jeszcze babie. Nie chcę, żeby kumple widziały. Wiesz, jak jest. Zanieś, dostaniesz

kawałek bruchu.

Szepnął nazwisko kobiety, więźniarki pracującej w ogrodzie, i pomknął za Kamińskim. Henryk został ściskając w dłoni ciepły krążek złota. Mundek wymiotował, podtrzymywany przez Czarnego.

— Jeszcze przyjdzie Bolek z dachdeckerami — szepnął Mundek po ustaniu torsji. — Nie mam sił, jestem wykończony. Pod deską sedesu jest coś dla niego, rewolwer. Przypilnujcie.

Czarny rozdziawi! usta. Rewolwer? Różne rzeczy już przyjmowali od opiekunek, ale rewolwer? Po co? Lekarstwa, listy, żywność, gazetki — o tym wiedział. Jakieś podejrzenie zaczęło w nim nurtować, chciał o coś zapytać, ale nie odezwał się ni słowem. Nazajutrz miał być wielki transport zastrzyków i trzeba było pomyśleć, jak go przenieść do obozu, więc dał spokój domysłom. Dachdeckerzy przyszli przy końcu dnia wracając z roboty. Bolek wydostał rewolwer, wsadził za pasek i pogwizdując ruszył do obozu.

Po apelu Henryk przypomniał sobie Misia i złotą monetę. Postanowił mu ją oddać. Kiedy wychodził z bloku, block- fiihrer wyprowadzał właśnie starego Żyda, okrytego czarnobiałą szatą liturgiczną. Szare wargi starca poruszały się nieustannie. Ostrożnie sprowadzono go ze schodów, blokowy pomagał mu stawiać nogi, zupełnie zdrętwiałe, chude i kroś- ciate. Było cicho, nikt się nie śmiał, wszyscy widzowie stali zapatrzeni w ułomną postać człowieka, który zapowiedział przecież, że wraz z nim skona Rzesza. Zabobonny lęk ogarniał nawet Zielonych, brutalnie robili miejsce przechodzącemu starcowi. Wiedziono go do tak zwanego muzeum, gdzie grupka Żydów tłumaczyła na

rozkaz SS żydowskie księgi. Nie chcą, żeby umarł — pomyślał Henryk złośliwie. — Będą go karmić.

W tłumie gapiów dostrzegł Łokietka. Stał, mały i drobny, wspinając się na palce. Miał na sobie nowiutki pasiak, czapkę naciągnął fantazyjnie na ucho. Twarz mu tłusto świeciła.

Szybko przeszedł w myślach rejestr osób, które znały Henryka Bednarka. Kalafior, Karol, Kamiński... Wspomniał transport Smolika, nieoczekiwane przybycie wielu naraz znajomych z poprzedniego życia, poczuł wielką pokusę, aby podejść do Łokietka, powiedzieć: „Jestem. Żyję". Przecież w końcu trzeba będzie pójść i do Maryjki, dać się poznać.

Stanął obok Łokietka, położył mu dłoń na ramieniu.

— To ja, milcz! — szepnął, bacznie obserwując jego zachowanie, wyraz twarzy. Łokietek od razu uwierzył, zanim jeszcze zrozumiał. Przywykł niczemu się nie dziwić w lagrze, wszystko traktować jako naturalny bieg rzeczy. Kiedy poszli pod łaźnię, by swobodniej porozmawiać, był zupełnie spo
kojny, toteż wysłuchawszy krótkiej opowieści przyjaciela przystąpił do spraw istotnych, pytał, czego potrzebuje.

— Jest się u krawców, to fajnie. Kapo morus, swoich broni. Wesoło. Chodź zresztą ze mną, sam zobaczysz.

Krawcy mieszkali w czyściutkiej izbie. Puszyste derki zaścielały łóżka, na stole pysznił się kwiecisty obrus, tyrczała maszyna do szycia. Dorodny młodzian stał przy łóżku, rozebrany do przymiarki. Pod oknem kapo Galidze-Galewski, wysoki brunet o wyglądzie południowca, grał w brydża z Kamińskim, Misiem i Muszką. Łokietek

przedstawił Henryka jako swego kumpla z celi więziennej. Kamiński odłożył karty i zataczając się podszedł do niego.

— Znasz go jeszcze z więzienia? Znasz Matulę? — zapytał podkreślając nazwisko. Kapo, nie odrywając wzroku od kart, polecił, by zmieniono na bramie straż, pilnującą, czy nie nadchodzi jaki esesman. Wyciągnął spod stolika dwie butelki Mattoni-Wasser, oderwał kapsle. Gruby krawiec z zegarmistrzowską lupą przy oku przysunął talerz z kiełbasą. Poczęstował Łokietka i Henryka, przepili do siebie uśmiechając się wyrozumiale, czule, ale rozmowa się nie kleiła. Gruby krawiec cmokał z zachwytu pokazując obłocony brylant Echt blauweiss*. Kapo wyciągnął dłoń o długich, brunatnych palcach, schował brylant do kieszeni.

— Zrób Kamińskiego kapem u ogrodników — powiedział Muszka. Kamiński łyknął wódkę z flaszki, otarł usta.

— Galidze wiele może — Galidze idzie do vermesserów, Kamiński do Rajska, byczo. My dwaj się uzupełnimy jakoś. Pij!

Łokietek patrzył spode łba na przyjaciela, nie podobał mu się jego smutek, zamyślenie. Zawołał jednego z krawców, by wziął mu miarę na zimowe ubranie.

— Bozia zlitowała się nad Łokietkiem, nie ma co — powiedział.— Wczoraj broszkę znalazłem złotą, żyje się, a pietra miałem, że tu same takie ludzie jak ty. Teraz, chwała Bogu, wszystko na Żydkach się skrupia, ale gdyby nie oni, ci z gazu, żreć by nie było co.

Kamiński pił z Żorżem Galidze na umór.

‘ant wywUwąiklasy

■— Zrobi się, chiop z ciebie dobry — ryczał Galidze. —

Dla dobrego Polaka wszystko. Jak będziesz potrzebował dla organizacji, dam.
Zwrócił się do Henryka, zmienił głos, zapytał o kobiety. Czy ładne, młode?
— W pasiaku, w worku wszystkie jednakie — odparł Henryk, ale Galidze nie mial na myśli więźniarek.
— No, no, Polki są zawsze bohaterskie, im też zawdzięczamy pomoc w lagrze. A propos — dostałem jakąś gazetkę, gdzie ja ją podziałem?
Zaczął szukać po kieszeniach, wreszcie wyciągnął konspiracyjną gazetkę krajową, wygładził delikatnie, podsunął pod oczy Kamińskiemu.
Łokietek sprowadził Henryka na dół i żegnając prosił, by o nim nie zapominał.
— Nie boicie się wpadunku? W biały dzień na bloku takie rzeczy?
Łokietek zaśmiał się pogardliwie. Kapo obroni. Już nieraz tak bywało, a kapo wszystkich wybronił. Łazi na Politische, z esesmanami jest dobrze. Nie ma powodu do strachu.
Na ulicy dogonił Henryka Miś, by zapytać, czy jego przesyłka doszła do kobiet. Dostawszy z powrotem złotą monetę stropił się, posmutniał. Bardzo mu zależało na tej dostawie.
Przy najbliższej okazji Kamiński powiedział Mundkowi w warsztacie, że Galidze coś wie o kobietach dostarczających więźniom leki i żywność.
— Będzie z tego wielki dla nas wszystkich pożytek — mówił. — Gdyby padło na głupca, nastraszyłby się może, ale ja go przejrzałem na wylot. On jest — Kamiński zniżył glos — on jest w wywiadzie. W IS.

—W czym?!
—Intelligence Service.
Magiczne słowa. Mundek zamilkł, łuki brwi wygięły mu się tak, że prawie dotykały skraju czoła. Galidze — jak mówiono— przeszedł w 1920 roku z wojska bolszewickiego do polskiego, był zawodowym oficerem, ponoć nawet w „dwójce". Twierdzenie Kamińskiego było prawdopodobne. Intelligence Service, angielski wywiad! A w takim razie pracuje wśród SS, ma ludzi swoich i w Politische Abteilung.

— Rany Chrystusa, Intelligence Service—szepnął nabożnie, ze czcią.

Zbliżała się zima, trzeba było pomyśleć o przeprowadzce komanda do Birkenau na „zimowe leża". Mundek zaopatrzył warsztat, kupił trochę węgla i koksu, zbierał trociny i ugniatał brykiety. Nie było czasu na rozmyślania o zdumiewającej wiadomości. Henryk szmuglował ciepłą odzież dla Ma- ryjki, majstrował nowy piecyk, wszyscy byli zajęci codziennymi sprawami. Łokietek dotrzymał słowa: Henryk dostał zimowe ubranie cywilne, z czerwonym krzyżem przez plecy i wyciętym prostokątem. Z nastroju przygotowań wyrwało go nagłe wezwanie do Oddziału Politycznego.

Tego dnia spadł pierwszy śnieg i koło baraku Oddziału Politycznego było biało. Czapa ziemi nad starym krematorium iskrzyła się w słońcu.

Oczy bolą od blasku. Z baraku Tygrys wyprowadza trzy kobiety w cywilnych sukniach. Dwie młodsze wloką trzecią, której siwowłosa głowa opada bezwolnie. Znikają za kopcem krematorium, a kiedy Tygrys znów się ukazuje na śniegu, poprawia kaburę rewolweru, zapina. Potem

zajeżdża przed komendanturę sanitarna karetka, oznaczona czerwonym krzyżem, do której wsiada lekarz SS. Jedzie do Birkenau, do gazu.

W pokoju leży duży czerwony dywan, za biurkiem siedzi nieznajomy esesman przeglądając teczkę dokumentów. W gruncie rzeczy, nie ma się czego bać. Dowiedzieli się, że jestem Bednarek. Rozwalą. Czekając na odezwanie się esesmana Henryk zastanawia się tylko nad tym, kto go zdradził. Przez ostatnie miesiące nie odczuwał już grozy żywota, prowadzonego pod cudzym nazwiskiem, przywykł do niego, jak przy- wyka się tu do wszystkiego, do życia i do śmierci. Esesman pyta o nazwisko, datę urodzenia, ale Henryk pamięta wszystko, powtarzał sobie w drodze. Bieliznę i sukienkę odda Maryjce Czarny. Nie prosił nikogo, by pożegnał się z nią w jego imieniu. Może tak lepiej, może w ten sposób spełni się przeznaczenie?

— Ile masz morgów? — pyta przesłuchujący. Chce mnie w ten sposób złapać — Henryk rzuca pierwszą lepszą liczbę nie zastanawiając się nad nią. Nie, nie ma najbliższej rodziny. Esesman wstaje leniwie, w ręce ma drąg z rękojeścią,

I

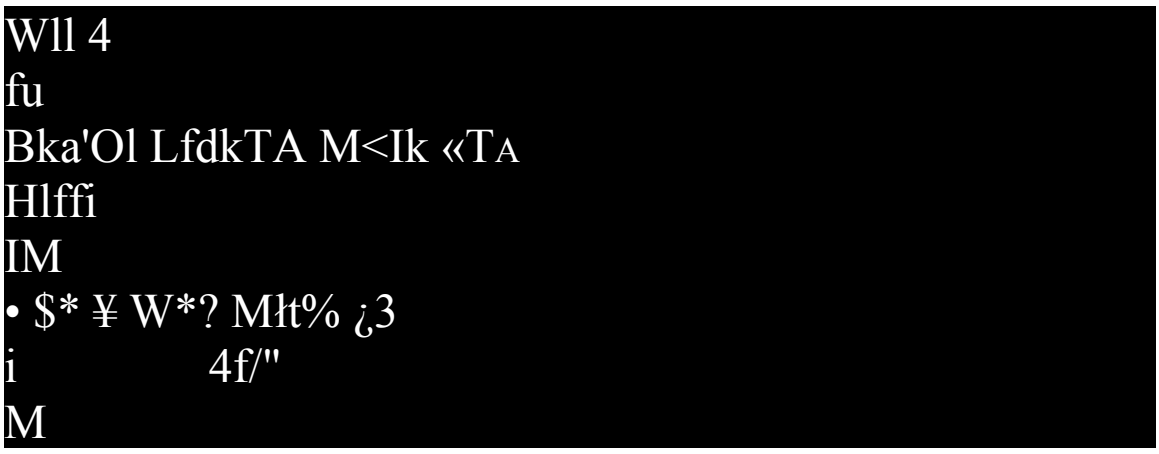

owiniętą gumą i z pętlą na dłoń. Tępy cios spada na barki.

Powiem od razu, żeby się nie męczyć, żeby nie bił. Po co?
— Dlaczego nie piszesz na adres podany przy przyjściu do obozu, co? Świnio jedna, co?
Pokazuje list, zaadresowany do pana komendanta, pisany straszliwą niemczyzną. Henryk tępo patrzy na niebieskie litery, na kleks, na podpis. Matula musiał podać jakiś adres dla korenspondencji — dorozumiewa się wreszcie. Więc tylko
o to chodzi? Uważniej spoziera na podpis, przyswaja pamięci obce imię i nazwisko, adres, nazwę wsi. Drugi cios. Esesman coś mówi jeszcze, ale to nie dochodzi do świadomości. Jest więc żywy i będzie żyć. Tylko napisać trzeba do obcej osoby: „ich bin gesund und fühle mich gut”*. Odbiera list, stuka obcasami i wychodzi w brzask bieli. Znajoma postać podchodzi doń, słychać głos:
—Czekasz na posta? Byłeś na przesłuchach?
Galidze-Galewski wracał też z baraku Oddziału Politycznego. Przytupywał na śniegu, jakby zmarzł, opowiadał, że wyrobił wreszcie Kamińskiemu kapowską bindę u ogrodników.
— A ty byś nie chciał nosić bindy, co?
— Nie, kapo.
— Mówili mi, żeś wpadł za handel, za głupstwo. Mógłbyś pójść na wolność, do domu. Szkoda cię na lager.
Przeszło przez myśl Henrykowi, że w samej rzeczy »Matula miałby jakie takie szanse ocalenia, gdyby kto na wolności pchnął jego sprawę.
— Bardzo często śni się człowiekowi dcm — mówił dalej Galidze. — Pukasz do drzwi, słyszysz głos kochany. Niech to diabli wezmą! Zbiera ochota czasem, by pójść na Politische, powiedzieć: „puśćcie do domu”. Przecież i tam są lu-

dzie. Wykonują rozkazy, prawda, okrutne, ale tylko wobec tych, co bawią się w wojenkę. Porządnych ludzi wszyscy potrzebują. Niemcy też. Pomyśleć, że na wolności, choć pod okupacją, ludzie chodzą swobodnie, bawią się, kochają, pracują. A niewiele potrzeba...
Urwał, jakby czekając na odpowiedź Henryka, ale kiedy ten nadal milczał, zatarł ręce i zaklął. Cholerne życie. Kamiń-
i
ski będzie kapem u ogrodników, ale Kamiński podobno źle się o nim wyraża, o Manili. Pokłócili się kiedyś, prawda?

— Ambitny, ale dureń — stwierdzi! kapo. — Bardzo mu zależy na waszym komandzie. Rozumiem: miernictwo, ogrodnictwo, to najłatwiejszy kontakt ze światem...

— Skądże mogę wiedzieć, panie kapo? Nie wiem, mało się znamy.
— A ten Łokietek zna cię jeszcze z czasów wolności?
Usłyszawszy zaprzeczenie zamilkł. Henryk z niepokojem oczekiwał posta, by jak najprędzej znaleźć się u przyjaciół, ale posta nie było. Galidze stał zamyślony, w końcu szepnął:

— Kamiński opowiadał mi, że chciałeś kiedyś o czymś zameldować władzom, ale ci przeszkodzili. Szkaluje cię, czy jak?

— Buja — powiedział Henryk. Kamiński po pijanemu dał upust dawnej złości, ale chyba nic więcej nie powiedział? — zaniepokoił się. W chrzęście śniegu posłyszał kroki esesmana. Post zbliżał się do wartowni, z Jedenastki prowadzono na śledztwo dwóch więźniów.

W Rajsku śnieg leżał płasko. Warsztat stolarski dymił,

snadź paliło się w piecyku. Post został na granicy ogrodu i Henryk samotnie kroczył ku budzie. Otwarł drzwi. Mundek siedział na skrzyni z głową opartą o deski, Czarny zawzięcie heblował, nawet nie zauważył wejścia Henryka, bo go nie oczekiwał. Nawet Roman przyjął powrót Matuli ze spokojem.

— Jutro się przenosimy do Birkenau — powiedział. — A jak tam było?

— Galidze był w Politische. Mówił, że Kamiński będzie u nas kapem. Nie podoba mi się ten Galidze — powiedział Henryk opisawszy swoje przesłuchanie. Mundek szarpnął się, krzyknął, by dał spokój podejrzeniom. Galidze jest lis, wiadomo, ale nie farbowany.

Birkenau grzęzło w zimnym błocie, w wielkim drewnianym baraku panoszyło się zimno. Nieszczelne ściany z cieniutkich desek, dziurawy dach przepuszczały wiatr. Blokowy upił się denaturatem i przeganiał więźniów ze sztub. W samą Wi

gilię musieli skakać w przysiadzie po placu. Henryk ćwicząc „sport" myślał o Maryjce: była chora na tyfus, a Czarny opowiadał straszne rzeczy o szpitalu kobiecym. Na nic się przydały ciepłe rzeczy, na nic zdał się jej paniczny lęk przed chorobami. Przekupił blokowego papierosami i ten obiecał przynosić wiadomości o Maryjce: miał znajomego esesmana, który w każdej chwili mógł go zaprowadzić do szpitala.

Zaraz po świętach wybrał się Henryk na drugą stronę arterii obozowej, by ujrzeć Maryjkę. Szedł z dekarzami, z komandem Bolka, który dostarczał do szpitala przemycane z wolności leki. Nie wtajemniczył go ani nikogo z

komanda, kim jest Maria Smolik, dozwalając, by przypuszczali, co chcą, postanowił bowiem nie rozszerzać kręgu osób, których musiałby się czasami bać. Zresztą nikt tu w obozie nie brał chętnie na siebie cudzych tajemnic, lepiej było jak najmniej wiedzieć o przeszłym życiu towarzyszy.

W baraku szpitalnym rewirowa lekarka zdumiała się, kiedy powiedział, że chce zobaczyć Marię Smolik, tylko zobaczyć i to tak, by ona go nie spostrzegła. Rzuciła mu brudny kitel i trzymając za rękę, surowym głosem zaprosiła do wnętrza.

— Masz temperaturę albo to ze zdenerwowania. Zachowuj się jak lekarz. Pokażę ci ją, jeśli ci na tym tak zależy.

Nie wypuszczając ręki mężczyzny powiodła go wąziutkim korytarzykiem między kojami. Na środkowej koi przy przejściu leżała Maryjka. Włosy jej odrosły na parę centymetrów, wyszarzałe i sztywne. Patrzała niebieskimi oczyma, ale wiedział, że nie widzi, otwierała usta, jakby mówiła, ale wiedział, że rozmawia z majakami wyobraźni. Odwrócił się i pociągnął za sobą lekarkę. Zdejmując kitel spostrzegł, że patrzy na niego troskliwie, ciepło.

— To bardzo bliska osoba. Drżałeś cały, a teraz masz w oczach świeczki. Kochasz ją, nie wypieraj się, kobiety nie oszukasz, a tym bardziej lekarki — powiedziała. — Dam ci karteczkę, co jej potrzeba. Wystaraj się jak najrychlej. Przebieg nie bardzo ciężki, ale możliwe komplikacje. Miałeś tyfus?

Henryk skinął głową. Kiedy się wpatrywał w lekarkę, piszącą receptę, przypomniał sobie ją właśnie, nago dekla-

mującą „Ojca zadżumionych”.

— „Trzy razy księżyc odmienił się złoty” — powiedział. Podniosła głowę, na chwilę przymknęła oczy.

— Ja jestem taka... kobieta zadżumionych — szepnęła.— Ojciec, dwaj bracia, mąż i synek. Tu go urodziłam i tu mi go zabili. Proszę — podała mu kartkę. — Nigdy nie myśl, że twój los jest najcięższy. Nowy u dachdeckerów?

— Nie, proszę pani, jestem z Rajska, od stolarzy z ogrodnictwa. Niech się pani nią zajmie!

— To człowiek, prawda? — powiedziała na pożegnanie. Przed wyjściem leżały dwie dogorywające kobiety, które przywlokły się tu właśnie, gdzie było najcieplej. W kostniejących rękach trzymały czerwone miski. Po obozie i odcinku szpitala łaziły postacie w pasiastych worach nastroszone niby zmarznięte ptaki.

— Bolek, można tej lekarce ufać? — zapytał Henryk.— Bardzo mi zależy na chorej, to jest dla mnie ktoś bardzo bliski. Nie chciałbym jednak kręcić się tutaj, mam swoje powody. Pomożesz mi?

— To się wie, a lekarce możesz wierzyć. Swoja. Będę nosił.

Henryk wręczył mu karteczkę lekarki z prośbą o dostarczenie Jasiowi, by ten zamówił potrzebne środki na wolności. Mimo zapewnień lekarki i świadomości, że może pomagać Maryjce, rósł niepokój o jej życie. Dachdeckerzy przynosili komunikaty o jej zdrowiu, szmuglowali lekarstwa, czasem wyręczał ich opój — blokowy. Z macierzystego obozu przychodziły niedobre wieści. W połowie stycznia rozstrzelano ludzi z Effekten- i Bekleidungskammer, chociaż kilku mierniczych,

aresztowanych po świętach za kontakt z cywilami, zwolniono. Wszystko to zwiększało podniecenie Henryka. W nocy zrywał się, gdyż mu się wydawało, że woła go Maryjka, w dzień w warsztacie, zmuszony do milczenia stałą obecnością Nowotnego lub któregoś z postów, wszystkie myśli kierował ku niej. Przechodziła lekko tyfus, ale złapała zapalenie płuc i gorączkowała. Gdyby teraz urządzono selekcję, nic by jej nie uratowało, nic i nikt. Poczucie bezradności przygnębiało, ale jednocześnie zespalało jeszcze bardziej z tymi, którzy je zmniejszali. Przecież miał lekarstwa. Opiekunki, stolarze, mierniczowie, pflegerzy — ci wszyscy
stali się bliżsi niż kiedykolwiek. Pewnego dnia lutowego Mundek powiedział:

— Pójdziesz | Czarnym do Wylężyna, za obóz. Spotkacie opiekunki. Jest ważna, pilna poczta, dobrze się składa. Jednocześnie zawiadomicie opiekunki, że po południu przyjdzie piątka mierniczych w sprawie ucieczki. Żeby się ubezpieczyły, niech przygotują na wszelki wypadek trochę żywności, tyle, ile mogą mieć normalnie przy sobie. Post zblatowany. To wszystko.

Henryk z podziwem patrzył na Mundka. Kiedy on zdolal „to wszystko” zorganizować, uzgodnić, załatwić? Wiedział, ile wysiłku kosztuje czasem zwykła rozmowa poufna, a co dopiero połączenie legalnej roboty z konspiracyjnym spotkaniem.

Miał z Czarnym przynieść klocki gruszy, Wujek bowiem chciał mieć płaskorzeźby w domu, a nowy stolarz, Holender z fioletowym trójkątem Badaczy Pisma Świętego, doskonały fachowiec, umiał ślicznie rzeźbić.

W mroźny, suchy dzień wyszli z rottenfiihrerem od

Wujka za obóz. Właściwie moglibyśmy go kropnąć i uciec — pomyślał, kiedy przechodzili koło zarośli. — Nie moglibyśmy. Robota. Represje — stwierdził. Czarny maszerował z zaciśniętymi ustami, dopiero kiedy dochodzili do wsi i rozległo się ujadanie psów, spytał:

— Urszula, to można mówić Ula. Prawda?

Rottenführer stanął przed domem, z okna którego powiewała żałobna, czarna chorągiewka. Jowialny mężczyzna z małym wąsikiem przywitał ich, zaprosił do pokoju. Czarny trącił Henryka: na ścianie wybałuszał z portretu oczy sam Hitler.

— Klocki? Są klocki. Piękna gruszeczka, gladziutka, sucha — mówił cywil. — Pan rottenführer coś przekąsi, zaraz przyniosę, a ci ludzie niech idą do szopy i wybiorą. Dam worki, bo jak nieść.

— Nie trzeba worków. Nie było mowy o workach — mruknął rottenführer. Podszedł do radioaparatu. — Co to? — wskazał czarną chorągiew na pudle radia. — Co za żałoba? Umarł ktoś w tym domu?

Cywil twardą, śląską niemczyzną powiedział:

— Pan rottenfiihrer nie słyszał komunikatu? Fiihrer nakazał żałobę narodową.

Esesman przekręcił gałkę radia, cywil wyprowadził więźniów na podwórze, pokazał szopę i zawrócił. Janina podała rękę do ucałowania.

— Daj mu buzi — powiedziała córce popychając ją wesoło ku Czarnemu, sama zaś przycisnęła Henryka do piersi i ucałowała w czoło i policzki.

Ula pierwsza ochłonęła.

— Nic nie wiecie? Paulus skapitulował pod Stalingradem. Dostali w dupę! Ćwierć miliona jeńców. Wiwat Ruski!

— Jezus Maria, co mówisz? Rety, to ci wiadomość! Ula, a kochasz mnie?
—Kocham. Was wszystkich. Żałoba w całych Niemczech. I jeszcze co, zaraz, zresztą wszystko jest w poczcie. Kto bierze? Mierniczowie czy wy? Kiedy przyjdą?
— Dawaj, dawaj! — powiedział Czarny. Ula podniosła spódnicę, wyciągnęła z majtek pakiecik.
— To prawda, pani Janino? — spytał Henryk, oszołomiony wieścią, której wagę w pełni oceniał. Wielka bitwa stalingradzka skończyła się i skończył się zwycięski marsz niemieckich armii. — Po południu przyjdzie piątka mierniczych— powiedział przekazując polecenie Mundka. — Musimy wiać. Gdzie te klocki?

Dziewczyna stała przed Czarnym, ręce trzymała mu na ramionach. Czarny mówił:

— a... ja, durak, chciałem powiedzieć właśnie, że przez skórę czuję coś niedobrego. Myślałem, ulitujesz się, pocałujesz. I będzie klawo. Jak się idzie do bunkra, zawsze lepiej z kimś w głowie.

— Mamo, on mnie naprawdę kocha! — zawołała dziewczyna!— Powiedz, że nie ma śliczniejszej na świecie.

— Nie ma śliczniejszej na świecie.

— Dzieci, czas. — Janina zapięła płaszcz, wywinęła cholewki gumiaków, ścisnęła się paskiem. Wyglądała młodo, na pogodnej twarzy drgały zmienne uśmiechy.

— Duży list, pamiętaj! Napisz o sobie, dużo o sobie — powiedziała Ula.—Wracajcie, Alojzowi już pewno brakło tematu. Wszystkie czarne szmaty potargał na chorągiewki.
Henryk zarzucił worek na plecy, wyszedł pierwszy. Alojz już czekał w sieni.

— Macie co do spylenia, chłopaki? Dam spirt.
— Odpieprz się pan, a szybko. — Czarny biegł przez sień. Wpadł do pokoju i zastał rottenführera przy aparacie radiowym; miał zawziętą, ponurą twarz.
— Mam syna tam, tam — zaciął się. — W Szóstej Armii. Kto tu się cieszy z żałoby? Kto?
— Nikt, panie rottenfuhrer — powiedział poważnie Henryk. — Nikt z nas nie posyłał pańskiego syna na front.
Rottenfuhrer uniósł głowę, spojrzał na portret Hitlera.
— On wie — powiedział twardo. — Zresztą to jest sprawa ludzi, nie więźniów.
Prowadził ich z powrotem z bronią gotową do strzału. Nie bali się, nic się nie bali. Było wesoło, szron obielił druty, szadź srebrzyła się na gałęziach, daleko, bardzo daleko granatowiały grzbiety gór. Maryjka na pewno wyzdrowieje. Może- przygotuję ją ostrożnie i stanę przed nią. Wszystko głupstwo, co dzieje się wedle obyczajów tamtego świata.
Henryk przyspieszył kroku, chciał być w warsztacie, opowiedzieć Mundkowi radosną wieść.
W warsztacie siedział Kamiński z nowiutką żółtą opaską kapy.
— Gdzieżeście byli? Chciałbym od razu być o wszystkim dokładnie informowany. Rottenfuhrer, gdzie byliście?
Esesman spojrzał ponuro na nie znanego mu kapo, podrzucił w ręce karabin. Kamiński chwycił lekko lufę, odsunął.
Daj spokój, syn mu zginął w Stalingradzie, a teraz dowiedział się o potwornej klęsce nad Wołgą. Paulus skapitulował. Żałoba w Rzeszy.
— Still gestanden !* — zakomenderował rottenfuhrer.
— Tu do komenderowania prawo ma tylko szef — szepnął Kamiński niepewnym głosem. Patrzył to na esesmana, to

na obu stolarzy, po czym ujrzawszy, że stają na baczność, przyjął postawę zasadniczą. Rottenführer pokazał mu karabinem drzwi. Kropnie go — przestraszył się Henryk. Czarny ma pocztę, musi wyładować. Zrobi się heca i rewizja
gotowa. Kamiński wyszedł, rottenfuhrer stanął w drzwiach patrząc na słońce zmrużonymi oczyma. I nagle strzelił nie mierząc, spod ręki. Kamiński szedł naprzód nie zatrzymując się ani na chwilę. Rottenfuhrer zarepetował karabin.

— Zuriick!* — krzyknął, a gdy Kamiński podszedł blisko, kazał mu ćwiczyć stolarzy. Skacząc żabką wokół Kamińskiego zastanawiali się nad przyczyną złości posta, jednakże tylko Henryk wiązał ją z klęską stalingradzką. Bolały uda, a kapo nie zmieniał komendy, nie patrzył zresztą na ćwiczących, lecz na posta.

Czarny skakał uważnie, by nie wytrząść pakieciku poczty, twarz miał uśmiechniętą, nie obchodziło go nic, co działo się z nim i wokół niego. Tam w środku Czarnego był inny człowieczek, który się śmiał ze szczęścia.

— Każ im się rozebrać do naga! — rozkazał rottenfuhrer Kamińskiemu.

— Nie mogę. Jest bardzo zimno, a komando ma pracować, ja zaś jestem wprawdzie kapo, ale nie esesman — powiedział spokojnie Kamiński.

— Zimno? Tu jest zimno? A tam ? Rozkazuję ci rozebrać te bydlęta! Zaraz! Albo jesteś kapo, albo nieboszczyk. Wy wszyscy myślicie, że myśmy już przegrali? O, nie! Dalej!

Kamiński stał wyprężony i milczący pośród nadal skaczących wokół niego kolegów. Szczęściem zjawił się

Nowomy i przerwał „sport”. Tu było jego królestwo i Wujka, nie pozwalał się nikomu mieszać w swoje sprawy, zwłaszcza że Wujek surowo przestrzegał, by mu nikt nie wchodził w paradę. Zabrał rottenfuhrera.

— Coś ty mówił, Henryk? — zapytał Kamiński, gdy zebrali się w warsztacie. Usłyszawszy nowinę klasnął w ręce, ale zaraz sposępniał.

— Pójdzie kontrofensywa niemiecka. Jedna porażka nie czyni klęski. Stalingrad! Wielkie rzeczy. Ile takich Stalingradów mieli bolszewicy. Za wczesna radość.

— Może więc każesz nam znowu hipkać! Pieprzysz trzy po trzy, kapo. — Czarny się zaperzył. Złożył już pocztę w kryjówce, Mundek tam siedział.

— Wyrażaj się grzeczniej, z łaski swojej. Mam o tym swój sąd. Gdzieście byli? — Znowu! Byliśmy, gdzie Wujek kazał. Heniek, zabierzem się do roboty. Daj klocki Fioletowemu, niech zaczyna.

Holender obmacywał z lubością gładkie płaszczyzny drzewa, próbował paznokciem, ślinił i patrzył, jak szybko wysycha ślina. Potem wziął rylce z kasetki, wybrał najcieńszy i jął obwodzić nim wyimaginowany kształt. Wielka siwa głowa o zmęczonych oczach kiwała się rytmicznie. Kamiński postał chwilę i wyszedł trzaskając drzwiami.

Nazajutrz Spluwa przyniósł do Rajska wiadomość, że w obozie zamknięto w bunkrze pięciu kolegów, którzy wczoraj byli z esesmanem w Wyłężynie. Post zrobił meldunek, zdradził.

— Wiecie, co macie robić? Wszystko zaraz zniszczyć! Chłopaki twarde. Znaleźli przy nich prowiant. Trzeba natychmiast zawiadomić opiekunki. Czarny ciężko

westchnął, żal mu było zapasów, ale posłuchał polecenia. Ziemia była twarda, przydałby się kilof.
Kopał szpadlem. Mundek tymczasem tłukł z pasją fiolki zastrzyków, aż w pudle zrobiła się mokra miazga. Wrzuci1 wszystko do piecyka, ogień zasyczai, parskało coś pod blachą i strzelało jak wielkanocne żabki z kalichlorku. Kiedy ślady były usunięte, opadł na zydel i ukrył twarz w dłoniach. Między' palcami widać było żółte, nastroszone brwi, które żywo się poruszały.

— Pójdę do Kamińskiego — postanowił Henryk. — Niech Spluwa wraca. Lepiej, żeby nikogo obcego tu nie zastali. A co będzie z zawiadomieniem opiekunek? Kro to ma zrobić i jak?

— Chyba tylko przez kuźnię. Nie ma czasu, żeby coś wykombinować— powiedział Mundek. Czarny bez słowa wypadł | budy i pobiegł. Jedna myśl tłukła mu się tylko po głowie: Ula była w niebezpieczeństwie/ Gotów był biec aż do Wyleżyna, przedostać się przez posterunki. Ula była w niebezpieczeństwie! Dotarł do ogrodzenia i widok wież osadził go w miejscu. Zawrócił szukając jakiegoś znajomego posta czy cywila, ale nikogo nie znalazł.
Kuźnia. Muszę walić do kuźni! Brodaty cywil. Kuźnia jest blisko, ale jak wyjść?
Już późno. Spojrzał na zegarek, który dostał z „Kanady”, i wówczas zaświtał mu niespodziewanie pewien pomysł. Wolnym krokiem podszedł do kilku esesmanów, wybrał najmłodszego i, jak mu się zdawało, najprzystępniejszego, zameldował, że musi skoczyć do kuźni, i wręczył mu zegarek tak, aby inni nie widzieli.

Czarny obszedł kuźnię dookoła, wszedł do magazynu. Brodaty cywil wytrzeszczył oczy.

— Janina spalona — szepnął ujrzawszy, że są sami. — Piątka w bunkrze.

Tymczasem w baraczku ogrodu Henryk komunikował Kamińskiemu wiadomość o aresztowaniach wśród miernic-czych.

— Kiedy aresztowali tamtych vermesserów, wstawiłem się u Żorża, bo był wśród nich mój brat. Pomógł. On bardzo wiele może. A tym? Nic im nie będzie, moja w tym głowa — odparł kapo — ale na przyszłość trzeba powściągnąć zapędy konspiracyjne.

— Nie jest tak różowo. Politische węszy coś, zbiegło się zbyt wiele faktów, by lekceważyć ten ostatni.

— Zostaw to mnie, dobrze? Jeśli powiadam, że moja w tym głowa, wiem, co mówię. Chłopcy zresztą brali tylko jedzenie, jak mówisz. Zobaczymy. Ty w każdym razie nie mieszaj się w tę sprawę. Zaraz, zaraz, nie odchodź jeszcze. Spluwa więc zakomunikował wam o tym i ciebie akurat przysłał do mnie? Nie mógł się sam pofatygować? I jeszcze jedno, przecież to ty z Czarnym byłeś wczoraj w Wyleżynie. Rano. A kiedy byli mierniczowie?

—1 Po południu.

— Ciekawe.

— Nie ma w tym nic „ciekawego". Zdradził post, mimo że był obrobiony.

— Zobaczymy, zobaczymy.

Wieczorem wrócili do Birkenau pełni niepokoju. Czarny poszedł do blokowego, któremu naprawiał od kilku dni graty w pokoju.

— W poriadku, Mundek, poczta jest w spokojnym schowku — powiedział po powrocie.

— Jakże, przecież kazałem zniszczyć!

— Wariat. Tyle roboty i ryzyka i zaraz niszczyć.

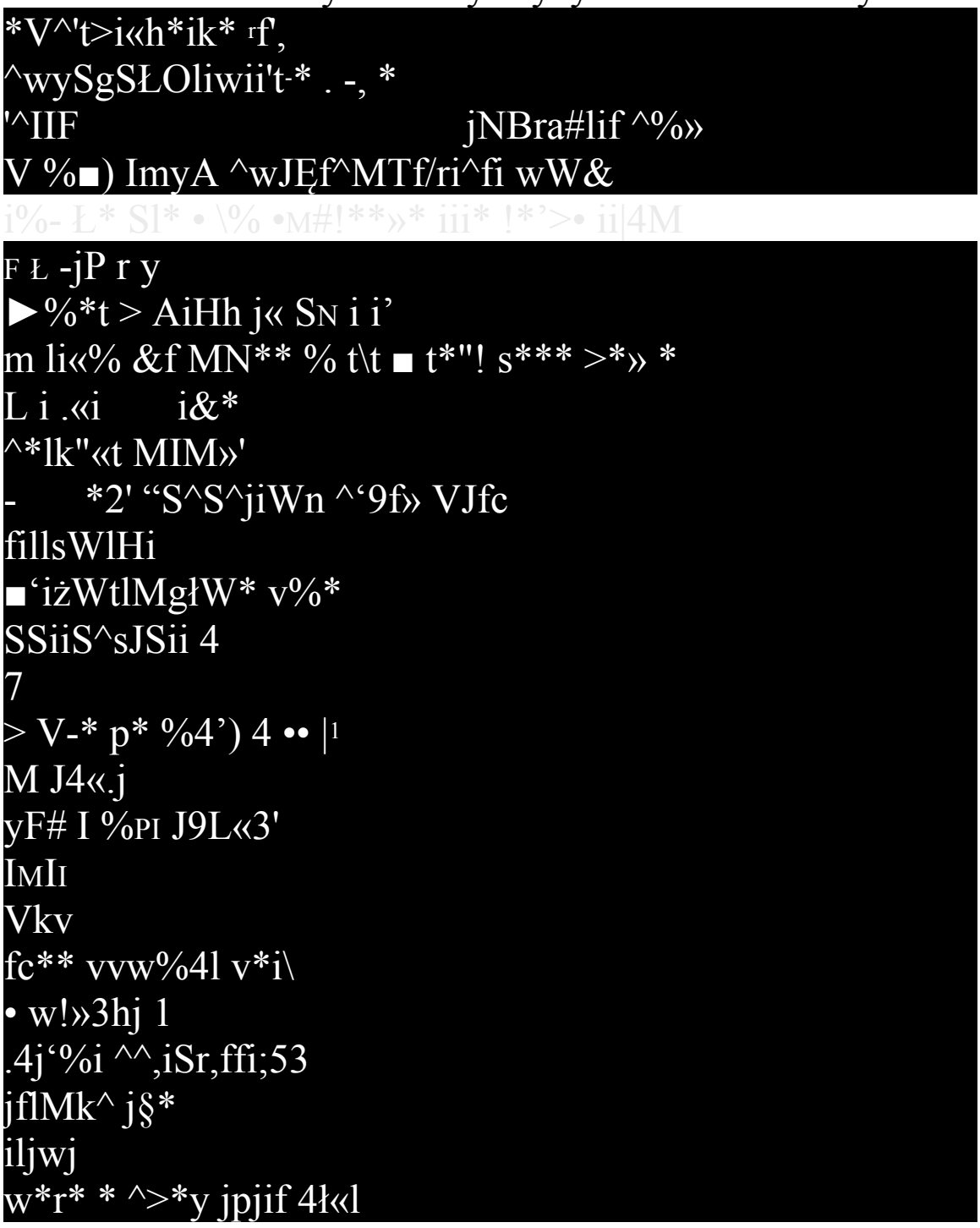

Spal kolo Henryka w zatłoczonym baraku, a że nocą mróz wzbierał, przykrywali się wspólnie kocami.

— Jak myślisz, brykną one na jakiś czas? Daleko? — szeptał do ucha towarzyszowi. — Też byłoby źle. A ten

zegarek niech diabli porwą, zorganizuję inny. Muszka albo Miś już to załatwią. Pieprzyć zegarek, kiedy takie fajne historie się robią. Jak będziem listy pisać, to musisz mi tak wykombinować, żeby dać mamie znać o Uli. Masz łeb, to wymyślisz.

Zasnął twardo po wymówieniu ostatniego słowa. Jasna noc zimowa świeciła przez szybki baraku, mróz tężał, ściskał drewno, aż trzeszczało. Blokowy włóczył się między kojami z karbidówką w ręce, przystawał od czasu do czasu i oświetlał śpiących. Przy Henryku, ujrzawszy, że nie śpi, powiedział:

— Daj papierosa. Bardzo zimno.

Henryk nie mógł zasnąć. Jasno widział dziś właśnie nieudolność całej roboty, szeroką dekonspirację, uwikłanie w dziesiątki przymusowych sytuacji. Jeżeli wpadka piątki była dziełem przypadku, wszystko zależało tylko od tego, czy chłopcy nie zdradzą, ale jeśli było to ukartowane, jeśli to był tylko pierwszy krok Politische po wypuszczeniu z aresztu poprzednio aresztowanych...

Po kilku dniach Żorż Galidze został zwierzchnikiem nad wszystkimi grupami mierniczych. Przyszedł do ogrodu z Muszką i Misiem.

— Pięciu rozwalili — powiedział Miś. Myszkował już po warsztacie, rude włosy świeciły we wszystkich kątach. Galidze stał przy drzwiach ze skromną miną człowieka, który zna swą wartość, Henryk zaś zgadywał, że — zapowiadany zresztą — awans Żorża łączy się w niewiadomy sposób z nim, z Kamińskim, z żyjącymi i rozstrzelanymi mierniczymi, z tropem, który wiódł ku polskim wsiom w okolicy obozu, a stamtąd do warsztatu i miejsc pracy mierniczych i dalej do KL Auschwitz, do

któregoś z czerwonych bloków.

— Dajcie co przekąsić — powiedział Galidze. — Zimno na dworze. Nie dało się nic zrobić dla tej piątki.

Mundek podał miskę jarzyn z cieplarni i komiśny chleb.

— Nie ma nic lepszego, jedzcie.

— Szkoda. Źleśmy trafili. Nie dostaliście dziś nic?

— A cośmy mieli dostać? Kapo, udajesz tajemniczego,
przestań wreszcie. Możecie pójść do cywilów i kupić, co tylko zechcecie.

Henryk formułował zdania ostrożnie, mówił spokojnie, choć wszystko w nim kipiało. Żorż chrupał sałatę z surówki, nie odzywał się więcej, Miś przycupnął koło piecyka i drzemał, tylko Muszka patrzył zgorszonym wzrokiem na Matulę. Kiedy wreszcie wyszli, Henryk powiedział przez zęby:

— Szpicel!

— Nie rzucaj lekkomyślnie podejrzeń — mitygował Mun- dek. — Jednak pomógł Kamińskiemu.

— Właśnie dlatego. Będzie nam gorąco!

Pożałował tego zdania. Mundek, jak gdyby teraz dopiero ogarnął wielkość niebezpieczeństwa, stal ciężko oddychając i wytrzeszczając oczy.

— Co cię zatkało? — Czarny nie rozumiał. — O jakim szpiclu gada Heniek?

Wieczorem na drodze powrotnej spotkali w grupie cywi- lów Ulę. Stała majstrując coś przy rowerze, na którym Henryk ujrzał torbę ceratową. Mundek wprawdzie nie dał znaku, że opiekunki mogą przyjść, ale rzecz była i tak niezrozumiała. Co robiła tu Ula z torbą, znakiem umownym, że opiekunki chcą przyjść nocą? Znak znał

tylko Mundek, Czarny i Henryk.

— Nie zawiadomili chyba opiekunek! Dziwna rzecz — powiedział szeptem Mundek. Czamy klął pod nosem, myśląc, że zarzut kieruje się pod jego adresem. Przecież zawiadomił brodatego cywila! Myślał, że dziewczyna jest gdzieś daleko, w ukryciu, spotkanie jej pod obozem było tak wielkim zaskoczeniem, iż nie zdołał nawet zaobserwować wyrazu jej twarzy. Bał się obrócić głowę, spojrzeć wstecz, aby Uli nie narazić.

Dziesiątki tysięcy więźniów wchodziło do obozu. Jak co dzień grała przy bramie obozu kobiet damska kapela, w której przeważały skrzypce, a melodia marsza brzmiała tu bardziej miękko niż w obozie macierzystym. Jak co dzień ustawiały się apele poprzecznymi do drogi pasami. Jak co dzień wracające z roboty kolumny niosły na barkach zmarłych i zabitych. Nieruchoma, zastygła materia lagru wchłaniała coraz to nowe komanda, które rozsypywały się między bara
kami, łączyły w nowe formacje, drgały chwilę jeszcze i poddawały się, kamieniały.

Wiele dni przeżyli stolarze w dręczącym niepokoju, tym razem bowiem i Czarny, zazwyczaj nie zawracający sobie głowy domniemaniami, pogrążył się w nich, a potem zasypywał przyjaciół pytaniami. Powtarzało się w nich imię Urszuli jak w litanii. Aż któregoś dnia Spluwa zawiadomił, że opiekunki, nie wiadomo dlaczego, próbowały przyjść do Rajska, ale wpadły na patrole i musiały uciekać.

— Nie mogę dłużej. Nie dam rady. Nie potrafię już obmyślić żadnego planu — narzekał Mundek przed Henrykiem. — Gdybyś mi nie powiedział, że Galidze jest

szpiclem, byłbym może spokojniejszy, a tak wciąż myślę, kto co wie, od kogo, kogo i co zna i co z tego doszło do Żorża. Nie umiem się połapać w sytuacji. Kamiński przecież nie jest ani szpiclem, ani głupcem, i jednak, kiedy on mówi o Galidze, przekonuje mnie. Wszystko naraz się zwaliło. Stalingrad, wsypa ver- messerów, Galidze, Kamiński. Właśnie teraz. Nie mogę. Nawieję i tyle. Dlaczego ja właśnie mam tę robotę? Nie chcę, nie chcę! Chcę spokoju, słyszysz? Spokoju. Chcę żyć jak normalny, zwykły haftling. Jestem tu od początku, należy mi się zmiana warty — powtarzał znowu stare żale. Wtajemniczał Henryka w nawiązane kontakty „na wszelki wypadek", opowiedział, że teraz droga jest bardzo ważna. Komitet Pomocy w Krakowie, wojskowi,, ludowcy i socjaliści posługują się nią, konspiracja na terenie obozowym ożywa. Nagli o organizowanie ucieczek.

— Gdyby mnie zabrakło, pocztę adresowaną „Tur" oddawaj Jasiowi w Krankenbau. On wie, dla kogo, chyba żeby były inne wskazówki Spluwy. Właściwie lepszy byłby Czarny, jemu się niewiele roi w głowie, podczas gdy my obaj cierpimy na przerost myślenia i wyobraźni. Po rozwałce mierniczych może być krucho.

Kamiński zapewniał Mundka, że rozstrzelanie mierniczych nie będzie miało żadnych następstw, byle ogrodnicy słuchali go we wszystkim.

— Tak jak przypuszczałem, Galidze jest w IS Absolutna tajemnica! Wygadał się przypadkowo.

— Przypadkowo?

— Naturalnie! Jest zbyt ostrożny. Ciekaw jestem tylko, kogo ma w Politische, bo że ma, to nie ulega wątpliwości.

— Słuchaj, on cię zwodzi. Ma kogoś w Politische, ten ktoś nazywa się Galidze mianowicie. Spytaj Matuli, czy go nie usiłował werbować.

— E, werbować. Przeciwnie, chciał go wybadać. Mówił mi o tej rozmowie. Jesteś po prostu tchórz, boisz się i tyle.

— Dobrze. Ale niech tu nie zachodzi. Rozumiesz! Nic mu do nas ani do Muszki i Misia. On jest szpiclem! On spowodował wypuszczenie twojego brata i pozostałych vermesserów. Celowo!

— To też zdanie pana Matuli? Znalazłeś doradcę, winszuję. Zresztą, czy będzie tu zachodził, czy nie — to zależy ode mnie, nie od ciebie. Warto pamiętać, kto tu jest kapo.

— Tak jest, kapo.

Po tej rozmowie Mundek przy pierwszej okazji powiedział szefowi, że nie będzie miał obiecanych rzeźb, wszyscy bowiem są tak zdenerwowani ostatnimi wypadkami, że po prostu nie mogą pracować. Po co tu na przykład kręci się kapo Galidze? Nie ma zielonego pojęcia o gospodarce ogrodowej, ogrodnictwie i o stolarce, a chce się mieszać do wszystkiego. Wujek, głęboko i tak urażony mianowaniem Kamińskiego, co odbyło się bez jego wiedzy i zgody, mruczał gniewnie. Do kwietnia musiał zakończyć roboty pomiarowe w ogrodzie i wszystko, co przeszkadzać mogło w robocie, postanowił wyrzucić ze swego królestwa. Kapo Galidze? Od krawców? Wara mu od ogrodu!

— Jak tu przyjdzie, poślij po mnie. Zamknę go do bunkra, zgnoję w stehbunkrze! — krzyczał podniecając się

jeszcze bardziej swoim krzykiem. — A tego Kamińskiego też wyrzucę! Chociaż jest dobrym fachowcem.

— Proszę go zostawić, nam on nie szkodzi — nalegał Mundek nie chcąc narażać się na gniew kapo i nieobliczalne jego skutki. Wystarczyło, że Galidze nie będzie tu niuchał i myszkował.

Przerwanie kontaktu z opiekunkami uniemożliwiło Henrykowi pomoc dla Maryjki, która zresztą przychodziła do zdrowia. Blokowy za denaturat odwiedzał lekarkę w szpitalu i pytał: „jak ma się ta Smolik?" — lekarka zaś odpowia

dała krótko, że lepiej lub gorzej, ale zawsze dodawała: „wyzdrowieje". Henryk pragnął ją odwiedzić, jeszcze raz zobaczyć, jednakże nie nadarzała się konieczna okazja. W Birkenau ostro czuwano u bram. Na końcu obozu wyrosły dwa nowe krematoria z komorami gazowymi i ogromne transporty wędrowały teraz między odcinkami, być może dlatego właśnie utrudniano poruszanie się więźniów tą trasą, w każdym razie druty stanowiły obecnie zaporę prawie nie do przebycia. Pomysł przyszedł przypadkowo. Wicek szklarz, chełpiąc się kiedyś nowym romansem, opowiedział, jak porozumiewa się z lubą: po prostu przerzuca przez druty kartkę.

Któregoś wieczoru udało się Henrykowi rzucić w ten sposób kartkę nieznajomej więźniarce. Prosił w niej, by lekarka, której numer pamiętał, czekała przy drutach następnego dnia, a gdy przyszła, błagał, aby podprowadziła nazajutrz Marię Smolik. Przygotowywał się do spotkania pieczołowicie. Pożyczył okulary, od Żyda, mieszkańca baraku, wziął granatowy łach | krzyżem i ogromną czapę, przebrał się tak, że ledwo go koledzy poznali.

— Słuchaj, co ty? Kochasz się? Też? — pytał zdumiony Czarny widząc płonące oczy przyjaciela.

— Czy... widać coś po mnie?

— Pewnie. A żeby cię! A tak się krył! Bujał! Żona przyjaciela !

— Nie! nie, nie, Czarny. Mylisz się. Nie kocham się, to tylko pewna bardzo ważna sprawa, trudno wytłumaczyć, ale kiedyś zrozumiesz. Nie chciałbym, żeby mnie poznała.

Tego Czarny nie pojmował, pragnął być przy Uli w dzień i w nocy, niecierpliwił się oczekując nawiązania z powrotem kontaktu, choć nadal bał się o nią, coraz mniej jednak, bo się nic takiego nie działo, co by powiększało lęk, przeciwnie — codzienne życie obozowe otaczało go setkami spraw i uciszało.

Oznaczonego dnia Henryk podszedł do drutów z uczuciem, jakiego jeszcze nigdy nie doznawał. Nie był to ani strach, ani nie była to litość. Niedzielne popołudnie świeciło ostrym świadem, topniał lód na kolcach drutów, jakby to one topniały. Krople wody iskrzyły się, drżały, błoto więziło stopy. Długo czekał, nim poprzez druty i drogę ujrzał znajomą po
stać lekarki, prowadzącą ostrożnie Maryjkę. Otulona brunatnym kocem, z głową skłonioną na piersi, posuwała się ku drutom. Brudna chustka, naprędce zawiązana, zakrywała pół twarzy. Drgnął, kiedy obie kobiety podeszły zbyt blisko. Lekarka ujęła głowę Maryjki, podniosła. Maryjka patrzyła w czyste niebo, w światło. Wiedział, że teraz przymyka leniwie oczy, że oddycha głęboko. Tak lubiła słońce! Kiedy kobiety zawróciły do baraku, stał jeszcze długo.

Któregoś dnia przyszli wreszcie do warsztatu dekarze i

Bolek oświadczył Mundkowi, że trzeba podjąć próbę z opiekunkami. Szpital potrzebuje lekarstw. Oddał mu list Jasia, który donosił krótko, że udało się złapać inny kontakt i nowa droga nie będzie szła już przez ogród, ale i poprzednią musi się zrekonstruować jak najpilniej.

— A dla ciebie, Heniek, mam karteczkę z rewiru babskiego— powiedział Bolek.

Jakże była ciężka ta maleńka karteczka zalepiona leukopla- stem brudna i poplamiona! Lekarka pisała:

„Nie mogę się wtrącać w Pana sprawę, ale zgaduję, co Pana łączy z M. Jeśli tylko nieśmiałość Panem powoduje, proszę jej zaniechać. M. chce wiedzieć, kim jest nieznany opiekun, a ja myślę, że prędzej by przyszła do zdrowia, gdyby z Panem porozmawiała. Polubiłam ją, bo trochę podobny los nas łączy. Czuje się dobrze, wkrótce wróci na blok, ale miejsce w kuchni już zajęte przez inną. Jeśli Pan może, warto by dać jej dobre komando. W ogrodnictwie lub w »Kanadzie«. Dziewczęta z Effekten żyją jak księżniczki. Niech Pan o tym poważnie pomyśli. W ogrodzie byłaby blisko Pana i praca tam piękna. Dalej od śmierci."

W ogrodzie dalej od śmierci, w Effekten dziewczęta żyją jak księżniczki. W ogrodzie nie może pracować, nie może być obok niego, chociaż właściwie czego się bać? O kogo chodzi,
o nią czy o niego? Jemu groziła dekonspiracja, ale przecież Maryjka nie zdradzi, a o Bednarku wie już Łokietek, Kala- fior, Kamiński i Karol. Więc obawia się o nią samą? Żeby się nie załamała, żeby nie zrobiła jakiego głupstwa, czy tylko dlatego, żeby mogła trwać w przekonaniu o śmierci obu mę

żów? Po tyfusie będzie jej wszystko obojętne, żadne wzruszenie nie znajdzie dostępu do muzułmanki, a zanim powróci jej pełna świadomość, zanim ciało zwierzęcia zmieni się w ciało człowieka, będzie dość czasu na przemyślenie dalszych kroków. Maria Smolik powinna pracować w ogrodzie. Chociaż pora jest zimna i lepiej może by było wystarać się o miejsce w Effekten.

Bił się z myślami, nie wiedział, jak rozstrzygnąć ani do kogo się zwrócić o pomoc. Kalafior czuwa nad Maryjką, jako żoną Smolika, jakkolwiek możliwe, że po prostu zlecił komuś tę opiekę, a ów automatycznie ją wykonuje nie wiedząc nawet, o kogo chodzi.

— Spluwa wznowi kontakt — oznajmił Mundek — ale jeśli jest śledzony?... Tylko Miś i Muszka mogliby, bo Galidze nie może się do nich dobrać. Ale czy w tej chwili mogą właśnie oni?

— Mogą. Będą wiedzieli tylko o żarciu, a na to są łasi.

Miś i Muszka nawiązali wkrótce przerwany kontakt. Posłali z wsi, gdzie mierzyli sad, dziecko do Janiny, umówili się z nią i zawiadomili Mundka. Tego samego jednak dnia kapo Kamiński wpisał go na listę transportu do Mauthausen, który to transport miał opróżnić obóz ze starych więźniów. Nikt nie wiedział, czy uczynił to rozmyślnie, czy zmuszony przez kogoś, bowiem Mundek zabronił wszelkich reklamacji. Miś radził zwrócić się do Galidze, Henryk wybierał się do obozu macierzystego, by interweniować poprzez Kalafiora i innych znajomych, ale Mundek zakazał.

W nocy wpełznął między Czarnego i Henryka.

— Trzymajcie się razem. Darujcie, że uciekam.

Dam może nogę z transportu. Tak was nie narażę. Jutro rano odbierzecie ładunek. I zróbcie inny schowek. I uważajcie na mierniczych. Mauthausen to w Austrii, gdzieś w górach. Ładnie. Zresztą wiosna na karku.

Rozdział siódmy

Wiosna wydobywała z ziemi, drzew, roślin i wód ciepły zapach. Cała równina w widłach Wisły i Soły, gdzie rozłożyły się farmy i gospodarstwa rolne SS, a tablice ostrzegawcze broniły dostępu niepowołanym, kwitła. Z zachodu, z pól folwarku Rajska, z wielkich stawów rybnych ciągnących się od linii kolejowej w kierunku północno-zachodnim aż ku Wiśle i od farmy drobiu w Harmężach wiatr, swobodnie przenikając dwa łańcuchy strażniczych wież, przynosił trochę gorzką woń wiosny. Soła, Wisła, Królewski Potok, Potok Róży, stawy, wielkie rowy melioracyjne już się były nagrzały, wikliny, szuwary i trzciny kłoniły się polom Rajska.

Tej wiosny 1943 roku więźniarki i więźniowie chętnie i łatwo zapominali o obozie Birkenau i Auschwitz, skoro tylko znaleźli się wśród łąk, pól i stawów, zwłaszcza w gospodarstwie ogrodniczym w Rajsku. Tu na wielkich szybach cieplarni kładł się oślepiający blask i odbity drżał na krzewach. Nad inspektami migotało i falowało powietrze, pełne drobniutkich muszek. W zielonych cieniach, podziurawionych błyszczącymi plamkami, leżały w czarnej ziemi rozsady o seledynowych listkach, kupki bladego szpinaku i wiązki czerwonych kulek rzodkwi. Miało się na pogodę, bo jaskółki wysokim lotem łączyły ziemię z niebem, w górę szły proste
dymy z domków esesmańskiego osiedla. Na północnym zachodzie widać było równie proste dymy z obu nowych

krematoriów Birkenau.

Maryjka leżała w gorącym świetle i leniwie żuła chleb z kiełbasą, który wyciągnęła spod bluzki dopiero tutaj, po oddaleniu się od towarzyszek. Z plantacji koksagizu dochodził wesoły śmiech i głosy mężczyzn. Czekała na zapowiedziane spotkanie. „Poznasz swego opiekuna, to skromny, zacny człowiek, zachowaj się więc godnie” — powiedziała kapo. Godnie? Co oznaczał ów wyraz tutaj w lagrze? Zapewne przyjdzie któryś z kolegów Smolika, będzie musiała dziękować za lekarstwa, za jedzenie, za protekcję, nawet za bluzkę, jaką ma na sobie.

Przykrył ją gęsty cień, więc odwróciła głowę. Henryk osunął się obok na trawę i powiedział cicho:

— Zachowaj spokój. To ja. Spokój, spokój! Więc żyję. To ja.

Odrzuciła resztkę chleba, oparła brodę o dłonie. Widział, że jest zdumiona, ale nie przerażona. Zapłakała czy zaśmiała się, ni to szloch, ni śmiech targnął nią nagle.

— Henryk, Henryk — szepnęła po chwili. — Jak to się stało? Dlaczego nie pisałeś? Dostałam przecież zawiadomienie, wzywali nawet na gestapo. Henryk, wiedziałeś dawno, że tu jestem, prawda? I to ty mi pomagałeś, dawałeś. To jesteś ty! Boże, Boże, co ja narobiłam!

Ukryła twarz w ramionach. Henryk uspokajał ją, bardziej przerażony niż ona. Mówiła wolno, z wysiłkiem, sepleniąc trochę, mówiła sennym głosem ogromnie znużonego człowieka.

— Głupstwo, głupstwo. Nie zdradź się tylko, bo wiele osób miałoby nieprzyjemności. Czujesz się już dobrze?

— Dobrze, tylko kaszlę i trochę gorączkuję. Ale tu tak ładnie, zupełnie inaczej niż w lagrze. Lżej będzie umrzeć. Henryk, ja wiem, co nas czeka. Nie ma wyjścia dla nas wszystkich, nie ma. Byle się nie męczyć przed tym.

— Nie wolno tak mówić, nieprawda! Maryjko, nie wolno! Będziesz żyć, Maryjko, będziemy żyć.

— Po co? Jak się tu jest i widzi się to życie, nie ma po co żyć. Nic już nie chcę, tylko żeby mnie nie bolało.

— Posłuchaj, byłem dwa razy w takim stanie. Pierwszym razem, nosiłem wtedy jeszcze swoje nazwisko, pragnąłem tylko...

Henryk zaczął opowiadać o zamianie nazwiska, ale przestał zauważywszy, że go nie słucha, że nie rozumie sytuacji, zaczął więc od początku, od przybycia do obozu.

— Ale dlaczego nie napisałeś, że żyjesz? — znowu mu przerwała, a kiedy próbował wytłumaczyć ryzyko przedsięwzięcia i opowiedział krótko o swym ówczesnym położeniu, powiedziała :

— Nie chcę być muzułmanką, nie chcę. Może by wtedy mniej bolało, ale nie chcę. Wtedy dusza umiera przed ciałem jeszcze.

W lagrze nie ma ani jednego ptaka — myślał Henryk patrząc na wróble dziobiące odrzucony kawałek chleba. Nie oczekiwał takiej rozmowy, przygotowywał się na bardziej wprawdzie dramatyczną, ale i bardziej prostą. Uważnie spój- | rzał na Maryjkę, nie była już zmuzułmaniałą kobietą ze szpitala. Ramiona i łydki zaokrągliły się, pokryły lekką opalenizną, spod zsuniętej chustki jaśniały kosmyki odrośniętych włosów. Miną jej te myśli, kiedy zupełnie wydobrzeje — pocieszał się.

Obiecał przynieść lekarstwa, prosił, by uważała na

siebie, pytał, czy ma ciepły koc, bo noce bywają chłodne. Maryjka usiadła, długo poprawiała chustkę na głowie; wyciągnięte, naprężone ramiona napinały piersi. Ich kształt rysował się wyraźnie pod bluzką. Przyniosę stanik. Łokietek wykombinuje. Powinna nosić stanik — snuło się Henrykowi po głowie.

— Już czas — powiedział słysząc gwizdek kapo na plantacji. — U was wesoło w komandzie.

— Może i wesoło — szepnęła. Zakaszlała.

— Maryjko! Daj się zbadać. Ta lekarka z rewiru, u której byłaś, bardzo sumienna. Nie lekceważ zdrowia. Mogą być przykre niespodzianki.

— Niespodzianki? Dla mnie nie ma żadnych. Wszystko wkalkulowałam. Odejdź już. Późno.

Podała mu gorącą, wilgotną dłoń. Uścisnął ją i pocałował. Pachniała jakimś środkiem chemicznym do opryskiwania roślin.

— No tak, no tak — szepnął do siebie, gdy odeszła. — Głupio.

W drodze powrotnej natknął się na Muszkę i Misia, wesoło rozprawiających. Pozazdrościł im beztroski i pogody, poczuł zwykłą zawiść, tym bardziej dotkliwą, że zdał sobie z niej sprawę. Nie lubił ich, prawda. Nie lubił chomikowatego Muszki, myślącego tylko o swej przyszłości, tak pewnego ocalenia, że zbierającego materialne środki na zabezpieczenie sobie spokojnego życia. Ten urzędnik katastralny raził go nie tylko pogodą i swoistą filozofią życiową: wiedział zbyt wiele o robocie, chociaż chyba tylko o tej, która go szczególnie interesowała, o przerzucie żywności. Nie lubił i Misia, zawodowego mierniczego, za przypochlebność, za

lizusostwo
i za to, że żył o nic się nie troszcząc, tylko o siebie. Historia ze złotem odstręczyła Henryka od nich. Nie lubił ich tym więcej, że znał innych vermesserów, ludzi na miarę swoich marzeń o człowieku.

— A ty tu co robisz? — zapytał Miś, przestraszony wyglądem znajomego stolarza. Ponury smutek bił z postaci Henryka, usta miał zaciśnięte, oczy przymrużone, a na wysokim czole drżała gruba zmarszczka.

— śledziłem was trochę, dla rozrywki — odparł gniewnie. Rudy Miś przeszukał szybko kieszenie i podał srebrną cygarniczkę o bursztynowym cybuszku, potem kucnąwszy wyciągnął z buta złożony w kilkoro zielony banknot.

— Masz, trzymaj. To dla ciebie. Ubiliśmy świetny interesik z cywilami i będziemy mieli prośbę, żebyś pomógł w przesyłce. Trzymaj, trzymaj. Gałgany są cudowne, będzie za to masełko i sznaps.

— Załatwcie sobie sami. Ale nie przez nas.

— Ojej! Myślałem, Muszka, że on zmądrzał! Mundek by wziął, ale nie ma Mundka. Szkoda.

Muszka skrzywił się, chciał coś dodać, ale widząc minę Henryka splunął. Poszli w kierunku budy Kamińskiego. Nie upłynęło i pół godziny, kiedy wszyscy trzej przybiegli do warsztatu. Kapo machał niemiecką gazetą:

— Chłopcy! Straszne odkrycie! Pod Smoleńskiem znaleziono masowe groby rozstrzelanych oficerów polskich. Rozstrzelali ich bolszewicy! Ponad dziesięć tysięcy! Czytajcie!

Tłumacząc kolegom komunikat hitlerowski Henryk śmiał się w duchu z goebbelsowskiej propagandy. Nie

wierzył jej, nie sądził też, aby ktokolwiek w lagrze dał jej wiarę.

— Tu dziennie więcej ginie — powiedział. — Z samych dołów wykopano przecież i spalono przeszło sto tysięcy. Ilu zostało z ruskich jeńców? Stu? Jest sto dwadzieścia tysięcy numerów męskich zwykłej serii, osiemdziesiąt tysięcy z tego nie żyje. Rozstrzelanych mamy akurat dwanaście tysięcy, zagazowanych haftlingów — trzydzieści. Ale to wszystko nic w porównaniu z ilością wymordowanych Żydów...

— Żydów! Jak śmiesz w ogóle porównywać? Tam padł kwiat polskiej inteligencji, kwiat narodu!

— A któż odnalazł te groby? I kto się na to oburza? Ge- nickschuss*! Paradne. Jakbyś nie wiedział, co się dzieje na Jedenastce! Komu ty wierzysz? Hitlerowi?

— A ty komu? Wierzę obiektywnym faktom, obiektywnej prawdzie, bez względu na to, kto ją wypowiada. A ty komu wierzysz? Stalinowi?

Miś zarechotał. Porwał gazetę, rzucił okiem na wytłuszczony, czerwono podkreślony tytuł, odrzucił i kiwając głową na znak zdumienia powiedział:

— Jeden pieron. Wart Pac pałaca. Wierzysz Stalinowi? co? Stalinowi?

— Stalinowi.

Henryk rzucił to słowo w gniewie, w zapamiętaniu, niespodziewanie dla siebie samego.

— Niesłychane! — wyjąkał zaskoczony Kamiński. — Patrzcie, bolszewik! Coś takiego w ustach Polaka!

Henryk, zdenerwowany rozmową z Maryjką, spotkaniem obu mierniczych, nie panował nad sobą. Jął mówić coś, czego nie przemyślał, co, widocznie, osadzało się za

każdym wydarzeniem, a teraz wezbrało. Czego oni chcą wszyscy, jakie mają nadzieje? Kamiński, jeśli chce tu robić politykę, niech robi politykę walki z SS, a nie wybiela ich porównywaniem z bolszewikami. Bolszewicy tłuką Niemców i to jest ważne. Kto zwalcza jedyną realną siłę, która bije wroga, pomaga wrogowi...

— Skończyłeś ? — przerwał bezładne przemówienie Kamiński. — Gdyby nie lager, inaczej byśmy pogadali, tu jednak masz prawo pyskować nawet po komunistycznemu. Idziemy, chłopcy!

Wyszedł z mierniczymi. Henryk podarł gazetę, wrzucił do piecyka i podpalił, a kiedy patrzał na czerniejące w ogniu strzępy dziennika, podszedł Czarny i dotknął go palcem.

— Ale cię wzięło, no, no — powiedział. — To ty jesteś z komuny? Jakże to, nic nie kapuję?

— Musi być. w tym wszystkim jakiś sens, inaczej lepiej iść na druty albo pragnąć śmierci, albo żyć jak Wicek czy Miś — odezwał się Henryk.

— Tylko nie tak jak Wicek. A to heca, kto by pomyślał — szepnął Czarny.

Roman trwożnie patrzył na Henryka gładząc palcami wielkie, odstające uszy.

— Naplotłem, cholera, ale mam trudny dzień. Myślicie, żę Kamiński będzie nalatywał na nas za to?— Henryk już ochłonął, zdawał sobie sprawę z możliwych skutków gwałtownego wystąpienia, a jednak za nic nie cofnąłby teraz swego sądu. Ktoś był winien potęgi hitlerowskiej, wojny
i zagłady oświęcimskiej i ktoś z tym walczył. Jakże małym kosztem mogli esesmani urządzić ten potworny świat za

drutami! Cały świat, który został po tamtej stronie drutów, można też łatwo przekształcić w obóz, w wielki obóz, o ile nie powstanie on, cały i zaraz, przeciwko Hitlerowi. A tu w obozie kto obejmie wszystkie grupy narodowe, dotrze do lagrowego plebsu, do dziesiątek tysięcy zdychających z głodu
i z pracy nad siły, do nie-Polaków? Na siłę—siła, na terror — terror, przeciw światu esesmańskiemu... Wspomniał Samka Rubina.

Wielkolud zaprowadził go do blokowego schreibera, Adama, na rozmówkę i Henryk zdumiał się, że ów tak dobrze orientuje się w polskich stosunkach, w polskiej konspiracji. Było to już po Wielkanocy i wstrząsająca wieść o powstaniu w warszawskim getcie przejęła do głębi Henryka. Podobieństwo losu obu zamkniętych światów, zdanych na własne tylko siły, narzucało się bez litości. SS popełniło pewien błąd: gdyby nie ustawiczne rozwałki, gaz, mordowanie — zmieniłoby
o wiele łatwiej rzeszę więźniarską w zwierzęta. Czyż w każdym człowieku nie mieszka takie zwierzę, pragnące pozbyć się człowieczeństwa, czyhające tylko na sposobną chwilę, gdy to, co jest człowiekiem, wykruszy się, przegnije? Wystarczy nieustające bicie, głód i odebranie nadziei, wystarczy zapewnienie stałego żarcia i legowiska, aby zrobić z człowieka zwierzę. Byle opłacało się to, co zwierzęce, byle karano za to, co ludzkie Proces ten trwa niedługo, parę miesięcy, i Henryk wiedział doskonale, że granicę między człowiekiem a zwierzęciem, w istotach obozowego społeczeństwa, da się obliczyć w kilogramach wagi ciała. Masz trzydzieści kilo i koniec człowieka Pozostaje tylko znużone, obojętne na swój los zwierzę,

nawet nie zwierzę, bo bez jego instynktów. Tylko głód i zmęczenie panuje wówczas w istocie, która niegdyś była człowiekiem. A jednak znał wypadki, że do końca tłukło się w takiej istocie coś ludzkiego, coś mocniejszego od śmierci i zatraty.

— Trzeba dać ludziom szanse walki — powiedział Adamowi. Czarne, lśniące oczy schreibera jasno świeciły.

— Tworzymy międzynarodową grupę lewicowców — odezwał się i pogodny uśmiech uczynił jego twarz dziecięco ładną. — Porozmawiaj z Samkiem, z Bolkiem od dekarzy.

Henryk zapragnął poznać taką siłę, która uwolniłaby go od zwątpienia, która by dawała jasne, proste rozkazy walki. Wieści o warszawskim getcie i ostatnia rozmowa z Kamińskim zrobiły swoje: pragnął bezpardonowej siły, dorównującej sile zagłady. Samek poznał go z kilkoma ludźmi, Francuzami, Niemcami, Rosjanami, Austriakami, a potem opowiedział o nim przybyłemu w jesieni towarzyszowi Zygmuntowi. Zygmunt, przygarbiony mężczyzna o smutnych oczach, pracował w szpitalu.

— Poczekajmy jeszcze, dowiedzmy się, kto to — powiedział. — Jak na prostego człowieka nazbyt inteligentny.

Pewnego majowego dnia Henryk postanowił, idąc na spotkanie z Maryjką, opowiedzieć jej przynajmniej trochę o robocie konspiracyjnej, dać przykład opiekunek, wciągnąć do roboty. Sądził, że może i powinien wyrwać żonę z apatii, która w czasie każdej rozmowy i jemu się udzielała, zaraźliwa
i przygnębiająca. Maryjka przybiegła w umówione miejsce weselsza, pogodniejsza niż zwykle, wyciągnęła spod

spódnicy płócienną torebkę.

— Mam jajka dla ciebie. Byłyśmy w Harmężach. Jak tam cudnie, powiadam ci, farma śliczna i kurki takie kochane!

Usiadła na brzegu rowu, w którym czekał, głowę wsparła na kolanach. Biała matowość ud ukazała się za opalonymi łydkami, a pośrodku, w smudze cienia, ciemna plama łona. Mogłaby nosić majtki! Może nie ma. Przyniosę — myślał wydłubując dziurki z obu szczytów jajka. Wypił surowe.

— Czy mi przebaczyłeś, Henryk? Przebaczyłeś? Zapomniałeś? Powiedz, gdybyśmy wyszli cało, zapomniałbyś? Nigdy. Chciałabym jednak wiedzieć, że nie masz do mnie nienawiści.

Głos miała ciepły i łagodny, melancholia zastąpiła apatię. Henryk czuł, że jej smutek udziela się mu, przenika ciało, zwalnia puls i krążenie krwi.

— Trzeba się wyrwać z tego ogłupiającego stanu — szepnął. Otworzył zaciśniętą rękę, z której posypały się pokruszone grudki ziemi i źdźbła trawy.

— Posłuchaj, mam furę wiadomości.

Powtórzył kilka najważniejszych; kiedy opowiedział o zbrojnej walce warszawskiego getta, przysunęła się bliżej do niego, popatrzyła w oczy.

— Dlaczego oni się bili właściwie? I tak, i tak zginęli, przedłużyli tylko cierpienia. Nie rozumiem. To nie ma sensu. Wytłumacz mi. Tu idą dziesiątki tysięcy spokojnie do komór. Cóż by im pomogło, gdyby poszli za przykładem warszawskim?

— Maryjko, może oni tam bili się, żeby ludzie nie szli na zagładę jak barany, żeby prali wroga, osłabiali go, niszczyli. On jest silny tylko dlatego, że my wszyscy

jesteśmy słabi.
A ty taką słabość szerzysz. Tak nie wolno.

— Powiadasz więc, że się bili, żeby... — Maryjka urwała. Wielkimi oczyma patrzyła na Henryka, na jej szerokokości- stej twarzy malowała się rozterka. Potrząsnęła głową.— Zabij mnie lepiej. Nie chcę się łudzić. Zmęczyło mnie to wszystko — szepnęła. Leżała w słońcu drapiąc się pod spódnicą.— Chciałeś mnie pocieszyć, ładnie. Ale nie umiesz kłamać.

Henryk, doprowadzony do wściekłości prawie, szarpnął ramię kobiety, zacisnął palce na miękkim ciele. Było na- grzane, pachniało wodą stawaj, tatarakiem. Rozgarnął uda Maryjki, klęknął między nimi. Zamknęła oczy. Leżała bez ruchu, przyciśnięta ciężarem mężczyzny, nie otwierając oczu, wstrzymując oddech. Dźwignął się nieco i wówczas ujrzał spokojną, niewzruszoną twarz. Stopniowo jednak, wolno ożywało jej ciało, oddech stawał się szybszy, brzuch i uda budziły się z drętwoty, piersi wypełnił szybki rytm, otwarły się usta o poczerwieniałych wargach. Nagle zatrzepotała ramionami i ścisnąwszy uda przywarła do Henryka. Parzyli się w zupełnym milczeniu, oblani słońcem południa, pod wysokim sklepieniem nieba. Pot zlepiał gorące skóry, gryzł oczy. Wreszcie Henryk podniósł się, półprzytomnym wyrokiem objął półnagie ciało wtłoczone w ziemię i odszedł bez słowa pożegnania.

W warsztacie Czarny wygrywał na wielkiej fujarce, którą zmajstrował Fioletowy. Stary Holender obchodził jakieś święto, dla każdego przygotował więc drobny prezent, dla Czarnego flecik-fujarkę, dla Henryka zaś małe puzderko na tytoń. Wystarczyłoby podpisanie prostej deklaracji, że wyzbywa się swych przekonań, wedle

których Hitler jest Antychrystem, że uznaje inną władzę niż Boga — i byłby wolny. Henryk pisywał Holendrowi listy do żony i usiłował tłumaczyć mu'jej niemieckie epistoły. Namawiała męża, by podpisał deklarację. Przecież Bóg mu przebaczy. Ale odmawiał. Żadnego kompromisu z Antychrystem.

Fioletowy nie znał niemieckiego, jednak Henryk zawsze znajdował w tym języku takie słowa, które łatwo było zrozumieć Holendrowi, i jakoś się porozumiewali. Teraz usiadł przy nim, chciał spytać, skąd się bierze jego mocna wiara, ale powstydził się zamiaru. Fioletowy spokojnymi ruchami rąk obracał klocek topolowy, prosta, zmęczona twarz nie zdradzała żadnych podniosłych nastrojów, nie było w nim nic z ascety, męczennika, bohatera. Henryk poczuł dojmujący głód wypłaszający całą zadumę. Mieli w schowku zapas margaryny, pokrojonej na małe kostki, transport przeznaczony dla kobiet i czeskich kolegów, ale tego nie chciał ruszać, więc czekał niecierpliwie na obiad. Kiedy komando wy
biegło na zbiórkę, oicgi pierwszy. Zupa smakowała wyśmienicie, była nawet dolewka.

— Niech to cholera, zagraj, Czarny! — zawołał podjadłszy
ipołożywszy się na trawie. Czarny, od czasu starcia Henryka z Kamińskim jakoś bardziej czuły dla przyjaciela, zagrał na fleciku łobuzerską melodię z warszawskiego przedmieścia, Fioletowy poważnie klaskał w jej rytm, Wicek wyskoczył na murawę i dał znak grajkowi. Czarny odjął od ust flecik, ale szklarze wołali: — Wicek, kozaka, kozaka! — więc zaświstał szybki rytm tańca. Wicek, zrzuciwszy bluzę, tańczył w przysiadzie, wyrzucał nogi, bił

się po udach, klaskał o pośladki, podskakiwał. Różowa blizna jaśniała na czerwonej gębie. Henryk przytupywał, uderzał palcami w blaszaną, czerwoną miskę. Oto tańczy Wicek, wszystko jedno zresztą kto. Ciało żyje. Po prostu żyje. Czuje głód, syci się, czuje zmęczenie, wypoczywa, przyżega go pragnienie, gasi je. Rozebrał się i pobiegł do wodociągu. Wsadził głowę pod zimny strumień, ochlapał piersi, napił się, wytarł koszulą przyjemnie piekące ciało. Szedł sprężystym, energicznym krokiem ku kolegom.

— Wstawaj — powiedział do Wicka układającego się właśnie do krótkiej drzemki. — Wstawaj!

Wicek podniósł się wolno, ale zanim stanął, cios pięści powalił go na ziemię.

— Czego się czepiasz? Co? — krzyknął. — O co?

Jąkając się wstawał. Henryk wziął go za ramię, zaprowadził
za warsztat.

— Trzymaj pysk na kłódkę. To jedno. Nie będziesz od nas nic dostawał. To drugie. Sam sobie organizuj. Koniec z tym burdelem.

— Klawo. Niech będzie. W dupie mam taką pomoc. Ale żeby zaraz w gębę bić?!

W obozie Henryk powiedział Czarnemu, by napisał opiekunkom, że obecność Misia i Muszki na terenie Rajska jest niepożądana. Niech zawiadomią, kogo potrzeba, by ich wycofać pod byle jakim pozorem. Czarny drapał się po głowie.

I on nie lubił obu mierniczych, ale bywali przydatni choćby do przenoszenia szmuglu z trasy opiekunek, teraz bowiem inne grupy nie przechodziły przez Rajsko.

— Ja nie jestem z komuny, co mi masz rozkazywać?

— powiedział niepewnie.

— Ja też nie, ale, Czarny, robi się wspólna organizacja, zapytaj Bolka, on powinien wiedzieć.

Czarny napisał więc kartkę do Janiny, załączył list dla Urszuli, ale odpowiedź przyszła negatywna. Janina prosiła, by nic nie robić przeciw obu mierniczym, bo ich potrzebuje. Po kilku dniach kapo Kamiński wezwał do swej budy Henryka. Siedział na stoliku bawiąc się mapnikiem, w którym widniał plan gospodarstwa SS w okolicy. Kazał posprzątać budę zapowiadając przyjście Żorża Galidze. Henryk zamiatał miękką szczotką podłogę, domyślał się, że chodzi o dalszy ciąg zaczętej dawno temu rozmowy, starał się więc przygotować. Kamiński zaskoczył go pytaniem, kto zorganizował intrygę przeciw Muszce i Misiowi, kto prosił o wydalenie ich z Rajska.

— Słuchaj, po Mundku wy dwaj wchodzicie w rachubę, Czarny i ty. Jak ci wiadomo, mam oczy i uszy dość dobre
i wyznaję się na robocie waszej, choć się do niej nie mieszam, ale potępiam bardzo intrygi przeciw ludziom konspiracji.

— Gałganiarze, jaka tam konspiracja!

— Nie wezwałem cię, żeby dyskutować. Oni zostaną tu w Rajsku, póki zechcę, oni są i mnie potrzebni. Idzie pewna gra, o której nie musisz wiedzieć. Galidze będzie z tobą mówił. Bądź ostrożny. Nie wiem dokładnie, czego chce od ciebie właśnie, faktem jest jednak, że on zna tylko Matulę, nie Bednarka. O twym ostatnim wybuchu nic mu nie mówiłem. Być może, że Galidze będzie chciał od ciebie informacji
o mnie, dlatego właśnie wezwałem cię wcześniej. Ani

słowa złego o Muszce, na Misiu możesz sobie użyć, nie zależy mi na nim, ale o Muszce będziesz mówił pozytywnie. Pamiętaj. Wiem, że masz złość do mnie. Nie taję, że i ja nie mogę cię ścierpieć, ale to musimy zawiesić na razie na kołku. Gra warta świeczki. Nie proszę cię zresztą. Wiesz, że mógłbym cię zgubić jednym słowem. I nie przedstawiam ci bezinteresownej sprawy. Jeżeli pomożesz — masz pewną posadę w Baubiiro, nawet nie zgadniesz jaką. Będziesz pracował nad poprawkami projektu zapory wodnej na Sole. Projekt już dawno opra-

cowany przez haftlingów, ale teraz jest rozkaz przepracowania. To twoja robota.

Henryk słuchał uważnie, dopiero wzmianka o zaporze podnieciła go niespodzianie. Od lat nie pracował w swym właściwym zawodzie, w łagrze do niego co prawda nie tęsknił, teraz jednak propozycję Kamińskiego odczuł jako milą pokusę. Wszystko inne wydawało się jasne! Kamiński wierzył, że Galidze jest z wywiadu, sam pragnął być kimś ważnym, zapewne łakomił się na współpracę z Żorżem, ale droczył się, zamierzał mu niechybnie pokazać, że jest nie byle kim,

i coś wykombinował na spółkę z Muszką.

Kapo Galidze stanął we drzwiach, uśmiechnięty wesoło, i pozdrowił obu znajomych. Za nim ujrzeli płaską twarz Leo, którego Henryk poznał jeszcze u krawców.

— Leo ma do ciebie słówko, wyjdź do niego — poprosił Kamińskiego Żorż, a gdy ten oddalił się, powiedział podenerwowanym głosem:

— Nudzi mnie ten pyszałek. Wiem od niego, że

kiedyś miałeś ochotę zameldować o pewnej sprawie, nie chcę wchodzić w tę starą historię. Chodziło o Spluwę. On już raz siedział w SK za te kontakty z cywilami. Nie mam czasu na długie rozmowy. Potrzebuję obrotnego człowieka, który nie ma ochoty ginąć mamie w lagrze. I ja nie mam na to ochoty. Nie chodzi nam o głupie żarcie, ale o polityczne kontakty na zewnątrz. Za wiadomość, z kim się lager kontaktuje, wyjdziesz na wolność. Za zdradzenie tej rozmowy pójdziesz pod ściankę. Powąchaj ten gips!

Wyjął z torby rewolwer i podsunął pod nos Henrykowi.

— Jesteś zwyczajny więzień, nie siedzisz za trele morele. A rachunek jest prosty. Dla niepoznaki wpakuję cię do Bau- biiro, do tych tam planów zapory na Sole, a później zrobimy ucieczkę razem. Rzecz już obgadana. Zgoda?

— Na co zgoda?

— Będziesz mi donosił wszystko, co dowiesz się o kontaktach lagru. Vermesserzy lubią gadać, ale do mnie, widzisz, nie mają, jakby to powiedzieć, zaufania, a ty znasz dobrze kilku gagatków, Spluwę, Muszkę, Misia, Kamińskiego,
będzie ci łatwiej.

— Co, mam sypać? W lagrze się nie sypie kolegów — po
wiedział cicho. — A wolałbym zostać w ogrodzie. Kapo, a Kamiński nie wie czego?

Gałidze uśmiechnął się ironicznie, nie odpowiadał jednak na pytanie. Schował swą siódemkę nonszalanckim ruchem do torby, zapalił francuskiego papierosa, ale po kilku dymkach zgniótł i odrzucił.

— Zastanów się szybko. I przyjdź do mnie na blok,

albo lepiej nie, podpadłbyś może. Powiesz Łokietkowi, żeby mnie wywołał. Ty znasz tego poczciwca przecież. No więc — szybko się namyśl, czy wolisz ogród, czy biuro. I wolność czy kulkę.

— Kamiński mówił, że pan będzie o niego pytał, co mam jemu powiedzieć?

— Co chcesz. Widzę, że jednak masz głowę na karku, a więc, zaraz, umówmy się, że wypytywałem o niego. Czy umie trzymać język za zębami, czy to mądry człowiek, bystry
i odważny. Rozumiesz? I że potwierdziłeś.

Gałidze z sympatią patrzył na pobladłą twarz Henryka.

— Wszystko możemy tak ułożyć, żeby twoim przyjaciołom włos z głowy nie spadł. Nie bój się, nie chodzi o haftlingów.
Ocywilów.

Henryk wyszedł na dwór jak pijany, minął Kamińskiego rozmawiającego z Leo i powlókł się do warsztatu. Trzeba było coś powiedzieć kolegom. Czarnemu przede wszystkim, który milcząc wpatrywał się w niego, nie mógł jednak mówić przy wszystkich, więc ograniczył się do wzmianki, że Kamiński zaproponował pracę w Baubiiro, ale on nie przyjął, i że do Kamińskiego przyszedł właśnie Gałidze.

Czarny udawał spokojnego, nie umiał jednak ukryć niepewności, widocznej w każdym ruchu. Robota nie szła, taśma piły pękła mu w rękach, zraniła dłoń. Bandażował ją nie spuszczając Henryka z oka.

— Idź do Wujka i postaraj się zaraz o jakieś zamówienie dla Muszki i Misia, na robotę kołków na przykład, musi być pozór — odezwał się Henryk. Czarny

posłusznie załatwił polecenie, choć nie rozumiał jego sensu i przydatności.

Padał deszcz ciężkimi kroplami, syczał na rozgrzanych deskach i papie dachu. Henryk wyszedł, by zaczerpnąć powietrza, i nagle skierował się ku plantacjom. Szedł coraz szyb
ciej, | odkrytą głową, deszcz moczył krótkie włosy, ściekał po karku za koszulę, coraz gwałtowniejszy.

Między grzędami grubych roślin poruszał się szereg pasiaków, wiatr zganiał nad plantacje dym z krematoriów.

—■ Maria Smolik. Gdzie jest? — zapytał pierwszą dziewczynę. Wyprostowała się, starła mokrą twarz, pokazała szopę. Maryjka cerowała grube worki, przygarbiona nad materiałem jak krótkowidz. Posłyszawszy głos Henryka zerwała się z ławy i pobiegła ku niemu...

Aż do powrotu do obozu myślał, jak postąpić. Winien był ostrzec Kamińskiego i Spluwę, zawiadomić Bolka, Jasia, a także chyba Kalafiora. Wszystkich, o których wiedział, że mogą być zagrożeni, ale bał się, że Galidze śledzi go przez swoich agentów, pomniejszych szpiclów. Na bloku powiedział Czarnemu, by sprowadził natychmiast Bolka, i czekając na niego układał plan postępowania. Galidze był wyraźnie zdenerwowany i widocznie bardzo się spieszył odsłaniając tak jawnie i brutalnie karty. Politische Abteilung przywiązuje wielką wagę do wykrycia łączności, widocznie robota konspiracji zalała sadła za skórę panom z SS. Galidze został umyślnie skierowany do vermesserów, bo Politische wiedziało lub przypuszczało, że oni tę łączność prowadzą. Ale przecież są i inne drogi, mówił o nich Bolek i Samek. Henryk zamierzał poprzez te

właśnie inne drogi ostrzec opiekunki.

Bolek zjawił się dopiero późnym wieczorem, kiedy izba była już pełna i nie dało się swobodnie rozmawiać. Na dworze zaś lał deszcz, jednak tylko gdzieś między blokami mogli się ukryć na chwilę przed oczami i uszami kolegów. Wyszli na opustoszałą uliczkę obozową.

— Biegnij ze mną, nie możemy stawać. Mogę być śledzony.

I słuchaj — powiedział Henryk i opisał spotkanie z Galidze.

— O nim coś wiemy. Trudno będzie skurwysyna złapać. Walę teraz do szpitala, przed apelem będę więcej wiedział. Trzymaj się, serwus!

Henryk zawrócił na blok. Z Kamińskim postanowił porozmawiać wczesnym rankiem lub w Rajsku, by nic budzić podejrzenia ewentualnych szpiclów. W nocy Czarnemu obrzękła skaleczona ręka. Wstał i przy świetle lampy na korytarzu uważnie ją obejrzał. Wyraźnie ciemniała żyła przedramienia,

rwało w dłoni. Skierował się ku bramie, ale nocny stróż nie chciał go wypuścić, zbudził więc schreibera blokowego. Austriak pokiwał głową, ubrał się szybko i wyszedł z nim w noc. Zapukał do drzwi szpitala, minęła jednak długa chwila, nim na korytarzu rozległy się czyjeś kroki. W tym momencie światło latarki rzuciło cienie obu więźniów na mur

i glos esesmana kazał im się odwrócić. Przed nimi stał okryty peleryną Tygrys z Politische. Długą, błyszczącą latarkę trzymał jak rewolwer, oświetlał nią kolejno twarze więźniów, potem długo — bluzę Adama.

— Reichsdeutsch? — Co tu robicie?!

— Zranił się, jeśli nie opatrzy ręki, umrze — powiedział Austriak. — A to fachowy robotnik.

— Nie wolno chodzić po gongu! — krzyczał Tygrys. Potem sam zastukał do drzwi i wprowadził więźniów do ambulatorium. Obudzono doktora Dudzika. Tygrys asystował przy zabiegu, a kiedy lekarz odpiłował czubek ampułki zastrzyku, schował wypróżnioną do kieszeni.

— Boli? — spytał patrząc w twarz Czarnego.

— Nie.

— Komando?

— Ogrodnicy.

— A, ogrodnicy. Kapo Kamiński, prawda? Polaczki! Nie bolało cię?

Esesman pytał jakby zaniepokojony wytrzymałością Czarnego, odpornością na ból. Wciągnął wargi w usta, wypchnął z powrotem, notował coś w pamięci. Dłonie Dudzika wyraźnie drżały. Dał zastrzyk z zapasu przyniesionego przez mierniczych, który nie figurował na liście oficjalnych leków, a Tygrys zabrał pustą fiolkę. Czarny z obandażowaną ręką czekał na rozkaz odejścia, ale Tygrys milczał. Austriak podobnie jak Czarny czekał rozkazu, Dudzik tylko, skończywszy krzątać się przy apteczce, wyszedł, lecz zamiast wrócić do przerwanego snu, został na korytarzu, a kiedy dwaj więźniowie ukazali się w asyście Tygrysa, pobiegł na piętro i wyjrzał oknem. Trójka szła jakiś czas razem, potem jednak rozdzieliła się, esesman podążył ku bramie, a więźniowie skręcili w kierunku swego bloku.

Dlaczego Tygrys łazi nocą po lagrze? Co on chciał? — myślał Czarny. Na bloku obudził Henryka i opowiedział

zajście.

— Zaczekajmy do rana. Jak nie przyjdzie kartka od rap- portfuhrera, wszystko dobrze. Nie trzeba się z góry martwić — uspokoił go Henryk. Nie przypuszczał, aby spotkanie z Tygrysem miało jakiś związek ze sprawą Żorża Galidze, po prostu — łaził po lagrze. Nic w tym dziwnego. Przecież nie mógł wiedzieć, że Adam wyjdzie z Czarnym tej nocy z bloku, a że ich właśnie zatrzymał przed szpitalem — to czysty przypadek.

Rano przed apelem Muszka wywołał Czarnego prosząc, by wziął do Rajska pakiet, gdyż dziś zostaje w biurze przed południem i nie wie, czy w ogóle wyjdzie na obóz, kiedy zaś Czarny wzbraniał się, przygadał mu od tchórzów.

— To dla Janiny — powiedział. — Zasiłek na cele. Bierz, Czarny, one potrzebują.

Czamy rozwinął bandaż, wsunął pod niego pakiet i ponownie opatrzył rękę. Ujrzał Bolka, pędzącego ulicą, roztrącającego gromadzących się już na apel, chciał go zawołać, ale Bolek szukał Henryka, nie jego.

— Załatwione. Ostrzeżeni. Spluwa będzie wiał. Ale nie róbcie popłochu. Kamińskiego wezwie się na rozmówkę. Po- litische obstawiony jako tako. Wieczorem — reszta.

Zagrała orkiestra, bęben poddał rytm, Kamiński stanął na czele kolumny, krzyknął komendę. Czamy przycisnął ramiona do tułowia, ruszył miarowym krokiem. Na zakręcie zobaczył wielką tablicę, a pod nią siwą kobietę w luźnym pasiaku. „Za ucieczkę z obozu... matka...” Tyle zrozumiał. Komanda maszerowały obok zakładniczki, która stała z uniesioną głową
i załzawionymi oczyma patrzała na nie kończące się

kolumny ostrzyżonych do skóry ludzi. Cywilne ubrania z łatami i malowanymi krzyżami wypierały już pasiaki, wszyscy nowi więźniowie nosili teraz odzież wysortowaną z zapasów po wymordowanych. Kobieta na próżno usiłowała zatrzymać wzrok na jakiejkolwiek postaci czy twarzy. Szły tysiące nędzarzy niemożliwych do rozróżnienia. Czamy wspomniał matkę. Wkrótce będzie pisanie listów. Z drogi opiekunek nie korzystał nigdy, bał się narazić matkę na możliwą wsypę, zresztą cóż to sekretnego mógł jej pisać? Że ją kocha, że

tęsknij że prosi, by uważała na siebie, że jest zdrów? Resztę i tak wiedziała.

Po deszczu powietrze było rzeźkie i chłodne. Kamiński, gdy komando rozeszło się do roboty, odwołał Henryka.

— Pytał? Coś mu powiedział?

— Same pochwały, ale jestem przekonany, że to szpicel. Nie zobowiązuj się do niczego, zaczekaj jeszcze parę dni przynajmniej.

Kamiński odrzekł wzgardliwie, że niczego się nie boi, ma Żorża w ręce. Na wszelki wypadek. Gdyby chciał co sypać.

— Chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć, Henryku. Powinniśmy zawrzeć jednak układ o zawieszeniu broni na czas lagru. Być może, że będziemy się cu potrzebowali wzajemnie. Zawiniłem, fałszywie cię osądzając, nie wiedziałem, że mogłeś się kierować innymi pobudkami, ale i Spluwa nie wiedział, kim jesteś z przekonań...

Kamiński mówił ciężkim, poważnym głosem, widać, z trudem przychodziły mu te słowa. Opuściwszy Henryka kręcił się długo kolo warsztatu, zaglądał do środka, czekał na kogoś.

— Wszystko nielagrowe mamy zniszczyć — poinformował Henryk Czarnego. — Może zostać chleb, margaryna, reszta nie. Wyślij Fioletowego i Romana w diabły. Pospiesz się!

Czarny posłał Holendra i Romana po materiał, otworzył schowek, dwa worki lekarstw ściągnął na ziemię, karton żywności rzucił Henrykowi. Szpadlami wykopali płytki dół, wrzucili zapasy, zasypali ziemią i przykryli darnią. Henryk ubijał ów grób nogami patrząc na krążącego w pobliżu Ka- mińskiego. Spostrzegł, że kapo wypatruje kogoś, potem biegnie ku bramie. Wrócił po chwili z Muszką. Zanim jednak zbliżyli się do warsztatu, Czarny przypomniał:

— Dziś w nocy przyjdą. Jak jest „źle", to musowo trzeba powiadomić, ale jak? Tylko miemicy by mogli. Może Muszka? On mi coś dał rano, mam pod bandażem. Cholernie ciężkie, z pół kila. Dla Janiny, powiada. Może właśnie wybiera się tam?

Kamiński wszedł do warsztatu z Muszką, zawołał stolarzy.

— Słuchajcie, chłopcy. W tych dniach dam wam przesyłkę na wolność. Musicie posłać koniecznie. I list. Dostałem

składkę dla rodzin rozwalonych w lagrze, za nią pójdą dalsze. Sami rozumiecie, jakie to ważne.

— No, pewno. Ja też mam przesyłkę. Czamy, schowałeś?— powiedział Muszka. — Myślałem, że się nie wyrwę z biura...

Czamy odwiązał bandaż, Muszka chwycił pakiet, zdjął nasmołowany papier, pieszczotliwym mchem wydobył skórzany portfel. Błysnęło złoto, rozjarzyły się jak rosa w

słońcu brylanty. Liczył je skrupulatnie, potem sprawdził ilość dolarów w przegródce. Tak był pochłonięty zajęciem, że nie zwracał uwagi na wyraz twarzy Kamińskiego i stolarzy. Kamiński przygryzał wargę, zbladł. Henryk patrzył nienawistnie na skarb, Czamy purpurowiał.

— Przyda się opiekunkom, festny zasiłek — wykrztusił.

Muszka oderwał wzrek od złota, spojrzał na Czarnego.

— Kiedy ja to... dla siebie. Dostałem prawie za nic. Od Lea. Słowo daję. Co wy? Co się tak patrzycie? Czamy?!

Kamiński uprzedził warszawiaka, odebrał portfel Muszce, zważył na dłoni.

— Nie ta droga, Muszka. Nie wolno — powiedział łagodnie. — Albo przekaż to na wiadome cele, jak ja.'

— Ty? Ty masz dość na wolności! — wybuchnął Muszka. — Nie ma frajerów, żebym znów biedę klepał. Zresztą jak się boicie, oddam sam.

— Kto się boi ! Czemuś sam nie przeniósł, tylko mnie dał ? Boś miał pietra przejść bramę z tym tu. Kto się boi? Co? Nie wezmę tego za nic. Moja głowa tak samo ważna jak twoja, a innych narażać nie pozwolę! Żebym wiedział, co mi dajesz, rzuciłbym ci w pysk. Wypieprzaj stąd, niech cię moje oczy nie widzą!

Muszka z obrażoną miną schował portfel. Dostał od Lea, Leo jest człowiekiem Galidze. O jakiej przesyłce i składce mówił Kamiński? — Henryk gubił się w myślach. Wtem dal się słyszeć tupot nóg i przez okienko ujrzał pędzącego Romana, a za nim Fioletowego, ciągnącego samotnie wiązkę drzewa na kołki dla mierniczych. Spokojny, cichy Roman nie pędził tak bez powodu, coś się musiało stać ważnego.

— Jezus Maria! Wpadła w nocy! W kuźni! — krzyknął od drzwi. — Janina wpadła! Mówił kapo z Soły. Ratujcie mnie!

Ja nic nie winien! Ratujcie — błagał. Pod czerwoną skórą twarzy drżały wszystkie mięśnie, szpakowate włosy zlepiał pot.

— Scheissparola — burknął Czarny. — Niemożebne. Coś pokręciłeś chyba. Kapo z Soły?

Z trudem przypominał sobie fakty. Kapo z Soły zostawiał na noc narzędzia w kuźni, znał opiekunki, ale on przecież nie mógł sypnąć! Nie wierzył wiadomości, a jednak zaniepokoiła go nie tylko ze względu na Janinę i Ulę, sam przecież był w kuźni, by powiadomić je o niebezpieczeństwie. Komuż to wtedy przekazał ostrzeżenie? Brodatemu cywilowi. Kapo z Soły, brodaty cywil...

— Plotka i tyle — mruknął.

Pierwszy ochłonął Kamiński. Wysłał Muszkę po sprawdzenie wiadomości do kuźni, wybadał roztrzęsionego Romana. W kuźni była pułapka i Janina, idąc nocą z koszem żywności, wpadła tam właśnie.

— Kapo z Soły mówił, że dał już znać do domu Janiny — bełkotał Roman. — Mówił, że zdradził jakiś cywil, brodacz.

— Brodacz?! — krzyknął Czarny i nagle zaczął wrzeszczeć opętańczo, bić pięściami powietrze, toczyć dzikim wzrokiem po obecnych. W niezrozumiałym wrzasku słychać było imię Uli i jego dźwięk zakończył krótki wybuch. Czarny się zawstydził, dysząc jeszcze, pokornym spojrzeniem jakby prosił Henryka o

przebaczenie, ten zaś, domyśliwszy się przyczyn rozterki i znając uczucia przyjaciela do Uli, powiedział chłodno, spokojnie:

— Krzykiem nic nie zrobisz. Zlekceważyły, widać, twoje poprzednie ostrzeżenie. Teraz trzeba się zastanowić, co dalej. Stało się, nie odstanie się przecież:

Wówczas odezwał się Kamiński. Był opanowany, rozważył już wszystkie możliwości.

— Biorę tę sprawę na siebie. Ręczę, że kobietę wypuszczą,
oile miała przy sobie tylko żywność. Teraz ja mam głos i zobaczycie jeszcze, co on znaczy. Nie bójcie się, chłopcy! Słuchać uważnie: Roman pójdzie zaraz do mojej budy naprawić ścianę i nie wyjdzie bez rozkazu. Nikomu ani słówka.

Muszka potwierdził wiadomości Romana. Jeżeli wezmą ją na tortury, wszyscyśmy wpadli — stwierdził Henryk. Żal mu się zrobiło Czarnego, który siedział ponury i zamyślony.

— Nie przyznajemy się do niczego, Czarny — powie-, dział. — Najwyżej wykryją przemyt żywności. Nie martw się, Ula na pewno jest już w bezpiecznym miejscu.

— Tak myślisz? To dobrze, ale co będzie dalej?

Tego Henryk nie wiedział. Czuł, że jest w matni, z której nie ma ucieczki. W konspiracyjnej pracy na wolności są rozmaite możliwości ratowania się po wsypie, ukrycia się, ucieczki, zamelinowania, ale tu w lagrze nie ma żadnych. Sieć drutów okala życie i śmierć setek tysięcy. Co jemu osobiście grozi? Mogło się wydać, że wiedział o przemycie, przenosił leki i żywność, listy i broszury. Od kogo — dla kogo? Ktoś już wie to „od kogo dla kogo” —

Galidze. Galidze tkwił w tej sprawie niewątpliwie. W nocy Tygrys łaził po lagrze; czy nie wracał właśnie z Jedenastki po odprowadzeniu Janiny?

— E, co tam. Najwyżej rozwalą — szepnął Czarny. — Zobaczy się wnet. Ze też ci twoi tak się guzdrają! Na rany Chrystusa, żeby już przyszli, żeby przyszli! Mundek nawiał na czas, czuł pismo nosem. A my zostali, pieprzone sierotki.

Henryk wyprowadził go przed warsztat i brodząc po mokrej trawie opowiedział pokrótce o ostatniej rozmowie z Galidze. Nie mógł dłużej milczeć wobec przyjaciela, nie mógł czekać na żadne decyzje z góry. Cokolwiek by się stało, na milczenie będą mieli aż nadto czasu. Henryk wiedział, że czas zacznie teraz inaczej biec, że powrócą te jego wymiary, jakie poznał w więzieniu. Był już zupełnie spokojny, spokojem człowieka w gruncie rzeczy bezradnego i świadomego swej bezradności.

Tego dnia zachód słońca wydał mu się szczególnie piękny. Wyblakłe niebo, seledynowe nad stawami i farmą, przecinały wypukłe, cynobrowe obłoki o złotych brzegach, spomiędzy których wychodziły wyraźne wiązki promieni. Pociąg towarowy dudnił po szynach, ostatnie wagonetki żwiru zgrzytały piskliwie, ktoś kogoś wołał ze szkoły. Słońce opadało wolno, majaczył już blady księżyc.

Kamiński długo zwlekał ze zbiórką, scharfuhrer Nowotny też na coś zdawał się czekać, ogrodnicy ściągali ze wszystkich zakątków gospodarstwa, wielu wiedziało już o wypadku. Wreszcie Kamiński ustawił milczącą gromadę, przeliczył.

— Śpiewać! Wszyscy śpiewać! — rozkazał. — „Im Lager Auschwitz”.

Henryk zrozumiał. Zaintonował pierwszy piosenkę obozową, podjęli ją szklarze, obsługa cieplarni, warzywnicy. „Im Lager Auschwitz war ich zwar so manchen Monat, so manches Jahr”*. Śpiewał i Czarny zabawnie przekręcając niemieckie słowa. Śpiewał huczącym głosem Wicek, pobekiwał Roman. Tylko Fioletowy milczał jak zwykle. Kiedy piosenka dobiegła końca, Czarny wyjął flecik-fujarkę i przeraźliwie wysokimi tonami dyktował rytm marszu.

Przed apelem dopadł Czarnego czarny Felek od dachdeckerów.

— Bolek powiedział: Czarny — wiej! Mam cywilny an-* cug**. Wiej, brachu, zaraz rano. Możesz wyjść z nami, jak się boisz ze swoimi. Niech! Wiej, Tadek!

— A dlaczego, co? Co mam wiać? Nie pieprz! Jakbym zwiał, tobym wszystko potwierdził. Kapujesz?

I więcej nie mógł powiedzieć. Tłum rozdzielił ich, zepchnął, więźniowie biegli na miejsce zbiórki, blokowi obejmowali nad nimi władzę. Apel trwał krótko, zaraz po nim zjawił się Bolek.

— Jest w bunkrze. Politische było na rewizji w jej domu, nie wiadomo, co znaleźli. Córka prysnęła w kibinymater, nikt na razie nie wpadł. Może ucichnie. Masz tu w razie czego.

Podał Henrykowi cyjankali w metalowej kapsułce.

— Schreiber Jedenastki nasz, mówię ci to w zaufaniu. Może się przydać. Najgorzej z Jasiem, bo on wiele odbierał z drogi. Żeby go nie sypnęli. Z Kamińskim jutro wieczór będzie gadka na ostro.

Ciepła noc majowa uśpiła już ogrodników, ale Henryk nie spał. Pytanie, co może się stać jutro, nie dało się

rozstrzygnąć, mimo że próbował uprzytomnić sobie wszystkie możliwe wersje. Czarny chrapał głośno, mamrotał coś od czasu do czasu i rzucał się na posłaniu. Setki pcheł wyskakiwało z puszystego koca na ciepłe ciała, ich ukąszenia rozdrażniały Henryka, utrudniały skupienie myśli. Czyby nie spróbować szczęścia jutro? Między wieżą dwunastą i jedenastą, koło za
budowań? Albo ukryć się w terenie i czekać. Przecież duży łańcuch straży stoi tylko za dnia, a w nocy można chodzie swobodnie, byle nie wpaść na patrole. Patrole na pewno teraz wzmocnią, a poza tym jak uciec i zostawić Maryjkę samą? Ba, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i tak ją samą zostawię. Zaczął stawiać sobie pytania, jakie zadać mu mogli już jutro w Politische, i odpowiadać na nie. Do świtu prowadził tę grę, a kiedy rozległ się gong, był tak zmęczony, że nie mógł już myśleć.

Apel minął i nie przysłano wezwania do rapportfuhrera Janina więc nie sypała. Kapo Kamiński przybiegł późno, na „Kommando formieren”*. Miał tryumfującą minę, gdy szybko wywoławszy Henryka i Czarnego szepnął im:

— Będzie wolna. Załatwione. Byłem z Muszką u Galidze Będzie interweniował w Politische. Prawie pewne.

Henryk zmartwiał.

— Koniec — szepnął, ale Kamińskiego już nie było. Komenderował głośno, zbyt głośno jak na liczebność komanda Po przejściu bramy Henryk ujął pod ramię Czarnego i tak szli milcząc aż do Rajska. Kapsułkę przylepił był Henryk leukoplastem pod moszną, myślał teraz o truciźnie. Galidze chleje wódę, dać mu cyjankali... Galidze chleje wódę, dać mu cyjankali...

Kamiński rozdzielił stolarzy: do warsztatu wpuścił tylko

Czarnego i Henryka i sam udał się z nimi. W budzie cisnął czapkę w kąt i krzyknął:

— Hura! Kamiński was ocalił, chłopcy! Nie wierzycie? Galidze dostał wysadzany kamieniami zloty zegarek i...

— ...i ma nas wszystkich w garści — dokończył Henryk. — Galidze jest szpiclem, choć w to nie wierzysz. Otóż po pierwsze Politische dowiedziało się już, że aresztowana pozostaje w kontakcie z obozem, bo więźniowie znają fakt jej aresztowania, co więcej, starają się o nią. Stara się mianowicie niejaki Kamiński i Muszka. Kamiński i Muszka są w łączności ze stolarzami. Co odpowiesz, gdy spytają, skąd wiesz w ogóle o aresztowaniu Janiny? Dlaczego cię ta kobieta interesuje? Kim jest?

— Głuptasy jesteście. „Po pierwsze”... Po pierwsze — Ga- lidzę jest w naszych rękach. Mamy jego list na wolność do organizacji konspiracyjnej i składkę w dolarach na sieroty po rozstrzelanych. Jeśliby chciał sypać, sypnąłby „po pierwsze” siebie. Po drugie — on nie jest szpiclem, a przeciwnie — tępicielem szpiclów.

— Zapewniam cię, że on to zrobił na polecenie Politische. Coś ci powiem, choć mi nie wolno. Galidze werbował mnie wręcz do roboty na Politische. Pokazywał rewolwer.

— A widzisz?! Nie mówiłem?! Rewolweru Politische nie daje nikomu, idioto.A werbował cię? Mówił mi, że musi cię wypróbować po tym, co mu kiedyś oświadczyłem u krawców
o tobie. Dałeś się nabrać. Strach ma wielkie oczy. Zresztą brałem i ja pod uwagę możliwość, o której twierdzisz, że jest rzeczywistością. Byłem przebieglejszy, mądrzejszy niż

Zorż. Jeżeli on nie jest tym, za kogo go uważam, i tak mi nic nie zrobi. List i przesyłka kompromitują go zupełnie.

Henryk wybuchnął śmiechem. Nie przypuszczał, że Kamiński nie pojmie, jakim szpiclem jest Galidze, że będzie aż tak łatwowierny.

— Galidze przyjdzie tu o dwunastej; sami zobaczycie, kim on i kim ja jestem — rzekł surowo. — Przygotujcie obiadek.

— Może dostać sałaty. Nic nie mamy. Czarny, skocz do ogrodu! — powiedział Henryk. Kiedy został sam z Kamiń- skim, jeszcze raz powtórzył oskarżenie Zorża Galidze, a gdy kapo i teraz nie wierzył, dodał:

— Kto inny będzie z tobą gadał wobec tego. W końcu nie jesteś w lagrze sam i musisz się liczyć ze zdaniem poważniejszych od siebie ludzi.

— Jeszcze zobaczymy, kto z czyim zdaniem będzie się liczył. I nie denerwuj mnie, dobrze?! Wszystko ma swoje granice. Zabierz się lepiej do roboty.

Wyszedł. Henryk został sam na chwilę i wówczas niespodziewanie zatęsknił za Maryjką. Chciał pójść na plantację, ale zrezygnował z zamiaru. Każda minuta mogła teraz przynieść nowe, ważne zdarzenia, był nawet pewny, że przyniesie.

Zabrał się do zbijania zamówionego dla cieplarni rusztowania. Koło południa powietrze rozedrgało się wyciem syreny. Nalot? Ucieczka? Syrena głosiła jednak ucieczkę. Spluwa — pomyślał Henryk. — Zna każdą najmniejszą ścieżynę w okolicy, zwieje jak nic. Spojrzał w okno, jak gdyby mógł dojrzeć uciekającego Spluwę. Wiedział, że był on głównym ogniwem drogi, która przechodziła przez warsztat, i że przeciw niemu kierował swe zabiegi Galidze.

Jeżeli szczęśliwie zwieje, sprawa będzie lżejsza. Syrena zanosiła się rykiem wyjątkowo długo, aż w uszach dzwoniło.

— Słuchasz tej muzyczki?

Galidze stał w drzwiach, za nim Muszka i Kamiński.

— Nie można tego słuchać, łupie w głowie — dodał. — Miewam takie bóle jeszcze od czasu wojny. Kropnęli mnie wtedy porządnie w łeb szablą.

— Muszę dać sygnał na obiad i zaraz wracam — powiedział Kamiński. Głos gwizdka ginął jednak w powietrzu, przepełnionym alarmującym dźwiękiem. Henryk wyszedł. Syrena jękliwie przerwała sygnał, ludzie biegli już do kotła.

— Czarny, pilnuj Romana — szepnął przyjacielowi, zjadł wolno zupę i wrócił. Kamiński, Muszka i Galidze zakończyli widocznie naradę, gdy wszedł do warsztatu, bo siedzieli paląc papierosy. O nic nie pytając rozbił paczkę z gwoździami.

— Daj no nam co przekąsić — powiedział Galidze. — Nie mam dziś obiadu.

Henryk podał sałatę i lagrowy chleb. Galidze nie kryl zdziwienia, patrzył jakby z wyrzutem na Kamińskiego i Muszkę, ale jadł. Kamiński mrugał porozumiewawczo, dawał znać, że wszystko idzie pomyślnie. Kiedy Galidze i Muszka skończyli posiłek, wyprowadził ich tryumfalnie z warsztatu. Henryk znów został sam. Posłyszał szczekanie psów. Patrol z owczarkami alzackimi przeszedł ścieżką, na drodze warczały motocykle SS, potem zapadła cisza nad Rajskiem. Gdybym krzyczał idąc przez lager do bunkra, żeby mnie odbili, żeby się rzucili na SS, nie usłuchałby mnie nikt. Pomyśleliby: jego biorą, nie nas, nam nic nie

grozi. Pożałowaliby może nawet. I nic więcej — myślał w godzinach ciszy. — Teraz pewno Politische puści na lager sforę szpiclów. Czy ostoi się wątła robota konspiracyjna pod takim atakiem?

Przed wymarszem, nim jeszcze opuścił warsztat, długo patrzył na jego skromne wnętrze. Ratowało mu życie przez wiele miesięcy, teraz ratunek mial się okazać bezsensowny. Wszedł w piątkę, stanął jak zwykle między Czarnym a Romanem.

— Kapo nas wybawił — szepnął Roman. — Sam słyszałem, jak mówił, że wszystko gra. A trzech mierników uciekło. Sam słyszałem.

Zaraz po apelu poszedł przez obóz okrzyk wywołujący czyjś numer. Natychmiast do bramy!

— To twój numer, Heniu! — zawołał Czarny. — Heniu!

— Powiedz Bolkowi, że... że... wiem, co robić.

Rapportfiihrer sprawdził uważnie numer i kazał esesmanowi odprowadzić Henryka na Jedenastkę do dyspozycji Oddziału Politycznego. Szedł przez zaludnione ulice, widział, jak więźniowie przystają, ściągają czapki przed szturmanem, jak patrzą na niego.

Blockfuhrer Jedenastki, schreiber i ogromny, gruby kapo bunkrów, Żyd Kuba, stoją w izbie: schreiber odpisuje dane osobiste z kartki, Kuba rewiduje kieszenie, ściąga odzież, przetrząsa bluzę.

— Kuba, zostaw mu ubranie — mówi schreiber. Schreiber jest nasz. Kuba popycha Henryka, prowadzi korytarzem wypełnionym głosami z cel dla cywilnych aresztantów ze Śląska, potem w dół schodkami. Grube drzwi są otwarte, a w środku zupełna ciemność.

Dunkelzelle*, nie stehbunker. Drzwi zamykają ową ciemność, a w niej Henryka. Nie ma okna, nie ma światła, nie ma żadnego sprzętu. Jest tylko ciemność.

Rozdział ósmy

Kończyła się noc, szarówka właziła już przez okna do biura szpitala. Jeszcze pięć ostatnich kart! Palce napotykają opór stu tysięcy zielonych kartonów, ciasno zbitych w stołowej skrzyni. Wprawdzie Zygmunt wyciągnął dziś z niej pięćdziesiąt siedem kart, ale opór reszty nie zelżał, ramy kartoteki nadal pękały, a stół żałośnie skrzypiał pod jej ciężarem. Skrupulatnie sprawdzał numery z listą głównej kancelarii obozu, potem oddał karty schreiberowi, który jął pośpiesznie wypisywać pięciu rozstrzelanym wczoraj mierniczym świadectwa zgonu, inni koledzy ziewając zamykali maszyny, chowali do szufladek tabele z przepisowymi diagnozami i przebiegiem chorób. Czekano na poranny gong.

Noc przeszła spokojnie, roboty dzisiaj było niewiele, czasami jednak palce puchły od pisania i rwały ścięgna, zwłaszcza gdy gotowała się na rano masowa egzekucja, a rapport- fiihrer przynosił na nocną zmianę listę numerową wyznaczonych na rozstrzelanie, aby na czas zdążono sporządzić akta. Z chwilą gdy dokument był gotów, człowiek kryjący się za nim przestawał właściwie istnieć, mimo że spal sobie wtedy spokojnie nie podejrzewając nawet, że to jego ostatni sen.

— Ohydna robota — powiedział Zygmunt. — Gdybym wy-

ciągnął fałszywą kartę i nie sprawdził, wzięliby na pewno inny numer na rozwałkę.

Nikt go nie słuchał. Wiedział, że ta robota dawała nieocenione możliwości, związane z pracą w nocy, kiedy esesmani nie kręcili się po obozie, z brakiem stałej kontroli, z pracą pod dachem. Nie trzeba było wychodzić na apele, moknąć na deszczu, marznąć na mrozie, cały dzień był wolny, można było i pospać, i pozałatwiać mnóstwo spraw, a w nocy przysmażyć trochę ziemniaków, ugotować kawy, spokojnie palić papierosy. A jednak chciał odejść stąd na obóz. — Nie chcę być pomocnikiem Pana Boga — powiedział przed paru dniami Austriakowi Wiktorowi, sekretarzowi naczelnego lekarza SS i obozu, Wirtha. — Wolę pracować na komandzie. — Wiktor pokazał w uśmiechu białe, czyste zęby. Niech się nie wygłupia. Trzeba zostać w szpitalu właśnie teraz.

Pomyślał, że przecież mimo wszystko Wiktor miał rację. Dziś też trzeba pomóc Panu Bogu, ale to całkiem inna sprawa. Wczoraj gruby Karol przyniósł Pappiemu morfinę, skrytka na strychu, gdzie lageraltester przechowywał narkotyki, złoto i kosztowności, była wykryta; naczelny lekarz SS jest już przez Wiktora poinformowany o wszystkim. Gdyby tylko Tischler zdobył dowód, że na szpilę idą także więźniowie „aryjscy” i to nawet niemieccy! Wtedy można by zaatakować od razu dwie sprawy, spowodować może wstrzymanie szpilo- wania i usunięcie Pappiego.

Na chwilę przed gongiem zjawił się w biurze Pappi. Miał biały wyprasowany mundur z czerwonymi lampasami, czarny beret i niciane rękawiczki. Wszedł cicho jak kot, zbliżył się do biurka i zerknął na ostatnie liczby w księdze zmarłych.

— Pięciu rozstrzelanych, dwudziestu dwu

zaszpilowanych, reszta zmarła naturalną śmiercią — powiedział; tylko wtajemniczeni znali znaczki, jakimi opatrywano wszystkie wypadki „nienaturalnych zgonów". Oficjalnie wszystkie obciążały konto szpitala. — Jak tam, nowy? — dodał patrząc pogardliwie na Zygmunta. Nie cierpiał go. Zygmunt przyszedł do szpitala jesienią 1942 roku, razem z Markiem, przyjęto ich bez wiedzy Pappiego, a Pappi nie zapomniał tej obelgi. Marka już nie było w szpitalu, pracował teraz w obozie, ale Zygmunt pozostał i na nim skupił lageraltester całą swą złość. Stali teraz naprzeciw siebie, obaj zjadliwie uśmiechnięci, zatopieni w burym świetle brzasku. To twoje ostatnie wystąpienie, Pappi — myślał Zygmunt. Gong wyciągnął Pappiego z biura. Schreiberzy wypadli na korytarz, wychodzili z bloku, by przed snem łyknąć trochę powietrza. Było wilgotno i chłodno, zima jeszcze przykrywała obóz ciężkimi chmurami.

Zygmunt przeszedł podwórze i u wejścia do Dwudziestki spotkał Wiktora. Austriak, ubrany w schludny zimowy pasiak, żuł suchy chleb. Biały kołnierzyk koszuli, wyłożony na pasiak, był czysty, choć postrzępiony. Ogolone policzki świeciły jakimś tłuszczem, jajowata głowa, pokryta niziutkimi zakolami blond włosów, jaśniała na tle brązowych drzwi.

— Dzisiaj okazja — powiedział Zygmunt. — Pappi niczego nie przeczuwa.

— Spróbuję ruszyć również sprawę szpili. Sprawdź, czy Tischler nie ma już dowodu. Jeżeli ma cokolwiek, niech goniec mi przyniesie do Wirtha. Myślę, że możemy zacząć, Wirth dostał mianowicie pismo, by zwiększyć siły robocze lagru. Za wszelką cenę.

— Ryzyko jest duże, Wiktor. To jednak jest esesman. Wprawdzie znacie się dobrze, jeszcze z Dachau, wprawdzie gadasz z nim jak z cywilnym lekarzem, wprawdzie twierdzisz, że można wygrać spór kompetencyjny pomiędzy władzami SS, ale uważaj. Proszę cię, uważaj. Jesteś czasem za bardzo pewny swego wpływu.

— Zajrzyj dziś na Czwórkę, Adam jest po odprawie z grupą polską i austriacką, trzeba więc, aby Marek zdecydował, kiedy przystąpimy do połączenia wszystkich grup. Jak myślisz?

Zygmunt pokiwał głową. To była najtrudniejsza sprawa. Wyszukać w rojowisku obozu towarzyszy różnych narodowości, wykryć tworzące się spontanicznie grupy, łączyć je z sobą, a przede wszystkim doprowadzić do powstania jednej, wspólnej międzynarodowej organizacji, do wtopienia w nią wszystkich polskich grup obozowych, zwłaszcza socjalistycznych, na które szczególny wpływ ma Marek — to było zadanie, którego trudności nie doceniał Wiktor.

Wiktor pożegnał się, bowiem formowano już komanda do wymarszu i odezwała się orkiestra. Zygmunt wrócił na blok,
napił się ciepłej łury i zaszyty w odległy kąt sali chorych drzemał. Nie kładł się spać, czekał na to, co powinno się stać lada godzina. Tu odnalazł go goniec szpitala, młodziutki Stefanek, rówieśnik i transportowy kolega Kuleczki, pipla Pap- piego. Nachodził go tak co rano wyłudzając nie tyle wiadomości, ile ich zapowiedzi. Nie wypytywał nigdy o szczegóły, wystarczyło mu, że Zygmunt dawał do zrozumienia, że coś się dzieje, coś

przyjaznego.

— Stefanek, żałowałbyś bardzo, gdyby usunięto Pappie- go? — zapytał Zygmunt. Goniec rzucił mu się na szyję, pocałował go w policzek. Wesołe, wyłupiaste oczy migotały niebiesko.

— O rany! Niech skonam, robi się co? I żeby Kuleczce dali po nosie, taki wstyd, mój kolega przecież! Jak wrócimy do domu, to co ja powiem o nim? Lepiej, żeby nie żył drań.

Cieszy się, wnet cały szpital będzie się cieszył. Dobrze wiedzieć z góry, jaka będzie reakcja na to, co robimy. To jakoś ułatwia robotę, taki barometr nastrojów — myślał Zygmunt. Kiedy Stefanek pobiegł do standortarzta z teczką dokumentów do podpisu, Zygmunt zaniepokoił się na chwilę, wyobraziwszy sobie planowaną rozmowę Wiktora z szefem.

Wiktor tego dnia stenografował odpowiedź Wirtha do centralnej administracji obozów koncentracyjnych.

— Niech pan pisze, Wiktorze: „Poważne niebezpieczeństwo grozi załodze SS, na którą przerzuca się epidemia. Ostatnie posunięcia w rodzaju specjalnego potraktowania chorych na tyfus wydają się nie przynosić rezultatu".

— Panie doktorze — odezwał się Wiktor siadając do maszyny. — Panie doktorze, czy wolno mi będzie zrobić pewną uwagę? Bardzo przepraszam, jeśli ośmielam się ją wyrazić, ale wydaje mi się, że byłaby pożyteczna dla sprawy zwalczania tyfusu.

Wirth zdjął okulary, przetarł szkła. Wiktor — wiedział o tym — był komunistą, uczestnikiem walk o hiszpańską republikę, jednakże był Austriakiem i on go uważał za

Niemca, obywatela III Rzeszy, Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Ufał mu i nieraz już korzystał z jego trafnych, spokojnych uwag
o obozie, który stanowił dla niego, naczelnego lekarza, nadal wielką niewiadomą.

— Proszę, niech pan mówi — powiedział. — Ma pan przecież do mnie zaufanie.

— Nie ośmieliłbym się jednak narażać pana, panie doktorze, na dociekliwość Oddziału Politycznego, a z siebie nie chciałbym zrobić jego ofiary.

— Powinien pan odróżniać lekarza od policjanta.

— To nie zawsze łatwe, panie doktorze, pozwolę sobie zauważyć. Lekarze SS w obozie, pana podwładni, zapominają o tej różnicy.

— Do rzeczy, do rzeczy, Wiktor. Niech pan mnie nie agituje. Chciał pan coś zakomunikować.

— Proszę pozwolić mi wyrazić pogląd, że podstawowym warunkiem zwalczenia tyfusu, opanowania go, jest ścisła izolacja chorych w szpitalu. W tym celu jednakże potrzebna jest wola chorych, chęć udania się do szpitala obozowego. Wydawałoby się to oczywistością. Nie ośmieliłbym się zaprzątać pańskiej uwagi, gdyby tak istotnie rzecz się miała. Chorzy więźniowie bowiem boją się szpitala i wolą umierać na komandzie, a więc roznoszą chorobę. Boją się szpilo- wania.

— Czego się boją?! Proszę nie nadużywać mojej cierpliwości !

— Mam mówić dalej, panie doktorze? Musiałbym powiedzieć o faktach, których nie wolno znać zwykłemu więźniowi, nie wolno mu przynajmniej przyznać się, że wie o nich. Są to sprawy, panie doktorze, straszne.

— Sentymentalizm, Wiktorze. Pan jako komunista winien wiedzieć, że każdy ład musi być siłą narzucony i zawsze budzi oskarżenia o okrucieństwo. Operacja też jest ostatecznie okrucieństwem, a jednak koniecznością. Wróćmy jednak do rzeczy. O jakim to strachu chorych pan wspominał?

— Obawiam się mówić, panie doktorze, gdyż chodzi o sprawy tajone przed panem.

Wirth był wyraźnie podenerwowany. Zapewnił Wiktora, że mu włos z głowy nie spadnie, rozkazał mówić wszystko, co wie. W tej chwili zapukał goniec ze szpitala. Szaroniebieskie, bardzo wypukłe oczy Stefanka błyszczały, gdy się meldował.

— Dużo — powiedział Wirth przeglądając wykaz zmarłych.

— Stefanek, posłuchaj, powiedz nam, czy wszyscy na liście zmarli naturalną śmiercią?—spytał nagle Wiktor.—Panie doktorze, proszę, niech pan mu da rozkaz, by powiedział, mnie nie posłucha.

—Mów! — rozkazał Wirth i wówczas Stefanek wyjąkał:

— Nicht, nicht alles. Zweiundzwanzig auf szpila gegangen, gestorben. Fünf erschossen gestern*.

—Hau' ab!

Stefanek wypadł z gabinetu i pobiegł do obozu poświstując wesoło.

Wirth tymczasem przeczytał już wszystkie diagnozy.

—Od to wszystko znaczy, Wiktor? Natychmiast mówić!

Wiktor, powołując się na rozkaz, opowiedział o szpilowaniu chorych, gorączkujących, meldujących się do szpitala i ozdrowieńców. Oskarżał lagerarzta Entressa, SDG Klehra, zwracał uwagę, że ukrywając prawdziwe przyczyny zgonu

podwyższa się liczbę śmiertelności w wykazach.
— Tak wygląda, panie doktorze, szpital! Centrala domaga się od pana zbadania przyczyn wysokiej śmiertelności, bo troszczy się o maksymalne wykorzystanie siły roboczej. Naturalnie władzom nie chodzi o liczbę rozstrzelanych czy wygazowanych, ale przecież łatwo zmniejszyć ilość meldowanych zgonów przez wyodrębnienie szpilowanych, a jeszcze łatwiej przez zlikwidowanie procederu mordowania ludzi w szpitalu.
— Żydów?—zakpił Wirth, ale Wiktor zaprzeczył. Na szpilę wysyła się Aryjczyków, nawet zupełnie zdrowych, nawet Niemców.
— Niemców?! Wiktor, pan się zapomina. Pan oskarża esesmanów, lekarzy, a więc pośrednio i mnie. Niemców?!
— Panie doktorze, śmierć hula w szpitalu. Mówiłem już o kierowniku szpitala...
— Badałem tę sprawę. Nienawidzą go Polacy, których tam jest podejrzanie dużo, a pan daje się sugerować Polakom? Od informacji przeszedł pan do oszczerstw. Proszę zanieść pisma scharführerowi.

Wiktor oddal pisma, a kiedy wracał, spotkał kolegę z apteki, który powtórzył mu wiadomość o Pappim. Wirth niespokojnie chodził po gabinecie, rozważał słowa swego sekretarza. Wiktor jął przepisywać list. Czysto wymyte, drobne palce szybko uderzały w maszynę.

— Wiktor, jeśli nie sprawdzą się pana oskarżenia, rozstaniemy się, niestety. Dotychczas mówił pan tylko o współwięźniach, teraz przeszedł pan do ataku na nas, esesmanów.

— Powiedziałem tyle, że wystarczy na kulę. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę sprawdzić. Pan lagerarzt jest w

obozie, Pappi o tej porze bierze zastrzyk morfiny.

Wirth nasadził mocniej okulary, wybiegi z gabinetu. Rozległ się ryk motoru przed budynkiem. .

Motocykl zatrzymał się przed Chirurgią, Wirth i scharfuhrer z rewiru weszli na blok, witani głośnym „Achtung!" Nie skręcili jednak do pokoju lekarskiego, co wywołało panikę wśród więźniów. Zanim jednak wiadomość o niespodziewanej wizycie dobiegła na piętro, Wirth już wchodził do pokoiku Pappiego.

Zygmunt, który nie spal po nocnej zmianie, wyszedł na klatkę schodową. Scharfuhrer z rewiru wynosił właśnie z pokoiku blokowego czerwoną drabinkę. Przystawił ją do klapy wejściowej, ale końce ślizgały się po gładkiej posadzce. Zygmunt przytrzymał drabinkę. Scharfuhrer ubrał rękawiczki, zaświecił kieszonkową latarkę, wspiął się na górę i już ze strychu zawołał Zygmunta.

Balansując rękami posuwał się naprzód. Zygmunt wodził go światłem niby ogromną ćmę, wreszcie skierował latarkę prosto na belkę, za którą był skarbczyk Pappiego. Dwa blaszane pudełka.

—..Danke !* — Scharfuhrer zlazł ze strychu, odstawił drabinę. Wirth rychło wyszedł prowadząc z sobą Pappiego. W otwartych drzwiach stał osłupiały z przerażenia Kuleczka i miął w rękach opaskę z literami „LA". Wiedział, że ponad Pappim jest wyższa, silniejsza władza, do tej jednak pory nie była ona przeciwna władzy opiekuna. Obie sumowały się na korzyść Kuleczki. Co się stało, że naczelny lekarz bije Pappiego, fe = - - a» , ^

WV

li m % wLrTj- -.V-

4 *1

‘•ł fc ** $

■

zdziera mu bindę, rewiduje? Zbiegli się przyjaciele: zastępca blokowego — chuderlawy chłopak, jego brat — z sali operacyjnej, czamiutki władca chleba i kilkunastoletni komendant sali. Muzyk z orkiestry, mimik doskonały i komediant występujący czasem w imprezach obozowych, paradował przed nimi goły. Chemicznym ołówkiem wymalował sobie ptaki na całym ciele. Kręcąc kuprem chodził od sali do sali. Czamiutki porwał zydel i cisnął. Muzyk złapał go, ujął oburącz i wepchnąwszy członek w otwór deski kwiczał niby to z rozkoszy. Chorzy śmiali się, choć nie wiedzieli, o co chodzi. Cuchnący odór zgnilizny bił w twarze młodzieniaszków.

Wieczorem odbyła się narada w komórce Czwórki, utworzonej przez zaszalowanie kąta między schodami a piwnicą. Było tu ciemno i chłodno, nie zapalano światła. Wiktor złożył sprawozdanie z rozmów z Wirthem proponując dalszą inspirację niektórych esesmanów. Pomiędzy naczelnymi władzami SS nie było zgody: podczas gdy centrala administracyjna chciała spożytkować wszystkie siły robocze obozów dla przemysłu wojennego, główny urząd bezpieczeństwa dążył do masowej likwidacji uwięzionych. Nie oznaczało to, że administracja obozów przeciwstawia się zagładzie, zamierzała tylko wyeksploatować skazańców i unicestwić ich poprzez pracę. W tę sprzeczność — powiadał Wiktor — uwikłany jest Wirth, który, jako bezpośrednio zależny od centrali administracyjnej, musi opowiedzieć się za jej linią, a więc narazić się Oddziałowi Politycznemu, zawisłemu od gestapo. Ten konflikt należało wykorzystać bezwzględnie

dla dobra więźniów. Wprawdzie Adam niewiele sobie po tym obiecywał — bowiem taka inspiracja i jej sukcesy nie mogły zapobiegać masowej zagładzie w komorach gazowych — jednak przystał na plan Wiktora.

— To jest zadanie partyjne — mówił Wiktor. — Domagam się zatwierdzenia planu. Polacy prowadzą setki akcji ratunkowych od lat, ale one wszystkie grzęzną w morzu śmierci. My musimy podjąć atak generalny. Nie wystarcza wyłapywać rozbitków na wzburzonym morzu. Przy tym najczęściej samemu się tonie. Trzeba najpierw ujarzmić morze.

Adam nie lubił górnego stylu przyjaciela, ale domyślał się, że chodzi mu o atak na główne punkty wroga, o wielką grę. Wiktor zapewniał, że jest możliwe okiełznanie Oddziału
Politycznego, pewna normalizacja stosunków, upodobnienie Auschwitzu do Buchenwaldu, w którym komuniści sprawowali tajne rządy. Wyrugowanie Zielonych, uczynienie z Auschwitzu „normalnego" obozu umożliwi szeroką robotę konspiracyjną. Dlatego proponował na miejsce Pappiego niemieckiego towarzysza Tischlera.

Tischler, zwalisty, ciężki mężczyzna o apoplektycznej twarzy, szeregowy żołnierz kompartii, zgodził się objąć szpital, ale zapowiedział, że połowę Polaków wyrzuci na obóz i bez litości tępić będzie obozową arystokrację. Polacy to nacjonaliści, nienawidzący wszystkich Niemców, nie przyjmujący do wiadomości, że są w niemieckim obozie.

— Trudno się dziwić — powiedział Adam. — Są tu niejako gospodarzami terenu. Musimy za wszelką cenę

porozumieć się z ich organizacją, która działa doskonale.

Tischler zaprotestował. Nie chciał mieć nic wspólnego z „faszystami".

Nie było jednak czasu na dalszą dyskusję o pryncypiach, trzeba było wtajemniczyć Tischlera w plan opanowania szpitala. Proszono, by wystarał się o dowód, że na szpilę idą nie tylko Żydzi, najlepiej by było, gdyby uzyskać dowód, że lagerarzt wysyła na szpilę Niemców. Wirth bowiem uspokajał Wiktora zapewnieniem, że wprawdzie zabija się przy pomocy dożylnego lub dosercowego zastrzyku, ale to jest akcja nakazana przez centralę, zaszyfrowana jako „14 f B", akcja eutanazji, uwalniania nieuleczalnie chorych od cierpień, a społeczeństwa od jednostek szkodliwych dla jego zdrowia. Tbc w ostatnim stadium, dziedzicznie obciążeni. Na próżno Wiktor przytaczał fakty mordowania zupełnie zdrowych, a jedynie wycieńczonych, lub dzieci polskich z Lubelszczyzny. Wirth nie wierzył.

W kilka dni później Tischler, już lageraltester szpitala więźniarskiego, wręczył Zygmuntowi dużą kopertę, zalepioną leukoplastem. Goniec Stefanek pomknął z nią do Wirtha, wywołał Wiktora.

Jajowata, łysa na czubku czaszka sekretarza naczelnego lekarza SS zniknęła w gabinecie. Wyciągnął dokumenty, rozprostował, wygładził, gumką wyczyścił skrupulatnie wszystkie plamki i czekał, aż szef wróci z Birkenau. Karta gorącz-
kówa sześćdziesięcioletniego Niemca była prawie pusta. Nie pięły się po niej zygzakowate czerwone i niebieskie linie. Data dzisiejsza, czerwony krzyżyk pod nią, diagnoza „gastri- tis"*, leczenie — leżenie w łóżku, dieta, bolus

alba**. Klisza rentgenowska: „żadnych zmian chorobowych”. Powtarzał wszystkie dane, jakby od tego, czy je zapamięta, zależało ocalenie świata.

Wirth wrócił zabłocony i zmęczony. Nie mógł zapalić papierosa, ręce mu drżały. Spojrzał na dokumenty, potem na Wiktora. Sekretarz siedział sztywno przy maszynie, blond włosy na skroniach miał zmoczone, przylegały gładko do głowy. Drobne palce leżały na bloku stenograficznym.

—. Tego Niemca zamordowano wraz z innymi zastrzykiem fenolu, panie doktorze. Jako gruźlika — powiedział.

— Niesłychane! Niemca! — krzyknął lekarz. — Miał katar żołądka, żadnych zmian w płucach.

— Jego karta jest dowodem, że mówiłem prawdę, że zarzuty, jakie pozwoliłem sobie postawić, są prawdziwe. Podobnie dzieje się z tysiącami chorych, słabych, zdrowych nawet. Biorą ze szpitala, zabierają z ambulatorium. Tylko że ci inni nie są Niemcami i nie zakłada się im przy przyjęciu kart chorobowych, jeżeli idą od razu na szpilę.

Wirth, blady i gniewny, stał za biurkiem, spozierał na kliszę zamordowanego. Na butach schła glina spod krematorium w Birkenau, gdzie prowadził selekcję transportu — na gaz i do roboty. Długo milczał, potem siadł i jął oskroby- wać błoto z cholew.

— Prophylacticum magnum sterilicum***— powiedział. — Ale ja dałem lekarzowi wyraźny rozkaz, ja mu kazałem... Niech pan poprosi służbowego scharfiihrera. Pan jest wolny na razie. Dziękuję...

Nazajutrz SDG wybrał spośród zgłaszających się do

szpitala kilkunastu wynędzniałych ludzi. Sunęli posłusznie za sanitariuszem w kierunku Dwudziestki. W połowie drogi jakby sobie coś przypomniał, zatrzymał pochód i długą chwilę stal, coraz bardziej czerwieniejąc i patrząc na masywną postać
nowego lageraltestra szpitala, Tischlera, który wyszedł mu naprzeciw i nie ściągnąwszy czapki mruczał coś w bawarskim narzeczu. Nagle krzyknął na sanitariusza, by zawrócił, i pochód, zmieniwszy kierunek, dotarł do izby przyjęć. Esesman nie wszedł' jednak na blok. Łaził przed szpitalem krzycząc na każdego, kto mu się nawinął, aż wreszcie, podniecony swoim głosem, wściekły, wpadł na Chirurgię i zarządził apel.

Korytarz zapełnił się personelem szpitalnym, sanitariuszami, ich pomocnikami, pisarzami, obsługą bloku. Zbudzono też nocną zmianę biura. Zygmunt stanął w szeregu obok Stefanka. Zmuszał się, żeby nie drżeć. W sienniku miał gryps, który zamyślał posłać na wolność, do towarzyszy, i karteczkę z propozycjami dla grupy socjalistycznej.

— Wszyscy komuniści wystąp! — krzyknął SDG. Nikt nie wystąpił jednak z szeregu. Esesman powtórzył wezwanie, potem krzyknął: — Wszyscy Polacy podnieść rękę!

Wzniosły się w górę ręce, dużo rąk, prawie wszyscy byli tu Polakami. Prócz nich pracowało na bloku zaledwie kilku Francuzów, Czechów i Słowaków, Austriaków i Niemców. Esesman rozkazał wyjść na podwórze, rzucił Polaków na ziemię, przeciągnął przez zimne, twarde błoto. Po dwóch godzinach ćwiczeń Zygmunt, pokryty skorupą brudu, słaniając się na nogach, z nadwerężonymi ścięgnami,

wrócił do izby.

— Pewno wojna skończy się na święta — powiedział ktoś — bo ten się tak wścieka.

— Na święta się nie skończy, ani na następne też nie — mruknął Zygmunt. — Przestańcie z tymi wróżbami.

Zakrzyczano go. Nienawistne spojrzenia śledziły teraz każdy jego ruch, szydercze słowa dosięgały go na pryczy. Oni chcieli przecież wierzyć w rychły koniec, dlaczego im nie pozwalał, dlaczego wykpiwał zawsze ich wiarę?!

— SDG wścieka się, że nie może prowadzić na szpilę — powiedział. — Tylko dlatego.

Korciło go, by powiedzieć coś więcej, by pochwalić się, by zobaczyć ich wesoły uśmiech, ale ugryzł się w język. Nie wolno. Wszystko musi dziać się potajemnie. Zapragnął mieć teraz przy sobie Stefanka, on by zrozumiał. Nie wątpił, że goniec zdaje sobie sprawę, iż ktoś jednak ma wpływ na wy
padki w obozie, na razie nikły wprawdzie, ale już widoczny.

Oileż lżej by było, gdyby można powiedzieć: „patrzcie, barany, da się wiele zrobić, a wy co robicie?" Nad łóżkiem sąsiada wisiały wystrzyżone z niemieckiej gazety fotografie domków w ogródkach, kolorowe, błyszczące, a u wezgłowia pyszniła się półeczka ze słoikiem szmalcu i pudełkiem cwi- baka. Dostawał paczki i urządzał z ich zawartości wystawę; nie zjadł niczego, nim nie nacieszył się widokiem smakołyków do syta.

Przywykli chyba już, przyzwyczaili się — pomyślał Zygmunt. Czuł jakby złośliwą wdzięczność dla SDG, który karnymi ćwiczeniami przypomniał ich ciałom, kim są i gdzie się znajdują.

Zbliżała się wiosna 1943 roku. Zygmunt codziennie prawie miewał teraz spotkania z towarzyszami. Wieczorem między blokami, na strychach, w piwnicach, w czasie przechadzki, na sali chorych, gdzie się dało — przeprowadzał rozmowy, łączył ludzi, komunikował nowiny wyczytane w tajnej prasie, którą otrzymywał z wolności Marek; tłumaczył konieczność wspólnej organizacji, przejmował grupki istniejące na poszczególnych komandach, zawsze przedstawiając się tak, jak na to pozwalała sytuacja. Najwięcej kontaktów mieli towarzysze z Brygad Międzynarodowych i oni to skupili Francuzów, Czechów, Niemców, Austriaków. W ciemnej komórce Czwórki Adam i Wiktor sumowali sukcesy: był już czas, aby porozumieć się z czysto polskim podziemiem obozu.

Zygmunt nie wątpił, że właśnie Marek będzie w tej mierze rozstrzygającym człowiekiem; znał go, wiedział, że cieszy się wielkim szacunkiem, obserwował jego kontakty obozowe, współpracował z nim od początku pobytu w Oświęcimiu. W jego rękach były teraz kontakty ze światem, idące drogą na Rajsko, przez mierniczych, przez okoliczne wsie. Z końcem kwietnia spotkali się obaj na bloku Marka, na strychu. Był dzień, więc blok opustoszał, tylko obsługa, do której Marek należał, kręciła się po izbach i korytarzach. Marek poczęstował przyjaciela cukierkami.

— Nie będzie łatwo — mówił szeptem. — Sam wiesz, jak to jest u nas. W obozie jest wiele elementów prawicowych, nawet nasi faszyści znaleźli się za drutami. Jasne, hitlerowcy nie potrzebują ich współpracy, chq przecież w ogók

zagłady Polaków, bez względu na ich przekonania. Nie jesteśmy Norwegami czy Francuzami, Quisling i Petain, rozumiesz? Prócz tego w obozie jest mnóstwo ludzi „przypadkowych" •—z łapanek, z masowych akcji. Rozróżnić, kto z nich wpadł za ukradzenie wieprzka, a kto za przynależność do konspiracji-—rzecz trudna. Drugą trudnością jest specyfika naszej konspiracji krajowej. Posłuchaj, /a zamierzam ucic- kać. Jestem potrzebny w kraju, nie w lagrze.

— Tymczasem w lagrze jest mnóstwo do zrobienia, Marek. Usunąć Zielonych, opanować placówki obozowe, polepszyć warunki, zorganizować na wielką skalę pomoc, prowadzić pracę wychowawczą, przeciwstawiać się terrorowi, dokumentować zbrodnie SS, przygotowywać się do zbrojnej obrony. Przecież na przykład powstanie na Siąsicu, na Słowacji i w okolicach musi się liczyć z naszymi silami. Śmiejesz się?

— Utopia to twoje powstanie.

— Bez utopii nie ma niczego konkretnego. Mamy fu bezwolnie dawać się wytracać? Nie, nie! Słuchaj, wojna jeszcze sobie potrwa, to pewne, choć niepopularne. My mamy już swoje grupy, chcemy wspólnej organizacji.

— My, to znaczy kto?

Zygmunt cichym głosem przedstawil sytuację. Mówiąc myślał nie bez wzruszenia o wymienianych ludziach, o francuskiej grupie partyjnej — plącącej składki papierosami, o radzieckiej — opracowującej plany zbrojnego powstania, o austriackiej — piszące; ulotki w paru językach, o grupach żydowskich z powstańczych gett.

— Rozumiem. Dam kontakty, rozmawiaj — powiedział Marek. — Słuchaj, masz ty kogoś na wolności,

żonę, dziewczynę?

— Co to ma do rzeczy? Mam — odparł Zygmunt i zamilkł Chce mnie wzruszyć? Po co? Ona należy do spraw pewnych, nie ma się co niepokoić o nią. Czeku. Zostanę tu do końca, bo tak po prosru trzeba, a ,Marek niech ucieka, jeżeli chce, jeżeli ma możliwości.

Marek schrupał ostatniego cukierka, nie przerywa! milczenia towarzysza. Zygmunt wyciągnął rękę, ścisnął jego d/oń i wyszedł.

Pierwszego maja spotkali się znowu, tym razem w piwniczcc Czwórki. Adam zebrał ru kilka ludzi, w zupełnej ciemności rozlegało się co chwila umówione pukanie w deski przepierzenia i Wiktor ostrożnie otwierał drzwi. Wreszcie nie było już gdzie się pomieścić, zrobiło się duszno, gorąco. Wówczas rozległ się łagodny glos Wiktora. Zygmunt i Marek słuchali w zdumieniu patetycznych słów, jakie nie przeszłyby im przez gardło, ale stopniowo i ich ogarniało wzruszenie, kiedy sobie uświadomili, że garsteczka ludzi, narażając się na śmierć, święci teraz dzień Pierwszego Maja. Na górze szumiał obóz, dziesiątki tysięcy więźniów przelewały się ulicami, esesmani czuwali na wieżach, a tu, w podziemiu Czwórki, Wiktor mówił o zwycięstwach Czerwonej Armii, wspominał klęskę stalingradzką, zapowiadał nieuchronną zagładę faszyzmu. Kiedy zakończył cichutkim okrzykiem „niech żyje Stalin!” — dreszcz przeszedł Zygmunta. Nie należał do kadry komunistycznej, do zawodowych działaczy rewolucyjnych, zdobywął się zawsze na sceptycyzm, ale teraz działo się z nim coś niewytłumaczalnego. Miał łzy w oczach: oto zebrani zaczęli mówić, nie śpiewać, Międzynarodówkę. Słyszał obok siebie wyraźny głos Rosjanina i Niemca,

rozróżniał słowa serbskie i francuskie. Włączył się w cichy chór. Kiedy skończono, odezwał się Rosjanin:

— Bracia, towarzysze — powiedział — uciekajmy do partyzantki. Zdobądźmy broń...

Adam wypuszczał już pierwszą partię zebranych. Kiedy otwierał drzwi, nikłe światło padło na twarze obecnych, rozjarzyło oczy.

Zostali w czwórkę: Adam, Wiktor, Marek i Zygmunt. Adam zapalił światło, usiadł na wąskim stoliku i patrząc ciemnymi oczyma na Marka przedstawił pokrótce program.

— Przede wszystkim ratować i wychowywać — zakończył. — Stworzenie solidarnej postawy wobec faszyzmu, stworzenie samorządu na wzór Buchenwaldu.

Zygmunt potakiwał z uznaniem. Przecież wszystkich gnębi pytanie, dlaczego sto tysięcy więźniów nie przeciwstawia się solidarnie załodze SS, dlaczego na miejsce jednego kata w pasiaku znajdzie się zawsze paru nowych ochotników, dlaczego wszyscy poddają się systemowi wartości, w któ-

rym wynagradzane i opłacalne jest zło. Powiedział o tym, ale Wiktor zaprotestował, że to idealizm. „Dobro” — „zło”.

— To powiem dobitniej: żeby kapo, nim podniesie rękę na muzułmana, wiedział, że dziesięciu jego poprzedników zabito za to trepami, żeby kapuś, nim piśnie słówko, wiedział, że jego poprzednicy zdechli z niewiadomych przyczyn, żeby złodziej wiedział, że go uduszą głodni. Żeby większość więźniów miała głębokie przekonanie o możliwości, konieczności i skuteczności walki.

— Jutro idę do spowiedzi — zaśmiał się Marek. —

Ale coś w tym jest niewątpliwie. Więc jak będzie z nami? Zygmunt niech się zajmie sprawami organizacyjnymi, ja pomówię z polskimi wojskowymi, którzy tu rej wodzą, i z politykami.

Po zebraniu Zygmunt z Markiem wyszli na alejkę brzozową, biegnącą na skraju obozu, wzdłuż białego pasa ogrodzenia i ciągu drutów. Marka pozdrawiało wielu przechodzących więźniów, zbyt wielu, jak myślał Zygmunt, kroczący spokojnie obok towarzysza, zerkający na zielone czuby drzew po tamtej stronie.

— Będziesz miał kupę roboty — powiedział Marek. — Ciekaw jestem, co z tego wyjdzie.

— Co ma wyjść? Przykładam każdy odcinek dróżki do tej linii, która — jak mówiłeś — wiedzie w utopię, i sprawdzam, czy się zgadza. Przynajmniej, czy kierunek się zgadza. To, co tu robimy, jest dobre, powiadam ci. Przymierzyłem już. Ale nie filozofujmy. Po prostu boję się, czy się nam uda, zaczynamy bowiem bardzo późno, kiedy już wielu rzeczy nie da się naprawić.

Marek zawrócił, alejka się skończyła, esesman z wieży strażniczej wpatrywał się podejrzliwie w dwóch więźniów spokojnie spacerujących. Trzeba było się pożegnać. Po paru dniach Marek przysłał Zygmuntowi bezzębnego Bolka od dachdeckerów. Usiedli na sali chorych, na najwyższej pryczy, otoczeni obcym gwarem, smrodem gnijących ciał, ale bezpieczni.

— To ty to robisz? — zaczął Bolek. — No, z oczu d to nie patrzy, niech skonam.

Wiercił się niespokojnie, wypytywał o różne drobiazgi obo-
zowe, aż Zygmunt przerwał mu prosząc o podanie kilku

kontaktów na najważniejszych komandach. By! przygotowany do tej rozmowy, toteż kiedy Bolek, wahając się i klucząc, wymienił „swoich", określał dokładnie, z kim mają się porozumieć. Portrety, które szkicował, były wyraziste, dwóch ludzi Bolek rozpoznał od razu.

— Umiesz robić na drutach? — zapytał Bolek. — To też tak, oczko do oczka i nawet się nie spostrzeżesz, kiedy skarpeta gotowa. Robiłem, to wiem.

Zygmunt zrozumiał. Bolek przypadł mu do serca. Zjawiał się często w szpitalu, zawsze pełen dobrych wieści, przynosił czasem drobne podarunki, raz nawet przemycił tłustego karpia, zdobytego od więźniów pracujących przy stawach, wkrótce jednak wiadomości stawały się coraz groźniejsze. Był to okres intryg Żorża Galidze, niepokoju w Rajsku i w komandzie mierniczych.

Kiedy przyszła wiadomość o aresztowaniach wśród mierniczych i w Rajsku, o schwytaniu przez SS łączniczki, o ucieczce Spluwy, Zygmunt nie rozumiał jeszcze, jak wielki jest rozmiar afery. Bezpośrednio nie miał do czynienia z drogami łączności, wiedział jednak, że jest to pole działania doktora Jasia, Marka i zapewne jeszcze innych, nie znanych mu ludzi, wsyp zaś w obozie było tyle, że i tę gotów był uważać za zwyczajną. Marek rychło wyprowadził go z błędu. Sytuacja była poważna, trzeba było się liczyć z represjami, zwłaszcza że Spluwa, uciekając, podobno otruł posta; intryga Galidze zaś obliczona była na wykrycie całej organizacji. Marek nie mówił, jak dalece sam jest zagrożony, ale Zygmunt domyślał się, że liczy się z najgorszym. Towarzyszka, pracująca jako schreiberka w Politische Abteilung, donosiła Wiktorowi, że komendant wystąpił z wnioskiem o represyjną, za-

straszającą egzekucję zbiorową i że Berlin przychyla się do jego wniosku.

Zygmunt nie znał osobiście nikogo z aresztowanych, poznawał ich dopiero teraz z opowieści Bolka, z napomknień Marka. Szybko zaraził się niepokojem, niespodziewanie — skoro tylko owe postacie zagnieździły się w wyobraźni, skoro tylko ich losy połączyły się z sobą — poczuł się z nimi związany. Wyczuwał, że wiele zależy od Henryka Matuli, od jego za
chowania się w bunkrze, od postawy w czasie śledztwa. Wątpił jednak w możność przetrwania tortur, nikomu nie przyznawał tej siły z góry, Bolek zaś wyrażał się o Matuli co najmniej dziwnie. Zygmunt przypomniał sobie, że polecał mu Matulę Samek Rubin i że już wówczas zastanawiał go fakt, iż prosty człowiek, chłop niby, zna świetnie obce języki. Zapytał
oMatulę Marka.

— Widzisz, liczę się z tym, że i mnie mogą wciągnąć w kabałę — powiedział przyjaciel. — Więc może i dobrze, żebyś wiedział. Na wszelki wypadek. To dziwna historia. Znałeś przed wojną książki niejakiego Henryka Bednarka? Pisywał też pod pseudonimem „Baryka". Taka pseudofilozofia i pseu- dopolityka, ale chwytliwe, nie powiem. W kraju wydano niedawno jego broszurę, narobiła dużo szumu. To jest właśnie Matula.

Los Matuli zafrapował Zygmunta. Sam trochę pisał, trochę malował i rzeźbił, interesował się bardzo publicystyką, znał więc niektóre pozycje Bednarka-„Baryki". Był przekonany, że grozi mu śmierć, rozmyślał więc o nim raczej jak o postaci z książki, dopóki nie poznał Czarnego, którego doktor Jasio przyjął do szpitala na

prośbę Bolka, sfingował chorobę i naszpikował czymś, co wywoływało gorączkę. Miała go ocalić przed śledztwem. Od Czarnego Zygmunt dowiedział się więcej oMatuli, postać aresztowanego ożyła teraz i nie opuszczała go już.

Któregoś dnia spotkał przed blokiem obcego więźnia, dopytującego się natarczywie o Czarnego.

— W krankenbale leży Czarny z Rajska, a on kumpel mojego znajomka, co teraz w bunkrze siedzi, Henia Matuli — mówił. — Nie chcą mnie wpuścić, a muszę pogadać.

Zygmunt zaprowadził go do Czarnego, przy którego łóżku zastał małego dachdeckera, otwierającego właśnie puszkę francuskich konserw. Po numerze poznał, że są z jednego transportu.

— To Felek — przedstawił Czarny. — Weźcie go stąd, bo mi się rozbeczy. Pieprzy coś trzy po trzy, jakby mnie mieli rozwalić, głupi.

Łokietek przedstawił się grzecznie i zaczął snuć plany pomocy dla Matuli, kiedy jednak wymienił nazwisko Galidze,
Czarny krzyknął, by się wynosił natychmiast. Twarz mu pałała, oczy gorzały. Łokietek próbował jeszcze ofiarować sweter dla Matuli, jednak i to nie pomogło. Felek wyrzucił go na korytarz i przypilnował, by wyszedł z bloku.

— Przecież Czarnego i tak wezmą na przesłuchy — powiedział, kiedy Zygmunt wyszedł za nim. — Nic się nie da zrobić?

— Nic.

— Może, może... skończy się wojna, co? Przecież to możliwe. To byłoby wyjście.

Zygmunt nie odpowiedział. Żal mu było chłopca. Wszedł do sztuby Jasia, rudy doktor Szubert zaciągnął go do kąta i poczęstował prawdziwą wódką. I on nie widział żadnego sposobu zatrzymania Czarnego w szpitalu, jeżeli przyjdzie rozkaz odstawienia go na Politische lub na Jedenastkę.

— Ale Spluwa uciekł, uciekł — powtarzał. — Trzeba jak najwięcej ucieczek. A kapusiów dawajcie do szpitala. Załatwi się po cichu drani.

Rozdział dziewiąty

Więzienie w więzieniu, krwawy blok. W podziemiu długi korytarz odcięty kratami od klatki schodowej, zbudowany jest jak swoisty labirynt; równolegle do dłuższych ścian biegną cienkie mury z przejściami do naw, w których są drzwi cel. Część ich jest ciemna, część zaś wyziera małymi, zakratowanymi okienkami do betonowych wypustów, otwartych ku niebu. Podziemia nikt nie pilnuje, nie ma stąd ucieczki. Dziedziniec pomiędzy Jedenastką a Dziesiątką, gdzie teraz mieszkają Żydówki przeznaczone do eksperymentów, odgrodzony jest od reszty obozu wysokim murem, z dwóch stron bloku czuwają nad białymi ścianami i drutami strażnicze wieże. Wystarczy jeden esesman na parterze. Nikt stąd nie zbiegnie, bo i dokąd? Wydostawszy się z jednego więzienia znajdzie się w drugim. Na parterze w izbach tłoczą się kobiety i mężczyźni, cywile. Czekają na sąd doraźny z Katowic i na swą śmierć. W podziemiach siedzą więźniowie, prawic sami Polacy. Tu jest stehbunker, dobrze znany Henrykowi.

Orientował się w układzie bloku, znał wiele jego cech, które mógł teraz spożytkować, wiedział, że podziemie ma wyjątkową akustykę, co potwierdzało doświadczenie ostat-

nich godzin. Słyszał, jak ktoś w sąsiedniej celi oddawał mocz w kubeł, jak ktoś rozpaczliwie uderzał ręką w mur. Druga
cela obok wydawała się pusta i szumiała jak muszla, kiedy przykładał ucho do ściany. Było tak ciemno, że oczy stawały się bezużyteczne. Słuch je zastępował. Przed południem podpowiedział obraz otwieranej kraty i ogromnej postaci Kuby, prowadzącego dwóch więźniów. Szli szybko, by nadążyć za nim. Potem otwarły się drzwi sąsiedniej, pustej do tej pory celi. Był prawie pewny, że przyprowadzono kogoś ze sprawy, Czarnego, Kamińskiego, Romana, Muszkę lub Misia, czekał więc, aż podziemie ucichnie, potem zawołał Kamińskiego. Kapo odezwał się od razu. Był obok z Muszką. Rano wszystkich mierniczych zostawiono w lagrze, pięćdziesięciu paru zaprowadzono pod główną schreibstubę. Czekali wiedząc, że chodzi o ucieczkę Spluwy, spodziewali się dziesiątkowania, ale skończyło się na przemówieniu szefa Politische Abteilung, Grabnera, który zapowiedział koniec prac na terenach poza- obozowych i wzywał do zgłoszenia wszystkich kontaktów z ludnością. Mierniczych rozpuszczono nie pozwalając wychodzić poza obóz, a tylko Muszkę zamknięto. Kamińskiego aresztowano zaraz po rannym apelu. Dziwił się swemu aresztowaniu.

— Co się mogło stać? Nie wiesz? Nie przesłuchiwali cię?

— Jeszcze nie. Spluwy nie schwytali?

— Nie. Uciekli we trzech. Otruli posta. Ale co my mamy z tym wspólnego? Jakiś przypadek.

— Żorż.

— Nie wierzę!

— Już cicho! ; ^ ,

Rozmowa się urwała, gdyż ktoś złaził w podziemie łupiąc
podkutymi butami o schody. Henryk upewnił się, że siedzi przez Żorża Galidze. Niepokoiła go zwłaszcza wiadomość o otruciu posta przez Spluwę, fakt ten bowiem musiał zaostrzyć represje. Ale represje przeciw komu? Czy puszczenie wolno pięćdziesięciu paru mierniczych nie jest tylko manewrem gestapo, aby umożliwić agentom działanie? Henryk przypuszczał, że taki jest właśnie sens wydarzenia. W bunkrze szpicle mieliby utrudnioną robotę.

Chodził po celi, by rozprostować nogi. Przywykł już do ciemności, nie przeszkadzała, przeciwnie — pomagała skupieniu. Kubeł, siennik, drzwi. Niepokoił się nie o 'siebie, o ludzi, którzy teraz w lęku czekają, o Czarnego, o Jasia. Kubeł, siennik, drzwi. Rzucił się na siennik, usiłował myśleć
o czymś obojętnym, wyobrazić sobie ogród w Rajsku, warsztat, drogę z obozu, ale widział śniadą twarz warszawskiego chłopaka, czamą jego koszulkę, ale widział tylko ludzi, z których każdy mógł się znaleźć lada dzień w bunkrze. Głód jednak przepędzał wszystkie obrazy. Wykonał kilka ruchów napinając i zwalniając mięśnie. Czuł się silny i zdrowy.

W południe olbrzym Kuba otworzył drzwi. Schreiber, stojąc przy esesmanie, stukał chochlą w kocioł. Nabrał z dna samo gęste — krupy i jarmuż, nalewając zupę spytał głośno esesmana, czy dać pełną porcję tej kobiecie obok, którą przyprowadzono wczoraj w nocy.

— To dla ciebie—dodał dolewając zupy Henrykowi.

To dla niego wiadomość. Janina siedzi obok! Psiakrew,

żeby znać więzienny alfabet, można by postukać. Trzeba było ńczyć się w więzieniu albo wziąć lekcję od któregoś z komunistów, doświadczonych więźniów. Gdybym miał syna, uczyłbym go oprócz obcych języków i takich rzeczy. W święcie, w którym każdy może znaleźć się za kratami... głupstwa plotę. Takiego świata nie będzie po wojnie. Ale teraz alfabet przydałby się bardzo. Henryk przygotował sobie słowa, postanowił bowiem zawołać Janinę mimo ryzyka. Kiedy odezwała się na dźwięk swego imienia, powiedział, kogo aresztowano.

— Politische wie, że znam ich obu. Starali się o ciebie, zdradzili się ze znajomością. Ja nie sypnę nic. Czarnego nie ma. Słyszysz mnie?

— Słyszę. xMoja wina. Córka pewno nie zdążyła oczyścić mieszkania i wpadły jakieś listy. Moja wina.

— Nie. Szpicel. Kapo Galidze. Janina, nie znamy się.

— Dobrze.

Muszka, posłyszawszy glos Janiny, zawołał z sąsiedniej celi, ale Henryk uciszył go groźbą. I tak już zbyt wiele sobie pozwolili. W chwilę potem usłyszał kroki Kuby i blockführera na korytarzu.

— Los, los, madame, na górę verlegen, keine Angst, niks exécution. Zivilhäftlinge zusammen razem. Poniala?*

Kuba ryczał dobrodusznie. Opowiadano, że wieźli go osobno do gazu karetką sanitarną, zakutego, bo nie chciał się ruszyć z rampy, tylko krzyczał we wszystkich możliwych językach. Opowiadano, że rozbił sanitarkę, wyłamał drzwi i rozerwał kajdany, co tak zaimponowało eskorcie, że go przedstawili komendantowi jako osobliwy okaz. I tak się uratował. Garbus był gońcem na bramie,

bliźniaki wyłapywał SS-lekarz z transportów dla eksperymentów, olbrzymy i karły cieszyły się powszechnie względami załogi, więc i siłacz Kuba został kalefaktorem bunkra, wyprowadzał na rozstrzelanie, wieszał, jeździł nawet z dwoma leichenträgerami gdzieś po Śląsku służąc za kata gestapu. Teraz wyprowadzał Janinę na parter do aresztantów cywilnych, przemieszczał więźniów, opróżniał kilka cel piwnicznych. Potem powróciła cisza.

Krata bunkra szczękała tylko wówczas, gdy wnoszono jedzenie, i dopiero na trzeci dzień otwarła się w niezwykłej porze. Blockführer wepchnął do celi Henryka nowego więźnia.

— Dronkiewicz z rzeźni. Jest tu kto w tym ćmoku?

— Matula z Rajska.

— Poczekaj, poczekaj, to my się już znamy. Ze stehbunkra. Pamiętasz? Było wtedy ciasno i granda z Francuzem. Za coś wpadł?

— Nie wiem — odpowiedział ostrożnie Henryk. — Nie złapali mnie na niczym. Sam nie wiem.

Dronkiewicz zamyślił się, macał po ciemku ścianę, żeby być bliżej drzwi, usiadł oparłszy się o nie.

— U was wpadunek jak cholera, to ty nic nie wiesz? Rewizję zrobili u stolarzy w warsztacie, kapę zamkli i Muszkę. Muszkę znam, handlowało się z nim w rzeźni. Bo mnie nakryli na organizowaniu kiełbasy. Piąty razik już w bun- kierku, można powiedzieć, stały lokator. Stoję ci ja na korytarzu w Politische, a tu prowadzą kapę i Muszkę. Muszka włazi, słyszę, a tu Woźnica, on prowadzi sprawę, jak nie ryknie: „Skąd znasz Janinę Drążkiewicz". Nazwisko podobne, choć mnie przezywają Zydel, tom struchlał. Muszka powiada, że poznał ją w polu, przy robocie

vermesserskiej. „A dla kogo ten portfel? Do kogo pisałeś Janino?” Muszka powiada, że do niej. Potem go powiesili na huśtawce, bardzo brzydka
zabawa, ale nie krzyczał, choć na pewno kości trzeszczały. Potem to mnie wzięli i już więcej nie słyszałem. Baty mi dali. Co będziemy robić?

Henryk nie dosłyszał pytania, tak był zajęty ustawianiem w myślach faktów. A więc znaleźli portfel u Muszki! Jak? Zydel przypominał Łokietka, wydawał się jednak silniejszy, brutalniejszy, był starym więźniem, znającym obóz na wylot. Przywykł do niego, zrósł się z nim jak z oczywistością, na którą nie ma rady. Do życia odnosił się tak samo pogardliwie jak do śmierci. Brał wszystko „jak leci”, dobre i złe, nie bawił się w sentymenty, nie odczuwał grozy sytuacji, był więc pożądanym towarzyszem samotności.

— Żeby wpuścili jeszcze trzeciego, zagrałoby się w dupka. Bardzo dobra zabawa. Poznajesz faceta i hartujesz zadek. Tyś tego Spluwę znał? No, to zwal wszystko na niego. I tak go nie złapią, żeby nie wiem co. Jemu nic nie zrobią, a ty się wymigasz.

Zwalić winę na Spluwę? Co mógł o nim powiedzieć obciążającego, a jednocześnie odwracającego uwagę od siebie? Niewiele. Wszystko zależało od zeznań Kamińskiego, Muszki, od planu Galidze wykrycia głównych kontaktów.

Pięć dni minęło w spokoju, gdy nagle przez dwa następne sprowadzono do podziemnych cel dwudziestu kilku mierniczych. Kiedy schreiber lokował ich odczytując numery, Henryk rozpoznał numer Misia i młodszego Kamińskiego.

— Będzie bęc — powiedział Zydel. — Za dużo w bunkrze. Politische zrobi czystkę. Tak to już jest zawsze.

Henryk rozpiął spodnie i poprawił w kroczu pakiecik z trucizną. Jeszcze czas — pomyślał.

— A ty się nie boisz rozwałki, Zydel ?

— E, kiedyś i tak trzeba trzasnąć kopytami. Kropną, aj waj. Wielkie mycyje. Kto myśli o tym?

Tak, o tym nikt nie myśli naprawdę, nikt sobie nie wyobraża swojej śmierci; ona należy do innego wymiaru i nie mieści się w wyobraźni mimo wszelkich memento mori. Czy ludzie, wszyscy ludzie, gdyby naraz uświadomili sobie, że umrą, że nic z nich materialnego nie pozostanie, żyliby inaczej? Co, jaka siła każe im żyć, troszczyć się i kłopotać, cierpieć, walczyć o chleb, o zaszczyty, o pieniądze, o sławę, zdo-

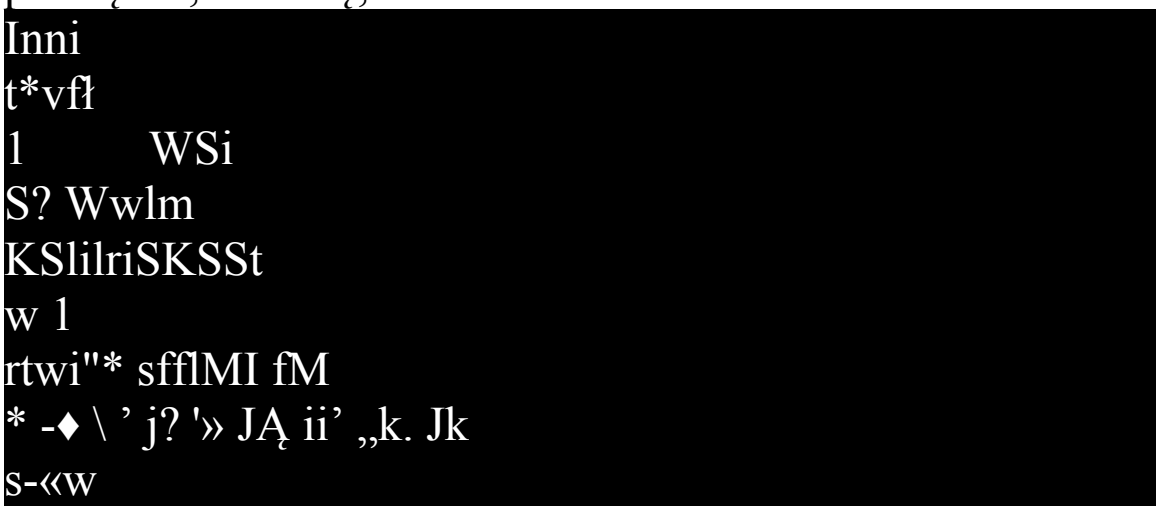

bywać, zabijać, rodzić? Instynkty? Czymże są one? Wkrótce mnie kropną, warto dojść do ładu z tym wszystkim. Przecież istniałem. Uczyłem się wiele lat, biedowałem. Pracowałem i zdobywałem wiedzę, zarabiałem pieniądze i pisałem, walczyłem na pióra i słowa, żeby było lepiej, kochałem, biłem się we Wrześniu. Mówiłem — to jest dobre, to złe. Czyniłem wybór,

przejmowałem się sprawami odległymi ode mnie o tysiące kilometrów i miliony istnień. Starałem się o to i owo, wyznawałem jakieś idee. Po co? W jakim celu? W jakim celu dzieje się życie? Henryk nie pierwszy raz zadawał sobie podobne pytania, teraz jednak brzmiały one inaczej. Czuł się przecież zdrowym, silnym i w pełni świadomym siebie, beznadziejność położenia ograniczała się jedynie do ostatniej afery, co do reszty, co do przyszłości obozowego społeczeństwa istniała nadzieja ocalenia i gdyby on do niego nadal należał, nie miałby powodu pytać o cel żywota. Tu jednak walka się kończyła, był sam, chociaż jeszcze powiązany kilkoma nićmi z ludźmi, którzy żyją w świetle dnia, poruszają się po równinie między Sołą a Wisłą myśląc może właśnie o nim: czy nie zdradzi. Przemyślał już wielokrotnie swoje życie, a jeśli ponownie wracał doń, to dlatego, że lubił wiedzieć. Nie, życie jednostki nie ma żadnego sensu, żadnego celu, żadnego znaczenia. W ogóle nie ma jednostki, nie ma pojedynczego indywiduum. Gdyby nawet cały świat wymarł nagle i pozostał tylko jeden jedyny człowiek na ziemi, nie byłby sam, nie byłby jeden. Nie, nie ma żadnego sensu życie jednostki, bo to abstrakcyjne pojęcie. Nie ma istnienia, jest tylko współ-istnienie. I to współistnienie trzeba organizować, nadać mu sens. Czy teraz umrę, czy nie, czy syprię, czy nie, to dla mnie, jako jednostki, nie ma żadnego znaczenia, skoro i tak muszę umrzeć, ale ma znaczenie dla Maryjki, dla towarzyszy.

Henryk godzinami siedział w zupełnej ciemności celi rozmyślając bez troski i rozpaczy. Były to godziny pogodne
i dające nawet dużo zadowolenia. Zydel nie przeszkadzał,

zabawiał się lepieniem z chleba figur szachowych, żuł ośródkę
i modelował po ciemku.

Jeżeli ludzie sami nadają życiu sens, stawiają sobie i innym cel, to trzeba, by ów sens i cel był zupełnym przeciwieństwem państwa oświęcimskiego, państwa SS. Komu niści, niechybnie komuniści. Ogniem i mieczem uprzątnąć ten świat, który wydał SS, który wydał wojny. Komunizm plus cywilizacja techniczna.

Zapalił się do tej myśli, usiłował zebrać wszystko, co wiedział o komunizmie, ale przyznał, że wie niewiele.

Zazgrzytał klucz w zamku, w półmroku korytarza zapłonęły żarówki.

— Raus !* — krzyknął Kuba. Blockfuhrer trzymał listę przy oczach i podkreślał ołówkiem numery. Henryka i Zydla zaprowadzono do celi po drugiej stronie krat, oświetlonej małym okienkiem. Dwunastu więźniów czekało w linii, pośrodku celi.

— Panie kapo, co będzie ? — szepnął pierwszy. Kuba nie odpowiedział. Trzymał drzwi otwarte, czekał na kogoś.— Achtung! — krzyknął wciągając ogromny brzuch. Zydel i Henryk ustawili się w szeregu, nie znali tu nikogo. Nadszedł lagerfuhrer, rapportfuhrer, Tygrys i szef Politische, Grabner. Tygrys trzymał w ręce listę z numerami więźniów i żółty ołówek. Pierwszy meldował się Zydel. Za organizowanie w rzeźni. Potem Henryk. Powód nieznany, ale do dyspozycji Poliusche Abteilung. Tygrys szybko przejechał ołówkiem po liście, spojrzał na Grabnera. Reszta więźniów podawała po kolei numer i powód aresztowania. Kradzież margaryny. Gryps na wolność. Buntowanie więźniów i wyśmiewanie Hitlera.

Sprzedaż cywilom cementu. Przygotowywanie ucieczki. Sprawy z wolności — podejrzenie o udział w AK. Broń. Kradzież ziemniaków z pamika dla świń. Odmowa podpisania volkslisty. Schwytany na ucieczce. „Ja jestem niewinny”. Pobicie kapo.

Dziesięciu wyczytał z listy Tygrys. Wychodzili na korytarz pochylając na progu głowy, jakby drzwi były za niskie. Po chwili Grabner zawołał trzech pozostałych. Henryk, Zydel
i akowiec dołączyli do stojących między kratami, podali numery pisarzowi blokowemu, podczas gdy ekipa władców lustrowała następne cele. Trzaskały drzwi, rozbrzmiewały po korytarzu niemieckie cyfry, rosła grupa u schodów. Czame oczy schreibera Jedenastki utkwione były w Henryku. Po-
I
trząsał przecząco głową, pokazywał swoją kartkę, unosił barki, a jednocześnie brwi na znak bezradności.

— Powiem ci, kiedy — zdołał szepnąć. — Nie bierz jeszcze.

Właściwie co za sens truć się przed rozstrzelaniem? Co innego, gdyby groziły tortury nie do wytrzymania. Ale teraz? Kula jest szybsza, mniej bolesna. Henryk ścisnął zapotniałe uda. Czuł guzek pakieciku z cyjankali. Wiedział, że nie było jego numeru na liście, że Grabner na własną rękę wyciągnął go i dwóch pozostałych z celi, by rozwalić. Akowiec, z numerem wskazującym, że dopiero co przybył do obozu, podciągnął rękaw i zerkał na wytatuowane na przedramieniu cyferki, powtarzał sobie ich niemiecką nazwę, nie chciał się pomylić. Nie wie, dokąd idzie. Zydel stał, obojęmy i spokojny, pogodzony z losem, ale wśród

reszty wybranych krążył strach, wdzierał się do serc, szarpał mięśnie. Milczeli, jednak ten strach krzyczał w nich głośno, przyspieszał oddech, zaciskał gardła, z których wydobywało się ciche rzężenie. Esesmani powrócili z obchodu.

— Który jest od ogrodników ? — zawołał kierownik obozu. — Marsz z powrotem do celi! Reszta na górę!

Kuba chwycił Henryka za ramię, pchnął ku kracie, gdy wtem podziemiem targnął ostry krzyk więźnia, potem strzał rewolwerowy. Kuba przytulił się do ściany, chciał się spłaszczyć, wniknąć w wewnętrzny mur; puścił Henryka. Jakiś więzień biegł ku nim poprzez żółtawe światło żarówek, skręcił w przejście między wewnętrznym murkiem a ścianą drzwi. Gwizdnęła kula, ale nikt go nie gonił.

— Kuba! Przyprowadź! — krzyknął zza kraty blockfuhrer.

Olbrzym dygotał. Trzymając jedną ręką Henryka sunął pod
ścianą wołając śmiesznie wysokim głosem:

— Kim, kim! Sortez!*

Akowiec stał oparty o mur, w zaciśniętej dłoni trzyma! krótkie ostrze, drugą ręką gładził zakrwawioną bluzę. Osuwał się właśnie, gdy podbiegł Kuba.

— Nóż! Uj, skąd on ma nóż? — zawołał olbrzym.

Wezmą go do szpitala, dadzą zastrzyk, żeby powiedział, skąd ma nóż, i będą męczyć, żeby wyśpiewał tę głupią tajemni-

}£%mKv W0ĘSfM^

cę. I wpadnie schreiber, że nie odebrał, i ten, kto nóż dał. A jego i tak rozwalą — Henryk sięgnął po cyjankali, ale Kuba

był szybszy. Chwycił zbroczonego krwią chłopca za gardło, ścisnął, potem uniósł go lekko i zaaportował esesmanom martwego. Wrócił, by wpuścić Henryka do celi, i pobiegł z powrotem. Czekała go praca przy wyprowadzaniu skazańców.

W jasnej, pustej celi Henryk był sam. Nie patrzył w okienko. I tak ujrzałby co najwyżej prostokącik nieba. Było cicho, nikt ze skazańców nie wznosił okrzyków. Wybiegali zapewne czwórkami, bo już wkrótce na parterze rozległy się klątwy rapportfuhrera. Skończył rychło robotę. Będą mnie trzymali jak zająca za oknem, żebym skruszał, i tak już ustrzelony — myślał wydrapując paznokciem krechę na porysowanych drzwiach. — Trzeba założyć kalendarz, czas się cholernie plącze. Obok krechy fioletowiał wyrobiony chemicznym ołówkiem kontur polskiego orła, trzymającego w szponach dwa znaki, swastykę oraz sierp-i młot. Sierp i młot ktoś zresztą zamazał pisząc pod spodem po rosyjsku STALIN. „Idziemy za AK". „Dulce et decorum est pro patria..." Nie zdążyli dokończyć napisu. „Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę". Henryk uzupełnił maksymę, wyrył nad swym kalendarzem numer obozowy.

„Galidze wsypał vermesserów" — wydrapał jeszcze, ale krew się' puściła z palca, więc zaprzestał roboty.

Dopiero po tygodniu wyprowadzono cele kolejno do mycia. Umywalnia mieściła się na parterze, przy bocznym wyjściu z bloku, i służyła zwykle za przedsionek śmierci, stąd bowiem wyprowadzano rozebranych do naga skazańców na dziedziniec. Przy zakratowanym oknie wisiał jeszcze na gwoździu szary koc-zasłona, w kącie stały blaszane mary. Bunkrowcy myli ręce i twarze gliniastym kawałkiem zielonego mydła i rudawą wodą, która barwiła

koryto. Kuba pilnował ciszy, jednak nie mógł słyszeć szeptów, ginących w bulgotaniu wody, prychaniu więźniów, szurgotaniu nóg. Henryk, ujrzawszy Kamińskiego i Muszkę, przepchał się do nich i zapytał, co zeznali. Kamiński przyznał się byl do znajomości z Janiną, nie mógł inaczej postąpić, skoro Politische wiedziało, że usiłował ją bronić. Powiedział, że brał od Janiny czasami

jedzenie, jeszcze w komandzie pomiarowym, że poznał ją w czasie roboty. Z Muszką było gorzej, złapali przy nim portfel i list do Janiny. Ktoś musiał dać znać o tym portfelu.

— Przepraszam cię — szepnął Kamiński. — Miałeś rację. To Żorż.

Czarnego nie było w bunkrze, Kamiński zapewniał, że Żorż ma go za nic, sądził jednak, że Henryka będą badać i konfrontować z Czarnym.

— Muszka, a ty? Coś zeznał? — spytał Henryk.

— Gówno. Ciebie to nie dotyczy.

— O niczym nie wiedziałeś — podał Kamiński.

— Ruhe! Ruhe! Silence! Małczać!*— nawoływał Kuba klepiąc łydki krótkim bykowcem. Kiedy bunkrowcy opuszczali umywalnię, by pójść na piętro do fryzjera blokowego, wypatrzył Misia i uderzył go rączką bykowca w twarz. Rudy zaskowyczał z bólu, zasłonił się ręką,

przysiadł i gdy powtórny cios spadł na palce, wyrwał bykowiec. W tej jednak chwili olbrzym uniósł mierniczego i cisnął w koryto umywalni.

— Co ty się rzucasz na Kuba? Jebana swołocz!

— Nie bij go! — powiedział Henryk widząc, że olbrzym gotuje następny cios. Rudy Miś zachowywał się w umywalni spokojnie, z pewnością Kuba bykowcem i klątwami chciał wyrazić coś, czego mu nie wolno było powiedzieć o Misiu, chciał ostrzec przed nim.

Koledzy wydobyli Misia z koryta, pchnęli ku drzwiom, zasłonili przed Kubą. Zdusił akowca jak kurczę — wspomniał Henryk. Zrobiło mu się nieswojo. Jestem jedynym świadkiem, może i mnie wykończyć. Ale Kuba uśmiechnął się do niego, o ile to był uśmiech.

— Charaszo, charaszo, boss** — powiedział. — W szachy grasz?

Jest noc, ziębną mury, chłodne powietrze wpada nieszczelnym oknem. Przyjemnie. Pewno gwiazdy wyszły na niebo. Koło okna jasna smuga światła. Na parterze modlą się głośno cywile, słychać cienki głos kobiet. Tam gdzieś siedzi i Janina. Henryk widzi ją taką, jaką ujrzał pierwszy raz ze Spluwą. Ogarnia go zazdrość, kiedy wspomina jego ucieczkę. Śpi pewno
teraz w kryjówce, z rewolwerem pod głową, obok dwaj towarzysze. Jutro zbudzi się i... Wyobraźnia nie nasuwa żadnego więcej obrazu. Co może robić Spluwa na wolności? Prawdopodobnie pokieruje akcją pomocy obozowi, znajdzie dziesięć innych dróg, połączy grupy konspiracyjne z terenu przyoświęcimskiego, pojedzie do Warszawy i nakłoni władze podziemne do szybkiego działania, napisze może wspomnienia, które ukażą się w broszurze

konspiracyjnej. Będzie chodził dobrze sobie znanymi ścieżkami i bezdrożami, organizował ucieczki, montował bojówki. Jest wolny, choć w kraju niewoli; wolny, bo może działać.

Ktoś otwiera kratę podziemia, stąpa cicho po korytarzu, podchodzi pod drzwi i ostrożnie przekręca klucz w zamku.

— Sza!

To Kuba. Pod bluzką ma pudełko z szachami z chleba, ręcznie rysowaną szachownicę i kilka kanapek. Szachy są roboty Zydla, chleb podał „jeden człowiek", Kuba nie chce wiedzieć, kto. Mięso zjadł, ale chleb jest nie obozowy, wiejski, pachnie czarnuszką. Kuba rozkłada na podłodze szachownicę, ustawia w księżycowym świetle figury. Oto król: ma hełm polskiej piechoty miast korony i ogromny rewolwer, oto królowa: kobieca głowa z długimi włosami, laufry wyobrażają postacie psów, skoczki są ślimakami, wieże — wieżami strażniczymi. Dziwaczne figury. Ścielą długie, wątle cienie na polach szachownicy.

— Weiss, schwarz?*

' — Czarne — mówi Henryk ustami pełnymi chleba. Kuba wychodzi dwoma pionkami. Pionek. Skoczek.

— Rudy sypie. Vorsicht!** Znasz ty Kowel, a? A pod Kowlem | peu pres*** wiorst dziesięć, Manycze? Ja stamtąd.

— Nie znam.

— Schade****.

Kuba milknie, jest wyraźnie rozczarowany. Schreiber ani fryzjer też nie znają Manycz, nikt ich nie zna. Dziwni ludzie.

Pcha pionki naprzód, odsłania laufry. Psie ich pyski oświetla niebieskawe światło księżyca. Henryk obmyśla

atak, ale jednocześnie planuje: Uskoczę w kąt, gdzie ciemniej, walnę pokrywą kibla. Zobaczymy. Partia rozgrywa się w zupełnym milczeniu, Kuba zdaje się być pochłonięty grą, umyka atakowi, robi roszadę. Niewygodnie mu siedzieć na ziemi, zawadza brzuch. Czuć czosnek. Henryk kładzie do ust ostami kęs chleba, wyczuwa zębami coś twardego, popycha językiem między zęby a policzek. Kuba nagle zmiata ruchem ręki wszystkie szachy, ziewa przeciągle i wstaje.

— Basta!

I wychodzi. Ma na nogach grube pantofle z filcu, wyszywane na czubkach błyszczącą lacetą. Stara się stąpać cicho
i lekko, a jednak podskakują na szachownicy figury ślimaków, psów, królów w hełmach polskiej piechoty. Przy końcu korytarza są stehbunkry. Podchodzi ku nim, nasłuchuje, niepewnie przebiera klucze jak ziarnka różańca. Zawraca jednak. Przed którąś z cel przystaje. W celi siedzi samotna kobieta w cywilnej sukience. Mówi poprawnie po niemiecku z twardym akcentem:

— Czego chcesz? Przenieś mnie na górę!

Henryk słyszy jej wyraźny, ostry głos, potem mruczenie Kuby.

Rano rysuje nową kreskę kalendarza. Kuba ma policzki poorane paznokciami, zmatowiałe oczy. Wyciąga pełny kubeł z celi, wynoszą go kalefaktorzy, nalewa kawę. Jest słodka, kuchnia wie, dokąd miała pójść ta beczka. Kiedy krata zamyka się za obsługą, Henryk wyciąga ebonitową rureczkę, zalepioną z obu końców chlebem, i ostrożnie wydobywa karteczkę papieru. „H. napisał do Beri. o rozkaz zdziesiątkowania verm. Ciebie nie łączą ze Spluwą. Mają

list Ż i S. Sypie Miś. Chcą dojść, kto z wolności. Czarny bezpieczny, u nas w HKB. MS spokojna. Dalej tą drogą".

Henryk wrzuca karteczkę i rurkę do kubła. Komendant Hoess chce rozwalić mierniczych, Politische ma list Galidze
i dolary, zapewne o nich wspominał Kamiński, ale gdzie je znaleźli? Kamiński przepadł, bo cóż powie? Że dostał od Galidze? Musi przyznać, że miał możność przesyłki na zewnątrz, do tajnej organizacji. Wiadomość o Czarnym i Maryj-
ce jest pocieszająca. Opiekują się nimi towarzysze. Czarnego wzięli do szpitala. Jest więc nadzieja. Zapewne kierownictwo obozowej konspiracji zrobi wszystko, by ocalić swych współpracowników z wolności! Nadzieja?

Mijają wolno dni samotności. Czternasta kreska w kalendarzu. Znikąd wiadomości. Wyprowadzają cele do mycia, jest Kamiński i Muszka.

— List i dolary były u ciebie w warsztacie, ale ty nic nie wiesz — szepce Kamiński. — Z nami koniec. Żorż był na konfrontacji. Jest ofensywa?

Henryk kiwa przecząco głową. Nie wiadomo, co się dzieje na froncie. Próbuje wybadać Muszkę, o co go pytali, ale mierniczy nie odpowiada.

To śmieszne. Żyć wśród stu tysięcy więźniów w samotnej celi. Dziwna wyspa — myśli Henryk. Żal mu drobnych, zwykłych radości i smutków, jakie przeżywają komanda, nie cieszy go pogoda, nie trapi deszcz, nie wyczekuje, jak długo potrwa apel. Broni się przed przyzwyczajeniem, przed pogodzeniem się z istnieniem już nie zwierzęcym, lecz roślinnym prawie, ale czuje, że z wolna, nieuchronnie staje się częścią celi, rośliną, która tu

rośnie do czasu, regularnie odżywiana, czasami wynoszona na deszcz umywalni.

Dwudziesta piąta kreska w kalendarzu na drzwiach celi. A więc już blisko połowa czerwca. Trzynastego. Feralny dzień. Henryk nasłuchuje kroków na korytarzu, zbliżają się ku niemu. W drzwiach staje Tygrys. Raus! Krata, schody, korytarz; kierują się w lewo, nie na dziedziniec. Tygrys wsiada na rower, Henryk biegnie za nim, nie może złapać tchu, nogi odmawiają posłuszeństwa. Na pustej arterii obozu nie widać żadnego więźnia, tylko przed kuchnią stoi Kalafior. Zdejmuje czapkę, mruga zaczerwienionymi oczyma. Niski barak drewniany opodal krematorium. Ze środka dobiega klekot maszyn do pisania. Długi korytarz.

— Słuchaj, Matula, wiem, żeś nie winien temu, co się stało — odzywa się słodkim głosem Woźnica, esesman z I\>- litische. Mówi po niemiecku, choć doskonale włada polskim. — Wszystko zrobię, żeby ci pomóc, ale mów prawdę. Masz niewielką sprawę i możesz zasłużyć na zwolnienie. Mów, jak to naprawdę było.

Henryk stoi przy biurku, wyprostowany, wpatrzony w gęsto zapisany arkusz papieru. U spodu znajduje się numer obozowy Misia i jego podpis. Wyraźnie wykaligrafowany. Obok przez otwarte drzwi widać więźniarkę przy maszynie. Odwrócona jest' tyłem, czarne włosy błyszczą na karku.

— Nie wiem, o co chodzi i dlaczego jestem aresztowany — mówi Henryk. Woźnica skradającym się krokiem wyłazi zza biurka, daje znak Tygrysowi. Trzcina chłoszcze pośladki. Genug !*

—Mów prawdę, Matula!

— Nic nie wiem. Proszę pytać. Jeżeli będę co wiedział, powiem.

Trzcina. Ale Henryk stoi ze zwolnionymi mięśniami, więc mało boli, materiał spodni osłabia razy.
—Ja naprawdę nie rozumiem, o co chodzi. Proszę pytać.
Woźnica przegląda protokoły zeznań. Jest ich wiele, bardzo wiele. Wybiera kilka, składa, puka brzegiem papierków o płytę biurka:
—Jak to było z tym portfelem?
A, więc to tylko złoto i żarcie. Dobra. Pierwsze pytanie jest łatwe, wie bowiem, że Muszka przyznał się do złota i że tej sprawy nie da się wygrać.
—Jaki portfel?
— Ten, który Białoń — Czarny przyniósł do ciebie do warsztatu.
— Nie wiedziałem o portfelu. Czarny też nie wiedział, co przenosi, Muszka dał mu w obozie. Dopiero jak w warsztacie rozwinął paczkę, zobaczyłem, że jest w niej portfel. Ale co w nim było, nie wiem.
—Dlaczego nie zameldowałeś o tym?
— W obozie nie sypie się kolegów o byle głupstwa. Taki obyczaj. Przecież to nie było nic złego.
Woźnica zagląda do zeznań, widocznie zgadzają się ze słowami Henryka, widocznie Kamiński i Muszka rzeczywiście oszczędzali go w zeznaniach, bo esesman daje spokój tej kwestii.
—Co miałeś schowanego u siebie w warsztacie?
—Trochę żywności.
—Skąd?
— Z paczek. I z zarobku. Robiłem różne rzeczy dla kapów i blokowych jako stolarz. Zarabiało się trochę.
Cisza. Schreiberka w przyległym pokoju siedzi nieruchomo, widać jej czerwone, prześwietlone słońcem

ucho pod czarnym kosmykiem włosów. Fartuch biurowy błyszczy niby czarna blacha. Cisza. Jakie będzie następne pytanie? Cisza.
— Gdzie spotykałeś się z Janiną Drążkiewicz? — pyta spokojnie, łagodnie Woźnica.
— Przecież się robi na strzeżonym terenie i tam nikogo nie wpuszczają obcego, a w nocy byłem w obozie. Nie mogłem się z nikim obcym spotykać. Nie wychodziłem z ogrodu bez pośta.
Henryk usiłuje nadać głosowi równie spokojne, łagodne brzmienie jak Woźnica, unika rzadkich wyrazów, namyśla się przed każdym słowem, czasem celowo myli rodzajniki... Wszystko obmyślił, nie boi się zaskoczenia, czemuż więc drżą kolana? Wie, że teraz pytania będą ściślejsze, ostrzejsze. Jakie?
— Słuchaj, Matula, jesteś przecież rozsądnym człowiekiem, sam przed obozem handlowałeś nielegalnie, masz doświadczenie. Gestapo nie ma w stosunku do ciebie większych zastrzeżeń. Mógłbyś wrócić do domu. Chodzi tylko o to, żebyś sobie przypomniał, co wiesz o kontaktach mierniczych, których znałeś, którzy przychodzili do Rajska, z osobami spoza obozu. Na pewno wiesz, jak to się odbywało, skąd brali żywność, od kogo. No, na przykład Kamiński i ten, jak go nazywacie, Muszka. Albo inni. Dawali czasem jedzenie, prawda?
—Czasem, chleb i kiełbasę.
— Jaką kiełbasę? Jak wyglądała? Przypomnij sobie.
Idiota, chce mnie złapać. Henryk opisuje wygląd obozowej kiełbasy.
— A chleb był oczywiście z masłem, no i czasem jajka?
— Masła ani jajek nie było. Zresztą ja ich mało znam.

Muszkę i Misia.
— Codziennie przychodzą do warsztatu do ciebie. Dlaczego akurat do ciebie! -—krzyczy Woźnica. Tygrys wali trzciną po głowie, piecze skroń. Henryk tłumaczy, że obaj przychodzą do warsztatu po kołki, które zamówił Wujek.
— Kłamiesz! Nauczymy cię śpiewać prawdę! U ciebie była melina tych bandytów. A to znasz?!
Złoty zegarek damski z bransoletką, wysadzaną brylanci-kami. Koperta w kształcie podwójnego serca, złoto ciemne 0 czerwonawym poblasku. Tygrys nachyla się nad cackiem, wyciera palce w spodnie i dotyka kamieni.
—Tysiąc marek wart. Cudo! — mówi. — Znasz to? Co?
—Musi znać — odpowiada Woźnica.
Zegarek ofiarował Kamiński za zwolnienie Janiny. Galidze złożył go jako dowód rzeczowy, ale ja zegarka przecież nie widziałem i nikt nie mógł zeznać inaczej.
—Nie znam. Nie widziałem tego zegarka nigdy.
Woźnica znowu przegląda zeznania, twierdzi, iż koledzy oświadczyli, że Matula zna zegarek, że wespół z Kamińskim ofiarowali go na przekupstwo esesmanów. Sam Kamiński tak zeznał. Kłamie, kłamie — cieszy się Henryk słysząc zapewnienia Woźnicy. — Nie ma dowodów przeciwko mnie i kłamie.
— Nieprawda. Nie widziałem nigdy tego zegarka — po-wtarza spokojnie, ale w tej chwili Woźnica wyciąga z szuf-lady kawałek drzewa wydrążony w środku i zbity gwoź-dziami. Tak, to zepsuty klocek z warsztatu. Woźnica roz-dziera palcami drzewo. Wewnątrz błyszczy złoto, obrączki 1 pierścienie, koperta męskiego zegarka, brosza, dwudziesto- dolarówki.

—A to znasz? U ciebie znaleźliśmy przecież, w warsztacie! Prowokacja, prowokacja. Galidze schował przy Kamińskim i Muszce, kiedy przyszedł w sprawie Janiny. Byłem na obiedzie. Czy Kamiński wciąga mnie w tę historię, oskarża o współudział, czy sam Żorż? Przecież Kamiński uprzedzał!

— Co to jest? Taki majątek, Jezus! Ja bym tak nie zrobił. Mogli zakopać albo zrobić skrzyneczkę z podwójnym dnem. Kto to zostawił w warsztacie?

Woźnica patrzy wyblakłymi oczyma i mówi nagle po polsku:

— Albo strugasz wariata, albo cała ta stolarska buda to sami kretyni. Oni cię sypią, a ty co?

Wola schreiberkę z maszyną i dyktuje protokół. Dziewczyna ma ciemną twarz, na policzkach rumieńce. Ukradkiem zerka na Henryka i natychmiast opuszcza oczy. Jest niemiecką

Żydówką. Nie, nie porozumie się z Matulą, ponieważ Tygrys nie spuszcza z niej oczu.

Wszystko jest lepsze od oczekiwania. Henryk z radością przyjął przesłuchanie, z jeszcze większą — świadomość, że jest zdolny i do takiej walki. Błogosławi siły ciała, które pozwalają żyć myślom. Nie skruszał więc, nie zmiękł. Czeka całą noc na dzień następny przygotowując się sumiennie do rozprawy. Zapewne pytać go będą o sprawy ogólniejsze, polityczne, zapewne potoczy się sprawa zasadnicza: zgody na obóz sam, na reżim SS. Są tylko dwie możliwości. Albo Woźnica uzna go za półgłupka, a wówczas ograniczy się do tego, co wie od Galidze, albo spostrzeże grę i traktować go będzie poważniej, a wówczas musi rzucić argumenty zasadnicze, polityczne. Henryk jest

pewien, że tak się stanie, gotuje się więc do rozprawy, jakby toczyła się jeszcze w więzieniu. Nie ma nic do stracenia w tym wypadku i postanawia nie bronić się, lecz oskarżać. Lekceważenie gestapowca trochę przecież boli.

— Pójdziesz do fryzjera i dostaniesz nowy pasiak — mówi nazajutrz blockfuhrer prowadząc Henryka na górę. W przejściu schreiber daje znak,[1] żeby się trzymał. Dobrze. Będę się trzymał, ale po co ta ceremonia? Cóż ma oznaczać troska
o mój wygląd? Henryk ze zdumieniem czuje na twarzy wodę kolońską.

— Kamiński dostał tydzień stehbunkra z głodówką. Nie wytrzyma. Tydzień bez żarcia, ciężka rzecz, ciężka. Dziś idzie na przesłuchy. Będzie wszystko sypał.

Gorący szept fryzjera tuż przy uchu. Kuba przynosi bieliznę i nowiutki pasiak, trochę za mały. Trzeba ostrożnie wdziewać, by nie odlepił się pod moszną leukoplast. Fryzjer ma całą szpulę. Kiedy odwraca się na chwilę, Henryk kradnie różowy pasek i chowa do kieszeni. Przylepi później. Jeszcze bowiem nie czas.

Na korytarzu czeka Kamiński i Muszka. Kamiński opiera się czołem o ścianę, drżą mu plecy, a cienki pasiak, rozdarty od pośladków do pięty, odsłania dygoczące łydki. Przy przeciwległej ścianie tkwi Muszka. Jest zgarbiony, ramiona bezwładnie zwisają z tułowia. Potem nadchodzi szybkim kroczkiem Miś, ustawia się twarzą do ściany o kilka kroków od

Henryka, obrzuciwszy go wpierw zdumionym spojrzeniem, podciąga opadające spodnie, poprawia bluzę. Henryk nie żałuje nikogo z nich, nawet Kamińskiego. Chłodno myśli,

że ponoszą karę za własną winę, jakkolwiek wie, że przeszli tortury.

Idą przez obóz. Dwaj Grecy zamiatający ulicę czmychają na ich widok, Kalafior znów stoi przed kuchnią i odprowadza wzrokiem czwórkę więźniów. W baraku Politische jest już Czarny, doprowadzony ze szpitala, ale nie można się z nim porozumieć, bo Tygrys rozstawia bunkrowców co trzy metry, twarzą do ściany. Czarny! Wprowadzają go pierwszego, idzie zamaszyście, słychać zza drzwi jego głos meldujący przepisowo numer. Henryk przewidywał, że dojdzie do tego spotkania, przygotował odpowiedzi, jednak nie mógł wiedzieć, jak postąpi przyjaciel. Dlaczego dopiero teraz biorą go w obroty? Czarny, kochany, trzymaj się — myśli, jak gdyby mógł sugerować mu cokolwiek na odległość kilku metrów. Natęża słuch, Czarny jednak zeznaje cicho, przez tłumacza. Po chwili słychać uderzenia trzciny w gołe ciało. Owo klaskanie Henryk zna dobrze. Stoi z zaciśniętymi zębami, traci spokój i chłód. Jęk. Co oni z nim robią? Słupek*? Nie, to coś innego! Jęk zduszony i głuchy, z głębi trzewi.

— Matula!

Henryk wchodzi do pokoju, w którym ze spuszczonymi portkami stoi Czarny. Po łydce chłopca ciecze wąziutki strumyczek krwi.

— Powiedz, czy on przeniósł portfel? — pyta Woźnica i czyta zeznanie Muszki. „Rano na bloku dałem pakiet Czarnemu...”

Henryk staje na „spocznij”, swobodnie, i prosi, by mu pozwolono zwrócić się wprost do Czarnego, przekonać go.

— Dobrze — mówi po polsku Woźnica. — Gut.

— Czarny, oni wszystko wiedzą o głupiej paczce Muszki, nie ma sensu wypierać się tego, o czym i tak wiedzą. Czarny, dla tej paczki nie ma co cierpieć. Zrozum mnie dobrze. Oni wiedzą o paczce, przyznaj się do niej, przecież nie wiedziałeś, co przenosisz. Paczka to głupstewko — mówi Henryk
starając się, by Czarny zrozumiał, że sprawy organizacyjne nie są zdradzone, że sprawa portfelu nie ma z nimi związku, że należy chronić tajemnicę organizacji choćby kosztem spraw, o których Politische wie, i że nie należy uporem i milczeniem nasuwać podejrzeń, iż za sprawą portfelu kryje się coś więcej niż gałgański handel Muszki. Powraca mu chłodny spokój.

Czarny uśmiecha się wzgardliwie, przypuszcza, że Henryka zmuszono torturami do takiej gadki, że sypie.

— Nic nie wiem o portfelu — mówi tłumaczowi. Ten rzuca go na pusty stół i bije w nagie pośladki. Żółte i fioletowe pręgi. Woźnica kładzie na stole maszynkę do zaciskania palców.

— Proszę mi jeszcze raz pozwolić przemówić do niego — odzywa się Henryk. Wie, że to kres, że więcej bicia nie wytrzyma, uzmysławia sobie, iż poprzednio słyszane jęki wywołała maszynka. Czarnemu pod wpływem bólu może się wyrwać coś ważnego, co naprowadzi Woźnicę na ślad daleko ważniejszy niż sam Czarny i stojący na korytarzu koledzy. Tego śladu nie wolno pokazać, skoro nie pokazała go Janina.

— Czamy, mnie nie bili, wiedzą o paczce, uwierz mi, Czarny.

Czamy staje tyłem, by nie mógł porozumiewać się wzrokiem z Matulą.

— Przypominam sobie — zaczyna wolno — kiedyś Muszka dał mi paczkę, żebym dal Matuli. Ale nie wiedziałem, co w niej. Myślałem, że... mydło, bo Matula prosił Muszkę o mydło już dawniej. Później paczkę odebrał Muszka...

Woźnica rozkazuje wyprowadzić obu przesłuchiwanych, wzywa Muszkę. Henryk staje na drugim końcu korytarza, patrzy w sękatą deskę ściany. A jeśli Kamiński sypnie? To niemożliwe. A jednak może się ratować, powiedzieć, kim jestem. Wie o trasie. Wie o bibule, nie tylko o żywności. Zna Janinę. Pracował ze Spluwą. Gadał z Galidze. Kątem oka widzi policzek Kamińskiego, zarośnięty, siny. Powinien rzucić się na Woźnicę, dostałby kulkę i spokój. Nie wypłącze się przecież, pogrąży Janinę.

Minął nieokreślony czas, nim zawołano do gabinetu Kamińskiego, zaś w chwilę potem tłumacz popędził po wodę.
237 i' <■ \
Henryk stoi nadal pod ścianą i spokojnie sumuje wnioski. Jak dotychczas — trop jest nadal urwany, nie wiadomo jednak, co zeznali vermesserzy. Gdyby nie interwencja Kamiń- skiego, Janina mogłaby się wyprzeć kontaktu. Mogła przecież wpaść niezależnie od intrygi Galidze.

Nareszcie nadchodzi koniec. Tygrys prowadzi do gabinetu Woźnicy, gdzie znajduje się Kamiński. Kapo ma otwarte usta, widać pokąsany z bólu język. Twarz mokra, bluza mokra, dzbanek z wodą stoi na biurku, biały, porcelanowy, z niebieskim napisem „Morgenstunde hat Gold im Munde”*. Można patrzeć na kolegów. Woźnica wstaje i mówi serdecznie:

— Jesteście młodzi, całe życie przed wami, nie powinniście go lekkomyślnie tracić. Stawiacie mnie w

trudnej sytuacji, bo odmowa przyznania się powiększa waszą winę, i tak nam wiadomą. Musicie wybrać, czy warto wam dla jednego zeznania iść na szubienicę. Chciałem was ratować, jesteście stare numery, dużo rozumiecie.

Milczenie. Słychać tylko sapanie Kamińskiego.

— Mam zezwolenie na powieszenie was wszystkich. Nie chodzi nam o trochę złota czy jedzenia, o przekraczanie przepisów. Od tego są panowie z komendantury. Chodzi o organizację podziemną, która kontaktuje się z obozem. Wiem, że do niej nie należycie, tym bardziej powinno wam zależeć, by winni waszych cierpień ponieśli karę. Przecież, jako stare numery, wiecie, że my w końcu każdą aferę wykrywamy. Słucham was...

Milczenie. Woźnica wyciąga z biurka list, wznosi w górę jak ksiądz hostię, czyta po polsku:

„Do polskich patriotów na wolności i naszych opiekunów! Korzystając z kontaktu, bohaterskim wysiłkiem naszych i waszych ludzi utworzonego, przesyłam — drobną na razie — sumę na rzecz wdów i sierot po rozstrzelanych w obozie Polakach. Proszę ją wręczyć szefowi siatki z prośbą, by dotarła do władz naczelnych. Tą samą drogą poślemy wkrótce znaczne sumy. Proszę o skomunikowanie się w tej sprawie z panem Kamińskim, wtajemniczonym w akcję, przez ogrodników lub drużyny pomiarowe".

— To jest wystarczający dowód kontaktu z organizacją. Kamiński, wiedziałeś o tym liście?

— Tak jest.

— Komu miałeś go dać?

— Miała wziąć ona, Janina.
— Wiedziała o tym?
— Jeszcze nie.
— Kto ją miał zawiadomić? Spluwa?
— Spluwa.
— A Matula wiedział?
— Nie. Ukryliśmy wszystko, kiedy go nie było. Ani Czarnego.
— Co Kamiński mówił o kontakcie? — Woźnica pyta teraz Muszkę. Mierniczy, patrząc na końce butów, szepce:
— On tylko wiedział. To złoto z portfelu było jego. Naprawdę. Na te cele. Ja nic nie wiedziałem, myślałem, że chodzi o handel. On chciał pracować w wywiadzie. Tak, naprawdę.
Cisza. Kamiński ciężko dyszy, ale nie przeczy niczemu. Nadludzką siłą prostuje się, pręży, dźwiga głowę, patrzy na Henryka. To już wszystko? Żadnego starcia, żadnych argumentów pryncypialnych?
Wracają przez pełny obóz. Jest już po apelu, tysiące więźniów oblega bloki, Henryk spostrzega, że wzrok tej ogromnej, nieruchomiejącej na trasie przemarszu rzeszy pada na niego, na nowy pasiak, ogoloną twarz i dorozumiewa się, dlaczego go przebrano i odświeżono. Kuli się teraz pokracznie, chowa głowę w ramiona, byle odeprzeć ów oskarżający wzrok. A więc dlatego Czarny mi nie wierzył, skurwysyny! Może Muszka i Kamiński śpiewali, przekonani, żem wszystko powiedział?
Na schodach szpitala stoi Jasio z Karolem i Dudzikiem, przyjmują przemarsz do bunkra jak defiladę. Henryk daje znak głową, że nie sypał. Czy zobaczą, czy dostrzegą ? Przesłuchanie poruszyło umysł. Teraz znowu zamkną się

drzwi; na jak długo? Przed kratami blockflihrer rozdziela czwórkę: Kamiński i Muszka wracają na swe poprzednie miejsca do stehbunkra, Czarny idzie z Henrykiem. W celi znajdują Romana, Misia i Fioletowego. I trzynastu mierni czych, aresztowanych 26 i 27 maja. W tłoku jest gorąco i smrodliwie.

— Co ciebie tak wypucowali, Henryk ? — pyta Roman. — Panicz, jak Boga kocham. Prominent!

Wszyscy patrzą na Henryka. Umęczony, niepewny wzrok obmacuje go, obnaża.

— Nie sypał — mówił Czarny. — Co wy? Kiedy was wzięli?

Romana i Fioletowego aresztowano dopiero dzisiaj, Czarnego zaś doprowadzono na przesłuchanie ze szpitala. Czarny siada pierwszy na podłodze, chce opowiedzieć o rewizji, ale Henryk powstrzymuje go gestem. W celi jest Miś, a Miś albo skumał się z Galidze, albo sypie na własną rękę, nie można jednak tego powiedzieć głośno, gdyż nie wiadomo, jak zachowali się pozostali mierniczowie i czy wśród nich nie ma szpicla.

Wszyscy milczą; tak dzieje się zawsze przy niespodziewanym spotkaniu w podziemiach Jedenastki. Badają się wzrokiem, siadają grupkami, ktoś wyjmuje zniszczoną talię kart, klaszcze nimi o kolano, ale nikt nie zdradza ochoty do gry.

Najstarszy więzień spośród grupy pomiarowej, człowiek o twarzy naznaczonej piętnem trzech lat lagru, w milczeniu rozdziela miejsca. Słuchają go.

— Ja tu siedzę od dawna. Będę spał przy oknie— odzywa się Henryk. — Przy mnie Czarny.

Roman znalazł już sobie miejsce, zamiata bluzą kąt przy

drzwiach, szuka gwoździa w ścianie. Urządza się, mości gniazdo.

— Człowieku — mówi komenderujący mierniczymi do Henryka — w lutym czterdziestego drugiego byłem w tej właśnie celi i stąd powędrowałem do SK, po roku, w styczniu, też tu siedziałem. Mam szczęście do tej celi, zawsze z niej wyłażę szczęśliwie. Nie odbieraj mi więc przyjemności gospodarzenia. A teraz, mości panowie hultaje, czas na naukę. Mówiłem ostatnio o pomiarze szczegółów, dzisiaj pogadamy o pomiarze sytuacyjno-wysokościowym. Wykonujemy go w oparciu o łańcuch trójkątów z pomiarem bazy na końcach łańcucha oraz pośrodku, przy czym boki trójkątów będą mie-

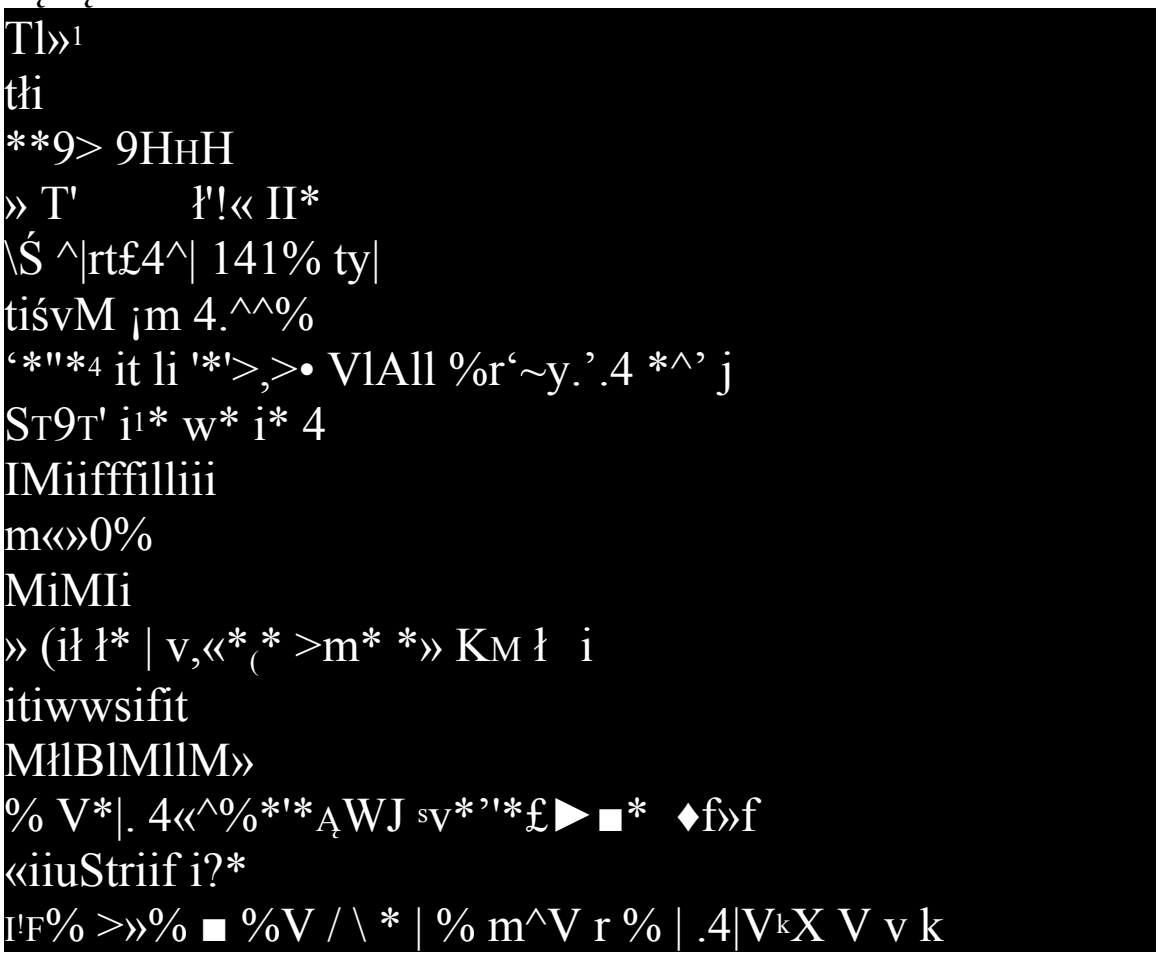

i |' +*'%2&r$w\vtlk!$t\ / ł'*; A ij i
i *» »*> ww&mm/iMA ^3SLWx * »ł "*'■« jw •*■» ^ i
kf&i|'?t^Hffi *
i»W" *4:.-iV> “ vi1
;4 %M'+ 9 41 ‘

ściły się w granicach czterystu do siedmiuset metrów. Podobnie postępowaliśmy przy sporządzaniu planu sytuacyjno-wy- sokościowego odcinka Soły od ujścia do Wisły na południe, ku Wilczkowicom, Skidzinowi...

— Stamtąd nawiał Spluwa właśnie! — krzyczy Miś, jakby raptem 'przebudzony. — I wcale nie otruł posta, tylko go upił
•wódą z czymś tam takim na sen czy odurzenie.

Przepycha się ku inżynierowi, powtarza, że Spluwa nie otruł, lecz upił posta, bo i czym miał otruć? Skąd by wziął truciznę? Skąd? Już jest przy Henryku, strzela kartami proponując partyjkę, a gdy ten odmawia, wraca na miejsce, kładzie głowę na brzegu siennika i drzemie. Inżynier podejmuje wykład.

W kącie przy oknie Henryk przygotowuje się na noc, rozściela bluzę, zrzuca buty, zaprasza Czarnego i w tej chwili przypomina sobie o Fioletowym. Holender stoi jeszcze przy ścianie, pogodnie uśmiechnięty, a gdy klęka przy Henryku, twarz mu promienieje.

— Dziękuję ci, dziękuję — mówi chrapliwą niby niemczyzną.— Bóg zapłaci. Błogosławieni są zmarli, którzy umierają w Panu. Odpoczywają po swej pracy, a dzieła ich idą za nimi. Bóg otrze wszystkie łzy z ich oczu i nie będzie więcej cierpienia i krzyku, i bólu. Tylko kiedy, powiedz? Kiedy Go ujrzymy wreszcie?

— Zamknij mu jadaczkę — mruczy Roman. — Co

on, modli się, kocia wiara, teraz?

— Pragnie śmierci — odpowiada Henryk.

Nic z tego. Najwyżej dostanie dwadzieścia pięć na zadek,
a z tego się nie umiera. Do męczeńskiej palmy daleko mu. Duszno. Przed rokiem wepchali do bunkra bez okna czterdziestu. Większość się udusiła. Duszno. A z tym wykładem — wspaniały pomysł. Byle nie pozwolić na pustkę we łbie, bo zaraz wlezie tam strach. Duszno, duszno.

— Spać, spać. Dosyć gadania — wzywa Roman.

Jest więc noc. Księżyc sprawia iście filmowe efekty światłem jakby z seledynowego reflektora. Czarny chrapie, od czasu do czasu milknie i przez sen ssie bolące palce, Fioletowy leży bez ruchu, nie słychać jego oddechu, Roman śpi w swym kącie, a reszta okala jedyny siennik tworząc kształt

>| tL* | W
* iii

ogromnego pająka. „Odpoczywają po swej pracy, a dzieła ich idą za nimi".

Mijają noce i dni i nic się nie dzieje. Inżynier prowadzi wykłady przeplatając wspomnieniami z wypraw w polskie wsie. Wszyscy mierniczowie pochodzą z ekip, które stykały się z cywilną ludnością, wszyscy są fachowcami, wszyscy znali dobrze Spluwę. Nie wymawiają jednak jego nazwiska ni pseudonimu. Mówią „on" i zdają się wierzyć, że „on" sprowadzi na obóz jakiś kataklizm, który wyzwoli ich, ocali. Nie ma żadnej możliwości pogadania z Czarnym, rudy Miś słucha nawet drzemiąc. Jest szaro, zupełnie szaro. Szare są ściany, szare twarze, brudne łachy. Ciała drętwieją z braku ruchu.

Pewnego ranka blockfuhrer wywołuje Romana. Garbiąc się wychodzi z celi.

— Ja chcę iść, ja! Pozwólcie, bym za was poszedł! — krzyczy nagle Fioletowy. Składa dłonie, wznosi je do góry na wysokość czoła. — Panie, zawołaj mnie! Panie, usłysz mnie! Czekam tak blisko, że wystarczy jedno Twoje słowo, bym Cię ujrzał. Panie, powołaj mnie...

— Poszedł na przesłuchanie — uspokaja go Henryk. — Nie krzycz, mój drogi, napędzisz strachu kolegom, nie krzycz.

Siwy zarost jeży policzki Holendra, zaciera kształty twarzy.

— Co Roman będzie gadał? — pyta Miś. Przyskakuje do okienka, przekrzywia głowę. — Nic nie widać, tam spokój. Roman dużo wie? Roman wziął przecież od Muszki złoto, zakopał. Tego nie dało się ukryć.

— Tyś coś za dużo nagadał w Politische, Miś — mówi wolno, cedząc przez zęby słowa, Henryk. — Jak tam twój przyjaciel Galidze-Galewski? Co?

W tej chwili otwierają się znów drzwi i schreiber wyczytuje numery, 75 507, 66 805, 6 529, 76 960, 10 745... Henryk patrzy na swe przedramię i kiedy padają pierwsze cyfry, podobne do wytatuowanych na jego ręce, wstrzymuje oddech. Trzynaście numerów. I Miś.

— Czarny, kochany, możemy porozmawiać. Słuchaj: Politische nic nie wie właściwie, choć wszystko przypuszcza. Trzeba ich utwierdzać w przekonaniu, że są na fałszywym tropie. Janina nie sypnęła i nie sypnie, tak więc Politische

wie jedynie, że przynosiła żywność, ale nie wie, że u nas ją

składała, wie, że Muszka wynosił złoto...

Czarny jest zupełnie spokojny. Nie rozumie taktyki przyjaciela. Przecież najłatwiej byłoby wyprzeć się wszystkiego, nie odpowiadać na żadne pytania. Dlaczego nasunęłoby to esesmanom podejrzenie, że są na właściwym tropie?

— Tu Miś sypie. Musisz uważać.

— To się go zrobi. Spokojna głowa.

Trzynastka mierniczych wraca szybko z powrotem. Pytano ich na górze, czy będą mówić, czy nie. Utrzymywali, że nic nie wiedzą, więc ich odesłano, tylko Misia zostawiono jeszcze.

— Wszystko tak wygląda, że wkrótce nas rozwalą. Zwędziłem ołówek i papier. Zabierzemy się do listów, dobrze? — proponuje inżynier. Dzieli arkusz na małe karteczki, ostrożnie rozrywa, zaczyna pisać pożegnalny list. Nie namyśla się długo, nie pierwszy raz żegna się z życiem. Kreśli kilka zdań, oddaje ołówek następnemu, ale ten nie przyjmuje, nie chce.

— Co będę pisał? Po lagrze i tak się wszyscy dowiedzą, wszyscy, nie tylko mama.

Jest milczenie. Kto-już napisał, składa karteczkę, przekazuje inżynierowi, który zbiera je, układa, waży na dłoni. Długo, bardzo długo trwa pożegnanie świata. Nadchodzi Miś, Kuba wpycha go do celi, gdyż boi się wejść.

— Dlaczego, dlaczegoście milczeli ?! — woła od progu. — Rozwalą was i nas! Dlaczegoście się nie ratowali?! Głupcy, głupcy! Zależy wam na babach z Wyleżyna, Pław, Łęk, Babic, Skidzina? Na obcych ludziach? Wolicie zamiast nich pójść pod ściankę?! Cholerę im w bok, cywilom!

— Czy myślisz, że jeżeliby nawet sypali, to by ich uratowało? Politische, wyciągnąwszy z nich wszystko, i tak by ich postawiło pod ścianką! Żywot szpicla i sypaka jest bardzo krótki. Albo go zlikwidują towarzysze, albo gestapo.

Henryk umyślnie mówi spokojnie. Napawa się chłodną radością widząc drżenie Misia, a potem paraliżujący ciało strach: podniósł ręce i tak zostały zawieszone w powietrzu. Inżynier podchodzi do Henryka.

— Weźmiesz listy, a jakby na ciebie przyszła kolej, dasz następnemu. Skoro już wszystko wiemy i nic nam więcej nie grozi, może byśmy pogadali o wojnie na przykład.

Fioletowy, który snadź pojął, co się dzieje, klęka i modli się cicho.

Kiedy wraca z przesłuchania Roman, inżynier rozważa właśnie szanse wojenne. Wiadomości ma stare, bo z drugiej połowy maja, sprzed miesiąca, ale dokładne. Miś usiadł, wtulił głowę w ramiona i nie zwraca na nikogo uwagi. Roman przysiada się do niego, coś szepce na ucho.

— Co było na Politische? — pyta Czarny przerywając inżynierowi. — Gadaj zaraz. Oni już gotowi — pokazuje ręką mierniczych. — Bili ?

— Bili. O złoto Muszki pytali. Skąd oni o nim wiedzą? Mówili, że wszystkich powieszą. A ja mam sposób, żeby nie wisieć. Wracałem z Politische z cywilami, z babami. Słyszałem, jak mówiły, że córka opiekunki nawiała do Krakowa. Jak to zamelduję, to mnie wypuszczą. Mogą te baby zmusić, żeby więcej powiedziały. Słyszałem nawet, że cieszyły się, że nie wpadł jakiś „Kazik". I była tam kobieta Wicka, volks- deutscherka. Ona by coś

mogła...

Roman opowiada spokojnym głosem, szczęśliwy ze znalezienia drogi ratunku. Ani śni mu się umierać, narażać się na tortury.

— Baby w Politische strasznie wrzeszczały. Jednej to wsadzili w dziurę watę z benzyną i zapalili. A ja mówiłem Woźnicy: „Co mi tu źle? Nic takiegom nie robił. Muszce pomogłem, bo kumpel". To on mówi, żebym sobie wszystko dobrze przypomniał, bo Matula i tak sypnął. Myślę sobie, tyś sypnął
i masz spokój, ja też niegłupi...

Czarny, słuchający bardzo uważnie beznamiętnej relacji kolegi, przejął się tak, że nie może wykrztusić ni słowa, nie może przerwać jej, zapobiec nieszczęściu. Lęk puchnie mu w gardle, skleja zęby i wargi. Ula jest w Krakowie, któraś z cywilnych kobiet siedzących na parterze zna jej adres. Zdaje się mu, że to Ulę obnażają w baraku koło starego kremo, wiążą pod ramiona na belce, wpychają tampon waty nasyconej benzyną w krocze i podpalają, że to jej szczupłe palce kładą w zacisk i przykręcają śrubę jak w warsztacie stolarskim. Nie widział nigdy nagiej dziewczyny — pojedynczej, jednej, nigdy nie wyobrażał sobie czegoś, czego nie było, czego nie
ujrzał przedtem sam, teraz obraz gołej, wijącej się z bólu Uli pciwstawał w nim, bolał i palił.

— Bieda tylko z pisaniem. Nie poradzę po niemiecku. He- niuś, napiszesz mi? — mówi dalej Roman.

— Ja ci napiszę, Romek — ofiarowuje się Miś. — Napiszę. Inaczej nas obu powieszą z nimi.

Henryk ściska mocno ramię Czarnego, żeby milczał.

— Inżynier, daj im ołówek. O papier niech poproszą

schreibera. Na zeznania dostaną, ile zechcą. Mogę zresztą poprosić dla nich. Cicho! Nic nie gadać!

Jest już papier. Kiedy kalefaktor otworzył drzwi, Henryk powiedział schreiberowi, że Miś chce napisać zeznanie Romanowi i potrzebuje papieru. W ciemnych oczach blokowego pisarza zamigotał na sekundę zły blask, ale przyniósł kilka kartek zapowiadając, że nazajutrz je odbierze.

Roman dyktuje zeznanie, dokładnie określa osoby, cytuje zasłyszane słowa. „Córka Janiny Drążkiewicz, która siedzi w bunkrze, jest w Krakowie...” Miś, śliniąc chemiczny ołówek, kaligrafuje technicznym pismem.

W kącie, gdzie stoi kubeł, jest najciemniej. Lepiec nie chce odczepić się od skóry, trzyma się włosów. Henryk wyjmuje pakiecik. Dziś będzie dobra zupa, gęsta i ostra. Dobrze się składa. Kładzie palec na wargach, gdy zbliża się Czarny. Prawda, zupa będzie dopiero jutro, dziś już za późno.

Rano pisarz blokowy odbiera pismo, czyta go stojąc w drzwiach.

— Musicie poczekać na odpowiedź, bo Politische bardzo zajęte — mówi. — Cierpliwości.

Południe. Henryk ustawia miski przy drzwiach, Kuba rozlewa w nie cuchnącą maź. Kiedy zamyka drzwi, Henryk odczytuje kalendarz: trzydzieści siedem kresek. Więźniowie mlaskają, zupa jest gorąca i bardzo smakuje głodnym. Korytarz już ucichł, zamknęły się kraty. Jest spokojna godzina południa, w której nic się zazwyczaj nie zdarza. Wiatr bije ziarenkami piasku w okienko, chłodne powietrze sączy się spod drzwi. Tu jest najprzyjemniej. Henryk kładzie się, wdycha piwniczny chłód, potem,

przypomniawszy coś sobie, idzie na kubeł, wrzuca weń kawałek leukoplastu i małą kapsułkę. W tej chwili rozlega się jęk Romana.

— Ojej, puść mnie na kibel, boli! Jezu, boli...

Na drewnianej kadzi siada mały, szpakowaty Roman, chybię się, jęczy i nagle pada na twarz. Rudy Miś wali w drzwi, woła ratunku, ale wszyscy wiedzą, że ratunek nie nadejdzie znikąd. Miś też wie. Przypada do Romana, obmacuje go, przewraca na bok. W powszechnej szarości świata widać tylko szkliste oczy i stężałe rysy ogrodnika. Fioletowy klęka przy zmarłym i modli się głośno:

— Panie, nie powołałeś mnie, lecz jego, ofiarę Antychrysta, jak my wszyscy. Weź nas, by dopełniła się miara, by nadszedł dzień zstąpienia Twego na ziemię...

— Serce mu pękło, sukinsynowi — mówi Czarny.

— Nie, skądże, otruł się najwidoczniej. Musiał mieć truciznę przy sobie. Otruł się. Wolał zginąć niż sypać — tłumaczy Henryk. — Czy to nie ty, Misiu, dałeś mu truciznę?

— Ja? Truciznę? Co wy mówicie?!

— Albo miał ją przy sobie, albo dostał. Tylko ty wchodzisz w rachubę. Prawda?

Pierwszy przytakuje inżynier, potem reszta mierniczych. Henryk kopie Misia.

— Wstawaj. Zameldujemy wieczorem.

Trup Romana leży koło kibla i ktokolwiek chce się załatwić, musi go przekroczyć. Fioletowy tylko czuwa opodal siedząc ze wzrokiem wbitym w martwą twarz, jak gdyby chciał ujrzeć w niej ślad spotkania z Panem. Miś nie może sobie znaleźć miejsca, wszędzie są ludzie kopiący go, potrącający, patrzący szyderczo i groźnie. Nie ma się gdzie

schować, ukryć. Tak schodzi czas do wieczora. Wieczorem Kuba otwiera drzwi, Miś chce wypaść na korytarz, ale Czarny podstawia mu nogę i rudy pada wprost na zwłoki. Kuba flegmatycznie wyciąga ciało Romana.

— Zdechł — mówi Henryk patrząc na Kubę, schreibera
i pomocnika kalefaktora. Schreiber kiwa głową, wchodzi do celi
i śmieje się bezgłośnie.

— Zamelduję jutro — powiada. Wyjmuje spod bluzy kilka paczek papierosów, daje najbliżej stojącym i wychodzi. Teraz można zapalić. Czarny siada obok Henryka, kładzie mu dłoń na ramieniu, coraz to inny palec naciska bark i przesuwa się o parę milimetrów po szorstkim materiale pasiaka. Palce
drugiej ręki trzyma w ustach. Dym układa się w niebieskawy pułap i wysącza się przez okienko.

Rano inżynier prosi o przybory do golenia, schreiber przynosi, nalega tylko, by się pospieszyli.

— Dziś? — pyta inżynier.

— Prawdopodobnie. Jest Sondergericht na górze. Sto dwadzieścia polizeihaftlingów. Potrwa z dwie godziny najwyżej.

Golą się bez lustra, jeden drugiego, w nerwowym pośpiechu, by zdążyć. Chrobocze żyletka po twardym zaroście, ktoś się zaciął i jęczy cicho. Odmawiają maszynki Misiowi, niech wychodzi zarośnięty. Potem czyszczą skrupulatnie ubrania.

— Pamiętajcie tylko, żebyście nas pomścili — mówi spokojnie inżynier. — Wy nie pójdziecie, inna sprawa, zostaniecie.

I listy przekażcie.

Drzwi są otwarte. Pada numer za numerem. Trzynaście. Miś zostaje więc. Nagle Fioletowy przyskakuje do esesmanów z Politische i woła głośno:

— Ja też idę! Pozwólcie mi. Pan mnie woła. Idę!

Nie daje się odepchnąć, zmierza ku stojącym na korytarzu.

— No, dobra, chodź — mówi łaskawie Tygrys i zatrzaskuje drzwi. Z korytarza słychać osobliwy śpiew. Starczy, ale mocny głos intonuje tryumfalną pieśń, która oddala się, lecz nie cichnie, aż nie przerwie jej suchy strzał rewolwerowy'. Ledwo jednak przemija echo strzału, na górze rozlega się polska pieśń, dwie pieśni naraz, rewolucyjna melodia miesza się z hymnem narodowym.

Śpiewają cywile z ziemi oświęcimskiej, z Zagłębia, ze Śląska, mężczyźni i kobiety. Przez okienko celi nic nie widać, ale wiadomo, że teraz dzieje się na dziedzińcu śmierć. Śpiew milknie i wtedy słychać jakby łamanie patyczków, strzały rapportfiihrerowego karabinka, i wołania „niech żyje Polska”, silne, | kilku naraz piersi wydarte. Nad okienkiem zjawia się but leichenträgera i kawałek nogawki spodni, zakrwawionej od dołu.

Czarny obejmuje Henryka i tak trwają zwróceni twarzami ku światłu. Z głębi celi słychać szloch, to Miś płacze.

Sto dwadzieścia PH plus trzynastu haftlingów, sto trzydzieści trzy, cztery na minutę — za godzinę koniec. Potem mogą przyjść badać przyczynę zgonu Romana, ale chyba nie będą. Nie opłaci się, skoro nie żyje. Co zrobić jednak z Misiem?

— Mamo! — krzyczy nagle Czarny i zaczyna

obłędny bieg po klatce celi. Przystaje przed płaczącym Misiem, schyla się, by zajrzeć mu w twarz.

— Swołocz! Swołocz! Kogo chciałeś zdradzić, co?

— Wariaci, wariaci — szepce Miś. — Poszaleliście! Coście zrobili? Przez wasze wariactwa idą ludzie pod ściankę, przez was i wam podobnych.

Ociera łzy i po chwili krąży po celi. Czarny też podejmuje wędrówkę. Mijają się, krzyżują drogi, milczą. Czarny maszeruje ciężkim krokiem, Miś prawie biega, ale nie zderzają się ani razu. Przystają, kiedy przeraźliwe buczenie syreny, którą osadzono na dachu budynku po drugiej stronie drutów, wstrząsa powietrzem. Obaj są jednakowo zdumieni. Ów sygnał jaskrawo przeczy chwili, szydzi z niej, wyje wesoło. Ktoś znowu uciekł.

Rozdział dziesiąty

Sto dwadzieścia pięć. Henryk wyrył na drzwiach nową kreskę i zlicza je skrupulatnie. Sto dwadzieścia pięć. Zgadza się, od dwudziestego maja do dwudziestego września. A więc dziś jest dwudziestego września. Czarny wyrczy u okienka z rozbitą szybką, czeka na spacer polizeihaftlingów, na Janinę. Wiadomo od Kuby, że dziś wyjdzie, że będzie można zamienić parę słów.

— Głupi ruch, to posunięcie nie mieści się w ramach rozgrywki.

— Ale wziąłem ci skoczka.

Niemieckie słowa. To Wiktor gra w szachy z Tischlerem. Po skończeniu śledztwa w Oddziale Politycznym wepchnięto ich do celi Henryka. Pierwszego dnia spacerowali nerwowo po przekątni, ale to denerwowało Czarnego, poprosił, by przestali się kręcić. Więc grali. Całymi dniami grali. Henryk wytłumaczył im

znaczenie dziwacznych figur.

Tischler nuci bojową piosenkę niemieckiej kompanii, Wiktor puka palcem w lśniące białe zęby. Ma prawdziwą szczoteczkę do zębów, nową, z zielonym trzonkiem, tylko nie może jej używać, ponieważ nieczęsto wypuszczają do mycia.

Sto dwadzieścia pięć kresek. Jak to długo? Świat ma tu inne wymiary, inny rytm, inne panują prawa czasu. Pierwszy okres — aresztowania mierniczych, potem — zwolnienie biegu czasu aż do przesłuchania, potem — rozstrzelanie Zydla i towarzyszy, rozwałka trzynastu mierniczych. I znowu zwolniony bieg dni. Zdawało się, że doby potoczą się teraz spokojnie, że egzekucja części aresztowanych oznacza koniec sprawy dla reszty.

Na drzwiach kreska, wypadająca na dzień dziewiętnastego lipca, oznaczona jest specjalnie. Wiktor opowiadał, że komendant dostał z Berlina pozwolenie na masową, odstraszającą egzekucję, Tischler zaś opisywał ją dokładnie. Od 1933 roku napatrzył się już dość na szubienice, ale ta, którą postawiono przed kuchnią, złożona z dwóch slupów i szyny żelaznej, budziła grozę, jakiej jeszcze nie zaznał. Przed apelem zawieszono na szynie dwanaście pętli i w obozie rozeszła się wieść, że to dla mierniczych. Za kuchnią ustawił się oddział SS, na wieżach czuwały podwójne posterunki z kaemami skierowanymi na obóz. Zanim orkiestra zagrała pierwszego marsza, esesmani otoczyli szubienicę. Kiedy trzydzieści tysięcy więźniów stanęło na apelu w zupełnej ciszy, nadszedł z Jedenastki orszak skazańców, otoczony przez blockfuhrerów. Ubrani w drelichy tylko, bosi, z rękoma skrępowanymi drutem, ustawili się między kuchnią a szubienicą, twarzami do

znieruchomiałych kolumn, które widzieli poprzez owale pędi. Po kolei wchodzili na zydle, wyrastali ponad esesmanów, ponad tłum współwięźniów, można ich było dostrzec z najdalszych miejsc. Tysiące głów podniosło się w górę, ku zachodzącemu słońcu, opadającemu za dach kuchni, ku dwunastu postaciom. Kuba zakładał stryczki.

Komendant Hoess już zaczął odczytywać wyrok, ale nikt go nie słuchał, nawet esesmani. Tłumacz powtarzał sentencję wyroku. Wtedy młodziutki brat Kamińskiego, nie czekając na koniec odczytywania, kopnął z całej siły stołek i zawisł. Hoess na chwilę zamilkł, a wówczas esesmani bez rozkazu podbiegli do skazańców i wyrwali spod nich zydle.

Nazajutrz po egzekucji, kiedy wisiały jeszcze trupy dwunastu mierniczych, przed którymi toczył się potok więźniów, zbliżył się od bramy jakiś niezwykły pochód. Więźniowie roz- stępowali się, zdejmowali czapki, ktoś wołał co chwila: „Hurra,

> IBmf*MFf&P VM W**'4
*** -Mfyi* **x тftjrĄjb M j^“s . | <•* "®i

hurra, ich bin wieder da!”* i trzaskały w suchym powietrzu krótkie rozkazy esesmańskie. Tygrys kroczył na przedzie prowadząc rower, za nim zaś wlókł się, pchany lufami automatów, Spluwa. Przystanęli przed szubienicą. Tygrys ryknął rozkaz i więzień krzyknął znowu: „Hurra, hurra, ich bin wieder da!” — prosto w sine już twarze towarzyszy. Był w brązowym cywilnym ubraniu, ubrudzonym smarem, ręce miał skute, twarz spuchniętą. Idąc trząsł głową przecząco, jak gdyby chciał dać znać, że nic nie powiedział esesmanom.

Henryk patrzy na grających w szachy. Z półsłówek Wik-

tora, z fragmentów jego rozmów z Tischlerem dowiedział się dość, by odgadnąć, kim są. Zresztą Wiktor, poinformowany snadź przez kogoś, przywitał go z tą serdecznością, jaką miał dla zaufanych ludzi, dając od razu odczuć, że traktuje go jako współtowarzysza.

— Jeszcze ich nie ma — mruczy Czarny czyhający przy okienku. Jest zaniepokojony: każdy fakt naruszenia normalnego rytmu dnia na Jedenastce budzi zrozumiałe obawy. Kuba wprawdzie niczego nie zapowiadał ani schreiber, ale wystarczyło opóźnienie spaceru PH, by powrócić myślami do podobnych dni. Kiedy wyprowadzono dwunastkę mierniczych na egzekucję, Henryk został w celi sam na sam z Czarnym. Poszli na stryczek Miś i Muszka. Nie żałował ich; w gruncie rzeczy, wedle niego, zasłużyli na karę. Nie rozumiał Wiktora, który potem, przyszedłszy do celi, żałował wszystkich bez wyjątku, chociaż Henryk powiedział mu o roli, jaką ci dwaj odegrali. Właściwie, choć to brzmiało zbyt okrutnie, dobrze się złożyło, że Spluwę ujęto dopiero po egzekucji, gdyż nie można go było już konfrontować z mierniczymi. Nie żyli. Ale sprowadzenie Spluwy na Jedenastkę mogło i tak nadać sprawie niespodziewany bieg. Była przecież Janina, był on, Henryk, był Czarny, byli ludzie w obozie. Spluwa zrozumiał: zabił się zaraz po wstępnych torturach. Nić się urwała.

— Szach — mówi Tischler. — Jesteś roztargniony, Wiktor. No jak, wstawi się za tobą Wirth, czy nie?

Henryk nastawia uszu. Obaj towarzysze wiedzą, że zna doskonale niemiecki, ale czasami jakby o tym zapominali.

{
9%ofirai

Rozmawiając z sobą mówią wiele ciekawych rzeczy i Henryk rekonstruuje sobie z ich słów obraz spraw, o jakich jemu nie wspominają jawnie. A więc to tak było: Wiktor ma wpływ na standortarzta, powiedział mu, że konto szpitala obciążają egzekucje, zapisywane jako wypadki naturalnych zgonów, nastraszył pewno odpowiedzialnością w przyszłości, ale Politische ubiegło Wirtha i skonfiskowało w szpitalu wszystkie księgi, na podstawie których można było dojść, kto zginął, a kto zmarł. Blokowy szpitala, tak jak Wiktor uczestnik walk 0republikańską Hiszpanię, doniósł na Politische, że Wiktor 1 Tischler popierają wszędzie komunistów i Żydów, że przyjaźnią się z Żydami. To wystarczyło. Politische domyślało się już roli Wiktora u standortarzta. (

— Są! — woła Czarny wspinając się na palce.

Na dziedzińcu rozlegają się głosy kobiet, rubaszne nawoływania Kuby, potem mówi Janina:

— Chłopcy, to ja, Janina! Jesteście tam?

— Jesteśmy. Co z tobą?—pyta Czarny.

— Nic. Czekam. Mam iść na obóz. Wnet. Mam coś dla was, Kuba poda.

— Co z Ulą?

— Czeka pewno na ciebie, kochany. Pa!

Czarny szturcha przyjaciela, jakby usłyszał wielką nowinę, a przecież to już trzeci raz rozmawia z Janiną z bunkra, zawsze te same zadając pytania i te same otrzymując odpowiedzi. Przed schwytaniem Spluwy siedząca w bunkrze volksdeutschka, kochanica Wicka, namówiona przez niego, zagroziła, że obciąży Janinę zeznaniami, jeżeli ta do sprawy wplącze szklarzy z Rajska. Wówczas po raz

pierwszy rozmawiał na dziedzińcu z matką Uli.

Kuba wrzuca przez okienko pół paczki papierosów, na opakowaniu widnieją słowa: „Trzymajcie się mocno, kochani. Już niedługo tego. Całuję Was. J. D.” Te papierosy smakują inaczej niż przynoszone czasem przez schreibera Jedenastki z lagru, pochodzą bowiem od kogoś, kto sam je z trudem zdobył i narażając się przechowywał, to są prawdziwe dary niebios, ale palić je można dopiero w bezpiecznej porze, po apelu. Teraz trzeba słuchać, co dzieje się na korytarzu i w celach. Przed trzema dniami sprowadzono do bunkra grupę
wyższych oficerów. Schreiber miał zwyczaj głośno, wyraźnie wy czytywać numery więźniów lokowanych w podziemnych celach, tak, by na czas poinformować innych, co im może nowego grozić, toteż Henryk dowiedział się w ten właśnie sposób, że Oddział Polityczny aresztował pułkownika Siarkiewi- cza-Kalafiora i wielu więźniów, spośród których znał z widzenia 329, 71 886 i 13 578. Mundek przed wyjazdem wspomniał coś o 329, major Gil chodził często z tym człowiekiem. Kalafiora widywał Henryk z 13 578. Że byli oficerami,
0 tym wiedziało mnóstwo współtowarzyszy. Codziennie sprowadzano ludzi do bunkra, zaczynała się więc nowa historia.

Dzisiaj jednak cisza jest na korytarzu, milczą schody, kraty
1drzwi. Kuba, zły jak podrażniony byk, nalewa tylko pół porcji zupy, zimnej i wodnistej, łypie okiem, ale nie daje żadnego zrozumiałego znaku. W świecie bez barw i kształ- tów, w świecie bez czasu twarze ludzkie skupiają całą uwagę; każdy stary więzień podziemi umie odczytywać

najmniejsze drgnienie mięśni, zmianę rysów, ruch oka, skrzywienie ust, poruszenie skórą czaszki, każdy kontur brwi, wymiar źrenicy
inatężenie jej światła. Z twarzy Kuby widać, że dzieje się teraz w lagrze coś złego.

— Czarny, jest jakiś wpadunek chyba. Będzie znów czystka. Napchają i do nas ludzi, zobaczysz — mówi Henryk, ale Czarny nie słyszy. Tęskni. Na tej nijakiej, ciemnej twarzy zwiotczały ścięgna, rozchyliły się wargi, drży wyraźnie zarysowana broda, a krechy brwi wyginają się ku górze. Henryk przerywa partię szachów i komunikuje Wiktorowi domysł.

— Oficerowie? Wyłapali nacjonalistów albo zdybali ich na nieczystych interesach — powiada lekceważąco Tischler.

— Twoje sądy bywają nietrafne, mój drogi — łagodzi Wiktor. On nie lekceważy wiadomości, ponieważ wie, że Marek przeprowadzał właśnie rozmowy z polską organizacją wojskową. — Zygmunt nie opowiadał ci, jak owi „nacjonaliści" walczą teraz w Polsce? Daj więc, z łaski swojej, spokój zarzutom.

— Walczą? Przeciw komu walczą? Przecież nie przeciw faszystom, tylko przeciw Niemcom. Słyszałem na własne uszy, jak oni się cieszą, gdy bomby anglosaskich imperialistów mordują niewinną ludność niemiecką, słyszałem.
iMim ;>;
uyii

— Giną winni — przerywa mu Henryk. — Giną winni. Kto z Niemców jest bez winy? Chyba tylko dzieci.

— O, przepraszam. Sprawiedliwość nakazuje mi

powiedzieć, że trzeba odróżniać „faszystę” od „Niemca”. Wojna toczy się przeciwko faszyzmowi, nie zaś przeciwko narodowi niemieckiemu — mówi Wiktor szlachetnym, cichym głosem.

— Prawilno — potwierdza nie wiadomo dlaczego po rosyjsku Tischler. — Nacjonalista tego nie zrozumie.

— Bombom trudno przeprowadzać tak subtelne rozróżnienia, a u nas w kraju Niemiec— to faszysta. Nie ma innych. Ja kiedyś próbowałem bawić się w podobne subtelności, chciałem ujrzeć nawet pod mundurem z trupią czaszką człowieka żarliwego, ideowego, chociaż nie łudziłem się co do wartości tej idei. Przyznawałem pewną obiektywną rację hitlerowcom, nawet gdy mnie uwięzili, przesłuchiwali, bili, mówiłem sobie, że mają prawo to robić, bo jestem ich wrogiem. Ale teraz nie ma we mnie ani krzty obiektywizmu, ani krzty litości. Obojętne mi jest, co czuje, myśli i przeżywa mój wróg. Ja ich wszystkich nienawidzę. Nienawidzę i tych, którzy im pomagają, którzy im pomogli, którzy nie rzucili się na ratunek pierwszym ofiarom. Miałem dość okazji i czasu, by te rzeczy przemyśleć.

Wiktor krzywi się, załamuje ręce. Nie jest zdolny pojąć takiej nienawiści, napomyka o swym szefie, o innych „przyzwoitych” esesmanach, nie daje się ponieść emocjom, jednakże odnajduje w chłodnym gniewie Polaka coś sobie bliskiego, choć bardzo jednostronnego, może właśnie bezwzględność wobec wroga? Henryk podoba mu się bardziej niż sceptyk Zygmunt. Kiedy Henryk wieczorem częstuje papierosami, Wiktor i Tischler odmawiają, nie palą, a wówczas

ion postanawia zerwać z nałogiem. Zaraz, natychmiast.

Chowa pudełko nie bacząc na proszący wzrok Czarnego. On też może się oduczyć, tylko na zdrowie mu wyjdzie. Trzeba ćwiczyć wolę.

Jest przed zaśnięciem godzina smutna, godzina pytań Czarnego. Od czasu niespodziewanej egzekucji dwunastu mierniczych, powieszonych na apelu, Czarny zawsze późnym wieczorem zadaje pytania, naskładane przez cały miniony dzień.

Odnoszą się one zazwyczaj do spraw jego miłości i najbliższej przyszłości po wojnie. Czarny pragnie spokoju, chce żyć cicho

i ładnie i żeby było dużo dobrej pracy.

— Będzie można na ten przykład dostać domek pod Warszawą, z ogródkiem? Wystarczy działka. Bo jak wezmę robotę w drukami, jak mój stary, to obleci. Ula pójdzie do szkół pewno. Będziem mogli dostać taki domek? Ze dwie izby z kuchnią. Ja, Ula, mama, Janina. Ale by to było, kurwa, dobrze.

— Zamiast myśleć o domku i ogródku, Czarny, pomyślałbyś lepiej o tym, co nas tutaj czeka.

— Kiedy, widzisz, mnie trochę straszno, jak sobie pomyślę. Nie gniewaj się, Heniu. Ja nie chcę i basta. Wy sobie róbcie, co chcecie, żebym tylko miał robotę i ten domek. A robota będzie dla wszystkich?

— Będzie, głuptasie.

— No to klawo.

Czarny wzdycha głośno. Za chwilę zaśnie, zachrapie, jak zawsze, i śnić będzie o Urszulce. A Maryjka? Henryk kładzie pięść pod głowę, zamyka oczy...

Sto dwadzieścia osiem, sto trzydzieści, sto trzydzieści trzy... Cele są pełne. Co dzień Politische sprowadza nowe

grupy do podziemia. Zupełny spokój Wiktora i Tischlera przydaje się teraz bardzo. Oni obaj wiedzą, że im nic nie grozi. RD nie idą na szubienicę i pod ściankę, zresztą Polityczny niczego im nie udowodnił. Spokój jest tak samo zaraźliwy jak strach. Tu, gdzie ludzie milczą całymi dniami, ważny jest każdy ruch towarzysza i każdy brak ruchu. Wiktor i Tischler grają w szachy, rozwiązują szachowe zadania.

Otwierają się drzwi w złej porze. Sześciu więźniów wchodzi do celi, na korytarzu wrzeszczą esesmani.

— Całujerączki, padam do nóżek panu lagerältestrowi — śmieje się ryży doktor Szubert. — Prosimy o sześć pokoi z łazienką.

śmiech nie łudzi Henryka. Jest to śmiech warg tylko. Przybyszom wyogromniały oczy, zesztywniały rysy twarzy. Boją się, wyrwani nagle ze spokoju, rzuceni w ciemność. Gruby Karol całuje Czarnego, Ślązak z Bekleidungskammer, Walach, wędruje od razu na kubeł, wojewoda Makowski,

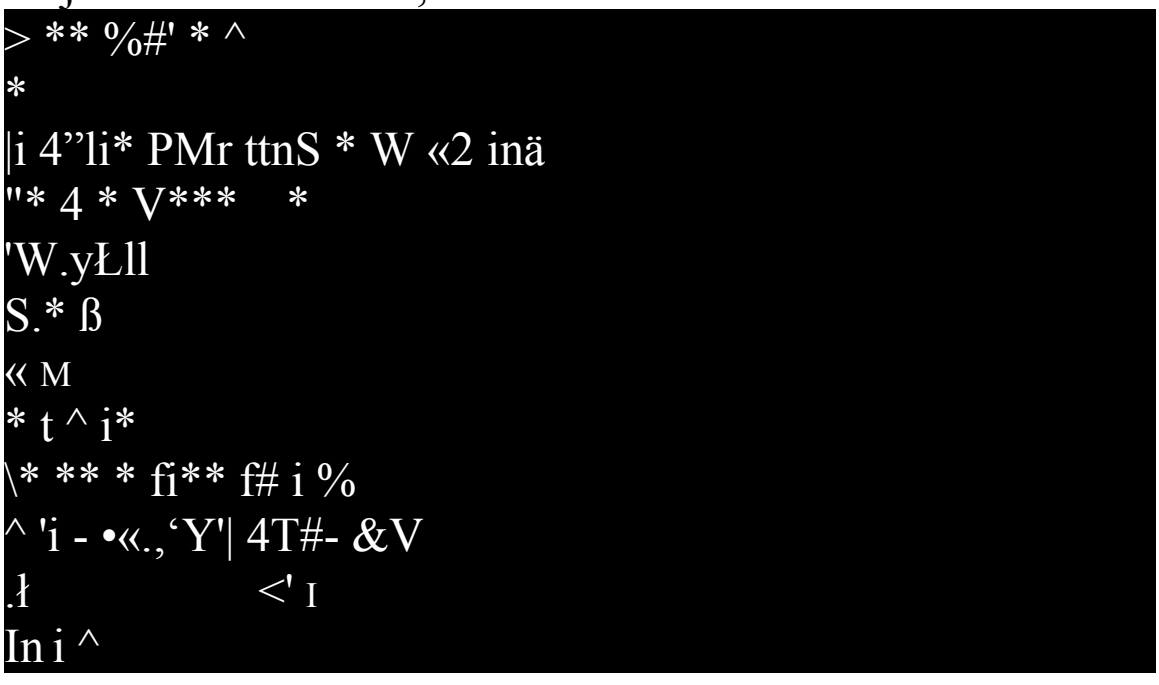

j» * i # m W
.TMMł «*>*
>* 94
ĘK
9 'A Sm! li # V1
f Mrfki

którego Henryk zna ze sztuby Goryla, i Ortman, przywódca ONR*, zaczynają coś szeptać, tęgi adwokat drepce koło kubła, ponagla Wałacha, rozpina spodnie.

— Komplecik cacany — mówi Szubert. — Ale wybrali z gniazda, no!

Politische aresztowało wyższych oficerów polskich, lekarzy, adwokatów, działaczy politycznych, przedstawicieli inteligencji, czołowych funkcjonariuszy obozowych, zwłaszcza ze szpitala. Siedział i Dudzik, kapo kancelarii szpitala, kilku schreiberów, cała grupa lekarzy i sanitariuszy. Henryk przydziela przybyszom miejsca, wypytuje o powód aresztowania, ale nikt go nie zna.

— Dla postrachu. Jak rozwalą nas, to już w Polsce wszyscy na klęczkach będą łazić i tylko prosić, żeby ich zapakowali do gazu. Macie karty albo co? Szachy? E, jeszcze sobie głowę łamać przy grze.

Szubert mówi wesoło, parska wysokim śmiechem. Henryk sumuje fakty i nazwiska, wydaje mu się, że jest na tropie prawdy. Niewątpliwie chodzi o tajną organizację, niewątpliwie Politische sięgnęło do swych rejestrów, wyszukało ludzi, których powody aresztowania i akta spraw pozwalały przypuszczać, że mogą odgrywać czołową rolę w organizacji obozowej. A więc to wszystko ludzie przeznaczeni na śmierć?

Na śledztwo wychodzą grupami, osobno adwokat,

Ortman, Makowski, osobno Karol, Walach i Szubert. Trzaska teraz bez przerwy krata, ludzie w celach zmieniają się, jak gdyby grali w „mydło”. Dla kogo najpierw zabraknie miejsca? Jeden dzień przebywa w celi Henryka Dudzik, potem wpychają tu część oficerów i po dwóch dniach zabierają. Śledztwo toczy się daleko, za drutami, w baraku Oddziału Politycznego, ale jego echa przenikają mury. Słowa: „sypnął”, „nie można inaczej”, „co robić”, tłuką się o ściany bunkra, wpadają w uszy.

Któregoś dnia chudy, drobny Walach z Bekleidungskammer, powróciwszy ze śledztwa, mówi w celi:

— Panowie, Kalafior i pułkownicy wzięli wszystko na siebie. Politische ma w ręku tajną grupę, ale zna tylko kilka

nazwisk. Reszta — to domysły i denuncjacje szpiegów. Jesteśmy więc ocaleni.

— Ty też? — pyta gruby Karol. — Ty jesteś, czy ciebie, fiut, nie ma?

Walach wzrusza ramionami. Kazali mu przyjąć volkslistę. W jego piwnych oczach wzbiera światło.

Wiktor szuka instynktownie towarzystwa Henryka, którego dobrze poznał w celi, ale nie śmie prosić o wyjaśnienia. Wydaje się być urażony rozmowami Polaków, milczeniem, samą obecnością. Wytrzymuje aż do nocy i dopiero gdy zasypiają, siada na kuble, zawsze teraz pełnym.

Nadchodzi cotygodniowe mycie, jednak tylko wcześniej aresztowanych wypuszczają na górę. Schreiber prowadzi ich nie do umywalni, lecz do małej łaźni w Effektenkammer. Jest już jesień, październikowy dzień zamiata obóz wiatrem. W łaźni są sami. Czarny parska pod

tuszem, biała piana mydła spływa po ciele, letnia woda pieści zapiekłą skórę. Ubierają się, oblekają czystą bieliznę i wówczas wpada do łaźni Zygmunt. Zamienia kilka słów z Wiktorem, wita, jak dobrego znajomego, Henryka. Janina poszła do obozu kobiet, Urszula żyje bezpiecznie, jest wiadomość. Maria Smolik pracuje razem | Janiną w obozie cygańskim, zdrowa i spokojna. Stand- ortarzt powołał na miejsce Wiktora niemieckiego komunistę z Sudetów, stara się o zwolnienie Wiktora z bunkra, oburzony na podstęp Politische.

— Dobrze, ale co na świecie? — pyta Wiktor myjąc skrupulatnie zęby toaletowym mydłem.

— Włochy skapitulowały. Prawda, nie wiecie. Anglosasi wylądowali we Włoszech. Mussoliniego internowano w górach, ale go SS odbiło. To już jednak klapa. Zajęty Neapol.

— No, to mało ważne. Co na wschodzie?

Zygmunt spiesznie opowiada. Zajęty Briańsk, Połtawa, Smoleńsk, idzie ofensywa na Kijów, Wielkie Luki. Polskie wojska biją się pod Smoleńskiem i we Włoszech.

— Moi kochani, zbliża się koniec. U nas też ruch. Żadne rozwałki go nie wstrzymają.

— A... tamci? — Czarny macha ręką w kierunku Jedenastki. — A my?

— Wiktor i Tischler wyjdą na pewno, co do was obu, to
musicie być gotowi na wszystko, bo wszystko zależy od kaprysów Politische, a na kaprysy nie ma rady. Londyn ogłosił przez radio ostrzeżenie, podał nazwiska panów z Politische, może to ich zmityguje, ale sami wiecie, jak jest. Ogłosiliśmy mnóstwo danych o zbrodniach Politische, o

rabunku ofiar,
ozłodziejstwach. Może to skłoni władze SS do poskromienia gestapowców. Miejmy nadzieję.

— Ale przecież nic nam właściwie nie udowodnili. Ja chcę żyć! Odpieprz się z taką pociechą. Co ja, kurwa, mam teraz ginąć?!

Czarny krzyczy, twarz i szyja obrzmiewają tym krzykiem, mokre dłonie zaciskają się na ramionach Zygmunta, palce
o pogruchotanych na Politische paznokciach wpijają się w barki.

— Ja przecież nie wydaję wyroków, co chcesz, Czarny. Puść, puszczaj! Nie mogą mnie tu zastać. Nie ode mnie zależy wasze życie — mówi Zygmunt, szuka pomocy u Henryka, wzywa go wzrokiem i Henryk odejmuje ręce Czarnego.

Czarny nie daje się uspokoić. Mówi coś o Uli, że czeka nań, że kocha, o matce. Daremnie Henryk dumaczy, że nikt przecież nie przesądza sprawy, że wszystko będzie dziejem przypadku, sam czuje bowiem, jak otwiera się przed nim pusta, bezbarwna przestrzeń zakończona czarnym prostokątem. Ta przestrzeń jest jak wsysająca wszystko próżnia. Wpada w nią nawet wiadomość o żonie.

W bunkrze zastają już tylko Karola. Reszta poszła na przesłuchanie i wróciła do innej celi. Karol mruczy bez przerwy, bawi się szachami, czasem śmieje się głośno. Henryk sprawdza kalendarz: .sto czterdzieści pięć kresek. Przypomina sobie, jak współtowarzysze przygotowywali się na śmierć. Trzeba koniecznie napisać list do Maryjki. Prosi Wiktora o parę kartek i zaczyna pisać na wolnych marginesach gazetowych, słowa jednak utraciły dawne zna-

czenie, ich związki rozpadły się, więc drze wąskie paski na strzępy.

— Wiktor, chciałbym pogadać z tobą przed jutrem — mówi. — Jak wiesz, istnieje prawdopodobieństwo, że widzimy się ostatni raz w życiu.

— O, to przykre. Sądzisz, że dołączą was do reszty? Przykre. Bardzo przykre.

Długo w noc słychać głosy Austriaka i Henryka. Czarny i Karol śpią już dawno, śpi również Tischler.

Sto czterdzieści sześć. Karol nie da się zegnać z kubła, choć już przelewa się kal. Gruby sanitariusz zapadł w niepokojący stan, zdaje się, że oszaleje.

Korytarz wali się od krzyku esesmanów. Wywołują z cel. Długa litania numerów. Zgrzyta klucz w drzwiach. Numer Karola, Czarnego, Henryka. Między kratami gromada Polaków, wszyscy aresztowani. Najpierw z czwórki odpada Karol. Wołają go na górę do kancelarii, dokąd udaje się grupka aresztowanych z Dudzikiem na czele. Karol odchodząc wybucha dziecinnym śmiechem-płaczem.

— Pamiętajcie! — woła za ocalonymi czyjś wesoły głos. Czarny i Henryk zostają na dole z resztą skazańców. Już wszyscy przezwyciężyli pierwszy dławiący lęk. Stoją na baczność, wyprężeni, milczący. Nikt nie patrzy na twarz sąsiada, lepiej nie patrzeć. Połamane schodami światło sprowadza z góry cienie ekipy esesmanów. Przechodzą przed frontem drużyny, odczytują listę.

— A ty skąd tu? — pyta esesman Woźnica Henryka. — Żyjesz jeszcze?! Marsz na górę! A ty? — kopie zdrętwiałego Czarnego i też wysyła na górę.

W kancelarii grube ramiona oplatają Czarnego, Karol ca-

łuje go głośno, ściska płacząc. Jest tu Dudzik i Szubert, i Walach, i wielu znajomych.

— Ciule pierońskie! Wczoraj była kiełbasa na dodatek, a dopiero dziś wypuszczają — śmieje się Szubert. — Kto został na dole?

Wszyscy cichną, a wówczas słychać krzykliwy rozkaz, by zasłaniać okna.

— Kalafior, rany boskie, Kalafior, Ortman, pułkownik...

Karol kryje się za Dudzikiem, mruczy. Sto czterdzieści sześć dni i nocy mija z okrzykiem „niech żyje Polska". To pułkownicy umierają pod ścianą. Walach mówi cicho:

— Baczność!

Stoją prawie godzinę bez ruchu, długo trwa dzisiejsza egzekucja, wyrywająca ze społeczeństwa obozowego ludzi powszechnie znanych, wybitnych.

Henryk słucha odgłosów śmierci nie pierwszy raz, jednak dziś wie, że jest na razie ocalony. Patrzy na zgromadzonych w kancelarii, na wyprężone postacie, na twarze, w których świeci wzrok rannego zwierzęcia, co wyrwało się z mami, na zaciśnięte pięści. Szubert śmiesznie pociąga nosem, Czarny płacze cicho i grube łzy spływają po jego policzkach. Karol stoi z opuszczoną głową, a z ust cieknie mu gęsta ślina.

Wkrótce kancelaria pustoszeje, zostaje tylko sam Henryk i kierownik obozu z schreiberem bunkra.

— Jesteś do dyspozycji Oddziału Politycznego — mówi kierownik obozu. — Za godzinę blockfuhrer niech cię zaprowadzi do Oddziału Drugiego do wyjaśnienia.

A więc to jeszcze nie koniec. Gra może zacząć się od nowa. Henryk czeka, zamknięty w kancelarii, czeka na

udrękę, wie
o tym. Przecież Politische nawróci do starej sprawy, za którą go zamknięto, musi nawrócić do historii trasy. Po raz pierwszy jednak pojmuje, że to historia zakończona dziś właśnie, że to środowisko, które opierało robotę wyłącznie na Polakach, przegrało walkę z Oddziałem Politycznym. Już w baraku koło krematorium postanawia w razie potrzeby wziąć wszystko na siebie i spróbować otwartej gry. Przecież esesmani muszą w końcu zrozumieć, że świat o nich wszystko wie, że czeka ich straszna kara. Zrozumieć, nie tylko wiedzieć.

— No, Matula, uratowałem cię, jak widzisz, i to z niemałym trudem — przechwala się kłamliwie Woźnica. — Sprawa już zakończona, zresztą i nie byłoby sensu powracać do niej, gdyby nie prosta ciekawość, czy dobrze prowadziłem śledztwo. Opowiedz więc wszystko od początku, a nic ci za to nie będzie.

— Cóż mogę powiedzieć nowego? Prawdopodobnie istniała tajna organizacja, która kontaktowała się ze światem zewnętrznym. Do tej organizacji należał Kamiński, a jego szefem był Galidze-Galewski. Niewątpliwie on właśnie. Kamiński opowiadał kolegom, mierniczym na przykład, że Galidze ma w obozie silną organizację, że przesyła jakieś raporty do
kraju, że jest, o ile dobrze pamiętam, z angielskiego wywiadu. Jakoś tak. Tak mówił Kamiński.

— Kto? Kamiński? — Woźnica zrywa się z krzesła, przy- skakuje do Henryka. — Z... wywiadu? Angielskiego? Ga- lidze?

Henryk żałuje wprawdzie, że i tym razem nie dojdzie do takiej rozprawy, o jakiej myślał, ale widok osłupiałego i

przestraszonego gestapowca daje zadośćuczynienie. Gdybym mu teraz dał w mordę, upadłby. Na pewno.

— Ja się na tym nie znam, ale Kamiński mówił coś w tym rodzaju, że Galidze informuje Londyn. Zresztą Galidze i mnie chciał zwerbować.

— Do wywiadu? Do... angielskiego?

— Chyba. Komu by były potrzebne takie wiadomości, co się dzieje w Oświęcimiu? Może zresztą bolszewikom? Ja nie wiem.

Gestapowiec odwraca się, idzie ku oknu, jakby chciał przez nie wyskoczyć. Z głośnym trzaskiem wyłamuje sobie palce.

— Masz wyrok, głupcze. Dwadzieścia pięć — powiada. — Daruję ci. Donnerwetter! Możesz odejść.

— Dokąd?

— Do obozu.

Jeszcze nie ma połowy października, a już wszędzie jesień. Pagór krematorium zżółkł, wielkie lipy koło gospodarczych zabudowań stoją w złocie, szare niebo świeci jednak tak jaskrawym światłem, że trzeba mrużyć oczy. Ładnie jest na świecie, cholernie ładnie. Henryk potrąca kamyki żwiru, nogi ma słabe, trudno kopnąć taki kamuszek. W bramie garbaty karzeł-goniec na rozkaz rapportfiihrera bawi się ska- kanką. Wieczorem wielki wóz Wywiezie zwłoki rozstrzelanych tą właśnie bramą do krematorium.

To jest bezwzględnie głupie uczucie, ponieważ tu nie jest przecież mój dom, tylko obóz. Czyżby człowiek odczuwał szczęście zmieniając większe zło na mniejsze? Nie mam się z czego cieszyć, to jest tylko przejście z jednego kręgu piekieł do innego, nic więcej — myśli

Henryk wkraczając w główną arterię obozu, a jednak jest w nim radość niezależna od mózgu,
261
mmmmm
jest w ciele, we krwi, przedostaje się z zewnątrz przez wszystkie póry skóry, przez wszystkie zmysły.

Czarny stoi na wysokości kuchni, czeka na powrót Henryka.

— No, to cię puścili! Zapieprzamy na krankenbau, wiara wszystko przygotowała. Mamy aufnamę* — mówi ciągnąc go za rękaw.

W izbie Jasia było rojno i gwarno, dzban z bimbrem Goryla krążył wśród zgromadzonych tu lekarzy, pflegerów, schrei- berów, wyzwolonych z bunkra. Karol duldał napój z miski. Szubert pił szklaną bańką, których komplet stał na zydlu.

— Pij, pij, na stypę kochanym rodakom, na wesele nam, pijże, pijże, co robisz takie miny, pij! — zachęcał Szubert. Henryk odmówił. Postanowił nie palić i nie pić, zresztą czuł, że parę kropli zwali go z nóg. Chciał być trzeźwy.

— Tak ładnie szli na rozwałkę — mruczał Karol. — A mnie nie ma, fiut, i ich nie ma... Nie, nie powiem, nie wolno paplać. Paplanie nas gubi. — Ogromna, łysa głowa trzęsła się przy każdym słowie, mruczenie przeszło w żałosny bełkot.

Przez kilka dni Henryk i Czarny odpoczywali na Chirurgii, przyjęci w stan chorych, na sali, gdzie „mieszkał" Zygmunt, sprawujący teraz funkcję schreibera bloku. Leżeli na górnej pryczy, tuż obok okna wychodzącego na Dziesiątkę i Jedenastkę, i spali, budząc

się tylko w porze posiłków i zastrzyków. Mały Felek od dachdeckerów przychodził co dzień do Czarnego, ale nie budził go, organizował dla niego żywność i papierosy, składał je na łóżku i odchodził. Pewnego dnia zjawił się u Henryka Łokietek z dużą paczką. Było to ubranie cywilne, przerobione wedle obozowego przepisu.

— Farba nie taka mocna na krzyżu i lampasach, łatwo wykruszysz, Heniek, jakby co, a łata na plecach tylko naszyta. Dziury nie ma. Ancug fajny, angielska wełna. Schow se, a jak pójdziesz do komanda, będzie jak znalazł. Do bunkra chciałem ci sweterek posłać, ale się pokręciło. Było ci zimno w bunkrze? Ja już teraź wiem, że i Żorż trefny facet.

Co mnie tam zresztą, nie moje sprawy. Heniek, musimy się zająć twoją starą, nie? Najlepiej by było, żeby ją wtrynić do „Kanady". Tam straszne magazyny pobudowali, coś trzydzieści, a życie mają! Mój esman mógłby pomóc. Jak myślisz?

Henryk wodził palcami po grubym, granatowym materiale, wyczuwał wypukłość łaty na marynarce, chropowatość czerwonego szlaku. Wystarczy odpruć łatę, wykruszyć farbę... Pytał o obóz cygański, gdzie pracowała teraz Maryjka, i Łokietek opisywał go dokładnie. Familijny obóz Cyganów, urządzony dla kilkunastu tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci w barakach nowego odcinka Birkenau, posiadał obsługę złożoną zarówno z więźniów, jak i więźniarek i Łokietek z wypiekami na twarzy opowiadał, że żyje się im tam jak w bajce. Za kromkę chleba można kupić dziewuchę cygańską, grają kapele, na sztubach funkcyjnych są gołe tańce, Cyganie nie chodzą do roboty, a wśród nich wielu przyszło do lagru wprost z

frontu. Niedawno na innym odcinku Birkenau powstał również familijny obóz Żydów z Theresienstadt, z Czech, którym świetnie się wiedzie. Do roboty ich nie gonią, mają własny szpital, ochronkę dla dzieci...

— Chcesz mnie, widzę, pocieszyć. Przecież to bujda. Obóz familijny? Freblówki? Łokietek, ja nie jestem słabeusz, co się załamuje pod ciężarem złych wiadomości, powiedz prawdę, jak tam jest?

Henryk nie wierzył Łokietkowi. Jakże, tuż przy krematoriach, gdzie dzień w dzień giną tysiące ludzi w komorach gazowych, mają być sielankowe wyspy dla całych rodzin? Może im jeszcze czekoladę dają? Łokietek potwierdził. Dają. Czerwony Krzyż przysyła Czechom do obozu familijnego. Prawdziwą czekoladę. I sardynki. Zaklinał się na wszystko, że nie kłamie. Zygmunt potwierdził opis Łokietka.

Usypiają ich i jeszcze kogoś. Może i nas? Trzeba reagować na takie tricki — myślał Henryk. Był już wypoczęty i zdrowy, chciał iść na komando i w tym celu przeprowadził rozmowę z Zygmuntem. Siedzieli w małej salce chirurgicznej, zbudowanej i urządzonej sumptem więźniów, odcięci od wielkiej, zawsze szumiącej setkami rozmów sali cienką ścianką i rozsuwanymi drzwiami.

— Prosiłem cię o rozmowę, bo stawiam się do dyspozycji Partii. Sądzę, że ty masz kontakt.

— A, zaraz, zaraz. Po co? Chcesz mieć bilet partyjny czy jak? Wytłumacz albo lepiej nic nie gadaj. Ja wiem: jesteś pełen nienawiści i zemsty, bunkier i tak dalej. Chcesz odwetu za swój los, rozumiem. Ale czy wiesz, że to niebezpieczne? Czy przypadkiem nie sprowadzasz wszystkiego tylko do osobistych odczuć, do tego, co się w

tobie dzieje? Zastanów się, podpisujesz, Henryku, cyrograf. Jesteś potrzebny, każdy jest potrzebny, jeżeli ci to jednak nie wystarcza, cóż robić, możemy cię ochrzcić na czerwono.

— Nie żartuj. Traktuję sprawę z całą powagą. Sądzę, że mi wierzysz. Wiesz, co we mnie się dzieje? Gdybym przypuszczał, że jestem sam, nie wytrzymałbym, nie wytrzymałbym. Na pewno zostałbym szpiclem lub samobójcą.

Henryk mówił chłodnym, beznamiętnym głosem, od którego ciarki chodziły po grzbiecie Zygmuntowi. Słuchał, z nawyku chciał protestować, ale cóż w końcu mógł powiedzieć? Że boi się zimnej nienawiści? Teraz była potrzebna, z pewnością przydatna. Zgodziwszy się na zawiadomienie „kierownictwa" orzekł, że właśnie z woli owego kierownictwa powinien zostać w szpitalu, który staje się czerwonym fortem podziemia. Był zdumiony reakcją adepta. Henryk odbierał jego słowa jak rozkaz, ale z niewytłumaczalną wprost radością, wewnętrznym zadowoleniem.

Zygmunt przedstawił go szpitalnej grupie, do której należało kilku sanitariuszy i schreiberów, Polaków, Jugosłowian, Austriaków i Czechów, prosząc, by zapoznał się z programem roboty, a następnie zapędził do przepisywania ulotek. Co noc Henryk, zamknięty w salce zabiegowej, kopiował tekst, przepisywał przez kalki, ręcznie, drukowanymi literkami dokładną informację o sytuacji w kraju i w Europie, dowiadując się przy tym nowych dla siebie rzeczy. Ulotka wyjaśniała rolę polskiej emigracji i krajowego Ruchu Oporu, podawała jednakże program własny, sformułowany przez Zygmunta.

Domagała się jedności socjalistów, komunistów, wszystkich demokratów, wzywała wszystkie organizacje w terenie przyobozowym do podjęcia wspólnej walki, a obóz do solidarności międzynarodowej.

— Ja się i tym nie zgadzam—powiedział kiedyś Zygmuntowi. — Za dużo o tej politycznej solidarności. Do diabła, trzeba wezwać ludzi do porzucenia Londynu, do opowiedzenia się za Sowietami. Jasno, niedwuznacznie.

Zygmunt przeciął dyskusję stwierdzeniem, że takie jest zdanie kierownictwa.

Ulotki były' gotowe, część zabrali łącznicy, by rozrzucić w terenie podobozów, resztę Henryk ponumerował i podzielił. Pewnego wieczora kazał mu Zygmunt pójść z kilkoma ulotkami za pralnię, gdzie oczekiwać nań będzie chromy człowiek z miską w ręce. Sam zaś pobiegł do Marka. Marek wydobył z szafki kilka ołówków, scyzoryk, odrobinę kawy w metalowym pudełku, tytoń.

— Weź, mnie przecież już nie trzeba. Idę jutro.

Miał legitymację cywilnego robotnika, perukę, kombinezon. Rano miał wyjść z umówionym komandem i przebrać się w ustronnym miejscu. Znajomy towarzysz czeka na niego w obrębie łańcucha straży, bojówka zaś u granic obozu. Wprawdzie wszystkie przygotowania do ucieczki były sprawdzone, jednak Zygmunt miał złe przeczucia: więzień, który gwarantował Markowi przejście bramy w swoim komandzie, nie wydawał mu się pewny, choć polecono go z zewnątrz jako bardzo dzielnego konspiratora. Nazywał się Kinder.

— No, to serwus, Marek—powiedział. — Adres mojej dziewczyny pamiętasz? Ucałuj ją ode mnie.

— Musicie' wszystko przygotować, zanim front

znajdzie się pod obozem. Droga na Wyleżyn pewna, natychmiast skomunikuję się, z kim trzeba, i dam znać. W kraju burdel niesamowity, aż ręka swędzi do roboty. Trzymajcie się mocno, kochani.

Jutro Marek nawiewa. Jutro Czarny idzie do dekarzy, ściągnięty przez Bolka, Henryk prosi o poważniejszą robotę, Samek Rubin ma przysłać listy zagazowanych w Birkenau. Zygmunt wrócił na blok, zawołał Henryka.

— Pójdziesz z Dudzikiem na Bunę do lagru. Odszukasz schreibera, weźmiesz od niego przesyłkę. Dudzik nie wie, musisz kombinować. W sobotę przychodzą kobiety do naszego dentysty, trzeba przygotować dla nich materiał.

— Mogę ściągnąć tu kogoś bliskiego?

— Możesz. Daj numer Czarnemu.

Rano wyszedł Henryk z Dudzikiem i postem do obozu przy budującej się fabryce chemicznej, z którym kontakt był bardzo słaby. Schreibera odszukał łatwo, wziął od niego dwie szczotki do butów, kryjące jakieś materiały. Na drodze powtomej spotkali kobiety w czerni, mężczyzn dźwigających żałobne wieńce i kwiaty. Święto Zmarłych! Chciało mu się śmiać.

— Śmieszne to, opłakiwać jednego człowieka. Żałoba, pogrzeb — powiedział.

Na Chirurgii nie zastał Zygmunta ani nikogo z bliższych znajomych, dożył więc szczotki w łóżku i poszedł do Jasia. Lekarz, umazany jakimś paskudztwem na twarzy, badał chorego.

— Wyjdź! — powiedział zmienionym głosem. Henryk domyślił się, że coś się znów wydarzyło, ale ponieważ przywykł już do wszelkich niespodzianek, więc

nie zdziwił się nawet, gdy spotkany na korytarzu Zygmunt minął go nie spytawszy nawet, jak poszło na Bunie. Czekał na niego w górnej sali, gdzie jeden z chirurgów robił opatrunki chorym. W wilgotnym powietrzu listopada rozprzestrzeniał się odór ropy. W sobotę przyjdą kobiety. O ile dachdeckerzy zdołają zawiadomić Maryjkę, spotkam się z nią u dentystów. Spotkam się z Maryjką. Co jej powiedzieć? Przecież trzeba się przygotować, koniecznie przygotować. Czasu będzie niewiele, a szkoda każdej sekundy, prócz tego na pewno nie nadarzy się sposobność rozmowy w cztery oczy, chybaby poprosić dentystów o pomoc? Nie, nie będę się wygłupiał. Zaraz, więc zejdę w sobotę na dół, kobiety będą w poczekalni, Maryjka wśród nich. Wie, żem siedział długo w bunkrze...— myślał Henryk.

Zygmunt go zawołał. Manipulował coś przy tablicy stanu, oklejał ją nowym, różowym paskiem lepca. Chorzy jeszcze ciągnęli na opatrunek, stali przy wejściu do salki zabiegowej w brudnobiałych, popstrzonych koszulach.

— Masz nieprzepisowe ubranie, oddaj komu na przechowanie, wdziej zwykle — powiedział zduszonym głosem. — Szczotki zanieś schreiberowi Czwórki, a jak wrócisz, odszukaj mnie zaraz.

— Co się stało?

— Aresztowano kogoś. Marka. Złapali go na przygotowaniach do ucieczki i siedzi w bunkrze.

Henryk znał Marka tylko z okresu przedwojennego) a w obozie, choć go poznał, nie zbliżył się do niego. Marek był pierwszym człowiekiem, który skrytykował kiedyś niemiłosiernie jego książkę w czasie publicznego odczytu. Pamiętał po dziś dzień jego słowa. Wiedział, że Zygmunt

przyjaźni się z Markiem, jednakże po zmienionym głosie schreibera poznał, że to jest nie tylko przyjaźń. Marek jest na pewno w organizacji kimś ważnym, jeżeli Zygmunt drży mówiąc o jego aresztowaniu. Pewno pomagał mu w ucieczce. Nowa historia. Poszedł do Adama na czwórkę i oddał szczotki. Adam też mówił o aresztowaniu Marka z nie tajonym niepokojem:

— Właśnie dziś. Jutro ma wyjść z bunkra Wiktor. Jest wiadomość od Wirtha. A Marek w bunkrze. Siadaj, przetłumacz mi pisma...

Nazajutrz Wiktor rzeczywiście wyszedł z bunkra, sam, bez Tischlera. Wirth czekał nań w pokoju lekarskim Chirurgii, powitał prawie że serdecznie i chciał zabrać natychmiast ze sobą, ale Wiktor wyprosił godzinkę dla siebie. Wziął tusz, wymył się dokładnie, obciął paznokcie i zmieniwszy bieliznę udał się do Zygmunta. Miał wiele nowych projektów, musiał się nimi z kimś podzielić. Kiedy oddalał się w stronę komendantury lekkim krokiem, prawie tanecznym, minął Henryka. Uśmiechnął się do niego jak do dobrego przyjaciela.

Zygmunt potrzebował w tych dniach Henryka, chciał mieć przy sobie kogoś twardego i doświadczonego, bowiem nadchodziły chwile, których się lękał. Poza tym Henryk znał Galidze:

— Poszło wezwanie do naszych, by go załatwili gdzieś poza obozem — powiedział Henrykowi — ale to niełatwe zadanie. W lagrze się pilnuje, zresztą byłyby represje. Galidze maczał palce i w schwytaniu Marka na próbie ucieczki.

— Struć. Galidze pije wódę. Trucizna do wódy — radził Henryk.

— Zostaw. Załatwimy to inaczej. Przygotuj lepiej lekar-
stwa dla kobiet. Masz spis, weźmiesz od Jasia. Przyjdzie jedna tąka dziobata z Rajska, Wera, dasz jej słoik maści na kretzę. do środka włożysz jedną ulotkę i tę karteczkę — podał mu słoik i kartkę. — Dobrze zapakuj.

W sobotę od rana Henryk kręcił się po korytarzu wyczekując nadejścia kobiet. Ze stacji dentystycznej rozchodziły się przedziwne zapachy, pieczono tam mięso i przygotowywano paczki, zniesione poprzedniego dnia przez krewniaków i znajomych. Powiększyła się też na tę okazję obsługa stacji o dwóch ludzi, mężów więźniarek. Wreszcie ukazały się kobiety w zimowych pasiakach, chustkach na głowach. Eskortujący je esesman zasiadł pierwszy na krześle dentystycznym. Sto- matolog-Polak spytał, czy nie chciałby mieć złotego zęba na miejsce wyrwanego, post skinął głową.

Henryk wszedł do poczekalni razem z kobietami i wręczył ospowatej więźniarce słoik. Widocznie była uprzedzona, o co chodzi, bo schowała go bez słowa. Podszedł do Maryjki, która nie wiedziała, czy wolno się jej odezwać, stanął przed nią, wyciągnął ręce. Zerwała się, dotknęła dłońmi rąk Henryka i szybko je cofnęła.

— Jak ci się wiodło w lecie? — zapytał zaczynając obmyśloną rozmowę.

— O, dobrze. Pracuję z cygańskimi dziećmi, opiekuję się nimi razem z Janiną Drążkiewicz. Takie rozkoszne, tylko bardzo chorują. Coś im się robi na twarzy, gnije okropnie.

— Musisz odejść stamtąd, Maryjko.

— Ależ dlaczego? To cudowna praca, z

dzieciakami, z małymi dzikusami. Zostanę. Wiem od Janiny wszystko o was, o tobie. Mój biedny, biedny — szepnęła i nagle pocałowała go w policzek. Młodziutka brunetka zaklaskała w ręce.

— Brawo! To mi się podoba. Twój mąż?

— Nie! — pospieszył wyjaśnić Henryk. Nie chciał, by Ma- ryjka zaplątała się w tę sprawę. — Maryjko, teraz mi już wierzysz, prawda? Wierzysz w to, co mówiłem?

— Wierzę, Henryku.

— A teraz powiedz, co potrzebujesz?

— Nic. Mam znajome w „Kanadzie" i stamtąd, jak co potrzeba, dostaję. Przyszła paczka z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Bardzo się dziwiłam, w jaki sposób dowiedzieli się o mnie. Będą pewno przychodziły nadal takie paczki. Ty nie dostajesz?

Henryk uśmiechnął się: pojął, że chodzi o paczki przesyłane wedle list dostarczonych przez organizację. Dał jej pudełeczko lekarstw polecając otworzyć dopiero u siebie.

— On siedział pięć miesięcy w bunkrze — powiedziała do towarzyszek. Jedna z nich, siwawa kobieta o szarej twarzy, bezbarwnym głosem zapytała, czy był w bunkrze razem z jej mężem, którego rozstrzelano, a dowiedziawszy się, że mąż siedział w innej celi, westchnęła cicho.

— Mówiono mi, że umierali jak bohaterowie.

Henryk potwierdził. Zwróciwszy się do Maryjki powiedział surowo:

— U was na lagrze cygańskim nie najlepiej się dzieje. Jak słyszę, demoralizacja osiąga tam szczyty.

Musisz pomóc, by ludzie nie zatracili godności politycznych więźniów. Mów wszystkim: będziecie odpowiadać za wszystko.

— Kiedy oni chcą żyć, Henryk, zapomnieć o wszystkim.

— Nie wolno zapominać!

— Panie surowy, tożbyśmy powariowały pamiętając ciągle wszystko — powiedziała brunetka. — Cmoknij pan tę swoją i nawiewaj, bo jak cię złapią, dostaniesz dwadzieścia pięć na dupę. Nie lubię kaznodziejów.

W drzwiach stanął esesman i stomatolog. Wywołano pierwszą więźniarkę...

Minęło kilka plugawych dni zimnego, dżdżystego listopada. Obóz był pełen skulonych, przemokniętych postaci, pociętych czerwonymi krzyżami' na marynarkach. Henryk był dwa razy na spotkaniu grupy, poświęconemu omówieniu rozpoznawania towarzyszy wśród chorych i otoczeniu specjalną opieką najbardziej potrzebujących; nadal puszczał w kontrolowany obieg ulotki Zygmuntowe i jako pisarz salowy próbował z masy chorych wyłapać lewicowców, co nie było łatwym zadaniem. Pilnie studiował ich karty, czasem ostrożnie rozpytywał, kiedy wydawało mu się, że jest na tropie, tym zaś, którym wolno było pisać do domu, układał, listy po niemiecku, wciągał we francuskie rozmowy Greków i Belgów, ale nie miał szczęścia i zdumiewał się, gdy fryzjer Waśka, jugo-

■

R»lf

tÜM

!■

n»
H
HBiW
WM
jMi BE
R
■KJV
Ufr* i ■
v
py
■
VT
am
Hü
MHH
Hl
■11X1
m
mmmm
msm
■
mM * hHBSH łk2T
■9111111181111^99
i4jk
słowiański sanitariusz czy ktokolwiek inny z grupy pokazywał mu jakiegoś chorego mówiąc, że to swój towarzysz.

Wiedziano już, co zeznał Marek w śledztwie, komunikacja z bunkrem funkcjonowała teraz nienagannie. Marek bronił się tezą, iż chciał uciec z obozu tylko dlatego, że szpicle prowokują groźne afery. Więźniowie polityczni muszą wprawdzie uznać prawo okupacyjnej władzy do

aresztowania i skazywania patriotów, ale nie mogą się zgodzić na takie ich traktowanie, jak w Oświęcimiu. Przecież również Niemcy znajdują się w niewoli, u aliantów, w obozach odosobnienia i jenieckich. Co by się stało, gdyby wobec ńich stosowano podobne metody jak w Oświęcimiu? Marek nie wypierał się swych socjalistycznych poglądów, znało je gestapo i Oddział Polityczny, bił jednak celnie, skoro przesłuchujący go esesman wdawał się z nim w rozmowy „ha tematy ogólne" i interesował się bardziej układem sił w Polsce niż samą nieudałą ucieczką. Niedługo jednak przeszedł i do tego tematu. Marek donosił z bunkra, że czytają mu na Politische wyjątki z prasy konspiracyjnej, mówiące o obozie i podające dokładne dane, że twierdzą, iż jest „kimś znacznym" w obozie i zapewne wie dobrze, kto i w jaki sposób przesyła owe wiadomości.

Pewnego dnia schreiber Jedenastki przyniósł krótką karteczkę: „Koniec. Przyślijcie truciznę". Powiedział, że Politische zamierza siłą, w oparciu o donosy szpiegów, zmusić Marka do zeznań, bowiem ten, gdy go zaczęto pytać o konkretne osoby, zeznań odmówił.

Zygmunt zastał Wiktora u Adama w komórce. Nie palili światła. W gęstym mroku szeptem omawiali sytuację.

— Powiedziałem Wirthowi wszystko o szpiclach. Wirth bardzo się zmienił ostatnio, zmiękł, wydaje się nie wierzyć w wygraną — mówił Wiktor. — Ale nie może jawnie wystąpić przeciw Oddziałowi Politycznemu, popieranemu przez komendanta Hoessa.

— Spróbuj jeszcze raz — powiedział Adam. — Powiedz śmiało, o kogo chodzi.

— Chodzi przede wszystkim o człowieka, to jasne, ale to

Polak, a Wirth nie chce słyszeć o. Polakach.
Zygmunt nie przyszedł tu po radę, zdawał sobie sprawę,
270
że sprawa jest przegrana. Nie można było nawet wywierać nacisku z zewnątrz, na przykład przez radio, żeby nie pogorszyć sytuacji. Miał przed oczyma widmo zmarłego Spluwy. Nie, Marek nie może tak cierpieć.

— Poślemy mu truciznę. Jest nowa. Bardzo silna, jeśli nic nie da się zrobić...

Wieczorem usiadł w kącie, otoczony przez kilku chorych. Kolorowe szmatki, złoty i srebrny papier leżały na łóżku obok rzeźbionych w drzewie główek lalek. Narysował kostium Heroda, Szlachcica, Matki, Diabła i dał kartki greckim krawcom. Hałaśliwie zabrali się do roboty. Schował główki do pudełka, zaniósł do salki zabiegowej. Już dawno temu napisał krótki tekst szopki, chciał mieć wszystko gotowe przed Bożym Narodzeniem, ale teraz odchodziła ochota do czegokolwiek. Otworzył pudełko, wyjął główkę Heroda z wąsikiem i grzywką, potem Don Kichota. Rzeźbiarz doskonale oddał szczupłą twarz ze spiczastą bródką, pełen błogiej zadumy uśmiech. Długo patrzył Zygmunt w drewnianą twarz. Ktoś cicho rozsunął drzwi. Jasio.

— Przyniosłem — powiedział kładąc na ceracie blaszane pudełeczko. — Daj jutro przy meldowaniu stanu. Wydaje mi się jednak, że nie będzie potrzebne. Bóg będzie nad nim czuwał.

Rano Zygmunt klął chorych, mylił rachubę stanu, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Grecy, którzy, mieli szyć szaty kukiełkom do szopki, na próżno dopominali się o dalsze wzory. Jeden z nich, profesor z Salonik, mason i lingwista,

wysłany w delegacji do Zygmunta, wrócił z niczym i ze smętną miną tłumaczył krajanom, że schreiber jest zły. Rosłe chłopisko, strugające pafyki do kukieł, przyciągnęło do Zygmunta profesora i przy jego pomocy próbowało coś wytłumaczyć. Nie słuchał, wszystkie sprawy stały mu się dziś obce, dalekie, ale jednak było coś tak dziwnego w opowieści Greka, że skupił się i pozwolił raz jeszcze wyłuszczyć sprawę, wiedząc już, że nie chodzi o szaty dla Króla, Diabła, Śmierci czy Szlachcica. Grek nie był Żydem. Jako partyzant walczył z okupantem i, ranny, schronił się w dzielnicy żydowskiej. Kiedy przyszła żandarmeria, kiedy ogłoszono pobór na osiedlenie gdzieś na Ukrainie, podał się za Żyda. I wyjechał. Skądże mógł wiedzieć; że to wszystko oszustwo? Przecież pokazywano plany, pobierano opłaty za działki, wydawano bilety kolejowe. Ale teraz wie. On nie jest Żydem, nie chce ginąc. Prosi, by schreibet napisał mu podanie o zwolnienie z obozu.

— On wie, panie schreiber, że wystarczy być Żydem, by być skazanym na zagładę, że los nasz jest przypieczętowany, że z chwilą dopisania nam imienia „Izrael" jesteśmy poświęceni śmierci — powiedział profesor. — On chce się wryrwać, zniszczyć znamię, rozumiem, rozumiem. Tylko czy to możliwa? Kto raz zgodził się na nasz los... Tu, proszę pana, nikt nie wyciągnie szpady i nie zawoła: synowie wdowy, do mnie! Tu nie ma szpad ani synów wdowy — dodał już ciszej, wyczyniając palcami osobliwe gesty.

Zygmunt wiedział, że Grekowi nikt nie uwierzy, iż nie jest Żydem, zresztą sprawę przesądzał zapis, kilka kartotek i sama zasada: z Grecji przywożono jedynie Żydów. Nikt

nie mógł zasady tej podważyć. Patrzył na dryblasa w krótkiej, brudno- białej koszuli i jego dramat, tragikomiczny w sytuacji obozu, wypierał stopniowo, powoli niepokój oczekiwania na podanie ręki schreiberowi Jedenastki, na uścisk dłoni, który mial przypieczętować los przyjaciela. Był prawie wdzięczny sa- lonickiemu profesorowi za przedstawienie sprawy partyzanta. Przyniósł im po kawałku chleba obiecawszy zbadać możliwości sprostowania personaliów dryblasa. Już spokojnie czekał na umówioną chwilę, oglądał budującą się na piętrze umywalnię z prysznicem i klozet, które urządzano zresztą bez pozwolenia władz, obszedł izby zbierając ostatnie dane do meldunku stanu, a przed apelem wyszedł przed blok. Schreiber Jedenastki zjawił się punktualnie. Przywitali się, długo nie cofając dłoni.

— Dobra. Dam. Ten Kinder sypie paskudnie, ale tylko samą ucieczkę. Albo to szpicel, albo śmierdzący tchórz — powiedział schreiber.

Zygmunt poczuł nieodparte pragnienie porozmawiania i Henrykiem jako z człowiekiem znającym lepiej lager, wielomiesięcznym więźniem bunkra. Nie pamiętał mu teraz oschłej, zimnej nienawiści i neofickiej pryncypialności. Mial przed sobą ciężko doświadczonego człowieka, mniemał, że

sam nie dorósł do jego niewątpliwej tragiczności. Jemu los układał się przecież szczęśliwiej; aresztowany przypadkowo u znajomych, nie obciążony żadnymi zeznaniami — gładko przeszedł śledztwo i kilka tygodni więzienia. W obozie od początku miał uprzywilejowane stanowisko. A Henryk?! Po apelu zaprowadził go do Greków, gdzie stały dwa wolne łóżka, zarzucone

drewnianymi główkami kukieł, patyczkami, kolorowymi szmatkami, strzępami złotego i srebrnego papieru. Grecy dostali wzory kostiumów, szyli w milczeniu.

— Opowiedz mi, Henryku, wszystko od początku. Chcę wiedzieć wszystko.

Świtało, kiedy się rozstali. Zygmunt wsadził elektryczną grzałkę roboty Henryka do miski z kawą, ułamał kawałek chleba i trzęsąc się z zimna zaczął jeść. Już nie kładł się spać, lagerarzt zapowiedział na dziś przegląd chorych, więc trzeba było na czas wszystko przygotować, a przede wszystkim ukryć najcięższe wypadki. Obudził pomocniczy personel, polecił przygotować nosze i ściągnął z łóżka lekarzy salowych. Opuchnięci od snu, ziewając i drapiąc pokąsane przez pchły twarze, przeglądali historie chorób, zmieniali na niektórych kartach diagnozy, poprawiali czerwone i niebieskie zygzaki tętna i temperatury. Sanitariusze przenieśli kilku chorych na sąsiedni blok, umyli podłogę, ustawili wszystkich pozostałych do przeglądu wydając każdemu kartę. Bosonodzy, zziębnięci chorzy stali w ciszy, bezmyślnie oglądając kratkowany papier wykresów. Przez otwarte okna wpadał listopadowy, plugawy chłód. Padał leniwy deszcz.

Mijały długie kwadranse, a posterunek obserwacyjny na klatce schodowej nie krzyknął „Achtung”. Lagerarzt nie przybywał. Wśród chorych wszczął się ruch, wychodzili z rzędu, rozmawiali głośno, łazili między łóżkami, kładli się na barłogi, trzeba ich było co chwila wyłapywać wedle kolejności kart blokowych. Zygmunt powlókł się na dół, odszukał gońca i poprosił, by poszedł do Wiktora spytać, co z wizytą lagerarzta, nie chciał bowiem trzymać chorych na próżno w pogotowiu, bez opatrunków. Stefanek nałożył

fantazyjnie czapeczkę, wziął teczkę, ale Zygmunt widział w wypukłych oczach chłopca pytanie, którego nie mógł zostawić beż odpowiedzi.

— Jedno jest pewne. Stefanek. Nie wydobędą z niego żadnych zeznań — powiedział. Został w kancelarii na dole, czekał na powrót gońca. Stefanek wrócił niespodziewanie szybko. Biegł przez obóz podskakując i machając czapką, wpadł do kancelarii i krzyknął od progu:

— Panowie, kurwa mać, Hoessa nie ma! Przyszedł nowy komendant. Stary idzie do centrali!

Pisarze wstali od maszyn, bardziej przerażeni niż uradowani, przywykli do złych tylko niespodzianek, ale wesołość bijąca z twarzy gońca, z każdego jego gestu podpowiedziała im, że tym razem jest powód do radości. Przecież już gorzej być nie może! Zygmunt odprowadził Stefanka na korytarz. Wiktor kazał powiedzieć, że jest już po odprawie w garnizonie i że nowy komendant przywiózł rozkaz złagodzenia kursu. Chłopak wybiegł opowiedzieć nowinę na wszystkich blokach szpitala. Nie zważał na nic, ani na blokowego, który wzywał go do siebie, ani na chorych, których roztrącał na korytarzach i w salach. Stawał, zadyszany i wesoły, przed kolegami, rzucał im wieść i już pędził dalej.

Rudolf Franz Ferdinand Hoess — założyciel obozu, budowniczy kombinatu zagłady i jej realizator, władca straszliwego państwa oświęcimskiego, Hoess — morderca setek tysięcy ludzi, których nawet nie dotknął pejczem — odchodził.

Blockfuhrerzy wracali z odprawy. Szef Jedenastki usiadł na schodkach i palił papierosa za papierosem. Przysiadła się do niego piękna esesmanka z Dziesiątki, dziewczyna o

wspaniałych nogach i złotych włosach. Milczeli. Potem zjawił się Kuba i schreiber. Zygmunt widział, jak Niemiec tłumaczył coś schreiberowi i jak ten śmiał się całą gębą. Marek będzie za chwilę wiedział. Dzisiaj nikogo nie wyprowadzono na przesłuchanie, żyje więc jeszcze — pomyślał. Po apelu Wiktor złożył dokładne sprawozdanie z rozmowy z Wirthem. Nowy komendant, Liebehenschel, przybył z rozkazem zmiany kursu w obozie, co oczywiście nie dotyczy akcji mordowania transportów żydowskich, zwożonych wprost do komór gazowych. Wirth powiedział wyraźnie, że władze naczelne są zaniepokojone kampanią radia i prasy Q Oświęcim. Przebieg wojny zmusza faszystów do rzucania nowych rezerw na front, co powoduje katastrofalny brak rąk do pracy w Rzeszy. Wobec tego Himmler nakazał wykorzystać setki tysięcy więźniów w przemyśle wojennym.

— Ma ich zabijać sama praca, rozumiecie? Oznacza to jednak, że jest szansa zmiany warunków. Wszystko, co przeszkadza maksymalnemu wykorzystaniu siły więźniów, powinno być usunięte. A przeszkadzają bandyci, mordujący, maltretujący, bijący więźniów, przeszkadza stan sanitarny, przeszkadzają szpicle siejąc niepokój, przeszkadza wreszcie Politische. Taka będzie nasza linia taktyczna.

Adam uśmiechnął się sceptycznie. Czy nie za dużo nadziei? A poza tym trzeba wpierw przedyskutować sytuację. Wiktor nie może narzucać taktyki, nie jest sam.

— Myślę, że sytuacja rzeczywiście sprzyja kontratakowi — powiedział Zygmunt. — Chodzi jednak o to, by nowy komendant i Wirth mieli taką linię, nie my. Rzecz jasna, że nie będziemy „wzmagać wysiłku dla

zwycięstwa", ale tak trzeba by argumentować. Wydaje się, że za jednym zamachem, o ile wygramy, może się udać cały, że tak powiem, program minimum. Widzę takie punkty: odebranie obozu Zielonym i innym opryszkom, obsadzenie bloków, komand i biur więźniami politycznymi, antyfaszystami, przy naszej inicjatywie. Po drugie — usunięcie szpiclów z obozu i sparaliżowanie Politische. Po trzecie — ogólne złagodzenie kursu, zniesienie kary śmierci za lagrowe przestępstwa. Po czwarte — zakaz bicia i katowania bez wyroku. Po piąte — nieograniczanie paczek żywnościowych od rodzin.

Zygmunt zamyślił się, trzymał pięć rozłożonych palców przed oczyma. To chyba wszystko.

— Sparaliżować Politische, ale jak? Nie zapominajcież obaj, że i komendant, i Wirth, i Politische to przede wszystkim esesmani — powiedział Adam.

— Mam! Właśnie dlatego, że esesmani. Trzeba przygotować dokładny wykaz tych wszystkich uczynków panów z Politische, które nie licują z, tfu, honorem SS. Kradzieże obozowego mienia, bogacenie się na łupach z transportów, te wszystkie pobudowane w Rzeszy wille, przesyłki dywanów, odzieży pożydowskiej, wykradzione Rzeszy kosztowności. Na Boga! Zabawmy się w purytanów z głównej komendy SS
czy jak się to tam zwie. Nasi ludzie mają już trochę dowodów, nawet ponotowali numery kwitów nadania i daty. Napiszemy po niemiecku, ładnie, ślicznie, i poślemy Himmlerowi. Listów do Himmlera chyba nie otwierają?

Wiktor niechętnie przyjął projekt, wydawał się mu jakoś bardzo nie fair, ale Adam się zgodził, więc nie oponował. Ze swej strony prosił o przygotowanie dokładnego spisu

szpiclów, kapusiów, zdrajców oraz o propozycje personalne co do nowej obsady.

— Dzielimy skórę na niedźwiedziu. To nie ucieknie. Pilniejsza jest sprawa Marka — powiedział Zygmunt.— Wiktor, nie możesz zaryzykować interwencji u Wirtha teraz, kiedy sam Wirth głosi „nowy kurs”?

— Już mówiłem, Wirth obiecał wstawić się u komendanta, by wstrzymał wszystkie wyroki.

— Słowem, kontratak?

— Kontratak.

Adam i Zygmunt zawiadomili grupy o spisie szpiclów, Jasio pchnął swoich ludzi, ruszyli się wojskowi. Działo się coś dziwnego w obozie. Nagle, z dnia na dzień, szpicle tracili kontakt z masą więźniów, nie rozmawiano z nimi, traktowano pogardliwie lub jawnie prześladowano. Do tej pory każdy,

0którym wiedziano, że jest na usługach Oddziału Politycznego, otoczony był gronem pochlebców, lizusów, grzecznych wrogów, zastraszonych winowajców, teraz odsuwali się od niego nawet bliscy, a takie odosobnienie równało się śmierci. Zdarzało się, że w komandzie wstawał ktoś i mówił: „koledzy, oto szpicel”, zdarzało się, że pomniejszych kapusiów

1 zdrajców napadano w nocy i bito, głównych agentów jednak nikt nie śmiał jeszcze tknąć. Codziennie napływały nowe karteluszki z numerami szpiegowskiej siatki Politische. Któregoś wieczoru, przed przeniesieniem ogrodników na zimę do Brzezinki, Henryk, który w tym okresie miał mnóstwo roboty zarówno przy tłumaczeniu listu do Himmlera, jak i przy kontrakcji przeciw szpiclom, udał się na sztubę pracowników Rajska i bez wszelkich

wstępów oświadczył:

— Koledzy, wiecie, kto jestem. Stwierdzam, że Wicek przez swoją dziwkę szantażował osobę aresztowaną za pomoc dla nas. Wicek groził, że ją wsypie. Wicek przedtem
handlował żywnością i lekarstwami, które były przeznaczone dla potrzebujących.

Wicek krzyczał huczącym głosem, że to wszystko wymysły. Wówczas wszedł Czarny. Bez słowa, wśród śmiertelnej ciszy, jaka zapanowała na sali, przystąpił do Wicka. Szukał właśnie na Chirurgii Henryka, by mu oddać kartkę od Ma- ryjki, i tam mu powiedziano, że poszedł do ogrodników. Słyszał jego słowa i zaprzeczenia Wicka. Szklarz porwał zydel, ale w tej chwili ktoś zgasił światło. Na próżno Czarny krzyczał, że to jego sprawa — wśród ciemności nie mógł rozpoznać postaci bijących i bitego, we wrzawie ginął jego głos. Kłębowisko ciał i krzyku potoczyło się pod nogi Henryka i Czarnego i nagle wymknęła się z niego ciemna plama.

— Uciekł! — krzyknął Czarny i rzucił się w pogoń. Wkrótce jednak powrócił. Wicek schronił się u kapów, u Zorża Galidze.

— Narobiliśmy kramu — powiedział Czarny. — Co teraz? Dać ci gryps od tej Smolik?

Maryjka pisała, że przerażona jest rozprzestrzenianiem się tajemniczej choroby, podobnej do trądu, i podawała nu- merowy spis łobuzów, szalejących w obozie cygańskim. Trąd? Henryk spokojnie, by nie wywoływać paniki, obszedł zaraz wszystkich zaufanych lekarzy-Polaków pytając jeśli nie
o specjalistę, to przynajmniej o kogoś, kto mógłby coś

wiedzieć o trądzie, cytował podane przez Maryjkę objawy, zachęcał do zmontowania ekipy na wyjazd ze standortarztem do Brzezinki. Szubert przypuszczał, że chodzi może o dżumę, nie o trąd.

— Czarna zaraza, morowe powietrze. Trupy sinieją, no tak, tak. Jeżeli to prawda, wszyscy pójdziemy raz dwa do pieca. Dżuma, hm, możliwe — mówił. — Wdowiak był w Azji, gdzieś tam na końcu świata w każdym razie, poradzę się go, zobaczymy. Ale ani słowa haftlingom!

Dżuma? W tym ogromnym skupisku, gdzie tysiąc ludzi żyje w jednym baraku? Henryk zawiadomił Zygmunta o nowinie :

— Nowy komendant, rzekomo nowy kurs, tyle zabiegów, a tu — morowe powietrze. Trzeba natychmiast odizolować cygański lager i coś zrobić, inaczej wszyscy zginiemy, a zaraza pójdzie dalej na Polskę.

Zygmunt przez Wiktora zawiadomił Wirtha o epidemii prosząc, by w razie wyjazdu ekipy zabrano także Henryka. Wirth wziął Wdowiaka, dwóch innych lekarzy oraz Henryka i pojechali sanitarką do Birkenau.

Henryk dawno już nie byl w Birkenau. Ogromna równina tonęła w brunatnym błocie, przecięta prostymi drogami, wiodącymi ku krematorium. Sam widok setek drewnianych, czarnych od deszczu baraków, wielokilometrowych linii drutów i rowów, całej tej regularności geometrycznej tak przytłaczał, że wszystko stawało się tu obojętne. Koło FKL przeciągał pochód kobiet z czerwonymi kółkami Karnej Kompanii. Dźwigały naręcza cegieł, przegięte do tyłu, brodzące w grząskim błocie. W familijnym obozie czeskim stały gromadki dzieci

patrząc smutno przed siebie. Młoda dziewczyna odganiała je brzozową miotełką od drutów. Auto skręciło na odcinek zajęty przez Cyganów. Przed barakiem siedzieli starzy mężczyźni pykając fajki i patrząc w ołowiane niebo, na sznurach suszyła się wyprana bielizna, kolorowe spódnice i chusty, wiatr- targał nimi, jakby chciał zniszczyć ów ślad odrębności życia.

Lageraltester obozu cygańskiego powiódł ekipę do jednego z baraków, gdzie właśnie wykryto chorobę. W zaduchu wilgotnych betów leżało dwoje dzieci z dziurami w policzkach. Chłopiec siniał już i jęczał monotonnie, pot zlepiał mu skudlone włosy nad czekoladowym czołem. Kilka setek Cyganów wylazło z prycz, z zakamarków między pokładami łóżek, suchy mężczyzna w różowej koszuli stał nad dziećmi rozkładając ręce. Po niemiecku, podwiedeńskim akcentem żalił się Wirthowi.

— Byłem na froncie, dostałem naszywki gefreitra i co? Jak to może być, żeby mi syn umierał? Jak to może być? Mam pięć córek, ale jednego jedynego syna. Robaczek mój, słonko moje. Proszę posłusznie o pomoc. Jak to może być...?

Tłum Cyganów ufnie spoglądał na Wirtha i lekarzy. Dziewczyna w żółtej spódnicy i koszulce gimnastycznej, przez którą przebijały okrągłe piersi, uklękła przed Wdowiakiem, badającym dzieci. Henryk krok za krokiem wycofał się z baraku. Na powietrzu odetchnął głęboko i zapytawszy spotkaną więźniarkę o drogę pospieszył do baraku Maryjki. Zastał ją,

skuloną w kącie, patrzącą dzikim wzrokiem na dzieci tańczące | Janiną w kolistym korowodzie.

— Dziękuję za wiadomość, Maryjko. Jak się masz, Janino?

Standortarzt bada dzieci, miejmy nadzieję, że to nic groźnego— mówił głaszcząc zimne ręce Maryjki. Dał jej pudełeczko lekarstw, wzięte od Jasia. Janina uśmiechała się pogodnie, uciszała dzieci jakimiś cygańskimi słowami. Usłuchały* usiadły wlepiając wzrok w przybysza.

— Nie mogę, nie mogę, Henryk — powiedziała Maryjka. — Staram się być dzielna, naprawdę, ale nie mogę. Co mam robić? Co mam robić? Dziś w nocy gazowali i palili pięć tysięcy. I te dzieci... Henryk, co robić? Boję się trądu, boję się trądu.

— Wyjdź ze mną, spytam, jaki jest wynik oględzin, dowiesz się sama. Do widzenia, Janino.

Wziął ją za rękę i wyprowadził z baraku. Dreptała przy nim poprawiając ubranie i chustkę. Blok, w którym bawiła komisja, huczał teraz jak lewantyński rynek. Chore dzieci załadowano na samochód. Cyganie, nic sobie nie robiąc z obecności Wirtha, powracali do swoich zajęć, któryś przyniósł skrzypce i jął grać, znalazła się gitara, drugie skrzypce, trzecie skrzypce, powoli barak wypełniał się muzyką. Dziewczyna w żółtej spódnicy wskoczyła na murek, którym biegł przez blok przewód kominowy, i na tej grobli, dzielącej przestrzeń na pół, tańczyła do wtóru cygańskiej melodii. Cytrynowa spódnica okręcała jej smagłe nogi, to znów w nagłym porywie fruwała w górę odsłaniając ciemne uda i brzuch, piersi trzepotały pod białą koszulką.

Henryk wywołał Wdowiaka.

— To jest noma, nie trąd i nie dżuma, rodzaj raka, bardzo złośliwy i rzadki, ale nie zaraźliwy przecież— powiedział lekarz.

Henryk powtórzył diagnozę Maryjce. Wtem zabrzmiały

dwa krótkie strzały koło krematoriów, zaterkotał automat. Wirth wypadł z baraku, odpiął pochwę rewolweru i z napięciem patrzył na zachód. Pomiędzy obozem kobiecym a centralnym była rampa, stamtąd też dochodziły odgłosy wystrzałów.

— Wsiadać! — krzyknął. — Wracamy!

W bramie spotkali sanitarkę jadącą z krematoriów. Wirth zatrzyma! ją, spytał SDG, co się stało. Gdy ten otworzy! drzwiczki, wówczas Henryk ujrzą! okrwawionego esesmana
o opadniętej szczęce i szklistych oczach. Wirth cofną! się, przerażony.

— Coś podobnego! — krzyczał. — Żydówka go zabiła? Własnym jego pistoletem?! Esesmana?!

Widział w obozie tysiące trupów. Widział rozstrzelanych, powieszonych, zaszpilowanych, zagazowanych, zamordowanych pałką czy szpadlem, zmarłych po prostu, ale to byli więźniowie. Zabitego esesmana, i to zabitego przez więźniar- •kę, widział po raz pierwszy. Snadź widok był to niepojęty, bo nie mógł się uspokoić. W biurze jeszcze, gdy opowiadał Wiktorowi o nomie u Cyganów i o zabiciu rapportfuhrera w kremo, powtarzał ustawicznie: — Coś podobnego, coś podobnego !

Rozdział jedenasty

Przez okienko na strychu widać było połać placu między Jedenastką a Dziesiątką, zamkniętą czerwonym murem z prostokątem czerni, nad którym sterczał czub młodej brzózki. Zygmunt, Henryk i Jasio, zasłoniwszy okno dziurawym kocem, sami niezauważalni z zewnątrz, obserwowali dziedziniec. Nowy komendant wstrzymał

wykonanie wszystkich wyroków i dziś, po konferencji z Wirthem, odbywał przegląd bunkrów i bun- krowców. Pojawił się na scenie w otoczeniu sztabu i kierowników oddziałów, oglądał czamy ekran, dłubał w płytach słucha- jąc objaśnień szefa Oddziału Politycznego. Z bocznego wyjścia wysunął się rząd gołogłowych postaci, wypełznął na piasek, wyprężył się w długi szereg. Kuba bykowcem wyrównał linię, schreiber zameldował stan. Na skrzydle tuż koło muru stał Marek, Tischler, prowokator Kinder i Wicek od szklarzy, dalej muzyk z orkiestry, wirtuoz na trąbce. Obserwatorzy na strychu wiedzieli, że Wicek prosił Żorża Galidze, by ten spowodował zamknięcie go w bunkrze, bo bal się zemsty kolegów.

Komendant kroczył wzdłuż szeregu, potem zawrócił i stanął przed Markiem. Zygmunt i towarzysze usiłowali z ruchu warg odgadnąć, CO mówi Niemiec, a co Polak. Wygolona głowa Marka od czasu do czasu wykonywała ruch, to warzy -

szacy zazwyczaj szukaniu odpowiedniego słowa. Nie chciał rozmawiać przez tłumacza. Orszak komendanta skamieniał, tylko szef Politische, jedyna ruchoma tu figura, kręcił się niespokojnie, usiłował oderwać Liebehenschla od Polaka, dogadywał coś, trzepał ręką powietrze. Marek mówił bardzo długo, wreszcie skończywszy dźwignął wysoko głowę i zezem spojrzał na resztę bunkrowców. Wszyscy patrzyli na niego. Komendant zapisał numer, przeszedł do Tischlera, potem do następnych, aż przesłonił go wewnętrzny mur. Bunkrowcy tkwili jeszcze chwilę w szeregu, dopóki orszak nie opuścił bloku, dopóki Kuba nie zaczął dzikiego, obłędnego tańca pod ścianką. Skakał w

miejscu trzęsąc zwałami tłuszczu, strzelał z bykowca, bil się w szeroką pierś, kręcił się w kółko, a potem, krzyknąwszy coś, jął wyganiać więźniów z placu. Po chwili już tylko mietlisty czub brzózki nad czarną ścianką poruszał się na scenie. Zygmunt zdjął koc i ponieważ wydawało mu się, że ktoś wszedł na strych, obejrzał się, spostrzegł znajomą sylwetkę blokowego. To on oskarżył Wiktora i Tischlera!

— Co, co tam się dzieje? — spytał blokowy balansując na belce stropowej. Stanął w świetle, spojrzał na pusty plac i zmarkotniał.

— Komendant rozmawiał z amnestionowanymi więźniami i pytał, kto ich wsypał — powiedział Zygmunt.

— E, skąd wiesz?

Zygmunt wytłumaczył, że po ruchu ust poznał treść rozmowy, ale blokowy nie wierzył, by to było możliwe, zgodził się jednak na próbę. Stanąwszy o kilka kroków od Zygmunta, patrząc mu na usta odczytał najpierw swoje nazwisko, potem wyraz „zdrajca".

— Świetne, świetne, nigdy bym nie przypuszczał... doskonały sposób — blokowy udawał wesołość, ale nie zdołał okłamać trzech Polaków. Rzekoma wesołość pękała pod naciskiem ich wzroku, wyjrzał spod niej lęk, a to im wystarczyło. Po raz pierwszy od trzech i pół lat obozu przywilej strachu przechodził na siejących strach. Schreiber Jedenastki powtórzył dokładnie przebieg wizyty, zakończonej przeniesieniem wszystkich karnych i śledczych więźniów z podziemi na pierwsze piętro. Komendant pytał każdego, za co znalazł się w obozie i za co w bunkrze, zapewniając, że mogą mówić szczerze, bez obawy. Marek wygłosił prawie że przemówienie opierając

się na tezach, przesłanych mu do bunkra, oskarżał Zielonych i szpiclów o sianie niepokoju, o prowokacje, o stosowanie systemu, który czyni życie w obozie nie do wytrzymania. Dlatego więźniowie wolą ryzykować ucieczkę, dlatego praca ich jest bezwartościowa, dlatego... Komendant słuchał z napięciem, słowa Polaka trafiały mu snadź do przekonania, bo przemówiwszy zapewnił, że naczelnym celem obozu jest wytężona, ofiarna praca więźniów, ona jedyna może ich zrehabilitować. „Arbeit macht frei" musi stać się prawdziwym hasłem. Ktokolwiek zaś będzie przeszkadzał jego realizacji, zginie.

— Marek prosi, żebyście napisali po niemiecku taki elaborat w guście nowego komendanta. Nacisk na zmianę funkcyjnych i likwidację szpiegów.

Henryk ostro zaprotestował. Zaciągnął Zygmunta na pustą sztubę, nakłaniał, by nie podejmować podobnej decyzji, nie iść na rękę Liebehenschlowi. Przecież on gotów wykorzystać takie stanowisko dla SS, do propagandy choćby. „Polacy więźniowie oświadczyli, że chcą przyczynić się do zwycięstwa obrońców cywilizacji europejskiej przed barbarzyństwem Wschodu. Pracujcie! Obóz oświęcimski — obóz pracy! SS jest wielkoduszne, darowało życie wrogom. SS szanuje międzynarodowe prawo". Już widział takie nagłówki, już słyszał przemówienia przez megafony. Nie, całkowity opór, bez reszty.

— Chcesz Marka i towarzyszy posłać koniecznie na śmierć? Przecież to niemożliwe, zupełna bzdura. Nie dlatego, że przyjaciel, że potrzebny, ale ze względów ogólnych. Nie wolno zaprzepaszczać szansy. W tej chwili ważą się losy nas wszystkich. Henryk, zrozum, oni nie

mogą wykorzystać naszego stanowiska. Mimo całego cynizmu nie mogą posługiwać się argumentem Auschwitzu.

— To nie zmienia sensu sprawy. W każdym razie proszę, byś powiadomił kierownictwo o moich obiekcjach. Zastosuję się do rozkazu. Ale na miejscu Marka za nic bym tak nie dyplomatyzował. Trzeba ich zabijać, nie — głaskać!

— Dobrze, capie, dobrze, ale na razie musisz pomóc. Ja

nie potrafię pisać po niemiecku. Na jutro musimy mieć pismo gotowe.

— Czy to polecenie?

— Tak, jeśli musisz miewać polecenia — odparł Zygmunt.

Henryk tłumaczył i pisał, ale Zygmunt podejrzliwie czytał

każde zdanie, powtarzał, prosił o wyjaśnienia, proponował zmiany sformułowań, aby tylko nie przyniosły one klęski, miast ratunku. O świcie obudził niemieckiego kolegę z biura szpitala, prosząc o sprawdzenie tekstu, kiedy zaś memoriał był poprawiony, przepisał go sam drukowanymi literkami i zaniósł Wiktorowi, by przeczytał przed wysłaniem na Jedenastkę.

Henryk czekał długo na odpowiedź, czy jego stanowisko zyskało aprobatę kierownictwa, wreszcie przypomniał się Zygmuntowi.

— Jaka jest odpowiedź na moje zapytanie?

— Tak ma być. Działanie nasze zyskało aprobatę... kierownictwa— odrzekł Zygmunt.

Henryk odetchnął z ulgą, albowiem dręczyła go

przedtem wątpliwość przecież niebłaha. Teraz wiedział jasno, jak ma postępować i jak oceniać postępowanie towarzyszy. Tam gdzieś na górze, wierzył, mają więcej danych niż on, lepsze rozeznanie sytuacji, kierownictwo zapewne operuje nie tylko tą grupą aktywu, w jakiej się znalazł, prowadzi bardziej złożone akcje i, co najważniejsze, składać się musi z ludzi o wielr kim doświadczeniu konspiracyjnym, z ludzi innego pokroju niż Zygmunt czy Marek. Uspokojony przez Zygmunta, chodził na spotkania z nieznajomymi ludźmi, którzy wręczali mu karteluszki z numerami szpiclów i morderców, sprawdzał w kartotece szpitalnej, o kogo chodzi, i uzupełniał informacje o tych osobach na blokach.

Zygmunt podziwiał jego spokój. Sam żył w nerwowej atmosferze toczącej się kampanii. Właśnie wówczas przyjechała do Oświęcimia nadzwyczajna komisja SS, aby zbadać kryminalne przestępstwa w garnizonie, nałożyła areszt domowy na kilku esesmanów, a w tym i funkcjonariuszy Oddziału Politycznego.

Pewnego grudniowego dnia przyszła kartka od Marka. Kinder, prowokator podszywający się pod nazwisko boha tera konspiracji i obiecujący poprzednio pomoc w ucieczce, przyznał się, że działał na rozkaz Galidze, że jest agentem Oddziału Politycznego. Błagał o przebaczenie. Proponował nową ucieczkę. Gotów byl dać Markowi gwarancję bezpieczeństwa, albowiem w tej ucieczce wziąłby udział i on, i Wicek od szklarzy. Zygmunt posłał kartkę Wiktorowi.

— Panie doktorze, wielokromie ośmielałem się zaprzątać pana uwagę faktami ujemnej roli reżymu Zielonych i szpiclów. Panu komendantowi też już o tym wiadomo, chociażby ze sprawy Marka — mówił Wiktor.

— Mamy teraz nowy dowód prowokacji.

Wirth nerwowo tarł dłonią brodę, a kiedy Wiktor zrobił dramatyczną przerwę, powiedział w obawie, że nie zechce dalej mówić:

— Pan wie, że komendanta bardzo te rzeczy interesują, że zapisał numer pańskiego znajomego i ma najlepszą wolę ukrócenia wybryków niektórych esesmanów, którzy plamią mundur, hańbią nasz honor. Pan wie, że nadzwyczajna komisja bada nadużycia. Może pan śmiało mówić, Wiktorze.

Wiktor opowiedział o prowokacyjnej propozycji z bunkra, Wirth zaś kazał mu spisać dokładną notatkę uwzględniającą nazwiska.

— Co, zdaniem pana, należy zrobić z tym agentem Politische?

— Na razie nic. Gdyby go przesłuchano, wyparłby się wszystkiego, a rozmowy nie da się udowodnić. Moim zdaniem należy poprzestać na obserwacji, co zresztą będzie się działo niezależnie od postanowień komendanta. Obawiam się jedynie, że Oddział Polityczny okaże się silniejszy od pana, panie doktorze, i nawet od pana komendanta, że go uprzedzi, a wówczas narażony będzie mój znajomy w bunkrze.

— Pan myśli, że podoficer gestapo silniejszy jest od ober- sturmbannfiihrera? Pan myśli, że... mniejsza z tym. Przyszliśmy do SS jako do zakonu wybranych, ślubowaliśmy posłuszeństwo i czystość, tak, germańską czystość, i nie zniesiemy, by ktokolwiek odzierał nas z rycerskiego honoru. Pan jest obywatelem Rzeszy, pan jest, Wiktorze, Aryjczykiem, pan jest ideowcem, zrozumie pan mnie na pewno.

— Jestem tylko człowiekiem, panie doktorze. Takim sa-
mym jak te dziesiątki tysięcy- więźniów i dziesiątki tysięcy Żydów zwożonych na zagładę.

— Oczywista nieprawda. Dlaczego przyrównuje się pan do Żydów? Gdyby to byli ludzie, palnąłbym sobie dawno w łeb, nie zniósłbym... mniejsza z tym.

— Rozumiem. Punkt widzenia. Wystarczy przyjąć na chwilę, że to nie ludzie, by traktować ich jak zwierzęta rzeźne, ale moja ideologia...

— Niech pan milczy, Wiktorze, nie przekona mnie pan w tej kwestii. Wróćmy do ostatniej informacji. Nie pytam, skąd ją pan ma, ani jej nie sprawdzam. Przekażę dziś jeszcze komendantowi, bo jutro wyjeżdża w objazd podobożów oświęcimskich.

Nazajutrz zakomunikował, że wykonał postanowienie. Dyktował Wiktorowi prywatny list do rodziny śledząc wrażenie, jakie wywołują zarówno słowa o obrazach końca świata, widzianych w Oświęcimiu, jak i zapewnienia, że pozostaje wiemy ideałom, które skierowały go do SS.

— Londyn groził nam wszystkim śmiercią — powiedział z uśmiechem. — Wyrok nawet podobno ogłosili w prasie podziemnej w Polsce. Moja żona błaga, bym się wycofał, nie rozumie, kochana, obowiązku posłuszeństwa.

Spojrzał na biurko, gdzie stała fotografia kobiety z dwojgiem dzieci.

— Najgorzej z dziećmi, Wiktor. Ale rozkaz rozkazem. Fiihrer wie, co robi.

Zapukano do drzwi, Stefanek otwarł je, ale, ujrzawszy Wirtha, raptownie zamknął.

— Niech pan wyjdzie, pewno do pana — powiedział Wirth.

Stefanek drżał, bladł i .czerwieniał na przemian. Bez słowa
podał Austriakowi karteczkę, co dopiero otrzymaną od Zygmunta, w której Marek donosił, że Kinder, chcąc się rehabilitować i pozyskać pełne zaufanie, zdradził, że jutro rano ucieknie za wiedzą Politische... Żorż Galidze! Wiktor spojrzał na zegarek, do apelu było najwyżej kilkanaście minut, komendant wyjechał. Wirth więc nie może natychmiast reagować. Ale przecież nie chodzi o uniemożliwienie ucieczki, lecz właśnie o przeprowadzenie dowodu, że jest ona dalszym ciągiem polityki Drugiego Oddziału. Wszedł do gabinetu
i dokładnie opisał sprawę zwracając uwagę na jej znaczenie. Wirth porwał za telefon, połączył się z biurem komendanta, pytał, gdzie teraz może się znajdować, w którym obozie.

—Będę telefonował aż do skutku — powiedział siadając na biurku i czekając na połączenie.

—Panie doktorze, proszę pozwolić mi odejść. Orkiestra już gra, nie mogę się spóźnić — tłumaczył Wiktor, a kiedy szef zezwolił, wybiegł na korytarz, by zdążyć jeszcze przed wymarszem komanda umyć ręce.

Tymczasem w obozie gromadził się apel. Tysiące zziębniętych ludzi wrzucała tu brama, tysiące wracały z dwunasto- godzinnej pracy. O tej samej godzinie w całym kombinacie oświęcimskim, podzielonym gwoli zamaskowania wielkości na trzy człony, Oświęcim, Brzezinkę i obóz w Monowicach dla IG Farben, sto pięćdziesiąt tysięcy istot prężyło się na baczność, by dozór

mógł sprawdzić, czy wszyscy są na miej- I scu. Ktokolwiek patrzył na znużone kolumny, nie mógł zauważyć żadnej w nich zmiany. Stały jak zawsze, tyle że liczniejsze, z trupami na skrzydłach, w dziesięciu rzędach. Niby olbrzymia zabawka wykonały ruch zdjęcia czapki, rapport- fuhrer obliczał stan.

W salce Jasia spiesznie pakowano pocztę. Należało uprzedzić za wszelką cenę bazy w okolicy, oddziały bojowe i łączników, że jutro ucieka Galidze, należało przygotować je na ewentualną prowokację. Do polecenia natychmiastowego zgładzenia Żorża Galidze dołączono projekt dodatkowej denuncjacji Oddziału Politycznego przed nadzwyczajną komisją i komendantem, z wnioskiem, by tekst w języku niemieckim jak najrychlej przesłać na wskazane adresy. Pismo zawierało dokładny wykaz dokumentów, na podstawie których komisja mogła udowodnić Oddziałowi Politycznemu przekraczanie kompetencyj, samowolne zbrodnie, maskowanie ich w dokumentach, jak również podawało, że dokumenty te znajdują się w baraku Oddziału Politycznego. Jasio poślinił chemiczny ołówek, napisał na przesyłce kilka liter i oddał je łącznikowi.

Po długiej nocy nastał chmurny dzień grudniowy. Zygmunt i Henryk powitali go w schreibstubie szpitalnej, gdzie spędzili ostatnie godziny milcząc, pomagając pisarzom sporządzać meldunki, grzejąc się przy piecyku. Nie brali udziału
w żadnej z rozmów, które od czasu do czasu przerywały stukot maszyn i szelest papieru, chociaż na nocnej zmianie było kilku znajomych Zygmunta, kilku lewicowców. Słowacki komunista Kareł, socjalista z małej mieściny

polskiej, wiedeńczyk z młodzieży komunistycznej, malarz szyldów — austriacki socjaldemokrata, wszyscy ci ludzie rozmawiali o zmianie komendanta i rzecz osobliwa — nikt się nie łudził, że to istomie „zmiana kursu" z dobrej woli SS, lecz jednomyślnie twierdzili, iż SS jest zmuszone tak postępować.

Zaraz po wymarszu komand schreiber Jedenastki przyprowadził do stacji dentystycznej Marka. Zygmunt objął go i ucałował. Jasio, odebrawszy pakiecik z trucizną, rzeczowo wypytywał o zdrowie.

— Moja depesza poszła dalej? Szpicle u nas siedzą jak trasie, boją się wyjść ze sztuby. Sądny dzień mają łotry, we łbie się im nie chciało pomieścić, iż ich panowanie się skończyło. Myślicie, że Galidze istomie wieje, czy też to była podchwytka?

— Bóg wie, co to wszystko znaczy — szepnął Jasio.

— Zdaje się, że Grabner, Lachmann, Woźnica i inne fisze z miłego baraczku koło komina wiedzą w tym wypadku więcej — powiedział Marek. — Dajcie mi ten memoriał. Wkuję na pamięć. W budzie nigdy nie mogłem się niczego nauczyć na pamięć, może teraz potrafię. O, nie, przepraszam, raz się nauczyłem, nauczyłem się i pamiętam. Jedyny wiersz, jaki pamiętam — Marek podniósł rękę i zanucił: „Odi profanum vulgus et arceo..." — No tak. Ktoś mi mówił na Jedenastce, że robicie tu szopkę. Grałem na uniwerku w szopce politycznej, co ja to grałem? A więc z tą szopką to prawda?

— Napisałem. Poślę ci na Jedenastkę — powiedział Zygmunt.

Marek zwrócił'się do Henryka. Siedział jakiś czas w jego celi, o czym dowiedział się od Tischlera, widział kreskowy

kalendarz na drzwiach.

— Twoje szachy bardzo się przydały, Henryk. Pamiętasz, skąd się znamy?

Henryk spojrzał surowo. Przypomniano mu znowu osobistą tajemnicę, ale nie odczuwał już grozy, po prostu przywykł, przyzwyczaił się do siebie samego.

— Dziwne, zmieniłeś wygląd. Teraz podobniejszy jesteś do dawnego Henryka—mówił dalej Marek.

Trzeba się było pożegnać, bo przyjechał lagerarzt. Henryk wrócił na salę i zabrał się do codziennej roboty, był jednak głodny, uwagę odciągał zapach smażonego mięsa, które pich- cili sztubowi w piecyku. Chrupali odświeżoną nad ogniem bułkę. Henryk nie miał teraz znikąd stałej pomocy, czasem tylko Czarny lub Łokietek przynosili coś do zjedzenia. Przypomniał sobie uwagę Marka, że wygląda inaczej, że się zmienił. Obejrzał w lusterku twarz: wyszczuplała, wydelikat- niała.

Nagle drgnął. Wyła syrena ucieczkowa.

Henryk stał przy oknie poddając ciało przeraźliwemu, jednostajnemu dźwiękowi syreny i dopiero kiedy umilkła, wyszedł z bloku. Obozową ulicą sunęło auto komendanta, zajechało przed Jedenastkę, Liebehenschel, Wirth i dwóch jeszcze esesmanów wysiadło i weszło na blok. Komendant kazał zawołać do kancelarii Marka. Galidze uciekł ze swoim pomocnikiem Leo. Posta upili wódką i zbiegli z nie strzeżonego terenu.

Henryk wspiął się na wolne łóżko w sali i zasnął spokoj- nie mimo wrzaskliwej kłótni chorych, którzy na dolnym pokładzie ubierali kukły do szopki w co dopiero uszyte szaty. Zygmunt obserwował Jedenastkę, obok w salce chirurgicznej krzyczał chory, któremu obcinano odmrożone

palce.

Po dwóch dniach syrena alarmowa zawyła nocą, ale zaraz umilkła. Płonął barak Oddziału Politycznego. Suche drewno szybko trawiły płomienie, ogień huczał oświetlając wyniosły komin starego krematorium i okna komendantury. Obozowa drużyna straży pożarnej długo czekała przed bramą, nim ją puszczono do pożaru. Było już za późno. Waliły się zręby budynku, wiatr wyrzucał z pogorzeli ogniste kartki papieru, esesmani ratowali jakieś akta, reflektory ze strażnic krajały światłem noc, ale obóz spał. Tylko na Chirurgii kilku ludzi pracowało. Chorzy w koszulach zbijali scenkę próbując, czy wejdzie w drzwi salki chirurgicznej, i układali gotowe kukły.
Herod w czerwonym płaszczu i złoconej koronie tulił się do Szlachcica w kontuszu z pasiaka, Matka ubrana jak Maria - ——————
ze świętego obrazika leżała obok Don Kichota o twarzy muzułmana, Diabeł spoczywał wśród Trzech Królów, których płaszcze zrobione były z czerwonych trójkątów i żółto-czer- wonych gwiazd.

Obóz spał.

Rano wyniesiono z sal durchfallu kupę trupów, zwłok szczapowa tych, umazanych kałem, na sali Henryka umarł tylko profesor z Salonik. Poprzedniego dnia dostał od Zygmunta trzy porcje kiełbasy, schował je pod zagłówkiem. Kiełbasy rano nie było. Na szyi profesora siniały odciski palców. Nikt nie szukał sprawcy mordu, wiedziano bowiem, że nie można go będzie odszukać wśród paru setek chorych i pomocników sztubowych. Partyzant miał wprawdzie jakieś podejrzenia, jednak nie mógł się porozumieć z Henrykiem bez tłumacza.

Rano Zygmunt zapakował tekst szopki, opłatek i karteczkę od Wiktora, poszedł na brzozową alejkę z tyłu Jedenastki i zagwizdał. W zakratowanym oknie ukazała się głowa Marka, potem ręka ze sznurkiem, który wolno spełzał po murze na dół. Przywiązawszy pakiet Zygmunt szarpnął sznurek.

— Ciągnij! I wesołych świąt! — zawołał.

Wigilia. W biurze szpitala zsunięto stoliki, nakryto prześcieradłami. Z lampy zwieszał się zielony wieniec choinowy, opleciony wstążkami z bibuły, kilka świec tkwiło w nim wprawdzie, ale były to świece z drzewa. Na wszystkich blokach gromadzili się więźniowie, w szpitalu zbierały się grupki przyjaciół i towarzyszy, układano dary z paczek, dzielono na równe porcje. W morzu obcości te wyspy, oświetlone paroma cudem zdobytymi świeczkami, pachnące gałązką choiny, przemyconej z lasu w Birkenau, raziły Henryka. Odmówił wzięcia udziału w obrzędzie, sarkał na bigoterię i barbarzyńskie zwyczaje, wyśmiewał sentymentalizm, a kiedy rozbrzmiały pierwsze pieśni wigilijne, wszedł do salki chirurgicznej i z zapałem montował światła na scence.

Późnym wieczorem zebrali się widzowie — kilkudziesięciu pracowników szpitala zasiadło na zydlach przed scenką, tłum chorych oblepił łóżka. Zgasło światło na sali i zaczęło się przedstawienie. Zygmunt, spocony z wrażenia, kierował ku
kłami. Trzej Królowie tak uporczywie szukali Dzieciątka, że nawet Waśka fryzjer zrozumiał, że szukają Wolności. Don Kichot—persona pojawiająca się najczęściej na lustrzanej podłodze sceny — śpiewał basem zawodowego policjanta

0złudnym poczuciu spokoju i bezpieczeństwa, sprowadzającym Śmierć. Szlachcic pysznił się sobiepańską butą. On jest ważny, reszta — furda. Kałdun napchać, golnąć wódki, co tam troski, co tam smutki... Kiedy Matka zaśpiewała głosem podchorążego z dywersji bojowej AK o Wielkiej Nadziei

1 Tęsknocie, rozległ się płacz na górnych pokładach prycz, gdzie płonęły oczy chorych. Marynarz komunista wprowadził na scenę figurkę Heroda i płacz ucichł. Ktoś zachichotał, blokowy zerwał się i w popłochu uciekł z sali.

Była już północ. Widzowie odchodzili. Henryk poradził, by zaraz zniszczyć teksty i spalić niektóre kukły. Rozdmuchał ogień w piecyku, wrzucił weń papiery, a gdy się zajęły, kukłę Heroda.

— Jak w kremo — zaśmiał się patrząc na żarłoczne płomienie. — Dziś jest dzień wzruszeń, sentymentów, Zygmunt, musisz mi poradzić w sprawie Maryjki. Nie wiem, co dalej robić.

Zygmunt, uprzątając ślady szopki, milczał. Nie chciał nic radzić, nie śmiał się wtrącać w tak intymne sprawy osobiste dwojga ludzi, oburzył się nawet, gdy Henryk dawał mu prawo rozstrzygania w imię dobra konspiracyjnej roboty.

— Chcę wychować Maryjkę na godnego towarzysza, nic więcej. Czy da się to zrobić w cygańskim obozie, wątpię. Ona tam żyje, wiesz, mało pożytecznie. Żyje w światku, który na ogół przyjął rzeczywistość zigeunerlagru.

— Nie rozumiem, czego chcesz ode mnie. Już tyle razy mówiłeś mi o niej, że gotów jestem się w niej zakochać jeszcze. Chcesz ją przenieść? Szukamy ludzi do nowej obsady stanowisk, może zrobić ją blokową u kobiet?

Daj rzeczowy wniosek — powiedział.

— Wymigujesz się od jasnej odpowiedzi, mój drogi.

— Jestem bardzo śpiący — ziewnął Zygmunt — wzięło cię na gadanie dzisiaj. Dzisiaj Wigilia, Wigilia. Nie pomyślałeś o domu, o żonie, krewnych, tak jak myśli się tego wie-

uu

czoru? Nic możesz wyzbyć się oschłości nawet dziś, "Henryk? Ja mam dziewczynę. Czeka na mnie, wiem, że czeka.

Jak mało go znam—pomyślał Henryk. Żyli razem, obserwowali się przez cały dzień, żaden szczegół bytowania nie uchodził uwadze, jednakże wnętrze myśli stanowiło nadal tajfemnicę. Czyżby utrzymywał sam dla siebie wewnętrzny rezerwat, jak to on, Henryk, robił jeszcze w więzieniu, aby żyć własnym życiem, mocniejszym od rzeczywistości otoczenia? To byłoby podłe. Henryk nie miał przed nim absolutnie żadnych tajemnic. Urażony, bez „dobranoc" położył się spać.

Na święta kuchnia wydała tłusty sos, niby — gulasz, i ziemniaki w łupinach. Chorzy błogosławili nowego komendanta, bowiem to było dla nich pierwsze objawienie zmiany na lepsze. Większość nie znała zwyczajów obozowych, nie wiedziała, że podobnie bywa co roku. Zygmunt, pilnując rozdziału jedzenia, postanowił wyjaśnić obozowi sens rzekomej zmiany i zwrócił się do Henryka o napisanie krótkiego tekstu. Kartki z francuskim i niemieckim komentarzem przekazał kierownikom grup. Obóz musiał wiedzieć, że Berlin zaaranżował komedię śledztwa, aby na kilku niższych funkcjonariuszy przerzucić

odpowiedzialność, że pytanie władz SS wcale nie brzmi: „dlaczego mordowali", tylko „dlaczego mordowali tak nieudolnie, że cały świat wie o morderstwach, dlaczego mordowali z takim hałasem, że echo budzi opinię świata, na której nam zaczyna zależeć. Ile razy chcemy mówić o Katyniu, to się nam odbija Oświęcimiem". Spalenie dokumentów w baraku Politische nie mogło uchronić winowajców od kary, bowiem wszystkie ważniejsze dowody winy były już przesłane krajowi. Pożar był tylko sygnałem popłochu i strachu. . '

Po paru tygodniach opustoszał blok jedenasty, amnestiono- wanych przeniesiono na obóz, trzymano jakiś czas w półizo- lacji, a potem część rozpuszczono, część zaś wysiano karnym transportem w głąb Rzeszy. Wśród tych ostatnich znalazła się spora grupa niebezpiecznych agentów gestapo, Kinder i Wicek. Marek, opatrzony znakiem IL — zakazem wychodzenia za druty, schronił się w szpitalu na sztubie Jasia. Zmiany zachodziły wszędzie. Na wniosek Wiktora Wirth
wyrzucił blokowego Chirurgii i zaprotegował Tischlera na lageraltestra obozu, a doktora Szuberta mianował szefem szpitala, na miejsce blokowych i kapów wysługujących się SS przyszli więźniowie polityczni, Niemcy, Austriacy, Polacy, jednakże wielka czystka nie usunęła wszystkich zbrodniarzy i przestępców, było ich zbyt wielu.

Niepokalany śnieg zalegał dziedziniec Jedenastki, nakrywał czarną ściankę, wygładzał zręby schodów. Milczała wielka brama przyklejona do ziemi zaspą. Kiedy komanda wychodziły z obozu do pracy, już bez porannego apelu, było tu cicho i sennie, ale tylko tu. Zimowym krajobrazem pomiędzy Wisłą a Sołą przesuwały się kolumny mężczyzn i

kobiet, głodnych i zmarzniętych, od świtu do głębokiego zmierzchu trwała wszędzie praca, w polu, w warsztatach, w fabrykach. W okolicznych i odległych miejscowościach ludzie w ciemnych łachach oznaczonych krzyżami lub w pasiakach kopali węgiel, wznosili fabryki, lali żelazo, robili broń, sztuczną benzynę, produkowali wyposażenie armii, demontowali zgru- chotane samoloty, wycinali lasy, kładli drogi, czyścili naftę, wytwarzali cement i gospodarowali na farmach. Zimową ciszę rozrywały gwizdy lokomotyw, a szare niebo ciemniało od dymów z krematoriów. Stamtąd, z Birkenau, z rampy przychodziły coraz to nowe tysiące do trzech obozów oświęcimskich i trzydziestu filii, coraz to nowe tysiące wpychało do obozu gestapo z Europy. W głównym obozie zmieniono strychy i piwnice na sale mieszkalne, w Birkenau wytyczano teren pod nowy ogromny odcinek. Zdawało się, że nic nie zatrzyma owego ruchu, jakby trwał od wieków i trwać miał wieki. Dziesiątki tysięcy ludzi uwierzyło w swoje przeznaczenie, stało się częścią tego ruchu, przypływu i odpływu regulowanego Cyklonem B, tempem zżerania ciała przez pracę i głód, rozkazami wodzów SS. Nie można było sprawdzić, czy i jak wschodzi w tej ruchomej glebie śmierci ziarno życia, ziarno nadziei. Zygmunt usiłował dojrzeć pod maską suchych liczb, jakie przynosili kierownicy grup, oblicza ludzi, zliczyć nie jednostki, w jakiś sposób ujęte, zorganizowane, lecz siły człowiecze. Wolno, bardzo wolno rosła świadomość oporu i Zygmunt zdawał sobie sprawę, że nigdy nie ogarnie ona wszystkich więźniów, że głód i beznadziejna męka nie pozwalają ogromnej rzeszy obozowego plebsu na myślenie w ogóle, co dopiero na myślenie o oporze. Szły w tę rzeszę

ulotki, towarzysze opiekujący się robotą wśród grup narodowych mówili o możliwości oporu, pomagali, opowiadali o powstaniu getta warszawskiego, o zbrojnym powstaniu Żydów w Treblince, o zwycięstwach alianckich, prawie co dzień roznoszono wiadomości z radia, ale to wszystko było za mało.

Ze szpitala wyszły plany komór obozu i okolicy, listy zagazowanych, zaszpilowanych i rozstrzelanych, regularnie tajna poczta rzucała w świat raporty z piekieł Oświęcimia, ale świat, chociaż oburzał się w prasie i radio, nie reagował czynnie. Zygmuntowi wydawało się, że „wolny świat" popełnia zbrodnię nieinterwencji i ponieść musi karę. Jaką, nie wiedział.

Nadeszła wczesna wiosna, śniegi topniały, a odwilż rzuciła do szpitala kilkuset nowych chorych. Pewnego dnia Henryk otrzymał od Zygmunta polecenie wyszukania wśród chorych artysty malarza, dobrego portrecisty. Znanemu portreciście holenderskiemu, artyście światowej sławy, dał gabinetową fotografię niełądnej kobiety średnich łat, z dwojgiem dzieci, którą przyniósł Zygmunt wraz z pastelami „kanadyjskimi", kartonem, utrwalaczem, ale nie chciał powiedzieć, czyj to portret robić ma Holender i dla kogo.

Portret wkrótce był gotowy, oprawiony, wspaniały. Zygmunt i Henryk stali przed nim z godzinę, nim opakowali, zasłaniając papierem, dzieło Holendra. Mistrz chlipał zupę, do której wrzucił całe honorarium: kiełbasę, puszkę śledzików w oliwie i żółty ser o zielonkawych brzegach. Henryk patrząc na wizerunek myślał o Maryjce. Spojrzał na Dziesiątkę. Przez zadeszczone szyby ujrzał twarze kobiet wpatrujących się w szare niebo.

— Skocz do ogrodników i powiedz, żeby kwiaty były na rano — powiedział Zygmunt. Chodziło o ogrodników z prywatnego ogrodu komendanta, gdzie urządzono małą cieplarnię. — Jutro Stefanek zaniesie obraz.

Portret i kwiaty Stefanek złożył w mieszkaniu Wirtha. Nazajutrz standortarzt, przyjechawszy z Berlina i objąwszy z powrotem urzędowanie, zapytał Wiktora, czy nie ma czego

wspólnego | ofiarodawcami prezentów i co one mają znaczyć.

— Dziś są urodziny pana żony, panie doktorze...

Wirth przysunął bliżej krzesło, usiadł tuż obok pisarza.

— Doszło do wiadomości pana, panie doktorze, że Londyn zagroził śmiercią wszystkim kierownikom Oświęcimia, że polski ruch oporu zaliczył i pana do grupy odpowiedzialnych za to, co się tu dzieje? To był wyrok, panie doktorze.

Wiktor mówił jak zwykle grzecznie, ostrożnie, poznając z wyrazu twarzy szefa, że wie o tych faktach. Chwilę obaj milczeli badając się wzrokiem, potem Wiktor powiedział, że obraz ma oznaczać odwołanie wyroku.

— Ależ skąd pan może o tym w ogóle wiedzieć? Zdumiewa mnie pan doprawdy.

— Mam prawo oświadczyć to panu, panie doktorze, nie tylko w swoim własnym imieniu.

Cisza, słychać przyspieszony oddech Wirtha.

— To dobrze, to dobrze, Wiktor. Rozumiem.

Potarł dłonią czoło, zdjął okulary.

— Znamy się już bardzo długo, Wiktor, pan mnie zna lepiej od wszystkich więźniów. Pan nie ma żony,

dzieci, nie wie pan, co to znaczy mieć rodzinę, nawet pan nie przypuszcza, co to znaczy dla mnie. Dziękuję. To był rycerski krok, przyznam — zupełnie nieoczekiwany.

Jakkolwiek całą sprawę utrzymywało kierownictwo w najściślejszej tajemnicy, to jednak Henryk dowiedział się wkrótce, komu ofiarowano portret i kogo przedstawiał.

— Zygmunt, domagam się stanowczo, byś skontaktował mnie z kierownictwem! Hołdy składane esesmanom, z tym się nie mogę pogodzić za nic! Jestem lojalny wobec ciebie i Marka, i Wiktora, ale wydaje mi się, że działacie na własną rękę. Chcę stanąć przed kierownictwem i powiedzieć, co myślę. Ponieważ zaś chodzi również o ciebie, nie możesz pośredniczyć w rozmowie. Ani Marek. Znam języki, potrafię sam się porozumieć, jeśli to nie Polacy.

— Niestety, sam rozumiesz, że nie można dekonspirować kierownictwa, ale daję ci słowo, że kierownictwo rozważy twoje wątpliwości.

Henryk iuż po paru dniach żałował swego kroku. Wyraził nieufność Zygmuntowi i Markowi, a przecież bez wątpienia stali oni bliżej kierownictwa niż ktokolwiek inny, reprezentowali je wobec niego, a więc musieli mieć słuszność i w wypadku Wirtha.

— Przepraszam cię, Zygmunt. Uniosła mnie, jak się to mówi w Kościele, pycha. Ostami raz. Wielu spraw jeszcze nie rozumiem i widzisz, nie chciałbym pobłądzić — powiedział przyjacielowi.

— Fakt. Nie rozumiesz wielu spraw. Czasem nawet wydaje mi się, że nie rozumiesz podstawowej. O, na przykład właśnie twoje przeprosiny. Cóż, u diabła, wyobrażasz sobie, że nie wolno człowiekowi wątpić? Ja

osobiście bardzo lubię powątpić sobie w to i owo.

Zygmunta czekała rozmowa z delegatem polskich wojskowych w obozie, a nie miał na nią ochoty, po prostu nie cierpiał tych pertraktacyj. Czyby nie użyć do rozmów właśnie Henryka? Twardy, zdyscyplinowany, spodoba się wojskowym, którzy zresztą też wysunęli do rokowań drugorzędną osobę.

— Proponuję Henryka Matulę—powiedział na zebraniu w komórce Czwórki, ale propozycję odrzucono. Tym razem oprócz Adama i Wiktora obecnych było dwóch towarzyszy, dziobaty bereziak i Austriak Paul, schutzbundowiec, oficer Brygad Międzynarodowych, sprawa bowiem dotyczyła tworzenia grupy wojskowej, międzynarodowej. — Uznajemy wszyscy i cały obóz też, że zbliża się klęska Niemiec...

— Faszyzmu — przerwał Wiktor.

— Niech ci będzie faszyzmu. A więc nie może ona zastać nas nie przygotowanymi. Rozważmy wszystkie możliwości...

Zadania defensywne i ofensywne, obrona obozu przed próbą likwidacji więźniów i wyzwolenie obozu? Na niebie rozwijają się grzyby spadochronów, wytryskują z ciemności gwiazdy rakiet i, niby komety widziane w leniwym śnie, płyną ku oczom, bomby padają na koszary, bramy, transformatory. I bomby są widoczne, a podmuch czuć na policzku, gdy się
onich myśli. Z bloków wybiegają zwarte grupy więźniów, na placu apelowym stają, wznoszą ku niebu głowy i ręce głodne broni. Jest noc. Na dachach bloków palą się sygnały orientacyjne, znad Soły dobiega terkot karabinów i oddziałki partyzanckie wiążą ogniem strażnice. Języki

płomieni oplatają wieże. A oto dzień. Na obóz kierują się lufy karabinów maszynowych ze strażnic i betonowych gniazd pomiędzy nimi, kompanie SS otaczają bloki, samochody ciężarowe warczą na ulicy obozowej, puste, otwarte. Na drodze pomiędzy obozem a krematoriami szpaler „feldgrau". Nikt nie wychodzi z bloków. Nagle sygnały czerwonych rakiet biją w niebo alarmując okolicę, a grupy więźniów obrzucają granatami zaporę esesmanów prąc na druty. Błyszczą nożyce o ogumionych rękojeściach, noże i siekiery. Oto długie kolumny piesze wychodzą z obozu, by pomaszerować na zachód. Na wschodzie buczy niebo od armat. Wśród lasów rozlegają się wystrzały i tysiące ewakuowanych rzucają się na eskortę. Front wschodni podchodzi pod Oświęcim, obóz pozostaje, alianci bombardują obóz, desant na obóz, odbicie ewakuacyjnych transportów — niewiele tych możliwości, a wszystkie mają podobny refren: „sami nic nie zrobimy".

— Wyrwać się z obozu, to stosunkowo proste, chociaż straty własne będą sięgały połowy stanu — mówił Zygmunt.— Ale co dalej? Konieczna jest pomoc z zewnątrz, wsparcie ogniowe, rozprowadzenie ludzi, a w każdym wypadku, czy to będzie desant, czy tylko przez nas zorganizowana akcja, odbicie ewakuacyjnych transportów czy uzgodnione z Ruchem Oporu bombardowanie — w rezultacie musi nastąpić wybuch powstania na Śląsku. Proszę was, rozważmy realne możliwości.

Paul i Samek zaskoczyli Zygmunta wiadomością, że sama grupa żydowska, zorganizowana z najbardziej bojowych elementów z gett, z Żydowskiej Organizacji Bojowej, z młodzieży syjonistycznej i komunistycznej liczy już kilkuset członków, że wśród Francuzów,

Czechów, Austriaków, Rosjan, Niemców odszukano wielu wojskowych z Ruchu Oporu, z Hiszpanii, z Legii Cudzoziemskiej, z armii, że Paul zgromadził kilkunastu speców od materiałów wybuchowych i umieścił ich w zakładach „Union", gdzie produkowano pociski artylerii przeciwlotniczej, paru elektrotechników, mechaników, słowem, coś w rodzaju technicznego sztabu.

W iktor zaproponował, by ułatwić ucieczkę paru towarzyszom, mogącym dotrzeć do naczelnych władz kompartii i przez nią uzyskać kontakt z ludową partyzantką i wojskami radzieckimi, Adam zaś zawiadomił, że wojskowa grupa rosyjska zdecydowana jest na wszystko i nie będzie bezczynnie czekać na Polaków.

W kancelarii Bekleidungskammer spotkał się Zygmunt z Wałachem, Ślązakiem, delegatem wojskowych. Obaj byli w równej mierze speszeni, nie wiedzieli, jak zacząć rozmowę. Paść przecież miały słowa wielkie, pompatyczne, jakich unikano w tym świecie, trzeba było rozmawiać sztucznym językiem z poprzedniego życia. Walach, chudy mężczyzna o ściąg- łej twarzy, pierwszy przerwał milczenie:

— Jestem upoważniony do stwierdzenia, że grupa nasza uznaje bez zastrzeżeń kierownictwo krajowe i emigracyjne i że domaga się od wszystkich takiego samego uznania. To musi być wstępny warunek wszelkich rozmów. Tak mi polecono powiedzieć. Jesteśmy apolityczni i jeśli mamy współpracować z czerwonymi, możliwe to będzie tylko pod warunkiem podporządkowania się rozkazom wojskowego dowództwa...

— Komu personalnie?

— Najstarszemu stopniem lub mianowanemu przez

dowództwo krajowe.

Zygmunt nie krył oburzenia. Wojskowi muszą zrozumieć, że nie wolno traktować obozu inaczej jak nierozerwalnej międzynarodowej całości. Obóz przedstawia ogromny potencjał moralny i wojskowy, akcja oswobodzenia będzie więc miała olbrzymie- znaczenie, i moralne, i wojskowe, właśnie ze względu na jego międzynarodowość. Czy polscy wojskowi reprezentują w jakikolwiek sposób interesy i wolę tej międzynarodowej rzeszy? Nie, nikt z nich nie może tak twierdzić.

O cóż więc chodzi?

Walach przerwał jałową dyskusję. W głębi serca był za planem wspólnej walki, marzył o powstaniu od wielu, wielu miesięcy, ale marzenia podporządkowywał rozkazowi. Prosił

o podanie propozycji co do samej akcji, jaką pragnęliby prowadzić czerwoni. Zygmunt zostawił mu kartkę z wypisanymi ewentualnościami, w jakich może znaleźć się obóz, i pożegnał uśmiechem.

Szła wiosna, mokradła i błota parowały, pogodne dni wzmagały niepokój tej klasy więźniów, która miała czas i możność myślenia. Odezwały się milczące w zimie syreny alarmowe, ucieczki stawały się coraz częstsze, lecz nikogo nie pociągano do zbiorowej odpowiedzialności. Zbiegowie rekrutowali się prawie wyłącznie spośród Polaków i Rosjan. Teraz i międzynarodowa grupa organizowała „śluby" z wolnością gromadząc coraz więcej kontaktów.

W kwietniową niedzielę na strychu bloku szpitalnego zebrali się delegaci wojskowych i organizacji międzynarodowej. Gorące przedpołudnie wywabiło z sal wszystkich ozdrowieńców, których ćwiczył pod Dziesiątką

czeski instruktor „Sokoła”, półnagi atleta o różowym, muskularnym ciele. Słychać było jego komendy.

Marek siedział obok ospowatego więźnia Berezy i Zygmunta, Paul usadowił się przy nich, Walach i wojskowi obsiedli belkę.

— Więc zebraliśmy się, żeby doprowadzić do końca nasze sarmackie rozmowy. Na marginesie chciałem zaznaczyć, że skończono w Birkenau budowę bocznicy, która prowadzi wprost do komór. Warto, byśmy o tym pamiętali w dzisiejszej rozmowie. Nasze stanowisko jest wam dobrze znane, nie mamy nic do dodania. Uważamy za konieczne wojskowe zorganizowanie obozu, jednolitą robotę, wspólne posunięcia — mówił Marek.

Siwawy oficer podniósł się i powiedział:

— Grupy wojskowe wyrażają zgodę. Przyjmują program. Władze krajowe zawiadomiły nas, że mianują komendantem samodzielnego obszaru obozu człowieka, któremu wszyscy winniśmy się podporządkować.

Usiadł. Zygmunt zaniepokoił się, bacznie obserwował twarz Marka, którego otorbioне oczy wesoło świeciły. Zapytał, kto jest tym komendantem, jak się nazywa, bo przecież nie można podporządkować się nieznanemu.

— Jeżeli będzie wasza zgoda — oświadczył Walach — wyjawimy pseudonim. Może więc wpierw ułożymy program. Zygmunt proponuje nazwę Rada Wojskowa Oświęcim. Dobrze. Będzie ona czymś w rodzaju wspólnego sztabu i kierownictwa. RWO zajmie się całością wojskówki, zorganizo-
waniem kadry, zestawieniom grup bojowych, opracowaniem planów działania, wyznaczeniem zadań, szkoleniem. RWO skupi kadrę opierającą się na

wojskowych oraz tych, którzy z tytułu swych stanowisk w obozie i osobistego autorytetu grupują dziś zakonspirowane grupy i w decydującym momencie zdolni będą porwać za sobą i podporządkować sobie odcinki, gdzie pracują. W robocie zewnętrznej RWO podporządkuje się dowództwu AK Śląsk. Zgoda?

— Zgoda — odrzekł Marek. — Chcemy was traktować jako wojsko, chcemy, by konspiracja krajowa traktowała nas jako żołnierzy. Mamy tylko jedno zadanie, zadanie, że tak powiem, negatywne, walkę z SS. Resztę zostawiamy sumieniom. A więc prosimy o nazwisko komendanta.

Wojskowi odeszli na chwilę w drugi kąt strychu, naradzali się szeptem. Paul, nie rozumiejąc, o co chodzi, podszedł do Zygmunta domagając się wyjaśnień.

— Można mu chyba już powiedzieć? — zapytał Zygmunt Marka. Zarówno „wojskowi", jak i „czerwoni" domagali się od władz położenia kresu dwutorowości roboty obozowej. Własnymi drogami, wojskowi przez swoje placówki, czerwoni przez swoje, osiągnęli mianowanie komendantem obozu z ramienia podziemia... Marka, ale wojskowi mieli w ręce tylko zawiadomienie wymieniające pseudonim TUR i sposób, w jaki ów TUR wyjawi, kim jest. Paul jeszcze nie rozumiał, cała intryga wydawała mu się nieco śmieszna. Wojskowi wrócili z narady.

— Nie możemy jeszcze powiedzieć pseuda i nazwiska — orzekł siwawy oficer. — Proponujemy w miejsce wspólnej przysięgi napisać oświadczenie, podpisać i spalić. Nam to wystarczy. Potem zwrócimy się do władz z wnioskiem o pozwolenie zdekonspirowania komendanta,

ale oczywiście tylko przed małym gronem sztabu. Czy wszyscy panowie będziecie uczestniczyć osobiście w RWO?

— Dwóch stałych przedstawicieli od was i dwóch od nas.

— Dobrze, więc piszmy.

Walach, snadż przygotowany, wyjął notes, rzuciwszy na papier kilka zdań podpisał pseudonimem, i podał dalej.

Zygmunt, nakreśliwszy imię „Robert", taki bowiem umyślił

sobie pseudonim, wręczył notes Markowi, ten zaś wyjął czer

wony, gruby ołówek i narysował trzy litery — TUR. Otrzepał ręce, wytarł w bluzę.

Notes wrócił do Wałacha. Ślązak nagle wypuścił go z rąk, zerwał się i purpurowiejąc na twarzy zawołał:

— To niemożliwe!

Marek podał mu czerwony ołówek. Walach oglądał go długo, coś sobie przypominał, podczas gdy notes wędrował od rąk do rąk. Przykra cisza zaległa strych. Paul, nadal nie pojmując, co się dzieje, obrzucał wzrokiem towarzyszy, marszczył czoło. Walach przekazał ołówek swemu sąsiadowi, ten przełamał go, rozłupał i skrzętnie wyzbieral czerwone drzazgi. Ostrożnie wyciągnął ze środka maleńką karteczkę, na której widniały te same trzy litery, co na podpisie Marka. Tur?! Podniósł się i stanął na baczność. Pomału, jeden po drugim, wstawali wojskowi, wstał automatycznie Zygmunt i towarzysze. Marek odebrał karteczkę i notes, wyrwał tekst deklaracji, wyciągnął zapałki i podpalił. Leniwy płomień zwęglał papier, ale pismo było nadal widoczne. Przydeptał czarne płatki, rzucił

z belki w trociny, zatarł butem.

— No cóż, wszyscy więc wiedzą. Nie róbcie baranich min. Chciałem wygłosić małe przemówienie. Nawiązując tę współpracę czynimy to przede wszystkim dlatego, że uważamy za obowiązek wolnego świata, za jego egzamin moralny — pomoc dla obozu. Nie chodzi nam o filantropię, tylko o prawo do walki, nie o pomoc dla więźniów, ale o pomoc w walce. Zagadnienie obozów traktować chcemy niezależnie niejako od faktu, że my jesteśmy ich więźniami. Chodzi o próbę świata. Rosjanie wzięli na swoje barki główny ciężar wojny, czekamy, co zrobią Anglicy i Amerykanie. Co to się działo, gdy śmierć zagroziła Nobilemu czy „Czeluskinowi"! Paru ludzi, błahostka. A jednak to był egzamin moralny. Każda nasza akcja musi to mieć na względzie. Tyle...

Dla Henryka otwarł się nowy okres. W robocie wojskowej czuł się lepiej niż w działaniach politycznych, mniej tu było gadania, więcej konkretów. Przede wszystkim należało zorganizować grupy specjalne i uderzeniowe. Paul miał dość fachowców do zniszczenia czy opanowania elektrowni, transformatorów, parku samochodowego i obu krótkofalówek, austriacka siostra ze szpitala SS przeniosła kilka paczek „pla-

stelinki", zrzutowego materiału wybuchowego, Paul kombinował już zapalniki z „Unionu". Sonderkommando, wielka grupa, która mogła zaważyć na przebiegu działań jako bezpośrednio narażona na zagładę, nie było jeszcze w pełni zorganizowane. Henryka postanowiono przenieść do Birkenau, gdzie już siedział Bolek i Samek Rubin, a Adam wystarał się, by go tam mianowano blokowym.

— Do widzenia — powiedział na pożegnanie Zygmuntowi.— Byłeś jedynym człowiekiem w tym świecie, z którym się dobrze żyło. Daję nura, mogę się nie wynurzyć. Wtedy zaopiekuj się Maryjką. Z Tarnopola do Oświęcimia nie jest zbyt daleko, a tam już są nasi. Bywaj zdrów.

Jakoś nie mógł się rozstać z przyjacielem. Stali przy oknie patrząc na Jedenastkę. Wtem zatupotały kroki Stefanka. Goniec wołał od drzwi:

— Hoess wrócił! Hoess wrócił!

Zygmunt wciągnął go do salki, gdzie chirurg operował jakiemuś prominentowi hemoroidy; biały, tłusty tyłek przykryła dłoń w gumowej rękawiczce.

— Cała granda. Liebehenschel odchodzi. Hoess ma jakieś specjalne zadania, Wiktor nie wie jeszcze jakie, ale będzie coś strasznego — mówił Stefanek.

— Serwus, Henryk, walę do Marka. Powiedz Bolkowi nowinę. Zobaczymy — powiedział Zygmunt.

Stefanek poszedł za nim. Dreptał w milczeniu oczekując przyjaznego słowa, wyjaśnienia, otuchy.

Rozdział dwunasty

Wśród majowego zmierzchu krzyczała jak zwykle rampa. Ujadanie psów, ludzki lament i komendy niemieckie teraz, gdy obozy Birkenau zamierały na apelu, słychać było na całym obszarze. Trzydziesty transport z Węgier szedł do komór II i III krematorium. Za laskiem z prawej strony ziemia podchodziła ku niebu kłębami czarnego dymu. To dwudziesty dziewiąty węgierski palił się w dołach koło V kremo.

Nocna zmiana Sonderkommando stała obok bloku Henryka, który w czerwonej opasce z literami BA meldował

esesmanowi stan. Pisarz bloku, Samek Rubin, zerkał na kolumnę rosłych Żydów polskich, greckich, węgierskich i rosyjskich, na kapo, na schreibera Sonder Hersza Topera, na Ajzyka Francuza, Towię Książkę-do-nabożeństwa, Dawida Sarfati, Istvana, na Lejzora i Szaję Potockich, na politruka Sieriożę Abramowicza, na tych wszystkich, których poznał, którzy powiedzieli: „dobrze, pójdziemy".

Blokowy Henryk Matula rozpuścił ludzi.

— Czerwone niebo, Samek. Będzie jutro wietrzysko — powiedział. Samek zadarł głowę. Na prawo od magazynów „Kanady" wytryskiwały wiązki ognia z Czwórki.

— Zostanie za ciebie Lejzor, za mnie jego brat Szaja. Nie rozmyśliłeś się, co?

Kapo Sonder z Czwórki wciągał rękawiczki i niecierpliwie wyczekiwał kommandofiihrcra. Ludzie nie jedli obiecując sobie frykasy przy robocie, porcje kolacyjne zaniesiono więc na błok Henryka.

— To dobrze, to dobrze, że ty nie boisz się, że ty idziesz. Ciekawość, co? Ciekawość. Ona taka niezła, ta ciekawość. Trzymajcie się mnie, wszystko pokażę, czemu nie pokazać?

Schreiber Sonder, Hersz Toper, słabo mówił po polsku. Wzięli go z małej mieściny wschodniej jeszcze w 1939 roku, złapali w mundurze polskiego żołnierza. Żołnierz Hersz Toper był w obozie jenieckim, potem na Majdanku i z Majdanka, gdzie pracował przy paleniu ludzi, przywieźli go tutaj wraz z dwudziestoma sonderowcami — rosyjskimi obywatelami. Żołnierz, a teraz schreiber — Hersz Toper był z zawodu rzeźnikiem i handlarzem koni. Ustawił Henryka i Samka w szeregu, dał bluzy braci Potockich,

Lejzora i Szai, czarno owłosionymi rękami nasunął im kaszkiety na czoła.

Ciekawość? I ona spowodowała decyzję Henryka pójścia na robotę Sonder owej nocy, ale nie tylko ciekawość. Chciał zdobyć zaufanie tej grupy Sonder, która myślała o buncie, chciał rozpoznać teren przyszłej walki. Przestudiował go dobrze na planie, dostarczonym z biura budowlanego przez Bolka, znał z planu każdy zakątek Birkenau, plan jednak był rzeczą martwą, a on chciał widzieć. Widzieć wszystko. Przed paroma dniami w raporcie dla Marka pisał, że oto zaczęło się niespotykane w dziejach ludzkości, a nawet w dziejach dotychczasowych zbrodni niemieckich — mordowanie Żydów węgierskich, francuskich, włoskich i polskich, kampania prowadzona osobiście przez Hoessa. Majdankowcy opowiadali o rozstrzelaniu jednego dnia kilkunastu tysięcy Żydów, tamta akcja nosiła kryptonim „Emtefest" — dożynki. Tu nie było żniw i dożynek, tu był potop ciał i ognia. W obłędnym pośpiechu, jak gdyby SS chciało przed własną klęską wytrzebić całe żydostwo, zjeżdżały pociągi towarowe. Co noc po osiem, co dzień po pięć, w każdym pociągu pięćdziesiąt bydlęcych wagonów, zadrutowanych, pełnych ludzi, żywności, sprzętów gospodarczych,' kosztowności, lekarstw. Żydzi przywożą drzewo na baraki. Przydaje się bardzo. Sonder układa z nich stosy, na których płoną ciała. Dzień i noc
bez przerwy suną pochody mężczyzn, kobiet i dzieci ku czterem budowlom zagłady, dzień i noc rozlewa się po okolicy słodkawa woń Cyklonu B i odór palonych ciał. Na rampie piętrzą się zwały waliz, kufrów, bagaży, ciężarówki krążą nieustannie pomiędzy rampą a trzydziestu paroma

barakami składu mienia — „Kanady”. Pociągi wywożą setki tysięcy par butów, bieliznę, odzież, dywany, sztaby złota ze stopionych zębów, kasety kosztowności, wyprawki niemowlęce, maszyny, wory włosów kobiecych.

Przez pierwsze dni groza ogarniała Henryka tak straszna, że chciał wszystko rzucić i wracać do głównego obozu. Nie bał się o siebie, nie była to groza pierwszego okresu pobytu w Oświęcimiu, a poczucie bezsilności nie dotyczyło jego osobistego losu, przeciwnie — jako stary więzień, jako blokowy żył bezpiecznie i wygodnie, mógł się dość swobodnie poruszać, odwiedzać sąsiedni, cygański odcinek, odcinek szpitala męskiego i cały pas obozów pomiędzy FKL a „Meksykiem”, nowo budowanym polem obozowym, przeznaczonym dla sześćdziesięciu tysięcy więźniów. Żył wśród dobrych znajomych, miał na bloku Samka, Bolka, Czarnego, Felka, Lalę, prowiantowym był polecony przez Marka rotmistrz kawalerii, w innych barakach mieszkało również paru kumpli. Groza jednak była wszechobecna. W krajobrazie z tryskającymi ogniem kominami, w powietrzu tłustym od odoru ciałopalenia, w żół- toburej ziemi obozu, zdeptanej na śmierć, w rytmie pociągów, w samym fakcie, że życie toczyło się po barakach zwykłe, codzienne, wypełnione troską o chleb, o spoczynek, szukaniem lepszej roboty, miłością, przyjaźnią, nienawiścią, ambicją.

Wiele dni minęło, nim wyzwolił się z czadu tej ziemi i przystąpił do roboty z Samkiem, z Bolkiem, z miejscową komórką partyjną, z Sonder.

Ciemniało niebo, wiatr rozwiewał czerwone chmury od- słaniając chłodne gwiazdy. Zrobiło się zimno. Łuna na lewo, nad Dwójką i Trójką, przygasała, snadź tam już

kończyli robotę, dymy znad dołów koło Piątki mieszały się z mrokiem.

— Piątka ma zepsuty komin — objaśniał Hersz Toper — i coś przewleka się, a chłopaki głodne jak wołki.

— He trzeba materiału? — pyta Henryk, aby cokolwiek powiedzieć, aby nie milczeć.

— Glos ci się trzęsie. Ile materiału? Co znaczy ile? Bo ja wiem? Żeby komin był kaput.

Obchodzą z Toperem budynek, palacze przejęli już posterunki po dziennej zmianie, noszą koksiaki do komór, by je ogrzać, bo w ten sposób „lepiej chwyta gaz", dentyści i fryzjerzy zniknęli już w korytarzach między komorami a halą pieców.

Henryk nie zna siły wybuchowej trotylu, nie wie, jak obliczyć. Toper wskazuje ręką druty. Prąd jest tylko w nocy. Do Wisły nie więcej niż kilometr. Blisko.

Jest zimno, bardzo zimno. Spokój, który tu teraz panuje i który lada chwila się skończy, na pewno się skończy, ma w sobie niesamowitość nieuchronności. Dyżurujący po czterdzieści osiem godzin esesmani śpią wokół budynku, przy drutach koło drogi. Toper przydziela Samka i Henryka do pierwszej grupy, w której znajdują się tłumacze, Sarfati i Istvan oraz paru jeszcze Węgrów, grupa ustawia się przy wejściu na plac, reszta Sonder znika w budynku. Hauptscharfiihrer Mohl, szef Czwórki i Piątki, daje znak gwizdkiem i prostokąt drzwi do rozbieralni rozjarza się złotym światłem, zapalają się lampy na masztach. Jasno, jasno. Kapo stoi przy grupie tłumaczy, spogląda na zegarek i obciąga rękawiczki. Już słychać zbliżanie się transportu, buczenie motoru. Sanitarka wtacza się na plac, wyskakuje z niej esesman, bierze puszki Cyklonu i siada na stopniu

bawiąc się maską gazową. Drabinka już przystawiona do wysokiego, wrzutowego okienka. Na gniadej, błyszczącej klaczy przejeżdża komendant Hoess, towarzyszy mu na siwku Wirth. Stępa objeżdżają Czwórkę. Z cienia, z ciemności nabrzmiewającej głosami przypływa ostre zawodzenie kobiety. Syn został na stacji z walizką, a w walizce są wszystkie potrzebne rzeczy. Proszę zawołać syna. Gdzie jest syn? Czoło pochodu wchodzi wraz z tymi słowami w światło lamp, rżą konie Hoessa i Wirtha, kilku starców z opaskami na ramionach wydaje węgierskie komendy. Ujrzeli szefa kremo, Mohla, stają przed nim, salutują do kapeluszy i honwedzkich furażerek.

— Panie komendancie, porucznik cesarsko-królewskiej armii, doktor, profesor...

— Panie komendancie, kapitan wojsk Królestwa Węgier...

— Panie komendancie, meldujemy, że ziomkowie wybrali nas starostami, odpowiedzialnymi za transport. Mamy chorych i dzieci. Prosimy jak najposłuszniej o kawę. Jest bardzo gorąco.

— Panie komendancie...

— Zaraz będzie kawa, ale wpierw kąpiel i dezynfekcja. Przemówcie do swych ziomków, by się pospieszyli. Już noc, wszyscyśmy zmęczeni. Najpierw wejdą kobiety i dzieci.

Starostowie dzielą niesforny, znużony podróżą tłum, wyodrębniają mężczyzn, liczą, składają raport Mohlowi.

— Do rozbieralni! — krzyczy nagle szef do więźniów i na ten znak konwój naciera krzykiem na struchlałych ludzi. Nic się nie stało, ale krzyk ma ich sparaliżować, obezwładnić, krzyk nakazuje każdemu z nich

myśleć przede wszystkim o sobie, o tym, by go nie zgnieciono w tumulcie, o tym, by się nie spóźnił.

W niskiej, długiej sali gromadzą się kobiety. Zrazu wchodzą wolno, rozglądają się i wypytują mężczyzn z Sonder, czy muszą wszystko zdjąć. Czarny, wielki Istvan, student z Budapesztu, powtarza monotonnie: „Rozbierać się proszę, rozbierać się proszę do naga, proszę się nas nie wstydzić, kąpać się będziecie same, proszę się rozbierać..."

— No, nie stój, rób coś — mówi Samek i Henryk podchodzi do długowłosej kobiety, pomaga rozebrać się dzieciom. Są śpiące, tulą się do matki, płaczą. Tłum u wejścia prze, sala już pełna. Gorąco. Gorąco. W blasku obnażonych młodych i starych ciał, w parnym powietrzu, w szumie obcej mowy grzęzną wszystkie ruchy. — Proszę pana, Marika kaszle, może by została. — Dawid Sarfati obłapia smukłą brunetkę, wkłada rękę pod brzuch. Klaszcze policzek. W tłoku widać tylko głowy, głowy piękne, głowy odrażające, twarze kobiet i dziewczyn, wytryskujące w górę, spętane strzępem materiału ramiona. Nie można się ruszyć. Każde drgnienie ciała, próba postąpienia kroku naprzód napotyka na ruchliwe pośladki, brzuchy, uda, ramiona, piersi.

— Udusimy się tu! Powietrza! — woła któraś z kobiet i przepycha się ku otwartym drzwiom korytarza. Wysoka dziewczyna o drobnych piersiach, zasłoniętych dłońmi, pada
na Henryka, ktoś wysoko, pod sufit dźwiga maleńkiego chłopczyka.

Setki kobiet napierają na Henryka, na resztę grupy. Trzeba zadbać, żeby były nagie, całkiem nagie. Samek zdziera staruszce ogromny stanik, nie dochodzi go wściekły

krzyk ani płacz dzieci.

— Gdzieście przyjechali? Po co? — woła otoczony setką ciał.

— Bandyta! Bandyta! — piszczą najbliższe kobiety, chcą uciec od Samka, ale napierająca fala ludzka pcha je ku korytarzowi. — Mamusiu! — Zadepczecie mi dziecko! — Prędzej ! Prędzej! Sarfati wyławia w tłumie dziewczynę w majtkach, skacze między ciała, rzuca się na nią, zrywa różowy, cienki materiał. Ciała przepływają coraz szybciej, giną w komorach. Jakaś kobieta płacząc posyła całusa Henrykowi. — Mąż, Salo Nagy, został na stacji, czy go wnet zobaczę? — Nagle wpadają do hali rozebrani już mężczyźni. Nie ma czasu na ceregiele, esesmani biją kolbami. Prędzej! Na rampie czeka już następny pociąg. Prędzej! Istvan wydaje nieludzki ryk:

— Uciekać stąd!

Od wyjścia napiera powrotna fala ciał i krzyku. Kobiety, czymś przestraszone, chcą zawrócić, ale napotykają na mężczyzn.

— Uciekać stąd!

Do Istvana przeciska się tęga kobieta o kędzierzawych włosach. Ramiona wzniesione, rozcapierzone palce o długich, różowych paznokciach. Coś krzyczy, ale jej nikt nie słyszy. Nagle nikną jej palce, ramiona, głowa, tłum przechodzi przez nią. Na końcu znikają w korytarzu starostowie. Najstarszy z nich, o długich, żółtobiałych włosach, ma zamiast nogi protezę. Esesmani zamykają drzwi, śrubują.

— Zbierać łachy! — brzmi rozkaz w pustej hali. Henryk rzuca się ku wieszakom, zbiera naręcza bielizny i sukien, wynosi przed budynek, wraca. Palce napotykają coś twar-

dego. Broszka. Schować. Suknia z jedwabiu, majtki, stanik, pończochy. Płaszcz. W kieszeni torebka. Schować. Gorset stoi sztywno pod ścianą jak korpus człowieka bez głowy i kończyn. Aksamitne spodenki, bluzka z uwieszonym na sznu
reczku gwizdkiem. Henryk przykłada zabawkę do ust i gwiżdże. — Daj to, przyda się gwizdek. — Poprzez drzwi słychać tępy krzyk półtora tysiąca ludzi, krzyk podobny do wycia wiatru. Prędzej! Samek sunie pod ścianami, pochylony, jak szczur. Sonderowcy zamiatają już posadzkę. A pod drzwiami niebieski sweterek. — Miała w majtkach woreczek z biżuterią, kurwa. — Sarfati szarpie rękaw Henryka. Wychodzić!

Mohl stoi u wejścia, liczy sonderowców, śmieje się. Dobrze poszło, tylko za długo trwało.

— Nikt nie został tam?

Ma równy przedziałek, blond włosy przykleja do czaszki pot. Słodkawy zapach. Zgrzyta żelazo, to nowy transport na bocznicy. Sonder wybiega z kryjówki. Ludzie z bosakami, ludzie w maskach, ludzie z gumowym wężem. Skwierczące iskry sypią się z komina.

— Elektryk! Elektryk!

Henryk biegnie za elektrykiem Sierożą Abramowiczem do hali pieców. Światło mruga. Skrzynka. Bezpieczniki. A więc to tu. Sonderowcy długimi bosakami wciągają zwłoki z korytarza, już ostrzyżone, z wyrwanymi złotymi zębami, nakładają na żelazne nosze, usuwają do retorty na rolkach, przytrzymują rozwidloną gracą i cofają nosze. Najpierw dwa trupy, a kiedy w ogniu wzniosą ręce, trzeci. — Dawaj wpierw tę grubaskę. — Już się smaży. — Następne. Martwi i żywi są czerwoni od ognia. Każdy piec po osiem retort i

cztery paleniska. W Dwójce i Trójce jest trzydzieści, w Czwórce i Piątce szesnaście retort — liczy inżynier Henryk Bednarek, a Henryk Matula wytrzeszcza oczy na postacie Żydów żywych
i Żydów martwych, na lśniące nosze, zlewane mydlinami dla lepszego poślizgu, na kapo poganiającego palaczy trzcinką
o srebrnej gałce.

— Bewegung! Bewegung*, chłopaki! Część pójdzie na doły, ale do dziennej szychty roboty do cholery. Bewegung! Pakuj, skurwysynu, trzeciego dopiero, jak się dwa pierwsze zajmą. Bewegung!

Wystarczą puszki z prochem i granaty z „Unionu". Do retort przy kominie. Instalacja! Łatwo zrobić, ale ładunek musi
pójść w palenisko. Wychodzić! W dzień nie ma prądu na drutach. Ale nożyce się zdadzą. Kapo rzuca Henrykowi żelazny czerpak i wskazuje beczkę mydlin, z której paruje mdla woń. Nosze są rozgrzane, mydliny na nich syczą. Gorąco. Gorąco bucha z pieców. Wchodzi szef. Czerwone oko ze szklą. Jest | pijany, zatacza się, potyka o grace, bosaki, nosze. Dyżurny ■ esesman podtrzymuje go, prowadzi ku placówce dentystów. Mohl sprawdza ich robotę. Nachylony nad zwłokami, pogrzebaczem rozdziera im usta, nagle prostuje się, wola najbliż- szego dentystę i schreibera. Toper biegnie z notesem w ręce, już wie, że ma skreślić numer dentysty, który wyrywa się I esesmanom, bełkocąc coś, miota głową.

— Świnia! Zostawił złoty ząb! Nosze!

Ktoś wyrywa Henrykowi czerpak i wówczas cichnie krzyk dentysty. Złapali go za ręce i nogi, wrzucili na nosze

i jednym ruchem wsunęli w ogień. Henrykowi zdawało się, że sły- szy krzyk z retorty, że to sam ogień krzyczy.

— Na, masz, Żydzie! — Mohl rzuca palaczowi srebrzyste pudełko, ten pogrzebaczem rozrywa cieniutką blachę, pije tłustą oliwę i wpycha palcami do ust sardynki. Ma chwilę odpoczynku. Muskuły ramion drgają pod mokrą koszulą, jak gdyby podniesienie do ust pokarmu, przełykanie, wycieranie warg wymagało wielkiego wysiłku. Henryk już spokojnie, udając pracę, ogląda urządzenia hali pieców, uzupełnia wzrokiem plan, który ma na bloku, plan, który musi jutro przekazać Markowi do wysłania. Tylko upał go wyczerpuje, do odorów śmierci przywykł już dawno.

W milczeniu, ruchami automatów ładują palacze zwłoki, ostrza bosaków dziurawią piersi kobiet, żelazną wstążką owijają szyje. Mohl czesze się przed wyjściem wielkim, żółtym grzebieniem.

Na dworze jest chłodne, świeże powietrze, mimo że płoną stosy koło Piątki. Sonderowcy, oblani krwawym blaskiem, uwijają się nad dołami, w których wre ludzki tłuszcz. Henryk odnajduje Samka. Wielki, silny Samek chodzi jak ślepiec po polu, ręce ma wyciągnięte przed siebie, spluwa raz po raz. Między sągami drzewa jest różowofioletowy prostokąt ziemi, tu siadają. Samek wyciąga kawał salami, dzieli scyzorykiem, kraje.

— Sonder się obłowi dzisiaj. No, transport z samego Budapesztu — mówi. — Salami wyborne. Za godzinę wezmą drugi transport. Złapałem jakieś papiery, popatrz.

Notesik i jakieś fotografie z podpisami czerwienieją, biorą na siebie część blasku ognia, przerzucają go na twarze Henryka i Samka. Przydadzą się. Wielki

Bezimienny, liczący już chyba milion nazwisk, niech zdradzi choć parę z nich. Salami jest suche, prześmierdnięte odorem potu, ciała.

— Tu pachnie jak pieczeń, bo ja wiem, jak smażone mięso — mówi Samek. — Sarfati ma koniak, jak skończą czyścić komory, to tu przyjdzie.

— Chodź. Nie będziemy czekać. Czy można przejść stąd do bunkra?

Można. Dawny „domek", dobrze Henrykowi znany, jest znowu czynny. I doły. Same krema nie nastarczą. Z bunkra jest bliżej do pól i Wisły. Biorą puste wiadra, stojące przy sągach, i wloką się przez czarny dym.

— Musimy przyjść za dnia, Samek. Zrobić zdjęcia. Może wtedy uwierzą. Napiszę po aparat.

Samek żuje salami, nie odpowiada.

— Tobie pewno trudno... rozumiem — mówi dalej Henryk pamiętając, że towarzysz zna ten krąg piekieł, że stracił tu kogoś najbliższego, że sam pracował przy ogniu.

Do świtu krążą po ograniczonym drutami terenie, przyłączają się do różnych grup, grzeją się przy stosach, marzną za budynkiem. Bezosobowa, bezimienna masa ciał nie robi żadnego wrażenia. Trupy leżą pokotem przy dołach. Czwórka przyjęła drugą partię, więc Mohl pogania sonderowców. Jedzą w trakcie roboty, nie mają chwili spoczynku. Gdzieś daleko za Birkenau wschodzi słońce, złoci czubki drzew, ale światło z dołów jest jeszcze silniejsze od niego i ogromne cienie postaci, które brodzą w łunie, suną po wylegujących się na ziemi zmarłych. Świt: Pod czarnym obłokiem dymu Henryk obserwuje esesmanów. Są bardziej zmęczeni niż więźniowie, podpierają się automatami, chodzą zwolnionym, ciężkim

krokiem. Po świcie przyjeżdża ponownie Hoess. Gniada klacz, mokra od potu, rży, rwie wędzidła. Komendant lustruje doły. Wyniosły, pojawia się i znika w dymie, w blaskach ognia i słońca. Przystaje tuż za plecami Henryka i Samka, obca
woń końskiego potu, woń zwierzęcia, staje się naraz najbardziej ludzką, jedyną ludzką wonią, czymś ze świata, w którym konie i ludzie żyją w pokoju.

Henryk wróci! przed apelem na blok, ogolił się szybko, skreślił kilka zdań do Zygmunta. Plan i list miał przenieść Czarny, zatrudniony przy budowie „Meksyku" i korzystający wraz z komandem z możliwości kursowania pomiędzy obozami. Czarny jeszcze spał. Henryk stanął przy jego łóżku, zawołał kilka razy, zbudził go. Ciepło buchnęło spod derki. Czarny wygramolił się z pryczy i poszedł za Henrykiem do izdebki blokowego. Samek schreiber spał w ubraniu. Rotmistrz-żyw- nościowy był już w kuchni.

— Wsadź do portek i uważaj na bramie.

— Schowam w papę, nie bój się o mnie. Jest co jeszcze? A byłeś tam? Jak poszło?

— Poszło jakoś. Przynieś mi od Jasia calcium* dla Maryjki i watę. Janina też coś chciała, na serce...

Maj toczył się kołami wagonów, kwitnął ogniami i dymem. Zaczęły padać gęste deszcze zamieniając Birkenau w olbrzymią dzieżę ciastowatego błota. W taki błotny, mokry dzień Henryk, pod pozorem sprowadzenia grupy Cyganów do roboty przy baraku, poszedł na obóz cygański. Prowadził go block- fuhrer, przekupiony od dawna „kanadyjskimi" papierosami
i złotem, człowiek schludny, czyściutki, fanatyk porządku.

Henryk był już kilka razy u Maryjki, jednakże zawsze brakowało czasu i sposobności na dłuższą rozmowę, na spotkanie w cztery oczy.

Cyganie włóczyli się na bosaka po błotnistych ścieżkach, oblegali każdego więźnia w pasiaku prosząc o chleb, o papierosa. Starzy i młodzi, kobiety i dzieci biegli za Henrykiem powtarzając uparcie słowo „chleb" i słowo „papieros". Blokowy Matula wetknął kobiecie w rozchełstanej koszuli pudełko węgierskich papierosów i gromada przestała go tropić. Starcy rzucili się na kobietę, dziewczyny wołały kogoś na pomoc. Nie odwracał się, kroczył prosto ku blokowi dzieci, ku piosence wybiegającej z baraku. Blockfuhrer skręcił ku schreibstubie, gdzie czekać miał godzinę na powrót Matuli.

Blokowy, stary znajomy z okresu pierwszego pobytu w Birkenau, czekał na Henryka przed swym barakiem, jak było umówione, pozdrowił go serdecznie mówiąc doń „kolego". W izdebce Henryk dał mu litr denaturatu i wysłał po Ma- ryjkę. Został sam i siedząc na łóżku powtarzał sobie to wszystko, co umyślił jej powiedzieć, nie chciał bowiem zdawać się na żadne impulsy serca, na przypadek. Czas był bardzo drogi, słowa ważyły tysiąckrotnie tyle, co na wolności. Ma- ryjka wpadła do pokoiku i stanąwszy u drzwi zawołała:

— Henryk, czy to prawda, że mamy całą godzinę dla siebie? Całutką godzinę?

Głos jej drżał radością. Podeszła do Henryka, zrzuciła mu czapkę, pogłaskała po króciutkich włosach.

— Usiądź. Chcę ci coś powiedzieć. Proszę cię, nie śmiej się głupawo, chodzi o poważne sprawy.

Ściągnęła zabłocone gumiaki, objęła kolana rękami,

wsparła na nich brodę.

— Ja też mam ci coś powiedzieć, ale mów, słucham.

— Nie przerywaj. Żyjesz wesoła i dość bezpieczna, ale przecież widzisz, co tu się dzieje wokół nas. Jesteś potrzebna, Maryjko. We wszystkich naszych obozach przygotowujemy powstanie, i tutaj potrzebni są zaufani ludzie. Chcę, abyś nam pomogła. Czerwonym.

Maryjka wybuchnęła śmiechem.

— Henryk, Henryk, kochany durniu — powiedziała siadając i bijąc go dłońmi po ramionach. — To prawda, żeś mi przywrócił życie, to prawda. Powiedziałeś, mówiłeś mi, że wygramy i wszystko się sprawdza. Henryk, wygrywamy naprawdę. Jeszcze parę miesięcy i do domu. Henryk, po co te niemądre zabawy? My sami nic nie zrobimy, o niczym nie rozstrzygniemy. Za nas biją się miliony żołnierzy i oni to już załatwią. Ani myślę narażać się właśnie teraz. Ach, ugrać się na wszystkie wielkie sprawy. To tak cudnie mieć dobre łóżko, wodę do mycia, żarcie, bawić się z Cyganiątkami, poplotkować z Janką, posłuchać kapeli. Henryk, oni cudnie grają. Byłam z babami zbierać zioła, byłyśmy za lasem. Henryk, czy ty tego nie czujesz? Blokowy! Jesteśmy (Kuleni i nic psujmy Panu Bogu rachunku, bo się pogniewa. I ja wiole myślałam. Czekałam na to spotkanie. Mówię ci, nie daj się bujać. „Czerwony”! A tu są „biali” czy jak tam, i podobnie gadają z dziewczętami. „Proszę pani, święta rzecz” i łap za cycki. To wszystko bujda, bujda, obłąkaństwo. Żydów gazują, ale nas nie. Żydów nie uratujemy, a siebie możemy zgubić. Ja chcę żyć, teraz i potem, Henryk...

— To jest życie, ale zwierzęcia.

— Może, może, najprawdziwszy człowiek to jest

chyba zwierzę. Nie przekonałeś się o tym? Reszta odpada, zaraz odpada, tylko go potrzymać w lagrze parę tygodni.

Zerwała się z łóżka, zrzuciła luźną „jakę" pasiastą i sięgnąwszy po rąbek sukienki ściągnęła ją przez głowę. Ów ruch, niezapomniany ruch, odebrał mu zdolność rozumowania. Stała tuż przy nim, piersiami dotykała jego twarzy. Widział węgierską bieliznę, cienką, niebieską, sam jej przecież przesłał paczkę, ciało wydobrzałe i czyste, niebieskie żyłki piersi.

— Nie myśl o tamtym, nie myśl... to jest przyjemniejsze — powiedziała.

Patrzył jej w oczy, których nie zamykała, w oczy niezrozumiale chciwe, śledzące bez ekstazy, wesoło twarz mężczyzny.

— Przerwałaś mi gadanie w najważniejszym miejscu — powiedział, kiedy się ubrała.

— Nauczysz mnie potem, ale teraz daj spokój, daj spokój. Czy to może cieszyć? A zresztą, cóż można zrobić im? Gówno! Ich są tu tysiące...

— Równy tysiąc w Birkenau, tysiąc sto czterdzieści w Auschwitzu, pięćset siedemdziesiąt na Bunie. Nie tak wiele.

Nuciła coś pod nosem i patrzyła w okno. Padał deszcz i świeciło słońce. Złote kropelki biły o szyby. Tłumaczył jej sytuację. Zamyśliła się, zmarszczyła czoło.

— Gdybyśmy teraz nagle umarli, po tobie zostałby gniew
i zemsta, a po mnie śmiech — powiedziała. — Dziwak z ciebie. Więc co ja mam robić, wedle ciebie? Już tu jeden był i podobnie gadał. On jest z głównego obozu. Wojskowy.

Powiedział, by nie zadawała się z faszystami. Maryjka nie rozumiała. Z faszystami? Młodzieniec, który chciał ją zwerbować do roboty, był — wedle zdania koleżanek, które go znały z Warszawy — dzielnym człowiekiem. Faszysta?

— Chcę, żebyś stąd poszła. Do „Unionu". W tej fabryce zbrojeniowej potrzeba nam ludzi. W „Unionie" będziesz wśród
dobrych towarzyszek, one tobą pokierują. Nie becz, nie chciałem ci zrobić przykrości.

Blokowy pukał do drzwi, trzeba było się rozstać. Od krematoriów sypały się drobne trzaski wystrzałów.

— Pewno transport spłoszył się i rozbiegł — powiedział. Za oknem wrzeszczała gromada Cyganiątek, które przyszły po swoją opiekunkę.

Henryk odwiedził z Maryjką Janinę i powtórzył jej to, co odnosiło się do planu wyjścia z obozu. Janina miała przez pocztę organizacyjną kontakt ze swymi bliskimi, nawet z córką. Ula była w Krakowie, pracowała jako łączniczka „Kmicica" — specjalnego wysłannika dowództwa krajowego, który miał doprowadzić do końca wojskowe przygotowania obozu,
i z tego tytułu bywała czasem w rodzinnych stronach. Janina chorowała na serce. Worki pod oczyma, blada cera kłóciły się jednak z żywymi, błyszczącymi oczyma.

— Mam straszny kłopot z Czarnym, z Tadkiem — zwierzyła się Henrykowi. — On wziął poważnie romans z Ulką, a dziewczyna w ogóle o nim nie wspomina. Jak myślisz, nadaje się dla niej? Tak mało o nim wiem, tak bardzo mało. On mi tu mówił, że będzie drukarzem, ale, mój Boże, fachu jeszcze nie ma. Zawsze marzyłam, żeby

mąż Ulki był nauczycielem, profesorem...

Gromada dzieci nie pozwalała na długą rozmowę. Półnagie, czekoladowe, brudne bachory biły się, wrzeszczały, grały w kości. Stara Cyganka, o włosach barwy szarego płótna, stała z pustą fajką w drzwiach i tłukła nią wydobywane spod spódnicy wszy. U jej stóp klęczała dziewczynka w rozpiętej bluzce i opowiadała coś ze śmiechem. Stara wsadziła fajkę w zęby, kucnęła naprzeciw córki czy wnuczki, długie śniade palce zagłębiła w czarnych włosach dziewczynki, przechyliła jej głowę i iskała leniwie. Nadszedł więzień z schreibstuby izatrzymał się przy Cygankach. Wyciągnął spod bluzy kawał chleba. Janina krzyknęła i więzień odszedł.

— Za pajdkę chleba sprzedają smarkatą, za pajdkę chleba — mruczała gniewnie. — Weź tego Tadka na sjebie. Cichy chłopak, to może sobie coś zrobić, taki najgorszy. Wojna się już kończy i muszę przecież poważnie pomyśleć 0 UIcc.

— A ty zajmij się Maryjką, jej tu coś za dobrze.

pnrsci.ryj
i Ty. ■:/■ '

Pożegnał się. W baraku blockfuhrer zażądał jedzenia, więc Henryk zawołał Rotmistrza, by przyrządził coś na obiad. Obozowego— nie jadał już, z „Kanady", od sonderowców, dostawał tyle, że wystarczało dla niego, Samka, Rotmistrza i przygodnych gości. Rotmistrz wyciągnął słój gęsiego smalcu, w którym tkwiły kawałki pieczeni, kiełbasy i salami węgierskiego, wianek greckich fig i pszenny chleb. Transporty węgierskie, przywoziły osobliwe bochenki, ogromne koła. Blockfuhrer wyjął z kieszeni czysty papier, rozłożył na stoliku

i wygrzebawszy ze słoja kawał mięsa jął krajać kromkę chle- ba na małe kostki.

Cyganie, sprowadzeni do roboty, szuflowali przed barakiem błoto, łopatami wygalali drogę z bruzd. Co chwila któryś z nich podbiegał do drutów i wołał, przyłożywszy dłonie do ust, żonę lub dziecko. Przychodzili przez kilka dni, ale drogi
i ścieżki nadal tonęły w błocie, ugniecionym tysiącami nóg. Wreszcie wypogodziło się i gorący wiatr wysuszył ziemię, która zakrzepła zachowując wszystkie ślady przemarszów. Kilka komand zaczęło żwirować drogi i oczyszczać rowy odwadniające, powietrze zgrzytało teraz, a nawoływania kapów raz po raz wywabiały Henryka z baraku. Później przywykł już do krzyku i wysyłał tylko Rotmistrza, a sam, zamknąwszy się z Sierożą Abramowiczem, Herszem Toperem, Segałem
i nieodzownym Samkiem Rubinem, ślęczał nad wielkim szkicem północnej części obozu Birkenau. Te „aplikacyjne ćwiczenia" miały sprecyzować plan, przedłożony w ogólnych zarysach Radzie Wojskowej, plan bardzo prosty: o oznaczonej godzinie— Henryk projektował dwa warianty, dzienny i nocny— obie grupy Sonder rzucają się na esesmanów, zabijają ich, odbierają broń. Czwórka prowadzi akcję. Ładunki granatów prochowych wrzuca w ciąg kominowy i w paleniska. To będzie sygnał dla całego Birkenau. Na ów sygnał wszyscy powstają. Grupa techniczna niszczy przewody, bez względu na centralną akcję zniszczenia transformatorów, grupa uderzeniowa Czwórki i Piątki przerywa druty i otwiera wyjście obozowi mężczyzn w kierunku północno-zachodnim, grupa Dwójki i Trójki otworzy wyjście obozowi kobiet w kierunku

południowo-zachodnim. W wariancie dziennym obsługi odcinków i komanda wewnętrzne uciekać będą na zachód ku Wi-

śle, a komanda zewnętrzne z miejsc pracy najkrótszą drogą za rzekę i na południe. Transporty na rampie i koło krematoriów muszą być użyte jako czynnik zamieszania. Henryk przeznaczał je z góry na zagładę. Panika, rozpacz i chęć ratowania życia za wszelką cenę — jeśli zrozumieją, że uniknęli gazu — może rzucić je na pościg SS. Politruk Sierioża Abramowicz i żołnierz Hersz Toper zgadzali się na wszystko. Gromadzili żelazne łomy i ostre szpadle, mieli dość bosaków, siekier i wielkich, rozwidlonych pogrzebaczy, kadzie ropy
i bańki metanolu, przeznaczone do polewania zwłok w dołach, stały w pogotowiu, nożyce do cięcia drutów sprowadził Henryk z centralnego obozu, chodziło jeszcze o granaty i plaste- linkę, o proch i spłonki. O dalszą część planu mieli się martwić Rada Wojskowa i „Kmicic", prowadzący rokowania wojskowe z ramienia krajowej konspiracji.

Z końcem maja plan w najgrubszych zarysach byl gotów.

— Ilu przejdzie, jak myślisz? Ilu?-^~ pytał Samek.

— Dwadzieścia procent przy akcji tylko naszej, pięćdziesiąt przy akcji wspólnej, z nieba i z ziemi, ale obojętne ilu. Przymknij na chwilę oczy: to wszystko tu płonie, cały obóz spalony, krema w gruzach, ale to jeszcze nic! Kto uciekł, będzie się bronił przed schwytaniem, a ktokolwiek ma w tym kraju broń, będzie mu musiał pomóc. Na nic, bracie, mądre taktyczne zasady, trzeba będzie się

bić. Tylko wszystko zsynchronizować, zsynchronizować. Jakoś to zresztą będzie, Samek.

Samek zadumał się głęboko. On znał lepiej sonderowców niż Henryk, który cały plan opierał na nich. Można gadać, że im też grozi komora gazowa, że są tylko na urlopie, czasowo zwolnieni od śmierci, oni nawet o tym wiedzą, ale ostatnie zwycięstwa aliantów dały im nadzieję, że wygrają wyścig.

— To jest takie głupie, Henryk, a jest. Coraz trudniej z chłopakami gadać, oni muszą czuć nóż na gardle.

Takiego stanowiska nie spodziewał się Henryk, nie bral tego w ogóle pod uwagę, tym bardziej że ani Abramowicz, ani Segał, ani Hersz Toper nie wyjawiali podobnych wątpliwości. Uderzało podobieństwo między nadzieją Sonder a nadzieją Maryjki. Odebrać im nadzieję? Byl gotów to zrobić, gdyby mógł, gdyby wiedział jak.

Transporty bez przerwy przesuwały się od rampy do wrót śmierci. Dwa razy z końcem maja, tknięte nagłą paniką czy spłoszone kłębami czarnych dymów zza drzew, rozproszyły się przed krematoriami. Ludzie, krzycząc i tratując słabszych, szukali kryjówek między sągami drzewa, w gorącym jeszcze, czarnym, tłustym dole, wtargnęli na korytarz, obalili sanitarkę i wpełzali do niej lub po prostu padali na ziemię nieruchomiejąc. Esesmani część wystrzelali na miejscu, reszta zaś z lęku przed kulami dała się wepchnąć do komór. Sonder żyło nadal. Samek Rubin niestrudzenie pouczał sonderowców, że czeka ich pewna śmierć, Henryk rozmawiał z wieloma, przytaczał daty wymordowania poprzednich składów, powoływał na świadków tych, którzy przybyli z Majdanka.

— Co ty od nas chcesz? Czemu straszysz? A może

przetrzymamy?— odpowiadali. Wydawało się Henrykowi, że odebranie sonderowcom nadziei ocalenia przez zwycięstwo aliantów jest najważniejszą sprawą, że nie wolno mu szczędzić żadnego argumentu, wróżył więc długą jeszcze wojnę i, zgodnie ze swym przekonaniem lekceważył siły Anglosasów.

— Jak ty mówisz, to się aż płakać chce — powiedział kiedyś Samek. — Schwarzseher*. Człowiek chciałby usłyszeć coś na pociechę, a nie samo krakanie. To biedni ludzie, bardzo biedni, taka — sama śmierć.

Doszło do starcia i z Bolkiem, który teraz stale kursował między obozami. Bolek gorąco sprzeciwił się czarnowidztwu Henryka. Wpadłszy pewnego wieczora na zebranie z kierownikami grup Sonder, powiedział, że wojna wkrótce się skończy, ale po wojnie muszą zdać sprawę ze swojej strasznej roboty. Żydzi z całej Europy postawią ich przed sądem, jeśli nie zrehabilitują się zawczasu.

— Co my winni? Z dobrej woli my nie poszli. Wybierali, nawet nie mówili po co, dokąd — tłumaczył Lejzor Potocki, jeden z najstarszych sonderowców.

Maj zaludniał place krematoriów coraz to nowymi tysiącami ofiar i stopniowo świadomość nieuchronności zagłady zaczęła ogarniać Sonder. Kapo powędrował któregoś dnia na Politische, oskarżony przez Mohla, że rozmawiając z trans

* czarnowidz

portem wyjawił tajemnicę miejsca. W nocy tegoż dnia przywieziono jego ciało w worku, ze zmasakrowaną na miazgę twarzą, i Mohł własnoręcznie spalił je w piecu. Jeden ze schreiberów, przyłapany na próbie przemycenia w

garderobie zamordowanych żywego noworodka, wrzucony został żywcem do dołu z wrącym tłuszczem ludzkim, Ajzyk Francuz, rozbierając transport francuski i uspokajając przelęknione kobiety, poszedł z nimi do komory i Mohl go tam już zostawił.

Henryk tryumfował, kiedy Samek stwierdził, że Sonder ma dość. Stało się to tego samego dnia, gdy Mohl oznajmił, że sonderowcy przeniosą się na mieszkanie do krematoriów II
i IV. Co będzie, jeśli te przenosiny oznaczają gaz?

— Nic, Samek. Nie wolno im nic robić w oderwaniu od reszty obozu.

— No to co?

— No to nic. Zaczniemy robotę od nowa z następnym Sonder.

Samek uszczypnął Henryka w udo, jakby chciał się przekonać, czy to żywy człowiek. Przenosiny były wprawdzie postanowione, ale nikt nie wiedział, kiedy nastąpią, Henryk zaś nie miał odpowiedzi na plan akcji, Rada Wojskowa opracowywała go w szczegółach i pertraktowała z delegatem Kmicicem, który wymagał drobiazgowych danych wywiadu wojskowego. Zygmunt donosił, że nie wolno nikomu działać na własną rękę. Nie wolno. To wystarczało.

W najbliższą niedzielę po raporcie Samka Henryk poszedł do Maryjki opłacając się blockfuhrerowi „kanadyjskim" mydłem i kremem do golenia. Rotmistrz odprasował mu kurtkę
i spodnie, czerwona opaska z błyszczącej mory świeciła jak pas krwi na ramieniu. Przy Bolku i Czarnym, którzy również wybierali się z wizytą, wyglądał wspaniale.

Pasiaste spodnie, czarne półbuty, granatowa kurtka i granatowa czapka nadawały mu wygląd wojskowy, majestatyczny.

Na drodze do obozu cygańskiego koncertowała stuosobowa kapela i z wszystkich odcinków ściągali na tę imprezę funkcyjni, esesmani, prominenci. Druty między cygańskim a męskim obozem oblepiał tłum więźniów. Prymas, Cygan holenderski, stał na beczce dyrygując skrzypcami, gitarami, basami
i cytrami, poddając melodię, wpadając w nią i rozprowadza
jąc na grupy instrumentów. Wielka improwizacja wypełniała ciche, gorące piwie trze. Dziś nie było transportu. Na „Meksyku" czekało na kolejkę do komór dwadzieścia tysięcy kobiet. Po drugiej stronie drogi do Czwórki i Piątki widać je było, zupełnie nagie, o łysych głowach. Dwa dni już nie dostawały jedzenia, nie miały ni kropli wody, spały na glinie w nie ukończonych barakach. Henryk, nim poszedł do Ma- ryjki, zerknął na „Meksyk". Wiedział, że tam na drutach nie ma prądu. Widma gołogłowe wołały coś do niego poprzez drogę, pokazywały palcami usta.

Maryjka wesoło powitała Henryka. Siedziała na łóżku obok chorej koleżanki, w pustawej izbie, bowiem wszyscy zdrowi wyszli na koncert. Pocałował ją w policzek i odwiódł od chorej. Gdy spytała, czy są jakie nowiny, machnął pogardliwie ręką. Cóż, zwycięstwo jest pewne, ale dalekie. Nie ma się co łudzić, bardzo dalekie.

— Powiedz, co załatwiłaś z tego, o co cię prosiłem?

— Zupełnie nic.

— Nie nadajesz się do roboty tutaj, pójdziesz do „Unionu".

Maryjka, „Union” ma nam dostarczyć prochu, granatów przeciwlotniczych i zapalników.

— Chcesz mnie posłać, chcesz mnie posłać na śmierć?! Nie, ani mi się śni, już ci mówiłam, co o tym myślę. Nie na to walczyłam ze sobą, ze strachem przed chorobą, głodem i kijem, nie na to przezwyciężyłam cholerną melancholię, żeby narażać się nie wiem po co. Boże mój, aż strach pomyśleć! Może masz rację, nie wiem, ale mnie w to nie mieszaj, mój drogi. Nie nadaję się, mam swoje Cyganiątka, wiele z nimi roboty, to też chyba jakieś działanie.

Henryk pogardliwie pykał wargami, ale Maryjki to nie peszyło, mówiła dalej, przedstawiała swoje racje, które on oceniał jako niskie, tchórzliwe, burżujskie. Tak właśnie, burżuj- skie. Żałował, że w tej chwili stoi przy niej w mundurze blokowego, a nie w łachmanie zwykłego więźnia, co niewątpliwie, jak sądził, umniejszało wagę argumentów, sam przecież należał do tej „burżuazji”.

— Więc odmawiasz, wręcz odmawiasz? Nie pójdziesz do „Unionu”? Ładnie, ładnie. Z prostej wdzięczności, nie mówię

0poczuciu obowiązku, z wdzięczności dla ludzi, którzy ci pomagali i mnie pomagali, powinnaś inaczej postąpić.

Załamała ręce, opuściła głowę.

— Cóż mam robić? Cyganiątek nie opuszczę w każdym razie — powiedziała, a wówczas Henryk wyrecytował szybko cały program: zgromadzić grupę zdecydowaną na wzięcie udziału w akcji, zyskać zaufanie młodych, bojowo usposobionych Cyganów, mówić każdemu, że SS będzie chciała wszystkich więźniów zgładzić, choćby jako niewygodnych świadków

nieludzkich zbrodni.

— Odbieraj im nadzieję na ocalenie przez kogoś innego niż przez nich samych.

Zaśmiała się smutno i wówczas zrozumiał, że mu nie wierzy, że mu nie chce wierzyć. Chociaż żyła tak blisko zagłady, była pewna, że ona jej nie dotknie.

Koncert trwał. Raz po raz któryś z esesmanów poddawał prymasowi melodię, ulubionej pieśni i kapela po chwili improwizowała ją, rozwijała, dzieliła na dziesiątki skrzypiec 1 gitar. Henryk odstąpił od Maryjki, przyjrzał się jej jak obcemu człowiekowi.

— Zresztą jak chcesz — powiedział obojętnie. — Idę.

Blockfuhrer wrócił do obozu męskiego podrażniony koncertem. Wpadł do baraku i spotkawszy dwóch Francuzów, leżących bez pozwolenia na pryczy i palących papierosy, wpadł w wściekłość. Sam nigdy nie bił więźniów, brzydził się ich, więc przywołał Henryka i, poleciwszy mu zebrać mieszkańców bloku, kazał wystąpić wszystkim Francuzom. Wystąpili obaj winowajcy i kilku francuskich Żydów.

— Precz, precz! Żydzi, precz! — krzyczał blockfuhrer. — Tylko dwóch Aryjczyków? Wy zgniłki, wy... wy... — brakło mu słów — wy, komuniści! Cały blok stójka, a wy — rozebrać się. Blokowy, tłumacz!

Francuzi obojętnie zrzucali odzież. Byli to ludzie w sile wieku, ale zbiedzeni. Klimat, praca, brak najprostszych udogodnień cywilizacyjnych wyniszczyły ich ciała. Syndykalista Pierre i komunista Roger przybyli tu w lecie 1942 roku w wielkim transporcie, z którego pozostało przy życiu tylko kilkunastu ludzi. Henryk po raz pierwszy zobaczył ich nagich. Przecież nie głodowali, Pierre

dostawał nawet paczki, a jednak wygląd ich wstrząsną! nim nieoczekiwanie. Blockfiihrer coś mówił, krzyczał, a on patrzył na zapadnięte brzuchy Francuzów, na wystające kości miednicy, pręgi żeber. Esesman spluwał z obrzydzeniem.

— Blokowy!

Henryk postąpił krok naprzód. Jeżeli odmówię, koniec mojej roboty w Birkenau. Nie ma rozkazu, by ją przerwać. Jeżeli wykonam rozkaz... no, cóż, parę kijów na zadek, muszą zrozumieć. Lepiej, żebym ja bil, niż żeby poszli do bunkra. Wziął kij i kazał położyć się Francuzom, w tej jednak chwili Samek wyrwał mu kij i zaczął chłostę mrucząc po francusku:

— Krzyczcie, krzyczcie i wolniej dupa, nie napinać, krzyczcie!

Krzyczeli. Blockfuhrer wszedł z Henrykiem ponownie do baraku. Przeszukiwał prycze, ale rękami blokowego, stał z dala, a kiedy z góry padły mu na mundur śmieci, wstrząsnął nim dreszcz lęku. Wyszedł zapowiadając na dzień następny generalną kontrolę czystości. Rząd rozbebeszonych prycz słał ku niskiemu dachowi smugi pyłu, na ziemi walały się strzępy swetrów, onuce, cały mizerny dobytek zwykłych więźniów. Henryk patrzył na smugi światła, pełne wirującego pyłu. Nie powiedział nic Samkowi, gdy znaleźli się w izdebce blokowego. Wydobył wszystkie zapasy „kanadyjskie” i dal mu dla Francuzów. Nazajutrz przed pobudką postawił cały blok na nogi zarządzając generalne porządki. W łóżku nie wolno było nic przechowywać, nie wolno było mieć bielizny i ubrania na zmianę, nie wolno było posiadać żadnej rzeczy nieobozowej. W tumulcie setek mieszkańców baraku

grzęzły okrzyki sztubowych i klątwy Henryka. Chciał przed wymarszem tak wysprzątać barak, by blockfuhrer nie znalazł najmniejszego powodu do złości, więźniowie więc ładowali na siebie wszystko, co mieli, i słali prycze w „kostkę". W obronie porządku Henryk był twardy, wiedział, że przewina jednego spada ciężarem kary na wszystkich, toteż poganiał nawet Bolka, Czarnego, Felka i Lalę, a gdy pucołowaty, czeski Zielony nie zasłał przepisowo łóżka, uderzył go pięścią w twarz.

— Czerwony, a bije — zaśmiał się jeden z Polaków. — Panie blokowy, towarzyszu blokowy?!

Henryk zamierzył się, ale opuścił rękę.

Wyszedł przed barak, popatrzył na czerwone już niebo obserwując grę obłoków, potem na drogę ku bramie. „Krwawy Józek", blokowy, wolniutko spacerował przed kuchnią, Grecy ciągnęli wóz z rurami, przy wyjściu grupka esesmanów czytała gazetę.

Samek ujrzał, jak Henryk podnosi porzuconego „Vólkische- ra" i wraca na blok.

Tknięty złym przeczuciem, podszedł do Henryka i powiedział po francusku:

— Tyś chyba chory. Boli cię? Boli?

Henryk wyciągnął gazetę i suchym głosem obwieścił:

— Wojska anglosaskie wylądowały wczoraj we Francji, w Normandii. Olbrzymia akcja. Trwa zacięta walka. Lądują ze statków i powietrza. Inwazja się zaczęła.

Samek pokiwał głową, objął Henryka łagodnie wpół i pchpął ku wyjściu, ale spotkał jego przytomne spojrzenie i opadły mu ręce. Nie wierzył jeszcze uszom. Pierwszy Rotmistrz zrozumiał wiadomość. Usiadł na grobli kominowej i wybuchnął cichym, nieprzerwanym

śmiechem, • sztubowi stali chwilę | otwartymi ustami, potem krzycząc wybiegli z baraku. Samek chciał coś powiedzieć, ale z gardła wydobywał się tylko niezrozumiały bełkot. Wyrwał gazetę Henrykowi, przeczytał wielkie tytuły: „Lalki na spadochronach”...

— Zwariowałem! — krzyknął — zwariowałem!

Tylko Henryk stał niemo, bez ruchu. Palce szukały w powietrzu gazety.

— Do domu, cholera, do domu — powiedział tłumiąc śmiech Rotmistrz. — Blokowy, czytajże, czytaj!

Henryk obrócił się na pięcie i poszedł do swej izdebki. Ćmiło mu się w oczach, w uszach huczało powietrze jakby od tysięcy wystrzałów armatnich. Samek wpadł za nim, siłą zmusił do położenia się na łóżku.

— Teraz Sonder nie będzie chciał... — szepnął Henryk przez zaciśnięte zęby — a To się przecież szybko nie skończy...

Wieczorem już całe Birkenau wiedziało o inwazji. Nieprawdopodobne wieści krążyły między drutami, a w latrynie, gdzie zbierano się na pogawędki, zapewniano już, że

padł Paryż, że cała Francja zajęta. Czarny przyniósł wiadomość, że Amerykanie zajęli Rzym, że wojsko polskie bije się we Włoszech i wkrótce będzie w Niemczech. Rotmistrz celował w zmyślaniu faktów. Nikt mu nie miał za złe nawet najoczywistszych bredni, nikt prócz Henryka.

Henryk, zmęczony, ogłuszony nowinami, podszedł pod druty cygańskiego obozu. Z daleka już ujrzał Maryjkę; gdy go dostrzegła, wyrzuciła w górę ręce i klaskała nad głową. Więc i ona wiedziała, więc wszyscy już wiedzieli. Przypomniał sobie sąd Maryjki i niedawne poglądy sonderowców,

ciężkim krokiem jął spacerować po obozowej ulicy między blokami. Kupy więźniów zajadały kolację, wylegiwały się na ciepłej ziemi. Roger spotkał go koło latryny, poczęstował papierosami.

— Nie palę. Dziękuję. Zniszczą wam kraj — powiedział Henryk. Roger pokazał figę, potem, złożywszy dwa palce na krzyż, wymówił: — Kaputt.

Przed izolowanym barakiem Sonder panował niecodzienny ruch; ustawiała się długa kolumna, więźniowie dźwigali koce, sienniki, beczki na zupę, kapowie jednak zagradzali drogę i nie można się było przedostać do sonderowców. Szli na nową kwaterę. Nie jesteśmy gotowi z niczym — pomyślał Henryk. — Gdyby teraz Sonder szło do komór, nie wolno mu poruszyć Birkenau. Posępna kolumna ruszyła ku wyjściu, eskorta esesmańska szła obok więźniów w milczeniu. Nie padł ani jeden okrzyk komendy.

Bocznicą toczył się długi pociąg czerwonych wagonów, maszynista dawał sygnał. Henryk krzyknął donośnie, by go wszyscy słyszeli:

— Ruhe! Das Ganze — antreten !*

Więźniowie biegiem wychodzili na zbiórkę, a gdy się już ustawili, powiedział po niemiecku:

— Niech nikt nie zapomina, że tu jest obóz koncentracyjny, niemiecki obóz, i że bliżej stąd do pieców niż do Normandii.

kr- zbiórka!

Rozdział trzynasty

Na niebie puch obłoków; rozrywają je brunatne krokwie dachów i szkielety nie ukończonych jeszcze baraków, które powtykano w równinę „Meksyku” niby drewienka w

ogromne mrowisko nagich, wystrzyżonych kobiet. Łażą po polu stadami, wytrawiają setki ścieżek, co do nikąd nie prowadzą, krążą między drutami, nie znające żelaznego ładu obozu, żyjące dziko. Koło jako tako uporządkowanych baraków czyhają głodne gromady, kilku osobników czyści czarne lustra butów blokowej, trzepie grubą derkę, broniąc zawzięcie tego przywileju, inne czekają na ukazanie się władczyni, bo może rzuci ochłap jedzenia lub jaką szmatę. Nad rowem, pomazanym na dnie zielonkawą wodą, ciągnie taneczny korowód: kobiety nie zatrzymując się maczają w niej palce, podnoszą do ust, wilżą wargi i idą dalej. Koło bramy najsilniejsze robotnice toczą puste beczki i ciągną za ręce i nogi rozkrzyżowane zwłoki. Wszystkie te stworzenia są dziwnie żywe, ciał ich nie dotknęła jeszcze śmierć. Na pustyni „Meksyku", na ziemi bez wody, w sąsiedztwie oazy drzew, pomiędzy którymi sterczą dwa kanciaste kominy, w bliskości brzezinki osłaniającej słupy dymów wyglądają jak z martwych powstałe na owej dolinie, jaką opisuje Pismo, w Dzień Sądu. Sąd już się był odbył, na rampie, i palec esesmana
zastąpił palec boży. Gdyby wskazał im lewicę, już by nie żyły, a proch z nich spłynąłby rzeką, a złote zęby powędrowałyby do skarbca Rzeszy. Na Sądzie Ostatecznym pojawiłyby się powstałe z namulisk Wisły, z tłustego iłu Birkenau, z pokarmów, jakie wydały ogrody zasilone mączką kostną, z włosia materaców ciepłych jeszcze od ciał ich posiadaczy, niemieckich obywateli, ale one żyły, skazane na czyściec transportu do przyfabrycznych podobozów, wepchnięte na „Meksyk" i jakby przez wszystkich zapomniane.

Henryk, zamyślony, patrzył wraz z Samkiem na

„Meksyk”, póki nie ujrzał Bolka i Czarnego. Przenosili kocioł ze smołą i papę pod barak, gdzie kończyła robotę szóstka z obozu głównego. W czystym powietrzu widział wyraźnie, jak Bolek podchodzi do młodego vorarbeitera, podaje mu rękę, ściska dłoń. Odszedł w przekonaniu, że nowy kontakt Rady Wojskowej chwycił. Tymczasem Bolek, zamieniwszy kilka słów z vorarbeiterem, wszedł z nim do wnętrza baraku przeznaczonego na biuro i dlatego wyposażonego w podłogę i okna. Jasne deski leżały równo poukładane i ponumerowane, pięciu robotników przybijało je do belek.

— Swoi. Pierwsza partia, która stąd pójdzie. Melinę zostawiamy do dyspozycji. Wygodna — powiedział Vorarbeiter. — Sam sprawdź.

Ogromna kupa ziemi leżała tuż przy ścianie baraku, wydobyta kopaczką w trakcie plantowania terenu. W tym kopcu wyryta była jama, do której wpełzało się poprzez otwór w ścianie baraku, zasłaniany deskami. Jama była pogłębiona, wyłożona drzewem. Od biedy mogło się tu zmieścić i sześciu, tylko że w szóstkę wytrzymać w norze trzy doby! Vorarbeiter nie zwracał na ten szczegół uwagi, szedł z ludźmi do lasu i wszystko mu było jedno, w jakich warunkach spędzą ostatnie godziny niewoli. Miał już umówioną trasę, myślał teraz tylko o życiu po drugiej stronie drutów. Melina wydawała się dogodna. Leżała w terenie, gdzie łatwo było się ukryć i który łatwo można opuścić. Na drutach nie było prądu, duży łańcuch straży schodził w nocy z posterunków, esesmani na bramie w ogóle nie kontrolowali ruchu. Gdzież bowiem mogłyby uciec nagie, ostrzyżone kobiety węgierskie?! W melinie, którą już przykrywano podłogą z luźno ukła

danych desek, Botek odebrał od vorarbeitera paczkę z głównego obozu. Dekarze zostali sami. Czarny siedział przed barakiem i warzył smołę. Przyrzucał do ognia drzewo. Ze zbutwiałej łaty uciekały w popłochu czerwone szczypawki, wpadały w ogień, ginęły pod obcasem. Trzeba mi nowe buty zorganizować, te już na nic. Zrzucił bluzę, podwinął czarną koszulkę — talizman, którą nosił bez przerwy od chwili aresztowania, sam prał i cenił bardzo. Znalazł dwie szare wszy. Jak się chodzi do bab albo Cyganów, zawsze tak, zawsze przyczepi się to paskudztwo. Z czego one się rodzą? Chyba z brudu? Samek mówił, że na jedwabiu się nie trzymają, można by spróbować, ale szkoda koszulki. Pyrczała w kode smoła, zamieszał ją żelaznym drągifem, bał się oderwać wzrok od czarnej mazi, spojrzeć dalej, niż sięgał ogień.

O kilka kroków od stanowiska pracowało greckie komando kopiąc rów. Kapo, niemiecki Żyd, dzierżył na ramieniu góralską ciupażkę i uderzał raz po raz któregoś z Greków drewnianym ostrzem po głowie. Dostrzegał każdą zmianę w rytmie pracy, każdą najmniejszą chwilę odpoczynku, każdy prostujący się grzbiet, interweniował natychmiast. Grecy pracowali w milczeniu. Wzdłuż linii rowu przywarło do ziemi stadko kobiet. Pierwsze szeregi, najodważniejszych i najmłodszych, kucały zasłaniając kolanami nagie piersi, a dłońmi głowy. Głowy, kuliste, jajowate, pokryte szczeciną, pozbawione nie tyle ozdoby, ile kształtu, wydawały się być najbardziej wstydliwą częścią ciała, każda zdobyta szmatka przepasywała je, okrywała, otulała. Grecy, narażając się na ciosy kapowskiej ciupażki, rzucali ukradkiem to chustkę, to strzęp koszuli, to wycyganioną od kolegów część garderoby, a Węgierki

stroiły głowy turbanami, chustami, zawojami najdziwaczniejszych kształtów. To dawało większą pewność siebie, poczucie wyróżnienia. Tak ustrojone wstawały i oddalały się leniwym krokiem głodnego człowieka, ale zaraz na ich miejsce wysuwały się nowe. Dziesiątki nowych istot. Milcząco wpatrywały się w mężczyzn, jak gdyby chciały wzrokiem zedrzeć z nich odzież, rozerwać ją na kawałeczki, potrzebne do przykrycia nagości. Czarny nie śmiał patrzeć na nie, wstydził się, że jest odziany, najedzony, wypoczęty. Wreszcie nie wytrzymał. Wszedł do baraku i zawołał towarzyszy.

— Zdejmować, co się da. Dla bab. Nie można patrzeć na te cycki i dupy, na te łby gołe — powiedział rozbierając się do naga. Podarł kalesony, zdjął onuce, długo ważył w dłoni czarną koszulkę. — Niepotrzebna już, niech idzie.

Z naręczem szmat wyszedł do kobiet. Łapały je w powietrzu i przymierzały, owijały piersi lub biodra, ale przede wszystkim głowy. Zionął od nich odór tak mocny, że zatykał nos. Czarną koszulkę dał młodej dziewczynie, jedynej blondynce w gromadzie. Trykot zakrył jej wprawdzie brzuch i połowę ud, ale odsłaniał maleńkie piersi. Roześmiała się cicho, położyła dłoń na ciemieniu.

— Danke, danke — szepnęła. Kucająca obok niej tęga baba nagle wstała i kilkoma szarpnięciami zdarła koszulkę z dziewczyny, jej wielkie ciało nie mieściło się jednak w talizmanie Czarnego, ogromne piersi wylewały się zza czarnych ramiączek, klockowate ramiona i uda stały się potwornie śmieszne. Dziewczyna kucnęła z powrotem i płakała.

— Nie płacz, nicht weinen — powiedział Czarny i

rozpiął bluzę, by wiedziała, że nie ma już nic pod spodem. — Kapo, geben Hemd, sofort!*— krzyknął do człowieka z ciupażką. Kapo, bijąc laską najbliższych Greków, udawał, że nie rozumie, ale gdy Czarny zaświstał na kolegów, pojął, że to nie żarty, skinął na wysokiego kopacza z blizną na czole i kazał mu się rozebrać.

— Nicht Grek, kapo Hemd** — upierał się Czarny. Mały Felek już sunął ku niemu z drągiem w ręce, Bolek z dachu groził młotkiem, Grecy przestali pracować i zdumionymi spojrzeniami śledzili osoby rozgrywającego się przed nimi dramatu. Kapo prężył się i puszył, by nie stracić autorytetu u podwładnych, ale bał się Polaków, a kommandofuhrer był za daleko, by mógł wziąć go w obronę. Zaśmiał się udając pogodę ducha, zdjął koszulę, oddał Czarnemu i nagle rzucił po żydowsku rozkaz Grekom, by się rozebrali. Nie rozumieli go, powtórzył, potem na migi tłumaczył. Kopacze szybko obnażyli torsy i nie bacząc już na kapo obdarowywali kobiety węgierskie. Dziewczynie koszulę wręczył sam Czarny.

— To od Uli, das ist von Ula, mein Mädchen, verstanden?* — powiedział. Skinęła głową, a kiedy zawrócił do baraku, poszła za nim. Usiadła przy ognisku, poprawiła drwa. Ładna, ale ładna! Ładniejsza nawet od Ulki, ślepka ma jak samiątko, a pod brzuszkiem czarna. Ulka jest chyba wszędzie jasna? Patrzył chwilę na dziewczynę, aż przyszło mu na myśl, że mógłby ją wciągnąć do baraku, choćby do meliny, i wziąć. Ula Ulą, cóż to jej szkodzi? Zawstydził się jednak pomysłu, gniewnie odpędził dziewczynę od ogniska, rzucił za nią żarzącą się głownię i zawołał Bolka, by pójść z nim do blokowych. Może one zaradzą biedzie kobiet, może

przywiozą z „Kanady” łachy, przecież jest ich tam pod dostatkiem !

— A jakbym tak ściągnął tu Janinę i razem z nią napie- przył z lagru? — powiedział w drodze. — Dałoby się urządzić.

Bolek ofuknął go, przecież wszyscy naraz nie mogą brykać z Oświęcimia! W czasie ostatniej wizyty w obozie macierzystym Marek jemu zaproponował ucieczkę. „Będziesz naszym ambasadorem w terenie — powiedział — bo tam robota kuleje. Nawet Galidze nie wytropili. Kłócą się...” Z woreczka, w którym beztrosko przechowywał tajne materiały, korespondencję, gazetki, wydobył barwny planik na kalce, przedstawiający wycinek okolicy obozu, i pokazał trasę przyszłej ucieczki. Z „Meksyku” właśnie biegł szlak czerwonych kreseczek przez pola i mokradła ku rozlewiskom Wisły. Każdy zagajnik, każde samotne drzewo, wszystkie szczegóły terenu były wykolorowane. Czerwone kreseczki przecinały pętlę rzeki, zawracały drugim brzegiem do kępy i zamykały w kółeczku krzyżyk, który oznaczał: „tu dojdziesz i zaczekasz w nocy na ludzi z bazy. Wymienisz hasło i odzew”. Bolek miał w pamięci całą trasę, czekał tylko na zawiadomienie, kiedy ma uciekać, i nikomu nie zdradzał na razie planu. Czarny jednak od razu pojął, co się święci, splunął, spojrzał smutno na przyjaciela. Dlaczego mu nie ulał? Dlaczego nie powiedział wcześniej? Tę tajemnicę mógł znać, nie bał się jej, bo dotyczyła kogoś bliskiego, nie zną spraw ogólnych i tak wielkich, że nie wiadomo nigdy, czy człowiek je udźwignie.

— Nie bój. Wezmę, co chcesz, dla Ulki — powiedział Bolek. — Nawiewam stąd w pewnej misji,

zawadzałbyś mi na razie.

Obeszli kilka baraków próbując nakłonić blokowe do wyprawy po „kanadyjskie" lachy, ale wszystkie próby przekonywania spełzły na niczym, żadna nie miała ochoty narażać się dla kobiet „Meksyku". Wieczorem Bolek zaniósł Henrykowi aparat fotograficzny, odebrany w melinie od vorarbei- tera.

— Melina bycza, szóstka idzie w tych dniach, a potem ja — powiedział. Henryk zrobił zdziwioną minę, nie podobało mu się, że o ucieczce Bolka decydowano bez niego. Oglądając aparat i przymierzając go Samkowi, czy da się ukryć pod marynarką, myślał, zresztą bez goryczy, o tym fakcie. Jeżeli kierownictwo uważało za słuszne przemilczenie przed nim przyczyn i celów ucieczki Bolka, musiało mieć ku temu powody, ale Zygmunt czy Marek mogli go uprzedzić, już jeśli nie jako delegata na Birkenau, to przynajmniej jako blokowego. Czuł się nieco urażony. Minęły wprawdzie czasy niepokojów i trosk o przyszłość roboty, od kiedy zrozumiał, że tam gdzieś w centralnym obozie działa trust mózgów, starzy, doświadczeni towarzysze, że on sam jest pionkiem wielkiej, wspaniałej gry, od czasu do czasu jednak pojawiała się jeszcze niechęć do reguł tej gry. Kiedy Bolek odszedł, powiedział Samkowi:

— Musimy mieć za wszelką cenę fotki ludzi, ludzi, nie obiektów! Przydałoby się, żebyś pstryknął kobiety i dzieci, to najbardziej może podziałać na panów o chłodnej krwi anglosaskiej. Robota będzie trudna. Nie mówię oczywiście
oryzyku. Jasne, że kiedy cię złapią, zrobią wszystko, żeby wydusić tajemnicę, skąd masz aparat i dla kogo robiłeś

zdjęcia, a że nie możesz znaleźć żadnego wykrętu, przygotuj się na najgorsze, Samek.

— To ja mam iść?

— A kto?

— Racja. Tylko trudno teraz się dostać, trzeba pójść z „Kanadą", w dzień. Żeby było słońce. Dobra.

Samek zajrzał w obiektyw, sprawdził bieg filmu. Trzeba będzie przeszyć guzik marynarki i zrobić parcianą taśmę. Zrobiło się duszno, musiał wyjść przed barak. Łażąc wzdłuż drutów rozmyślał nad sposobem wykonania zadania, próbował, jak to będzie. Nagle przystając rozpinał marynarkę, kucał i sięgał ręką do paska. Trudno celować brzuchem, ale inaczej się nie da pstrykać, jakoś to będzie, byle nie zauważyli esesmani. Zaszedł tak aż za latrynę i natknął się na Bolka i Czarnego. Bolek leżał brzuchem na ziemi, i jakby się gimnastykował, wyrzucał raz po raz to nogi, to ramiona, miarowo, na komendę Czarnego. Spostrzegłszy Samka zerwał się, rozdziawił bezzębne usta, chciał coś powiedzieć, usprawiedliwić niecodzienną przecież pozycję, jednak wstyd nie pozwolił mu się przyznać, że po prostu uczy się pływać. Wychowany nad Wisłą, ani razu jej nie przepłynął, nie potrafił, teraz zaś wodniacka wiedza była mu nieodzowna. Miał powiedzieć Markowi, że rezygnuje z trasy, bo nie przebędzie Wisły?

— Kładź się, Bolek. Pięty razem, pięty razem — mruczał Czarny. — Trzeba cichutko płynąć, tuż pod wodą, a ty nogami fikasz i fale robisz. Samek, ty wiesz, jakby tak plusnąć w Wisłę, to by i do samej Warszawy dopłynął. Śmieszne, co?

Samek pokiwał głową. Warszawę pamiętał wyobraźnią żydowskiego dzieciaka z dzielnicy, gdzie rzeka była

przywilejem starszych, mówiących inną mową, żyjących innym życiem. Prawdziwą rzekę zobaczył pierwszy raz dopiero we Francji, w Paryżu. Kiedy ktokolwiek wspominał przy nim Warszawę, nie Wisła zjawiała się przed oczyma, a cuchnąca uliczka i ciemny warsztat ojca, i ogromny dworzec kolejowy, nic więcej. Usiadł na ziemi obok ćwiczącego zawzięcie Bolka, bezmyślnie wykonał kilka ruchów ramion, jakie dyktował Czarny. Letni, długi wieczór powoli wygasał, przed latryną gromadziły się gromadki więźniów, dochodził stamtąd gwar rozmów w wielu językach. Samek pomyślał, że warto wejść na chwilę i posłuchać plotek, od paru dni bowiem nie miał żadnych prawdziwych wiadomości z frontu, a gazety niemieckie zapewniały, że armia inwazyjna będzie zniszczona. Podniósł się więc ciężko i podążył ku gromadom mężczyzn.

Minęło kilka dni, nim mógł wyjść z „kanadyjczykami". Przygotowywał się solidnie, wyćwiczył manewr fotografowania z ukrycia i w tajemnicy, aparat przymocował do brzucha parcianym pasem, w kieszeni marynarki niósł kawałek żyletki. Nie było żadnej trucizny „na wszelki wypadek", więc dobra stal niemiecka miała ją zastąpić. Już od pobudki czuł, jak strach mrowi się w ciele, czyni ręce drętwymi, ugina nogi. Bal się nagłej rewizji, bal się o pogodę, bal się, czy dziś właśnie nadarzy się sposobność zrobienia zdjęć, no i czy dziś właśnie przyjdzie transport kobiet i dzieci. Henryk chciał koniecznie mieć fotografie dzieci palonych w dolach koło „dom- kjj" lub koło kremo. Samek ganił sonderowców jeszcze przed kilkunastoma dniami, gdy mówili: „wnet koniec, to szkoda ryzykować; uchowamy się jakoś". Wiedział, że robota jest

nader ważna, i bez zapewnień Henryka zdawał sobie doskonale sprawę, że oryginalne fotografie z akcji zagłady wywołają wielkie wrażenie za granicą. — Ty głupi, ty głupi, co się boisz? — powtarzał sobie, jak gdyby wewnątrz ciała zamieszkał ktoś obcy i siał strach. Dzień był piękny, niebo czyste jak w jego Francji czy Hiszpanii, wiatr rzucał zapachy mokrych łąk i lasu. Ładnie było, naprawdę ładnie. Samek wyszukiwał wzrokiem to kremowożółte lwiepyszczki, rosnące przy torze kolejowym, to smużkę cudem zachowanej zieleni obok drutów. Na rampie więźniowie wyrzucali z wagonów resztki ludzkiego dobytku, wymiatali do czysta okruchy jedzenia, strzępy odzieży, pogubione drobiazgi. Toboły, walizy i kufry stały już poukładane równo w wysoki mur, a między nimi żółkły wielkie słoje gęsiego smalcu i rumieniły się ogromne koła chlebów. Czarno-białe szaty rytualne leżały osobno. Święto, modlili się właśnie w wagonach. Ujrzał ostatnie piątki mężczyzn wchodzące na teren Czwórki. Szedł za nimi, komando zwolniło kroku, by nie czynić zamieszania przy wejściu i na placu. Tam, już wysegregowanych, zliczano i dzielono na grupy. Transport przybywał gdzieś z węgierskiej prowincji, z wsi i miasteczek, bo ludzie odziani byli inaczej niż mieszkańcy wielkich miast, prosto, grubo, ciemno. Wśród mężczyzn było wielu młodych i silnie zbudowanych.

Komando minęło Czwórkę udając się na teren „bunkra”, na nowo uruchomionego, gdyż komory gazowe czterech krematoriów nie mogły p<xłołać robocie.

Na niebie pojawiły się szarobiałe obłoki, wypełzły zza lasku, groziły zaćmieniem słońca. Z niepokojem śledził chmury, potem barak rozbieralni, z którego wychodziły

właśnie pierwsze kobiety i między szpalerem esesmanów dążyły spiesznie do upragnionej kąpieli. Ani jednego bachora, jak na złość — klął. — Jak fotografować? Trzeba zajść ich drogą, z tyłu — żaden efekt. Wszedł jednak z kolegami do baraku, gdyż nie mógł stać bezczynnie. Część rozbieralni opustoszała już, ale pełna była woni ciał. Bezmyślnie przeszukał najbliższą kupkę ubrań, patrząc przy tym w otwór drzwi, w którym widniały białe plamy pleców, pośladków, nóg. Zanurzył ręce w materii sukien i bielizny, aż palce natrafiły na ludzkie włosy, długie i szorstkie, równie martwe jak wszystko, co je otaczało. Na mgnienie oka zapomniał, po co tu przybył, wsunął głębiej rękę szukając czegoś żywego. Zdarzało się przecież, że niektóre kobiety, świadome swego losu, próbowały w ten sposób ukryć dzieci, sam pamiętał podobny wypadek. Wówczas nawet udało się uratować chłopczyka, ale Mohl go zastrzelił. W strefie martwej materii nie znalazł jednak życia. Wyciągnął sutą perukę kobiecą, wyłuskał z włosów ziarenko perły i podał sąsiadowi, by przeszukał dokładniej, sam zaś ruszył drugim wyjściem na plac. Czas naglił. Przystanąwszy za esesmanem kucnął, rozpiął marynarkę i nacisnął gorący spust aparatu. Wstał błyskawicznie, zasłonił obiektyw i pobiegł, by zajść pochodowi drogę, z tego jednak stanowiska nie dało się fotografować. Kobiety narobiłyby wrzasku, esesmani zauważyliby błysk obiektywu.

Tymczasem z rozbieralni wychodzili już mężczyźni. Po chłopsku, zakrywając dłońmi członki, kroczyli wolniutko, godnie ku domowi. Wtem siwa staruszka, wiedziona przez dwie dziewczyny, odwróciła się i krzyknęła ku nim kilka imion po żydowsku. Samek zmartwiał. Wiedział, że każdy

niespodziewany okrzyk wzburza tłum ofiar, że esesmani surowo karzą sonderowców za dopuszczenie do paniki. Tłum istotnie zatrzymał się na chwilę, ostatnie dziesiątki rozsypały się po placu, kobiety jęły szukać ojców, synów, mężów i braci. Ostry gwizdek dał sygnał sonderowcom. To kapo czuwał.

Wybiegli zza domku i drzewcami bosaków naganiali kobiety, podczas gdy esesmani kolbami przywracali porządek w szeregach mężczyzn. Samek wykorzystał okazję. Biegł wraz z sonderowcami i kilka razy udało mu się wykonać zdjęcia. Byłby zrobił więcej, gdyby nie konieczność oszczędzenia filmu na ciałopalenie. Ale bachorów nie ma, cholera. Szkoda. Taka gratka — narzekał w myślach.

Koledzy ładowali odzież, musiał do nich powrócić, udawać, że szuka kosztowności. Biedne Zydy przyjechały. Same łachmany. Dozorujący esesman spostrzegł jednak w porzuconym woreczku zwitek banknotów, podjął go, wywrócił na nice. Wielkie, barwne banknoty podarł na strzępy.

Teraz wszystko zależało od tempa roboty. Jeżeli szybciej pójdzie ładowanie i wywożenie odzieży niż gazowanie ludzi, Samek nie będzie miał sposobności sfotografowania palących się ciał. Tego dnia komory były przepełnione, więc należało się spodziewać, że najpóźniej za pół godziny otworzą je i wyciągną zwłoki. Czym więcej bowiem ludzi w komorze, tym prędzej idzie gazowanie. Ciała ogrzewają powietrze, a wówczas szybciej działa Cyklon. Sonder czekało już u wyjścia. Towia Książka-do-nabożeństwa i

bracia Potoccy skracali sobie czas turniejem. Nacierali na siebie osękami pokrzykując rycersko i podskakując przy tym jak bawiące się dzieci. Samek podszedł do nich, podjął z ziemi żerdź z hakiem i stanął za wagonikami, a kiedy otwarto drzwi i w kłębowisko słodko pachnących, poskręcanych ciał wbiły się ostrza bosaków, zrobił zdjęcie. Po chwili był już nad brzegami dołów, osmolonych na czarno, tłustych i jeszcze gorących po poprzednim ładunku. Trawa wokół była wypalona, ziemia spękana i spieczona. Towia wepchał sobie w nos zwitki waty.

— Dawać tłuste na spód! — krzyknął. — Tłuste!

Wkrótce buchnął płomień. Sonderowcy opuścili daszki kaszkietów na czoło, przyrzucali zwłoki, ściągali je bosakami. Podoficer SS z psem na smyczy pilnował roboty. Nagle, dojrzawszy między nogami kobiety coś błyszczącego, zawołał Towię i kazał mu podnieść ów przedmiot. Zalśniły brylanty. Towia, szczupły, zgrabny Towia, przeszukiwał teraz pochwy najbliżej leżących, grzebał w ciepłych jeszcze ciałach. Butem roztrącał nogi, czyste i pokalane, pluł na palce i sięgał wnę trzności, aby ukryte kosztowności nie zmarnowały się w ogniu stosów. Samek spod wózka zrobił następne zdjęcie. Powietrze już gęstniało od dymu, żar bił od rowu. Kapo żelaznym pogrzebaczem chłostał omdlewających z wysiłku sonderowców. Dosyć. Film się skończył. Trzeba wracać — myślał Samek, ale nie mógł oderwać się od chłodnego żelaza wagonetki. Dokładnie zapiął marynarkę, poprawił pas na brzuchu, wymacał w kieszeni żyletkę i wziął ją w dłoń, żeby w razie czego nie tracić czasu. Poczerwieniałą od ognia twarz wolno obrócił ku niebu. Szły coraz gęstsze chmury...

W nocy razem u Henrykiem wyjęli i starannie zapakowali film, Rotmistrz zaś wyniósł aparat, aby go schować w przewodzie kominowym, gdzie miał skrytkę. Marek, jeszcze jako blokowy w macierzystym obozie, wziął go do siebie, zatrudnił w charakterze sztubowego wiedząc, że kawalerzy sta posiada niezłe wiadomości z zakresu techniki konspiracyjnej, bujną fantazję i zręczność w sporządzaniu tajnych przesyłek. Odlewał świece, wydrążał obcasy, przerabiał ołówki i pióra, lepił cukierki, preparował gilzy papierosowe, wszywał schowki w podwiązkach damskich dla łączniczek, robił notesy z podwójną oprawą, drążył jabłka, w wszystko tak misternie, że niewtajemniczonemu nie wpadłoby na myśl, iż to opakowanie konspiracyjnej korenspondencji. Polityką nie interesował się zupełnie, sprowadzała się ona do twierdzenia, że „wszyscy w kupie muszą bić Niemca" i ktokolwiek występował przeciw tej tezie, stawał się jego osobistym wrogiem. Przyjechał do Oświęcimia z obozu jenieckiego, gdzie naraził się wszystkim: polskim i niemieckim oficerom, komendantowi i kolegom.

— Byle tylko fotki doszły, to Anglicy pofajdają się z wrażenia i przyślą parę eskadr — powiedział patrząc, jak Samek ostrożnie zawija szpulę filmu. — Zostaw języczek, żeby można otworzyć w razie czego. Tak się robi, prześwietla.

— Wierzysz, że przylecą?

Rotmistrz wierzył, zresztą bombardowanie obozu lub desant lotniczy wchodziły w skład opracowywanego planu działania organizacji i stawały się coraz bardziej aktualne choćby ze względu na inwazję, na toczące się tam gdzieś, daleko na razie — walki. Ostrożnie krajał lepiec i

obnażywszy łydkę
próbował, czy da się przymocować pod kolanem opakowaną już rolkę filmu. Brał ją delikatnie w dwa palce i przymierzał.

— Zawołaj Czarnego. Musi jutro pójść do hauptlagru oddać film albo niech Bolek przekaże przez „Meksyk” — powiedział Henryk. Była już późna noc i Czarny, wyrwany z głębokiego snu, klnąc przywlókł się, by odebrać polecenie od blokowego. Wysłuchał instrukcji, ziewnął.

— Wpieprzę do gęby i przeniosę, dobra. Nie trzeba lepić. A dlaczego mam wyciągnąć to ze szpuli, jakby mnie chwycili?

— To film. Wyświetli się, zostanie goła taśma.

— Nie będzie czasu. A dlaczego mieliby mnie chwycić? Ani razu poważnie nie wpadłem, przecież wiecie, że mam glika*. Rano wezmę.

Samek zasnął tej nocy pierwszy. Chrapał jak duszący się człowiek. Rotmistrz leżał cicho, z zamkniętymi oczyma, ale nie spał, obmyślał dalsze szczegóły planu „szarży sonderow- có w”, jak nazywał atak obsługi krematoriów. Henryk nie kładł się, siedział przy stoliczku z głową w dłoniach i rozmyślał.

Nazajutrz wieczorem Czarny przyniósł list od Zygmunta. Był zdenerwowany, bo kilku więźniów wpadło na bramie podczas rewizji, która szczęśliwie go ominęła, zły, bo nie mógł się rozmówić z Markiem w sprawie kontaktu z Ulą. Marek zbył go zapewnieniem, że Ula kursuje teraz na trasie Kraków—Oświęcim i ma łączność z Janiną. Tego Czamy nie wiedział, nowina ubodła go, zasmuciła. Więc Janina ukrywa przed nim korespondencję z córką?

Wyłożył na stół szare kostki zgniecionej masy. Leżała niepozorna, podobna do kitu. Henryk patrzył na nią jak urzeczony. A więc jednak zacznie się rychło, skoro plastelinka nadal nadchodzi. Kiedy Rotmistrz ukrył przesyłkę, zabrał się do studiowania listu Zygmunta. „Nadziei nie wolno nikomu odbierać. Jeżeli inwazja wzmogła nadzieje na przetrwanie, a tak jest niewątpliwie, trzeba zwracać ludziom uwagę, że nie przynosi ona żadnych gwarancji ocalenia dla nas, przeciwnie — zbliżenie się frontów może przynieść zagładę nas

* szczęście

wszystkich. Jesteśmy zbyt niewygodnymi świadkami. Nadzieje? Wykazuj, że wróg jest słabszy, ale bardziej rozwścieczony, o czym świadczy wzmożenie tempa gazowania. Wroga można bić i pokonywać. Nadzieja nasza musi polegać na przeświadczeniu, że teraz nasza walka jest łatwiejsza, że rosną jej szanse. Przecież nie myślimy o powstaniu dla powstania, na własną rękę zerwiemy się tylko w ostateczności, w wypadku bezpośredniego zagrożenia nas wszystkich, a inne plany wiążą się nadal z wiadomą Ci akcją z zewnątrz. Rzecz zresztą postępuje naprzód, kończymy przygotowania. Surowy zakaz odrębnych akcyj. To zwłaszcza pod adresem Sonder. Co innego transporty do gazu. Jeśli one się zbuntują, skutki nie spadną na więźniów. A więc Sonder tylko razem, wspólnie z nami. Twoja przesyłka idzie zaraz dalej, Czarny nie wie, co za film przenosił, oszczędzaj mu wrażeń. Wkrótce odwiedzi cię Paul, więc przez niego reszta. Zachowuj się tam lepiej, bo dochodzą na Ciebie skargi”.

List poszedł do pieca. Poucza prywatnie, a właściwie jakim prawem? Polecenie potraktował Henryk jednak jak

rozkaz. Nigdy bardziej nie pragnął rozkazów niż teraz, gdy To się zbliżało. Materiał wybuchowy przesłał sonderowcom, dał instrukcje Samkowi, co ma im mówić. Po kilku dniach syreny dały znać o ucieczce szóstki z „Meksyku", a wkrótce potem przyszedł się pożegnać Bolek.

— Grabula, Heniu, fajny z ciebie chłop, tylko ponurak — powiedział. — Żeby cię tak co połaskotało w serce!

Połaskotało w serce? Przecież wygasła nawet ta czułość, jaką wypielęgnował był w bunkrze dla Maryjki. Nie, żadnego łaskotania serca, żadnych spraw z poprzedniego życia!

Nazajutrz usiłował wraz z Samkiem obserwować odcinek „Meksyku", ale na drodze panował wielki ruch, a za drutami kłębiły się stada kobiet. Dzień był chmurny, wietrzysty. Po jedenastu godzinach od wymarszu komand zawyła wreszcie syrena, a jednocześnie spadł deszcz tak gwałtowny, że sieczone nim twarze piekły i bolały.

Stali, zwróceni ku „Meksykowi", chłostani ulewą, zasłuchani w jęk powietrza. Obóz wypełniał się kolumnami roboczymi, pitoliła damska orkiestra na bramie obozu kobiet, formował się już apel. Komando Bolka stało jednak przy dru-

taehj małe i zagubione w ogromnym tłumie. Deszcz dusił krzyki esesmanów, zacierał ich postacie, powietrze było porysowane jak stara taśma filmowa. Rapportfuhrer zwołał wszystkich niemieckich kapów i blokowych, ruszył z nimi na poszukiwania uciekinierów, ale nie w kierunku „Meksyku", lecz ku budynkom za drutami. Apel stał na deszczu. Po dwóch godzinach rozpuszczono wszystkie

bloki pozostawiając na drodze tylko blok Henryka. On sam mógł się wprawdzie schronić do baraku, jednak stał z obnażoną głową na czele kolumny, przepisowo wyprostowany. Wreszcie wpuszczono do obozu komando Bolka. Brakowało dwóch więźniów: Bolka i Lali, Czarnego nieśli towarzysze, zemdlał po kilku uderzeniach kolbą.

— Do bloku z nim! — rozkazał Henryk, mimo że regulamin nakazywał, by złożyć go przy kolumnie apelowej. Uklęknął przy nim, ściągnął mokrą marynarkę i koszulę, przyłożył ucho do śniadej piersi. Serce biło wolniutko, lecz regularnie. Ujął ręce omdlałego za przeguby dłoni, wznosił i opuszczał, aż ów otwarł oczy.

— Nie znaleźli. Nie tam szukali — szepnął Henryk.

— Przypieprzyli mi zdrowo. Podnieś mnie. Zimno.

Wstał czepiając się Henryka i wyszedł na stójkę. Ulewa nie słabła ani na chwilę, deszcz padał do wnętrza baraku przez nieszczelne pokrycie dachu, wypełniał rów ściekowy, do którego zdążały tysiące strumyków. Kilka setek ludzi nękała myśl o wystygłym posiłku, stwardniałej zupie, tylko grupka towarzyszy Bolka myślała o czym innym: uda się mu czy nie? Obóz opustoszał, nikt nie wychodził z baraku w taką pogodę, a samotna kolumna Henrykowego bloku tkwiła nadal w deszczu. Dopiero gdy powróciły ekipy poszukiwaczy, esesmani dopadli mokrych i głodnych więźniów. Zaczął się bieg. Truchtem, ślizgając się po błocie, ruszyła kolumna trasą wokół obozu.

— Blockältester, wystąp! — wołał rapportfuhrer. — Blockältester, wystąp! Blockältester!

Henryk nie słuchał. Biegł w pierwszej piątce, z trudem łapiąc oddech, odwykły od ruchu, ociężały. Obok był Samek i Rotmistrz; nikt z funkcyjnych nie pozostał w

baraku. Po pierwszym okrążeniu upadł Czarny. Mały Felek został przy
nim, mimo że blockfiihrer odpędzał go kopniakami jak psiaka. Powoli, w miarę mijania czasu, odzywała się we wszystkich biegnących rozpacz. Odczuwał ją i Henryk. Było to przeklęte uczucie niemocy, dyktujące myśli o poddaniu się,
opadnięciu na ziemię, o skończeniu bezsensownego wysiłku. W dalszych rzędach brzmiały głośne klątwy, coraz więcej ludzi przeklinało uciekinierów, odgradzało się gniewnie od ich losu. Kolumna biegła już ostatkiem sił, gdy zakrywał ją barak, zwalniała i wlokła się chwilę, po czym znów ruszała półbiegiem. Buty i drewniaki wyrywały z ziemi grudy lepkiego błota, coraz cięższe stawały się nogi. Esesmani w pelerynach stali w milczeniu na drodze i po każdym okrążeniu walili biegnących kolbami. Po godzinie biegło już tylko stu więźniów, reszta leżała tam, gdzie padła, i setka maratończyków mijała teraz gęsto rozsiane ciała, żywe a nieruchome, wypoczywające w kałużach, wtopione w błoto.

Henryk biegł nadal i nikt go nie odwoływał z kolumny. Zdawało mu się, że gdy ustanie, wydarzy się coś strasznego. Coraz trudniej przychodziło mu przedzierać się przez powietrze i deszcz; czuł, że z każdym przebytym kilometrem cofa się raptownie w czasie, w czasie obozowym, że opada z sił, wraca do stanu muzułmańskiego wyczerpania, do bezmyślnej obojętności na własny los. Kiedy ustał Rotmistrz i, [zakręciwszy się na pięcie, padł na wznak jak śmiertelnie postrzelony, kiedy plasnęli w rów najmłodsi towarzysze Bolka — Ludek i Szymek, nie oglądał się już więcej i tylko po wzrastającej ilości mija-

nych po drodze ciał dorozumiewał się, że niewielu już za nim podąża. Wreszcie stanął przed esesmanami w lśniących od deszczu pelerynach i płaszczach, zatoczył się, padł na kolana.

— Mogłeś nie biegać, psi synu — mruknął rapportfuhrer, ale Henryk nie rozumiał ni słowa. Podniósł się i wówczas nadbiegł Samek, by go podtrzymać.

Zacierały się już kontury baraków, mokra ściana ciemności odgradzała ludzi i rzeczy, gdy esesmani, pozwoliwszy podnieść się | błota, opuścili obóz. Schodzili się więźniowie przemoknięci do kości, oblepieni zabłoconą odzieżą, umazani gliną, kaszlący i kładli się byle gdzie, byle na suchym, wkrótce jednak na podłodze zrobiło się bajoro, z którego wypływały na cały blok strumyki. Samek i sztubowi nie mogli się doliczyć
stanu, nikt ich nie słuchał, chociaż pomagali osłabłym, nawoływali gromkim głosem, rozkazywali. Tłum mrowił się bezradnie, zalegał pokotem ziemię, wdrapywał się na prycze.

W izdebce blokowego huczał ogień w żelaznym piecyku, a w czerwonym półmroku parowały nagie ciała. Samek gotował wodę z „kawą" w wielkim kociołku, Rotmistrz wycierał martwiejące ciało ręcznikiem. Czarny leżał na dolnej pryczy, pojony przez Felka wrzątkiem z wódką. Henryk wyrwał mu płaską flaszeczkę, przytknął do ust, pociągnął kilka łyków i rzucił szkło pod piec.

— Wszyscy na pokład! — zawołał. — Samek tylko niech zostanie i gotuje wodę, jak najwięcej wrzątku! Dolejemy do kawy, żeby była ciepła, i wydamy. Felek, skocz na bloki, może kto ma jeszcze sznapsa.

— Wiele płacim?

— Czterdzieści twardych, niech będzie i sześćdziesiąt, i sto, byle była. Inaczej grypa da nam w dupę. Wal, Felek!

Chłopak smyrgnął z izby, reszta wdziewała świeżą, suchą bieliznę, której zapasik był w szafce blokowego, i wychodziła do wspólnej hali baraku. Tu z przewodu kominowego jak z kapitańskiego mostka Henryk krzyknął kilka rozkazów i pół tysiąca więźniów zamilkło, pozostało w tym miejscu, w którym dopadł- ich jego głos. Patrzyli na blokowego.

— Wszystko zrzucić, wykręcić i powiesić! Kto ma żarcie z paczek, natychmiast złożyć tutaj! Kuchnia ‘zrobi na rano ekstra zupę. Kto się czuje chory, meldować zaraz sztubo- wym! — wołał. Stał z obnażonym torsem, w gaciach i skarpetkach, w ręce miał trzcinkę. Odciągając się składano pączkowe skarby, jarzyny i zielska, kupione na czarnej giełdzie przysmaki. Henryk zgarniał wszystko do skrzynki, smalec ze skwarkami i zapleśniałe bułki, cebule i suszone greckie figi, kantynową musztardę i surowe ziemniaki. Samek przyniósł kociołek wrzątku, sztubowi przyprowadzili kaszlących, plujących krwią, zupełnie wyczerpanych, i rozdali po kubku, załoga kładła się na prycze.

— Spać! Rano będzie zupa! — zawołał.

Czarny przywitał go płaczem. Siedział przy stygnącym z trzaskiem piecyku i obracał w rękach rozmoczone, rozlazłe buty. Dobre na chodzenie w baraku, na paradowanie, nie wytrzymały dzisiejszej próby. Ciemne oczy Czarnego żało-śnie patrzyły na Henryka.

— Bajzłu Bolek narobił, bo narobił — powiedział ocierając łzy.— Ilu za niego wykituje?! Chociaż i im,

nieborakom, zimno i mokro w dziurze. Jutro pewno zawołają na Politi- sche, ale my nic nie wiemy. Lala wiedzieć mógł, bo napie- przył razem z nim.

Felek zdobył litr bimbru i kwaterkę koniaku, a kiedy Henryk zaniósł wiktuały kucharzom, wyłudził od nich trochę cukru. O świcie rozpalono w piecyku deskami z prycz, Samek nastawił wodę, osłodził i do wrzątku wlał ostrożnie alkohol. Napój był wyśmienity. Wypili po kubku parząc sobie usta.

Wstawał wilgotny, chłodny dzień, sztubowi budzili więźniów, choć jeszcze do pobudki było dość czasu, przyprowadzali blokowemu kaszlących i gorączkujących, a ten obdzielał ich gorącym trunkiem. Zgłosił się i wielki Grek, partyzant. Splunął na dłoń, pokazał krew. Wargi mial sinoblade i błyszczące oczy. Mimo mokrej odzieży więźniowie ubierali się żwawo, a kiedy przyniesiono beczki z pachnącą zupą, powitali je rykiem radości. Czarny, Felek, Ludek i Szymek, ujrzawszy blockfuhrera, przykucnęli i udawali walkę kogutów. Skacząc w przysiadzie uderzali w wyciągnięte ręce przeciwnika. Esesman stanął, rozdziawił gębę szeroko, z gardła wybiegł mu gniewny bulgot. Czamy gwizdał: „Im Lager Auschwitz war ich zwar...”

Po apelu nastała cisza, sztubowi czyścili barak, poprawiali posłania, wyskrobywali resztki zupy z beczek. Monotonne „los, los, Bewegung, Bewegung” przylatywało od strony drutów, gdzie komando pogłębiało rowy, z „Meksyku” wychodził transport kobiet. Ubrane w stare kiecki, w chustkach na głowach, w drewnianych sabotach płynęły ciemnym potokiem ku bramie. Pustka zaszarzała wokół nielicznych baraków, na oślizłych poletkach. Niebo

było spokojne, szare, tylko daleko nad górami kłębiły się białe obłoki. Lasek stał dziś cicho, żaden transport nie przybył jeszcze na rampę. Henryk z Samkiem na zmianę obserwowali „Meksyk", ale nie zobaczyli niczego ciekawego. Nie wiedzieli, czy Bolek i Lala są jeszcze w melinie, czy korzystając z ulewnej, ciemnej nocy wyszli już i dotarli do punktu. Henryk starał się odgadnąć właściwy cci ucieczki, jednak dał spokój rozwiązaniom. Ufał kierownictwu, nie wątpił, że ucieczka się uda. Jakoż rzeczywiście po pięciu dniach łączniczka, pracująca w obrębie drutów, przekazała wiadomość od Bolka i Lali. Doszli cało, są w bezpiecznym miejscu. Oddział Polityczny dał tym razem za wygraną, więc nikogo nie przesłuchiwano w związku z ucieczką. Tego lata coraz częściej buczały syreny bądź na ucieczkę, bądź na alarm lotniczy.

Na ciemnym trójkącie ziemi — w widłach Soły i Wisły płonęły bezustannie ognie. Hoess prowadził letnią kampanię zagłady. Przy okazji zapędzono do gazu resztki transportów z Theresienstadt, ową dziwaczną kolonię rodzinną, razem z ochronką i członkami samorządu więźniarskiego. Piękny lipiec 1944 roku wypychał na rampę pod krematorium setki pociągów, wyładowanych ludźmi. Pewnego gorącego dnia Henryk wybrał się z Czarnym do Maryjki, Janina bowiem zaniemogła na serce i trzeba jej było zanieść lekarstwa. Nie chciała iść do szpitala, leżała bladziutka, osiwiała, niechętnie łykając krople. Henryk, jak zwykle, opowiedział, co słychać w kraju i o ofensywach alianckich na Wschodzie i Zachodzie, ale kobiety słuchały go nieuważnie, Maryjka przyjmowała wszystko obojętnie.

— Młodych Cyganów mają zwalniać pod

warunkiem, że dadzą sobie wyciąć jaja — powiedziała. — Czy z familien- lagrem to pewne? Nic nie wiedziałam. Zresztą — to Żydzi. Nas nie tkną, ani Cyganów. Sam mówiłeś, że Cyganie to Aryjczycy.

Uśmiechnęła się usłyszawszy głosy dzieci, których gromada szukała swej opiekunki.

— Muszę do nich wracać — mruknęła.

Janina przywołała skinieniem ręki Henrykowego towarzysza, mówiła mu po imieniu, ona jedyna w lagrze. Kiedy spytał, gdzie jest teraz Ula, odparła spokojnie, że dziś jest chyba na punkcie i odbiera od łącznika pocztę. Tadek podskoczył, jakby chciał zaraz biec do ukochanej, ale przecież nie wiedział nawet, gdzie jest punkt, a i z obozu nie mógłby się wydostać. Zasypał Janinę wymówkami, że ukrywała przed nim korespondencję z córką, widząc jednak jej osłabienie zaniechał wyrzutów.

— Miałeś już kiedyś dziewczynę? — szepnęła, a kiedy zaprzeczył, powiedziała cicho: — Pono chcesz po wojnie zostać drukarzem. Fach dobry, nie powiem, tylko czas będzie ostry, jak się To skończy, i dużo wody upłynie, zanim będziesz samodzielny. A ona nie powinna się marnować po wojnie. Nie powinna żyć Tym Tu, niech zapomni. Ty nie zapomnisz, Tadek, nie zapomnisz nigdy. Z tobą Ula by zbzikowała. Trzeba jej kogoś, kto umie żyć bez takich wspomnień.

Słuchał, coraz smutniejszy. Bezradnie patrzył na milczącego przyjaciela.

— On chce przecież spokojnie żyć — odezwał się Henryk— a że majątku nie ma? Mógłby mieć.

— Nie chcę takiego majątku, nie chcę złota po Nich, za nic!

— Wszyscy mówicie, co będzie po wojnie, mam tego gadania dość! Przestańcie! Henryk gada o spartańskim żywocie, a ta tu — o majętnym facecie dla córy! — krzyknęła Maryjka. — Potrzebuję margaryny dla moich Cyganiątek. Słyszycie? Margaryny!

Po chwili wybiegła z baraku. Wówczas Janina sięgnęła po krople dając mężczyznom znak, by wyszli. Czarny stąpał cicho jak w domu umarłego. Przez kilka dni łaził po obozie smutny i nie odzywał się do nikogo, zdawał się nie zauważać, że mały Felek śledzi go, czuwa, by nie palnął jakiego głupstwa. Któregoś dnia Felek, coraz bardziej zaniepokojony stanem przyjaciela, poszedł do Henryka.

Blokowy Matula stał, śmiertelnie blady, przed nowo przyjętym sztubowym i wpatrywał się w jego czerwony trójkąt i stutysięczny numer na piersi. Na łóżku siedział Rotmistrz, w wyciągniętej ręce trzymał jakąś listę, na której Felek dojrzał szereg nazwisk, poskreślanych czerwonym ołówkiem. W kącie sztuby tkwił stary Żyd holenderski. W jego wyłupiastych oczach mglił się lęk, cienkie wargi drżały, wzrok spoczywał na liście Rotmistrza. Felek przycupnął obok wojskowego.

— ...a więc nie zaprzeczasz — odezwał się po chwili Henryk. — A więc przyznajesz: wyłudzałeś od bogatych Żydów zapisy i darowizny za dodatkową zupę, za chleb, za lepsze łóżko. Brałeś od nich zapisy i testamenty na piśmie. Jak wy
tłumaczysz fakt, że tylko jeden z tych ludzi żyje jeszcze, ten właśnie Holender?

— Nie moja sprawa, blokowy. Czy ja to mam władzę nad żvciem i śmiercią? Poumierali i tyle. Holendrowi dawałem codziennie dwie miski zupy, gęstej, z

samego dna, pół bochenka chleba i pączkowy tłuszcz, a raz w tygodniu paczkę papierosów. Niech powie!

Żyd potwierdził. Błogosławił pana sztubowego za jego dobre serce, obiecywał sumiennie wywiązać się ze zobowiązań i wszystko po powrocie wypłacić. Majątku nie stracił. Miał konto w banku angielskim. Rotmistrz znużonym, sennym głosem wyrecytował:

— Przyjaźniłeś się z Krwawym Józkiem na poprzednim bloku. Trzech z twojej listy załatwił on, czwartego wysłaliście na kastrację, a potem do gazu, reszta poszła do komór tamtego miesiąca, jak była selekcja. To znaczy: wydawałeś ludzi Krwawemu Józkowi.

Sztubowy zrozumiał, że sprawę zbadano skrupulatnie. Wyciągnął przed siebie ręce, jakby oczekiwał ciosu, powiedział:

— Nic mi, blokowy, nie zrobisz. Nie groź! Wet za wet. Będziesz cicho i ja będę cicho. Sam chowasz złotko. Widziałem, jak Rotmistrz chowa w komin, widziałem na własne oczy. Wystarczy? A konferencyjki z Żydami i z komuną? Widziałem, owszem. Wystarczy?

Felek znał doskonale żelazne prawa obozu, których nie wolno nikomu bezkarnie łamać. Przygnębiony smutkiem Czarnego poczuł niespodzianą litość, żal mu było sztubowego, gdyż widział przed sobą człowieka, który musi zginąć. Zaproponował, by go wyrzucić na obóz, posłać w transport, ale Henryk milczał ponuro, nie zwracał uwagi na chłopca. Stało się jasne, że wyrok już zapadł. Sztubowy opuścił ręce, zgarbił się i tępo, obojętnie patrzył w okno. Felek napotkał zimne, ostre spojrzenie Henryka i wzdrygnął się. Wstał, jak mógł najciszej, podszedł ku drzwiom i wybiegł. Wówczas Rotmistrz dźwignął zydel i

poprosił, by wszyscy prócz sztubowego opuścili izbę. Sztubowy stał skamieniały, bez ruchu. Kiedy Henryk zamykał za sobą drzwi, usłyszał głuchy łoskot.

Felka spotkał przed barakiem. Siedział na ziemi koło Czar- ' nego, zapatrzonego w obóz cygański.

— Czarny, odbierzesz od Rotmistrza buty dla siebie. Będą w sam raz — powiedział Henryk.

W obozie cygańskim panował niecodzienny ruch. Przy długich stołach stały rzędy mężczyzn i kobiet, schreibcrzy spisywali wychodzących z baraku, w którym urzędowała jakaś komisja. Henryk bowiem spostrzegł standortarzta Wirtha i szefa zatrudnienia. Stary nawyk traktowania wszelkich komisyj i wszelkiej rejestracji jako zwiastunów klęsk szarpnął serce. To może ta akcja kastracji czy sterylizacji — pocieszał się, dopóki nie ujrzał wzroku Czarnego.

— Segregują od godziny — powiedział Czarny. — Ludzie beczeli, jak rozdzielali rodziny, to bili. Za beczenie bili.

Ruch w obozie cygańskim zaczynał się tłumaczyć. Ku bramie zdążała grupa młodych mężczyzn, ustawiona w piątki. Setki kobiet biegły za nią, otaczały wrzaskiem pełnym rozpaczy. Umilkły, gdy nad ich głowami pojawiły się kolby i drągi. Wieczór już przechodził w noc, ciepły wieczór lipcowy.

Na drugi dzień okazało się, że młodych i zdrowych Cyganów wysłano transportem w głąb Rzeszy, do jakiegoś obozu przyfabrycznego. Samek sprawdził w Sonder. Nie gazowano Cyganów. Komisja jednak nadal urzędowała za drutami, zjawił się nawet sam Hoess, pełnomocnik Himmlera i szef garnizonu. Wkrótce potem nowa partia

młodych, najsilniejszych i najzdrowszych cygańskich więźniów, kobiet i mężczyzn, wywędrowała wczesnym rankiem na piechotę z obozu familijnego. Ponieważ tego dnia przybył do Henryka wysłannik Rady Wojskowej, Paul, nie stało czasu na zajmowanie się Cyganami, zresztą Paul stwierdził, że ostatnią partię zaprowadzono do głównego obozu, do Auschwitz, i ulokowano w dwóch blokach. Część pojedzie do Rzeszy na roboty, wykastrowanych zaś zwolnią.

Paul przyniósł inną, o wiele ważniejszą wiadomość: dokonano zamachu na Hitlera i, choć się nie powiódł, SS jest wstrząśnięte. Można oczekiwać represyj w lagrze. Wręczył Henrykowi pocztę i powiedział:

— Zabiłeś sztubowego. Coś. niedobrze z tobą. Co ci jest ?

— Doszło to do was? Nie ja zresztą zabiłem, a mój człowiek. — Henryk wyjaśnił sprawę sztubowego i jął tłumaczyć:
nie ścierpi na swoim bloku żadnej niesprawiedliwości, żadnej krzywdy, żadnego bałaganu. Porządek musi utrzymać w interesie wszystkich współwięźniów, dla ich dobra.

— A jak ci się ktoś przeciwstawia, bijesz, co? I zawsze tylko ty masz rację?—przerwał Paul. Mięsista twarz powstańca wiedeńskiego Schutzbundu, oficera liniowego Brygad Międzynarodowych, z wolna tężała i Henryk poznał po jej wyrazie — niechęć. Natychmiast umilkł.

— Będziesz przeniesiony do głównego obozu, to już postanowione— powiedział chłodno Paul. — Teraz zaś przejdźmy do omówienia roboty tutaj w Birkenau...

Słuchając rzeczowego opisu Henryka, Paul rozpogodził się, rzucał wiele pytań o instalację elektryczną, o stan przygotowań sonderowców, o ludzi roboty, wtajemniczał go w działanie ładunków trotylowych; plastelinki, pokazał mały zapalnik, który nosił w torbie narzędziowej.

— Najwyższy czas na To — rzekł. — Uda się, jeżeli z zewnątrz będzie pomoc, a podobno będzie. Więc pójdziesz do mnie. Grupa techniczna nie byle co.

— Jeśli taki jest rozkaz.

Paul kiwnął głową, spieszył się, by na czas zajść do komór gazowych, gdzie już czekała część jego komanda, wysłana, by naprawić popsute przewody. Obóz był pustawy, przy bramie stała grupka esesmanów, czytali gazety w milczeniu. Post Paula, spostrzegłszy go na drodze, dawał jakieś znaki, ale Paul szedł prosto na bramę nie zważając na ostrzegawcze gesty. Blockfuhrerzy jak na komendę opadli Austriaka i zaczęli bić i kopać. Wyciągnął ręce do góry gestem poddania, powiedział „dank' schön"*, gdy uderzono go w twarz. Ktoś wreszcie zauważył jego czerwony trójkąt bez litery, oznaczającej narodowość, poznał obywatela niemieckiego.

— Komunista?

Paul opuścił ramiona, blockfuhrerzy, odstąpiwszy na krok, patrzyli nań w groźnym milczeniu.

— Mam rozkaz obersturmbannfuhrera Hoessa skontrolować instalacje w krematorium czwartym — powiedział. Eses
mani odwrócili się od niego, patrzyli teraz w ciche baraki, w morze baraków, zalewające równinę.

Cale to zajście obserwował Henryk. Dopiero gdy Paul zniknął mu z oczu, uświadomił sobie wszystkie

wiadomości. Kierownictwo jest z niego niezadowolone. Powrót do haupt- lagru. Lager się wkrótce ruszy. Zamach na Hitlera. Samek, dowiedziawszy się o zamachu, cmoknął się w dłoń, powracające z pracy komanda przyniosły dalsze wiadomości: Hitler dziękował Opatrzności za ocalenie, spiskowcy-oficerowie skapitulowali na pierwszą wieść o nieudaniu się próby. A więc można, pokazali, że można — myślał Henryk. — Że Najwyższy Autorytet może być celem kuli czy bomby. Niewątpliwie doda to sił całej opozycji, o ile taka w ogóle jeszcze istnieje w Niemczech. Pomyślał, że gdyby w obozie znalazł się śmiałek, który by zabił Hoessa, albo gdyby jakieś komando, bez względu na pewną śmierć, rzuciło się na esesmanów, opłaciłoby się to sowicie. Choćby nie wiadomo ilu miało zginąć. Opłaciłoby się dla reszty, dla sprawy, dla oporu. U końca tej myśli była tylko jedna sprawa: Sonderkommando, ale uprzytomniwszy sobie surowy zakaz pojedynczych wystąpień, porzucił ją bez żalu. Będzie tak, jak postanowi kierownictwo.

W nocy przyszedł do izdebki Henryka Krwawy Józek, usiadł na zydlu koło drzwi, powiódł wzrokiem po leżących już więźniach.

— Niech będzie sztama —: powiedział. — Za tego tam notariusza nie będę robił krzyku. Twardyś, blokowy, moglibyśmy razem pokombinować. A z tym zamachem — straszna historia. Że się ośmielili! We łbie się nie mieści. Jeszcze i tu gotowi znaleźć się tacy.

Wszyscy milczeli, nikt nawet nie patrzył na Józka. Wyciągnął butelkę koniaku, otwarł, ulał parę kropli nu podłogę, ale nikt nie wyciągnął ręki do trunku, wstał więc, zdumiony i obrażony, i wyszedł. Przystanął za drzwiami, gotów wrócić na każde zawołanie, na każdy głos, ale

ponieważ w izdebce panowało milczenie, odszedł ku swemu blokowi.

Upłynęła długa godzina milczenia, potem dał się słyszeć gromadny płacz dzieci, gdzieś z daleka, z obozu cygańskiego. Płacz był tak głośny, tak rozpaczliwy, że Henryk zerwał

się z łóżka, narzuci! ubranie i wybiegł przed blok. Światło reflektora chlusnęło mu w twarz, płacz i krzyk dzieci wzmaga! się z każdą chwilą, zmieszał się z krzykiem kobiet, z ostrymi komendami niemieckimi.

Samek stał za Henrykiem. Położył mu dłoń na ramieniu.

Silny konwój otaczał gromadzących się przed barakami Cyganów, smugi światła krzyżowały się na tłumie, ukazywały toboły i pierzyny, kolorowe łachy, poduchy, kobiety, mężczyzn. Małe dzieci stały między blokami, widoczne sprzed baraku Henryka. A wśród nich kręciła się Maryjka. Płacz powoli ucichał, przechodził w buczenie, a potem w piosenkę. Dzieci śpiewały z Maryjką, klaskały, zrazu niechętnie, potem coraz głośniej, coraz żywiej, tylko że śpiew głuszyły wrzaskliwe komendy i szum tłumu wybrańców. Kilku więźniów z opaskami na ramionach ustawiało gromady, potem zawarczały motory ciężarówek. Dokąd szedł transport? Cygańskie bety świadczyły, że do jakiegoś innego lagru, na gaz przecież nie prowadzono z całym dobytkiem, ale dlaczego w nocy? Dlaczego z całej obsługi więźniarskiej widać w tłumie tylko Maryjkę? Wyjazd samochodami? Do komór szliby piechotą, ale i do pociągu nie wieziono by ich samochodami.

Maryjka spozierała teraz w stronę obozu męskiego. Nie mogła widzieć Henryka i Samka, stali w głębokim cieniu,

przytuleni do ciepłej ściany baraku, w którym głośno bulgotał sen kilkuset więźniów. Pierwsze partie ładowały się na ciężarówki i krzyk wybuchał raz po raz tak rozpaczliwy, że Henryk pomyślał, iż Cyganie fanatycznie przywiązani są do swoich rodzin, skoro tak cierpią, kiedy SS rozdziela je przy transporcie. Patrzył na Maryjkę. Wtem jakiś esesman przyskoczył do niej, wyszarpnął z kręgu dzieci, ale mu się wyrwała. Dzieci otoczyły ją zbitą gromadą, broniły dostępu esesmanowi. Wówczas nadszedł więzień z opaską, coś perorował, gestukulował i znowu esesman, rozdarłszy krąg Cy- ganiątek, porwał Maryjkę i siłą ciągnął w przeciwną stronę, niż szli ludzie do aut. Ten upór esesmana pozwolił Henrykowi zrozumieć wszystko. Maryjki nie ma w transporcie, haftlin- dzy nie jadą, tylko sami Cyganie. Maryjce nie wolno być w tym transporcie, nie wolno jej być razem z Cyganiątkami,
bo grozi im inny, odrębny los. Sonderbehandlung! Cyganie jadą do komór! Jak Theresienstadt! Tamtych też łudzili, oszukiwali. Nic to, że auta, że bety.

Rzucił się ku drutom, szedł szybko, nie dosłyszał już przestrogi Samka. Szedł wołając imię kobiety. Wreszcie ujrzała go lub domyśliła się, że ta zagubiona w obszarze cienia postać, zbliżająca się w jej kierunku, to on. Wzniosła w górę rękę, pokiwała w stronę Henryka. Krzyknął ze wszystkich sił:

— Zostań! Maryjka, zostań!

Esesmani pchali już gromadę dzieci ku wyjściu i reflektory z wież strażniczych przesunęły światła. Dzieci i Maryjka nagle zagasły. Biegł teraz na ukos, by ujrzeć ją bliżej wyjścia, biegł ku światłu jak ćma. Gdy był już o kilka kroków od drutów, poczuł ból w ramieniu, chciał

zwinąć dłonie, przyłożyć do ust, by krzyknąć, ale ramię opadło. Potem potknął się o niewidoczną przeszkodę i runął na ziemię.

Było południe, gdy ujrzał nad sobą twarz Jasia. Rozejrzał się nie dowierzając oczom: szpital głównego obozu! Jasio, Zygmunt, sala Chirurgii. Słyszał, jak Jasio mówi, że zastrzyków już nie trzeba, słyszał basowy glos Zygmunta:

— Uważaj, Henryk! Rozumiesz mnie? Rano przywieźli cię do nas, postrzelonego. Musieli tam poszwindlować, żeby cię tu dostarczyć. Masz duży upływ krwi. Wiemy od Samka,

0co ci poszło! Niepotrzebnie. Cyganów załadowano w pociąg

1wywieziono do Rzeszy na roboty, Maryjkę też. Odpocznij teraz. Samek podał waszemu lagerfuhrerowi, żeś się upił po prostu, a blokowemu wiele wolno. Nic ci nie będzie.

Zamknął oczy. Maryjka wyjechała z Cyganami w transporcie, a więc ona miała rację. Ramię mu ciężyło, umocowane było na szynie, białe od bandaży. Wygłupiłem się, idiota! Będą się śmiać z blokowego. Zawsze tak z sentymentami.

Leżał w salce przeznaczonej dla prominentów, głównie Niemców. Salowy, szczupły Polak, kręcił się cicho wokół chorych, podawał basen, lekarstwa. W południe Jasio przyniósł miskę mięsnej zupy, a po obiedzie przyszedł Goryl i grał w karty z kapem, który przetrącił sobie kręgosłup wspinając się nocą do obozowego burdelu. Goryl nie poznał Matuli.

IMi

Leżał kilka dni w samotności. Nikt ze znajomych się nie

pokazał, jakby wszyscy o nim zapomnieli. Z wolna wzbierał w nim niepokój. Przypomniał sobie słowa Paula o niezadowoleniu kierownictwa, złe, lękliwe myśli zaczęły go dręczyć. Wreszcie zjawił się Czarny.

— Przenieśli z Birkenau całe komando — powiedział.— Pozdrowienia (xl Rotmistrza i Samka. Będziem teraz bliżej. Wyjdź na podwórko.

Na podwórku między Chirurgią a Zakaźnym było pełno. Na ulicy koło Dziesiątki grała mała kapela cygańska, a ponieważ apel wieczorny dawno się skończył, masy więźniów ciągnęły w kierunku melodii. Wynędzniałe postacie chorych oblepiały ogrodzenie, tłoczyły się koło króliczami SDG, której pilnował gruby Karol, grubym kijkiem odpędzając co natręt- niejszych. Uśmiechał się do pogodnego wieczoru, gładkiego nieba i słuchał kapeli.

— Janina umarła wtedy — powiedział Czarny— tamtej nocy, kiedy brali Cyganów do gazu.

Henryk, zasłuchany, zapatrzony w ciepły obraz spokoju, nie od razu zrozumiał. Gaz? Tamtej nocy? O czym on gada? Spytał, kiedy umarła Janina, a Czarny powtórzył jeszcze raz wiadomość.

— Kazali, żebym ja ci to powiedział. Wsadzili ich do pociągu, zadrutowali wagony, wozili cały dzień tu i tam, a następnej nocy wysadzili prosto przed gazkamerą. Samek sprawdzał. Pewne.

To ja miałem rację — pomyślał najpierw Henryk, bo wiadomość o śmierci Maryjki nadal nie docierała do dna świadomości. Dopiero w chwilę potem wyobraził sobie dalszy ciąg sceny, w której ostami raz wystąpiła Maryjka. Wyobraźnia podpowiadała z całym okrucieństwem prawdy obraz za obrazem: stłoczone w wagonie dzieci, upał,

duszno. Nocny przyjazd. Krzyk esesmanów... Widział to wszystko, co oglądał w przeszłości, tylko że teraz każdy obraz dział się z jego uczestnictwem. Pot wystąpił mu na czoło, poczuł jego słony smak na ustach. Ramię, uwięzione w szynie, zaczęło drgać i przypłynął ból.

— A my wpadli paskudnie — mówił dalej Czarny. — Zapisali mnie, Szymka i Ludka na transport. Wczoraj my trans
port nieśli przez bramę, leki z „Kanady", i była rewizja, i nas zapisali. A ja nie pójdę na żaden transport. Nie pójdę. Ula jest tu pod obozem. I Bolek pisał, żeby wiać.

Ucichła kapela, chorzy wolno człapali do izb, tłum na ulicy rozchodził się do bloków, podwórko opustoszało. Tylko Karol odganiał kijem niewidzialnych wrogów króliczej gromadki. Żuł chleb zbierając z dłoni okruszki. Henryk chciał odejść na blok, ale nogi stały się bardzo ciężkie, a ziemia lepka i grząska. W drzwiach bloku ukazał się Zygmunt i dawał Czarnemu jakieś znaki.

Rozdział czternasty

— Szaleństwo — powiedział Marek. — Przecież po ostatnich ucieczkach jest rozkaz, żeby postenkieta* stała dzień i noc bez przerwy. Jakże przejadą? I tacy smarkaci jeszcze! Szkoda ich, a tu cóż im właściwie grozi? Dwadzieścia pięć i transport. W końcu i tak nas wszystkich stąd wywiozą, a przynajmniej Polaków i Rosjan.

Zygmunt tłumaczył niecierpliwie, że chłopcy pragną zostać pod obozem, pomagać, nie chcą oddalać się od towarzyszy. Pójdą do oddziału Bolka. Czarny z kolegami czekał na odpowiedź na podwórku koło króliczami. Transport właśnie dziś miał być sformowany. Zygmuntowi żal było chłopców, jak i Markowi, ale obstawał, by dać im

trasę, zwłaszcza że była możność zawiadomienia podobozowej bazy Bolka — uciekinierzy musieli i tak przeczekać w kryjówce stan ostrego pogotowia SS i alarmu.

W najbliższych dniach wychodzili z obozu: radziecki oficer, któremu przygotowywano ucieczkę z młyna, sześciu akowców idących do partyzantki, słowacki Żyd i Austriak Lokman. Kurierzy kursowali między obozem a grupą Bolka i łącznikami Kmicica, prowadzącego pod obozem wywiad wojskowy. Ludzie z baz mieli więc pełne ręce roboty, mogli wprawdzie

* łańcuc^sttaży

czekać na Czarnego w oznaczonym z góry miejscu, ale było wątpliwe, czy on tam dotrze. Pierwszą trudność stanowiło przerzucenie go do Birkenau w okresie formowania transportu, drugą — przejście linii straży. Marek sądził, że nie przejdą, ale Zygmunt upierał się przy swoim. Chłopcy szli na własne ryzyko, chcieli tylko punktu.

Doktor Jasio wyznał, że jeszcze jest wolny punkt trzeci, opodal mostu, i jeżeli Czarny przedrze się szczęśliwie przez zaporę straży, ludzie z grupy Bolka odbiorą go w nocy.

Czarny czekał decyzji, wpatrując się w igrające za siatką króliki. Był głodny, oczekiwanie znużyło go i teraz myślał właśnie,]ak by ukraść z jednego chociaż króliczka i upiec na drogę. Ludek i Szymek, jego młodzi współtowarzysze, siedzieli na schodach, nerwowo rozmawiając o byle czym, aby „nie zapeszyć" wiadomości. Zygmunt zbliżył się do Czarnego, dotknął ramienia ręką i skinął, by poszedł za nim na piętro. Śniadą twarz Tadka-Czamego przeszedł dreszcz,

ale zrozumiawszy, że schreiber przynosi dobrą-nowinę, dał znak towarzyszom. Podnieśli się i stali uśmiechnięci, dopóki nie zniknął w bloku.

Na górnym łóżku planik sytuacyjny z oznaczeniem trasy i punktu dojścia. Czarny studiował uważnie, powtarzał z pamięci wszystkie szczegóły, pytał, jak wygląda „ugór", „opłotki", gdyż w wiejskich sprawach zupełnie się nie orientował.

— Dajcie spluwę — szepnął wyuczywszy się trasy na pamięć. — No, dajcie! Odeślę, pod hajrem, odeślę, jak dojdę. Kombinuję, że jak już postenkieta stoi dzień i noc, to nie ma co czekać, tylko zaraz przełazić. Noce ciemne, łatwo na- pieprzyć, ale może co wypaść, bo ja wiem ? Może trza będzie iść na grandę? Może nakryją melinę? Dajcie spluwę!

Zygmunt nie odpowiadał. Z zaciśniętymi zębami patrzył przez okno na widniejącą linię wież strażniczych, na zielone wikliny nadrzeczne i wyobrażał sobie lęk i niepokój, jaki ogarnie uciekinierów, kiedy leżąc przyciśnięci do ziemi daremnie może łowić będą w szumie wiatru i łozin każdy dźwięk, przypominający stąpanie człowieka. Nie ruszając się ze szpitala znał całe ryzyko wędrówki przez linie wysokiego napięcia, przez linie ognia i światła z wież, wśród patroli SS, w czasie pościgu. Nie pierwszą opracowywał ucieczkę.

Stada wron szybowały daleko ponad drzewami, szły kędzierzawe obłoki, a za nimi wlokła się ciężka, niska chmura. Wśród monotonnego gwaru sali chorych obco brzmiały nalegania Czarnego, marzącego o rewolwerze.

— Masz tam dziewczynę, co? — powiedział patrząc w jego ciemne oczy. — To ta nasza łączniczka podobno,

prawda? Jej mama zginęła w zigeunerlager...

Smutny uśmiech wykrzywił twarz Czarnego. Powtórzył prośbę o rewolwer, ale Zygmunt odmówił stanowczo. Wiedział, że w razie schwytania uciekinierów z bronią SS podda ich torturom i wyśle na szubienicę, gdyby wpadli bez broni, mieliby szanse ocalenia, gdyż ostatnio nie karano już śmiercią za próbę ucieczki. Pozostawała sprawa przerzucenia całej trójki do Birkenau lub umożliwienia im wyjścia z innym komandem oraz powiadomienie bazy. Poklepał Czarnego po plecach rozwartą dłonią.

— Niech będzie — powiedział cicho. — Tego nigdy nie robimy, ale podam wam na wszelki wypadek prywatny adres. Gdyby co zaszło, gdybyście się musieli rozproszyć i nie dotarli na czas do punktu, skorzystajcie.

Czarny powtórzył adres, hasło, odzew, sięgnął po planik, ale Zygmunt odebrał mu go i schował. Żadnych papierów przy sobie!

— Coś mi się zdaje, że myślisz o wpadunku. Taki papie- reczek połknąć można i już, a lepiej mieć, bo można zapomnieć drogę. Feluś poleciał do kumplów po żarcie i trochę monety na drogę, on lepszy niż ty, nie bojący. Serwus!

Zygmunt widział z okna, jak Czarny rozmawia przy króli- czami z oboma kolegami. Co im każe trzymać się roboty obozowej, co nie pozwala na wyjazd w głąb Rzeszy, im właśnie, młodzieńcom dojrzewającym w lagrze? Nie było wiele czasu na rozważania. Musiał obgadać z Jasiem zawiadomienie bazy.

Felek gorączkowo czynił przygotowania. Od Łokietka wziął stare ubranie cywilne, od znajomków z Effektenkammer buty, pożyczył trochę złotych dolarów, a

ponieważ sprawa była pilna, nie utrzymywał jej w tajemnicy. Tak więc już tego samego dnia sporo osób wiedziało o zamierzonej ucieczce Czarnego, którego znało mnóstwo więźniów z obu obozów.
Wieczorem w piwniczce czwartego bloku Adam powiedział na naradzie z Wiktorem, iż słyszał o jakiejś „indiańskiej historii" gotującej się w związku z niedawną wpadką dekarzy: po bloku biegają ludzie gromadząc środki na ich ucieczkę. Kiedy Wiktor opowiadał o nowych rozmowach z Wirthem, kiedy Adam oceniał na podstawie meldunków stan grup bojowych, Zygmunt myślał o Czarnym. Zdawał sobie sprawę, że właśnie teraz, o tej godzinie cała trójka i Felek uzupełniają przygotowania, że z każdym kwadransem coraz więcej ludzi wie o zamierzonej ucieczce, ale nie żałował niczego, nawet złamania zwyczaju konspiracyjnego, wedle którego nie wolno było dawać uciekinierom żadnych adresów. O tym, że dał adres Czarnemu, nikt nie wiedział. Wstydził się przyznać do „sentymentalnej słabości", jak podobne postępki nazywał Matula-Bednarek.

Obrady przerwał alarm: wołano Adama, na bloki przyszły listy transportowe i na placu ustawiały się już pierwsze kolumny.

— Zapomniałem zakomunikować, że Wirth zapowiedział na dziś wybiórkę do transportu i przenoszenie wybranych do Birkenau, skąd wyjadą! — zawołał Wiktor.
Zygmunt zerwał się, zaklął po polsku i wybiegł z komórki. Decyzja SS ułatwiała plan: Czarny pójdzie z transporterem do Birkenau jeszcze dziś. Zastał go przed szpitalem w otoczeniu kolegów, żegnającego się hałaśliwie i serdecznie. Spod pasiaka wystawały mu nogawki spodni i rąbek

swetra, brązowe buty świeciły podejrzaną nowością. Miał jeszcze pożegnać się z Matulą, zwlekał z tą wizytą, odkładał na ostatnią chwilę, a ujrzawszy Zygmunta ucieszył się, że nie spędzi jej sam na sam z Henrykiem.

Matuli zdjęto już gips i szyny, ćwiczył więc uparcie ruchy ramienia, by jak najrychlej opuścić szpital, w którym czuł się samotny, opuszczony przez wszystkich, chory. Myśl o Ma- ryjce nie dawała spokoju, chciał zapomnieć o jej śmierci, wypisać się ze szpitala, pójść choćby na najcięższe komando, jeżeli oferta Paula nie będzie aktualna. O tym, że Czarny ucieka, wiedział, nie zgadzał się jednak na taką lekkomyślność, zresztą nie przypuszczał nawet, że kierownictwo poprze plan Czarnego. Nastręczała się okazja do poruszenia
obu spraw: decyzji co do dalszego losu Henryka Manili i decyzji co do ucieczki.

— Idzie, tak postanowiono — powiedział Zygmunt na wstępie. — Pożegnajcie się, ale lepiej, żeby to odbyło się szybko. Już i tak za głośno i powszechnie żegnał się z ludźmi.

Czarny wyciągnął śniadą dłoń do przyjaciela, Henryk uścisnął ją lekko. Skoro kierownictwo powzięło postanowienie, musiało mieć swoje racje. Już nie myślał o tej sprawie, była rozstrzygnięta ostatecznie.

— Za parę dni dowiesz się, co masz robić, na razie sobie odpocznij — rzekł Zygmunt.

— Nie traktujcie mnie jak słabeusza. Co się stało, to się nie odstanie. Ja chcę, byś mnie postawił przed kierownictwem — szepnął Henryk. — Chcę zdać sprawę.

Wydawało mu się, że Zygmunt uśmiecha się ironicznie, zamilkł więc.

W nocy długa kolumna wyszła z czerwonego miasteczka dążąc ku rozświedonemu łuną niebu Birkenau. Zygmunt leżał długo z otwartymi oczyma, mierząc wspomnieniem wszystkich doświadczeń ogrom przyjaźni, jaka łączyła ludzi, noszących się z kapsułką cyjankali „na wszelki wypadek", tych nie znających się z imienia i nazwiska, choć często jedzących z jednej miski i śpiących na wspólnym barłogu, oddających się szaleństwu walki z bezlitosnym, okrutnym wrogiem.

Od gongu porannego do obiadu czas dłużył się niepomiernie. Zygmunt wiedział, że łącznik zabrał wiadomość dla bazy, aby ludzie czekali przez trzy noce na punkcie. Zachodził i do Marka, aby rozmową ugasić niepokój, aby nie zostawać samemu. Czekał na syrenę ucieczkową, chociaż przypuszczał, że Czarny wejdzie do meliny dopiero po południu. Wieczorem, gdy przestał już oczekiwać alarmu, zajęczała syrena. Spojrzał na salę chorych. Z łóżek podnosiły się wychudłe postacie, chłonęły wysoki dźwięk, płynący nad doliną Soły i Wisły, sztubowi przerwali wydawanie porcji, z szerokimi nożami, krwawymi od marmolady, stali patrząc w okna. Ludzie pobożni kładli znak krzyża na ciele. Zygmunt pobiegł do Marka.

— Lada dzień bolszewicy wejdą do Warszawy, a ja tu —

powiedział Marek pokazując gazetę. — Musi dojść do starcia albo do kompromisu między Lublinem a Londynem. Nie podoba mi się to wszystko. Ja muszę tam być!

— Słyszałeś syrenę?

Marek skinął głową i powrócił do lektury. Syrena wyła teraz prawie co dzień, śmiała się szyderczo z potęgi SS.

Ustawiał się już apel, gdy doktor Szubert, obecny szef szpitala, przyniósł wiadomość, że z obozu macierzystego uciekło trzech więźniów i że blokowi sprawdzają teraz stan. Zygmunt zaklął, spojrzał na Marka i spotkał kpiący, smunty wzrok. A więc prócz trójki, która zbiegła z kwarantanny Birkenau, uciekło jeszcze jakichś trzech z Auschwitzu! A może tylko oni, podczas gdy Czarny nie mógł wejść do meliny? Jeżeli zaś zbiegły dwie partie równocześnie, SS będzie skrupulatnie przeszukiwać teren. Łatwo o nieszczęście.

W kancelarii szpitala natknął się na Stefanka.

— Uciekły stare numery — zakomunikował goniec. — Co ty na to?

Oczy mu się świeciły, czekał na nowiny. Zygmunt zaciągnął go na koniec korytarza i powiedział:

— Nie tylko z Auschwitzu, również z Birkenau, Stefanek.

To źle, to bardzo źle — wyczytał w oczach gońca. Sam zresztą spodziewał się najgorszego. W nocy odezwały się sy- reny przeciwlotnicze i okrzyki esesmanów, gasły światła w obozie i na drutach, ciemna noc zalała teren, tylko horyzont rozbłyskiwał jak na pogodę. Zaledwie umilkły syreny, wśród głuchej ciszy zaterkotały krótko karabiny maszynowe. To w Birkenau.

Nazajutrz przed południem przywieziono zwłoki zabitych i wystawiono na widok publiczny, przy bramie. Stefanek przyniósł tę wiadomość i Zygmunt poszedł sprawdzić, kto padł. Na bruku przy bloku leżał Ludek, w ręce trzymał szeroki nóż kuchenny. Szymek opierał się plecami o nagrzaną słońcem ścianę, a z zadartej w górę twarzy szkliste oczy patrzyły ku oknom burdelu. Obok

siedział martwy, nie znany Zygmuntowi więzień, jak gdyby spał. Na wierzchołku czaszki ciemniała zakrzepła krew. Czarnego nie było wśród zabitych.

Gdzie jest teraz? Uciekł? Kim jest obcy więzień w trójce zabitych? Zygmunt nie mógł odgadnąć. Dopiero w schreibstubie szpitala sprawdził dane wedle nadesłanej listy. Trzech ludzi uciekło, trzech zastrzelono w czasie ucieczki. Porównał numery. Czarny figurował pod nagłówkiem: „uciekli z obozu" wraz z dwoma starymi numerami, obcymi ludźmi.

— No, więc Czarny sam przeszedł. Tamci trzej pewno uciekali na własną rękę — stwierdził Marek, gdy mu opowiedział o trzech zabitych. — Da sobie radę. Zajmijmy się sytuacją. Napięcie w kraju cholernie wzrasta, nastroje...

Zygmunt jednak nie wierzył w szczęśliwą ucieczkę Czarnego, który przecież nie miał lepszych szans od swoich współtowarzyszy i jeśli oni polegli... Gdyby jednak poległ, zwłoki leżałyby pod burdelem, gdyby żył, musiałby dotrzeć na punkt. Dziś lub najdalej jutro będzie wiadomość z bazy.

Felek poszedł z komandem do Birkenau, skąd już odjechał transport, Samek zaprowadził go na „Meksyk" i czekał przed barakiem na wynik lustracji. Chłopak, drżąc z podniecenia, przypadł do desek, odsunął wióry i trociny, ośnieżone chlorowanym wapnem i mokre od jakiegoś płynu pachnącego naftą, zastukał w ścianę. Zdawało mu się, że słyszy stęknię- cie człowieka. Zawołał Czarnego. Deska drgnęła odsłaniając ciemną jamę. Oślepiło go światło latarki.

— Właź szybko — jęknął Czarny. — Jestem ranny.

Wpie- przyli mi kulkę...

Owej nocy, kiedy transport dotarł do Birkenau, Czarny odszukał Samka i wtajemniczył w cały plan. On to przeprowadził trójkę zbiegów na „Meksyk", dostarczył chlorowanego wapna i nafty, aby śladów nie wywąchały psy esesmańskiej pogoni.

W jamie było ciemno i duszno. Poprzednia partia uciekinierów siedziała tu snadź bardzo długo, bo ziemia cuchnęła odchodami, a puste puszki z konserw brzęczały za każdym krokiem. Czarny patrzał uparcie w fosforyzujące cyfry zegarka. Dostał go od znajomka w lagrze. Jeszcze piętnaście minut do apelu. Transport to zawszeć bałagan, zanim bractwo ustawią, policzą, spostrzegą brak! Blokowy, dowiedziawszy się, kogo brakuje, będzie myślał, że zawieruszyli się w obo
zie lub poleźli do bab. Stare numery, wiadomo. Szymka rozbolał brzuch, załatwiał się w kącie, głośno stękając.

— Ulżyj se, Szymek, ale za kwadrans żeby mi było cicho — powiedział Czarny. Zaświecił latarkę, wziął od Ludka nóż. — Wykop dołek i zasyp. Nie będzie śmierdzieć.

W myślach powtarzał całą trasę, metr po metrze. Jeszcze nie zdradził jej towarzyszom, miał czas. Zacznie po apelu. Przypomniał sobie adres, podany przez Zygmunta, powtórzył kilka razy. Szymek zapalił papierosa, kazał mu zgasić. Szkoda powietrza.

■— Nie będziem czekać tutaj, pod ziemią — powiedział. — Wsio ryba, dziś w nocy czy za trzy dni, dobra?

Siedział skurczony, opierał się o ciepłą ścianę nory. Ostra woń chloru przenikała poprzez deski, chciało się kichać. Wskazówki wolno przesuwały się w zegarku,

wreszcie ułożyły się na godzinie apelu. Zachichotał wiedząc, że teraz blokowy liczy obecnych. Ułożył się wygodnie, wymacał w kieszeniach konserwy, suchary, cukier w pudełku i tytoń, na szyi woreczek z dolarami. Minęła godzina, a nie było słychać ujadania esesmańskich psów. Pewno przeszukują männerlager. Na bramie podał fałszywe numery, więc esesmani są zbici z tropu. Długo potrwa, nim się połapią, kto uciekł.

— Ciemno już? — szepnął Ludek.

— Chyba ciemno. Ósma. No, teraz posłuchajcie uważnie — powiedział i począł cicho tłumaczyć trasę. Przypuszczał, że odbierze ich sam Bolek.

— Żeby w domu były serdelki) mama by dała na powitanie— zakończył. Postanowił myśleć o Uli, o dziewczynie, która gdzieś niedaleko jest i czeka. Janina nie chciała mi pozwolić, mówiła, żebym się odpieprzył od córki, bo umyśliła jej inny los, ale Janiny nie ma już, nie żyje. Zobaczymy, co powie sama Ulka. Trzeba się będzie dobrze spisać. Dobrze spisać!

— Zdążym do Warszawy? — szepnął Ludek, ale Czarny go uciszył. Nie wolno mówić! Prawda, coś tam nieklawo | Warszawą. Bolszewicy pod Pragą, ruszy się co, czy nie? Jakaś draka musi być przecie i tam, i tu.

Była już dziesiąta. Ostrożnie podniósł deskę, skrzypnęła głośno, żałośnie. Cicho, kurwo — uspokajał ją w myślach. Gryząca woń chloru obezwładniła go na chwilę. Rozgrzebał wióry i troty, spojrzał na pole. Noc była ciemna, chmurna, nawet nad Czwórką i Piątką nic nie oświetlało nieba. Odetchnął. Powietrze, świeże i rześkie, wypełniało płuca. Ocierając się o wyłaz jak wąż o kamień, zrzucał pasiak. Syknął na towarzyszy, wygramolił się na

wierzch i podpełznął ku wyjściu. Wiedział na pewno, że łańcuch straży stoi, że na wieżach są esesmani, że patrole przeszukują okolice, a pogoń dociera do pobliskich miejscowości.

Nagle Ludek trącił go zwracając uwagę na odległy barak, w którym żarzyły się ogieńki papierosów. Jeden, dwa, trzy. Któż to mógł być? Esesmani? Niemożliwe. Więźniowie? Jeśli więźniowie, to tak jak oni — uciekinierzy. Nieopatrznie palili papierosy, chociaż z wież nie mogły ich widzieć straże. Trzech uciekinierów, leżąc plackiem u wyjścia, śledziło trzy czerwone punkciki. W milczeniu, ziębnąc z wrażenia, zastanawiali się, co dalej robić, nim jednak cokolwiek postanowili, rozległa się gdzieś syrena i natychmiast alarm podjęły inne, z fabryk, kopalń, z miasteczek. I z obozu.

— Alarm lotniczy! Sakramencka historia — powiedział głośno Ludek i, jakby się przestraszył swojego głosu, niedosłyszalnym szeptem jął kląć. Rozjęczało się powietrze, gasły lampy wież i drutów.

— Teraz! Fajno! Ciemno. Pójdziem przez druty — rozkazał Czarny. — Jak nadlecą, to się esesmany pochowają. Zanim tamci pójdą, to my...

Ogarki w drugim baraku zgasły. Czamy padł na ziemię, zaczął szybko czołgać się ku drutom. Syreny umilkły, ale waliła artyleria przeciwlotnicza, a miotacze mgły słały gęstą zasłonę na obóz. Zatrzymał go dźwięk motorów. Obróciwszy się na plecy patrzył chwilę na ciemne niebo. Ręce miał mokre od rosy. Mżyło coś. Poczołgał się dalej nasłuchując szelestu za sobą. Żeby się tylko nie pogubili. Przystanął przy kupce cegieł niedaleko od drutów i za tą zasłoną odpoczął. Trzeba było wysunąć się na środek linii

łączącej dwie najbliższe wieże. Nie mógł mówić, a gestów i tak by koledzy nie ujrzeli. Sądził, że do drutów jest z dziesięć kroków. Naraz z trzeciej budki, z lewa, błysnął reflektor, a potem rozsypał się ogłuszający trzask kul. To tamci — pomyślał. Zerwał się i wiel
kimi susami sadził przed siebie. Obok biegła smuga światła, pełna kul. Ujrzał jeszcze lśnienie noża w ręce Ludka, który go wyprzedził, gdy wtem ze wszystkich wież linii otwarto ogień na pole „Meksyku". Oczy, przywykłe ju? do ciemności, wyłowiły sylwetkę.. Ludka przy drutach. Stał mgnienie oka z wyciągniętymi w. górę ramionami, runął na wznak. Szymek zawrócił, ale dopadło go światło, a potem kule. Czamy biegł jeszcze korzystając ze zgaszenia reflektora, ale i jego dopadł pocisk, uderzył w brzuch. Gorąc przeniknął ciało. Padł. Niebo już milczało. Za chwilę odwołają alarm i zapalą światło. Zawrócił i poczołgał się z powrotem do kupy cegieł. Pomacał brzuch, dłoń miał lepką, a kiedy wstał, aby pobiec do meliny, spodnie oplątały mu nogi. Gruby pas wojskowy był przestrzelony, klamra — rozdarta. Przytrzymując spodnie biegł, pochylony, do baraku. Wlazł w norę zamaskowawszy jako tako wejście i runął bez sił na ziemię.

Strzelanina na linii ustała i uczyniło się przeraźliwie cicho, tylko nowy, jednostajny szmer wypełniał powietrze i dochodził pod ziemię. Deszcz? Deszcz padał.

Zaświecił latarkę, osłaniając światło rękawem, obnażył brzuch. Ciało było poszarpane, skrwawione, rana boleśnie piekła. Zębami rozdarł koszulę, kawał szmaty przyłożył na ranę. Noc będzie spokojna. Byle do jutra. O świecie zaczną szukać śladów. Chyba deszcz je zmyje. Daj, Boże, żeby zmył, zatarł. Ludek i Szymek padli. Czy żyją? Zatrząsł się

z zimna. Gdyby żyli, poszliby na tortury, byli przecież w cywilu, Ludek miał nóż, Szymek część dolarów. Zdawało mu się, że słyszy cichy szept Ludka, ale to tylko wiatr szurał po baraku. A ja, co? Zdechnę tu? Ujrzał w wyobraźni bladą twarz Zygmunta i uspokoił się od razu. Nie pozwolą mi zdechnąć, zresztą dlaczegóż bym akurat ja miał zdechnąć? Wierzył, że go wydobędą, uleczą, zrobią dalszą ucieczkę. Nie z takich opresji wydobywali ludzi. Jął sobie przypominać po kolei wszystkie znane przypadki. Fala tkliwości podeszła do serca na myśl o Henryku i Zygmuncie.

Gorączka wzmagała się nieustannie, pragnienie żarło wnętrzności. Do rana było jeszcze kilka godzin. Nakręcił zegarek, przytulił policzek do wilgotnej ściany nory i zasnął. Kiedy się zbudził, posłyszał znajomy gwar. To komanda pracowały w pobliżu. Przyłożywszy na brzuch nowy kawałek koszuli przeliczył zapasy i zabrał się do chrupania sucharów i kostek prasowanej kawy z cukrem. Cały dzień i całą noc czekał, nasłuchiwał i tylko jedna myśl go nękała: czy Ludek i Szymek żyją. Deszcz padał ciągle i na pewno zamazał wszystkie tropy, ale jeżeli oni żyją... Walczył z gorączką, co nie pozwalało na zbytnie przejmowanie się pogonią, zresztą w melinie, odcięty od świata, czuł się coraz bezpieczniej...

Rano, kiedy Felek wlazł do nory, Czarny był osłabiony, ale przytomny. Wyspał się, nie czuł głodu, tylko pragnienie go męczyło tak wielkie, że ssał już grudki zwilgłej gliny. W kilku słowach opowiedzieli sobie wszystko, Felek zostawił papierosy, butelkę herbaty, chleb i słoninę, obiecał przynieść opatrunki i gorącą strawę. Dobra, nie zapomnieli

o człowieku— pomyślał Czarny. — Jakbym tak nagle wylazł i stanął do apelu, byłby jeden plus i sakramenckie zamieszanie. Heca. Wypłatałem figla, no!

Felek najpierw zdał relację Samkowi, potem obszedł wszystkich znajomych w Birkenau werbując ich do pomocy, a dopiero wieczór złożył raport Zygmuntowi.

A więc Czarny należy już do wolnego świata, jeżeli wierzyć oficjalnym meldunkom. Ale jeśli nie wytrzyma gorączki i napięcia nerwów, jeśli zdradzi się krzykiem bólu lub nierozważnym krokiem? Zygmunt wyobraził sobie siebie w podobnej sytuacji. Przecież Czarny, ranny i osłabiony, zdany jest na opiekę z zewnątrz, trzeba go karmić, leczyć, krzepić, żeby znów popróbował szczęścia. Groziła łańcuchowa wsypa, bowiem Czarny znał setki ludzi.

— W najbliższych dniach powędruję na stryczek — powiedział Stefankowi, ale goniec tym razem nie wierzył wróżbie. Jasio nadał do bazy wiadomość, że Czarny jest w melinie, a więc niech ludzie patrolują punkt, bo może wyjdzie, Marek orzekł, że jakoś to będzie, Henryk zapewniał, że Czarny sypać nie będzie.

Felek chodził co dzień do Birkenau i na „Meksyk", zanosił jedzenie i lekarstwa, które Samek Rubin podrzucał w umówionym miejscu, w nocy zaś Czarny wychodził z kryjówki | zabierał paczki. Po kilku dniach rana, na szczęście powierz-

chowna, zagoiła się, a gorączka opadła. Po tygodniu przywykł już do podziemnego bytowania i czekał tylko na wiadomość, że ma ponowić próbę. Którejś nocy wyszedł jak zwykle po paczkę Samka. Załatwił się obok baraku, żeby nie zapaskudzać meliny, rozprostował ciało. Noc była

łagodnie ciepła, niebo nad krematorium płonęło, księżyc oświetlał płaskie pole. Szedł, nie kryjąc się, ku miejscu, gdzie Samek zwykł był kłaść paczki, ale nic nie znalazł. Przeszukiwał najbliższą okolicę wzrokiem wyostrzonym w ciemności, sam oświetlony księżycem. Nie dbał o niebezpieczeństwo, nie myślał
o nim, wszystkie myśli zajęte były głodem i pragnieniem. Zerwał garść mokrej trawy, żuł ją i ssał zbliżając się powoli do miejsca, gdzie leżały cegły. Przycupnął za nimi i patrzył na sylwetki wież strażniczych, na druty. Było za jasno, by próbować przejść. Rozdrażniony wrócił do meliny. Powiem Felkowi, żeby wykombinował ciężarówkę ze znajomym szoferem. Wlezę jak nic, wywiozą za postenkietę, a potem tylko walić na adres — postanowił. Powtórzył sobie hasło: „czy mogę dostać herbaty”? Zadrapało w gardle. Pić! Palce zlepiał pot i ił gliny, błoto przyschło do zarostu twarzy, tak że bolała przy każdym ruchu szczęk.

Felek z Samkiem przyszli w południe, przynieśli zasobnik kawy z cukrem, margarynę, suchą kiełbasę, chleb i wodę mineralną. Zapobiegliwy Samek nie zapomniał nawet o Przyborach do golenia. Czarny sprawdził brzytwę na dłoni, była ostra. Usiedli w baraku na podłodze.

Pomysł z ciężarówką Felek uznał za możliwy do zrealizowania. Wożono właśnie rury na „Meksyk” i na obóz męski, Czarny mógłby ukryć się i wyjechać.

— Ogol się — powiedział. — Wyglądasz jak trup. Trupom włosy rosną. — Dotknął palcami chropowatych policzków. — Posłuchaj, stary, tylko spokojnie: w Warszawie wybuchło powstanie.

Powstanie? Jakieś komando przeciągało drogą i nie można było rozmawiać, twarz Czarnego mówiła, że jest

przejęty wiadomością: najpierw znieruchomiało spojrzenie czarnych oczu, potem jęła pękać błotnista skorupa na policzkach i ożywił się wzrok. Jeszcze nie pojmował znaczenia nowiny. Cie
szyła go, ale wydawała się być bez związku z obecnym jego położeniem.

— Tak, tak, pewno teraz na nas kolej — szepnął Samek myśląc o planie powstania w obozie.

— No, to po co wyrywać? Wracam. Co mi zrobią? Transport przecież wyszedł — powiedział Czarny. Felek odsunął deskę, pchał już przyjaciela w czeluść, byle nie gadał głupstw. Nie może wrócić, za nic. Jakże wróci, kiedy go dawno od- meldowali, co powie, jak wytłumaczy. Musi uciec! Wiadomość o wybuchu powstania zachował umyślnie na ostatek, by nie wpłynęła na jego postanowienia. Sam rwał się do stolicy, ale mu powiedziano, że musi zaczekać z ucieczką.

Czarny wszedł do nory. Wystawił jeszcze głowę znad desek i powiedział:

— Dziś w nocy wieję, wszystko jedno. Niech zawiadomią.

Znów ogarnęła go ciemność. Słyszał stąpanie przyjaciół, szuszczenie wiór, potem umówione puknięcie w deskę. Poszli. Namacał obłe szkło flaszki, napił się wody. Sycząc z bólu zrywał skorupę błota z twarzy, zwilżył włosy wodą i po omacku zaczął się golić. Koniuszkami palców sprawdził śkórę. Była gładka, piekąca. Szkoda zostawiać tyle żarcia — pomyślał i zabrał się do jedzenia. — Bolek pewno gotów już do bitki, o ile nie pojechał do Warszawy. On powie, co robić, gdzie być. Powstanie... Ciarki go przeszły, odbiegł głód. A ja muszę żyć. Myślał, że dziś nocą

przejdzie druty, nazajutrz zobaczy Ulkę i Bolka. Muszę wpierw odpocząć. Powstanie zrobią i beze mnie. Chociaż... Nie! Trzeba się pokazać Ulce. Do Warszawy, do Warszawy!

W sierpniu, kiedy cały obóz żył wieściami o powstaniu warszawskim, Zygmunt wprowadził Henryka Matulę do komórki pod blokiem, zupełnie ciemnej, pełnej ludzi, bo oprócz niego, Adama, Wiktora i Marka był tu jeszcze nowy lageraltester, z Rady Wojskowej, Polak-socjalista, i Paul schutzbundowiec oraz nowy towarzysz z Niemiec. Nie starczyło miejsca dla wszystkich i Henryk musiał usiąść na kolanach Zygmunta. Udzielono mu głosu, chciał wstać, wstydził się tej pozycji, ale Zygmunt przytrzymał go za połę bluzy. Złożył szczegó
łowy raport o przygotowaniach w Birkenau nie tając obaw, że właściwie wszystko ma charakter luźnej improwizacji, a jedynie Sonder gotów jest do akcji. Powtórzył swój plan. Gdy skończył mówić, przejęty, spocony z gorąca i z wraże-nia, odezwał się Marek. Poznał go po głosie, słuchał uważnie, ale czekał na słowa Kogoś Wyższego, aby móc wypytać Go
0 Pryncypialne Sprawy. Nalegał na spotkanie również w tym celu, by stanąć przed sądem kierownictwa, by się bronić
1 by oskarżać. Oskarżyć chciał Zygmunta. Czekał więc cierpliwie. Marek zaproponował wysłanie rezolucji, rodzaju protestu przeciwko twierdzeniom hitlerowskigo sądu, przed którym stanęli zamachowcy lipcowi, przypomniał, że istniał wśród generałów sprzysiężenia projekt uwolnienia obozów koncentracyjnych, a sąd głosił, że znajdują się w nich same kryminalne elementy.

— Takie twierdzenie służyć może do usprawiedliwienia wobec własnego narodu wszystkich już popełnionych, straszliwych zbrodni — a nawet utorować drogę nowym, jeszcze okrutniejszym — mówił. — Proponuję deklarację, w której stwierdzamy, że żądamy traktowania nas jako żołnierzy, żądamy praw ludzkich, praw jeńca wojennego. Oczywiście, nie chcemy, aby nasze wołanie o akcję i interwencję było zrozumiane albo odczute jako zaprzątanie głowy ludziom zajętym wielkimi sprawami wojny przez ludzi w pewnym sensie bezużytecznych. Nie. Jest to jedno z zagadnień, o które toczy się wojna w swej ideologicznej części. Zagadnienie Człowieka.

Dlatego pomoc dla nas traktować musimy nie tylko jako jakąś sumę praktycznych korzyści w formie poprawy warunków, ale jako egzamin moralny świata. Wołamy o pomoc i posiłki na nasz odcinek walki o człowieka, bo z hideryzmem dyskutować można jedynie argumentem siły, której my nie mamy. Jakiekolwiek plany wojskowej pomocy dla nas muszą zawierać w sobie koncepcję użycia naszych sił do walki. W przeciwnym razie trzeba się zastanowić, czy nie istnieje dla bieżącej walki potrzebniejsze miejsce, na które alianci winni skierować wszystkie siły.

Marek skończył. Wówczas odezwał się cicho Adam:

— Ładnie powiedziane, jak w Lidze Narodów. Dobrze, napiszcie taki memoriał, ale mam kilka pytań. Po pierwsze — apel ma niewiadomego adresata. „Wolny świat”, „Człowieczeństwo” i tak dalej, a tu pod nosem jest polski ruch oporu. Jak wygląda jego konkretna pomoc? Dlaczego

on nie zrywa się do powszechnej walki, co załatwiłoby wszystkie nasze sprawy i troski? Mamy do dwóch tysięcy żołnierzy, wystarczy. Toczą się rokowania i co? Rezultatu nie widać. Po drugie — towarzysze polscy ponoszą specjalną odpowiedzialność za nasze kontakty z tym „wolnym światem", ale zbyt mało nas o nich informują. Po trzecie — przecież w Warszawie jest powstanie, a Marek ani słowa o tym nie wspomniał w swej oracji. Proponuję, by przejść nad nią do porządku i zająć się realnymi sprawami. Naszymi przygotowaniami.

Dlaczego nie zabiera głosu nikt z kierownictwa? I— zastanawiał się Henryk, na próżno czekając na ostateczne decyzje. Wszystkich dotychczasowych mówców rozpoznawał po głosie.

Zygmunt rzeczowo podał kilka informacji o postępach akcji powstańczej w Warszawie, tyle, ile wiedział z nasłuchu radiowego, ale nie-Polacy nie orientowali się w sytuacji, nazwy dzielnic i gmachów nic im nie mówiły, chcieli słyszeć inne, bliższe, zrozumialsze nazwy miast i wsi okolicznych, obiektów obozowych. Członkowie Rady Wojskowej zapewniali, że są gotowi, ale tylko do akcji samoobrony. Paul prosił o wiadomość, jak biegną rokowania z wysłannikami konspiracyjnego wojska polskiego.

— Wiadomości szczegółowe — nie tutaj, nie w tym gronie — upominał Adam. — Zbierzcie się u Heinza.

Heinz, lageraltester, zgodził się na konferencję wojskową.

— Zobaczymy—powiedział. — Ta wasza Warszawa też będzie „próbą sumienia świata". A więc na razie nic nowego. Robimy dalej?

— Mam pewną sprawę — odezwał się Paul. — Jak wiecie, za parę dni mój... ślub. Chciałbym, żebym w lagrze wiedziano, jak to jest.

Paul ożenił się był w Hiszpanii, wziął wojenny ślub cywilny z Hiszpanką. Obozy francuskie i niemieckie rozdzieliły ich, zdawało się — na zawsze, ale żona, urodziwszy córeczkę, szukała go po świecie. Małżeństwo było nieważne wedle praw Franco i Hitlera. Po wielu latach Inez odszukała
Paula, napisała do samego Hitlera i uzyskała pozwolenie na wzięcie prawnego ślubu. Listy w tej sprawie, korespondencja władz SS z komendanturą obozu i naczelnym lekarzem, były dość znane, plotka obozowa wyolbrzymiła i ośmieszyła sprawę. Mówiono, że Paul pójdzie na wolność za cenę wyrzeczenia się swej ideologii, zaraz po ślubie.

— Muszę to zrobić, dziecko musi mieć nazwisko, nie może być bękartem w frankistowskiej Hiszpanii — mówił. — Wierzycie mi chyba, że nie zaprę się nigdy... Nigdy! Ale co winne dziecko? Córeczka. Ma sześć latek. Szkoda, że ciemno, pokazałbym fotografię. Byłoby mi przykro, gdyby towarzysze nie zrozumieli.

Henrykowi przypomniał się pradawny zwyczaj polski ocalania skazańca przez dziewczynę, ale o Paulu myślał ironicznie, ze złością. Że też ma głowę teraz do takich głupot! Córeczka, ślub! Narada trwała, omawiano sytuację polityczną w obozie, rozważano możliwość częściowej ewakuacji Polaków i Rosjan, o czym coraz częściej się mówiło w związku z masowymi transportami z obozu, Wiktor zaś na podstawie rozmów z Wirthem potwierdzał owe przypuszczenia. Ludzie wkrótce zaczęli opuszczać pojedynczo komórkę, ale gdy Henryk chciał wstać,

Zygmunt szepnął, by został. Po chwili ktoś zapalił światło. Obaj Austriacy, Adam i Wiktor, siedzieli na stoliku, nie było nikogo obcego, nieznajomego.

— Chciałeś stanąć przed kierownictwem, proszę — powiedział Marek. — Część masz przed sobą. Mów!

Henryk nie wierzył oczom. Zygmunt? Adam? Wiktor? Marek? Kierownictwo? Jakby ich ujrzał pierwszy raz w życiu, patrzył badawczo i nieufnie, jakby groziło mu coś, postrzegał wszystkie szczegóły wyostrzonymi nagle zmysłami. Okrąglutkie, palące oczy Adama, świecąca czaszka Wiktora, grube rysy Zygmunta. Żarówka łazienkowa w siatce i kloszu. Zielone deski, pełne sęków. Szczotki w kąciku.

— Nie masz do nas zaufania? — zapytał Wiktor. — Zygmunt mówił o wszystkim. Powiedz!

— Zostawiliście mnie na lodzie; dlaczego? Co mam robić?

— Nie spisałeś się, mówię o tym, co się nazywa lagrowym życiem, nie o naszej robocie. Bicie w mordę, kntrupienic ludzi, awantury pana blokowego, wszystko to niełądnie pachnie.

A na ciebie ludzie patrzyli, rozumiesz ?! Ponieważ przeżyłeś ostatnio ciężkie chwile, dajemy spokój tamtym historiom.

— Miałem się cackać z łotrami? — zwrócił się Henryk wprost do Adama, wyrzucił z siebie wszystko. I gniew na ślamazamość roboty, i zarzuty, że zatracają charakter kompanii, i gorycz, że zostawili go bez roboty.

— Dlaczego paktuje się tyle z prawicą? Dlaczego nie wyśle się delegacji prosto do Moskwy? Toż radziecki front zbliża się do nas, a nie amerykański, do Lublina

dotrzeć niewielka sztuka — mówił Henryk, -r— Czerwona Armia da pomoc, wyzwoli. Czerwona Armia wywoła powstanie na Śląsku, nie faszystowska ruchawka w Warszawie...

— Tak nie wolno mówić! — oburzył się Zygmunt. — „Faszyści" biją Niemców.

Wiktor podchwycił myśl o wysłaniu łączników na wschód. Zorganizować ucieczkę kilku oficerom radzieckim — nie trudno. Zresztą poszło już paru. Czy doszli? Chyba nie, bo nie widać skutku.

— Niech Rada Wojskowa szybko to załatwi. Ucieczka przez front. Pewno, pewno, wydaje mi się, że myśl jest dobra.

Zapadło znów milczenie. Wiktor pocierał dłonią blond włosy na skroniach, patrzył to na Zygmunta, to na Adama.

— Ale do rzeczy. Proponuję, żeby Matula został u nas w obozie i zajął się znowu robotą — powiedział Adam.

— Chcę iść na komando, na zwykłe komando — prosił Henryk. — Nie do szpitala, nie na prominenckie stanowisko. Dość. Dajcie rozkaz, ale chcę pracować w komandzie.

Wyszedł z bloku z Zygmuntem. Szli milcząc, zatopieni w myślach. Przed szpitalem Zygmunt zagadnął towarzysza o Czarnego, o jego hart i odporność, skusiło go, by powiedzieć, że żyje nadal w obozie, pod ziemią na „Meksyku".

— Miał kilka dni temu drugi raz pójść, ale było jasno, nie mógł. Zwariowana historia.

Opowiedział mu o projekcie z ciężarówką, który zawiódł, bo żadne auta nie wjeżdżają teraz na „Meksyk".

Henryk opuścił głowę na piersi. Kiedy myślał o siedzącym w ziemi Czarnym, zdawał sobie sprawę, że znów

ubywa z garstki towarzyszy ktoś bliski przecież, i czuł, że wraz z Czarnym ucieka kawał jego życia. Drobne kropelki potu
spłynęły z czoła ku kącikom ust, otarł je palcami i nagle dźwignął głowę. Wyraziście słyszał przyspieszony oddech Zygmunta, światło stało się ostre, powietrze przejrzyste. Powracał znowu ów stan wzmożonej pracy zmysłów. Rozejrzał się podejrzliwie, ale znikąd nie groziło niebezpieczeństwo.

— Czarnemu nie wolno wyleźć z meliny na obóz — powiedział.— Ta historia go skruszy. Chłopak sam nie wie, że gó skruszy. Szkoda Czarnego. Jeżeli mogę się na co przydać w tej sprawie, jestem do dyspozycji.

Czarny nie uciekł owej nocy, do której przygotowywał się starannie po wizycie Felka. Kiedy wyszedł z meliny, cała równina zasłana była srebrnym światłem, a za drutami rozlegały się głosy niemieckiej komendy i krótkie poszczekiwanie psów. To policyjne owczarki SS ćwiczyły nocą pogoń. Wrócił do schowka, wyciągnął stary pasiak i przebrał się w baraku. Szkoda mu było ubrania. Wyciągnął się wygodnie na wiórach i zasnął. Kiedy otworzył oczy, słońce stało już wysoko i gwar obcych głosów rozlegał się gdzieś blisko. Senny i głodny, zasypawszy otwór, wylazł na pole. Długo trwało, nim przywykł do dziennego światła. Wolnym krokiem, rozglądając się bezmyślnie wokół, poczłapał ku krańcowi odcinka, gdzie małe komando zaczynało wykop. Machinalnie podniósł z ziemi porzuconą tu deskę i niosąc ją na ramieniu szedł przed siebie. Ciepłe powietrze cieszyło go i możność stąpania po ziemi. Nawet nie spostrzegł, że kapo Polak, ujrzawszy jego przygarbioną postać, krzyknął coś i kucnął z przerażenia. Zawrócił.

Zdawało mu się, że ktoś za nim biegnie, sam chciał przyspieszyć kroku, ale mięśnie nie pozwalały. Potknął się i upadł na deskę. Poczuł ból w brzuchu, podobny temu, jaki go przeszył w noc ucieczki. Kapo podniósł go, spojrzał na gwoździe deski. Były zakrwawione.

— Co... co ty tu robisz, Czarny? — wyszeptał. — Żyjesz?

— Zaprowadź mnie na mannerlager, na chwilę — powiedział Czarny poznając jednego z dawnych znajomków.

Kapo wyprowadził go z „Meksyku" i powiódł do Samka. Podczas gdy czekał pod barakiem, Czarny duszkiem wypił miskę lury i przełknąwszy kilka kęsów zaproponował, że zostanie na bloku, póki „tamci" nie wykombinują ucieczki. Miał dość siedzenia pod ziemią.

— Kapo wszedł z tobą i musi ciebie wyprowadzić, żeby apel sztymował, Czarny. I gdzieżbym ja ciebie ukrył? Niemożliwe. Musisz wracać. A ty wiesz, co słychać?

Czarny rzucił gniewnie głową. Nic go nie obchodziło, oo słychać w dalekim świecie.

— Bateryjka się wyświeciła. Ciemno w norze. Żeby w nocy księżyca nie było, ale jasno jak w dzień! Powiedz no tamtym, że długo nie wytrzymam.

Wszedł Rotmistrz, przywitał się, jakby Czarny należał do stanu bloku. O nic nie pytał. Czarny syknął, rozpiął portki i badał ranę na brzuchu. Błyszczącóróżową bliznę rozdarły w dwóch miejscach gwoździe. Samek wyjął ze stolika bandaż, żółty proszek i pudełko maści.

— Bierz to, ale teraz wyrywaj! Blokowy jest pies i

będzie kram. Jutro przyniosę wałówę. A tamtym dam znać, nie bój się, Czarny, nie bój.

Czarny wracał, zaopatrzony w medykamenty i żywność, prowadzony przez kapo. Doszli do baraku, gdzie mieściła się kryjówka, i tu kapo zapytał, czy Czarny dawno przeszedł przez druty, nie wątpił bowiem, że uciekinier wrócił do obozu w tajnej jakiejś misji. Przypomniawszy sobie ucieczkę Bolka i Lali, blokowego Matulę i schreibera Samka dorozu- miewał się, że czerwoni posłużyli się Czarnym.

— Proszę pana — powiedział — mój ojciec był cholewkarzem i siedział, bo był u czerwonych. Jakby co było, niech pan pamięta o mnie, poświadczy. Ja nic teraz nie powiem, nikomu.

Głos mu drżał z przejęcia, grdyka wypychała kołnierz koszuli. Czarny nic rozumiał, o co mu chodzi. Wszedł do baraku i prosił, by zamaskował za nim wejście. Kapo posłusznie spełnił polecenie, a gdy zbieg zniknął w ziemi, wrócił biegiem do swej drużyny.

Przez kilka dni trwało pogotowie na punkcie ucieczkowym Czarnego, wreszcie powiadomiono Bolka, że Czarny nie może wyjść. Rana mu się otwarła, gorączkował i mały Felek nosił do meliny coraz to inne lekarstwa. W końcu musiał przyjacielowi zrobić sam zastrzyk. Uczył się długo, próbował
w szpitalu, ale poszło dobrze. Ostatni krok Czarnego, jego spacer w biały dzień po Birkenau, stał się wkrótce sensacją obozu. Opowiadano, że „łącznik komuny" kursuje między Birkenau a wolnością, że w obozie przebywają wysłannicy podziemia, że widziano nawet ludzi w mundurach. Plotka rosła, szumiała setkami rozmów przy jedzeniu, na łóżkach,

w latrynach, dochodziła, zniekształcona, do wtajemniczonych ludzi, do Zygmunta, do Marka, do Henryka.

Tymczasem w dalekiej Warszawie trwało powstanie, a wiadomości z placu boju przygnębiały kierownictwo. Powstanie bowiem znikąd nic otrzymywało potrzebnej pomocy.

Pewnego sierpniowego dnia Paul udał się do urzędu stanu cywilnego. Tam czekała nań Inez z córką; smutna, szczupła kobieta i czarnowłose dziecko o niebieskich oczach. Była popołudniowa pora pogodnego późnego lata. Wiktor, wezwany jako świadek, wręczył Hiszpance wiązankę czerwonych astrów, ukłonił się, ścisnął dłoń. Grupa pogotowia elektrycznego czekała u wejścia. Ceremonia trwała nader krótko i po chwili ukazał się naczelnik obozu, a za nim para małżonków i Wiktor z dzieckiem na ręku. Henryk ściągnął czapkę z głowy, stanął na baczność. Paul, blady i zdenerwowany, podał ramię żonie. Miała ciemnoszary kostium, w odsłoniętych, matowobrązowych włosach iskrzył się czarny grzebień.

— Gratuliere* — powiedział naczelnik obozu i wówczas Henryk spostrzegł, że nowożeńcy trzymają pod pachą ozdobne wydanie „Mein Kampf" w brunatnej, wyzłoconcj oprawie. Naczelnik zastanawiał się chwilę, potem rzucił:

— Pokój na noc poślubną w pufie**. Rano do roboty. A teraz niech sobie pospacerują po ogrodzie. Pilnować!

— Muszę wracać do biura, Paul — powiedział Wiktor. — Wirtha nie ma, ale nie mogę zostać. Buenas dias, Inez, hasta la vista!***

Kobieta uśmiechnęła się blado, uszczknęła jeden aster i wpięła mu w marynarkę. Poczerwieniał. Paul odebrał córeczkę i skierował się ku ogrodowi Hoessa. Zza ogrodzenia rozległ się śmiech dziewczynki, potem okrzyki dzieci Hoessa, które bawiły się koło małej cieplarni.

Komanda wkrótce zaczęły ściągać do obozu, orkiestra stroiła instrumenty, bęben próbował rytmu. Żona Hoessa częstowała dzieci cukierkami, dziewczynka Paula biegła do niej klaszcząc i śpiewając.

— Już czas — powiedział blockführer.— Idziemy.

Przeszli bramę, orkiestra powitała ich tuszem, garbaty goniec zamiatał przed nimi ziemię czapką. Z okien bloku patrzyli rozbawieni więźniowie z kancelarii, a z piętra — prostytutki. Młodziutki więzień ze straży ogniowej krzyczał coś swojej najmilszej, esesmani, gromadzący się przy bramie, rechotali. Paul szedł na blok ciągnąc jedną ręką dziecko,; drugą — żonę. Orkiestra zagrała marsza i pierwsze kolumny weszły w obóz.

Wieczorem Zygmunt wezwał Henryka na sztubę Jasia i przedstawił plan: Czarny dostanie papiery i ubiór cywilnego robotnika, wyjdzie w dzień, na drodze będą nań czekać z rowerem.

Rano schreiberzy wyczytali kilkudziesięciu więźniów, tym razem samych prominentów i stare numery. Był między nimi i goniec Stefanek, i wielu starych oświęcimiaków-fun- kcyjnych.

Pod szubienicą grupkę wybranych otoczył kordon esesmanów, rapportfuhrer rzucił rozkaz i w ruch poszły kolby.

Komanda ustawiały się do wymarszu; wybranie na kamy transport kilkudziesięciu powszechnie znanych więźniów nie wróżyło nic dobrego. Wiktor donosił, że Oddział

Polityczny przechodzi do ataku. Prawie wszyscy Polacy i Rosjanie wyjadą w najbliższym czasie w głąb Rzeszy. Politische boi się bowiem ruchawki, dostało naganę władz za dopuszczenie do wzrostu fali ucieczek i do przenikania na wolność coraz bardziej kompromitujących materiałów.

Grupka Henryka czekała na Paula, by wyjść do roboty, ale nie ukazywał się przed blokiem, dopiero kiedy umilkła orkiestra, w oknie burdelu ujrzeli twarzyczkę dziewczynki. Wołała muzykantów, chciała jeszcze słuchać marszów. Puzonista zadął w trąbę, mosiężne talerze uderzyły o siebie i dziecko zaśmiało się głośno. Wkrótce potem para nowożeń
ców zeszła na dół, Inez wzięła córeczkę i nie żegnając się z Paulem przeszła bramę. Austriak przetarł oczy, uśmiechnął się do towarzyszy. W tej chwili do obozu wbiegł Wiktor, prowadzony przez rapportfiihrera.

—Chcą mnie porwać na transport! — krzyknął w biegu. — Idę na badanie!

Paul skierował się za nim wysyłając swego krajana z komanda do warsztatu, a pozostałych wiodąc przez obóz ku szpitalowi. Wiktor zameldował się lagerarztowi, który objął to stanowisko po usuniętym przez poprzedniego komendanta lekarzu SS, a rapportfuhrer przekazał rozkaz zbadania więźnia, czy nie ma zakaźnej choroby, bowiem dołączony będzie do aresztowanych „buntowników" i wysłany z transportem. Kiedy oddalił się, Wiktor rzekł:

— Podlegam rozkazom standortarzta Wirtha. Jest teraz na rampie przy transportach żydowskich. Proszę go zawiadomić o próbie porwania. Proszę dać mi rozkaz nieopuszcza- nia szpitala, póki nie przyjdzie wyjaśnienie Wirtha.

Mały, gruby lekarz znał stosunek Wirtha do Wiktora, przypuszczał, że standortarzt wybroni go, ale zgadywał, że to Politische atakuje. Nie zamierzał narażać się ani Wirthowi, ani gestapo. Polecił więc więźniowi czekać w szpitalu i wsiadł na motocykl, by pojechać do Birkenau. Tymczasem Paul sprowadził Adama i w pokoju blokowego zebrała się narada.

— Odmówię wykonania rozkazu. Nie mogę przecież teraz opuszczać obozu, rzucać roboty, jechać w głąb Rzeszy — powiedział Wiktor. — Wirth na pewno będzie interweniował. Wie już, że Politische pragnie zemsty...

— A sam spokojniutko wybiera teraz ludzi do gazu — przerwał mu Zygmunt. — Wirth nie będzie ciebie bronił, kiedy się dowie, że to rozkaz Politische. Przestraszy się, zobaczysz.

Marek proponował ucieczkę, zaraz, natychmiast. Z Birkenau, z „Meksyku". Melina już jest wolna, Czarny bowiem dzisiaj wychodzi. Niech Wiktor zgodzi się pozornie na transport i umknie na „Meksyk". Czarny mógł wytrzymać trzy tygodnie, Wiktor też da sobie radę.

— Mam schować się pod ziemię? Przecież mnie będą
szukali aż do skutku, zrozumcie. To niemożliwe. Nie jestem byle kim.

Zygmunt spojrzał na Henryka, jakby szukał w jego wzroku rady, ale Henryk wiedział, że żadnej rady nie ma. Oto jest świadkiem, jak członek kierownictwa ulec musi przemocy, jak bezradni są wobec niej towarzysze. Z Wiktorem nie powiedzie się żaden trick, nie uda się mu zrobić gorączki, przyjąć do szpitala, zmienić numer. Politische czuwa. Nie wypuści go z rąk.

— Pozostaje tylko ucieczka z transportu, z wagonu. Damy d piłkę do żelaza. Kombinuj — powiedział i wyszedł, by posłać kogoś po narzędzia. Wiktor usiadł na parapecie okna i milcząc patrzył na towarzyszy. Odwracali wzrok od niego.

— Musisz wyskoczyć zaraz za Oświęcimiem, żebyś doszedł do naszych — powiedział Jasio. — Naucz się adresów...

Polskie nazwy nie wchodziły w ucho, Wiktor mylił się, plątał miejscowości i adresy. Zapamiętał tylko jeden, krakowski. Adres dziewczyny Zygmunta.

Razem z Henrykiem wszedł do pokoju garbaty goniec z bramy. Politische wzywało Wiktora.

— Nie wyjdę! Mam rozkaz lagerarzta i nie ruszę się stąd! — krzyknął.

Goniec rozdziawił gębę, nie rozumiał. Przecież rozkazuje Politische! Paul wyprowadził go, osłupiałego, i wróciwszy rozłożył bezradnie ręce. Wtedy syrena obwieściła aliancką eskadrę i Wiktor głęboko odetchnął. Będzie czas na przybycie Wirtha. Nie przyjął metalowej piłki, a gdy Jasio przyniósł paczkę z jedzeniem na drogę, odrzucił ją pogardliwie. Nie tracił wiary w ocalenie.

— Myślę, że wszyscy musimy mieć w pogotowiu trasę ucieczki. Widać, Politische nie zostawi tu „niebezpiecznych elementów” — powiedział Marek. — Chciałbym być tam. Potworne rzeczy dzieją się nad Wisłą, w Warszawie.

— Ale długo trwa — szepnął Zygmunt. Nie wiedzieli, czy myśli o powstaniu, czy o alarmie. Gładkie niebo sierpniowe błyszczało za oknem, ale milczało. Lecą gdzieś, daleko. Może właśnie na Warszawę?

Paul postanowił po skończonym alarmie pójść z grupą do

Birkenau, czekał więc, aż skończy się narada, by porozmawiać z Adamem i wziąć od niego polecenia. Siedział z towarzyszami na schodkach szpitala, z zamkniętymi oczyma, z mocno zaciśniętymi szczękami. Słońce dopadło go, rozpiął koszulę.

— Henryk, jutro wypróbujemy linię, wiesz? Trzeba zbadać jeszcze raz, czy uda się jednocześnie wyłączyć prąd z drutów i z obozu — szepnął nie otwierając oczu.

Obóz trwał w ciszy. Henryk spostrzegł Wałacha z Rady Wojskowej. Stał w drzwiach przeciwległego bloku jak na posterunku, patrzył na zegarek. Wreszcie odwołano alarm. Syrena jeszcze buczała, gdy na ulicy ukazał się rapportführer. Przystanął pod szubienicą, koło której wybudowano dla niego budkę w kształcie kapliczki, by nie moknął na deszczu w czasie apelu, oglądał uważnie kartkę z Politische, po czym podszedł pod szpital i wywołał numer Wiktora.

— Lagerarzt rozkazał mi pozostać w szpitalu — odezwał się z okna Austriak.

— Quatsch*. Politische nakazuje co innego. Zabieraj się
i marsz.

Paul szybko zerwał się i pospieszył ze swoimi ludźmi ku bramie. Jeżeli lagerarzt nie zawiadomił Wirtha, on to zrobi. Byle zdążyć na czas. Z Jedenastki wyszła grupa aresztowanych i pod silną eskortą zmierzała ku wyjściu. Rapportfuhrer wyciągnął pistolet, strzelił w korytarz. Wówczas ukazał się Wiktor. Z dumnie podniesioną głową zszedł ze schodów. Szeroki, biały kołnierz koszuli wyłożył

na klapy marynarki, przetarł końce butów o spodnie i ruszył za esesmanem.

— Jest nas coraz mniej — powiedział Marek. — Jeżeli Kmicic nie da pozytywnej odpowiedzi, pozostanie tylko ucieczka.

Henryk maszerował w grupie Paula do Birkenau. Weszli przez główną bramę i ujrzeli wyładowujący się transport. Arteria, biegnąca wzdłuż toru, zatłoczona była ludźmi, wśród których uwijali się pracownicy „Kanady". Nad rowami od strony obozu kobiet stali mężczyźni odlewając się po długiej
podróży, oddział SS spędzał maruderów z drogi. Ktoś zapytał po niemiecku, gdzie jest, co tu za obóz.

— Tu jest śmierć. Brońcie się — mruknął Henryk przeciskając się przez tłum. Paul miał zamówienie na robotę z „Kanady", przepuszczano ich więc bez przeszkód i tak doszli do samej rampy. Doktor Wirth, stojąc na zydlu, laską pokazywał kierunek marszu grupie dziewcząt, inny lekarz ustawiał dzieci-bliźniaki w dwójki i zapisywał ich nazwiska. Paul wahał się chwilę, stał niezdecydowany na drodze, patrzył na Wirtha, potem przystąpił do niego i powiedział:

— Wiktora porwano na transport.

Standortarzt zrozumiał. Ogarnął wzrokiem tysiąc jeszcze nie przeselekcjonowanych ludzi, zeskoczył ze stołka.

— Weiter machen !* — rzucił swemu zastępcy. — Wybrać dziesięć procent do roboty, reszta — specjalne traktowanie.

Politische dowie się zaraz, kto zawiadomił Wirtha. Paul wpadnie — stwierdził Henryk. — Dzień po ślubie ma pecha. Ciemna fala ludzi rozdzielała się, wpływała w

ogrodzenie drugiego i trzeciego kremo.

Naprawiwszy instalację w magazynach „Kanady", pełnych po brzegi odzieży, waliz, sprzętu kuchennego, dywanów
i butów, Paul podał wiadomość zaufanemu łącznikowi, który kontaktował się z Sonder, i zaprowadził swą grupkę na drugą arterię, biegnącą między „Meksykiem" a obozem męskim. Obóz cygański świecił pustkami, przygotowywano go dla nowych transportów. Kiedy przechodzili koło „Meksyku", wyszedł stamtąd cywilny robotnik z zieloną opaską i skierował się ku bramie. Elektrycy szli wolno, ociężale. Henryk patrzył na kroczącego przed nim cywila, którego wygląd wydawał mu się podejrzanie znajomy. Za duża czapka nie zasłaniała krótkich włosów nad karkiem, granatowy kombinezon, aczkolwiek nowiutki, był wymięty, umazany gliną, z kieszeni sterczał żółty metr stolarski. Cywil szedł lunatycznym krokiem, z wyraźnym wysiłkiem stawiając kroki, i cuchnął tak przeraźliwie, że fetor zapierał oddech. Właśnie mijał go inny cywil, idący na czele oddziału więźniów, którzy nieśli kłęby kolczastego drutu. Minąwszy go odwrócił się i przystanął.

— Człowieku, ależ śmierdzisz! — zawołał. Tamten drgnął, chciał przyspieszyć kroku, ale ugrzązł w miejscu. Henryk najpierw spostrzegł, że kombinezon ciemnieje mu na plecach od potu, potem, że drżą łopatki i barki. Ujął Paula za ramię, zatrzymał.

— To jest nasz człowiek. Ucieka — szepnął, jak mógł najciszej. — Musimy mu pomóc, żeby przeszedł bramę. Poczekajcie chwilę.

Minął Czarnego, i zawróciwszy nagle, stanął przed nim.

— Cicho — powiedział. — Chodź z nami razem. Pewniej będzie, nie bój się.

Czarny wolno, bardzo wolno cofnął się kilka kroków, macał palcami nos i policzki.

— Nie mogę. Wracam — rzekł. Był ogolony, ale brudny, dzika twarz paliła się rumieńcami.

— Jeszcze się biją?

— Jeszcze.

W bramie ukazał się oddział SS spieszący do Czwórki. Zanim Henryk zdołał spytać Czarnego o dalsze plany, ten uskoczył w bok i przeszedł na „Meksyk".

Elektrycy wracali do głównego obozu w upalne południe sierpniowe, Paul jednak nie zamierzał pozostać w warsztacie, gnało go coś tego dnia po okolicy, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wyciągnął cały zapas fałszywych przepustek, liczył je, medytował, dokąd by jeszcze skoczyć. Henryka wysłał z bezpiecznikami do szpitala, by zawiadomił o nieudanym wyjściu Czarnego i dowiedział się czego nowego o Wiktorze, sam zaś poszedł z postem do „Unionu".

Wiktora nie ocalił Wirth. Kiedy przyjechał do komendantury, Austriak maszerował już wraz z „puczystami" do Birkenau. Udał się na stację, gdzie ładowano transport, ale nic nie wskórał. Wiktor, wepchnięty do bydlęcego wagonu, jeden z tysiąca wywożonych, zginął w tłumie. Rapportfiihrer pokazał Wirthowi rozkaz Politische i standortarzt opuścił głowę. Zdjął okulary i wyciągnąwszy chusteczkę czyścił szkła. Więźniowie z magazynu żywnościowego przynieśli dokładny opis tej sceny. Transport pojechał gdzieś nad morze, daleko.

Mijały tygodnie przełomu lata i jesieni, pogodne, przerywane jękiem syren. Henryk uspokoił się przy Paulu, który nie dawał okazji do rozmyślań. Grupy elektryków opanowały już zadanie, zniszczenie instalacji nie przedstawiało żadnej trudności, paczki plastelinki zakopał Paul tak, by byty pod ręką, schwester Marie, austriacka katoliczka ze szpitala SS, i łącznicy przynosili nowe ładunki do obozu. Sonder miało już granaty i proch, ale coraz mocniejsze było przekonanie, że do powstania w obozie nie dojdzie, że SS zdoła rozładować go z bojowego elementu. Powstanie warszawskie trwało, stolica jeszcze krwawiła, ale Polacy w Oświęcimiu zgadywali, że padnie straszliwie samotna, samotna jak oni. W takiej sytuacji przybył do macierzystego obozu Samek Rubin jako delegat birkenauczyków i Sonder. Nie szafował słowami. Sonder było gotowe, pytało o termin. Zygmunt powtórzył dawną decyzję: tylko wspólna akcja, żadnych samodzielnych kroków. W obozie organizacja postara się utrzymać do końca kadrę bojową, rokowania z wojskową konspiracją krajową dobiegały końca i należy się spodziewać lada dzień ostatecznej decyzji.

Samek był smutny. W jego Francji wojna wydawała się kończyć, w jego Polsce trwała nadal, a w jego obozie wszystko się rozprzęgało. Co powiedzieć chłopakom z Sonder? Czarny siedział nadal w ziemi i bał się wyleźć, załamany ostatnim niepowodzeniem. Czy oni wszyscy nie byli podobni do niego?

— To ja już pójdę sobie — powiedział. — Sonderowcom nic nie powiem na razie, ale wy się zastanówcie. Ciężko. A o Czarnym głośno. Z pół lagru wie, że on tu gdzieś żyje. Cud będzie, jeżeli kto nie sypnie.

Zygmunt odprowadził Samka Rubina, a w drodze wypytywał o robotę i o Czarnego. Uciekinier był u kresu sił. Felek opowiedział mu o dogorywaniu powstania w Warszawie i to go dobiło. Bredził, że wyjdzie i zgłosi się u komendanta.

— Łazi już w dzień po lagrze i straszy ludzi. Że jeszcze nikt nie doniósł o tym, to się dziwię.

Nie, nikt nie zdradził Czarnego. Trwała od tygodni zmowa milczenia wokół jego ucieczki, milczenia wobec władzy. Wielu znajomych Czarnego dostawało dla niego od kolegów żywność z paczek i szukało kontaktu z kimś, kto miał do
niego dostęp. Przypomniano sobie Henryka Matulę, jego towarzysza z ogrodu w Rajsku, z bunkra i z Birkenau. Nieznani ludzie składali mu ofiary dla Czarnego, prosząc, by je doręczył. Wreszcie Felek przyniósł Zygmuntowi wiadomość, że Czarny decyduje się wyjść i prosi o termin.

— Powiedziałem mu, że jego Ulka czeka, a potem wyje- dzie na zawsze, chwyciło — chwalił się chłopiec. Sczerniał przez te tygodnie, schudł, twarz mu się zrobiła maleńka, czoło pokryły głębokie zmarszczki. Czarny miał wyjść za trzy dni na nowy punkt. Felek zaniósł wiadomość do meliny, ale wrócił w południe z obcym postem i przybiegnąwszy do Zygmunta wykrztusił:

— Czarnego nie ma nigdzie! Ani w melinie, ani w lagrze. Musiał w nocy nawiać.

Zygmunt czuł, że siły go opuszczają. Ta sprawa plątała wszystkie inne, ważniejsze przecież, ustalanie listy reklamowanych z transportu, „nieodzownych w Oświęcimiu" ludzi, budowanie systemu alarmowego grup, przeprowadzenie sześciu następnych ucieczek i

przygotowanie ewentualnej ucieczki kierownictwa organizacji. Ta sprawa, sprawa pojedynczego człowieka, nie pozwalała myśleć spokojnie o reszcie świata. Czarny uciekł, nie będą na niego czekać na punkcie. Czy skorzysta z adresu, jaki mu podał? I czy rzeczywiście uciekł?

Nazajutrz Samek przysłał kartkę. Czarnego znalazło komando z Birkenau tuż przy postenkiecie, leżącego w kępie niziutkich krzaków, już za drutami. Toczył pianę z ust, łypał białkami oczu. Leżał bez zmysłów, wpółprzytomny ze strachu i wyczerpania. Wzięli go między siebie, przerzucili szczęśliwie na „Meksyk", ukryli w baraku. Ponieważ wkrótce wieść o tym dotarła do Samka, pospieszył z pomocą i wepchnął zbiega do kryjówki. Czarny oprzytomniał. \X' gorączce mówił, że pójdzie na Politische, nie wytrzyma dłużej ani dnia. I tak zdechnie, i tak zdechnie. Chciał wyjść na światło, poddać się losowi.

Postawiono solidarnie granicę wspólnoty i zdrady, jeszcze tak niedawno kruchą, ledwo istniejącą. Zygmunt zastanawia! się, czy da się ją utrzymać. 1 rochę był dumny, bo przecież i wysiłki towarzyszy spowodowały, że możliwa była taka postawa współwięźniów. Lada nieostrożny krok jednak, a zadynda na stryczku całe kierownictwo. Czy sam Czarny nie przekroczy tej granicy? Jeżeli zgłosi się na Politische, gestapowcy wszystko zeń w tym stanie wyciągną.

— Ty znasz dobrze Czarnego i Felka — powiedział po apelu Henrykowi. — Felek ma przyjść dziś wieczór po polecenia, a mnie będzie trudno dać je przyjacielowi Czarnego, choć nie widzę nikogo innego, kto mógłby takie polecenie wykonać. Czarny postanowił wyjść z meliny, a co to znaczy, wiesz. Słowem — wybrano ciebie, żebyś obgadał z Felkiem. Ja nie mogę, nie umiem, nie potrafię!

Odpowiedni środek da Jasio.

Henryk zerwał się, ale Zygmunt przytrzymał go.

— Felek ma jutro zajrzeć do meliny. I tylko w tym wypadku, gdyby Czarny obstawał przy swoim planie, rozumiesz?

— Rozumiem, że trzeba ratować wyższe dobro po prostu kosztem mniejszego. Jeżeli od tego zawisła cała sprawa...

Rozmowa z Felkiem nie przyszła Henrykowi łatwo, chłopak zrazu nie pojmował, czego od niego chcą, i trzeba było inaczej przystąpić do rzeczy.

— Czarny wyłazi z meliny. Oceń sam: może przetrzymać badanie w Politische ? — zapytał, a gdy Felek zaprzeczył, powiedział: — Tak, nie wytrzyma. Teraz nie wytrzyma. Więc ześwini się, sypnie, będzie zdrajcą. Twój i mój przyjaciel będzie zdrajcą.

Drobna postać Felka skurczyła się, zmalała. Nie patrzył w oczy Henrykowi.

— I będzie taki jak Galidze, co? — szepnął. — Teraz kapuję.

— Tego właśnie trzeba mu oszczędzić, Felek. Żeby nie musiał być świnią, żebyś się za niego nie wstydził. Jeśli jeszcze jutro obstawać będzie przy swoim, jeśli zechce zameldować się na Politische, dasz mu to. W ciepłej zupie — powiedział Henryk wciskając w mokrą dłoń chłopca pakiecik.

— A nie boli?

— Nie, nie boli.

— No, to ja niby ratuję Czarnego, prawda? Zresztą może go przekabacę jutro i nie będzie potrzeba... Nikt inny nie powinien, tylko ja. Pewno. Tylko ja. Jezus Maria, żeby

mu się odmieniło!

Wyprostował się i odszedł. W Birkenau wziął od Samka bańkę kwaśnej zupy i poszedł z nim na „Meksyk”. Przed barakiem Grecy kopali ziemię i kładli jakieś rury, musiał go więc obejść z tyłu. Zapukał w ścianę i w tej chwili spostrzegł, że deska jest nie zamaskowana. Odsunął ją i wskoczył w smrodliwą ciemność. Czarnego nie było. Puste puszki z konserw, ubranie więźniarskie, rozmokłe i zgnojone, blaszanka, butelki... Czarnego nie było. Felek stracił oddech. Wygramolił się na wierzch, gwizdnął na Samka, wylał zupę w kąt. Przeszukali okolicę baraku. Czarnego nie było. Pomyślał, że pewno poszedł właśnie na Politische, ale w takim razie musiano by go zauważyć. Samek przystąpił do Greków i vor- arbeitera, rozpytywał ostrożnie.

Felek rozglądał się bezradnie po równinie, oczy piekły i łzawiły. Kiedy Samek wziął go za rękę i pociągnął za sobą, krzyknął ni to z bólu, ni to z rozpaczy.

— Cicho, ty wariat. On uciekł. Grecy wczoraj kopali rów, jeden zarył łopatą mocno i zobaczył dziurę, a w dziurze twarz— mówił Samek. — To on się tak wystraszył, że zemdlał. Cale szczęście, że nie narobił wrzawy. Czarny, rozumiesz, musiał wyjść, bo go przypadkiem odkryli. On uciekł, na pewno.

Felek słuchał, ale nie rozumiał. Wydawało mu się, że Samek plecie bzdury, by go pocieszyć, jednak sam fakt, iż nie musiał wykonać zadania, sprawiał ulgę. Pragnął znaleźć się jak najszybciej w obozie macierzystym, powiedzieć Henrykowi: „Czarny żyje”. Gdzie — tego nie wiedział.

Henryk przyjął spokojnie wieść. Nie, Czarnego nie było na Politische. Obserwowano, kto tam wędruje, ale ostatnio

nikt nie zgłaszał się z donosami. Jeżeli nie ma go na „Meksyku” ani w obozie męskim, pewno uciekł.

Po dwu dniach przyszedł meldunek z bazy. Czarny w nocy zapukał do domu, którego adres znał, i poprawnie powiedział hasło.

— Opłaciło się dać adres — rzeki Zygmunt. Henryk patrzył na niego chłodnym wzrokiem.

— A jednak nie można opierać się na takich przesłankach jak dobre serce i współczucie. Mógł sypnąć.

— Czy rzeczywiście jesteś pewny, żeby sypał?...

Rozdział piętnasty

Samoloty nadleciały w południe, kiedy Paul ze swoją grupą naprawiał centralę rozdzielczą komendantury. Zbyt często powtarzały się alarmy i nikt już nie uciszał serca ani nie pocił się z wrażenia na głos syreny, ale tego dnia wyła wyjątkowo długo i przeraźliwie. Paul nacisnął dźwignię, wysoki dźwięk załamał się nagle, przeszedł w żałosne pobekiwanie i urwał się na niskich tonach. Henryk odkręcił płytę i umieścił za nią zgniecioną na płask plastelinkę. Przymierzył przewody. Wystarczyło je podłączyć, by następny ruch dźwigni wysadził w powietrze całe urządzenie. Paul nieomylnymi ruchami fachowca sprawdzał instalację, grzebał w plątaninie kabli. Jeden ruch. Żeby tak można było wyłączyć to wszystko — pomyślał Henryk. Od kiedy pracował razem z Paulem, zajmowała go przede wszystkim dawna myśl zawładnięcia centralnymi urządzeniami obozu: sygnalizacyjnymi, elektrycznymi, komunikacyjnymi. Sam się dziwił, że było to stosunkowo tak proste, jeśli nie liczyć ryzyka, jakie groziło w trakcie prac przygotowawczych, ale tego ryzyka nie bral pod uwagę. Nabrał pewności, że po opanowaniu głównych

punktów wyprowadzenie rzesz więźniar- skich z obozu będzie zadaniem łatwym i że jedyna trudność tkwi poza obozem, w uzyskaniu pomocy z zewnątrz. Tym jednak zagadnieniem zajmowali się inni, Marek, Zygmunt, Rada Wojskowa.

Pracował mimo alarmu korzystając z nieobecności dyżurnego esesmana. Nagły huk wybił szyby, cisnął w twarze ciężkie powietrze. Bomby padały gdzieś blisko na obóz. Henryk spojrzał na Paula. Austriak nie przerywał roboty, jak gdyby bomby na obóz były codziennym zjawiskiem, tylko w zaciśnięciu ust i nabrzmiewających żyłach zaznaczało się napięcie nerwów.

— Zobacz, co się dzieje — mruknął do Henryka.

Przez okno widać było gromadkę kobiet biegnących do schronu. Henryk poznał Badaczki Pisma po fioletowych trójkątach i szczególnie schludnym wyglądzie. Za nimi pędziło do obozu jakieś komando. Przypominał sobie, które wedle regulaminu mają wracać za druty w czasie alarmu, a które pozostawać na .miejscu pracy. Opustoszały wieże strażnicze, dwóch esesmanów kłusowało z pochylonymi głowami, ktoś krzyczał: „Fliegeralarm !”*, chociaż głuchy huk bomb słychać było na całej równinie. Kolejny wybuch rzucił kobiety o ziemię.

Suchy trzask szarpnął gałęziami. Paul wołał, by wszyscy biegli za nim do rannych. Obóz wydawał się pusty, na dro- gach stały porzucone wozy i biedki, kotły furierów dymiły zapachem zupy, terkotał nie zgaszony motor auta. Paul doskoczył do samochodu, uciszył go i pobiegł dalej. Badaczki Pisma wypełzły ze schronu i ciężkim babskim truchtem podążyły za Austriakiem.

Przystanęli na widok zburzonych warsztatów i leżącego

w poprzek drogi rannego esesmana, który jęcząc wygrażał pięścią niebu. Z budynku buchał krzyk i rzężenie rannych więźniów. Paul uklęknął przy rannym esesmanie, scyzorykiem rozpruł mu spodnie, zacisnął skrwawione udo paskiem. Szybkimi ruchami ukrył jego automat pod bluzą i zawołał Badaczki Pisma na pomoc. Kobiety zrobiły z rąk „stołeczek", trzeba było dźwignąć rannego i posadzić. Paul spojrzał na Henryka, ale ten energicznie potrząsnął głową. Ani myślał pomagać esesmanowi. Niech zdycha. Stał nad bajorkiem - ■
krwi i śmiał się w duchu. Niech walą bomby, niech giną nawet więźniowie, byle esesmani wiedzieli, że idzie, że zbliża się nieubłagana zemsta, jeszcze bardziej krwawa niż ich dzieło. Jakże śmiesznym wydawał się ten ranny, grożący niebu, na którym wysoko błyszczały maszyny alianckie!

Alarm jeszcze trwał, ale więźniowie wynosili już pierwsze ofiary bombardowania. Na trawniku składali rannych i zabitych, zmiażdżone zwłoki i poszarpane ciała w pasiakach, cywilnych ubraniach, mundurach.

Kobiety, oznaczone fioletowymi trójkątami, udzielały pierwszej pomocy. Pouklękały wśród rannych i poczęły głośno zawodzić. Śpiew sekciarek nie dziwił Henryka, znał przecież Fioletowego z Rajska, wiedział, z jakim fanatyzmem wyznawał swoją wiarę, jak bardzo pragnął za nią zginąć i dla niej cierpieć. Głupie krowy — pomyślał patrząc na zgięte postacie w wykrochmalonych białych fartuchach. Nie chciało mu się nic robić. Zadarł głowę i obserwował spadające na ziemię pasemka błysków. Nadbiegły ekipy ze szpitala więź- niarskiego, sanitariusze, lekarze, pisarze nawet, a wśród nich Jaś, doktor Szubert,

Goryl i Zygmunt. Goryl pokazywał ręką na zwalisko, nawisy muru, wszedł do wnętrza. Pochód z pierwszymi rannymi opuszczał plac, nadbiegł oddział SS w hełmach i otoczył wieńcem zabudowania.

Henryk podszedł ku zwalisku i w tej chwili pękły ostatnie wiązania, zsunęły się belki i nawisły strop runął w dół. Szurgot
i jakby podziemny huk wydarł okrzyk z ust widzów. Tam byli ludzie! Kobiecy głos wołał pomocy. Krawcy i szewcy z warsztatów zbiegli się i wymieniali nazwiska zasypanych. Henryk usłyszał: „Łokietek". Przesunął dłonią po czole i uważnie przypatrzył się rumowisku. Spokojnym głosem jął wydawać komendy. Krawcy zdjęli czapę nawisu i resztę stropu, ostrożnie — cegła po cegle — zdejmując ciężar. Poranionymi do krwi paluchami wydrapywali druty i ogromne drzazgi drewna, odciągali na bok zmiażdżone deski.

— Zostaw tego rannego, to esesman! — krzyknął widząc, że Jaś mocuje się z tułowiem obleczonym w sinozieloną barwę. — Zostaw!
Nadbiegły znowu ekipy sanitariuszy, Szubert rozkładał niklowy sterylizator, odpiłowywał czubki ampułek. Odsło
¡KfllaHd
nięto już wejście do zasypiska, w połach marynarek wynoszono gruz.

Na dnie jamy leżały zgniecione zwłoki Goryla. Przykrywały i ochraniały nosze, na których spoczywał więzień i esesman.

— Łokietek! — krzyknął Henryk. — Łokietek!

Obaj ranni żyli jeszcze, oddychali, gdy wywleczono ich na trawnik i dano zastrzyk. Jasio chciał próbować sztuczne

oddychanie, ale Łokietek miał urwane ramię.

Wywlekano następne ciała, umazane krwią i ceglanym pyłem, poprzebijane żelastwem i drewnem, połamane i martwe. W bramie esesmani nie chcieli wpuścić rannych kobiet, krzyczeli jeden przez drugiego, miotali się od wartowni do komendantury, strażnik na wieży groził karabinem maszynowym, aż ranny rottenfuhrer uniósł się na noszach i berlińskim dialektem, klnąc i podnosząc głos, zawołał, by wszystkich wpuszczono do obozu.

— Więźniowie nas ratowali, zrozumiano? Wpuszczać, bo będę strzelał! Napiszę do samego reichsfiihrera. Wpuszczać!

Jesienne pogody przyszły nad równinę, rudziały drzewa, matowiały listki topól, którymi wysadzono drogi obozowe. W oknach Chirurgii pojawiły się gliniane doniczki z fiołkami alpejskimi, dar kierownika obozu dla ofiar nalotu. Ranni dostali prócz tego po kawałku czekolady z paczek, jakie przyszły dla Francuzów, i po kilka papierosów. Dary te, jak oznaki pojednania, szanowane, nie tknięte przez nikogo, wydawały się znamionować rzeczywiście nową erę. Esesmani rozpowiadali, jak to ich ratowali więźniowie, zawierały się nowe znajomości między ludźmi w pasiakach i ludźmi w mundurach. Łokietek głosił wszem wobec, że pójdzie do domu, na pewno pójdzie. Po co by trzymali go teraz, kalekiego człowieka o jednym ramieniu? Ranni Żydzi podlewali fiołki, a kiedy delikatne łodyżki łamał wiatr, strugali ze szczap, odłupywanych od łóżek, białe patyczki i podpierali różowe kwiaty.

W tym czasie Samek Rubin przysłał kartkę z Birkenau: „Hoess rozmawiał z komendantem krematoriów i pytał, jakich potrza środków, by zatrzeć wszystkie ślady wraz z

ludźmi. Szef kremo radził samoloty. Bombardowanie nocne.
Niby że alianci. A potem wyrównać teren, splantować. Pewna wiadomość. Pono była odprawa na ten temat w komendanturze. Co z Sonder?”

Kartkę przyniesiono po apelu i jeszcze tego wieczora cywil-łącznik zawiózł wiadomość Bolkowi. Zygmunt nie wątpił, że SS jest zdolne przeprowadzić podobny plan, mimo wszelkich ostrzeżeń, jakich ostatnio nie szczędziły alianckie rozgłośnie, obficie korzystające z komunikatów obozowych. Brakowało Wiktora, nie miał kto sprawdzić wiadomości u wyższych dowódców SS, jednak nawet trzeźwy zazwyczaj Adam wierzył, że jest prawdziwa, nie łudziły go bowiem dary komendanta, fiołki alpejskie i czekolada. Cóż można było przeciwstawić planowi szefa krematoriów i Hoessa? Kmicic dawał nadal wymijające odpowiedzi na proste pytania, czy wolno liczyć na pomoc z zewnątrz, na desant, na odbicie obozu, na obronę wreszcie przed zagładą. Bolek odbył konferencję z dowódcami na Śląsku, uzgadniał już sygnały alarmowe na wypadek, gdyby SS zechciało wymordować wszystkich więźniów, błagał o znikomą przecież pomoc:
o parę skrzynek granatów, świec dymnych, o trochę rewolwerów. O ostrzelanie obozu w dniu wielkiej próby, o oznaczenie tras.

Po dwóch dniach Zygmunt uspokoił się nieco: przyszła wiadomość, że Londyn nadal dokładny opis planu szefa krematoriów i listę esesmanów, których „wolny świat” czynił odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo więźniów Oświęcimia.

Henryk bywał teraz często u Zygmunta, o ile tylko po-

zwalała na to gonitwa za jedzeniem lub zatrudnienia wyszukiwane przez Paula. Nareszcie mógł zetrzeć się z nim w sprawach nie obozu, lecz przyszłości. W obozie prawo decyzji, prawo rozkazu miał Zygmunt, ale po wojnie? Po wojnie okaże się jeszcze, kto ma rację.

Po każdej rozmowie odwiedzał Łokietka i gasił jego wiarę w wyjście z obozu, w zwolnienie. Wiedział, jaki los spotyka inwalidów i kaleki, mniemał, że nie ominie on i Łokietka. Wyliczał ostatnie transporty do gazu, napływały przecież bez ustanku, wyśmiewał alpejskie fiołki komendanta i nadzieje ocalonych spod bomb.

— Ty byś się cieszył, gdyby się spełniły twoje przewidywania, tak mi się zdaje, Henryk. Gdyby ów los, o jakim mówisz, był materialną siłą, niebezpiecznie byłoby mu z tobą zadrzeć — orzekł Zygmunt.

Kiedy to mówił, przed blokiem zatrzymało się auto, kilku esesmanów w mundurach Służby Bezpieczeństwa wywlokło krępego cywila, z sali operacyjnej wybiegli sanitariusze z noszami.

— Przestraszyłeś się — powiedział Henryk patrząc Zygmuntowi w oczy. — Cóż, cywila przywieźli. Ranny.

Niejednokrotnie przywożono cywilów na Chirurgię, postrzelonych partyzantów, członków ruchu oporu na Śląsku, przemytników czy nielegalnych handlarzy, ale zawsze wpierw lokowano ich na Jedenastce i nigdy nie towarzyszyło im tylu esesmanów. Ci nie byli z obozu. Zygmunt zbiegł na parter.

Straż przed salą operacyjną stała bez ruchu, mocna woń eteru wypełzła zza drzwi na korytarz. Zygmunt spostrzegł motocykl lagerarzta i rower kogoś z Oddziału Politycznego. Po godzinie sanitariusze, pilnowani przez

gestapowców, wywieźli na wózku śpiącego jeszcze w narkozie cywila i złożyli go w izbie przeznaczonej dla chorych Niemców. Zygmunt wziął tabelę stanu i pewnym krokiem wszedł. Przy łóżku cywila siedział gestapowiec i czytał „Völkischer Beobachter", na karcie gorączkowej wykaligrafował ktoś nazwisko Kozioł. Ranny mamrotał nieprzytomnie, a Zygmunt nasłuchując czekał, czy nie powie czego, co zdradzi, kim jest. Wiedział, że w narkozie chorzy bredzą i wyjawiają często najtajniejsze sprawy. Wiele razy czuwał u łoża przywożonych z sali operacyjnej towarzyszy, pilnował ich tajemnic, tłumił szept, obserwował bacznie ruchy warg.

Cywil wyrzucał z siebie nazwy komand, skróty używane w obozie. Jestem przewrażliwiony. Zwykły cywilny robotnik — pomyślał, ale fakt, że pilnowano rannego tak czujnie, nie dawał mu spokoju. Nie mógł dłużej pozostawać w izbie, gestapowiec wstał bowiem i zaglądał mu przez ramię na tabelę. Sztubowy Polak grał w karty z kapo, ale bacznie obserwował blokowego pisarza i gestapowca. Przyszedł na górę po gongu i zaprowadziwszy Zygmunta w najodleglejszy
kąt wielkiej sali powiedział, że cywil chce coś wyznać. Wymawia coraz nowe słowa obozowe, jakby chciał dać znać
0 sobie komuś z lagrowców. Jest już przytomny, ma dwie rany uda, ale lekarz SS dał mu jakiś specjalny zastrzyk, chirurg opatrzył ranę, słowem |— można ,z nim gadać. Zygmunt poprosił więc, aby notował wszystko, co mówi chory, i czekał na wynik nie alarmując jeszcze nikogo. Dziwna rzecz, przeczucie podszeptywało mu coraz wyraźniej, że ranny cywil przynosi nieszczęście, i chociaż

żadnych wyraźnych oznak nie było, przeczucie zapowiadało nową katastrofę. Wprawdzie od sierpniowego transportu, który wyrwał z obozu
1 z organizacji wielu towarzyszy, a nawet Wiktora, górą była „Kampfgruppe Auschwitz", tym niemniej sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, ostatni etap wyścigu pomiędzy zagładą a wyzwoleniem mógł przynieść wielkie niespodzianki. Decyzje w tym okresie były niezmiernie trudne dla Zygmunta. Lękał się ich. Wierzył w rychły koniec wojny i żal mu było każdego człowieka, jaki mógłby zginąć przed wyzwoleniem, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że SS musi mieć w zanadrzu jakiś plan zniszczenia obozu. Ranny cywil na pewno odegra w tych rachubach ważną rolę. Jaką, tego jeszcze nie wiedział wprawdzie, jednak przypuszczał, że tragiczną.

Późną nocą sztubowy sanitariusz przyszedł z kartką i odczytał urywane słowa, okruchy zdań, skrzętnie pozbierane i zapisane. Wśród nich był pseudonim Marka — Tur. No tak, cywil chciał się widzieć z Markiem, ale wizyta obcego więźnia w izbie niemieckich chorych była zbyt ryzykowna. Zygmunt przypuszczał już, że nieznajomym jest właśnie Kmicic, ów upragniony zwiastun wiadomości, które rozstrzygnąć miały w rzeczywistości — prawie wszystko. Zmiął karteczkę, schował do kieszeni. Tam na dole leży specjalny wysłannik wojska konspiracyjnego. Wie mnóstwo, zna cały plan, wszystkie odcinki roboty wojskowej. Jeżeli złapali przy nim ostatnie raporty i szkice — przygotowania wezmą w łeb. Gestapu łatwo będzie rozszyfrować nadawców tych pism, ponieważ wiadomości w nich zawarte zdobyć mogli tylko niektórzy więźniowie. Musiał powtórzyć sobie stwierdzenie, że Kmicic wpadł,

aby zmusić się do działania. Ogarnął go bowiem bezwład i przygnębienie. Czyżby pod koniec obozu zwyciężyć miało jednak gestapo, Oddział Polityczny? A może Kmicic wpadł przypadkowo i ślepy traf niszczy teraz wielkie nadzieje walki? Niejednokrotnie przypadek brał przecież górę nad wszelkimi wyrozumowanymi planami i zamierzeniami, nieraz mieszał się w rachubę zagłady i ocalenia, ale na ogół raczej był sojusznikiem niż wrogiem. Zastanawiał się, co robić. Najchętniej po prostu położyłby się spać i pozostawił wszystko losowi, apada zrodziła się nagle, ale trzymała mózg na uwięzi. Ziewając powiedział sanitariuszowi, by zapytał cywila, czy jest Kmicicem, co przy nim znaleziono i w jakich okolicznościach wpadł w ręce gestapo.

Leniwie powlókł się do Marka, obudził go i oznajmił nowinę. Marek był przyzwyczajony do podobnych niespodzianek, ostatecznie — wszyscy liczyli się ze stryczkiem i czamą ścianką, wkalkulowali je w swój życiorys obozowy, teraz jednak nie chodziło tylko o nich. Od tego, co powie Kmicic, zależała przyszłość roboty wojskowej, nadzieja i wiara. Marek pragnął, by delegat powiedział „tak", by oświadczył, iż pomoc nadejdzie, by nadał sens więźniarskim przygotowaniom, by dal argument przeciw zarzutom Adama i towarzyszy, którzy pytali nie o sumienie świata, ale o rozum Polaków z Ruchu Oporu.

Zygmunt przegadał z Markiem kilka kwadransów, ale nie mogli powziąć żadnej sensownej decyzji. Uciekali się do marzeń, kiedy zabrakło konkretnych danych, wiedzieli jednak, że za parę godzin Kmicic stanie przed gestapowcami.

— Wymyśl co — powiedział Marek. — Ja

przygotuję zawiadomienie dla naszych, żeby uważali w terenie i wypchali w góry ostatnią partię uciekinierów. Musimy mieć teraz bezpośrednie adresy. Na wszelki wypadek, bo bazy mogą być nakryte.

Jeszcze tej nocy Zygmunt dowiedział się od sanitariusza dalszych szczegółów. Kmicic, bo on był owym rannym cywilem, wpadł na patrol, kiedy zmierzał z meldunkami Rady Wojskowej na punkt. Dwie fotokopie, zawierające dokładne dane co do sił SS, i schemat planu uderzenia miał przy sobie. Nazywał się Janicki, .VIieczysław Janicki. Był skoczkiem spadochronowym, władał świetnie angielskim. Zygmunt sta
rał się wczuć w jego położenie, na chwilę wyobrazić sobie, że jest Kmicicem. Po pierwsze — nie mógłby zdradzić baz, nie mógłby powiedzieć, gdzie mieszkał, u kogo się ukrywał, po drugie — musiałby być silny, żeby sprostać przesłuchi- waniom gestapowskim, po trzecie — musiałby przekazać wszystko, co jest do przekazania, Radzie Wojskowej.

Sanitariusz czekał na dyspozycje. A więc Kmicic musi powiedzieć gestapowcom, że pod obozem znalazł się dopiero w dniu aresztowania. Jest skoczkiem, niech więc powie, że zrzucono go niedawno, gdzieś pod Warszawą, w Puszczy Kampinoskiej choćby, polecono jechać do Oświęcimia, gdzie, już na miejscu, otrzymać miał instrukcje, i właśnie kiedy szedł na spotkanie, aresztowano go. Niemcy przyznali prawa kombatanckie żołnierzom powstania w Warszawie, tym bardziej szanować będą żołnierza alianckiego, angielskiego. Jeżeli Janicki zna dobrze język angielski i Anglię, niech się poda za obywatela angielskiego!

Sanitariusz zrozumiał. Obiecał nauczyć Kmicica tych zeznań, o ile pozwoli na to dyżur gestapowca.

— Daj jaki lekki środek nasenny — zaproponował. — Wleję do herbaty. Zaraz, kiedy zrzucono Janickiego, powiadasz? Jakże się tu dostał? Czym, kiedy? Trzeba dokładnie obmyślić. Koleją, to trzeba znać rozkład jazdy.

Zygmunt zaklął, nie brał pod uwagę takich trudności, któż jednak mógł wiedzieć, jak teraz kursują pociągi między Warszawą a Oświęcimiem? I czy w ogóle kursują? Obudził kilku chorych Polaków sądząc, że będą znali te szczegóły, jednak nikt z nich nie orientował się w rozkładach jazdy. Patrzyli nań jak na wariata, przeklinali, pijani snem. Nie, nic z tego. Kmicic musiał przyjechać samochodem, łatwiej będzie się dowiedzieć o trasę i czas jazdy. Zygmunt znów zaczął nocną wędrówkę po salach, budził znajomych, pytał w kancelarii, wreszcie któryś z nowych więźniów, szofer, podał potrzebne szczegóły.

Kmicic uczył się zeznań w czasie pauz, jakie powodowały wyjścia esesmana, nie było bowiem żadnego środka nasennego pod ręką. Przed świtem, kiedy jesienna mgła wtargnęła do bloku, doktor Jasio wyjawił część tajemnicy chirurgom prosząc o jak najlepszą opiekę nad rannym. Nie
można było zachować tajemnicy, jeśli się chciało ratować delegata. Zaraz po wymarszu komand przybyła na Chirurgię komisja śledcza gestapo i kazała przenieść cywila do pokoju lagerarzta.

W sali operacyjnej, która przylegała do tego pokoju, dwóch chirurgów sennie gaworzyło unikając tematu Kmicica. Udawali, że nie widzą, jak Zygmunt, ubrany w biały kitel lekarski, przykłada do ściany aluminiowy gamek

i tuli do niego policzek. Wyszli jednak, kiedy dał im znak, by byli cicho. Przez cienką ściankę słychać było wyraźny głos cywila. Przyznawał się, że ma fałszywe nazwisko, wymieniał prawdziwe.

— Jestem oficerem angielskich sił zbrojnych, obywatelem angielskim, skoczkiem spadochronowym — mówił. — Wyleciałem z Anglii dnia...

Dno garnka parzyło policzek. Za ścianką zapadła cisza, w garnku szumiało jak w muszli. Teraz krzyknie — pomyślał. Nie krzyknął jednak. Zbici z tropu gestapowcy kazali mu powtórzyć oświadczenie i znowu umilkli, a kiedy wznowili badanie, pytania ich dotyczyły... Anglii.

— Zadaniem pana, panie poruczniku, było zorganizowanie pomocy dla więźniów Oświęcimia. Jak ona miała wyglądać i kto ją miał zapewnić?

— O tym dowiedziałbym się, gdyby nie aresztowanie.

— Pańscy przełożeni, polscy dowódcy, nie mówili panu, w jaki sposób winien pan porozumieć się z więźniami, z kim mianowicie i jak? Nie mówiono panu tego ani w Londynie, ani po zrzucie w Polsce?

— Dostałem ogólną instrukcję w Anglii. W Londynie zapoznałem się z całym ogromnym materiałem dotyczącym obozu — mówił Janicki cytując, ku przerażeniu Zygmunta, dokładne dane, których przecież żaden „Londyn” nie mógł mieć, dane z raportów Rady Wojskowej. Chełpi się! Kmicic! Niech przestanie, na miły Bóg, niech przestanie! Gestapowiec jął rozpytywać o nastroje w Londynie i w Anglii,
o szkody spowodowane nalotami niemieckimi, o wygląd stolicy.

— Na dziś dosyć, panie poruczniku. Jest pan wyczerpany — zakończył.

Zygmunt odskoczył od ściany i wybiegł z sali. Dziecinna radość wypełniła mu serce. Udało się, na razie się udało! Razem z Markiem i Jasiem postanowili przesłać za druty meldunek o Janickim z prośbą, by nadano na Londyn. Niech Międzynarodowy Czerwony Krzyż natychmiast rozpocznie nadawanie poszukiwania Mieczysława Janickiego, porucznika angielskiego, który zaginął w Polsce, to potwierdzi zeznania Kmicica, ocali go. Chciało mu się płakać i śmiać, krzyczeć, ale Marek trzeźwo osądzał sytuację. Oddział Polityczny niechybnie ruszy do nowego ataku, mając takie dokumenty w ręce, i szukać będzie śladów w obozie.

Oddział Polityczny wezwał wszystkich więźniów o nazwisku Tur lub podobnym i przesłuchiwał ich badając, czy któryś z nich mógł sporządzić raport znaleziony przy Kmicicu, ale żaden nie miał najmniejszego nawet wyobrażenia 0 sprawach wojskowych. Tłumaczki przysłały Adamowi wykaz badanych; byli to ludzie starzy, Polacy i Żydzi, Niemcy
1 Holendrzy, pracujący w komandach, które nie miały nic wspólnego ze szczegółami wojskowymi, podanymi w raporcie Rady Wojskowej. Marek sądził, że Politische przejdzie teraz do ślepych aresztowań represyjnych, jednak mijały dni i nie wydarzyło się nic groźnego. Gestapo jakby zapomniało o Janickim— Kmicicu, nawet go już nie pilnowano, toteż Zygmunt miał możność wybadania go w czasie opatrunków na sali operacyjnej. Czynił to bez zachowania ostrożności, gdyż chirurdzy nie godzili się na pozostawianie go samego z rannym. Czasem przychodził

Walach z Rady Wojskowej, raz zjawił się Marek, chociaż Zygmunt ostrzegał, by się nie de- konspirował przed Kmicicem.

Wiadomości były ponure, delegat nie dawał żadnych nadziei. Po powstaniu warszawskim nie mogło być mowy o wybuchu ogólnej walki zbrojnej na Śląsku, a więc upadały wszelkie plany, opierające się na założeniu, że ich realizacja doprowadzi do powstania w tym rejonie. SS miało plany uderzenia i mogło je w każdej chwili udaremnić. Pozostawały jedynie dwie możliwości: albo SS wywiezie wszystkich więźniów z obozu przed zbliżeniem się frontu, albo ich zgładzi. W pierwszym wypadku trzeba było dążyć do organizowania masowych ucieczek z obozu i z transportów, w drugim —
przygotować się do obrony i prosić oddziały partyzanckie w terenie o pomoc.

— A desant? Desantu SS nie jest w stanie przewidzieć ani mu zapobiec — powiedział w czasie jednej z rozmów Zygmunt. — Mieliśmy coś w rodzaju próby: bombardowanie. To wielka szansa dla nas.

Ranny trzepotał gniewnie rękami. Żadnych złudzeń, żadnych! Alarmować aliantów, grozić represjami, wyznaczyć imiennie zakładników, oto co pozostaje więźniom.

Ogłoszony przez Londyn „plan Mohla” — zbombardowania przez niemieckie samoloty obozu — pismo organizacji z Buny, wysłane ze Śląska do kierownictwa IG Farben, uświadamiające mu odpowiedzialność za bezpieczeństwo więźniów, lista katów SS, opublikowana przez aliantów, wszystko to zapewne miało jakiś wpływ na decyzje władz obozowych, ale Zygmunt przeczuwał najgorsze.

— My jesteśmy gotowi, tylko dajcie rozkaz — powiedział mu Paul na zebraniu komórki technicznej. — Sonder czeka.

Ta chwila musiała nadejść, choć ją Zygmunt odsuwał w myślach. Sonder czeka. Przecież obiecali sonderowcom wspólną, ogólną akcję! Przecież nie pozwolili na działanie odrębne, łudzili powstańczym zrywem! Sonder czeka! Zmatowiały ciemne oczy schreibera, smutek był w jego słowach, gdy mówił:

— Sytuacja, Paul, zmieniła się radykalnie. Jesteśmy sami, my więźniowie. Nie będziemy się bić za wszelką cenę.

— Tylko za jaką? Co znowu za historie? Ja chcę się bić!

— Za jaką cenę? Będziemy bronić tylko życia.

— Mieliśmy inne cele, mieliśmy pomóc żołnierzom na froncie, mieliśmy... — Paul wpatrywał się w twarz Zygmunta i od tego wzroku zapalała się krew. Milczeli chwilę obaj, potem spojrzeli na Henryka. Henryk wiedział, czego chcą: oto jest nowa decyzja i on ją musi zakomunikować sonderowcom.

— Cóż, ciężka byłaby decyzja podjęcia walki, nie? A tak przynajmniej będziemy spokojniejsi — powiedział Zygmunt. — Bronić się będzie tylko bezpośrednio zagrożony. Innej rady nie ma...

W dniu, kiedy gestapo przyjechało po Kmicica i zawiozło
go do komendantury na następne przesłuchanie, Marek i Zygmunt napisali listy do rodzin, do swych najbliższych, zniszczyli wszystkie dokumenty, jakie przechowywali na blokach, i czekali spokojnie wyniku. Zygmunt wprawdzie

wierzył, że. Kmicic nie zdradzi, wierzył w siłę człowieka, ale wolał przygotować się na najgorsze. W tych godzinach uprzytomnił sobie, że właściwie wieści, jakie usłyszał od niego, sprawiły mu ulgę. Był zmęczony konspiracyjną robotą, wyczerpany ostatnimi przejściami, a zwłaszcza ucieczką Czarnego i aresztowaniem Kmicica. Marek konferował z Adamem, przemyśliwał, jak zorganizować zbiorową ucieczkę kierownictwa. Z ulgą powitali zjawienie się Paula i Henryka.

— Załatwiłem ucieczkę samochodem ciężarowym, obrobiłem już szofera-volksdeutscha—powiedział Paul. — Przyszedłem po polecenia. Kto, kiedy?

Henryk nagle zrozumiał, że to właśnie oni pragną uciec. Nie mieściło mu się to w głowie, nadzieja, świecąca w oczach towarzyszy, przeraziła go. Zaśmiał się szyderczo.

— Panowie chcą do domu? — spytał. — A lager? A Son- der?

— Nie gadaj głupstw. Nie do domu, ale trzeba być tam, na wolności. Tu już nic po nas — odparł Marek.

— Sumienie świata, tudzież Londyn — zawiedli, co ?

— A Sowieci?

Marek zgniód papierosa. Wymknęło mu się to słowo, ugodziło celnie Henryka. Tak, nikt nie da pomocy, ale Sowieci wzięli na siebie cały ciężar wojny, dlaczego Marek przyrównuje ich do Anglików czy Amerykanów? Niech sobie nie strzępi języka. Surowo, bezlitośnie szydził teraz z wielkich nadziei, jakie Marek przywiązywał do „wolnego świata", nie szczędził go, chłostał wspomnieniem przemówień na zebraniach konspiracyjnych.

— Papier, wszystko papier — mówił. — Ruszcie

teraz konceptem! Matula ma zawiadomić Sonder, że jest samiutki, opuszczony przez wszystkich. Matula ma powiedzieć: oszukali was, chłopcy. Dobrze. A wy sobie chcecie nawiać. Dobrze. Nawiewajcie. Spotkamy się przecież pt> obozie, prawda?

Wyszedł strzelając drzwiami. Ulicą obozową jechało wolno
auto esesmańskie, a w nim gestapowcy z cywilem. Zatrzymali się przed Chirurgią i wyładowali jeńca. Henryk zawrócił.

— Chcę wiedzieć, co to za historia z tym cywilem — powiedział i Zygmunt wytłumaczył mu klęskę.

— Pożegnaj się z nami. Możemy się jednak nie zobaczyć — powiedział. — Mam coś dla ciebie. Napisałem toto i proszę, byś przechował.

Podał mu gruby notes zapisany drobnym pismem, uścisnął dłoń. Henryk czekał na coś, sam nie wiedział, na co. Nie chciał odejść. Marek rozmawiał z Paulem rozważając szanse ucieczki, Zygmunt podszedł do okna i patrzył w pustą ulicę. Przed Chirurgię zajechała ciężarówka. Takim autem uciec! Wsiąść w lagrze. Bolek odebrałby w oznaczonym miejscu. Może wszystko przygotować. Dałoby się zorganizować jednego dnia z dwie tury, może nawet trzy. Zaterkotał motocykl lagerarzta i Zygmunt powlókł się na swój blok. Na korytarzu stał gestapowiec, pilnował wejścia do izby Kmicica. Krzyk sztubowego wciągnął Zygmunta na piętro.

Pomiędzy łóżkami zbierali się ranni w nalocie bombowym, sanitariusze zwlekali kalekie ciała z łóżek, słuchali numerów, wyczytywanych z listy przez lagerarzta. Łokietek podszedł z doniczką w ręce. Różowofioletowy

fiołek był jeszcze mokry, właśnie go podlewał, gdy wszedł lagerarzt. Zygmunt początkowo nie zorientował się, co zamierza esesman, ale gdy wyciągnął ze skrzyneczki czerwone karty blokowe, pojął, że wybiera ofiary nalotu. Ogromne znużenie hamowało obieg knvi i bicie serca. Gdyby teraz wyczytano jego numer, poszedłby bez oporu, obojętnie. Podał karty lekarzowi-eses- manowi, powiódł wzrokiem po wybranych. Rozumieli, dokąd idą, ale stali spokojnie. Młody Żyd bez nogi jadł szybko porcję chleba, nie chciał jej nikomu zostawiać, Łokietek tulił do piersi doniczkę z fiołkiem alpejskim. Uśmiechał się głupkowato. Ciężarówka przed Chirurgią huczała zapuszczonym motorem. Może zawiadomić Henryka? To przyjaciele — pomyślał Zygmunt, ale pflegerzy już znosili pierwszych wybrańców do auta. Łokietek szedł sam, nie wypuszczał z ręki kwiatu, nie odwracał się, nie spojrzał ani razu do tyłu. Spokój. Mam się dowiedzieć, co zeznał Kmicic. Spokój — nakazywał sobie Zygmunt.

Dopiero w nocy sanitariusz sztubowy przyniósł wiadomość, że Kmicic trzymał się ustalonej linii zeznań, ale gestapo nie wierzy, jakoby przybył pod obóz w dniu aresztowania, wie, iż mieszkał jakiś czas w okolicy, aresztowano jego łączniczkę. Ula, Ula aresztowana! — pomyślał, zdjęty zgrozą. — Biedny Czarny! I po co było wysilać się na obliczenia trasy z Warszawy do Oświęcimia? Gestapo miało więc w ręce wyraźny ślad prowadzący do obozu, ale było przekonane, że Kmicic jest rzeczywiście oficerem angielskim. Czyżby Międzynarodowy Czerwony Krzyż nadał już jego nazwisko w audycji poszukiwawczej? Poczta z bazy przyszła naza-jutrz i potwierdziła przypuszczenie. Towarzysze nakłaniali

do ucieczki, Bolek był gotów i na wszelki wypadek zorganizował punkt na drodze ze stałym dyżurem.

Tego wieczoru Henryka Matulę wywołano z bloku. Poznał Lejzora Potockiego z Sonder.

— Sza, my tu są. Dwie setki. Spisują nas jako zugang. Snaczała to my się bali, że gaz, ale do Entwesungskammer mamy pójść do odwszenia i zostać w hauptlagrze. Dobrze, co? Nasi w Birkenau prosili, żeby dać znać, co jest. Co ma być i kiedy?

Wiadomość była niezwykła: Sonder w Auschwitzu? Jako zugang? Henryk zagryzł wargę, wydawało mu się, że fakt ten potwierdza tezy tych, którzy oświadczali, że SS nie będzie miało ani siły, ani odwagi likwidować więźniów. Wybranie dwustu sonderowców i wysłanie ich nie na zagładę, lecz do obozu macierzystego, do pracy, burzyło rachuby walki i zemsty, dawało przewagę tezom Zygmunta. A więc on miał słuszność i kierownictwo? Henryk czuł się upokorzony. Wymądrzałem się, cholera, zamiast słuchać, i masz!

Kroczył obok Lejzora ku kolumnie sonderowców. Potocki szedł wolniutko, nigdzie się dziś nie spieszył. Świat zaczął się teraz od nowa. Koniec roboty, koniec okropnej roboty! Żydzi gawędzili ze schreiberami, dawali poznać, że nie są niczym gorszym od nich. Trzymali się godnie, żartowali.

— Może to i lepiej — powiedział Henryk. — Wiesz, zaszły pewne zmiany i nie moglibyśmy dać wam pomocy w razie czego. Obeszło się, co?

Wtem przypomniał sobie zagładę Cyganów. Nie, to nie możliwe! SS czuje jednak nóż na karku! — myślał przywołując na pamięć wszelkie argumenty Zygmunta. — Oni w kierownictwie lepiej wiedzą, po co się trapić.

Przywitał znajomków, wziął od nich trochę konserw i uspokojony wrócił na blok. Przed gongiem nocnym przybiegł do Paula młody Francuz, pracujący w odwszalni w głównym obozie.

— Sonder u nas zagazowali! — krzyknął. — Nikt się nie spodziewał. Do kąpieli przyszli, a esesmani zamknęli ich i wrzucili gaz! Strasznie krzyczeli, walili w drzwi, ale gazu było bardzo dużo i zaraz się uspokoili.

Paul ubrał się, polecił Henrykowi zawiadomić polskich towarzyszy. Jeżeli zastosowano taki podstęp wobec części Sonder, na pewno jutro wezmą resztę z Birkenau. Jeżeli spróbowali w tajemnicy zmienić miejsce zagłady, mogą wymyślić coś podobnego i w stosunku do reszty więźniów. Sonder musi jutro wystąpić — pomyślał Henryk. Pamiętał doskonale dawny swój plan, ale teraz Sonder było samotne i plan trzeba było zmienić.

— Zakaz rozciągania akcji Sonder na Birkenau, na cały obóz pozostaje w mocy — powiedział Zygmunt. — Chcę tam jutro być. Niech mnie Paul weźmie. A, prawda, słuchaj: Łokietka wziął lagerarzt do gazu razem z rannymi z nalotu.

— Łokietek! — Henryk krzyknął, ale natychmiast się uspokoił.— Nic nie wiedziałem. Kiedy? Wtedy, gdy przyjechała ciężarówka pod Chirurgię?

Rozległ się gong i trzeba było wracać na blok. Szedł szybkim, energicznym krokiem, pogrążony w myślach. Zygmunt pożegnał się był z nim, liczył się z wsypą, ale jakoś się nic nie dzieje. Jutro chce pójść z Paulem. Dobrze, niech idzie.

Nazajutrz była sobota, pogodna i ciepła. Paul, Henryk i Zygmunt wlekli się wolno wzdłuż obozu kobiet, tuż za

wielką ciężarówką, która wiozła zwłoki wymordowanych sonderowców do drugiego krematorium. Brezent zasłaniał je szczelnie, ale zdradzał znamienny, słodkawy odór, woń grudek nasyconych cyjanowodorem. Ciężarówka skręciła w lewo za budynkiem na placu okolonym topolami. Z komina Dwójki unosił się lekki dymek, snadź podtrzymywano tam ogień w oczekiwaniu transportu. Tor jednak był pusty, sohderowcy polewali plac za topolami, usuwali ślady nocnej roboty.

Paul ciągnął na sam koniec obozu, do nowej sauny za polami krematoriów. Magazyny „Kanady" oddzielały je od siebie, sauna zaś, położona nad barakami składów, stanowiła najdogodniejszy dla Paula punkt. Stąd było blisko do drutów i do łąk Brzezinki, i do Wisły, a czwarte kremo, gdzie mieścił się sztab sonderowców, stało opodal. Wysłał dwóch współpracowników do obozu męskiego po Samka Rubina z wiadomością o Sonder, sam postanowił czekać w saunie.

Jeszcze żyją — pomyślał Henryk na widok spokojnie sprzątających teren sonderowców. — Za chwilę będą wiedzieć wszystko. Szeptem wyjaśniał Zygmuntowi sytuację, wskazywał ruchem głowy obiekty. Na Dwójce jest stu, na Trójce stu, na Czwórce zaś pięciuset ludzi, droga łączności biegnie nad magazynami, koło sauny. Zygmunt rumienił się ze wstydu. Po raz pierwszy był w Birkenau. Z zazdrością słuchał pewnego siebie Henryka i, przytłoczony ogromem obozu, widokiem strasznej równiny, myślał o powstaniu sonderowców. Za chwilę rozlegnie się pierwszy huk: ładunek w kominie Czwórki, i zacznie się dramat. Wiedział, że w najlepszym wypadku tylko znikoma część sonderowców zdoła się ocalić, i żal

mu było serdecznie tych, którzy padną w walce. Wszedł w cień drzew, mierzył wzrokiem jakieś okrągłe budowle, niby baszty, lecz nie chciał już o nic pytać Henryka. Wolał nie wiedzieć, do czego służą.

Przed budynkiem łaźni stała grupka nagich mężczyzn; kobiety z obsługi, ubrane w czarne, lśniące fartuszki satynowe, wynosiły naręcza ubrań. Paul wszedł do łaźni, Henryk i Zygmunt usiedli na murawie. Chwilę milczeli, ale Zygmunt nie wytrzymał ciszy. Wolno cedził słowa, musiał Henrykowi powiedzieć wszystko, wszystko bez reszty.

— Szkoda tylko Urszuli — odezwał się Henryk. — Dziewczynę będą brali na spytki. No cóż, może wytrzyma i to. A Czarny? Pewno wariuje. Jeszcze do lagru gotów wrócić.

Rysował patykiem kreski na ziemi. Przypominał sobie wszystkich utraconych w obozie, dziwił się, że tylu się ich nazbierało. Maryjka, Kalafior, Spluwa, Goryl, Mundek, Janina, Bolek, Czarny, Jerzyk — kochanek von Warwitza, Kamiński, Łokietek... Jednych łapała śmierć, innych wolność, a on, Henryk Matula, jest nadal tutaj, w obozie.

— Jest czas długich noży — powiedział. — Szkoda czasu na sentymenty.

Zaturkotał mały wózek na drodze, to Samek Rubin biegł, zaprzężony do biedki, na której brzęczało jakieś żelaziwo.

— Po drodze zawiadomiłem już Dwójkę. Wiedzą. Czekają na Czwórkę. Za godzinę najwcześniej, żeby zdążyli wykopać, co trzeba — mówił szybko, z trudem oddychając. — A Żydki mają dzisiaj święto. Sukies. Święto Szałasów. To się modlą stare Żydy.

Henryk przyprowadził Paula. Austriak mial pod ubraniem pistolet maszynowy, zdobyty w czasie

bombardowania, chodził więc sztywno, by nie zwrócić niczyjej uwagi.

— Pójdę na drogę między „Meksyk" a obóz męski — powiedział. — Niech Samek zapowie na Czwórce, żeby wszyscy' zbrojni przybiegli zaraz do mnie po tym. Musimy obstawić bramę do Czwórki, zatrzymać choć na chwilę odsiecz z koszar. Każda chwila jest droga.

— Nie, nie wolno nikomu z nas wbrew decyzji... — zaczął Zygmunt. — Oni muszą sami. Paul, zabraniam ci, słyszysz!

Henryk łagodnie odebrał broń Paulowi, wsunął między żelaziwo na biedce, wstał, otrzepał skrupulatnie spodnie.

— Pójdę z Samkiem zawiadomić Czwórkę. Mnie chyba nie zabronisz? — zwrócił się do Zygmunta. — Tam mianowicie trzeba powiedzieć to, co mnie kazaliście powiedzieć, i podejmować decyzje o życiu i śmierci. Ty się do tego nie nadajesz, Zygmunt, prawda?

Zygmunt bezradnie spojrzał na Paula, ale Austriak siedział z głową w. dłoniach.

— Brakuje czynnika zamieszania — mówił dalej Henryk. — Nie ma transportu. Dałbym nie wiem co, żeby nadjechał. Wówczas będzie robota dla was, moi drodzy. Transport musi narobić burdelu, to nam pomoże.

Na Czwórce odpoczywano po nocnej robocie. Część ludzi spała na poddaszu, część krzątała się po obejściu. Kilkunastu sonderowców ładowało na samochody prochy spalonych. Samek odszukał Hersza Topera i dwóch swoich łączników, z którymi się ostatnio kontaktował. Weszli razem z I Icnry- kiem do małego pokoiku, gdzie zazwyczaj gromadzono włosy
zagazowanych i okulary. Na podłodze błyszczała piramida

szkieł i opraw, Hersz odsunął je nogą, usiadł.

— Nu, to już — powiedział wysłuchawszy relacji.— Na nas kolej. Sami nie sami. Święto Kucek. S'brent!* Nożyce są, granatów trochę jest, puszki zrobiono, z prochem, palić będzie czym. Wykopać — pół godziny. Wystarczy?

— Wystarczy — rzekł Samek. Hersz wstał, spojrzał na mały damski zegareczek, dał jakieś polecenie łącznikom, gdy wtem w drzwiach stanął scharfuhrer z krematoriów. Ujrzał pistolet Henryka, sięgnął do pasa, ale Hersz był szybszy. Objął ramieniem esesmana, przycisnął do siebie i zdusił. Cisnąwszy martwego na kupę okularów, krzyknął po żydowsku. Łącznicy wybiegli, a wówczas wyłuskał esesmanowi pistolet i sprawdził magazynek.

— Boże mocny, Boże wielki, żeby takich rewolwerów było więcej ! — zawołał. — Zaczynamy !

Wziął na barki zwłoki scharfuhrera i wkroczył do hali pieców. Palacze zrozumieli wszystko widząc, że zmierza wprost ku otwartej czeluści retorty. Ktoś podsunął cuchnące mydlinami żelazne nosze, skrzypnęły rolki.

Henryk krzyknął pierwszy rozkaz, Hersz powtórzył po żydowsku. Swąd palącego się ciała wypłynął z pieca. Zwłoki objął ogień, kurczyły się z gorąca, wznosiły nogi i ramiona. Palacze wydobyli żelazne osęki, pogrzebacze, siekiery, wychodzili spokojnie na plac. Na górze, na poddaszu ktoś głośno zawodził, wtaczano blaszane zasobniki z metanolem i beczki ropy, Hersz wydobył wielką puszkę prochu, z której zwisał gruby, tłusty lont.

— Uciekaj ! — krzyknął Samek. Posadzka zaświeciła fioletowo, wionął koksowy czad. — Brama ! Brama !

Na placu panował pozorny spokój. Za każdym esesmanem jednak szło kilku sonderowców zbrojnych w żelazo. Nagle potężny huk rzucił Henryka na ziemię. Graniasty komin krematorium rozpękł się i runął w nikłe, prawie niewidoczne płomienie, wypełzające z budynku. Leżąc ujrzał, jak sonde- rowcy wznoszą żelazne drągi nad głowami esesmanów, jak padają na nich błyskając nożami. Druga detonacja zbiegła
się i terkotem karabinu maszynowego i pukaniem rewolwe-rów. Podniósł się, odszukał wzrokiem Hersza, Toper stał w otoczeniu kilku Żydów i wydawał im rozkazy; pokazywał ręką lasek brzozowy, bramę, druty. Czarny dym pełznął po ziemi, jęczała syrena alarmowa obwołując pożar.

— Wszyscy z bronią do mnie! Do mnie! — krzyknął Henryk.— Reszta na druty! Ciąć! Nie ma prądu!

Krzyczał po polsku, po francusku i po niemiecku, dławił go gęstniejący dym. Z wież trajkotały kaemy. Hersz przypadł do niego pierwszy, potem kilku sonderowców z rewolwerami i karabinami.

— Na Dwójce też zaczęli. Słychać strzały — powiedział Hersz. Henryk skoczył ku bramie. Zrzucił marynarkę i czapkę. Odwróciwszy się spostrzegł, że setki ludzi biegną zamiast ku drutom — ku zabudowaniom Piątki, do lasu. Złotawe cętki brzezinek przeszywały kule. Lecą, wariaci, żeby się schronić w sągach i w kremó — pomyślał. Przy bramie tkwiły przygotowane uprzednio beczki z ropą. Hersz strzelił w pierwszą kadź i kiedy czarna ropa wytrysnęła, wyjął wielki grze- bień-zapalniczkę i ruchem podpatrzonym u szefa komór cisnął płonący grzebień w połyskliwy potok, przecinający drogę. Henryk widział poprzez czarny dym kolumnę esesmanów.

Żołnierze w biegu nakładali hełmy. W oddali ciemniały granatowe mundurki komanda przeciwpożarowego. Uskoczył w lasek, za osłonę czerwonych pni. Krematorium nadal płonęło, pożar objął magazyn koksu i płomienie lizały plac. Wdarłszy się do zasobników metanolu, wytrysnęły w górę. Zwaliska ruszały się, huczało, jakby pod ziemią budził się wulkan. Od strony Dwójki słychać było wzmagającą się palbę.

Kolumna SS, rozwinąwszy się, poczęła okrążać zalesiony obszar krematoriów strzelając na oślep. Z wież nic ustawały krótkie, gwałtowne serie broni maszynowej. Pękaty głucho granaty. Hersz wycofał się w głąb lasu i ogromnym głosem wołał:

— Żydzi, słuchajcie mnie! Żydzi, uciekajcie przez druty!

Ale ci, którzy pochowali się na Piątce, czuli się bezpieczni:
w sągach drzewa, w ciągu kominowym, w zaroślach koło „domku". Nie widzieli wroga, myśleli widocznie, że ocali ich
kryjówka i bezczynność. Kiedy Hersz wrócił, Henryk podzielił role: niech Hersz pójdzie zatrzymać esesmanów, a on przeprowadzi wahających się przez druty. Dotarł na skraj zagajnika i tu natknął się na pełzającą z powrotem gromadę sonderowców. Pomiędzy białymi słupami ogrodzenia, uczepieni zerwanych już drutów, leżeli polegli. Pociski wzbijały maleńkie fontanny ziemi tuż przed Henrykiem. Podniósł automat, słońce zadrżało na lufie, zamazało kontury ciemnej sylwetki na wieży strażniczej. Wystrzelił. Karabin maszynowy esesmana zatoczył krąg, wzniósł się w górę, ku jesiennemu niebu. Pomyślał, że

właściwie powinien wstać, krzyknąć jakieś rozkazy, przecież po to tu przyszedł, ale pojął, że wypadki toczą się bez jego wpływu, kieruje nimi sama siła faktów, siła rodząca się z samego ich istnienia, z ich ruchu. Żywa masa sonderowców czołgała się dalej w kierunku lasu i Piątki, zamiast w odwrotnym — ku drutom i ku wolności. Ktoś wielki zerwał się spośród pełznących i skoczył ku Henrykowi. Twarz miał w czerwonej masce krwi, z czoła zwisał płat skóry. Zanim Henryk rozpoznał Samka, ten wyrwał mu z rąk automat i nie zatrzymując się ani na mgnienie oka ruszył biegiem w stronę zacieśniającego się pierścienia esesmanów.

Bezbronny, zbryzgany cudzą krwią, Henryk wstał i tuląc pięści do piersi, jak biegacz, jął kroczyć prosto na druty. Szedł jak lunatyk, nie baczył na ruchome ciała Żydów, deptał tych, którzy nie wstawali i nie szli za nim, ale coraz więcej oddechów świszczało za jego plecami. Zaczął biec utkwiwszy wzrok w zieloną równinę. Wieża milczała, kaem sterczał lufą ku niebu, post wydawał się spać z głową przytuloną do zamka broni. Zatrzymał się więc przy wieży i krzyknął, że droga wolna. Czekał chwilę, aż ostami ludzie ruszą pędem przed siebie, po czym wlazł na górę wieży. Post jeszcze zipał. Pociągnął go za nogi, zdarł kurtkę, przydeptał gardło i odziawszy się w „feldgrau” i czapkę esesmańską bezradnie patrzył na karabin maszynowy. Opuścił lufę i manipulował przy zamku badając palcami i wzrokiem mechanizm.

Na polu krematorium pojawiła się drużyna SS odcinając drogę schowanym w lasku Żydom. Położył palec na spuście, nacisnął. Szeroko otwartymi oczyma patrzył, jak zielonkawe

figurki esesmanów padają na ziemię. Z brzezinki wybiegło kilkunastu ludzi z podniesionymi w górę rękami, ale nie mieli się już komu poddać, reszta drużyny uciekała za Czwórkę. Zderzyli się, łysnęły noże sonderowców. Ranny podoficer wyczołgał się ze zwarcia i wlokąc za sobą nogę pełznął ku wieży. Zatrzymawszy się zatoczył ramieniem śmieszny luk. Granat trzasnął w futrynę, wartownia wieży zaświstała dziesiątkiem odłamków. Henryk nacisnął spust kaemu, ale broń milczała. Zamek się zaciął. Podoficer strzelał teraz z pistoletu. Pierwsza kula uderzyła o lufę kaemu. — Dosyć — szepnął Henryk. Posłyszał huk motorów, okrzyki esesmanów i palbę w lesie. Obszary obozów leżały głuche i ciche, łańcuch esesmanów wyszedł od strony sauny i rozwijał się szeroko, pole bitwy cichło.

Zrzucił kurtkę i czapkę. Trup wartownika leżał na podłodze, po twarzy łaziły ciężkie osy. Wolno zszedł na dół. Samek na pewno padł. Może się jeszcze uda. To już koniec zabawy. Wychylił się zza węgła i ujrzał wycelowaną w siebie lufę rewolweru. Podoficer leżał w niebieskim cieniu wieży i czekał na niego. Nowotny! To był Nowotny. Chwilę mierzyli się wzrokiem, gdy wtem rozległ się alarm lotniczy. Henryk spojrzał w gładkie niebo, babie lato musnęło mu twarz, osiadło na powiece, a kiedy powrócił wzrokiem ku twarzy Nowotnego, zobaczył, że scharfuhrer patrzy, osłupiały i przerażony, w górę, jakby na niebie działo się coś ważniejszego niż na ziemi. Trwało to ułamek sekundy. Nowotny skierował lufę w swą skroń i strzelił. Syrena rozpaczliwie wolała. Henryk wyrwał rewolwer z martwej ręki esesmana, kopnął go z całej siły w głowę i padł obok niego. Esesmani nacierający na Czwórkę i Piątkę umykali w las. Bomby, niech spuszczą bomby! Niech walą.

Tutaj! Tutaj! — myślał Henryk. Zaczął wołać szeptem wysokie niebo i niewidoczną eskadrę, zaczął czołgać się ku łąkom. Podjął z trawy porzuconą marynarkę son- derowca, narzucił na plecy i zawiązał na piersi rękawy. Rewolwer zatknął za pas.

Tak dotarł do drutów. Zwisały, przecięte, w luźnych spiralach. Zwolnił ruchy tak, że się stały niezauważalne, i centymetr po centymetrze posuwał się naprzód po szorstkich, po- rudziałych trawach. Rosły tu bujne łąki, wiatr bowiem nawiewał tłusty, żyzny proch ludzki na pola. Niski wiatr pchał
przed sok} swąd spalenizny. Syrena jeszcze wyła, ale plac bitwy milczał.

pałą uwagę skupił na ruchach ciała i rzeźbie pola. Kieru- jąc się zwierzęcym instynktem, odrodzonym w latach obozu, bliski ziemi, która szorowała twarz usychającymi badylami, wybierał zapadliny i rowy, miejsca wklęsłe i osłonięte kępami zielska. Sunął ku niebieskiej linii, przechowanej w pamięci, tylekroć oglądanej na mapie. Nie czuł ani zmęczenia, ani biegu czasu. Natrafiwszy na polną ścieżkę nieufnym spojrzeniem obmacywał płaskie brzegi, nie dające schronienia, pobrużdżoną powierzchnię, pełną ostrych kamyków, i samotnie rosnący krzak głogu o czerwonych, błyszczących owocach. Tej ścieżyny nie było na mapie. Ostrożnie przewrócił się na bok, wykręcił głowę, by ujrzeć pola obozu. Martwy spokój szedł stamtąd.

Zmienił kierunek skręcając ostro na południe i przyspie- szając ruchy ciała. Przed nim ukazał się wielki rów. Sturlał się na samo dno, pełne zimnej, ciemnej wody, stanął na czworakach i pod osłoną wałów jął brodzić ku Wiśle. „Rów Królewski”, osławiony Kónigsgraben, wydrapany w

równinie przez Kamą Kompanię, dochodził, o czym wiedział, aż do pętli- stych zalewów rzeki. Błogosławił w tej chwili Karną Kompanię i SS za przeprowadzenie tej arterii, która wiodła go do ocalenia.

Kiedy stanął nad brzegiem Wisły, warczały motory pościgu esesmańskiego. Nawet nie zauważył, czy odwołano już alarm lotniczy, ale wydawało mu się, że nie. Zanurzył się w chłodny nurt, który palił zgrzane ciało, szedł, póki woda nie sięgnęła ust. W wysokim zielsku, w rzecznym szuwarze zagdakał jakiś przestraszony ptak i zatrzepotały skrzydła. Pochylił głowę i pił, chłeptał migotliwą wodę, co obsypywała twarz pręgami blasków. Gdzieś blisko rozerwało się powietrze i zagrzechotały automaty. Spróbował gruntu, odepchnął się nogami od dna i cicho popłynął ku kępie, ale zabrakło mu sił, by wyciągnąć ciało na brzeg. Wówczas spomiędzy wiklin wysunął się ku niemu czarny, mokry drąg i wyjrzała czyjaś opalona, śniada twarz o czarnych oczach. Kiedy uchwycił drąg, ujrzał na ręce, która go holowała, wytatuowany numer. Poznał go i serce skurczyło mu się raptownie.

Od autora

„Koniec naszego świata” jest wprawdzie powieścią, której zasadnicze wydarzenia i osoby oddają w jakiś sposób historyczną prawdę, niemniej jest to tylko powieść, nie zaś kronika, pamiętnik czy autobiografia. Nie miałoby więc żadnego sensu, gdyby Czytelnik doszukiwał się w niej portretów autentycznych osób lub gdyby traktował fabułę jako ściśle historyczną narrację.

it

IhLMm twt JŁdlłi
TC#«#HHrl